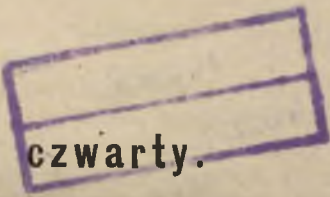


BIBLIOTEKA WARSZAWSKA.

OGÓLNEGO ZBIORU TOM 188

**BIBLIOTEKA  
WARSZAWSKA.**

1887.

—  
  
Tom czwarty.

W A R S Z A W A .

Adres Redakcyi: NOWY-ŚWIAT Nr. 41.

—  
1887.

4620 . 1887 . 4

II.



50.000/-

Дозволено Цензурою.  
Варшава, 19 Сентября 1887 года.

X-14288  
4620 / 1887 4.

# HOMAGIUM W KRÓLEWCU.

R. 1798.

OPOWIADANIE Z RELACYI WSPÓŁCZESNÉJ.

PRZEZ

Kajetana Kraśzewskiego.

Ruente quercu, ligna quivis colligat.

A. D. 1798.—Województwo nasze <sup>1)</sup> zajęli (1795 r.) prusacy, lubo assekurowali pierwój niektórzy, jakoby je dla siebie była Imperatorowa Jéjmość destynowała; ale stało się inaczej. Kazano więc tę część kraju naszego nazywać Nowo-wschodniemi Prusami, które to tak zwięzłe nazwisko skoncypowano zapewne kwoli historyi szybko roztrastającego się państwa; inni nazywają ten kraj Białostocką Regencyą.

Zaraz tedy przewróciło się wszystko z gruntu do góry nogami: prawa, kodeksa, wojsko, podatki i rząd i zarząd, i korespondencye i patenta jakieś i awizacye — wszystko generalnie po niemiecku; że zdało się, iż człek z domem i folwarkiem przez jedną noc przejechał gdzieś na drugi koniec Europy—i stał jako słup, oniemiały, rzetelnic a prawdziwie, niby na niemieckim kazaniu. Ze zaś Europa z rzemiosł, sztuk wyzwolonych, wszelkiego kunsztu, filozofii i mądrości słynie, a myśmy do owéj Europy promowani zostali; tak to więc się tłómaczyło, jakoby jakiego studenta z klasy do klasy—z infimy do retoryki postąpiono. Za to też zapewne i wdzięczność naszą wyrazić nam nakazano; a że „contra torrentem niti difficile est,” należało tedy za owo dobrodziejstwo i podziękować.

---

<sup>1)</sup> Województwo podlaskie w mniejszej części.



Jakoż zalecono, aby się szlachta zgromadziła, zapewne już ostatni raz, w Bielsku i wybrała z grona swojego po dwóch deputatów z każdego powiatu, którzyby swoim sumptem udali się do Królewca, dla złożenia owego homagium królowi Jegomości pruskiemu, Wilhelmowi trzeciemu. Z Wąsowskiego zatém powiatu destynowano do tój funkcji młodego JMPana Augusta Łączyńskiego; z Drohickiego jechać miał JW. Józef Ossoliński, kasztelan podlaski; z Bielskiego zaś JW. Michał Starzeński, starosta brański. Co tóż i na owych pro forma wyborach ułożoném być miało.

Zjechaliśmy się tandem w Bielsku, ale niezbyt tłumnie, nie było po temu dobrój fantazyi, ile że i ta komedia miała się odbywać w asystencji załogi pruskiej, która się już w miasteczku rozkwaterowała. Stał tam batalion strzelców pod dowództwem komendanta, majora Ziche; ale to i wojsko było osobliwszego autoramentu! Jacy z nich żołnierze, Bóg to wiedzieć raczy; to pewna, że jeszcze, jakem żyw, takich obdartusów i obszarpańców widziéć mi się nie zdarzyło. Ani jednego munduru nie było całego: wyszarżate, zblakłe, podarte i połatane; a baby-żołnierki, których tóż moc z bebechami ponawozili, w czerwonych spódnicach, głowy chustkami poobwiązywane, także po większej części miały na wierzch ponawdziewane stare, wysłużone, widać, mundury.

Prawdziwie, choć czas i circumstancyc nie były po temu, nie mogliśmy się od śmiechu powstrzymać. Takież to wojsko zajęło kraj —Boże Wszchemogący! sprawiedliwie powiedziéć można: „quid nisi praeda sumus?“

Owóz, po naznaczeniu w Bielsku deputatów, postanowiliśmy zebrać się w Szczuczynie u JMPana Łączyńskiego, a ztąd razem już wszyscy wyruszyć do Królewca; maj, a czas dość piękny i pogodny obiecywały podróż przyjemną. Ciekawśmy tóż byli tego kraju, który niegdyś część Polski stanowił; a nie znalazł się między nami taki, co by go znał lub zwiedzał, jeden więc z panów deputowanych zabrał do naszój kompanii niejakiego Kirscha, gdańszczanina, aby nam za informatora służył.

Po drodze do Szczuczyna wypadł nam popas w Goniądzu, stanęliśmy więc w karczynie przy rynku. Ledwieśmy się roztasowali, z wielką biedą w ciasnocie pomieściwszy konie, aliści spostrzegliśmy widok ciekawy, który nas nawet przed wrota wywabił.

Na placu instruktor, oficer pruski, uczył musztry nowozaciężnych rekrutów, zbieraniny różnego wieku i kondycyi biedaków, obdartych i nieledwie bosych. Wszystko to byli polacy, z których żaden niemieckiej mowy nie rozumiał wcale; oficer zaś niemiec, zarówno, nie a nie zgoła nie umiał po polsku. Mężczyzna to był średniego wieku, rudy, z twarzą czerwoną a nabrzękłą, wielce nieprzyjemną, w surducie po pięty, z fajką porcelanową na długim aż do ziemi cybuchu; szpadę miał przy boku i potężny kij, który był jedynym tłómaczem między nim a nieszczęśliwymi rekrutami. Nie licząc przekleństw i ku-

łaków w twarz, w piersi, pod brodę, sypały się też owym kijem razy bez ustanku. Do nauki maszerowania, z racyi, że rekruci z oficerem rozumieć się nie mogli, wymyślony był taki sposób, że każdy rekrut miał do prawej nogi przywiązaną garść słomy, a do lewej — siana. Oficer zaś niemiec komenderował głośno: „szłoma—szano, szłoma—szano;“ a gdy się który nowozaciężny pomylił, krzyczał wpadając w pasyą: „szłoma! szłoma! du ferfluchter Kerl!“ albo „szano! szano! szano!“ i dalejże kłać i sypać kije.

Między owymi nowozaciężnymi spostrzegłem też ze zdziwieniem niejakiego Zielonkę, żołnierza, który był niegdyś w mojej kompanii i dobrze go pamiętałem, bo się odznaczył pod Racławicami, a był sławnym siłaczem, że podkowy, jak obwarzanki łamał. I on mnie też, widać, poznał, bo się kilka razy nieznacznie ku nam odwracał; jakóż, w niejaki czas po skończeniu musztry, nadbiegł do karczmy, witając mnie bardzo serdecznie.

— Zkądżeś się tu wziął? — spytałem.

Machnął ręką.

— Ot, panie poruczniku, nieszczęście!

— No, jakimże sposobem?

— A cóż — mówił Zielonka — człowiek do żołnierki przywykł; nie miałem co robić, bez kawałka chleba, zdurzyłem się jak werbowali; myślałem sobie, służba jak inna. Ale to nie to, co u nas; tu, z przeproszeniem pana porucznika, psia robotą! Człowieka i za bydłę nie mają! Koło nas kilku starszych, to ten instruktor jakoś ostrożniej chodzi, bo i służbę trochę przecie znamy i już nam z oczu wyczytał, że toby mu na sucho nie uszło — jak Bóg Bogiem! Już i tak w nas krew kipi, choćby od patrzenia, ale jakby nas którego tknął... no! co by było, to był! a jużby on ostatni raz komenderował!

Żałowałem bardzo biednego Zielonki.

— Po cóż ci się było — rzekłem — do téj służby zaciągać?

— A no — westchnął — głupstwo się stało! nie wiedzieliśmy co się na świecie dzieje; a to podobno teraz nasz generał Dąbrowski gdzieś u francuzów wojsko nasze zbiera; to już my sobie wszyscy tak powiedzieli, aby tylko wojna z francuzami... będziemy wiedzieli co robić...

Byłbym i zapomniał o tém, co mówił Zielonka, ale mi to później przyszło na pamięć po owéj sławnej bitwie pod Jeną w 1806 roku, kiedy wszyscy jeńcy z polskich rekrutów znaleźli się następnie w szeregach wojsk francuzkich, a wreszcie i polskich.

U Łączyńskiego zastaliśmy wielką kompanią, ale na zabawę ani ochoty, ani czasu nie było; nazajutrz więc wyruszyliśmy w drogę dość dworną, z taborem karet, koczów i furgonów w trzydzieści kilka koni.

Ze Szczuczyna do dawnéj granicy pruskiéj było nie daleko, ale wielką tu już spostrzegliśmy różnicę, bo kraj się okazywał bardzo ubogi, lasy powycinane, zboża ani na okaz prawie; pustka i zniszczenie, pono jeszcze od czasów onéj wojny, co ją siedmioletnią nazwano.

Na drugi zaś dzień wjechaliśmy pomiędzy same niemal rzeczki i jeziora, a mosty i groble haniebne. Ludność tu zajmuje się najwięcej samém rybołówstwem, tém téz tylko i żyją, ratując się i owemi kartoflami, które się już i u nas pojawiają, a u nich tego moc wielka. Po karczmach tu sami żydzi, a co wieś to gorzelnia. Jest téz wiele wsi wolnych, na Chełmińskich prawach, jeszcze z czasów dawniejszych, kiedy ten kraj do Polski należał, a mieszkańcy nazywają się Kulmerami; bardzo wielu z nich trudni się pono kontrabandą między Polską a Prusami.

Daléj znowu, same nieprzebyte piachy i powycinane lasy, nędza i ubóstwo wielkie; dopiéro piątego dnia wjechaliśmy już w strony bogatsze, gdzie i ziemia lepsza i uprawa piękna, a najwięcej tu dóbr wielkich panów niemieckich, jak hrabiów Dohua, Fröhenstein, Nabuthen i innych, którzy tu i pałace i rezydencye mają okazałe, ale sami ciągle prawie przebywają w Berlinie, w majątkach zaś gospodarują gubernatorzy, ale ci, jak nas upewniano, więcéj pamiętają o sobie aniżeli o nich.

Wyznaczono nam do Królewca marszrutę, kazano téz pono na nasz przejazd naprawiać mosty i drogi, i mieć przygotowane furazę; ale porządek to był więcéj na papierze, aniżeli w rzeczy, bośmy w téj podróży nie mało i kłopotów i niewygód zażyli.

Na dzień drogi przed Królewcem, już się poczyna ziemia coraz więcéj ku brzegom morza obniżać; gleba tu urodzajna, uprawa staranna, wszelkiego téz zboża, jarzyn i ogrodowizny moc wielka; a chłop widać zamożny, ale za to gbur, mrukowaty i wielce jest butny. Drogi bite dawniej musiały być porządne wszelako, czasu naszej podróży bezecne, od dawnych lat opuszczone i nie naprawiane.

Jechaliśmy do Królewca wczesnie przed naznaczonym terminem, więcby o przybyciu naszym może nie wiedziano, gdyby nie to, że pominięli nas i popprzedzili w drodze, wezwani na ten akt, urzędnicy. Gdyśmy przeto do rogatek przybyli, zastaliśmy tu już i strażę i urzędników miejscowych, którzy na nas oczekiwali. Spisywano liczbę koni, ludzi i powozów, pozabierano nam legitymacyjne papiery i kazano czekać. Staliśmy na spiekocie godzin kilka, aż wreszcie nadeszli inni jacyś ichmościowie i wręczyli nam drukowane kwity na kwatery w trzech osobnych domach. Nie mało mieliśmy kłopotu z ową instalacją; umieściliśmy się wreszcie jak mogli, zajmując obszerny dom na przedmieściu od wjazdu, nie daleko rogatki, a naprzeciwko wielkiego placu, ciągnącego się aż do brzegu morza, gdzie się zwykle odbywały wojskowe ćwiczenia. Mieszkał tu jakiś stary kapitan od piechoty, należący do straży zamkowej, powolny i safanduka, nie rozstający się ani chwilę z szlafrokiem, pantoflami, fajką i szlafinycą—żona z nim robiła co chciała. Za kilka talarów, obiecanych wyżej nad rządową takse kwatery, przyszliliśmy z nim bardzo prędko do ładu, i służył nam niemczyisko na wszelkie rozkazy.



Co do tój gnuśności niemieckój, mieliśmy teraz przekonanie najlepsze, bo we wszystkich wsiach, oberżach i w mieście, mało nie w każdym oknie widzieliśmy Niemca z fajką i w szlafmycy.

W dni kilka po nas przybyli i inni, wszyscy nasi deputowani; zaraz tóż nas odwiedzili i porozumiewszy się, ponajmowali domy obok nas, przy tymże placu na przedmieściu, z czego właściciele domów w mieście bardzo byli nie radzi, bo się już przygotowali, aby z nas drzeć łyka. My zaś, mając i kucharzy i służby dostatek, urządziliśmy się dość wygodnie, a co najważniejsza, żeśmy się razem w całej kompanii trzymali.

Mnóztwo tóż z różnych stron przybywało i wojskowych i dostojników rozmaitego kalibru, ile że po ceremonii homagiálnej miał się odbyć wielki kampaent czyli rewia wojsk, owój dywizyi, która we Wschodnich Prusach konsystowała. Robiono zatem wielkie przygotowania, wszyscy krawcy pospieszali z szyciem mundurów, sztyftowano broń i różne akcesorya wojskowe.

Trwało to dni kilka, nareszcie rozestano drukowane oznajmienie, że królestwo oboje są już w drodze i przybyć mają dnia następnego.

Kazano się nam zebrać na małym trójkątnym placu naprzeciwko zamku; byli tam: szlachta, duchowieństwo, mieszczenie, kulmery i wieśniacy, razem z ośmset ludzi. Potężną bramę za nami zamknięto i stoimy tak na bruku i na skwarze słonecznym ze trzy pickielne godziny, aż nam już i nogi zbolały. Poczęto nareszcie wołać: kuryer, kuryer jedziel! Czekamy; nadjeżdża furgon, a w nim kuchnia i jakieś baby, jak mówiono, kucharki... Potém drugi powóz, z którego wysiadł kamerdyner i, z wysokości swój powagi, oznajmić nam raczył, że król Jegomość już jedzie i zapewne jutro, albo może pojutrze przybędzie.

Po tak wesołej nowinie spojrzeliśmy tylko po sobie, a wystawszy się jak zórawie, zmęczeni, znużeni, upieczeni na słonecznym skwarze i głodni, milcząc ruszyliśmy na kwatery. Tu dopiero rozwiązały się nam języki—ha! trudna rada; szczęściem, żeśmy byli w dużej kompanii, nadrabialiśmy fantazyą jedni z drugich żartując i naradzając się, co dalej w podobnej alternatywie począć nam wypada.

Nazajutrz wzywają nas znowu i ustawiają na tym samym dziedzińcu zamkowym; stoimy chwilę, słońce pali, a najgorzej nam cośmy mieli podgolone głowy. Aleśmy już naradzili się poprzednio; spojrzawszy więc na się wzajem i rum sobie uczyniwszy — wchodzimy do gmachu. Sala tu zaraz ukazała się nam obszerna, ławek i stołków dostatek, chłód w murach bardzo przyjemny; przy biurach było kilku urzędników zajętych pisaniem. Nic na owych ichmościach nie zważając, roztasowaliśmy się bez ceregielów wygodnie, chłodząc się a obcierając z potu.

Panowie urzędnicy patrzyli na nas zdziwieni, poczęli coś szep-



tać między sobą, wreszcie jeden, starszy jakiś, podchodzi ku nam i zaczyna po niemiecku perorę.

Było nas kilku, cośmy dobrze ten język znali, kilku innych mogło się dorozumiewać piąte przez dziesiąte, ale największa część nie rozumiała ani słowa. Niemiec tłumaczył nam, że to nie jest miejsce dla deputowanych, że w salach tych mieszczą się biura sądowe, wojenne i zarządu dóbr koronnych; a zatém — żebyśmy się zaraz ustąpili. Ale nikt się ani myślał ruszać, wszyscy milczeli jak gdyby nie rozumiejąc nic zgoła; niektórzy zaś, umiejący nawet po niemiecku, udawali, że przemowę tę uważają za komplement jakiś i kłaniali się niby, kiwając głowami z uprzejmym uśmiechem.

Widząc to, ów niemiec zaczął znów przemowę po łacinie, ale się jąkał, krztusił i tak opacznie wymawiał, że wszyscy na głos śmiać się poczęli. Zaczerwienił się tedy i zaperzył ów jegomość, i już mocno rozgniewany począł znów po niemiecku, że każę straż zawołać, aby nas wyprowadziła.

Tu dopiero poruszył się żywo i powstał pan starosta brański, Starzeński, człek bystry, który różnemi językami doskonale władał i po niemiecku tóż, expedyte jakby rodowity niemiec mógł się tłumaczyć.

— Mój panie! — zawołał głośno — dość tego! kiedy się kogo wzywa o mil kilkadziesiąt, wypada należne wygody obmyśleć... i konia po takiej drodze w stajni się postawił! Jeśli aspan zechcesz nas straszyć strażą i wyprowadzeniem, to oświadczam w imieniu wszystkich deputowanych, że w tej chwili zabieramy się i wyjeżdżamy z Królewca!

To mówiąc, podszedł do drzwi rażno i otworzywszy je, a wskazując niemcowi, dodał:

— Proszę... idź pan do pana ministra Schrödera i oświadcz mu to, co od nas słyszałeś!

Na takie dictum, ów butny niemiec tak zgłupiał, że stał chwilę z otwartą gębą — jak słup, potem począł się cofać, szastać nogami, kłaniać niziutko i pobiegł wreszcie do kolegów; poszeptali coś z sobą i nietylko już nas nie wypraszano, ale wnet otworzono nawet dalsze obszerne i wygodne izby, ile że w tej pierwszej było nieco przyciasno.

Rozlokowaliśmy się tedy wygodnie, czekając na zapowiedziane przybycie króla Jegomości, jakiś tylko niemiec, urzędnik, w ogromnej peruce, przechadzał się ciągle po salach, pilnując snąc, aby nie ruszono znajdujących się tam papierów.

Upłynęło tak może z godzinę, aż zrobił się na dziedzińcu rumor; wpadł jakiś adjutant królewski z ustnym rozkazem, aby żadnego zgromadzenia deputowanych, żadnego zbiorowiska ludności i innych ceremonii na przyjazd króla nie robiono i nie dopuszczano.

Urzędnicy potracili głowy i nie wiedzieli co począć; bo był rozkaz przeciw rozkazowi, który powstał z tej racji, że kietbańnicy i rzeźnicy królewskich cechów mieli z dawien dawna przywilej formowania się w szwadron konny na wszelakie ceremonie i parady, a nie po-

siadając na ten raz dostatecznej ilości broni i liderwerków — gdy im dać je pierwój obiecano, a następnie odmówiono — wyłamali drzwi od cekhauzu, zabrali co im było potrzeba i wystąpili w paradyzie. Za nimi téż wysypała się i cała ludność na ulice. Chciano najprzód użyć wojska do rozpędzenia i cechów i ludu, ale lękano się złych następstw i gorszego jeszcze tumultu, gdy z drugieój strony zauważono, słusznie, iż same cechy i owi rzeźnicy porządek utrzymać potrafią. Ten zaś kietbasiany szwadron warto było, jako osobliwsze curiosum, oglądać, a bodaj i na teatrum nawet wystawić, bo i trudnoby chyba na świecie spotkać coś podobnego. Pomijając dziwne wskroś szamerowane mundury i pióropusze rozmaitej barwy, siedzieli te chłopy grube, tęgic a czerwone, na ogromnych, opastych piwowsarskich szkapach, a oficerowie ich, niby ze starszyny obrani, tak wszyscy brzuchaci i dokarmieni, że się ledwie we własnej skórze mieścili, wyglądali jak oksefty, a na koniach jako pies na płocie siedzieli. Za boki braliśmy się ze śmiechu, przyglądając się owemu widowisku.

Nasi deputaci, dowiedziawszy się co zaszło i nie mając potrzeby czekania, a bojąc się, aby w tumulcie jakim, jeśliby się zdarzył, nie ponieść szkody czyli kradzieży na swoich kwaterach, opuścili zaraz sale i pospieszyli do domu. Kilku nas tylko zostało; ja chciałem się przypatrzeć królowi, lubóm go już był widział przed czterema laty pod Warszawą, a przytém ciekawy byłem i królowej, gdyż głoszone powszechnie, jakoby miała być bardzo cudneój urody niewiastą. Dla téj może racyi jedyneój, co było z naszéej młodzieży nie ruszyło się z owego przed zamkiem placu, czekając na przybycie obojga królestwa.

Nakoniec oznajmiono, że jadą—a było już około siódméej godziny wieczorem; król bowiem, jak potém mówiono, dowiedziawszy się, że rozkaz jego nie mógł być wypełniony, a zebrane tłumy czekają, bojąc się widać tumultu, opóźnił swój przyjazd aż do wieczora.

Już to, prawdę rzekłszy, po owych szatańskich godach, które poszalawszy wyprawiali nie dawno u siebie francuzi — co było jeszcze w tak świeżéej pamięci — monarchowie nie bez racyi stracili smak do tłumnych zebrań ludności, zwłaszcza tu, gdy się pisali: „*Dei gratia*,“ a można było dorzucić „*sed non voluntate hominum*.“ Dlatego to u nas, gdy téj drugieój połowy maksy my powiedziéć nie było przyczyny, zatém i monarchów naszych — lubośmy im nieraz niesfornością i butą wiele krwi napsuli—majestat był w najwyższym stopniu szanowany zawsze. A nawet i ten ostatni regnant, lubo zgola szacunku wart nie był, a w końcowych latach panowania najburzliwsze przechodził chwile, żył przecieź w spokoju, pod nietykalną u nas przeszego majestatu egidą.

Téej pewności nie miał snąć król Fryderyk, jakeśmy to łączno zauważać mogli. Gdy oznajmiono że jedzie, tłumy się zewsząd cisnąć poczęły; dwie karety królewskie, każda po sześć koni pocztowych, postępowały zwolna między dwoma szpalerami owego komedianckiego szwadronu kietbasników, którzy eskortowali królewskie karety z do-

bytemi pałaszami. Po przybyciu na mały plac przed zamkiem — gdzieśmy właśnie stali — zatrzymały się powozy i upłynęło może czasu na dwa pacierze, a nikt nie wysiadał. Adjutant tylko i służba kręcili się, coś szeptano, oglądano się, wreszcie, jakby z niejakiem wahaniem, wysiadł w niepozornym mundurze król Jegomość, którego wziąłby każdy za jakiegoś porucznika; za nim dopiero ukazała się królowa, dość gładka i urodziwa pani, ale w strojucale nie wytwornym, trzymała w rękach szkatułkę niewielką, jak mówiono, z klejnotami. Zrobiono tedy rum w tłumie i ciasną ścieżyną król Jegomość, prowadząc pod ramię małżonkę, przeszedł do zamku. Niebawem ukazał się na górnym ganku, kłaniając się zebranemu ludowi, ale rzeźnicy owi i kielbaśnicy poczęli na całe gardło krzyzcć, domagając się, aby wyszła także i królowa, za nimi też i cały tłum wołać począł. Znikł tedy król z ganku, a za chwilę ukazali się już oboje, kłaniając się na różne strony. Królowa na to powitanie wdziata była, widac na przedce, jakiś płaszcz ozdoby, w którym już piękniej i poważniej wyglądała. Zaczem usunęli się królestwo do swoich komnat, a tłum powoli rozchodzić się począł; wnet też zaciągnęła warta zamkowa i my przeto ruszyliśmy się na nasze kwatery.

Nazajutrz wezwano nas znowu wszystkich na zamek, nie wiedzieliśmy po co, i domyslić się w istocie było trudno, że nas będą jako baranów po wełnie klasyfikować. Jakoż wybrano na oko tych kilkunastu, którzy przystrojeni byli po francuzku, albo li też na niemiecki modelusz, z wyłączeniem wszystkich nas, cośmy się nosili po polsku i zaproszono ich na wieczory do panów ministrów.

Powróciwszy do domu śmieliśmy się serdecznie z tego rozgatunkowania i wyznać muszę, iż ci właśnie z nas, którzy nosili strój francuzki, najmocniej na to się oburzali, a wielu z nich, kwitując z zaprosin, zaraz się stante pede napowrót po staremu przebrało. Takby byli może uczyuli i wszyscy, ale po długich deliberacjach, sprzeczkach i naradach, postanowiono, aby niektorzy zastosowali się do tej konieczności, nie chcąc wzbudzać nieukontentowania obojga królestwa.

Były tedy owe wieczory razy kilka dawane u hrabiego Dohne i u marszałka dworu, pułkownika Massona, którzy mieli być, jak nam nasi opowiadali, dość grzeczni i polerowani ludzie, gdy inni panowie ministrowie nadymali się jako indyki i byli zgoła nieprzystępni prawie. Znajdowali się na owych przyjęciach niekiedy i oboje królestwo, dość uprzejmi i grzeczni, zwłaszcza sama młoda i cale urodziwa królowa, lubiąca ożywione i wesołe rozmowy.

Na drugi dzień po owem naszym rozgatunkowaniu, ci, których ze stroju uznano godnymi szczególnych faworów, przedstawieni zostali obojgu królestwu na solennem w zamku postuchaniu; poczem kazano przygotować dwie mowy dziękczynne do króla: jedną w imieniu deputatów z Wielkopolski, czyli, jak nazywano, Prus zachodnio-południowych, — drugą od nas, czyli z Prus nowo-wschodnich. Przeglądano je, poprawiano i tłómaczono, i kazano wygłosić przy nastąpić mają-



cym homagialnym akcie. Przedtém zaś jeszcze pozwolono podawać petycyę, zastrzegając wszelako, aby w nich nie było mowy ani o podatkach, ani o starostwach, ani o dobrach po-duchownych, które w posiadanie rządu przechodziły.

Nad ową petycyą, jako rzeczą wielkiej wagi, były tedy między nami bardzo długie i walne narady. Na wołowej skórze nie spisałyby różnych zdań i projektów, czemu i dziwić się trudno, na nieszczęśliwe okoliczności zważywszy. Wybraliśmy tandem kilku z między nas do zreasumowania rzeczy słusznych, o których się mówiło i do spisania petycyi; w niej zaś prosiliśmy: 1) o zrównanie nas w prawach z zostającym pod panowaniem austryackiem Szlązkiem, który, jako dawna ziemia polska, osobne swe przywileje posiada; 2) o zniesienie ceł i celników granicznych, i wolność przejazdu kordonu pruskiego; 3) o zachowanie praw naszych i sądownictwa; 4) zaś, najusilniej o pozostawienie we wszelkich stosunkach języka polskiego, z tój zresztą kardynalnej racyi, że łatwiej jest znaleźć kilkunastu urzędników umiejących po polsku, aniżeli milionowi ludzi kazać czytać lub słuchać, czego nie rozumie, albo dla tych kilkunastu czy kilkudziesięciu urzędników kazać się owemu milionowi uczyć nieznanego języka, który nie był, nie jest, a zatém i nigdy nie może stać się jego mową ojczystą.

Podaliśmy tedy ową petycyą; wszelako chyba Bóg jeden... i panowie ministrowie wiedzą, co się z nią stało.

Nadszedł nareszcie dzień, na solenny homagialny akt naznaczoney. Udaliśmy się na zamek, ale dla stromego wjazdu z tój strony, gdzie nam wejście wskazano, i dla mnogości tłumu, powysiadawszy z kolasek, musieliśmy iść pieszo do małej furty, przy której stała podwójna straż z bagnetami, wpuszczając nas tylko po jednym. Deputatów, najrozmaitszych kondycyi ludzi, ze czterech prowincyi było tysiąc kilkuset. Na dziedzińcu zamkowym uczynione były cztery, osobne dla każdej prowincyi zagrody, słowo w słowo takie same, jak się na targowisku robią dla bydła, to jest na słupkach leżały ledwie ociosane prosto z lasu żerdzie sosnowe, okalające osobne cztery czworokąty, które wewnątrz jeszcze poprzdzielano przęsłami, każdy na trzy części. W pierwszej mieściła się szlachta, za nimi w drugiej duchowieństwo i mieszczenie, w trzeciej kulmeńcycy i lud prosty. Każdy z tych czworoboków otoczony był w koło szeregiem ustawionych gęsto żołnierzy z najeżonemi bagnetami, a że ci byli czolem obróceni do zamku i stali przed nami, więc mieliśmy przyjemność przyglądania się tylko ich—plecom.

Tak staliśmy na słońcu dobre, a raczójby powiedziéć, ciężkie dwie godziny; na szczęście nasze dostaliśmy się do czworoboku, w którym było trochę cieniu, inaczej, rzecz pewna, że nie wszyscy bylibyśmy w stanie do końca tój parady wytrzymać.

Otworzyły się przeciw drzwi od górnego ganku i wyszedł król, w paradnym mundurze, wraz z dwoniami ministrami i kilku generałami; królowa zaś ukazała się w otwartém oknie, położoném właśnie wprost



naprzeciwko czworoboku naszej prowincyi. Po ukłonach obojga królestwa, wystąpili mówcy, wgramoliwszy się do małych jakichś kazalnicy, przyniesionych snąć z kościoła. Czytali długo po niemiecku, przy czém niemcy raz w raz się kłaniali; ale że my nie rozumieliśmy nic z owych kazań, więcemy téż i w ukłony wcale się nie wdawali. Zaczętem odczytano przysięgę, po której ministrowie trzykrotnie wykrzykiwali: „Es lebe der König!“ a prowincye w zagrodach powtarzały ten wykrzyk, jak echo, pojedynczemi jednak głosami, nieraźnie jakoś i słabo. W naszej zagrodzie cicho było, jakby mak siał; dopiero po jakimś czasie kilkunaestu z młodszych deputatów, przez kortezyą dla nadobnej monarchini, zawołało po polsku: „niech żyje królował“ za nimi powtórzyli tę aklamacyą i inni. Królowa więc bardzo pięknie, z uśmiechem kłaniać się zaczęła, a sam król Jegomość oddalił się z ganku. Uciszyło się przeto i tylko głuchy gwar zebranych słycać było niekiedy. Tak upłynęło z ćwierć godziny, aż ukazał się na ganku minister Schröder z papierami jakimiś, oznajmując, że król Jegomość wdzięczen jest wiernym swoim poddanym za ich czolobitność i życzliwość, i téj wdzięczności zaraz téż dowiedzie wielkimi swemi łaskami, a mianowicie, nadaje tytuły hrabiowskie panom: Osolinckym, Guzil i Skruczynckym! Ostatnie dwa nazwiska miały oznaczać Jundziłł i Starzeński. Któremuś z deputowanych Wielkopolskich przeznaczono order orła pruskiego, a kilku niemieckim urzędnikom awanse.

Te to były więc nadzwyczajne, zapowiedziane przez Schrödera łaski, których wyliczenie zajęło minut kilka wśród największej ciszy i głuchego milczenia. Jundziłł ruszał ramionami i zrywał się za przekręcenie swego nazwiska, starosta brański uśmiechał się żartobliwie, a JW-ny kasztelan podlaski zaczerwienił się jak piwonja.

Tytuły, z racyi zupełnej u nas równości szlacheckiej, prawami obwarowanej, nie były do téj pory cale używane, z bardzo nielicznymi tylko wyjątkami; posiadali je niektórzy jako towar zagraniczny, zagranicą téż jedynie przez nich używane, dla zrównania się ze szlachtą tamtejszą, nie popisując się z niemi w ojczyźnie, gdzieby się z tego powodu na ośmieszenie tylko narazić można. Ossolińscy mieli nadany sobie tytuł książąt jeszcze w roku 1634-ym przez cesarza Ferdynanda, a przecież nigdy go nie używali, cóż więc dla nich znaczyć mogło teraz nadawano hrabiostwo? Dlatego téż i zarumienił się pan kasztelan; wszystkie bowiem owe tytuły po upadku kraju przez nowych monarchów, jako łaski dawane, przypominały niestety zawsze, chociaż częstokroć niewinnie, Judaszowe srebrniki „za zapłatę krwici.“ Jakoż z tych, którzy w owych czasach z którąkolwiek bądź strony podobne otrzymali distinkcye, nie używał ich nigdy żaden, o czém przekonąć się nie trudno; znacznie później dopiero ze zmianą czasów i okoliczności, a przyjęciem obcych nam obyczajów, odgrzebywać je zaczęli następcy, synowie i wnuki. Do śmierci téż ani kasztelan, ani JMP. Jundziłł, ani starosta brański nie pisali się hrabiami, i na ten czas ów ho-

nor, który miał oznaczać wielkie dla prowincyi naszej łaski, nie małą i dotkliwą przykrość sprawił samym obdarowanym. Po odczytaniu tych łask, minister Schröder zniknął zaraz z ganku, a niebawem ukazął się na placu jakiś niemiec z ogromnym pękiem kluczków, powołując nas do zamkowej kaplicy. Tu odśpiewano „Te Deum laudamus,” przyczem na chórze umieszczonych dziesięciu trębaczy piechotnego pułku, jakby głosem trąby sądu ostatecznego, napełniło świątynią tak przeraźliwie, że aż coś w głowach łupało i mimowolnie pocieraliśmy się po uszach. Tymczasem furyer dworu rozdawał bilety zapraszające na ucztę, czyli obiad; jednym do stołu królewskiego, drugim do wielkiej na górném piętrze położonej sali, dla większej części deputowanych.

Ogromna ta sala pięćset kroków długości mająca, na trzecim piętrze zamkowego skrzydła położona, nosi nazwę „moskiewskiej,” z tąd racyi, że czasu siedmioletniej wojny, kiedy te pruskie prowincye wraz z Królewcem zajęły wojska Imperatorowej Elżbiety, mieszkańcy składali tu właśnie monarchini rosyjskiej homagialną przysięgę.

W owej tedy sali urządzono obiad na tysiąc dwustu deputowanych ze czterech prowincyi; ustawiono na prędce z desek zbite ogromne stoły i ławy, pachółków, czyli jak nazywano „kelnerów,” było do obsługi ze dwustu, tragarze miejsca przynosili misy z potrawami i zupy w kottach miedzianych, a lubo tę strawę niemcy zajadali łapczywie, nam ona w żaden sposób przejść przez gardło nie mogła.

U królewskiego stołu za to, w lewej stronie zamku, na pokojach, jak opowiadali nasi, dokąd ich marszałek dworu zaprowadził, obiad miał być nader wspaniały, suty i wyśmienity. Kiedy weszli zaproszeni, znajdowali się już tam oboje królestwo, bardzo z całej tąd uroczystości zadowoleni. Król rozmawiał najwięcej o wojsku i ćwiczeniach wojskowych ze swymi generałami Kalkreutem i Mollendorffem, sama zaś królowa szczególne dla deputowanych naszych okazywała względy. Dziękowała za okrzyk, który na jej cześć wydaliśmy przy składaniu homagium; a że znajdował się właśnie przy tém i nasz czcigodny a sławny biskup warmiński, Ignacy Krasicki, lubo już w wieku bardzo podeszłym, lecz dosyć żwawy i mówny—zaraz więc, ile że znał wszystkich naszych deputowanych, rzekł z wesołym uśmiechem: — „Nie odrodziliście się Waszmość panowie od waszych ojców i dziadów, i po rycersku zawszeście grzeczni dla dam; ale na ten raz przełamaliście porządek i postąpiliście nie według programu.” Potém, po krótkiej rozmowie, królowa podała rękę biskupowi i wszyscy przeszli do jadalni suto zastawionej i wielce ozdobnej. Nasi deputowani siedzieli u stołu naprzeciwko obojga królestwa, sama monarchini rozmawiała z nimi bardzo uprzejmie, jako i obok niej siedzący nasz biskup warmiński. Przy wybornych potrawach, wina była wielka obfitość, szczególnie zaś szampańskiego i burgundzkiego, tak, że niektórzy z naszych nieco sobie nawet podchmielili. Najciekawszą rzeczą czasu owego przyjęcia to było, że przed samym obiadem poda-

no królowi jakieś, kuryerem nadesłane, pismo, z którego okazało się, że przybyć ma niebawem z Berlina generał Haugwitz, dla którego téż, gdy wszyscy zasiedli, zostawiono wolne miejsce u stołu. Jakoż po jakimś czasie zjawił się ów generał i opowiadał głośno o przybyciu do Berlina francuzkiego generała Duroc'a, wysłanego w misji politycznej przez ówczesny Dyrektoryat francuzki, a właściwie mówiąc, przez Napoleona, który już był nateczas w swe zwycięzkie dłonie wodze rządu w kraju swoim pochwyił.

Po obiedzie rozdawano złote i srebrne pamiątkowe medale, i bilety zapraszające na bal, tegoż dnia dać się mający na cześć królestwa przez szlachtę pruską w domu niejakich Knoblochów, położonym na przedmieściu. Poszło tam kilku z naszych deputatów i lubo bal miał być bardzo wspaniały, dla zbyt małych jednak znajomości a niezmiernego ścisku, nie bardzo się ubawili, ale za to powracających, zmierzanych a uznojonych, dobrze ostudziła potężna ulewa.

Następnego dnia odbywał się kampaent czyli manewra wojskowe, na które przez ciekawość pojechaliśmy wraz z naszym starym kapitanem, u którego mieliśmy kwatery. Nie szczególnie jednak były te ćwiczenia; kawalerya generała Kalkreuta uwijała się jako tako, ale Mollendorfowa piechota wcale ani z postawy, ani ze sprawności na pochwały zastugiwać nie mogła. Król przebiegał konno przed szeregami, królowa przyglądała się, nadjechawszy w odkrytej kolasie.

Tegoż dnia jeszcze w owój wielkiej „moskiewskiej“ sali na zamku, zapowiedziany był z pożegnaniem przed odjazdem królestwa świetny bal dworski, na który i wszyscy deputaci nasi zaproszeni zostali. Po owym jednak sławnym obiedzie w téjże sali wydanym, gdzie rozbełtane polewki obnoszono w miedzianych saganach, a siekaniny jakieś w ceberkach, już się nasi deputaci tak zmierzili, że nazajutrz zaraz tłumnie poczęli wyjeżdżać z Królewca. Zostało nas ledwie kilku, jedynie z racy rachunków ze zbożowymi kupcami i dla poczynienia zapasów spiżarnianych do domu. Wszystko to w jaknajkrótszym załatwiwszy czasie, pospieszyliśmy w swoje strony.

W lat ośm po złożeniu przez nas homagium w Królewcu nadeszła bitwa pod Jena, zaczęł traktat w Tylży i Księztwo Warszawskie, — i wynieśli się od nas prusacy. Nie rozpaczaliśmy jednak przy pożegnaniu, tém bardziej, że zaręczali solennie, iż prędzej czy później — dla rewindykacyi swoich Prus nowo-wschodnich — powrócą.

Romanów, d. 7 stycznia 1887 r.



# PRZESILENIE ROLNICZE W ANGLII.

NAPISAŁ

C. Reklewski.

Stronnictwo liczebnie słabe jeszcze, lecz przedstawiające siłę materyjalną i mające w swém ręku tak ważny czynnik produkcji jak ziemia, w kraju swobody handlowej, w Anglii, agituje od pewego czasu za wprowadzeniem systemu protekcyjnego, którego jedném z następstw ma być ustanowienie cła na zboże importowane.

Dla naszego kraju byłby to cios rzeczywiście straszny, z którym równaćby nawet nie można ograniczeń celnych w Niemczech i Francji dla tutejszego zboża. Najpoważniejszym odbiorcą naszej produkcji rolniczej jest Anglia, a eksport na targi angielskie pomimo konkurencji Ameryki i Indyi, stanowi podstawę naszego handlu wywozowego. Wszelkie zatem utrudnienia, jakieby produkcją tutejszą na rynkach angielskich dotknęły, zaliczyłyby należało do najcięższych klęsk, które od pewnego czasu nawiedzają rolnictwo krajowe.

Co prawda, nie wierzymy, by agitacja stronnictwa protekcyjnego miała się zakończyć zwycięstwem. Zasady szkoły manchesterskiej zbyt zrosły się z dziejami tegoczesnej Anglii, przekonaniem i dążeniami jej ludności, by kierunki zmierzające do obalenia systemu wolno-handlowego, mogły prędko u większości narodu znaleźć uznanie. Przypomnijmy, że rolnictwo w Anglii nie jest przemysłem pierwszorzędnym, z jego pomyslnością lub upadkiem nie wiążą się tak jak u nas losy całego społeczeństwa, potrzeba zatem praw protekcyjnych dla tego przemysłu nie znajduje ani dostatecznego poparcia, ani silnie manifestującej się sympatii. Co więcej, podrożenie zboża, będące następstwem ceł, stanie się do najwyższego stopnia obciążającym dla milionów konsumentów i wywoła energiczny protest przeciwko wszelkim pokuszeniom,



mającym na celu powrót do niepopularnego dziś systemu protekcyjnego.

Choć zatem nie przypuszczamy, by tak prędko przynajmniej, szkoła Cobdenowska ustąpić miała z pola, winniśmy na wszystko być przygotowani, zwłaszcza w czasach, gdy walka ekonomiczna między społeczeństwami tak fantastyczne niekiedy przybiera formy.

Należy nam zatem poznać obecny stan rolnictwa angielskiego, zbadać jaką być może jego przyszłość i ocenić, czy położenie jest rzeczywiście tego rodzaju, iż tylko prawa wyjątkowe ocalić je mogą. Studium podobne tém będzie ciekawsze, że w przesileniu, przez jakie przechodzi rolnictwo angielskie, znajdziemy wiele faktów analogicznych z naszym położeniem.

Według zdania wielu, wpływy atmosferyczne odgrywają bardzo ważną rolę między przyczynami obecnego przesilenia rolniczego w Anglii. Od 1879 r. lata mokre następowały po sobie prawie bez przerwy, z wielką szkodą kultury zboża, którego wydajność zmniejszyły jednocześnie zwiększające się niepomierne wydatki na uprawę gruntu i na kosztą zbioru. W roku znów 1885, wyjątkowa susza wpłynęła na nieurodzaj zbóż i roślin okopowych.

Do wpływów atmosferycznych, którym zapobiedz nie mogą żadne rady, lub ankiety parlamentarne i ekstra-parlamentarne, dołączyć należy brak kapitału obiegowego, czemu również, przynajmniej do dziś dnia, zaradzić nie mogły najrozmaitsze kombinacje prawodawcze.

Tymczasem dzierżawcy, których zasobność stopniowo się zmniejszała, zmuszeni byli ograniczyć wydatki bądź na produkcję lub zakup nawozów, bądź na inne koszty eksploatacji gruntu, co musiało wpłynąć ujemnie na gospodarstwo i bogactwo ziemi. Ztąd to coraz więcej znajdowało się gruntów, na których dzierżawę nie było kandydatów, ztąd znaczne przestrzenie ziemi ornąj zamieniać zaczęto na pastwiska bardzo średniej dobroci.

Konkurencją zagraniczną słusznie również zaliczyć należy do szeregu przyczyn obniżających zysk dzierżawców, i deprymujących ceny ziemi we wszystkich prawie hrabstwach Królestwa Zjednoczonego. Faktem jest — jak to wreszcie z goryczą zaznacza North British agriculturist — że rynki angielskie otrzymują z produkcji starego i nowego świata olbrzymie ilości zboża, mąki, mięsa, masła, sera i konserw; lecz jeśli cierpią na tém rolnicy miejscowi, nietylko ich los jest opłakany, gdyż masa konsumentów, przeważnie zaś ludność robotcza wielkich ognisk fabrycznych, również w bardzo smutnym znajduje się stanie. Jest to objaw dziwny i stosować tu nie można żadnych systemów kompensacyjnych, pocieszają się, że bieda jednych, drugim na użytek wychodzi. Ludzie nawet, których umysł nie jest skłonny do narzekania, ludzie nie żywiący żadnych sympatyj dla dawno porzeczanych systematów protekcyjnych, utrzymują jednogłośnie, że położenie rolnictwa bardzo stało się kłopotliwe, z chwilą, gdy z płasz-

czyzn Indyj, z dolin Dunaju i z brzegów Missisipi można wysyłać i sprzedawać z zyskiem na rynkach Londynu, Liverpool'u i Leith'u, pszenicę po 6,50 do 7,00 rubli za korzec. Jednocześnie, mięso skopowe z Nowej Zelandyi, konserwowane w lodzie i świeże mięso wołowe z Ameryki, sprzedawane bywa po 5 do 6 pens. za funt (20 do 25 kop.), podczas gdy dzierżawca otrzymuje za mięso drugiego gatunku cenę mało co wyższą, a nie rzadko spotykano na rynku londyńskim masło dobrego gatunku, noszące na sobie markę Stanów-Zjednoczonych, które przebywszy 1,500 mil (ang.) lądem i 3,000 mil morzem, sprzedawane było po 50 kop. za funt.

Wpływy fizyczne i ekonomiczne są zatem dziś i od lat kilku, szczególnie nie sprzyjające dla rolnictwa angielskiego, któremu pomimo szczerzej chęci ani państwo, ani społeczeństwo, nie wiele pomódz mogą. Mężowie stanu i ekonomiści wytrawni, uspakajają opinią, nie zalecają powrotu do protekcyjnizmu, lecz radzą uzbroić się w odwagę, cierpliwość i naśladowanie przykładu tych niewielu rolników, którzy burzy śmiało pierś przeciwstawili. Ludzie ci wprowadzili znaczne oszczędności w swych wydatkach, rozszerzyli uprawę warzyw i owoców, sprzedają swe produkty bezpośrednio w miastach sąsiednich, część gruntów ornych zamienili na żyzne pastwiska, a narzędzia pomocnicze i nawozy uzupełniające umieją kupować po cenach umiarkowanych. Są to wprawdzie półśrodki i umysły wciąż wracają do kwestyi głównej, wskazując na upadek rolnictwa, niemniej, pewna część rolników nie upadała na duchu i nie oglądając się na niczyją pomoc, we własnych siłach szuka środków ocalenia.

W Anglii zarówno jak gdzieindziej, renta gruntowa znalazła przeciwników zaprzeczających jej prawności i widzących w niej przyczynę pauperyzmu, powód zawichrzeń socyalnych, upadku społeczeństwa i nakoniec ruiny rolnictwa i kraju; pomiędzy dzierżawcami jednak i ich opiekunami mało kto zapuszcza się na ten grunt palący, mało kto podziela teoryc i definicye Ricard'a, Johnson'a lub innych, i poprzestaje na wyszukiwaniu środków godzących wspólne interesy właściciela i dzierżawcy, przy pomocy sprawiedliwych układów.

Ale nawet na tym punkcie kwestya nie może być zadawalniająco rozwiązana i zwolennicy spokojnego i sprawiedliwego załatwienia kwestyi agrarnej, do tój pory wyjść nie mogli ze sfery ogólników, które jej naprzód popchnąć nie zdołały. Właściciele domagają się bardzo słusznie, by cena dzierżawna zapewniała im odpowiedni procent od kapitału, który przedstawia wartość ich własności; lecz w jaki sposób wartość tę obliczyć? To stanowi właśnie najdrażliwszy punkt kwestyi; można bowiem zacytować wiele takich majątków, które niezależnie zupełnie od warunków eksploatacyi rolnój, nabyte zostały po cenach bardzo wysokich, a dla których oznaczenie renty gruntowej na 3 a nawet na 2% byłoby jeszcze zbyt wielkiem. Z drugiej strony, dzierżawy, których czynsz w czasach zwykłych nie był nadto wysokim dla dzierżawcy, zupełnie zmieniły charakter i przynoszą straty, pod



wplywem zniżki cen produkcji i podniesienia się kosztów jej wytworzenia. Co wnosić z tych sprzecznych danych? chyba to, że w kwestyi pomienionej zawsze znajdziemy się w błędzie, jeśli tylko chodzić będzie o pogodzenie dwustronnych interesów. Ogólniki i nie tylko ogólniki wystąpią zawsze ilekroć ustanowić będziemy chcieli niewzruszone zasady, według których — ku wzajemnemu zadowoleniu — układać się ma wysokość renty gruntowej.

Zanim dalsze uwagi nad obecnym stanem rolnictwa angielskiego podamy, poprzedzimy je wyjątkami z mowy jednego z najświetlejszych tamtejszych rolników, pomogą nam one bowiem wiele do wyjaśnienia położenia. Clare S. Read, 30 września r. z. miał mowę na posiedzeniu Towarzystwa rolniczego w North Walsham. Mowa ta częstokroć szorstka, czasem paradoksalna, zawiera niemniej dużo spostrzeżeń słusznych, a nawet zastosować się dających do naszego położenia. Między innymi, mówca tak się odezwał:

„Tak jest — Anglia ma rok dobry; zboże zebraliśmy w doskonałych warunkach. A nawet — przyznaję otwarcie — nie zbyt cierpimy nad t $\acute{e}$ m, że nasi rywale cz $\acute{e}$ mś podobnym pochwalić się nie mogą. W Stanach Zjedzonych na przykład, zbiór pszenicy był niższy od średniego; Niemcy, robiące nam tak straszną konkurencją w jęczmieniu, nie przyjdą w tym roku zasypywać naszych targów, a przynajmniej nie w tak znacznym stopniu.

„Mimo zbiegu okoliczności, które rok ten uczyniły pomyślnym, nie śpieszmy się z konkluzją, że opływamy w rozkoszach. Nie, na nieszczęście! Rolnicy są w t $\acute{e}$ m sam $\acute{e}$ m położeniu co przemysłowcy i rzemieślnicy; nie pracują oni w szczytnym celu wyżywienia narodu angielskiego, bo przedsiębiorstwo ich zaledwie wystarcza na utrzymanie życia. Podobni oni są w t $\acute{e}$ m do fabrykanta z Manchester, wyrabiającego świecidełka nie z myślą filantropijną ubierania negrów, lecz po prostu dla zrobienia majątku. Siejąc pszenicę, rolnik angielski nie stawia sobie za zadanie zadośćuczynienie potrzebom konsumpcji angielskiej. Pracuje dla pieniędzy, a nie dla honoru; pracuje w widokach zysku rzeczywistego i natychmiastowego, któryby go wynagrodził za trud poniesiony i zwrócił procent od wyłożonego kapitału; lecz by to osiągnąć, trzeba m $\acute{o$ dz produkty swe sprzedawać po cenie opłacającej kosztu ich wytworzenia.

„Mówiono o zmniejszeniu wysiewu pszenicy; jest to rzecz nie małej wagi. Królestwo Zjednoczone z roku na rok co raz mniej wysiewa pszenicy. Jeśli postawimy się, jak przed chwilą, na punkcie widzenia nie już interesów indywidualnych, lecz potrzeb użyteczności ogólnej, nie może być obojętną dla narodu angielskiego wiadomość, że w zaspokojeniu swych codziennych potrzeb Anglia w znacznej mierze zależy od cudzoziemców i, że jeśli produkcja angielska będzie się nadal obniżać z równą gwałtownością, wyżywienie kraju znajdzie się na łąsce i niełąsce narodów, które raczą zaopatrywać nas w środki pokarmowe. Taki rezultat, przynajmniej, byłby zgubą kraju.

„Ze wszystkich produktów gruntu, pszenica jest dla wielkiej kultury najwdzięczniejszym płodem. Jój uprawa przytém wymaga najwięcej rąk roboczych. Jeśli uprawiać będziemy mniej pszenicy, ludność opuści wieś, by się przenieść do miasta, które jój nie potrzebuje. Zmniejszenie zatem kultury pszenicy jest nieszczęściem; lecz rolnicy utrzymują, iż uniknąć go nie można i że nie są w stanie uprawiać pszenicy nadal po cenach obecnych. Pod tym względem dawano nam rozmaite rady.

„Według niektórych, jedna tylko pozostaje droga: porzucić przedsiębiorstwo i chwycić się innej pracy. To pewnie sekretarz ministerjum handlu uszczęśliwił nas podobną radą; lecz zapomniał wskazać, jakiego to przemysłu, jakiej gałęzi handlu czepić się mamy? Wszak wszystkie źródła pracy są już obsadzone, a biedny rolnik, bez środków, co ma robić? Nawet emigrować nie może.

„Inni doradcy, bardziej kompetentni, powiedzieli dzierżawcy, że, ponieważ pszenica nie daje już zysku, należy produkować co innego, bydło lub mięso naprzykład. Skorzystali rolnicy z téj rady i wtedy to nowe ujrzeliśmy zjawisko: cena bydła spadła o 20 0/0. Z drugiej strony ci, którzy spróbowali powiększyć liczbę swych owiec, sprzedawali mięso po 70 cent., a wełnę po 80 cent. funt angielski. Ci znów, którzy przerwali się do hodowli koni roboczych lub pociagowych, osiągnęli 30 funtów (300 rubli) za konia, za którego przed kilkoma laty 50 funtów płacono. Rozszerzenie produkcji nabiałowej te same dało rezultaty; w kilka miesięcy, masło i mleko spadło do cen niższych od cen przed trzydziestu laty.

„Ktoś inny — wielki człowiek, pierwszy minister, p. Gladstone, zachęcał rolników, by produkowali więcej owoców; konsekwencją tego stało się, że owoce nigdy nie były jeszcze tak tanie jak w tych czasach. Inni znów, radzili oddać się warzywnictwu; rezultat był ten, że rynki angielskie zasypane zostały warzywami, które płacono po cenach takich, że po prostu nie opłacały się nawet koszta ich transportu.

„W nieszczęściu więc swém i opuszczeniu, rolnictwo nie znalazło nikogo, ktoby udzielił rady skutecznej do wybrnięcia z niebezpieczeństwa. Wszystkie zaś rady, które nam do téj pory dawano, zwróciły się przeciwko nam i powiększają tylko ruinę.

„Co mnie do wieciekłości doprowadza, — mówi dalej C. Read — to to, że słyszę mówiących w Londynie, iż rolnicy robią pieniądze. Konsumentci londyńscy narzekają, płacić muszą gallon (równa się 1/6 garnca) mleka po 12 pens., podczas gdy producent sprzedaje go po 2 1/2 pens. Mówią, że za główkę kapusty płaci się w Londynie 5 pens., za wiązkę rzodkiewki 2 1/2 pens. A przecież warzywnicy sprzedają po 8 pens. tuzin główek kapusty, a po 2 1/2 pens. tuzin wiązek rzodkiewki!

„Pomiędzy producentem i konsumentem stoją handlarze, którzy rzeczywiście zbierają; oni to pochłaniają zysk cały, a od lat kilku jest ich przemysł prawdziwym rozbojem.”



W końcu mówca spodziewa się, iż stronnictwo torysów, stojące w tej chwili na czele rządu, potrafi naleźćcie zaopiekować się rolnictwem i byt mu zapewnić."

Nie ulega wątpliwości, że kwestya rolna będzie jedną z podstaw przyszłych wyborów w Wielkiej Brytanii. Reforma agrarna jest obecnie przedmiotem żywego zainteresowania: wchodzi ona w program zarówno wyborców liberalnych, jak radykalistów, i wszyscy kandydaci potrzebują poparcia zwolenników reform w opłacie czynszów dzierżawnych i reorganizacji prawodawstwa, rzeczywiście lub pozorowo idą oni z tym prądem i w przedwyborczych swych odczwach, gorąco obiecują popierać projekt zawiązania stowarzyszenia dzierżawców. Wziąć również pod rachunek należy dwa miliony wyborców, którym prawo przedstawione przez Gladstona i uchwalone nie bez silnej opozycji ze strony izby lordów, przyznało prawo głosowania i pomiędzy którymi reforma praw agrarnych i wszystkiego, co się tyczy melioracji gruntów i poprawy położenia rolnictwa, znajduje gorliwych adeptów.

Robotnicy miejscy łączą się w tym względzie z robotnikami wiejskimi, i ta wspólność dążeń, w obecnym położeniu musi silny wpływ wyrzucić na rezultat przyszłego głosowania. Rozumie się, że najwybitniejsi obrońcy interesów rolnictwa, z wielkim zadowoleniem śledzą ruch na korzyść idei przez nich podniesionych i bronionych; całym ich dążeniem jest powierzenie kierunku sprawy w ręce ludzi, którzyby energicznie i umiejętnie odpowiedzieli pragnieniom liczącej klasy wyborców.

Najgorliwsi i najwytrawniejsi obrońcy praw rolnictwa angielskiego, jednomyślnie potępiają wnioski popierające wolny handel (*free trade*) ziemią. Dzierżawca z nowego właściciela zwykle nie bywa zadowolony; najczęściej się zdarza, że nabywca za pierwsze zadanie poczytuje sobie podniesienie czynszu dzierżawnego, lub też przedsięwzięcie melioracji, zwykle bardziej kosztownych niż użytecznych, których następstwem jest zwiększenie ciężarów dzierżawcy. Przy tém niejednokrotnie nowonabywca jest po prostu spekulantem, któremu idzie przedewszystkiem o wyciągnięcie z ziemi, co się tylko da, melioracje zaś gruntowe i podniesienie przez to samo wartości ziemi, nie go nie obchodzą.

Trudno podzielać takie krępowanie swobody umów. Sądzimy, że w obecnym położeniu rolnictwa angielskiego osiągnęłoby ono więcej korzyści, gdyby prawo zapewniło dzierżawcy wszelkie inne jego żądania, aniżeli by posuwano się do takich ostateczności, jak ograniczanie swobody w rozporządzaniu nieruchomością. Jeśli o co chodzi, to o to, by dzierżawca był zainteresowany w melioracji gruntu, który uprawia, gdyż wtedy tylko będzie w stanie skutecznie przeciwdziałać konkurencji zagranicznej, a rolnictwo samo w sobie wzięte, nie będzie potrzebowało się troszczyć o to, kto jest właścicielem gruntu.

Tymczasowo pod zjednoczonymi wpływami: obniżki cen zboża,

węlny i innych produktów rolniczych, pod wpływem szeregu lat nieurodzajnych, zmniejszenia dochodów dzierżawcy i obniżenia się renty gruntowej, — zasadnicze rozprawy między właścicielami i dzierżawcami obracają się około oznaczenia podstaw i czynników, wpływających na wartość gruntu.

Właściciele zapytują: z jakiego powodu, — pomimo pomnażania się ciągłego ludności, nagromadzenia bogactwa publicznego i zwiększania potrzeb życiowych — czynsz z ich gruntów od piętnastu lat raptownie się zniża, tak, że dziś zniżka ta dochodzi do 30 %? Wielka ilość majątków obarczona jest ogromnymi ciężarami; jeśli więc dołączy się do tego spadek czynszów, jaką będzie wysokość renty gruntowej i czy w ogóle ziemia będzie jaki dochód przynosić?

W odpowiedzi na to zastanowić się trzeba nad ogólnem położeniem ekonomicznem Anglii.

Od 1855 do 1876 roku, to jest w ciągu dwudziestu jeden lat, postęp przemysłu i handlu, rozwój kolonii i zwiększona produkcja złota, wywołały jednocześnie zwyczaj ceny ziemi i podniesienie się renty gruntowej. W tym samym peryodzie, wpływ z podatku dochodowego (income-tax) był w ogóle o 22 % czyli o 1 % rocznie większy w Anglii, o 25 % większy w Szkocyi, co zaś do Irlandyi, to ta nie dostarczyła skarbowi Królestwa wpływów większych od dochodów przed 1855 rokiem. Należy przypuszczać, że jedną z przyczyn zwiększonej siły podatkowej państwa były znaczne wkłady kapitałów przez właścicieli i dzierżawców w melioracye rolne, jak również, praktykowane na wielką skalę stosowanie nawozów sztucznych, które, podnosząc plony i opłacając się sownice, jednocześnie na wysokość czynszów wpływ wywarły. W tym to okresie właściciele ziemscy wielką mieli łatwość w dostaniu na swe grunta dzierżawców, ci zaś ostatni, widząc jak popłatnóm jest przedsiębiorstwo, nie usuwali się ani przed dokonywaniem melioracyi na własną rękę, ani przed płaceniem wyższego czynszu.

Około 1876 roku zwyczajka wartości gruntu doszła do punktu kulminacyjnego; lecz od téj téż pory rozpoczyna się reakcja. Ziemia traci całą zwyczajkę w ciągu dwudziestu jeden lat zyskaną, a cena za nią płacona jak również cena czynszów, w wielu razach nie dosięga normy z przed 1855 roku.

Straty jakie poniosła własność ziemska w Królestwie Zjednoczonym oceniamy na 25 do 30 %, a obniżenie się czynszów sięgało niejednokrotnie jeszcze wyższych rozmiarów. Referat opracowany przez administratorów i pełnomocników wielkich właścicieli angielskich (datowany w kwietniu 1855 roku) wykazuje, że spadek renty gruntowej w Humtingdonshire wynosi nie mniej jak 59 %, w Worcestershire 51 %, a w okolicach pastwisk jak Northampton i inne hrabstwa środkowej Anglii, dochodzi do 40 %. W hrabstwie Essex, leżącym o 80 do 100 kilometrów od stolicy, oceniamy na 24,000 hektarów przestrzeń gruntów, leżących odłogiem i nie przynoszących żadnego dochodu właścicielom, nie mówiąc nic o tém, że w innych hrabstwach znaczne prze-



strzenie ziemi wypuszczone zostały na rok lub więcej dzierżawcom, pod warunkiem opłacania z nich jedynie podatków państwowych i lokalnych.

W Szkocji położenie nie przedstawia się w tak ciemnych kolorach; niemniej i tam obecne stosunki wywołały konieczność obniżenia gdzieś niedzie czynszów o 30 % niżej ceny poprzednio płaconej, a mimo to ziemia eksploatującym ją nie daje żadnych albo bardzo małe korzyści. W ogóle jednak zniżka ta dotknęła tylko ziemie, których właściciele rzucili się na melioracje niewłaściwe i nie opłacające się; następnie grunta saposate lub ubogie, na których ani zbiory nie były zadawalające, ani hodowla się nie opłacała, podległy temu samemu losowi; wreszcie, grunta na których uprawiano przeważnie kartofle, również mniej były cenione, bo zarazy częste na ten produkt i rozszerzenie się jego uprawy po całej Anglii, czyniło mniej zyskowną produkcją. Łatwo zrozumieć, że dla gospodarstw, w których uprawie kartofli poddawano częstokroć czwartą część gruntów, położenie znacznej zmianie uległo, gdy produkt, za który płacono 1 f. st. za tonnę, nagle spadł do połowy wartości, a na razie nie było czém jego uprawy zastąpić.

Gospodarstwa hodowlane, których renta podniosła się znacznie po 1855 roku, obecnie również przesileniu uległy, skutkiem podniesienia się ceny paszy, jednoczesnej zniżki cen mięsa wołowego i skopowego. W Anglii i Szkocji gospodarstwa opierające swój byt głównie na przemyśle mleczarskim, po większej części trzymają się niezłe; i tu jednak wiele jest już miejscowości, w których produkcja mleka przynosi zapotrzebowanie konsumpcyj i w których uciec się musiano do wyrobu masła i serów, mniej zyskownego aniżeli bezpośrednio sprzedaż mleka.

Nakoniec, przesilenie po dziś dzień nie dotknęło gospodarstw położonych pod wielkimi miastami oraz gospodarstw, których grunta o bogatej i głębokiej warstwie rodzajnej, sprzyjają uprawie warzyw. W gospodarstwach takich, dzierżawcy zarzucili stanowczo uprawę zbóż i wprowadzwszy systemat ogrodowy, odnoszą z ziemi wielkie korzyści.

Nakreśliwszy w ogólnych zarysach położenie rolnictwa angielskiego, zobaczymy co zagrożeni ruiną właściciele i dzierżawcy myślą o przyszłości, jakie środki ratunku przedsiębrać pragną?

Do bardzo smutnego stanu, w jakim znajduje się tamtejsze rolnictwo, uwaga ogółu skierowała się z wyteżeniem. Środków a raczej propozycji środków ratunku nie brakło. W Anglii — zarówno jak gdzieindziej — każdy dzień widział narodzenie się jakiegoś panaceum, które miało ocalić położenie. Dzielenie gruntu na parcele i wytworzenie nowej klasy włóścian-właścicieli, przez długi czas zalecano jako jedyny punkt wyjścia; wkrótce jednak spostrzeżono, że różnorodność warunków, w jakich rozwija się rolnictwo Anglii i Szkocji, nie może podlegać jakiemuś uniwersalnemu lekarstwu.

Do téj pory zatem nie wymyślono nic, coby rzeczywiście korzyść



przynieść mogło zagrożonej sytuacji, że jednak w ostatnich czasach opinia publiczna wielką wagę przywiązuje do ankiety, przeprowadzonej przez Towarzystwo rolnicze Szkocji, poświęcimy jej słów parę, gdyż wnioski, do jakich ankieta doszła, nie w jednym i do naszych stosunków dadzą się zastosować.

Założone przed dwudziestu trzema laty Towarzystwo — a raczej izba rolnicza — w Szkocji, reprezentowane przez biuro, corocznie odnawiane z wyborów i którego członkowie składają się z właścicieli i dzierżawców kraju, w roku zeszłym pod formą i tytułem adresu, ułożyło rodzaj programu przyjęcia z pomocą rolnictwu i reform koniecznych w celu zapewnienia rozwoju przedsiębiorstwu. Dokument ten, noszący podpisy prezesa i sekretarza Towarzystwa, powstrzymuje się od wszelkich uwag nad przeszłością; oświadcza nawet podziękowanie za środki, jakie rząd przedsiębrał w celach melioracyjnych, lecz jednocześnie zaznacza, że wiele jest jeszcze do zrobienia, aby uwolnić przemysł rolniczy od ścieśnień prawodawczych i zwyczajowych, które tamują prawidłowy rozwój przedsiębiorstwa.

Przeciwko prawu starszeństwa i substytucji zwraca się pierwsza i najpilniejsza krytyka referatu; uznaje je ona za główną przeszkodę, powstrzymującą dzierżawcę i żąda między innymi, by prawo wzbronilo posiadającemu ziemię czy to jako właściciel czy jako dzierżawca, usuwania się od pracy zawodowej.

Prawo połowania przynosi dzierżawcom znaczne straty, a ściśle przestrzeganie ochrony zwierzyny powoduje, że ptactwo i zwierzyna rozmnażając się co raz więcej, niszczą posiewy. Na ten „sui generis” argument rolników szkockich, zwracamy uwagę naszych przyjaciół zwierzyny. Wprawdzie u nas zwierzostan jest oplakany i słusznie zawiązujące się Towarzystwo myśliwskie bierze sobie za cel główny ochronę zwierzyny, lecz pokazuje się, że nadmiar dobrego często bywa szkodliwy.

Co się tyczy przywilejów właściciela, ankieta bardzo niechętnie na nie spogląda i dotychczasowymi ustępstwami ze strony lordów nie zdaje się być zadowolona; referat przywileje te uważa za szkodliwe dla kredytu dzierżawcy i zniechęcające kapitał do rolnictwa. Między rozmaitemi żadaniami, które tu jako czysto lokalne pomijamy, referat żąda, by melioracje dopełnione przez dzierżawcę i uznane za takie, były jako jego własność i służyć mogły jako gwarancja zaciągniętych przez niego zobowiązań; by dzierżawca miał prawo odstąpienia dzierżawy i dopełnionych w niej melioracji osobie trzeciej, przedstawiającej gwarancją dostateczną; nakoniec, by w kontraktach dzierżawnych wyraźnie było zaznaczone, że przez miano melioracji rozumie się wszystko, co dodaje wartości gospodarstwu, tak samo jak deprecyacja nazwie się wszystko, coby skutkiem nieumiejętnego lub niedbałego zarządu wartość jego obniżało.

Ankieta żąda dalej, by prawa przekazywania lub sprzedaży własności ziemskiej nie podlegały obciążeniom i formalnościom utrudnia-

jącym swobodę tranzakcyi i by pod tym względem zachowane były przepisy takie same jak przy tranzakcyach wartościami ruchomemi. Przy obecnem prawodawstwie obroty ziemią obciążone wysokimi stemplami, nie dość że dla samych rolników są uciążliwe, lecz nadto traci tu i konsument, bo następstwem opłat, które rolnictwo w tak znacznym stosunku opłacać musi jest podrożenie jego produkcji.

Dotąd wnioski ankiety nie przechodzą granic gospodarstwa rolnego w jego właściwem znaczeniu; oznaczono tu prawidła najodpowiedniej zabezpieczające wzajemne prawa i obowiązki właściciela i dzierżawcy, umożliwiające bardziej zyskową eksploatacyą przedsiębiorstwa; lecz zapał reformatorski idzie wyżej i dalej z chwilą, gdy pod nieco elastycznym pozorem dobra ogólnego, ankieta żąda, by kultura gruntów była rzeczą obowiązkową. Pod tym względem, posługując się własnymi słowami referatu, ankieta proponuje, „by posiadacze gruntów w słabej kulturze, a mogących produkować ziarno lub paszę,— czy takie gospodarstwo prowadzą z braku środków czy z niedbalstwa — zmuszeni byli je odstępować tym, którzyby zobowiązali się poddać je kulturze, odpowiadającej potrzebom konsumpcyi narodu.” Samo się z siebie rozumie, że takie wywłaszczenie w imię dobra publicznego, mogłoby się przeprowadzać tylko pod warunkiem odpowiedniego wynagrodzenia wywłaszczonych, a przestrzenie wywłaszczone mają być parcelami sprzedawane rolnikom, przedstawiającym moralne i materialne gwarancje. By jednak środek ten mógł być z pożytkiem przeprowadzony, ankieta domaga się pomocy państwa, któreby wzięwszy na siebie rolę bankiera, dostarczało na umiarkowany procent pożyczek nabywającym grunta wywłaszczane. O ile się zdaje, środek ten wymierzony został przeciwko właścicielom Górnej Szkocyi, którzy posiadają ogromne przestrzenie gruntów nieuprawnych lub zalesionych; ci musieliby je ustępować na rzecz drobnych posiadaczy i ludności bezrolnej.

Podatki państwowe i lokalne są również przedmiotem ścisłego badania ankiety, żądającej, by rozkład ich sprawiedliwszy, w równej mierze obciążał własność ruchomą i nieruchomą; dziś bowiem ta ostatnia pod każdym względem bardziej jest obciążoną. Podczas gdy ziemia — mówi referat — ugina się pod rozmaitymi podatkami, akcyonaryusze lub stowarzyszenia przedsiębiorstw rolniczych i przemysłowych, działając na zewnątrz nie wiele ryzykują, ciężary państwowe w bardzo nieznacznym stosunku ponoszą, a kontrjbuentami największą dostarczającymi są rolnicy—na wewnątrz największe ofiary skarbowi płacący, na zewnątrz zagrożeni konkurencyą zagraniczną. Czytając powyższe uwagi rolników szkockich, powiedzieć tylko możemy... *tout comme chez nous!*

Kolejom żelaznym poświęcono obszerniejszy ustęp. Zdaniem ankiety, taryfy bardziej sprzyjają towarom dowożonym z zewnątrz, aniżeli produkcji miejscowego przemysłu i rolnictwa. Żąda się zatem jednakowej skali na tonnę i kilometr dla wszystkich produktów, jakie-



gokolwiek pochodzenia. I tu znów powiemy — tout comme chez nous!

Nakonec, za wzorem innych towarzystw rolniczych, izba szkocka zaleca surowe przestrzeganie środków, zapobiegających wprowadzaniu i rozpowszechnianiu chorób zaraźliwych bydła, które w znacznej mierze wpływając na śmiertelność bydła miejscowego pochodzenia, powodują jednocześnie zdrożenie mięsa i ograniczają jego konsumpcją.

Przesilenie jest ogólne i dotyka wszystkie gałęzie wytwórczości, lecz najsilniej zaważyło nad rolnictwem, którego produkty sprzedają się częstokroć po cenach niższych od kosztów produkcji. W tém położeniu ruina będzie nieuniknioną jeśli państwo — a jak w Anglii i właściciele — nie przyjdą z pomocą. Smutne następstwa przesilenia ankieta rolników szkockich przedstawiła rządowi, od parlamentu spodziewają się uchwał, łagodzących położenie. W każdym jednak razie, referat nie zawiera jasno postawionych wskazówek, na czém opiera nadzieję skutecznej pomocy ze strony parlamentu. Wspomina tylko, że reprezentanci narodu pragnący dobra rolnictwa, nie powinni się cofać przed żadnym środkiem, któryby wpłynąć mógł na poprawę położenia, skutkiem którego tysiące akrów gruntu opuszczone są przez dzierżawców, którzy nie znajdując już przedsięwzięcia popłatnem, opuszczają fermę, szukają w innych zajęciach pracy i pozostawiają za sobą licznych robotników bez kawałka chleba.

Choćbyśmy przedstawionemu tu obrazowi przypisać mieli pewny pesymizm, nie ulega zaprzeczeniu, że w przyszłych wyborach do parlamentu kwestya agrarna zajmie burdzo wybitne stanowisko. W obecnej nawet izbie gmin, inicjatywa parlamentarna zaznaczyła się niejednokrotnie w projektach do praw, odnoszących się do dzierżawy gruntów, praw czynszowników, i t. p. Należy przypuszczać, że ustępstwa zrobione dzierżawcom irlandzkim przez ostatnie ministerium liberalne nie ograniczą się tylko do tego kraju, lecz stanowią będą podstawę porozumienia między właścicielami i dzierżawcami całej Wielkiej Brytanii.

Przedstawwszy obecne położenie rolnictwa angielskiego, wspomniawszy o wynikach ankiety szkockiej, które według nas mają tylko wartość paliatywów, należy wspomnieć i o wielkiej komisji parlamentarnej, która pracując pod przewodnictwem księcia Richmond od 1880 roku, teraz dopiero złożyła raport zestawiający główne przyczyny obecnego przesilenia rolniczego; raport ten bardzo wstrzemięźliwym się okazuje na punkcie wyszukiwania środków ratunku, głównie zaś przemawia za reformą stosunków dzierżawnych, któraby ubezpieczyła prawa i pracę fermerów angielskich.

Zarówno referat szkockiego Towarzystwa rolniczego, jak i raport komisji ks. Richmond, są dokumentami urzędowymi, w których nie spotykamy nawet śladów agitacji za przywróceniem ceł protekcyjnych. Agitacya ta pokątnie prowadzona, nie ma według mnie najmniejszych



widoków powodzenia; co zaś do przesilenia, to ono w całej pełni rozwija się w Anglii i nie dziw, że taką obawą przejmują przyjaciół rolnictwa.

Z powyższego przedstawienia kwestyi dla nas jedna wskazówka ważna da się wyciągnąć. Pomimo wysokiej praktyczności narodu angielskiego, pomimo inteligencji tamtejszych rolników i w każdym razie o wiele wyższej niż u nas zasobności materyalnej, nie zdołano obmyślić radykalnych środków ratunku.

Pokazuje się z tego, że natura obecnego przesilenia jest tego rodzaju, iż doraźnie usunąć go nie można, składają się bowiem na nie przyczyny głębsze aniżeli konkurencya za-oceanowa, na którąśmy zwykli składać wszystko, bo monopol kapitału, paralizujący działalność ekonomiczną całego świata. Walka zaś z kapitalizmem, to przewrót prawodawczy i socyalny, który chcąc przeprowadzić na drodze legalnej, odwołać się przyjdzie do czasu, wytrwałości i moralnego wyrobienia się ludzkości.

Rolnictwu zaś równie w Anglii jak i wszędzie pozostaje na teraz droga zdwojonej pracy, oszczędności i zawodowego wykształcenia, którego brak jest najdotkliwszą przyczyną opłakanego położenia przedsiębiorstwa. Wielkie idee, wielkie pomysły nie przyjdą teraz na usługi rolnictwu, bo jak podniesienie drugorzędnych gałęzi produkcji uważa wielu za środek zapewnienia intratności całemu przedsiębiorstwu — tak samo, zmiana systematów gospodarczych, przy pomocy mniej głośnych, ale rozumnie obmyślanych reform, skuteczniejszą się okaże od generalnej recepty, której pojawienia się na próżno oczekujemy.

# PESSYMIZM

## I

# WSZECHWŁADZA PAŃSTWA.

## III. Edward Hartmann \*).

PRZEZ

Eugeniusza Lipnickiego.

### 3. Wolność i porządek.

Zapewniwszy sobie przez swoje pierwsze dzieło <sup>1)</sup> wielki rozgłos i znaczne dochody, wydał Edward Hartmann pod tytułem: „Das sittliche Bewusstsein“ <sup>2)</sup> system etyki, tak samo przepełniony paradoksami

\*) Dokończenie.—Patrz zeszyt za miesiąc wrzesień r. b.

<sup>1)</sup> „Philosophie des Unbewussten,“ 1869. Szczegółowy wykład całego systemu filozofii Hartmanna znajdzie czytelnik w artykule Henr. Goldberga, pod tyt.: „Filozofia zasady bezwiednej (Nowy filozoficzny pesymizm),“ drukowanym w „Bibl. warsz.“ z r. 1873, t. I, str. 377—402 i t. II-gi, str. 117—145.

*Przyp. Red.*

<sup>2)</sup> Pierwsze wydanie wyszło r. 1879, drugie dopiero 1886 w Berlinie u Dunckera, stronice 700. To mamy przed sobą. W przedmowie autor skarży się, że gdy „filozofia nieświadomości“ w ciągu 7 lat dooczekala się 7 wydań, drugie jego głośnie dzieło dopiero po upływie tyluż lat wychodzi w drugim wydaniu, i fakt ten nieprzyjemny tłómaczy sobie przesądem czytelników, jakoby pisarz zaraz w pierwszym dziele musiał objawić swe główne zasady, tak że już nie potrzeba czytać jego ważniejszych utworów. W danym razie istotnie opinia ta jest grubym przesądem, gdyż w bardzo ważnych punktach „Das sittliche Bewusstsein“ zawiera całkiem inne wnioski, niż „filozofia nieświadomości.“ Możnaaby atoli zapytać czy warto czytać dzieło autora, który w tak śmiały sposób kłam zadaje swym własnym zasadom? Ostrożny czytelnik łatwo przyjdzie na myśl, że najpraktyczniej byłoby wyczekiwać ostatniego dzieła takiego autora!

i sprzecznościami, jak „filozofia nieświadomości“ a nadto nie pozostający z nią w ścisłym logicznym związku. Ten sam autor, który nam życie przedstawił w najposępniejszych barwach i zbawienia radzi szukać w zniszczeniu świata, nagle za pomocą bardzo śmiałego salto mortale dochodzi niemal wręcz do przeciwnych wniosków. Ponieważ indywiduum—powiada na str. 476—nie może osiągnąć szczęścia, przeto jest nonsensem znosić dłużej takie życie, i mądrość nakazuje raczej go się pozbyć. Ale... „nie wolno téj konsekwensyi zastosować także do drugich. Choćby nawet niektórzy zgodzili się (na zniszczenie świata), nie uczyniliby tego wszyscy, a gdyby właśnie zgodzili się (na zbiorowe samobójstwo) najrozumnijsi (!), pozostałoby przy życiu najgłupszy a zatem proces światowy skończyłby się selekcją na korzyść głupich. A gdyby nawet wszyscy zgodzili się na zbiorowe samobójstwo, opróżnione miejsce ludzi na ziemi zostałoby ponownie wypełnione przez te same siły, które już raz dały ludzkości początek. Nicby więc nie skorzystano na tém. Wprawdzie życie osobnika zależy od jego własnego upodobania, ale z życiem drugich musimy się rachować jako z niezmiennym faktem. W obec życia drugich, indywiduum nie ma prawa poruszać pytania, czy mądrze znosić to życie dłużej, lecz tylko, jak ono ma być prowadzone?“ Zanegowawszy tak bezwzględnie główny wniosek „filozofii nieświadomości“, system etyki opiera na tych samych przesłankach, z których je wyprowadza optymizm, zaś swe poglądy pesymistyczne zaznacza przedewszystkiém w tych rozdziałach, w których traktuje o sprawach publicznych. Właśnie te rozdziały są dla nas najważniejsze. Warto jednak przedstawić choć pobieżnie główne zasady tego dziwaczego systemu etyki.

W pierwszej części, noszącej tytuł: „Das pseudomoralische Bewusstsein“ (21—97) Hartmana usiłuje wykazać zdrożność dwóch pierwiastków, na których dotąd opierano system etyki, eudaemonistycznego, według którego celem życia ludzkiego jest szczęście <sup>1)</sup>, oraz pierwiastku powagi (przepisu), czyli, jak się wyraża autor, heteronomii t. j. cudzej powagi w przeciwstawieniu do autonomii czyli własnego zdania. Pierwszy z tych pierwiastków stanowił podstawę etyki w filozofii greckiej (Epikur), w nowszych zaś czasach rozwiniętym został głównie przez Spinozę i jego licznych naśladowców. Według Spinozy, zmysł własnego zachowania jest podstawą wszelkiej cnoty; dobrem nazywamy, co nam przynosi korzyść, złem, co nam przeszkadza w osiągnięciu korzyści. Ponieważ zaś nic nam tak nie dopomaga do przyjemnego życia, jak ludzie, przeto względ na własną korzyść zmusza nas szukać towarzystwa ludzkiego, gdyż ono zapewnia nam

<sup>1)</sup> Nasz Sobastyan Petrycy w uwagach do swego przekładu „Polityki“ Arystotelosa (Kraków r. 1605) zasadę tę wygłasza w słowach następujących: „Pan Bóg ozłowiekowi dał cząstkę bóstwa swego, rozum: którymu samym chciał ozłowieka mieć od innych zwierząt różnego, porządniejszego i szczęśliwszego.“ Porównaj „Pisarze polityczni XVI-go wieku“ St. Tarnowskiego, tom II, str. 339.



większe korzyści, niż odosobnienie. Celem wzajemnego wspierania się, zrzekamy się pewnej części naszych praw przyrodzonych, mianowicie uszkodzenia bliźnich. Nienawiść, zazdrość, szyderstwo, pogarda i gniew są zdrożne, ponieważ zakłócają zgodę społeczną i sprowadzają przykrości. Te przewrotne popędy należy więc stłumiać w sobie i drugich, co staje się najskuteczniej, gdy na objawy nienawiści i pogardy odpowiadamy miłością i szlachetnością, bo płacąc za nie równą monetą, wzmagamy tylko niezgodę, pod czém sami cierpimy... Tę i wszelką inną teorią (zdrowego) egoizmu, Hartmann uważa jako fałszywą podstawę etyki, która zaczyna się dopiero od zaparcia się siebie samego. Tak samo odrzuca pierwiastek powagi (rodziny, zwyczaju, kościoła, woli Bożej), który, jego zdaniem, w średnich wiekach tworzył podstawę etyki, ale z rozwojem ludzkości coraz więcej traci swą doniosłość. Zaznaczywszy w ten sposób bankructwo egoizmu i powagi, filozof nieświadomości w drugiej części (str. 98—472) wyłuszcza „prawdziwą moralną świadomość,“ a nasamprzód jej sprzężyny czyli „podmiotowe zasady moralności.“

Jako takie, w stylu feletonisty <sup>1)</sup>, piszącego dla bardzo szerokich warstw, wylicza: 1) Smak moralny (Geschmacksmoral), który często bezpośrednio wskazuje nam, co dobre a złe, uczy nas utrzymywać słuszną miarę i brzydzić się skrajnościami, zapewnia indywidualną i powszechną harmonię, skłania nas dążyć do ideałów, i upiększa życie; 2) Uczucie moralne, z którego wynika zapamiętanie, poczucie honoru, wstyd, duma, godność, wierność, skrucha, wdzięczność, zmysł towarzyski, litość, wierność, miłość i poczucie obowiązku; 3) Rozum, z którego wynikają prawdomówność i wstręt do kłamstwa, zasady wolności i równości, zasady porządku, sprawiedliwości, słuszności i t. d. <sup>2)</sup>

Wszystko to czyta się jakby romans. Tylko że na każdej stronie nasuwa się pytanie, jak się to zgadza z pesymizmem? Kto system etyki opiera na smaku, uczuciu i rozumie, oczywiście przypuszcza, że te przymioty ludzkie istnieją i znajdują się w normalnym stanie; ale pesymizm twierdzi przeciwnie, że w charakterze ludzkim przeważa złość, zazdrość, gniew i t. d., a Schopenhauer zapewniał, że 5/6 ludzi jest zbrodniarzami lub głupcami, jakże więc na tém przewrotném uczuciu

<sup>1)</sup> „Styl Hartmanna—zaawaza trafnie wymieniony kilkakrotnie filozof angielski James Sully—jost ściśle, dokładny, naturalny. Lubuje on się w zbyt wielkiej prostocie wyrażań i nieustannie używa słów i zwrotów, które noszą na sobie cechę berlińskiej restauracji, zwiedzanej przez wojskowych, lub przypomina Kladeradatsch'a. Porównań dobiera raczej według ich siły niż wykwiintności. Na czytelniku wykształconym Hartmann sprawia wrażenie rycerza bogato przyodzianego w złoto i szkarłat, który w ciężkich butach à l'écuycere stawia kroki niezręczne, ale silne...“ „Le pessimismo,“ str. 432.

<sup>2)</sup> Drugi dział 2-jej części traktuje o celach moralności czyli o przedmiotowych zasadach moralności str. 472—612, trzeci dział o ostatniej przyczynie moralności czyli o absolutnych jej zasadach str. 613—687.

ludzi i na ich aż nadto niskim rozumie oprzeć zdołamy system etyki? Naprawdę też z pesymizmu nie można wysnuć żadnego systemu naturalnej etyki, lecz jedynie system etyki, oparty na państwowym kodeksie karnym.

Ciekawa zresztą rzecz, jak filozof nieświadomości po prusku przywłaszczył sobie śmiało cudze argumenta, choćby one należały do całkiem odmiennych światów myśli. I tak Hugo Grocyusz swą teorią prawa międzynarodowego oparł na owym towarzyskim zmyśle ludzkim, który był już rozpoznany Arystoteles, nazywając człowieka: „*Πολιτικὸν ζῷον*.” Zmysł ten jest tak wielką cnotą ludzką, że ona sama zdolna pomieszać szyki pesymistom. To też Hobbes usiłował wykazać, że ów popęd towarzyski nie istnieje wcale, lecz jest mrzonką naiwnych teoretyków, nie obeznanych z życiem, zaś Schopenhauer wprawdzie w zaprzeczeniu nie zaszedł tak daleko, ale twierdził, że ludzie szukają towarzystwa jedynie... aby uniknąć nudy. Hartmann natomiast zmysł towarzyski uznaje za czynnik bardzo potężny i wyznacza mu wybitne miejsce pomiędzy uczuciami sprężynami moralności. „Przebywać z bliźnimi—powiada—sprawia nam zadowolenie, choćbyśmy z tego nie mieli żadnej korzyści i choćby nam nie byli spółrzędnymi. Słusznie zauważa Goethe w „Fauście.”

„Die schlechteste Gesellschaft lässt dich fühlen  
Dass du ein Mensch mit Menschen bist.“

Same przestawanie z indywiduami naszego rodzaju nie mogłoby jednak wywoływać takiego zadowolenia, gdyby u nas nie istniał silny popęd do towarzyskości. Tylko bardzo wielkie zdolności, smutne lub okrutne doświadczenia, albo chorobliwa degeneracja umysłu mogą zmysł ów zwichnąć, przywieść nas do mizantropii i ograniczyć obcowanie z ludźmi; zupełne odosobnienie należy do dziedziny psychiatrii a najczęściej bywa skutkiem zbroczeń ascetycznych <sup>1)</sup>. Każdy umysłowo zdrowy człowiek czuje potrzebę towarzystwa, jakkolwiek stopień zadowolenienia nie zależy od rozległości stosunków towarzyskich. Jak potężnym jest ów zmysł towarzyski, czujemy najlepiej, skoro przez czas jakiś bądź zmuszeni, bądź z własnej woli unikaliśmy towarzystwa; wtedy pokrzepia nas rozmowa, choćby z prostakiem, z którym się spotykamy na polu...“ <sup>2)</sup>.

W tém wszystkiém Hartmann stanowczo się różni od Schopenhauera, którego pesymizm zasadzał się na bardzo silnych wewnętrznych przyczynach i dla tego też nie mógł ludziom przyznawać tak potężnego przymiotu dodatniego, jakim jest ów zmysł towarzyski. Hartmann przeciwnie, choć czyni zastrzeżenie, że ten zmysł nie jest u wszystkich równy (o co wcale nie chodzi, byle tylko przeważał w uczu-

<sup>1)</sup> „Les misanthropes ne sont souvent que des maladroits qui font supporter à l'humanité le poids de leur maladresse“—zauważył pewien myśliciel francuzki.

<sup>2)</sup> Strona 181.



ciach ludzkości) przyznaje, że „zawiera on w jądrze całą nowożytną etykę, różną od egoistycznej pseudomoralności starożytnych i odrodzenia (Spinoza), jako też od średniowiecznej pseudo moralności heteronomii, i od jednostronnej etyki indywidualnej prowadzi do przyszłej etyki społecznej <sup>1)</sup>).

Jakim sposobem o przyszłej etyce społecznej mówić może autor, dla którego terazniejszość jest trzeciem stadyum illuzji (porównaj „Filozofią nieświadomości“), w którym świat nie stanie się doskonałym, lecz powinien na mocy powszechnego głosowania przestać istnieć,— to jest jedna tylko z niezliczonych sprzeczności, na które co chwila napotyamy w pismach Hartmanna. Walcząc przeciwko egoizmowi, miesza to pojęcie z przyrodzonym, zdrowym i całkiem uprawnionym, zmysłem zachowawczym, na mocy którego każde indywiduum domaga się szczęścia, własności, wolności i t. d., i słusznie tego domagać się może, dopóki nie narusza równych praw bliźnich. Ten zmysł zachowawczy jest czémś inném, aniżeli sobkostwo, jakoż język niemiecki rozróżnia *Selbsterhaltung* od *Selbstsucht*. Ale Hartmann doskonale rozumiał, że właśnie ów słuszny zmysł zachowawczy, którym obdarzeni są ludzie, stanowczo sprzeciwiać się będzie jego samobójczej teorii o potrzebie zanegowania życia. Widząc więc w przyrodzonym ludziom zmysle samozachowania najniebezpieczniejszego wroga swych nihilistycznych pomysłów, Hartmann denuncjuje go po prostu jako egoizm, aby potem naiwnych czytelników oszukać szumnymi deklamacyami o bankructwie egoizmu, o konieczności zaparcia się siebie samego i t. d., co w praktyce, czyli w zastosowaniu do życia publicznego, znaczy tylko, że indywiduum powinno się zdać zupełnie na łaskę wszechwładnego państwa.

Nie tak śmiało i otwarcie, jak Tomasz Hobbes, raczej z pewnemi zastrzeżeniami, które dyktował wzgląd na dość znaczną jeszcze liberalną część publiczności, ostatecznie aż nadto zrozumiale wykląda tę teorią Hartmann w rozdziałach o „wolności i równości” (str. 300—323) i o „porządku” (str. 391 i następne).

Najdobitniej w naszych czasach zasady wolności również i braterstwa sformułowano we Francji r. 1789-go, usiłując optymistyczne teorie Jana Jakóba Rousseau wprowadzić w życie. Pessimizm i wstręt teutoński przeciwko Francji, w równej mierze skłaniają Hartmanna do potępienia owych zasad. Nazywa je więc „ostatnim politycznym wynikiem płytkiego racjonalizmu tak zwanéj doby oświecenia.” Przypuszczając, że ludzie dopiero anormalnemi urządzeniami społecznymi i państwowymi zostali zepsuci, ale w pierwostanie byli cnotliwi, myśliciel francuzki wnioskował konsekwentnie, że byle znowu uznano przyrodzone zasady wolności, równości i braterstwa, władza państwowa da się ograniczyć do pewnych, ściśle określonych kierunków życia publicznego. Hartmann natomiast, w zgodzie z Hobbesem i Schopenhauerem, przypuszcza, że pierwostan był dobą powszechnéj walki,

<sup>1)</sup> Str. 184.



wywołanej niegodziwemi popędami ludzkimi, a zatem dowodzi, że zasady zupełnej wolności i równości prowadzą tylko do anarchii, bezrządu, słowem do zniesienia państwa. Odmawia też tym zasadom wszelkiej treści dodatniej i przyznaje im tylko znaczenie negatywne, jako protestacyi przeciwko przymusowi.

„Świadomość wolności i równości—powiada, str. 303—w ówczesnej Francyi obudzoną została przez niedorzeczność istniejącego braku wolności i równości. Rząd, który używanej niegdyś do utwierdzenia jedności i wielkości państwa nieograniczonej władzy, nadużywał już tylko do urzeczywistnienia zachcianek kochanek królewskich; szlachta, która dawno przestała spełniać odpowiadających swym przywilejom obowiązków; duchowieństwo, które zaniedbując swoje powinności kapłańskie, jako bezwzględny pasożyt wyzyskiwało naród; mieszczaństwo, nie zdolne uzyskać odpowiadającego swemu wykształceniu stanowiska w państwie <sup>1)</sup>); stan włościański, jęczący pod najcięższymi podatkami i nadużyciami: taki stan rzeczy bardzo dobitnie wyjaśniał niedorzeczność istniejących form społecznych i wśród ludu obudzał gorące pragnienie uwolnienia się z pod samowoli absolutnej władzy państwowej.“

Rzeczywiście zasady wygłoszone w dziełach J. J. Rousseau nie byłyby tak silnie oddziaływały na umysły, gdyby surowy ucisk nie był napełnił ludzi tak wielką goryczą. Dodając jednak, że naród, „który pozwolił zająć rzeczom tak daleko, że widział się zmuszonym użyć heroicznym środków zaradczych, powinien się raczej wstydić, nie zaś przechwalać,” filozof nieświadomości widocznie liczy po stronie swych czytelników na zupełną nieznanomość dziejów. Około r. 1789 bowiem wszędzie w całej Europie (z bardzo nieznacznymi wyjątkami) zachodziły podobne stosunki, jak we Francyi; w państewkach niemieckich było nawet o wiele gorzej, niż w Francyi, wszędzie naśladowano Wersal, a kopie, jak to zwykle bywa, były podlejsze od wzoru; wszędzie budowano pałacyki na wzór wersalskiego, panowały królewskie i książęce metresy, uciskano lud, nawet po prostu sprzedawano żołnierzy obcym mocarstwom, aby pokryć koszty wyuzdanego zbytku dworów. To też wszyscy najznakomitsi pisarze niemieccy, jak Klopstock, Schiller i inni, ogłoszenie tak zwanych „droits de l'homme“ w Wersalu witali z zapałem, jako zorzę lepszej przyszłości i dla swego narodu. Jeżeli więc teraz, krótko przed setną rocznicą owego pamiętnego wypadku, filozof berliński wyszydza francuzów, jest to ta sama metoda, na mocy której prusacy chępią się, że nam wyświadczyli wielkie dobrodziejstwa w W. Ks. Poznańskim, ponieważ wyrąbali lasy, wy-

<sup>1)</sup> Jednak już książę Saint Simon w swych pamiętnikach z ostatnich lat panowania Ludwika XIV-go nieustannie ubolewa nad tem, że mieszczaństwo coraz śmieliej zagarnia rezerwowane dawniej dla arystokracji posady; w każdym zaś razie na polu literatury mieszczaństwo francuzkie w ciągu XVIII-go stulecia zajęło pierwszorzędne stanowisko.

suszyli błota i naprawili drogi, a mogliby dodać jeszcze, że wybudowali koleje żelazne i urządzili telegrafy i t. d. Dziś dość łatwo z góry rozprawić o wolności i równości; ale francuzom pozostanie sława, że pierwsi w Europie zasady te wygłosili i w głównej rzeczy wprowadzili w życie, choć niewiadomo jeszcze, czy im zostaną wierni, mianowicie w zastosowaniu do polityki międzynarodowej!

Głód zaostrza apetyt. Tak też niezawodnie zupełny brak wolności pod koniec XVIII-go stulecia obudził tém gorętszą żądzą owych przyrodzonych praw ludzkich. Nie wynika ztąd wcale, aby one nie miały treści dodatniej: „Polityczni, filozoficzni i etyczni fanatycy wolności—powiada Hartmann—wierzą, że wolność jest czemś pozytywnym, bezwzględnym oraz płodnym na przyszłość. Tymczasem rzecz ma się wręcz przeciwnie. Wolność jest pojęciem naprzód negatywnym, powtórę względnym a wskutek tego wyczerpniętym, które musi się okazać na wszystkie strony bezsilnym i bezpłodnym. Wolność nie znaczy nic innego, jak być wolnym od czegoś, t. j. od przymusu. Wolność więc jest jedynie negacją przymusu i wyjaśnia się dopiero wtedy, gdy bliżej określimy ów przymus. Kto mówi o wolności, nie wskazawszy dokładnie, który to bliżej oznaczony przymus ma być negowany, ten uszy słuchaczy oszukuje różnemi słowami, z którymi niema co począć i z których nie można wyprowadzić żadnych a najmniej praktycznych wniosków.”

Autor dalej przytacza niektóre przykłady. Wskutek podboju całych plemion powstało niewolnictwo, negujące wszelkie prawa osobistości, rodziny, własności. Od tego stanu niewoli różnemi stopniami dochodzimy do wolności. Może być naprzód oddane niewolnikowi prawo rodziny, tak, że panu nie wolno rozdzielać ojca od żony i dzieci. Następnie niewolnik bywa uwolniony od obowiązku oddawania panu całego zarobku, a zatem otrzyma pewne prawo własności; z czasem przymus pracowania dla pana, zamienia się w rentę (podatek, czynsz); wolność przesiedlania się dowolnego obala ostatnią szrankę. Inny przymus prawo rzymskie nakładało na niewiasty. Dalszy przymus stanowi prawo własności i t. d.

Takie i podobne przykłady nie dowodzą jednak wcale tego, czego Hartmann chciał dowieść, t. j. że wolność jest pojęciem li tylko negatywnym. Przeciwnie przymus jest negacją wolności. I tak nikt nam nie zdoła dowieść, że niewola była pierwotnym stanem prawnym, ani nawet że była instytucją powszechną. Kto twierdzi, że wojna powszechna panowała w stanie natury, ten oczywiście wnosi, że także niewola, jako nieodzowny skutek wojny, istniała od najdawniejszych czasów. Ale jest to przypuszczenie pessimistów, na które niema dowodu. Przeciwnie prawo przyrodzone opiewa, że człowiek, stworzenie wyższego rodzaju, bo obdarzone rozumem i mową, posiada pozytywne prawo osobistości, bytu rodzinnego i własności. Ztąd wynika, że wprowadzona z czasem, nie u wszystkich zresztą narodów, niewola była negacją przyrodzonej wolności, a zniesienie



niewoli nie było zaprzeczeniem prawnego przymusu, lecz afirmacją dodatniej zasady wolności.

Jeżeli np. zakaz zgromadzania się i radzenia nad sprawami publicznymi uważać będziemy jako wynikający z prawa przyrodzonego, natenczas wolność zgromadzania się (*Versammlungsrecht*), która stanowi jeden z najważniejszych artykułów nowoczesnych konstytucyj, będzie tylko negacją owego przymusu. Przypuściwszy zaś z Hobbesem, że ludzie, łącząc się w związek państwowy, na rzecz wszechwładzy państwa zrzekli się wszystkich praw, to zakaz zgromadzania się uważać będziemy jako przymus prawowity. Atoli właśnie o to chodzi, czy owe przypuszczenie Hobbesa i jego współpracowników było słuszne? Rousseau twierdził, że zawierając „kontrakt społeczny,” osobniki zastrzegły sobie wszelkie prawa obywatelskie. Wprawdzie państwa nie wszędzie i nie zawsze powstawały, jak mniemali Grotiusz, Rousseau i t. d., na mocy układu. Państwa powstawały w bardzo różny sposób. Przy puśmy dla przykładu państwo lub związek społeczny, który powstał z powolnego rozrostu rodziny. Z początku, póki rodzina była szczupła, zapewne dość nieograniczoną władzę posiadał naczelnik rodziny, jak to widzimy dziś jeszcze w tak zwanych „komuniach,” które się utrzymały w Serbii i w niektórych okolicach Chorwacji. Rzecz jednak naturalna, że już w drugiem, trzeciem pokoleniu, gdy z pierwotnej rodziny powstało ich kilkanaście, do narady o sprawach publicznych stawali naczelnicy tych wszystkich rodzin, chociaż jednemu z pomiędzy siebie przyznawali pierwszeństwo. A zatém nie zakaz zgromadzania się celem narad o sprawach publicznych był stanem normalnym, lecz przeciwnie wolność zgromadzania się wynikała z stanu przyrodzonego i nie można tej wolności — zasadniczo — nazwać negacją przymusu, lecz odwrotnie przymus, względnie zakaz zgromadzania się, jaki istniał np. w XVIII stuleciu, trzeba nazwać negacją wolności.

Weźmy jeszcze inny przykład: wolność prasy. W teorii Hobbesa, Hartmanna i wszystkich pessimistów i fanatyków wszechwładzy państwowej, wolność prasy nie będzie niczem innem, tylko negacją przymusu, aby tylko to myśleć i mówić, względnie pisać, co nakazuje wszechwładne państwo. W teorii optymistów, jak Hugo Grotiusz lub J. J. Rousseau ludzie, obdarzeni rozumem i popędami szlachetnymi, najdroższego daru, jaki im przypadł w udziale, t. j. mowy, używać będą przeważnie w uczciwych celach. Niech więc mówią, co im się podoba, niech mówią wiele i głośno, albo niech piszą, bo to to samo. Na mocy więc tej zasady wolność prasy, t. j. wolność wypowiedzenia piśmiennie tego wszystkiego, co nam nakazuje mówić rozum, sumienie i uprawniony interes, jest pojęciem dodatniem, jest afirmacją, ograniczenie zaś tej afirmacji jest negacją stanu normalnego.

Twierdzenie zatém Hartmanna, że wszelkie polityczne swobody są wyłącznie negatywnymi pojęciami, jest stanowczo błędne. Względnie te swobody mogą się wydawać w pewnych danych warunkach (miejsca i czasu). Tak np. niemieckie ustawy wyjątkowe odmawiają



socyalistom prawa zgromadzania się. Jeżeli więc socyliści niemieccy domagają się tego prawa, uciekają się do negacyi pewnego przymusu. Ale czyż dla tego istniejące np. w Anglii lub Austrii dla wszystkich prawo zgromadzania się jest negacją czegośkolwiek?

Po tém, czegośmy się dowiedzieli o politycznych zdaniach Hartmanna, nikogo nie zadziwi, że jak Hobbes i Schopenhauer, gani i on system reprezentacyjny, czyli parlamentarny, aczkolwiek, ze względu na „wolnomysłne przesady” jeszcze dość znacznej części publiczności niemieckiej, nie wypowiada tego zbyt szorstko, zapewne, aby na tém nie ucierpiał pokup pismo jego. Przyznaje więc, że wolność wymaga udziału obywateli w prawodawstwie. „Atoli — dodaje, str. 310 — system reprezentacyjny sam przez się nie zabezpiecza wolności, lecz tylko pod warunkiem, że w wyborach istotnie zaznaczy się czysto wola ludności i że posłowie uczciwie spełniają swe obowiązki, a nie wyzyskują mandatu w celach osobistych, lub na korzyść pewnej kasty polityków z rzemiosła (znana insynuacja, którą hr. Bismarck walczył z kolei przeciwko wszystkim stronnictwom opozycyjnym, mianowicie przeciwko postępowcom)! Gdzie się wkrada ostatni rodzaj zepsucia, gdzie polityka staje się rzemiosłem, przystępném tylko na drodze korupcyi, ale téż wyżywiającóm posłów, tam system parlamentarny nie jest pomostem do wolności, lecz przyspieszeniem upadku i gorszém szyderstwem wolności, aniżeli porządne prawodawstwo nieograniczonego władcy. Ten bowiem porucza opracowanie praw ludziom fachowym, gdy posłowie, którzy drogą korupcyi osiągnęli mandaty, po większej części nie posiadają wiadomości fachowych.” Ileż to sprzeczności w tych wywodach filozofa berlińskiego! Gdzież dowód na to, że posłowie dobijają się mandatów w sposób nieuczciwy, urzędnicy zaś posady zawdzięczają jedynie swój zdolności i zacności, a nigdy intrygom, protekcyi, nepotyzmowi? Czyż można gorszyć się tém, że posłowie, w rzeczywistości zaś pewna ich część, z czasem stawają się, jak mianowicie w Anglii, politykami fachowymi, skoro już w następném zdaniu ubolewa się nad tém, że im... niedostaje fachowych wiadomości? Że system parlamentarny, jak każda inna instytucya ludzka, może być spaczona, któż o tém wątpi? Czyż jednak stan mianowanych urzędników jest zupełnie nieprzystępny zepsuciu? Któż zaś najsystematyczniej pracuje nad spodeniem parlamentu i sfałszowaniem wyborów, jeżeli nie te właśnie rządy, których świadomy czy nieświadomy popęd do absolutum dominium usprawiedliwiają teoretycznie pisarze tego kierunku, co Hartmann?

Co do równości, Hartmann przyznaje, że jest ona pojęciem dodatniém, atoli także tylko względném, albowiem równość oznacza tylko stosunek pomiędzy porównywanymi, nie zaś przymiot, któryby każdy z nich posiadał.” Aby ludzie byli równymi lub równie urodzonymi „jest to twierdzenie od dawna uznane jako fałszywe.” dla tego téż nieuzasadnionóm jest przypuszczenie, że wszyscy ludzie powinni być równo traktowanymi. Ludzie tylko o tyle są równymi „o ile re-

prezentują rodzaj człowieczy,” z tego można tylko wysnuć wniosek, „że o tyle powinni być traktowani na równi, aby obejście się z nimi odpowiadało rodzajowi ludzkemu” i t. d. I tu znowu filozof berliński dopuszcza się tój samej dyalektycznej sztuki, za pomocą której egoizm pomieszał z zachowaniem własnym i potępiając pierwszy, tём samém potępił drugie. Jeżeli nowoczesne instytucje, oparte na zasadach wolności i równości, wygłoszonych we Francyi w r. 1789, orzekają, że ludzie są równi, znaczy to, że są równi przed prawem, mianowicie zaś, że urodzenie nie nadaje żadnych przywilejów, jak to się działo w pewnych czasach, że różnice religijne nie powinny stanowić dla obywateli żadnej tamy, że każdy ma równe prawo do zapewnienia sobie własności i t. d. Natomiast nigdy żaden optymista nie twierdził, aby ludzie byli pod wszystkimi względami równymi, aby w życiu publiczném nie mieli zajmować pierwszych miejsc zdolniejsi, aby sztucznym i gwałtownym sposobem wypadało zrównać majątki, gdy właśnie różnica mienia stanowi jedną z najpotężniejszych dźwigni postępu. Nikt nie twierdzi, aby kiedykolwiek istniała zupełna, mechaniczna równość pomiędzy ludźmi. Nie było jój ani w pierwotanic, przed utworzeniem państw, gdyż i wtedy zaznaczały się w praktyce różnice zdolności, charakterów, sił fizycznych, wieku, płci i t. d.

„Z nieporządku pierwotanu, od względnej równości i powszechnej wolności wszystkich indywiduów — powiada II. w rozdziale o porządku, str. 393 — tylko w ten sposób dojść można do społecznego ładu, że wolność wielu musi być gruntownie ograniczona (właśnie to kwestyał może wystarcza lekkie ograniczenie?), a to ograniczenie pierwotnej wolności może się stać tylko za pomocą brutalnej przemocy (dla czego nie za pomocą porozumienia, układu?), jak to widzimy u małp, żyjących gromadnie?). Ztąd, że na pierwszym stopniu rozwoju ludzkości przeważają formy komunistyczne (czy wszędzie?) możemy wnosić, że ludzie powstałi z tego gatunku małp, które żyją gromadnie, jak mandrille i pawiany. Dopiero w skutek monogamii, opartej na rabunku kobiet z obcych plemion, rodzina stała się podstawą wyższego stopnia porządku społecznego. Można więc twierdzić, że Orangutany daleko więcej zbliżają się do ideału wolności i równości, aniżeli go urzeczywistnili kiedykolwiek ludzie, chociaż także u pierwszych samce panują nad samicami i młodemi. U ludzi wcześniej porządek, oparty na rodzinie, skombinował się z porządkiem ordy lub plemienia i tylko plemiona pomiędzy sobą, jak dzisiaj państwa, żyły w bezładnym stanie natury, który im zabezpieczał swobodę ruchu (to znaczy zastosowanie prawa silniejszego do stosunków międzynarodowych). Nedorzeczność nicograniczonej wolności wszystkich zasadza się na tём, że wywołuje walkę wszystkich z wszystkimi na wszystkich polach (oczywiście wtedy tylko, jeżeli przypuszczamy, że natura ludzka jest na wskroś przewrotna, i jeżeli odmówimy ludziom owego instynktu społecznego, którego im nie odmawia nawet Hartmann), że nie pozwala nikomu używać bez troski swego mie-



nia i w nieustanném starciu zużywa siły jednostek, które działając wspólnie przysparzają wszystkim korzyści. Porządek jest rozumny, ograniczając roztrwonienie sił, skupiając je do wspólnych celów, sprowadzając konkurencyą na pewne pola, na których odbywa się w walce o byt rozumna selekcya. Z powszechnój wolności nikt nie ma korzyści; zgadzając się na ograniczenie swój osobistój wolności (chodzi tylko o to, w jakiej mierze?) dopiero zyskujemy podstawę do zużytkowania sił naszych" i t. d.

Wreszcie Hartmann tak kończy swe teorye o wolności i porządku:

"Przedewszystkiem trzeba stanowczo i radykalnie odrzucić utopią, jak gdyby powszechna wolność dała się gdziekolwiek w danych stosunkach urzeczywistnić. Każde indywiduum zależném jest od drugich i zależność tę czuje jako przymus." (Jako przymus czujemy tylko zależność nienaturalną, ale czyż syn uszanowanie należne rodzicom, czuje jako przymus? Lub czy dobrana para małżonków czuje przymus? Czy w normalném państwie obywatele czują jako przykry przymus podatki, które nałożyli sami na siebie za pośrednictwem swych wolno-wybranych posłów? i t. d.). „Nawet w względnie najswobodniejszym stanie ludzkości, na stopniu przejściowym od mały do człowieka, nie istniała inna swoboda, jak tylko wolność od owych kształtów przymusu, które wyrobiła cywilizacya i przeciwko którym deklamują dziś apostołowie wolności; wówczas zaś przymus ze strony sił przyrody, zwierząt i dzikiój samowoli ludzi (supponowanój, ale nie do-wiedzionój przez pesymistów!) był o wiele większym i dotkliwszym, aniżeli teraz, tak że obecnie żaden z nas nie chciałby zamienić przymusu, jaki wywierają formy cywilizacyi, na zawisłość ludzi dzikich od przyrody. Cały proces kultury ludzkości zasada się na tém, że jednostka staje się coraz wolniejszą od przymusu żywiołów, a to przez to, że się poddaje coraz więk-szemu przymusowi ludzi lub cywilizacyi. Władza człowieka nad przyrodą nieustannie wzrasta, ale tylko kosztem jego wolności względem reszty ludzkości, to znaczy: społeczna i polityczna wolność człowieka zmniejsza się w miarę postępu kultury a nawet na stopniowém ograniczeniu wolności indywidualnej zasada się postęp kultury" (str. 317).

W tych słowach mamy kwintessencją całej etyki Hartmanna! Mimo wszelkich niekonsekwencyi, wachań, dwuznaczników, zaszedł on wreszcie tam, dokąd zająć musi każdy system pesymizmu: do wszechwładnego państwa-lewiathana, które jedno zdolne poskromić rzekomo przewrotne instynkta ludzi, nad którego urzeczywistnieniem pracowano w wszystkich wiekach i w wszystkich częściach świata, nigdy jednak tak systematycznie jak pod nowoczesném, wydaném w Berlinie hasłem „socyjalizmu państwowego," o którym niedawno myśliciel francuzki <sup>1)</sup> wyraził się nader rozumnie w sposób następujący:

<sup>1)</sup> Rousse, dyrektor akademii francuzkiej na posiedzeniu 16 grudnia



„Czy należy każdemu pozostawić sławę swych zdolności, zasług swych cnót, zysk swój pracy, karę za swe błędy i całą odpowiedzialność swego losu? Czy też mamy przyznać, że państwo jako mandatarusz absolutny woli wszystkich, właściciel nieograniczony wszystkich dóbr, jedyny spadkobierca wszystkich spadków, będzie odtąd wśród naszych społeczeństw ujarzmionych jedyną istotą żyjącą i wolną? I czyż temu bożyszczy, stojącemu po nad klęczącym motłochem, należy poświęcić bez żalu dwa skarby, których sobie dawniej ludzie nie dali odebrać, jak chyba ze życiem: sprawiedliwość i wolność? Państwo, rozdające dowolnie pieniądz i ziemię; porządkujące wszelkie umowy; uwalniające obywateli od wszelkich kłopotów i cnót; biorące na siebie zadanie działania, przewidywania i myślenia za wszystkich, ten to system nauka nazywa dziś socjalizmem państwowym. Pojawiał on się w czasach niemowlęstwa społeczeństw ludzkich, odnajduje się na schyłku cywilizacji ginącej i nazywa się poprostu despotyzmem...”

Rzeczywiście „socjalizm” jest w tém haśle tylko parawanem, za którym ukrywa się dzika dążność do wszechwładzy państwowej. Dążność ta w zeszłym wieku nadużywała wyrazu „Oświaty”: mówiono o oświeconym absolutyzmie <sup>1)</sup>, „aufgeklärter Despotismus,” na czele którego stawali Fryderyk II i Józef II. Dziś ta sama dążność ukrywa się pod wyrazem socjalizmu państwowego. Cel jednak zawsze ten sam: osobista wolność ludzi ma być ograniczona, wszystkie czynniki społeczne, zdolne do oporu, warstwy majątne, stronnictwa, mniejszości narodowościowe, mają być złamane, społeczeństwo ma się zamienić na zbiór wyzutych z wszelkich praw jednostek, aby nad tą znielowaną masą łatwiej mogło panować wszechwładne państwo.

Pessimizm najdzielniej popiera ten kierunek. To też Hartmanna można dziś słusznie nazwać pruskim filozofem państwowym. Z zadowoleniem głosi on, że „w ostatnich dziesiątkach lat przynajmniej w Niemczech wzmaga się zrozumienie niedorzeczności mrzonek wolności” (str. 309). Za to też tenże autor widzi się zmuszonym roztoczyć przed nami taki obraz stosunków społecznych:

„...W prasie naszej panuje bezdena kłamliwość. Działa ona według jezuickiej zasady: calumniare audacter, semper aliquid haeret. Stronnictwa opozycyjne ogłaszają kłamstwa, aby z zaprzeczeń półurzędowych ukuć sobie nową broń, stronnictwo rządowe ogłasza kłamstwa (ballons d'essai), aby dociec, na jakie przyjęcie pewne rozporządzenia liczyć mogą. Każdy dziennik liczy na słabą pamięć publicz-

---

r. 1886, odpowiadając na przemowę nowego ożlonka Leona Say, który wydał treściwe dziełko o socjalizmie państwowym.

<sup>1)</sup> Hr. Beust w swych „Pamiętnikach” opowiada: „Kiedy przybyłem do Austrii (1866) mówiono mi często: czego nam trzeba, to oświeconego absolutyzmu! Bardzo dobrze, odpowiedziałem, tylko, że absolutyzm nie jest nigdy oświeconym, dla tego będzie pono lepiej spróbować z konstytucją.”

ności tudzież na to, że większa część czytelników czyta tylko jeden dziennik, a zatem nigdy się nie dowie o bezczelności kłamstw jego. Kto jednak porównywa kilka dzienników, łatwo pozna, że nie mają sobie nic do zarzucenia. Publiczność zaś tak się przyzwyczaiła do kłamstwa prasy, że już straciła zdolność oburzania się, jak dziennikarze stracili uczucie wstydu; a nawet pewna część publiczności już tak nisko upadła, że woli być okłamywaną, aniżeli by się wyrzekła ulubionych nowinek sensacyjnych, z czem naturalnie redakcye się liczą...

„W polityce zagranicznej obłuda zaczyna się już od tego, że po wszystkich stronach udają, jakoby uznawano stosunek prawny i moralny pomiędzy państwami: gdy na prawdę każde państwo robi zastrzeżenie, że traktatów dotrzyma tylko tak długo, jak mu to będzie korzystnym. To też jest jedynie trafem i patriotycznym zachowaniem się rządów, ponieważ pomiędzy udzielnymi państwami istnieje tylko stan natury t. j. wojna wszystkich przeciwko wszystkim z rozejmami, zawartemi ze względu na chwilową korzyść. Ale właśnie, utworzony przez konwencyjną obłudę dyplomacyi i natarczywie żądany przez uwiedzioną (!) opinię publiczną pozór nie istniejącego wcale międzynarodowego prawa, nadaje stosunkom międzynarodowym charakter tak kłamliwy. Każde państwo usiłuje ukryć swe plany co do przyszłości, a jednak wszystkie mają takie plany, których celem jest zwiększenie własnej potęgi kosztem politycznego bytu innych państw, albo przynajmniej kosztem ich jedności, potęgi lub znaczenia...“ Tak niestety jest istotnie! To też znane „Stowarzyszenie kodyfikacyi prawa międzynarodowego“ na swym tegorocznym walnym zjeździe, który się odbył w ostatnich dniach lipca, nie umiało dojść do innego wniosku tylko do tego, że ponieważ armie i długi państw europejskich są tak wielkie, że już wzrosć nie mogą, „przeto wszelkie wojny niezadługo ustąpią przed sądami rozjemczemi, które rozstrzygać będą spory narodowe!“ Równocześnie w izbie lordów margrabia Bristol stał wniosek, aby ze względu na wzmagające się z każdym rokiem uzbrojenia państw europejskich, parlament oświadczył się za utworzeniem trybunału do rozstrzygania sporów międzynarodowych, na co margrabia Salisbury zauważył, że „dziś Europa do urzeczywistnienia podobnego projektu mniej okazałaby się skłonną niż kiedykolwiek.“ W czasach przedchrześcijańskich nie było prawa międzynarodowego, bo każdy naród uważał siebie za wybranego, sąsiada zaś za wroga. Obcokrajowiec a wróg (hostis) znaczyło to samo. Platon wprawdzie miłość uważał jako siłę, łączącą ziemię i niebo, bogów i ludzi, ale nie zastosowywał tej zasady do „barbarzyńców“, z którymi radził toczyć nieustanną wojnę. Arystoteles zaś swemu uczniowi Aleksandrowi W. radził „okazywać się grekom przyjacielem i przywódcą, barbarzyńcom zaś despota, z pierwszymi obchodzić się jak z braćmi, z drugimi jak z zwierzętami lub roślinami.“ Te same teorie panowały w Rzymie. W średnich wiekach, z chwilą gdy w pierw-



sze święto Bożego narodzenia r. 800 papież Leon III-ci włożył na skroń Karola W. koronę cesarską, powstał system chrześcijańskiej monarchii uniwersalnej, na której czele stoją papież i cesarz, stanowiący t $\acute{e}$ m samym najwyższy trybunał do sporów pomiędzy pojedynczemi państwami. Tylko że ten system w praktyce nie dopisywał, zaczęła także runąć musiał w chwili, gdy tak zwana reformacja rozsadziła dawniejszą religijną jedność Europy. Trzeba więc było szukać nowych dróg do utworzenia systemu międzynarodowego i szukał ich najskuteczniej Hugo Grotiusz sposobem racjonalnym. Jego wyrozumowane i w głównej rzeczy słuszne zasady nie zdołały jednak pochamować wyuzdan $\acute{e}$ j chciwości i nieszczeroci, które bardzo słusznie Hartmann uważa, jako cechę tegoczesnych stosunków międzynarodowych. Jeżeli jednak następnie zapewnia, że jedno cesarstwo niemieckie prowadzi politykę uczciwą w porównaniu do polityki sąsiadów; i jeżeli nadto twierdzi, że pruska polityka aż do utworzenia cesarstwa niemieckiego była względnie szczerą, gdyż Prusy mogły spokojnie oczekiwać spełnienia się sw $\acute{e}$ j misji niemieckiej—to podobne twierdzenia zasługują zaiste na zarzut bezczelności. Więcej bowiem niż inne państwa, Prusy powodowały się brutalnym egoizmem, naruszając z kolei prawa wszystkich sąsiadów, i pruska też polityka głównie przyczyniła się do sprowadzenia terażniejszego bezprawia na polu stosunków międzynarodowych.

Podobny stan bezprawia, jak pomiędzy państwami, zdaniem autora, zachodzi także pomiędzy stronnictwami. Wprawdzie konstytucja stanowi na pozór spólną podstawę prawną. Ponieważ jednak konstytucja nie jest niezmienna, walka stronnictw przeradza się w walkę o siłę do zmienienia konstytucyi, jest po prostu walką o przemoc. Wszystkie jednak stronnictwa ukrywają prawdę i udają, że pragną tylko bronić istniejącej konstytucyi, strzedz j $\acute{e}$ y przed fałszywemi interpretacyami, uzupełnić odpowiedniami szczegółami. W ten sposób wszystkie rozprawy stronnictw w parlamencie i poza parlamentem stają się czezą komedią, w której właściwe cele i powody bywają ukrywano lub zastępowane oratorskimi pseudoargumentami. „Rząd zaś częstnie może sw $\acute{e}$ j polityki zagranicznej usprawiedliwić przed parlamentem, gdyż odkrywając zbyt wczesnie karty, popsulby grę swoje; wskutek systemu parlamentarnego widzi się więc zmuszonym bronić sw $\acute{e}$ j polityki fałszywemi, pozornemi argumentami.“ to znaczy: kłamać! I w t $\acute{e}$ j mierze filozof berliński miał przykłady tuż pod ręką.

W końcu tak streszcza swe wywody o braku prawdy w życiu publiczn $\acute{e}$ m: „Przewaga kłamstwa w naszym życiu publiczn $\acute{e}$ m nie tyle jest winą osób działających, ile raczej danych stosunków. W polityce zagranicznej niedostateczność europejskiego systemu państwowego, który wymaga utworzenia państw wielkich <sup>1)</sup>, zupełnych i nie potrzebujących już domagać się dalszego powiększenia, w dziedzinie

1) To znaczy: cesarstwo niemieckie musi zabrać jeżozce wszystkie za-



polityki wewnętrznej jawność rozpraw o sprawach państwowych, podpisy krasomówcze i zalecanie się opinii publicznej sprowadziły fałsz powszechny.“

O jednym a może o najważniejszym symptonie moralnego upadku w Niemczech p. Hartmann milczy: o serwilizmie. Natomiast jeden z najznakomitszych prawników niemieckich, monachijski profesor Holtzendorf kwestyi téj niedawno temu poświęcił bardzo zajmujące studjum pod tytułem: „Der Servilismus als Zeitlabel“<sup>1)</sup>. Przez serwilizm prof. Holtzendorf rozumie „zniżenie się wolnych mężów do usług których się żąda tylko od niewolników, czeladzi, lub najemników.“ Najbujniejszego rozkwitu doczekał się serwilizm w Rzymie cesarów, gdy panował tam pesymizm tak, jak dziś w Niemczech. Wtedy to największy dziejopisarz streścił straszne stosunki w słowach: „omnia serviliter pro dominatione.“ Otóż, według profesora Holtzendorfa, tenże serwilizm stanowi dziś jedną z głównych chorób narodu niemieckiego. Z kół urzędniczych, w których się wzmógł najbardziej, udziela się wszystkim warstwom narodowym, które bądź to dostarczają kontyngensu do kandydatur urzędniczych, bądź też mają interes w utrzymaniu dobrych stosunków z urzędnikami. Niepodległość charakteru i niezależny sposób myślenia znikł z kół urzędniczych, natomiast wtargnęło tam nieledwie wojskowe pojęcie subordynacji. Być „ostrym,“ *schneidig*, oto ideał teraźniejszego stanu urzędniczego. Szorstka „ostrość“ wobec publiczności, jednostronna wiara w nieomylność i słuszność zdań objawionych z sfer wyższych, drażliwość na krytykę publicystyczną, wznagająca się usłużność względem „wyższych życzeń,“ unikanie wszelkiego słowa, któreby mogło narazić—oto przywary dzisiejszego stanu urzędniczego w Niemczech.

Daléj autor zaznacza, że wśród młodzieży niemieckiej zamarkowała idealizm a karyeromania opanowała nie tylko młodzież uniwersytecką, ale nawet gimnazyastów. „Nie będziemy—mówi prof. Holtzendorf—brali za złe młodzieży naszej jéj radości z utworzenia niemieckiego cesarstwa, jéj cześć dla zasłużonych ludzi, stojących na jej czele. Ależ i dawniejsze pokolenia młodzieży uniwersyteckiej wrzały miłością ojczyzny, nie chorując na ową mieszaninę zarozumiałości i uległości, która dzisiaj zaczyna zajmować miejsce dawnéj akademickiej swobody... Pewne kierunki, skoro się wkradną do życia publicznego, bardzo szybko wywierają wpływ przeważny. Skoro państwo zaczyna urzędnikom odmawiać prawa własnego zdania, młodsze warstwy stanu

mieszkańce przez niemoów prowincye, nie myśląc naturalnie o oddaniu prowincyi, zamieszkałych przez inne narody; potem już nie będzie „zmuszone,“ pragnąć dalszych zdobyczy! W każdym razie do polityki międzynarodowej Hartmann nie zastosowuje swych teorii o zaparciu się i wyrznięciu egoizmu, owszem na tém polu egoizm wyuzdany uważa jako rzecz właściwą,—przynajmniej, o ile chodzi o Niemcy!

<sup>1)</sup> „Deutsche Rundschau,“ XII, zeszyt styczniowy.

urzędniczego, których najwyższą nadzieją jest śpieszny awans, niebawem na wyścigi poddawać się będą nie tylko rozkazom; lecz także opiniom szych przełożonych, a ten sam prąd udziela się także młodzieży uniwersyteckiej. Jeden z najbystrzejszych znawców słabostek ludzkich, Swift przed 200 laty napisał: „Jeżeli chcesz uzyskać sławę rozumnego człowieka, musisz zawsze wypowiadać to samo zdanie, co osoba, z którą właśnie rozmawiasz.“ Taki zapas opinii, odpowiadających danej okoliczności, równa się brakowi przekonania i jest czémś całkiem innym, aniżeli skromnością w wypowiedaniu własnego sądu; ta bowiem wynika z chwalebnych powodów, ów zaś z moralnej słabości lub egoistycznego obrachowania.

„Wielkość choroby społecznej, objawiającej się w wzrastającym braku przekonań, stoi w ścisłym związku z najsilniejszymi prądami tegoczesnemi. Skoro społeczeństwo uległo zarazle serwilizmu lub rozpowszechnionego w masach braku przekonania, tylko wielkie katastrofy mogą sprowadzić przesilenie.“ Po tej trafnej dyagnozie stosunków niemieckich, jednak prof. Holtzendorf sam na sobie daje nam przykład, jak silnemi są owe prądy czasu, albowiem wyzdrowienia spodziewa się tylko od inicjatywy korony, która jedna ma potęgę i obowiązek, przyczynić się do oczyszczenia społeczeństwa z owych przywar. Korona więc ma wytepić serwilizm! Zaiste, jeżeli naród niemiecki, pod wpływem pesymizmu stracił już wszelką nadzieję naprawy z własnych sił, wtedy można doń zastosować tylko słowa, które największy dziejopisarz rzymski wypowiedział w podobnych warunkach: *ruere omnes in servitium!*

Na trzech najwybitniejszych germańskich teoretykach pesymizmu, Hobbesie, Schopenhauerze i Hartmannie wykazaliśmy, jak ten system koniecznie prowadzi do wszechwładzy państwa lub onę *ex post* usprawiedliwia. Aby jednak zapobiedz wszelkiemu nieporozumieniu, trzeba raz jeszcze zaznaczyć, że mieliśmy na oku jedynie ów zasadniczy, filozoficzny, nibyto naukowy i wyrozumowany pesymizm, wychodzący z założenia, że natura ludzka jest nie tylko słaba, lecz na wskroś niegodziwa i przewrotna, że zatem w pierwotanie przeważają chucie i nałogi zdrożne, które poskromić zdolne jedynie wszechwładne państwo. To założenie jest jednostronném, błędném i nieuzasadnioném, ono uniemożliwia wszelki postęp, ponieważ neguje wolność, i wszystkie inne cnoty—oraz przyrodzone i starsze od państwa—prawa osobników, nie mniej i prawa narodowości.

Przeciwnie optymizm, wierzący w przewagę szlachetnych pierwiastków w naturze ludzkiej a zatem w możliwość ciągłego udoskonalenia ludzkości, służy postępowi. Ostateczne wnioski teoretycznego optymizmu, sformułowanego najprzód ze stanowiska scholastyczno-teologicznego przez słynnego Abeillarda († 1142), Mallebrancha



(1638—1715) i Leibniza <sup>1)</sup> (1646—1716), następnie zaś ze stanowiska racjonalnego przez Grotiusza, Jana Jakóba Rousseau i encyklopedystów, w zastosowaniu zaś do zagadek społecznych przez znanego z swego tragicznego losu filozofa i pośła Condorcet'a streszczony w trzech głównych maksymach: 1) Zniesienie nierówności pomiędzy osobnikami; 2) Zniesienie nierówności pomiędzy narodami; 3) postępowanie i rzeczywiste udoskonalenie ludzkości... <sup>2)</sup>.

Trzeba jednak starannie unikać mieszania zasadniczego pesymizmu lub optymizmu z tém, co się w powszednim życiu często pod tymi wyrazami ukrywa. Ten powszedni, płytki optymizm, który wszystko co jest, uważa jako dobre, twierdzi „que tout est bon, quand tout est mal“ („Candide“) i szepcze nam: „Niech będzie jak bywało,“ albo: „Po co się nam troszczyć o nasz i naszych bliźnich interes, skoro i tak wszystko zdąży do najlepszego końca“—nie tylko się nie przyczynia do postępu i udoskonalenia, lecz przeciwnie stanowi na tej drodze niebezpieczną zaporę; gdy przeciwnie pesymizm, o ile przez ten wyraz rozumiemy tylko surową krytykę stosunków obecnych, jest najgłówniejszą dźwignią postępu, byle się nie przeradza w ową zasadniczą teorię, że ponieważ dziś jest źle, nigdy lepiej być nie może, a zatem nie warto krzątać się i walczyć, lecz należy zaprzagnąć nicości, Nirwany. W ten sposób, drogą empiryczną, podnosząc jednostron-

<sup>1)</sup> Z urodzenia Niemca, ale wykształconego w duchu francuskim i piszącego przeważnie po francuzku.

<sup>2)</sup> Condorcet służy nam jako nader ciekawy przykład, jak to wrodzony optymizm, wynik pewnego usposobienia, temperamentu, wychowania i t. d., zdolnym jest przetrwać zwycięzko nawet najstraszniejsze próby. Margrabią Jean Antoine Condorcet, urodzony 17 września r. 1743 w Ribemont, wcześniej sławiony dziełami treści matematycznej, od r. 1769 członek akademii francuskiej, w r. 1791 został wybrany z Paryża do zgromadzenia prawodawczego, w którym niebawem zajął wybitne miejsce i którego w r. 1792 był marszałkiem. W konwencji głosował zwykle z stronnictwem Zyrondystów; po ich upadku (w maju r. 1793), denuncyowany przez Chabota i oskarżony przed trybunałem rewolucyjnym, zdołał uciec, został skazany zaocznie na śmierć, jednakże przez 8 miesięcy znalazł przytułek w samym Paryżu u swej przyjaciółki pani Verney. W tym czasie, niejako pod obuchem katedry, napisał znakomite dzieło: „Esquisse d'un tableau historique des progrès de l'esprit humain,“ w którym wykazywał możliwość ciągłego postępu i udoskonalenia ludzkości! Niedługo potem (8 kwietnia 1794) samobójstwem uszedł przed gilotyną. Człowiek mniej optymistycznego usposobienia, znalazłszy się w podobnym położeniu, doznawszy tak bolesnych zawodów i tyle niesprawiedliwości, byłby uogólniając dane okoliczności, doszedł do wręcz przeciwnych wniosków naukowych. Tak na przykład Schopenhauer, choć nie doznał właściwie żadnych strasznych ciosów, na mocy jednak usposobienia pesymistycznego, posunął się aż do bezwzględnej negacji postępu i udoskonalenia ludzkości!



nie njemne kierunki i zjawiska życia społecznego, Hobbes, Schopenhauer i Hartmann nibyto logicznie doszli do swych rozpaczliwych wniosków. Tymczasem J. J. Rousseau, jak przed nim Hugo Grotiusz, od krytyki zdrożnych lub niedorzecznych stosunków, na jakie patrzyli, wzniesli się przeciwnie do pojęcia, że to nie może być normalny stan społeczny lub międzynarodowy, lecz że to zwichnięty rozwój ludzkości, do której praw i cnót przyrodzonych trzeba powrócić, aby złe naprawić.

W danych warunkach, pesymizm może być bardzo uprawniony i zbawienny, byle się nie posuwał do zasadniczej negacyi cnót i praw ludzkich, a na odwrót optymizm, sam przez się szlachetny i piękny, stanie się szkodliwym, skoro się zamienia w okulary różowego koloru, które nam nawet najohydniejsze przedmioty i stosunki ukazują w świetle przyjemném, a więc fałszywém. Taki optymista, mianowicie w czasach dzisiejszych, naraża się na tyleż bolesnych zawodów i przykrych awantur, jakie spotkały walecznego i szlachetnego kawalera z La Mancha. Dostrzegać bystrem okiem wad, zdrożności, niedorzeczności i bezprawia, ale też nie zwątpić nigdy o możliwości zwyciężenia ich, naprawy i postępu,—oto właściwy sposób zastosowania dwóch metod pesymizmu i optymizmu do codziennego życia!

# WOJNA RZECZYPOSPOLITEJ POLSKIEJ ZE SZWECYĄ

ZA PANOWANIA ZYGMUNTA III-go,

od roku 1621-go do 1629-go \*).

PRZEZ

*Konstantego Górskiego.*

Namowy komisarzy o pokój, prowadzone pod Kirchholmem od 17-go listopada do 8-go grudnia 1622 r., rozbiły się o ten sam szkopuł, co i poprzednie, mianowicie o podtrzymywane przez Zygmunta prawo do korony szwedzkiej i o niewystarczające pełnomocnictwo komisarzy polskich.

Szwedzi wymagali rzeczy w tej chwili niemożliwej, bo chodziło im na razie tylko o zawieszenie broni, dla zebrania nowych środków do dalszego prowadzenia korzystnej dla siebie wojny z Polską. Gdyby szczerze chcieli pokoju, przystaliby na propozycje komisarzy polskich „traktowania, na zasadzie konstytucji sejmowej, warującej potwierdzenie pokoju przez sejm; ponieważ król, według kardynalnych praw Rzpltej, bez zgody narodu prowadzić wojny nie może; gdy więc sejmujący naród zapewnia trwałość pokoju, można było być spokojnym o jego dotrzymanie“ <sup>1)</sup>. Polacy atoli, działając w dobrej wierze a nie odznaczając się subtelną dyplomacją, składali całą winę niedoszłych traktatów na upór Zygmunta.

Zawieszenie broni zostało przedłużone do 1-go czerwca 1624 roku, z obowiązkiem wyznaczenia komisarzy do zawarcia dłuższego pokoju i z zastrzeżeniem miesięcznego wypowiedzenia wojny przed upływionym terminem, z tej strony, któraby jej sobie życzyła <sup>2)</sup>.

\*) Ciąg dalszy.--Patrz zeszyt za m. wrzesień r. b.

<sup>1)</sup> Sprawy, 402. List komisarzy do króla z 25-go listopada 1622 roku. <sup>2)</sup> tamże, 443.

W myśl tego zobowiązania publicznego, wyznaczono na sejmie 1623 r. liczną z obu izb komisją do traktowania ze szwedami, która jednak nigdy w komplecie do Inflant nie zjechała, częścią dla grasującego powietrza, częścią zaś dla braku ufności co do tego, aby jakiegokolwiek starania komisarzy spokój sprowadzić mogły <sup>1)</sup>, ponieważ przyczyny, dla których poprzednie umowy się rozbiły, usuniętemi nie były. Zygmunt stał niewzruszenie przy swoich prawach, a że dla niego nie było niepodobieństw w tworzeniu planów, nie tracił nadziei wciągnięcia Polski w nową wojnę ze Szwedami, w czém mu też Gustaw Adolf jak najgorliwiej dopomagał.

Rozesłano tedy z kancelaryi polskiej instrukcye sejmikowe, poprzedzające sejm 1624-go roku, z gorącą zachętą do wojny ze Szwecyą <sup>2)</sup>. Tymczasem nawoływania te nie odniosły spodziewanego skutku, bo izba poselska nietylko że nie chciała słyszeć o wojnie, ale wymogła na królu i na senacie, że na negocyacye o trwały pokój pozwolił i musiał przyrzec, że na przypadek, gdyby JKr. Mość do wojny zagranicznój pomocy miał użyć, porty pruskie i Korona nic na tém nie ucierpią <sup>3)</sup>. Wszelako na przypadek wypowiedzenia wojny, Litwa na pobory zezwoliła, w Koronie zaś upoważniono króla do zwołania sejmu <sup>4)</sup>.

Nie mogli niebaczni posłowie ziemscy wyświadczyć niczém innym większej usługi wrogowi, który, widząc takie rozdwojenie między władzami Rzpltej, utwierdził się w knowanym na Polskę zamachu. Gdy polacy czynili wszystko, aby tylko oddalić od siebie wojnę, król szwedzki nietylko sposobił się do niej w domu, ale i intrygował po Europie, szukał sprzymierzeńców i usiłował podburzyć na Polskę cały świat protestancki. Dwulicowy hipokryta, udając pobożną skłonność do pokoju, trzymał kamień w zanadru, potajemnie spiskował i gotował zgubę i zagładę narodowi naszemu.

W instrukcyi danėj znanemu nam już Rutgersowi, wysłanemu do Holandyi, poleca wystawić niebezpieczeństwo, grożące Holandyi ze strony monarchii habsburskiej, a jako najskuteczniejszy przeciwko niemu środek przedstawiać wojnę z Polską. Oświadczyć tedy miał Stanom holenderskim, że on (Gustaw) prowadzi już tę wojnę, lecz dałby jój energiczniejsze poparcie, gdyby mu użyczono w tój sprawie 50,000 imperyatów, i gdyby Stany wymogły na Wenecyi i na księstwach niemieckich, żeby mu także udzieliły subsydyi pieniężnych. Miał zarazem oznajmić, iż on (król szwedzki) ma wielkie wojsko i znaczną flotę, i mógłby wyruszyć każdėj chwili na wojnę, gdyby Holendrzy skłonili ks. brunświckiego i Mansfelda do przyjscia mu na pomoc z swojemi hufcami, a przynajmniej, żeby ich wojska na Szląsk, Morawę i czeskie terytoryum wkroczyły, bo w taki sposób udałoby się i Betlen Gabora wciągnąć do tych krwawych zapasów <sup>5)</sup>.

<sup>1)</sup> Sprawy, 469. <sup>2)</sup> tamże, 470. <sup>3)</sup> tamże, 471. <sup>4)</sup> tamże. <sup>5)</sup> Droysen, t. I, 188.



W liście do Kamerariusza (sekretarza pałatyna Fryderyka V-go) z dnia 24 sierpnia 1624 roku, Oksenstierna proponuje związek między wszystkimi ewangelickimi królami, księztwami i stanami, którzy, ząpominając o dzielących ich sporach i nienawiściach, powinni połączyć siły swoje przeciw wspólnemu nieprzyjacielowi, którym jest habsburska katolicka monarchia, a za najdogodniejszy do tój wojny wspólny plac boju uważać trzeba Polskę. Wprawdzie główny interes w tój wojnie ma Szwecya, ale gruntownie rzeczy biorąc, wszystkie protestanckie państwa są w niej niemniej od niej zainteresowane. Wiadomo mu, że niektórzy z powodu urosłych wyobrażeń o wielkiej potędze Polski, mogą uważać taką wojnę za zbyt awanturniczą, żadnego tryumfu nie obiecującą, ale przenosząc ją do Szlązka, niepodobna takiego nieprzyjaciela nienaruszonym na tyłach zostawić.

Namowy z kurfyrztem brandenburskim nie zupełnie się powiodły, bo kurfyrzst, obawiając się o swoje kraje, tak blisko od zamierzonego placu wojny leżące, niemniej i jako wasal Rzpltej, uważał związek z jój nieprzyjacielem za niebezpieczny i dla tego nie chciał zgodzić się na propozycye Gustawa <sup>1)</sup>.

Starał się także król szwedzki i Moskwę do związku wciągnać; lecz nie chcąc przez osobistą akcyą obudzić żadnych podejrzeń, popychał Anglią, aby ją do przyjęcia udziału w ogólnej przeciw Polsce wojnie namawiała <sup>2)</sup>.

Nie sprzyjało jednak szczęście królowi szwedzkiemu w tych zabiegach dyplomatycznych. Zanadto bowiem widocznym był jego interes osobisty i za mało widziano u polaków, wbrew twierdzeniu Gustawa, chęci popierania dążeń habsburskich oraz interesów katolickich w Europie.

Tymczasem na czele protestanckiego związku stanął rywal Gustawów, król duński, tak, że monarcha szwedzki zaćmiony, nie mógł korzystać z parawanu tak gorliwie przysposobianego <sup>3)</sup>. Powstał tóż niebawem w głowie Gustawa plan podzielić rolę w obronie protestantyzmu. Król duński miał przyjąć na siebie działania na zachodnim, a król szwedzki na wschodnim teatrze wojny, którym miała być Polska z podstawą działań w Gdańsku <sup>4)</sup>. Wymagał na ten cel Gustaw Adolf przynajmniej 10 pułków piechoty i 1,500 jazdy wojsk posiłkowych, a także pieniędzy na koszta wojenne i natychmiastowej wypłaty sumy, potrzebnej na utrzymanie żołnierza w ciągu trzech miesięcy <sup>5)</sup>. Ze swojej strony obowiązywał się wystawić 16 pułków piechoty i jazdy, prócz wojsk do osłony Inflant od Litwy potrzebnych <sup>6)</sup>. Za najodpowiedniejsze sedes belli (podstawę działań) dla siebie uważał Gdańsk, byle mu tylko sprzymierzeni do podbicia go dopomogli. Po utwierdzeniu się w Gdańsku, miał poprowadzić 10,000 piechoty

<sup>1)</sup> Droyson, t. I, 194, 199. <sup>2)</sup> tamże, 202. <sup>3)</sup> tamże, 218. <sup>4)</sup> tamże, 231. <sup>5)</sup> tamże, 233. <sup>6)</sup> tamże.

i 1,000 jazdy dla połączenia ich z armią związkową, obierającą drogę, albo przez Polskę albo przez Pomorze i Brandenburgią <sup>1)</sup>.

Plan ten miał być rozpatrzony na zjeździe w Hadze, naznaczonym na 20 kwietnia 1625 r.; lecz ten do skutku nie przyszedł <sup>2)</sup>.

Tymczasem, w oczekiwaniu na owoce zjazdu Hagskiego, zawieszenie broni jeszcze do ostatniego dnia marca 1625 r. przedłużone zostało, z tym zastrzeżeniem, że jeżeli do tego terminu, żadna strona wojny nie wypowie, to pokój do końca czerwca następnego roku trwać będzie <sup>3)</sup>.

Szwedzi, czując swoje siły i będąc gotowi każdej chwili do wojny, mogli ją wypowiedzieć kiedy chcieli, i wypowiedzieli, lecz nie przed końcem marca, ale w maju; tylko dla legalizowania tego kroku, list wypowiedający wojnę datowali w lutym <sup>4)</sup>. Mimo to w czerwcu rozpoczęły się negocjacje o pokój, i ciągnęły się od miesiąca, kiedy Gustaw Adolf, 27 czerwca 1625 r., z 6 pułkami piechoty i 8 pułkami jazdy, a razem z 8,000 wojska, na 760 okrętach, z Sandhamu odpłynął, i w początkach lipca u Dynamintu wylądował <sup>5)</sup>.

Spiesząc się z załatwieniem swoich interesów, nim polacy wystąpią w pole, posłał Gustaw bez zwłoki Bannera, ze 3,000 ludzi do Kokenhauzu <sup>6)</sup>, który jak powiedziano, był najważniejszym punktem strategicznym po Rydze, a wyprawivszy po Dźwinie żywność i amunicję, sam 12 lipca wszedł za nim podążyć <sup>7)</sup>. Trzymał się ten zamek 16 dni, ale gdy podłożono podeń ogromną ilość prochu <sup>8)</sup>, 25 lipca poddać się musiał <sup>9)</sup>. 3-go sierpnia, pułk de la Bar'a zdobył Ronenburg, sam zaś król Nieborg (może Kreutzburg, bo Niborga na mapach niema), i inne poblizsze zamki <sup>10)</sup> pozajmował, a potem przeprawivszy się na drugą stronę Dźwiny, zabrał i Selburg <sup>11)</sup>. Ale trzeba wiedzieć, że wszystkie te zamki, z wyjątkiem Kokenhauzu, nietylko załog, ale nawet wrotnych do zamknięcia bram nie miały <sup>12)</sup>. W tymże czasie de la Gardie, zebravszy w północnych Inflantach 4,000 piechoty i 1,500 jazdy obległ Dorpat, który mu się 27 sierpnia poddał <sup>13)</sup>.

Gustaw od Selburga ruszył na Litwę. 20 sierpnia stał obozem Pod Radziwiliszkami. Ztamtąd poszedł pod Birze, 28 zaczął obleżenie tego zamku, a 7 września zdobył go <sup>14)</sup>, i znalezione w nim 22 armaty i 2 moździerze do Rygi odesłał <sup>15)</sup>. Z Birz przeniósł się do Bauska. W zamku tym szlachta Kurlandzka, licząc na jego moc, złożyła swe dostatki. Ale słaba załoga, ze 30 knechtów złożona, z których 18 było chorych, dłużej nad 10 dni trzymać się nie mogła. 27 września, zamek szturmem zdobyty został, przyczem Butler starosta Bauski, broniąc się w bramie poległ, a znajdujące się w zamku

<sup>1)</sup> Droyson, t. I, 234. <sup>2)</sup> tamże, 249, 254. <sup>3)</sup> Sprawy, 551. <sup>4)</sup> tamże, 502, przypisek. <sup>5)</sup> Kelchen. <sup>6)</sup> tamże. <sup>7)</sup> tamże. <sup>8)</sup> Busse, 244. <sup>9)</sup> Kelchen. <sup>10)</sup> tamże. <sup>11)</sup> Sprawy, 596. <sup>12)</sup> tamże. <sup>13)</sup> tamże; Kelchen, Busse, 245. <sup>14)</sup> Busse, 244. <sup>15)</sup> Kelchen.



depozyta szlacheckie, z pozwolenia Gustawa przez żołnierzy rozgrabione, tak, że żołdacy szwedzcy po kilkaset a nawet po kilka tysięcy talarów z dymiących się zgłiszcz Bauska wynieśli <sup>1)</sup>).

Ustraszona losem Bauska Mitawa poddała się królowi szwedzkiemu 8 października dobrowolnie <sup>2)</sup>; a ku końcowi tego miesiąca był już Gustaw Adolf z powrotem w Rydze <sup>3)</sup>).

Tak więc wcale się nie spiesząc, bo w ciągu aż czterech miesięcy, zdobył Gustaw, ile mu potrzeba było zamków, aby zostać zupełnym władcą Inflant, i zabezpieczyć je przed najazdami polskimi od strony Kurlandyi, i to pierwój, nim znaczniejsze hufce Rzpltej ukazały się na teatrze wojny. Głównym zaś tego wszystkiego winowajcą, był ów tak ochoczy do wojny Zygmunt III, bo gdy nieprzyjaciel już po ojczyźnie grasował, on namyślał się komu oddać buławę hetmana wielkiego litewskiego. Naturalnym jej spadkobiercą po Chodkiewiczu, był hetman polny litewski Krzysztof Radziwiłł, żołnierz wysoce w fachu wojskowym uzdolniony. Ktoby się chciał o tém przekonać, niech przeczyta jego „Sprawy wojenne i polityczne“ (wydane przez Bibliotekę polską), a dowie się ztamtąd, że Radziwiłł rozumiał sztukę wojenną, dzisiaj strategią i taktyką zwane, lepiej od niejednego z dzisiejszych generałów. Posiadał przytém doświadczenie wojenne i był obznajmiony ze sposobem wojowania Gustawa Adolfa; ale prowadził przeszlą wojnę niezgodnie z teoryami wojennemi króla Złotnika. Przedwcześnie, zdaniem jego, zawarł pokój, i zniechęcony niesprawiedliwością w ocenie jego zasług, stanął w opozycyi, a do tego wszystkiego był kalwinem.

Z niechęci ku Radziwiłłowi złożył Zygmunt tak ważny i ciężki w owym czasie urząd, na niedołęzne barki siedemdziesięcioletniego Leona Sapiehy, który, przy wielkim rozumie politycznym, nie był wcale wojakiem; lecz dyplom na tę godność posłał kanclerzowi litewskiemu dopiero 25 lipca, t. j. wtenczas, gdy Kokenhauzen był już stracony. Owocem tych kaprysów, czy obrażonej dumy króla polskiego, były klęski jego poddanych.

Nietylko jednak ominęła Radziwiłła buława wielka; lecz król zabronił mu nawet zaciągów, tak dalece, że hetman polny, który zapomniawszy uraz osobistych, chciał jako prawy obywatel, śpieszyć na ratunek ojczyźnie, znalazł się na czele nielicznych hufców, z którymi nie był w stanie, ani Birz swoich ratować, ani Bauskowi i Mitawie dać odsieczy.

Wyruszywszy w pole 11 września, odbił zajęte przez szwedów na Litwie Neretę i Czadosy, zkąd ciągle wycieczki rabunkowe wyprawiali <sup>4)</sup>, chwytając snujące się ich partye, zniósł kilka czat szwedzkich, a między innymi jedną z większych, przy rotmistrzu Fabianie Aderkasie wysłaną, złożoną z Lejbfany <sup>5)</sup> (chorągiew przyboczna) i innych

<sup>1)</sup> Busse, 245. <sup>2)</sup> tamże. <sup>3)</sup> Geyer, 116. <sup>4)</sup> Sprawy, 530. <sup>5)</sup> Kelchen.



chorągwi, sformowanych z ludzi wybranych, z dwoma chorągwiami usarży, w polu pod Poswolem, dnia 29 września. Zabrał przytém 2 kaprali i 43 rajtarów do niewoli, reszta na placu poległa <sup>1)</sup>, i do tego doprowadził szwedów, że żaden z nich nosa z zamku wychylić nie śmiał.

Nie tak pomyślnie działo się Sapieżyńskim. Buława dostała się Sapieże, gdy nieprzyjaciel już po ojczyźnie plądrował. W Litwie pod ten czas powietrze grasowało, i w skarbie pieniędzy nie było. Musiał więc z własnej szkatuły robić zaciągi, które szły bardzo tępo <sup>2)</sup>. Zebrawszy jednak nieco żołnierza posłał rotmistrza Dziewałtowskiego ze 100 piechoty, i Konstantynowicza z 150 kozaków do Dynaburga, dla wzmocnienia załogi tamtejszj <sup>3)</sup>. Sam z 3,000 ludzi, dopiero w końcu października, czy też na początku listopada, t. j. dopiero wtenczas, gdy król szwedzki po odniesionych tryumfach spokojnie odpoczywał w Rydze, z synem swoim Stanisławem, marszałkiem litewskim, i z wojewodą smoleńskim, Gąsiewskim, wyruszył do Kurlandyi <sup>4)</sup>. W Poswole połączył się z nim wojewoda mściśławski Chreptowicz, który prócz swych ludzi, miał z sobą piechotę szawelską <sup>5)</sup>. Ku końcowi listopada położył się Sapieha obozem nad Dźwiną, między Kokenhauzem i Żelborkiem, lecz po odbytj z Radziwiłłem naradzie przeniósł się pod Walmoizę <sup>6)</sup> (Walhof), zkąd potém odjechał, pozostawiając komendę synowi swemu Stanisławowi <sup>7)</sup>. Takim sposobem nie tylko Radziwiłł, ale i drugi dzielny żołnierz, Gąsiewski, od dowództwa uchyleni zostali. Radziwiłł stał osobnym obozem koło Bauska, t. j. około 30 wiorst od Walhofu.

Tak więc i te niewielkie siły, razem może około 5,000 ludzi wynoszące, w skutek emulacyi przez Zygmunta między hetmanami wznieconej, rozdzielone zostały, wystawiając każdego z nich na oddzielne rozbicie. Jakoż tak się też i stało.

Gustaw Adolf, dowiedziawszy się o przybyciu Sapiehy, proponował zawieszenie broni, z warunkiem, aby wojska Rzpltej z Kurlandyi się usunęły, na co Litwini zgodzić się nie chcieli <sup>8)</sup>. Postanowił tedy przedsięwziąć kroki wojenne. Wyprawiając z Rygi żywność i inne ciężary z wojskiem, nazajutrz sam za niemi podążył do Kokenhauzu <sup>9)</sup>, i z początku pod tym zamkiem obozem stanął; lecz niezdrowa miejscowość zmusiła go przenieść się do Bersohn <sup>10)</sup>. Była ta zimowa kompania, dla króla szwedzkiego bardzo uciążliwą. Z przyczyny niedbalswta komisarzy okazał się w obozie brak żywności, srogie zimno trapiło żołnierzy, i nareszcie choroby powstały, którym nawet wielu oficerów z jego orszaku uległo. Sam powiada, że takiej nędzy jak w tój ekspedycyi, od czasu jak wojował, jeszcze nie doświadczył <sup>11)</sup>.

Przeleżawszy przeszło miesiąc bezczynnie w obozie, zdecydował

<sup>1)</sup> Sprawy, 533. <sup>2)</sup> Bobrowicz, 147. <sup>3)</sup> tamże. <sup>4)</sup> Sprawy, 596. <sup>5)</sup> tamże, 536. <sup>6)</sup> tamże, 596. <sup>7)</sup> Lettres, 8. <sup>8)</sup> Kelchen. <sup>9)</sup> Sprawy, 544. <sup>10)</sup> Kelchen. <sup>11)</sup> Goyer, 117.

się nareszcie Gustaw Adolf stanowczym czynem tę uciążliwą wyprawę zakończyć. Zebrawszy dokładne wiadomości o położeniu nieprzyjaciela, w dwóch oddzielnych obozach stojącego, postanowił skorzystać z tego podziału sił, i napaść na korpus Sapiehy. Było to, ani słowa, bardzo racjonalnie, ale dla czego ten wielki wojownik tak długo się namyślał, głód i nędze znosił, gdyż w tym położeniu, już od kilku tygodni zostawali litwini, nim się na podobny krok odważył, pozostawiam do wytłómaczenia wielbicielom talentu wojennego monarchy szwedzkiego.

Podniósłszy się z obozu pod Bersohn, poszedł naprzód Gustaw do Kokenhauzu, w którym ciężary taborowe zostawił; a ztamąd 15 stycznia z 1,000 piechoty i jazdą, ile jej mógł zebrać, do Walmoizy wyruszył <sup>1)</sup>. Dla przyspieszenia marszu i sprawienia niespodzianki litwinom, posadził piechotę na sanie, za którą sam z jazdą kłusem podążył <sup>2)</sup>.

Z 16 na 17 stycznia w nocy, straż przednia szwedzka, pod dowództwem Magnusa Pahlena rozproszyła straż podsłuchową litewską, i nim się dzień rozpoczął, 17-go stali już szwedzi przed litewskim obozem, w szyku bojowym <sup>3)</sup>. Młody Thure dowodził prawém skrzydłem, złożoném z finnów, lewém Gustaw Horn, a pod nim Teufel. Sam król kierował całością, i miał w swój osobistój komendzie rezerwę z cudzoziemskich wojsk złożoną <sup>4)</sup>. Sapieżyńscy, dowiedziawszy się o ruszeniu szwedów, posłali do Radziwiłła, prosząc go o jak najspieszniejsze przybycie, sami zaś, licząc zapewne, że nieprzyjaciel miał do przejścia z Kokenhauzu do nich 45 wiorst, a więc dwa marsze, spokojnie leżeli w obozie, gdy szwedzi przed nimi jakby z ziemi wyrosli.

Szwedzi utrzymują w swych relacyach, że znaleźli Litwę przed obozem w szyku stojącą; co jednak nieprawdopodobném się zdaje, bo jeśliby nawet o ich nadejściu od rozproszonój własnej straży mieli wiadomość, to w tak rannój dobie było czasu za mało do sprawienia wojska i należytego spotkania nieprzyjaciela, który śpiesznie na saniach podązał, i w też tropy za gońcami od przedniej straży mógł przybyć. Busse, autor broszury, na źródłach inflanckich osnutój, zgodnie z tém utrzymuje, że szwedzi znaleźli litwinów nieprzygotowanych w obozie <sup>5)</sup>.

Pierwsi wyskoczyli uszarze i okazali, jak sam Gustaw utrzymuje, energiczny opór <sup>6)</sup>, ale wparci zostali przez finnów napowrót do obozu, w którym naturalnie powstał wielki nieład. A gdy artylerya się odezwała i piechota cudzoziemska zaczęła następować, litwiini rzucili się do ucieczki. 600 ludzi zostało na placu, 150 jeńców, 3 armaty,

<sup>1)</sup> Busse, 253. <sup>2)</sup> Kelohen. <sup>3)</sup> Busse, 253, Lettres, 9. <sup>4)</sup> Fryxell, 92. <sup>5)</sup> Busse, 253. Przy opisaniu bitwy pod Walhofem, w braku oczystych źródeł, musiałem się posługiwać wyłącznie obcemi. <sup>6)</sup> Lettres, 9.



5 chorągwi i cały tabor w moc szwedów się dostały <sup>1)</sup>). Radziwiłł, który szedł swoim na ratunek, dowiedziawszy się o ich porażce, zawrócił się i śpiesznie uszedł na Litwę <sup>2)</sup>).

Przyczyną klęski były niekorzystne warunki, w jakich litwini zniemacka zaskoczeni, potykać się z nieprzyjacielem musieli. Przyczyną zaś, że się podejść dali, był z jednej strony dobrze pomyślany i zręcznie wykonany plan Gustawa Adolfa, a z drugiej niedoświadczenie regimentarza litewskiego, Stanisława Sapięhy, o którego czynach ani przedtém ani potem nic nie wiadomo historyi. Nareszcie sprawcą rozdzielenia wojska i waśni między hetmanami był król polski, który, omijając Radziwiłła przy rozporządzeniu buławą wielką, wyrządził mu niesłychaną i niezastużoną krzywdę w obec całego narodu, przez co zrodził w nim naturalną niechęć ku jego rywalowi, Leonowi Sapieżę, który przez żądę czy to sławy czy znaczenia, chociaż i jednego i drugiego miał dosyć, przyjął urząd, do którego ani z wieku, ani z usposobienia, ani ze zdolności żadnego nie miał prawa. Gustaw jednak był tak łaskaw, że dalszych korzyści ze zwycięstwa nie ciągnął, chociaż cała Litwa i droga do Wilna stały mu otworem. Owszem zgodził się na zawieszenie broni, które później do 21 maja przedłużono <sup>3)</sup>).

Wróciwszy do Rygi obdarował Gustaw swych wyższych oficerów obszernymi dobrami w Infantach, w części jako nagrodę za zasługi, w części, aby ich zachęcić do utrzymania w rękach zdobytego kraju. W tymże celu nazaczył de la Gardi'ego jako gubernatora Infant, osiedlił w okolicach Derptu 600 żołnierzy szwedzkich, i polecił mu strzedz Dźwiny, jako linii obronnej zawojowanego kraju, a zamków kurlandzkich, jako bulwarków téj linii <sup>4)</sup>). Poczém wyjechał do Rewla, gdzie drugą połowę stycznia i cały luty przepędził, a zlamtał do Szwecyi się udał <sup>1)</sup>), bo mu było pilno zająć się przygotowaniami do dalszej

1) Lettres, 10. Kelohen rachuje padłych na placu 1,600 t. j. trzy razy więcej niż sami szwedzi, z kąd się pokazuje, że poległo na nim nie można. Sam Sapięha, w uniwersale (Ręk. bib. Czar. 118) nie podając szczegółów téj bitwy, mówi jak następuje: „17 stycznia sam Gustaw z kilkunastu tysiącami wojska, w których samych kyryśników miał 1,000, i potężną armatę, na kilkanaście chorągwi wojska JKr.M. w liczbie do półtora tysiąca nastąpił, iż podobieństwa nie było żadnego taką nawałność strzymać. Rozkazałem tedy piechocie i armacie powoli ustępować, sam tylko z jazdą zostawszy. Ale że ta żadnym sposobem utrzymać się nie mogła, abym był i téj słabój zaślony, w ręce nieprzyjaciela nie podał, i granic W. Ks. Lit. gołych nie zostawił, zatrzymawszy nieco harcownikami nieprzyjaciela, ustąpiłem z wojskiem ku Rakiszkom, z niewielką z łaski Bożej szkodą, i to tylko w piechocie, którą samą jazdą nasza nieco zamieszała i potarła.“ I tak istotnie być musiało, że piechota, działa i tabor dostały się w ręce szwedów, jazda zaś wszystka ocalała; gdyż na swoich fryzach doświadczyć jej nieprzyjaciół nie mógł <sup>2)</sup> tamże. <sup>3)</sup> Sprawy, 596. <sup>4)</sup> Geyer, 118.



wojny z Rzpltą, z przeniesieniem jój na teatr, bliższy sercu narodu, do Prus królewskich.

Król szwedzki nie ustawał w nękanu Polski swemi najazdami. I dziwnemi były zaprawdę zapasy tego małego państewka, liczącego wówczas, podług Droyzena (t. II, s. 71) włącznie z Inflantami, które były jeszcze teatrem wojny, półtora miliona ludności, z olbrzymim na owe czasy państwem, rachującym może 9—10 milionów, które niedawno groźnej na on czas potęgze 300,000 turków się oparło. Istna walka Dawida z Goliatem. Z tego też względu wojna szwedzka jest nau czającą dla historyka i polityka w ogóle, a dla strategika w szczególności co do tego, ile to ustrój polityczny państwa i organizacja jego siły materialnej, może zaważyć na szali w ocenie stosunku potęg państwowych i narodowych. W naszych czasach walka tego rodzaju stała się niepodobieństwem w Europie, i możemy ją spotkać tylko między państwami Europy i Azji, jak: między Anglią i Indyami, między Francją i Chinami.

Jednakże, pomimo największego wyłączenia sił Szwecyi, ciosy zadawane Polsce przez Gustawa Adolfa, nie były, przy jego sposobie wojowania, zbyt dotkliwe. Pomimo to, że polacy wojnę tę prowadzili niechętnie, niedbale, i siłami nic nieznaczącymi, zdobycze Szwecyi były stosunkowo niewielkie. Zabrali Inflanty, bo ich prawie nie broniono, ale wojny pruskie, w ciągu 4-ch lat z wielkim wysiłkiem przez szwedów prowadzone, prawie na niczem się skończyły, bo tylko na czasowem zatrzymaniu kilku punktów, które potem Polska, nie wyjmując szabli z pochwy odzyskała.

Gustawowi Adolfowi, jako monarsze niezaprzeczonego talentu politycznego, było oczywiście za ciasno w małym państewku. Czuł on w sobie zdolności, powołanie i siłę zostania potężnym władcą. Ze swego zimnego, skąpo od natury udarowanego kraiuku spoglądał zawistnym i tęsknym okiem za morze na niezmierzone żyzne przestrzenie, zajęte przez naród, który w skutek wadliwości urzędzeń politycznych i z powodu braku organizacyi sił materialnych był prawie bezbronny. Słowem, spoglądał okiem zgłodniałego drapieżnego wilka na spokojnie pasącego się tuczego wołu; połknąć go było niepodobieństwem, ale dobrze się przysposobiwszy i wypatrzywszy odpowiednią chwilę, można było urywać go częściami.

Tak też uczynił. Zaczął od przysposobienia się, od ulepszenia urzędzeń własnego państwa i od pomnożenia resursów materialnych narodu; ale najgłówniejszą zwrócił uwagę na podniesienie wojennej potęgi przez zaprowadzenie lepszego sposobu formowania armii, jój uzupełnienia, organizacyi, wyćwiczenia, opatrzenia we wszystkie potrzeby, i wreszcie przez udoskonalenie sposobu wojowania. Urządzenia wojen-

<sup>1)</sup> Fryxell, 93.

ne szwedzkie wyróżniały się bardzo korzystnie wśród urządzeń Europy współczesnej, i mogły służyć za wzór do naśladowania. Istniały one w zawiązkach już przed Gustawem Adolfem, ale mądry ten monarcha rozwinął je, uporządkował, i połączył w organiczną całość. Zaczynając od tworzenia armii, założył Gustaw Waza podstawę wojska z ludności przeważnie kmiecój; z kąd też poszła przewaga u szwedów piechoty. Pobór ludności do wojska utrzymał się i przy następcach; ale dopiero Gustaw Adolf w r. 1627 zwyczaj ten należycie uporządkował <sup>1)</sup>.

Przed poborem odbywał się zwykle popis w każdej parafii przez pastorów, którzy z ambon ogłaszali o terminie zebrania się ludności męskiej od 15-tu do 30-tu lat wieku <sup>2)</sup>. Potem, gdy już ludność powinności wojskowej ulegająca do rejestru była zapisaną, czyniło pobór w dzień wyznaczony dwunastu sędziów przysięgłych, Nāmd zwanych, pod dozorem sędziów okręgowych, wybierając każdego dostępnego, równie fizycznie jak i moralnie uzdolnionego do wojska. Brano naprzód młodych parobczaków, nieposiadających własności ziemskiej, potem mniej zamożnych gospodarzy, a następnie z większych, oszczędzając nowo-osiedlonych. Toż samo czyniono w miastach, zapisując pobraną miejską młodzież do służby morskiej, zarówno z mieszkańcami wybrzeży <sup>3)</sup>.

Wszystkie więc stany ulegały poborowi, z wyjątkiem szlachty. Ta ostatnia, podobnie jak w całej Europie, obowiązana była wystawiać poczty konne, z których się pierwotnie cała jazda szwedzka składała; ale gdy z następstwem czasu, duch rycerski w niej upadł, i gdy przez rozmaite przywileje i ulgi na królach wymożone, wyłamywać się od służby poczęła, uwolnił ją Gustaw Adolf zupełnie w r. 1625 od ciężającej na niej powinności, ale włożył zarazem obowiązek służenia na żołdzie, i to przeważnie na koniu <sup>4)</sup>.

Roziągnął też król szwedzki nadania gruntów, któremi ojciec jego, Karol IX, udarowywał żołnierzy jezdnych i na piechotę, i takim sposobem zabezpieczył utrzymanie wojska stałego i w czasie pokoju <sup>5)</sup>. Potwierdził także przywilej stanu wojskowego, przez ojca wydany, przywilej posyłania pełnomocników na sejmy państwa, gdzie głos wspólnie ze szlachtą podawali. Podniósł więc wojsko na stopień stanu politycznego <sup>6)</sup>. Liczba jednak żołnierzy, przez pobory otrzymywanych, z powodu słabego zaludnienia Szwecyi, i zachodzących później nadużyć, przy ciągłych wojnach Gustawa Adolfa i znacznym ubytku w wojsku, okazała się niedostateczną do uzupełnienia armii. Tak w początkach wojen pruskich nabrano w pierwszym roku 15,000, w następnym 12,000, a potem, gdy ludność wynalazła sposoby wyłamywania się od służby tylko 6—7,000 ludzi <sup>7)</sup>. To zmusiło króla szwedz-

<sup>1)</sup> Geyer, 43, Meinert, t. I, 253, 254. <sup>2)</sup> Geyer, 46. <sup>3)</sup> tamże. <sup>4)</sup> tamże 27 i przypisek 43. <sup>5)</sup> tamże, 50, 51 i przypisek 3 i 4. <sup>6)</sup> tamże, 30. <sup>7)</sup> tamże, 50.



kiego do uciekania się, podobnie jak jego poprzednicy, do werbunku cudzoziemskich żołnierzy, z których się całe kompanie, szwadrony czyli chorągwie, a nawet pułki składały. Pomocniczy ten środek był jeszcze i pod tym względem korzystny, że żołnierz najemny był cztery razy tańszy aniżeli szwedzki <sup>1)</sup>). Własnej narodowej jazdy, złożonej ze szlachty oraz żołnierzy ziemią udarowanych, mogła wystawić Szwecya wszystkiego 3,500 koni. W tej liczbie każda prowincya dawała po 3, a Finlandya 12 kompanii <sup>2)</sup>).

Tak samo podług prowincyi dzieliła się i piechota, a pułki piesze nosiły ich nazwy, jak: Uplandzki, Smalandzki, Nerike i inne. Razem wszystkich pułków piechoty narodowej miało być 20 <sup>3)</sup>). Pułk jednak był jednością wyższego porządku, i więcej administracyjną i gospodarską aniżeli taktyczną. W szyku bojowym nosił on nazwę brygady, podobnie jak w wojsku niemieckim nazwę batalionu; ale w czasie wojen i wielkiego ubytku żołnierzy, gdy całe kompanie związały się i nikły, niekiedy dwa, trzy pułki składały się na jedną brygadę <sup>4)</sup>).

Pułki i brygady dzieliły się na kompanie, których po 4 wchodziło do składu chorągwi czyli szwadronu (Vierfenleinu). Lecz i tu wojna sprawiała zwykle zamieszanie, i z ubytkiem ludzi liczba kompanii powiększała się w szwadronie, przyczém starano się zachować stosunek między bronią białą a palną, wynoszącą <sup>5)</sup> mniej więcej stałą ich siłę od 300 do 400-tu, a właściwie 336 ludzi. Etatowa liczba szeregowych w kompanii była 102. Z tych 48 pikinierów i 54 muszkietarów. Ale że część muszkietarów wydzielala się zwykle z kompanii dla rozmaitych przeznaczeń, jak: na załogi po zamkach, a także dla działania w pewnych razach wyłącznie bronią palną, to wskutek tego stosunek palnej do białej broni w kompaniach tak dalece się zmieniał, że liczba pikinierów w nich przemagała i na 48-u tych ostatnich zostawało tylko 36-u muszkietarów. A w szwadronie na 192 pikinierów przypadało 144 muszkietarów, co razem 336 ludzi w szwadronie stanowiło <sup>6)</sup>).

Cudzoziemskie kompanie liczyły po 150 ludzi, i od 10 do 12-tu kompanii wchodziło do składu pułków <sup>7)</sup>). Do starszyny w kompanii należeli: kapitan, porucznik, chorąży; wyższych i niższych stopni: feldfelbel, sierżant, kapitanarums, furier, firer, musterszrejber, 6 kaprali, 18 rotnejstrów i 3 doboszy <sup>8)</sup>).

Gdy Gustaw Adolf miał wystąpić jako obrońca interesów protestantyzmu w 1624 r., obowiązywał się wystawić: 12 pułków piechoty, każdy z 8 kompanii, w sile 148 ludzi. Każdy więc pułk miał się składać z 1,184 żołnierzy <sup>9)</sup>, i to, zdaje się, była norma dla pułków do 30-letniej wojny. W początkach tej epoki dodano każdemu pułkowi po 4 kompanie piechoty <sup>10)</sup>). Tak zwana szwedzka brygada także weszła w użycie, jak się zdaje, dopiero w czasie wojny 30-let-

<sup>1)</sup> Meinert, t. II, 65. <sup>2)</sup> Geyer, 60. <sup>3)</sup> tamże, 107. <sup>4)</sup> Rüstow, 18, 23 i 24. <sup>5)</sup> tamże, 26, 27. <sup>6)</sup> tamże, 24. <sup>7)</sup> Meinert, t. II, 68, <sup>8)</sup> Rüstow, 18. <sup>9)</sup> Drojzen, t. I, s. 205. <sup>10)</sup> Rüstow, t. II, s. 18.



nię. Co do wojen z Rzpltą, nie mamy nigdzie opisanego szyku wojska szwedzkiego, sporządzonego do boju przez samego Gustawa. W działaniach zaś Wrangla, podczas ekspedycji zimowej 1629 roku, spotykamy tylko szwadrony w sile do 400 ludzi, jako jednostki używane, jazdę zaś kompaniami czyli szwadronami, i o jednym tylko pułku jazdy ryngrafa jest wspomnienie <sup>1)</sup>. Taki szwadron jazdy dzielił się na kornety od 50 do 60 ludzi w każdym, a w 4-ch od 200—300 koni <sup>2)</sup>. Nasi historycy szwadrony czyli kompanie jazdy szwedzkiej zwykle kornetami zowią.

Szczególną swą uwagę zwrócił król szwedzki na artylerję, starając się głównie powiększyć jej ruchliwość. Do jego czasów artylerja była nadzwyczaj ociężała. Działa oblężnicze składały się z kartaunów i półkartaunów 48 i 24 funtowych, burzącymi u nas zwanymi, potrzebujących do przewiezienia z miejsca na miejsce wielkiej siły i zachodu; ale i połowe ćwierć kartauny, t. j. 12 funtowe, wymagały do poruszenia 16 do 24 koni <sup>3)</sup>. Gustaw Adolf cięższe połowe działa skrócił, zaprowadził lekką pułkową artylerję, składającą się z lekkich 4 funtowych żelaznych armat, które tylko  $\frac{1}{4}$  część wagi prochu potrzebowały i mogły być poruszane przez jednego konia albo przez 2—3 ludzi. Nabój do nich umieszczał się w drewnianej gilzie, do której za pomocą drutu przymocowywała się kula. Przy takim gotowym naboju tak dalece przyspieszyło się strzelanie, że działa mogły wydać 8 razy ogień, nim muszkietierowie 6 razy wystrzelili <sup>4)</sup>.

Ulepszona artylerja wiele się przyłożyła do powodzeń Gustawa Adolfa. Pod Lubieszowem w 1627 roku częste z dział strzelanie sprawiło tak wielkie na polaków wrażenie, że już się do ucieczki zabierali. Pod Breitenfeldem artylerja z jazdą miała znaczenie rozstrzygające; a pod Rajnem, Tili, ranny od kuli działowej, zbyt prędko życie zakończył i armia katolicka do odwrotu zmuszoną została.

Ulepszył też monarcha szwedzki w znacznym stopniu uzbrojenie swjej armii i pod innymi względami. Umniejszył wagę muszkietów do 13 i nawet 12 funtów, i ciężar kuli do nich do  $\frac{1}{13}$  funta. Skrócił do 4 stóp lufę i do 5 stóp długość całego muszkietu. Zamiast bandelirów dał żołnierzom patrontasze, a zamiast nasypywania prochu miarką, zaprowadził papierowe patrony, —co wszystko znacznie powiększyło szybkość wystrzału <sup>5)</sup>. Odrzucił także widelki (forkiety), jako podstawkę pod dawne ciężkie muszkiety używaną i zastąpił je przez tak zwany szwejsfeder, t. j. zaostrzony z obu stron okuty kołek, który jednym końcem wbijano w ziemię dla wstrzymywania impetu jazdy polskiej <sup>6)</sup>.

W broń, działa i wszelki rynsztunek zaopatrywało się wojsko szwedzkie u siebie w domu. Ludwisarnie czyli działolejnie na wielką skalę, w których odlewały się działa od jednego do 48 funtowych,

<sup>1)</sup> Lettres, 94 i dalsze. <sup>2)</sup> Rüstow, 41. <sup>3)</sup> Meynert, t. II, 257.

<sup>4)</sup> tamże, t. III, 69. <sup>5)</sup> tamże. <sup>6)</sup> Rüstow, 31.

istniały w Sztokholmie i Nykepingu. Do fabrykacji prochu istniały dwie fabryki w Naka i Wallingu, i 26 burtów saletranych, rozrzuconych po całym kraju. Broń ręczną prócz zakładów rządowych wyrabiali wieśniacy, podobnie jak groty do kopii i temi przedmiotami wypłacali podatek rządowi. Odbierali jednak materiał surowy, do fabrykacji potrzebny <sup>1)</sup>.

Widzimy z tego, że Gustaw Adolf przeistoczył państwo swoje w obóz wojenny i w zbrojownię.

Żołd żołnierza wynosił na miesiąc: u pieszego 3½, u cudzoziemskiego zaś kiryśnika jeźdźca 20 talarów <sup>2)</sup>. Każdy jeździec równie szwedzki jak i cudzoziemski, sprawiał sobie z dochodów lub żołdu cały rynsztunek i kupował sobie konia, jeśli zaś go stracił, to służył pieszo, pobierając żołd jezdnego, póki na kupno konia się nie zebrał <sup>3)</sup>. Jednostajnego umundurowania szwedzcy żołnierze w wojnie pruskiej jeszcze nie mieli. Gustaw Adolf przypomina tylko, ażeby żołnierze jego nietyle starali się o jednostajność barwy i o gatunek materii, ile o wygodę. W czasie zimy wojsko szwedzkie nosiło kozuchy <sup>4)</sup>.

Co do żywności w czasie wojny, to opatrywał nią król szwedzki swoje wojsko z zasobów kraju, w którym wojnę prowadził. Ale operacja ta odbywała się porządnie. Czaty pod komendą oficerów chodziły na furazowanie, zbierały żywność i przywoziły ją do obozu, i dopiero z zapasów, takim sposobem zebranych, wydzielano ją wojsku według potrzeby. Wszelkie zaś maruderstwo i rabunek na osobistą korzyść, były srodze karane.

Żołnierz szwedzki poddawał się łatwo ryzie wojennej, naprzód dla tego, że głównie ze stanu chłopskiego pochodził, a potem, że należał do narodu, który do znośczenia głodu i chłodu już w domu był przyzwyczajony, pod wpływem surowego klimatu i niewdzięcznej natury, która go niejednokrotnie przyuczała do karmienia się chlebem z korą drzewną zmieszany. Do tego już z temperamentu i charakteru narodowego był on władzom uległy i do buntu nie skłonny <sup>5)</sup>.

Artykuły wojenne Gustawa Adolfa do tego zmierzały, żeby w mniemaniu żołnierza podnieść zaszczytne jego rzemiosło i wyrobić w niem poczucie honoru. Uległość starszym w szeregach była absolutna, ale zewnątrz służby żołnierz zachowywał swe ludzkie i obywatelskie prawa <sup>6)</sup>. Starał się też król szwedzki o podniesienie religijnego ducha w swym wojsku. Po dwa razy na dzień odbywano wspólne modlitwy, a przed bitwą śpiewano pieśni nabożne <sup>7)</sup>.

Co do szyku szwedzkiego, ten prawdopodobnie podczas wojen inflanckiej i pruskiej był ustalony tylko dla kwadronów czyli chorągwi piechoty i jazdy. Tak zwana brygada szwedzka weszła w użycie dopiero podczas wojny 30-letniej. Szyk szwedzkiego piechotnego szwadronu czyli vierfähleju, wyjaśniłem w tekście i za pomocą rysunku

<sup>1)</sup> Geyer, 59, 62. <sup>2)</sup> Meynert, 70. <sup>3)</sup> tamże. <sup>4)</sup> Geyer, 61.

<sup>5)</sup> tamże, 59, 64. <sup>6)</sup> Meynert, t. III, 71. <sup>7)</sup> tamże, 72.



na planie bitwy pod Warszawą nr. 1 i 2 (Biblioteka Warszawska, 1887-go roku, zeszyt na mies. marzec), dokąd ciekawych odsyłam. Szwadrony jazdy formowały się w 4 szeregi, rzęd koło rzędu i szeregi za szeregiem. Szyk bojowy wszystkich trzech rodzajów broni widzieć można z dyaryusza Wrangla (*Lettres et Correspondence de Gustave Adolfe*, s. 94 i 95). Przyjmując w założeniu, że feldmarszałek szwedzki, sprawując swoją armią do boju, musiał mieć za wzór swego monarchę, uprawnieni jesteście do wniosku, że i Gustaw Adolf w ustawieniu swjej armii podobnegoż porządku się trzymał, który na tém zależał, że w 1-szej linii stawała artylerya, w drugiej piechota, a w 3-jej i 4-jej jazda. Szyk ten był przez króla szwedzkiego prawdopodobnie używany, w celu zastosowania się do składu wojska i sposobu wojowania polaków. Wielki efekt moralny wywierał na jazdę polską rzesisty ogień działowy i muszkietowy, i dla tego te dwa rodzaje broni zajmowały linie przodowe. Jazda, która ustępowała polskiej, chowała się niejako za piechotą, z kąd mogła w potrzebie wypadać w przedziały, między piechotnemi szwadronami zostawione.

Sposób działania piechoty miał być następujący: Idąc do ataku, muszkietierowie, na skrzydłach szwadronu stojący, z odległości strzału muszkietowego rozpoczynali ogień. Co się działo w ten sposób, że naprzód występował pierwszy szereg, zatrzymywał się, strzelał i przez przedziały, między sekcjami zostawione, w tył odchodził. To samo potem czynił szereg drugi i t. d. To się powtarzało, aż do najbliższej odległości od nieprzyjaciela. Tu szeregi się zdwajały, t. j. z sześciu formowały się we trzy, i pierwszy szereg z kolana, a dwa tylne stojąc wydawały salwy, poczem dopiero pikinierowie szli do ataku, a muszkietierowie chowali się za nimi z tyłu <sup>1)</sup>.

Tak miało być. Ale w istocie piechota w mniemaniu Gustawa Adolfa była wojskiem obronném. Raz tylko podczas wojny pruskiej, pod Gniewem, widzimy ją następującą, lecz po takiej miejscowości, na której od jazdy atakowaną być nie mogła; a przecież i tu skończyła na tém, że nie dotarwszy do nieprzyjaciela okopała się. Działania piechoty i jazdy poprzedzała, starając się skruszyć nieprzyjaciela i ułatwić powodzenie, artylerya.

Charakterystyczną cechą sposobu wojowania króla szwedzkiego w Prusach, którego próbkę, widzieliśmy już pod Mitawą, było niepomierne używanie okopów. Następując na nieprzyjaciela w celu uderzenia na niego i przeszedłszy pewną przestrzeń, zatrzymywał się Szwed i rzucał okopy <sup>2)</sup>. Czynił to zapewne dla wstrzymania impetycznej jazdy polskiej. Ale cóż potem? Przecież okopów prowadzić czyli przesuwać z sobą nie mógł, a idąc dalej, musiałby iść odkryty na uderzenia jazdy. Jak przy takiej metodzie działania można było doprowadzić atak do końca, nie wiadomo, gdyż w trzech razach, w których ten sposób został zastosowany, do ataku nie przyszło.

<sup>1)</sup> Meynert, 74. <sup>2)</sup> *Lettres*, 41.

Teraz wypada nam poznać bliżej z twórcą opisanego tylko co wojennego systemu, który, jak widzieliśmy, wyęczał wszystkie siły swego umysłu, wszystkie zasoby swego małego państwa na naszą zgubę i jeśli nas nie zniweczył, to tylko dla tego, że był za słaby.

O Gustawie Adolfie napisano liczne księgi, sławiące jego czyny polityczne i wojenne, wielbiące jego wzniosły charakter, wysoką religijność, zaliczające go do rzędu największych wojowników; a protestanci, gdyby czcili świętych, niezawodnie zaliczyliby go do ich pocztu, bo w samém imieniu Gustawus, z którego, przekładając litery, można wyczytać Augustus <sup>1)</sup>, widzą już palec boży. Wiele jednakże w tych pochwałach szumnéj, próżnéj tylko retoryki.

W nowszych czasach ściślejsza krytyka przyćmiła znacznie aureolę, opromieniającą skroń szwedzkiego monarchy. Sami nawet protestanci zaczęli dostrzegać dość tłustych plam na tém słońcu. Drojzen zdarł z niego maskę pietyzmu i protestanckich ideałów, i dowiódł, że owe mniemane idealne dążności były tylko narzędziem do innych celów. Rüstow zaś dowodzi, że celem zabiegów Gustawa w wojnie 30-letniej była korona cesarstwa Rzymskiego <sup>2)</sup>. Tenże znakomity pisarz wojenny utrzymuje, że wszelkie ulepszenia w sztuce wojennej i jej narzędziach, oraz w sposobie wojowania, zwykle Gustawowi Adolfowi przypisywane, zapożyczone były przez niego w przeważnym stopniu od Holendrów <sup>3)</sup>. Co do mnie, opinią moją o tym królu, jako o wojowniku, opierać mogę tylko na działaniach jego w wojnach inflanckiej i pruskiej, których badaniom poświęcam pracę moją niniejszą.

Gustaw Adolf przyszedł na świat 9-go grudnia 1594 roku, z ojca Karola, stryja Zygmunta III-go, nazywanego u nas Sudermanem, a w Szwecyi Karolem IX-ym i matki, Krystyny, córki Holsztein-Szlezwickiego księcia Adolfa <sup>4)</sup>. Kierownikami jego początkowego wychowania byli: Jan Skytte i Otto v. Mörner. Ten ostatni piastował przy Karolu IX-ym urząd marszałka, był z pochodzenia brandeburczykiem, wiele wiożował i posiadał wysokie wykształcenie. Skytte po 9-ciu latach podróży zajmował posadę sekretarza kancelaryi państwa. Skytte i Mörner kształcili młodego królewicza we wszystkiém, co mu, jako przyszłemu monarsze, potrzebném być mogło. Skytte uczył go szczególnie łaciny, historii i prawa szwedzkiego. Przewodnikiem w sztuce wojennej był emigrant francuzki de la Gardie <sup>5)</sup>.

Ponieważ ojciec Gustawa był człowiekiem twardym i surowym, a matka wyższego umysłu i tęgiego charakteru kobietą, wychowywali też syna na stopie poważnej i w ciasnych klubach, zaprawiało go do pracy, do cnoty i do mężkich czynów <sup>6)</sup>. W szóstym roku życia był Gustaw z ojcem na wyprawie w Inflantach, a więc już w młodym wieku widział wojnę szwedów z polakami <sup>7)</sup>. Być może, że w serce jego wpoilo się i trochę zemsty za klęski, jakie szwedzi

<sup>1)</sup> Droysen, 53. <sup>2)</sup> Rüstow, 3. <sup>3)</sup> tamże, 21. <sup>4)</sup> Droysen, 53.

<sup>5)</sup> tamże, 56. <sup>6)</sup> Geyer, 26. <sup>7)</sup> Droysen, 58.



w tój wojnie ponieśli, co także i z przyszłych stosunków do Polski przezierać zdaje. Od lat 10-ciu pozwalano mu być obecnym przy obradach nad sprawami państwa. Bywał też przytomnym przy audyencyach postów, a czasami nawet z polecenia ojca dawał im odpowiedzi. Takim sposobem zaznajamiano go zawczasu z interesami i sprawami kraju <sup>1)</sup>).

Dwór królewski pełen był wówczas wałęsających się po Europie awanturników, oficerów różnych armii. Byli tam Niemcy, Francuzi, Anglicy, Hollendrzy, a nawet Hiszpanie i Włosi. Z woli ojca otaczali oni osobę młodego następcy tronu. Opowiadali mu o wojnach, bitwach, oblężeniach, o obyczajach wojsk lądowych i morskich i tyle znajdowali ciekawości i interesowania się w młodym królewiczu, że po całych dniach powieści ich gotów był słuchać. Takim sposobem młody, wrażliwy umysł zapalał się do rzeczy wojennych, do chęci pozyskania sławy i prześcignienia wzorów, jakie mu przed oczy stawiali. Szczególny entuzjazm budził w nim ks. Maurycy Orański, którego stał się naśladowcą <sup>2)</sup>).

Widzimy ztąd, że i otoczenie i wychowanie składały się na to, ażeby na tój latorośli surowego, burzliwego i ambitnego pnia Wazów wojownicze skłonności zaszczepić. Skutkiem takiego zbiegu wrodzonego charakteru i wykształcenia, wojna stała się żywiołem, rzemiosłem i potrzebą Gustawa Adolfa. Tak: rzemieślnik z powołania bez zajęcia siedzieć nie mógł: musiał wojować i wojował. Marnował krew i mienie swych poddanych, nękał sąsiadów, pustoszył ich kraje, a cel i przyczyna do wojny zawsze się znalazły.

W młodych latach nabył Gustaw znajomości obcych języków i niektórymi z nich z wielką łatwością władał, jak: łacińskim, niemieckim, francuskim, holenderskim i włoskim; a po polsku i po rosyjsku nieco rozumiał <sup>3)</sup>). Ulubionym jego autorem wojennym był Ksenofont, którego uważał za najlepszego pisarza o rzeczach wojennych. Także pilnie studiował Hugona Grocyusza, a szczególnie traktat jego *de jure belli* <sup>4)</sup>). Już w 15-ym roku życia, z okazji wojny z Moskwą, pretendował młody książę do dowództwa nad armią, ale że komenda ta przyrzeczona była innemu, musiał ustąpić i zostawać rok jeszcze bezczynnym przy ojcu. Dopiero gdy wstąpił w rok 17-ty, ojciec przepasał go publicznie na sejmie 1611 roku mieczem i wysłał na wojnę z Danią <sup>5)</sup>).

Postać Gustawa Adolfa była imponująca: przy ogromnym wzroście, którym przewyższał najwyższych swych poddanych, przy szerokich barkach i silnej budowie, odznaczał się spokojną powagą i wspaniałością. Twarz miał ściągłą, cerę białą, blond włosy i ryżowatą brodę. W późniejsze lata, w miarę przybierania ciała, dawała się postrzegać w ruchach jego pewna ociężałość <sup>6)</sup>). Z usposobienia już przyrodzone-

<sup>1)</sup> Droysen, 58. <sup>2)</sup> Geyer, 2. <sup>3)</sup> Droysen, 57. <sup>4)</sup> tamże. <sup>5)</sup> tamże, 58. <sup>6)</sup> tamże, 61.

go nie chętnie się udzielał towarzystwu; zamknięty w sobie i niedostępny nawet dla najbliższych z otoczenia. Przy dawaniu rozkazów nie wdawał się nigdy w wyjaśnienie pobudek <sup>1)</sup>. Pozornie lubił prostotę i zdawał się być pozbawiony owych monarchicznych przesądów wyższości od Boga pochodzącej, (po zawarciu zawieszenia broni w r. 1622 pod Mitawą, podawał rękę każdemu żołnierzowi polskiemu, który był szlachcicem); ale u siebie w domu miewał wybryki despotyczne <sup>2)</sup>.

Niektórzy, a między nimi i autor „Historyi wojennej nowych czasów,” ks. Golicyn, zaliczają Gustawa Adolfa do pocztu geniuszów takich, jak: Aleksander, Hannibal, Napoleon. Wojny atoli inflancka i pruska mogą służyć za dowód, że miejsce jego u stołu tych wielkich wojowników mogłoby być tylko na odległym szarym końcu. Gdzieżby odnaleźć w tych wojnach tę kolosalną rozległość pomysłów i planów, tę konsekwencyą i stałość w ich wykonaniu, tę oryginalność we właściwym każdemu z nich sposobie działania. W przystosowaniu do wielkich czynów tych słońc wojennego firmamentu, dwie te wspomniane wojny przedstawiają się czémś ledwie dostrzegalnym. W początkach obydwóch widzimy przynajmniej takie cele, jak Ryga i Gdańsk, które się zresztą same przez się wskazywały; ale dalsze działania w Prusach przedstawiają się jakimś bezcelowym błakaniem, uderzeniem to w tym, to w innym kierunku, bez żadnej myśli przewodniej.

Nie można mu wprawdzie odmówić zasługi co do ulepszenia narzędzi wojny i sposobu wojowania; ale jakże to daleko od metod i systemów wielkich wojowników. Główną sprężyną działania tamtych była śmiała akcyja zaczepna, król szwedzki myślał tylko o ulepszeniu obrony. Takie bowiem znaczenie miało wzmocnienie ognia, używanie okopów i cały jego szyk bojowy. I ta metoda do tego przywiodła, że gdy i nieprzyjaciel chwycił się obrony, wszelka akcyja między stronami ustawa. A owa chwiejność i niepewność w działaniach, którąśmy już poznali w części podczas wojny inflanckiej i która się w wojnie pruskiej na każdym kroku powtarza, czyż to znamionuje wielkiego wodza. Bedwątpienia nie. O czém się też czytelnik dowodnie w dalszym wykładzie przekona.

Przechodząc teraz do urzędów wojennych polskich, muszę uprzedzić, że pełnego i wyczerpującego ich obrazu dać obecnie nie jestem w stanie, gdyż z braku u nas dzieł specjalnie ten przedmiot traktujących, materyał potrzebny wypada okruciami z dzieł historycznych wydobywać. A ktoby się chciał o zamęcie i fałszu, jaki o tych materyałach w obcej literaturze panuje, przekonać, tego odsyłam do

<sup>1)</sup> Droysen, 60. <sup>2)</sup> Na dworzanina swego Eryka Brorsona, który na rozkaz jego nie chciał do stołu usługiwać, gdyż uważał to sobie za ubliżające, tak się gniewem uniósł, że gdy go zbiegłego ukarać nie mógł, pozbawił jego ojca urzędu.—Geyer, 28 i przypisek.



„Rosyjskiej historii wojennej” wspomnionego już ks. Golicyna, który wiadomości swoje o urządzeniach wojennych polskich poczerpnął od Pawliszczowa, nie mającego o nich żadnego pojęcia. Toż samo spotykamy i u Meinerta w jego „Geschichte des Kriegswesens und der Heerverfassungen in Europa,” gdzie sztuka wojenna polska, za cały peryod do wynalezienia prochu, pod tytułem: „Pohlen und Galizien” zajmuje 1½ kartki, a historia tychże rzeczy za tenże peryod w Rosyi opisana na 5-ciu kartach.

Wojsko stałe polskie, zwane kwarcianém, utrzymywane zwykle w liczbie około 4,000 <sup>1)</sup>, przeznaczano się dla obrony granic Rzpltej od najazdów tatarskich i było rozłożone na południowych kresach. Reszta granic stała otworem.

W razie wojny sejm uchwalał suplement czyli pomnożenie wojska, równie jak potrzebnę na utrzymanie jego pobory, działało się to na przedstawienie wyznaczonych do tego komisji. A ustanowiony tym sposobem komput, co do liczby i różnego rodzaju chorągwi, osobnym skryptem za podpisem prymasa, hetmana, marszałka poselskiego, oddawany był do archiwum, jako wielka tajemnica stanu <sup>2)</sup>. Po uchwaleniu komputu, wydawano w kancelaryi koronnej za podpisem króla listy przypowiednie na formowanie chorągwi rotmistrzom, według wyboru króla, województw, lub na przedstawienie hetmanów <sup>3)</sup>. Listy owe

<sup>1)</sup> Liczba wojska kwarcianego za Stefana Batorogo była nad podziw mała. Zamojski (str. 312 „Aktów historycznych,” do objaśnienia rzeczy polskich służących, t. XI-ty) mówi: „Kwarta na obronę granic ruskich jest nie wystarczająca, bo na utrzymanie 600 żołnierza na jeden ledwie kwartał starczy.” Za panowania Władysława IV-go liczba kwarcianych była znacznie wyższa i dosięgła 3,900 ludzi.

<sup>2)</sup> Volumina Legum, V. 5, s. 596.

<sup>3)</sup> Przedstawienie na rotmistrzów należało właściwie do atrybucji hetmanów, którzy znali wojennych ludzi, szczególnie tych, co z odzuczeniem służyli. Nigdzie wprawdzie nie spotykamy wyraźnego na to prawa, było to jednak w porządku rzeczy i, jak widać, we zwyczaju; gdyż Radziwiłł w liście do kanclerza litewskiego (Leona Sapiehy) 12 lipca 1621 r. z Iwii, z powodu wydania listów przypowiednich na wybrańców, pomimo niego, pisze: „bo oho do memu właśnie należało urzędowi, aby do mnie listy przypowiednie oddane były, przeciw mnie tém upośledzono. Wszakże na potem żyć i proszę, abyś WMP., stróżem praw i zwyczajów ojczystych będąc, postrzegł tego raczył, żebym ja jako ten, który z cudzą wokacją nie zwykłem nigdy sierpem zaczynać, w urzędzie mym, którym da Bóg candide zawiaduję, żadnych intruzów nie miał.” Wiadomo zkądną, że pod względem wyboru i przeznaczenia na rotmistrzów działy się często malwersacye. Trafiali do tego urzędu i wprost przez kancelaryą królewską, a dla rot powiatowych otrzymywali listy przypowiednie na przedstawienie powiatów. Tak właśnie było przed wojną chocimską, z czego Chodkiewicz był bardzo niezadowolony.

należało najdalej dnia trzeciego oblatować w grodzie najbliższym od miejsca, gdzie ludzie zbierani być mieli. Na zbieranie roty przeznaczano się dwa miesiące, a na ściąganie dwa tygodnie <sup>1)</sup>. Takie było prawo, ale w rzeczy samej, terminy te znacznie się przewlekały i hetmanom, a nawet królom, na zgromadzenie się chorągwi na punktach zбору długo czekać przychodziło.

Rotmistrzami mogła być tylko szlachta osiadła, w sprawach rycerskich dobrze ćwiczona <sup>2)</sup>.

Sam zaciąg odbywał się w taki sposób: rotmistrz gdy chciał zaciągnąć chorągiew, czy to za pieniądze Rzpltej, czy téż z własnej szkatuły, jechał do szlachty, pytając jeśliby chcieli służyć z nim razem. Oni ze swój strony pytali, ile mógł im dać oprócz zwyczajnego żołdu na miesiąc i jeżeli się wzajem zgodzili, stawali pod chorągiew <sup>3)</sup>, prowadząc poczty z 4, 3, 2 koni złożone, ale byli i tacy, co na jednym służyli koniu <sup>4)</sup>.

Szlachta, stojąca na czele pocztów, nosiła miano towarzyszów, ludzie zaś pocztu zwali się—czeladzią pocztową lub pachotkami. Zwykle prócz koni pocztowych, mieli towarzysze niemniej jednego konia od przygody—powodowego i kilka wozów, na których się składała żywność, rynsztunek, narzędzia szańcowe. Wozy prowadziła tak zwana czeladź luźna albo ciury, która do obrony obozów, a niekiedy do demonstracji <sup>5)</sup>, wyjątkowo zaś i w bitwach była używaną <sup>6)</sup>. Ta ostatnia czeladź składała się zwykle z pospólstwa, pocztowa zaś ze szlachty drobnej i ubogiej <sup>7)</sup>, ale bywali i węgryni i niemcy <sup>8)</sup>, a niekiedy i własni pp. towarzyszów poddani, zapewne ze służby dworskiej <sup>9)</sup>. Ekwipowali się towarzysze ze swemi pocztami, t. j. konie kupowali, często jak u husarzy bardzo drogie, i cały żołnierski rynsztunek sprawiali, bogatsi synowie szlachty możnej na własny rachunek <sup>10)</sup>, ubożsi zaś przy pomocy rotmistrzów. Wielcy panowie wystawiali częstokroć całe chorągwie i nawet po kilka różnych chorągwi na własny koszt, które oddawali potem w służbę Rzpltej, na jej żołdzie <sup>11)</sup>.

Jazdy narodowej były trzy rodzaje: ciężka, usarze i arkiebuzerowie; (ostatni zwykle w niewielkiej liczbie); średnia: pancerni, pety-

<sup>1)</sup> Vol. Leg., III, s. 336. <sup>2)</sup> tamże, II, s. 1372. <sup>3)</sup> Starowski, Eques Polonus. <sup>4)</sup> Klimakter IV, Kochowskiego 184, Sobieski radzi, dla łatwiejszego powiększenia wojska: towarzystwo, który na jednym koniu służy dać drugiego, kto na dwóch przystawi trzeciego. <sup>5)</sup> pod Kirchoholmem. <sup>6)</sup> pod Zborowem na r. Basi. <sup>7)</sup> Pusek (wyd. Lachowicza): „czeladnik mój niejaki Wolski, szlachcic z pod Brzezin.“ <sup>8)</sup> Maskiewicz 66: „Wszystko to skradł bratni pacholik niemiec Jakób.“ <sup>9)</sup> Poczobut: „Czeladnik mój osiadacz, nazwiskiem Kuczyński, a zasie prawdę rzecz poddany mój wieczysty.“ <sup>10)</sup> Maskiewicz II: „brata Gabryela wyprawili rodzice na wojnę moskiewską z domu, dawszy mu kilka koni z rynsztunkiem.“ Poczobut kupił gotowy poczet z 4-eh koni za 1,600 złotych. <sup>11)</sup> Starowski, Eques Polonus.



horcy, czeremysy i lekka: kozacy i tatarzy. Często jednak pancernych razem z kozakami liczono. Do jazdy cudzoziemskiego autoramentu należeli: dragoni i rajtarzy.

Piechota składała się z piechoty polskiej, węgierskiej czyli hajduków i cudzoziemskiej, lub tylko cudzoziemskiego autoramentu. Pierwszą piechotę polską, wybrańcami zwaną, zaprowadził Stefan Batory i był z niej bardzo zadowolony. Za tego monarchy, z dóbr królewskich, równie wolnych jak i zastawnych, wybierano jednego dobrego, sposobnego i serdecznego pachołka z 20-tu kmieci. Pozostający na jego miejscu ojciec albo brat wolny był od wszelkich płac i służb, które innych 19-tu za niego pełniło. Pacholik taki powinien był wychodzić rządnie, z rusznicą, szablą i siekierą, a dziesiętnicy z dzidą, do brze odziani <sup>1)</sup>.

Po śmierci Batorego, gdy liczba téj piechoty na wojnach umniejszać się zaczęła, postanowiono lustracją łanów, gdyż już nie z 20-tu kmieci jeden, lecz tylko jeden pachołek z 20-tu łanów był wysyłany. Podobno pp. dzierżawcy niewygodne dla nich łany znosili, a wybrańców do robót pociągali. Następowaly wskutek tego różne obostrzenia i zmiany. To uchwalono, ażeby z łanów, zamiast stawiania wybrańców, dzierżawcy pieniądze wypłacali, to znowu samych wybrańców powoływano do służby. Robiono téż spisy, ile z kąd wybrańców powinno i te wręczano rotmistrzom, wyznaczonym do ich wybierania. Przy takim zamieszaniu i trudnościach w ściąganiu, piechota wybraniecka była nieliczna, a że nie była ćwiczona ani w obrotach, ani w używaniu broni, mało była na wojnie przydatną. Naprawiała drogi, budowała mosty, sypała szańce, a niekiedy po zamkach na załogach siedziała. Węgierska piechota czyli hajduki, a częścią i polska, podobnie jak cudzoziemska powoływała się sposobem werbunku z bębniem <sup>2)</sup>, głównie z ludności podkarpackiej. Cudzoziemska zaś niekiedy w Prusach, nie mniej na Szlązku, Morawie i ziemiach niemieckich.

Wejher powiada: „Mam pułk więcej niż 3,000 piechoty (w Zamościu), którzy lubo wszyscy po niemiecku ubrani, jednak z Prus, Pomorza, Kaszub, Inflant i Kurlandy zaciągnięni żołnierz, i z innych do Królestwa Polskiego należących prowincyi.“ Nawet gdzie niegdzie w spisach oficerów i żołnierzy w czysto niemieckich pułkach przerzucą się nazwisko polskie.

Artylerya polska, która za Stefana Batorego znacznie się polepszyła (odlewano bowiem u siebie w domu działa, w Krakowie i Wilnie, i używano ich umiejętnie przy zdobywaniu licznych zamków na Białorusi i w ziemi Moskiewskiej), upadła całkowicie przy Zygmuncie, dla którego rzemiosło wojenne było zupełnie obce, tak dalece, że na wojnie chocimskiej 1621 r. pożyczano działa od Kozaków, a przy

<sup>1)</sup> Vol. Leg., VII, s. 1,425. <sup>2)</sup> Sprawy, 1,275: „Listy przypowiednie na piechotę, jedne w szkatułach leżą, a z drugimi rotmistrze dopióro po Litwie w bębny kołaczą.“

obłężeniu Gniewu kule do dział nie pasowały. W całej téż kampanii pruskiej daje się uczuć ten upadek artylerji, a szczególnie brak dział obłężniczych burzących.

Uzupełnienie wojska przez nowe chorągwie mogło nastąpić tylko z zezwolenia sejmu. Uzupełnienie zaś chorągwi należało do obowiązków rotmistrzów, których powinnością było utrzymywać je w komplecie określonym listem wypowiednim. Do sprawdzenia liczby ludzi i koni w chorągwiach, istniał w Rzpltej przy wojsku urzędnik, zwany pisarzem polnym, który w różnych chwilach, a głównie po „przyciągnięciu do obozu“ i przed odbiorem żołdu chorągwie popisował. Popis ten odbywał się niekiedy w obecności królów.

Wada zaciągów polskich leżała najprzód w tém, że jako złożone z samej szlachty, licznymi być nie mogły, szczególnie od czasu, gdy duch rycerski w niej podupadł. Potém, składając się przeważnie z jazdy, obok piechoty zawsze lichéj i nielicznój, musiały być jednostronne i kulawe, od miejscowości zależne, zdolne tylko do działañ zaczepnych, co wynika z samej istoty i własności téj broni. Do rzetelnój atoli, upornój obrony wojsko polskie zdolne nie było; co na wojnie wiele znaczy, gdzie częstokroć placu bronić potrzeba, a także fortec i zamków. Wreszcie i sam atak jazdy, nie przygotowany należycie przez ogień piechoty i artylerji, z trudnością mógł liczyć na powodzenie.

Rozumiał to już Fredro w dziele „Nowe uważania porządku wojennego,” w którém mówi: „Pieszy przy swoim ogniu, gdy rydel a spise ma w ręku, lubo znajdzie otwarte, albo przeszkodzone górami, lasami, błotami, rowami pole, przecież mu jest zarówno do wojowania każde miejsce, więcéj za to ma fortelów i sposobu, więcéj zamyka (w obrotach swoich szeregów) umiejętność. Lecz konny jednym tylko otwartym dobry polem. Więcéj potrzebuje miejsca, wczasu i żywności. Zwłoką, zimą i w wałach słabszy. Konny (owo zgoła) wojny czatowój i ucierać uczy, a pieszy wojować i dotrzymywać.“

Pokazał wprawdzie Stefan Batory sposób do formowania dzielnej piechoty polskiej. I materiał do niej był liczny i doskonały. Ale reforma ta nie przyjęła się w umysłach i sercach szlachty polskiej. Rzecz jasna; żołnierstwo prowadziło do uszlachcenia, a godnością tą szlachta dzielić się z ludem nie chciała. Mogło to prowadzić i do ubytku we własnych chłopach poddanych. A nareszcie na czémżeby się opierało znaczenie szlachty, jako stanu.

Widziała szlachta naokoło liczne hufce piechoty u Moskwy i Szwedów. Hetnani w wojnach z Gustawem mocno jój brak uczuwali; ale wszystkie ich prósy nie zdołały poruszyć zasklepionego w swoim egoizmie stanu. Wolano najmować szwabskich drabów, którzy odebrawszy handgeld, ubranie i uzbrojenie umykali do ojczyzny, albo oddawali się przy pierwszój sposobności w ręce nieprzyjaciela i zdradzali <sup>1)</sup>, aniżeli chłopą obok siebie walczącego widziéć.

<sup>1)</sup> Starowolski, Eques Polonus.



Drugą wadą dodatkowych zaciągów było to, że się zbierały tylko na czas wojny i po jej ukończeniu związały. Żołnierz czasowy, szlachcic od rodziny i gospodarki oderwany, wyglądał z niecierpliwością końca wojny, a gdy się go doczekać nie mógł odjeżdżał z wojska. Bezdomni znowu chudopachołkowie, a do tego temperamentu wojowniczego, spróbawwszy swych szabel na karkach nieprzyjaciela, zastosowywali tę sztukę, gdy jego nie stało, do głów swoich współziomków. Zbierali się w kupy swawolne i po ojczyźnie plądrowali, póki banitami ich nie ogłoszono i póki jaki starosta ze swym ludem, do muru przycisnąwszy ich nie wysieknął <sup>1)</sup>. A ile szkody przynosiła powolność i opieszałość w zbieraniu wojska! Po rozdaniu przypowiednich listów na wiosnę, ledwie ku jesieni można było doczekać się zgromadzenia chorągwi do wielkiego obozu. Nieprzyjaciel, przysposobiwszy się zawczasu do wojny, mógł ją wypowiedzieć, do Rzpltej wtargnąć, całe jej prowincye splądrować i spustoszyć, nim wojsko w pole wyszło.

Widziały to stany i dobrze rozumiały niedogodność tego rodzaju obrony, ale wyżej nad bezpieczeństwo granic stawiały swą złotą wolność. Zniechęci do poborów, a jeszcze więcej z obawy, ażeby król, zagarnąwszy władzę nad stałym wojskiem, za czuby ich nie wzięt, woleli drzwi na oścież dla nieprzyjaciela trzymać, oddawać na pastwę życia i mienie swych obywateli, aniżeli swą swawolę ścieśnić i ograniczyć.

Jednostką administracyjną, gospodarską i taktyczną w jeździe była chorągiew czyli rota z dwoma zwykle oficerami: rotmistrzem lub w zastępstwie porucznikiem i chorążym. Żadnych niższych stopni ani żadnych poddziałów, prócz pocztów, z towarzyszami na czele nie było. Byli to żołnierze, odpowiadający niemieckim rotnejstrom (starszym nad rzędami). Lecz tamto byli chłopci, nasi zaś towarzysze była to szlachta zwykle zamożniejsza, a częstokroć mówiąca po łacinie i wykształcona jak: Pasek, Maskiewicz, Kochowski, Poczobut.

Piechota polska dzieliła się także na chorągwie, a chorągwie na dziesiątki z dziesiętnikami na czele. Czy się łączyła w wyższe jednostki, na to odpowiedzieć nie mogę. Nie udało mi się też nic wyczytać o organizacji piechoty węgierskiej. Niemiecka zaś i niemieckiego autoramentu piechota była organizowana na wzór niemiecki i zapewne według modły austriacko-niemieckiej w wielkie bataliony dla potrzeb bojowych <sup>2)</sup>,

<sup>1)</sup> Podobnie lisowczyki, gdy wojny ustały, stali się plagą ojczyzny, póki ich nie wygładzono. A był to wyborny matoryał na żołnierza, gdyby go użyć umiano. <sup>2)</sup> Akta historyczne, t. XI. „Piechota równie węgrodw szlu w jednym hufie“ (pod Wielkie Łuki). W takie hufy szkowały się 1,000 i do 3,000 ludzi. Huf taki powinien był mieć kształt kwadratu, t. j. być tak szeroki jak głęboki. Zwykle jednak, ponieważ odległość między szeregami była większa, aniżeli pomiędzy ludźmi obok stojącymi, był tylko prostokątem. Ale ludzi stawało tyłem na czoło, ile w rzędach jeden za drugim.

w pułki, z podziałem na kompanie pod względem administracyjnym. Przed wystąpieniem w pochód na wojnę z wielkiego obozu, chorągwie różnego rodzaju, po kilka usarskich, pancernych i kozackich, z częścią piechoty łączyły się w pułki <sup>1)</sup>. Odpowiadały one dzisiejszym dywizjom z różnych rodzajów broni złożonym; ale pozbawione zupełnie artylerji, nie miały ich samodzielności.

Na czele pułków stali pułkownicy, a nad całym wojskiem hetmani, ze swym sztabem, złożonym z strażnika, oboźnego, pisarza i sędziego. Urzędy te były dożywotnie, co przedstawiało tę niedogodność, że jeżeli jaki niedołęga na urząd się dostał, to pozbyć się go nie było można. W braku hetmana wojskiem dowodzili regimentarze.

Uzbrojenie dawniej naszej jazdy jest powszechnie znane, a o uzbrojeniu piechoty polskiej już powiedziano. Piechota autoramentu cudzoziemskiego była uzbrojona na wzór niemieckiej w długie do 17 stóp kopije, szable i muszkiety. Toż samo stosuje się i do umundurowania tej piechoty.

Polska piechota nosiła strój narodowy: żupany i delije rozmaitej barwy, podług województw, tak co do wierzchu, jak i podszewki. Jedna np. z chorągwi wybranieckich, w r. 1630 miała mundur następujący: barwa zwyczajna obłoczysta (znaczyć ma zapewne siną czyli błękitną, koloru obłoków albo nieba) pętlice czerwone dla pachołków, dziesiętnicy zaś delije czerwone, żupany białe. Podszewka u pachołków, tak do delij, jak do żupana czerwona, a u dziesiętników zielona pod delijami czerwonymi <sup>2)</sup>.

Jednym z największych braków urzędów wojennych polskich było,—żywienie wojska.

Podług uchwał sejmowych, wielokrotnie powtarzanych, żołnierz winien był żyć z żołdu. Rzadko się to jednak praktykowało.

Nawet na wojnę idąc, napełniano wozy częstokroć cudzym chlebem, który wybierano pod nazwiskiem stacyi noclegowych, kierując drogę wężykiem <sup>3)</sup> przez dobra królewskie i duchowne. Nienadługo jednak starczyło tego chleba i jeżeli wojna dłużej się przeciągnęła, wystarczyć nie mogło. Uciekano się wtedy do picowania (furażowania), posyłając w okolice obozu czaty z pachołków i ciurów złożone pod dowództwem pewnej liczby towarzystwa z pod chorągwi. Uchodziło to w cudzoziemskim kraju póki ostatecznie okolice obozu nie spustoszone zupełnie. Ale gdy wypadło prowadzić wojnę na własnej ziemi, picowanie przybierało nazwę grabieży i podnosiło skwierk, płacz i narzekanie szlachty i ich poddanych. A tymczasem innego sposobu wyżywienia wojska nie było, bo pomijając nie-

<sup>1)</sup> Patrz: Komput wojska przed wojną chocimską 1621 r., Żegota Pauli. <sup>2)</sup> Archiw Jugo-zapadnoj Rosii, t. I. Uniwersał rotmistrza Łukasza Załęskiego. <sup>3)</sup> Pasek nazywają to: „jak sierpem cianął.”



praktyczność żywienia się żołnierza podczas wojny z żołądem, jak miał on postąpić, gdy mu żołąd niepłacał. Musiał żyć rabunkiem. Bywały nawet wypadki, kiedy król sam upoważniał do takiego rabunku. To właśnie zdarzyło się w obozie pod Sokalem. Szlachta na taki postępek króla niezmiernie się oburzyła; a jednak na żadne ulepszenie w żywieniu wojska zdobyć się nie mogła.

Że te lepsze sposoby nie były jej obce i nieznanne, może służyć za dowód, że podczas wojny pruskiej, przeznaczeni przez sejm komisarze skupywali żywność i dostawali ją wojsku. Mieli ją żołnierze, podług naznaczonej taksy kupować, ale biorąc na borg, na rachunek zasług, w darze ją potem otrzymali.

Był to potworny zamęt i nieład z punktu widzenia państwowego porządku, pod względem zaś wojennym, co do celów i potrzeb wojny, skutki tak niestosownego sposobu żywienia wojska były jeszcze zgubniejsze. Żołnierz głodny dezertował, — z kąd wojsko im dłużej trwała wojna tém więcej topniało. Hejdensztejn (str. 458) mówi: „Po wzięciu Wołmierzu (Wolmaru) wielkie się nieukontentowanie w wojsku objawiło, z powodu braku żywności. Wielu bez pożegnania hetmana odjechało. Piechota prawie wszystka się rozeszła.” I znowu na str. 459: „W wojsku rozprężenie było wielkie. Kilka chorągwi nie ustuchawszy rozkazu hetmańskiego, żeby wszyscy razem ściśnieni maszerowali, rzuciło się na bok po żywność i furaz i rabowało jakby w nieprzyjacielskim kraju. Szeregowi i ciury obozowi raz wraz chorągwie opuszczali.“

Trudno też było z końmi, których trzeba było z braku furazu trzymać na paszy niekiedy daleko, a pochodząca ztąd niedogodność jasną jest dla każdego, kto cenę czasu i chwili na wojnie rozumie.

Nareszcie system ten niekiedy losy armii i wojen rozstrzygał. Dla uratowania się z pod Cecory, wojsko musiało się chwycić desperackiego środka. Z pod Chocima Bóg tylko uratował, bo gdyby się jeszcze turcy potrzykali, mogli albo głodem polaków wymorzyć, albo zmusić ich do jakich chcieli warunków, gdyż żywność w obozie była na ostatku, nic prawie ołowiu i zbiegostwo ogromne. Toż samo było i pod Żórawnem. Pod Zbarażem położenie było rozpaczliwe. Złe było i pod Beresteczkiem, ale zwycięstwo uratowało.

Gdy z nastąpieniem zimy, jak było podczas wojen pruskich, wojenne działania ustawały, wojsko rozchodziło się po kwaterach, gdzie otrzymywało przystawstwa, podług rejestru kwater, w kancelaryi hetmańskiej ułożonego. Przystawstwa t. j. wioski na chorągiew przeznaczone, obowiązane były dostawiać tak zwaną stacyą zimową dla chorągwi. Ażeby dać pojęcie o rozmiarze tych stacyi i zarazem o żywieniu polskiego żołnierza, wskazuję ilość produktów, jaką właśnie w roku 1628 w Prusach wybierano <sup>1)</sup>.

<sup>1)</sup> Rękop. Bibl. Ossol. nr. 209, str. 523: Na jednego konia na miesiąc: Korzec mąki działdowski, albo pół ćwierci kwidzyńskiej, jałowica na 4

Niemniej zgubne skutki pociągała za sobą nieakuratna płaca żołnierza. Sejm uchwalał pobory przed wojną. Ale do ich zebrania było jeszcze bardzo daleko. Forszusy na kosztą wyekwipowania żołnierzy, którzy ich potrzebowali, wydawali rotmistrze, hetmani, biskupi i bogaci panowie. Nareszcie chorągwie wychodziły w pole i służyły jedną i drugą ćwierć, a należnego żołdu doczekać się nie mogły. Tymczasem podczas wojny żołnierz się obdzierał, zużywał rynsztunek, tracił konie i stawał częstokroć w zupełnej niemożności służenia. Ztąd skargi i żale do hetmana, burzenie się żołnierzy, wyjeżdżanie z wojska, potem pogroźki o wypowiedzeniu posłuszeństwa i nareszcie bunty i zwiazki. W „Pamiętnikach do panowania Zygmunta III, Władysława IV i Jana Kazimierza,“ spotykamy takie zdanie (s. 146): „Przed bitwą pod Batohem nie pilnowali chorągwi, nie mając zapłaty,“ a na str. 159 „unikali starszyzna—rotmistrze od chorągwi, bo nie mieli co dać żołnierzom.“ Doprowadzone do rozpacz wojsko wchodziło w związek, wypowiadało posłuszeństwo hetmanowi, rozkładało się samowolnie po starostwach i dobrach duchownych, wybierało dochody, administrowało jak własnym majątkiem i stawalo się siłą, przed którą nietylko posłowie i senatorowie, ale i sam król musiał uchylać czoła. Że panowanie takich zwiazków powiększało zamęt w Rzpltej, która była i tak stałem siedliskiem anarchii, to jeszcze mniejsza, skoro Polska nierządem stała; ale zwiazki wywierały niekiedy wpływ i na stosunki zewnętrzne, niszczyły owoce zwycięstw, krwią zdobytych; jak związek zwany „święconym,“ który stanął wtenczas, gdy po zniesieniu zupełnem Chowańskiego i Szeremetiewa, pozostawało krok jeszcze uczynić, aby korzystny pokój uzyskać.

Jak żałośnie i ciężkie, przy takich warunkach było położenie naszych hetmanów, którzy jednocześnie musieli myśleć i o odpieraniu wroga i o utrzymaniu w całości i porządku niezadowolonego wojska, można wyrozumieć z listów Chodkiewicza i Radziwiłła Krzysztofa podczas wojen inflanckich a Koniecpolskiego w czasie wojny pruskiej. Czytając je, zdaje się, że się czyta martyrologie męczenników.

I cóż tu mówić o ścisłem pełnieniu służby; o utrzymaniu dyscypliny, kiedy hetman musiał prosić, a nie rozkazywać. Co do dyscypliny w wojsku polskiem, wspominałem już, że główną przeszkodą w jój utrzymaniu były: wadliwy system zaopatrywania w żywność i nieregularna płaca żołdu żołnierzom.

Ponieważ służba wojskowa nie była powinnością jak dzisiaj, ale dobrowolnie obranym stanem i polegała na zabopólnej ugodzie, wypadalo ztąd, że niedotrzymanie jej przez jedną stronę, uwalniało od zob-

konie, połec słoniny na 4 konie, grochu korzec na 4 konie, kaszy  $\frac{1}{2}$  korca na koń, słodu korzec na koń, sztof masła na koń, kopa gomólek (sera) na 4 konie, owsu korcy 6 na koń, siana wóz na koń, słomy 2 wozy na koń, karpusty po fasce, kur po 4 na koń. — Tamże, 543: Stacya na 650 koni pułkownika Stefana Koniecpolskiego na miesiąc szacuje się na 26,000 zł.



wiązań drugą. Hejdenstein (s. 482) mówi słusznie: „Ale tam, gdzie żołdu się nie płaci, władza wojskowa niewiele znaczy.“ Kary za przestępstwa wojenne wskazane były przez tak zwane artykuły, które jednak nie były w ścisłym znaczeniu tém, czém są dziś regulamina karne, gdyż zawierały zarazem przepisy o zachowaniu się żołnierza w różnych przypadkach w obozie i pochodzie.

Artykuły te spotykamy najwcześniejsze, ogłoszone przez Floryana Zebrzydowskiego w obozie pod Selborkiem <sup>1)</sup>. Potém w Tarnowskiego Consilium <sup>2)</sup>, Zamojskiego „Rada sprawy wojennej“ i nareszcie w Volumina Legum 1609 roku. Są one zapewne podobne do takichże urzędzeń i przepisów niemieckich, ale charakterystyczną różnicę stanowi w nich i to, że gdy kobiety były swobodnie do obozów niemieckich dopuszczane, nietylko jako żony, ale i jako kobiety żeńskiego rzemiosła, i miały nawet osobnego przełożonego w osobie hurenfeldwebela, obecność ich w polskim obozie była absolutnie wzbroniona. Oprócz tego wojsko polskie na artykuły wcale nie składało przysięgi, która u Niemców uważana była za niezbędną. Artykuły ogłaszały się po zebraniu się wojska w wielkim obozie i potém od czasu do czasu były żołnierzom czytane.

Do roztrząsania spraw, dotyczących się wykroczeń i przestępstw żołnierskich, istniał urząd sędziego wojskowego. Wyroki podpisywał hetman, który dzierżył w swych rękach prawo życia i śmierci nad swemi podwładnymi. Kary za przestępstwa były: odsądzenie jednej ćwierci żołdu, przesadzenie czyli znizenie w rejestrze od góry do dołu, wystawanie z dobytą bronią przed chorogwią; iść albo jechać—pisać gospody za innych. A za ważniejsze wykroczenia: odsądzenie od pocztu, wytrąbienie z obozu, odcięcie ręki lub głowy. Na pacholików zaś kije i gardło. Jeżeli na prośbę starszyny i żołnierzy uchylano niekiedy karę śmierci, to winowajca obowiązany był jakimś czynem walecznym zmazać swe przestępstwo.

Że polacy rozumieli znaczenie dyscypliny na wojnie, to się okazuje z atrybucyi władzy hetmańskiej, jakiej wódz naczelny u innych narodów nie posiadał. Hetman, jak powiedziano, miał prawo doraźnej i bezapelacyjnej kary śmierci, a wyroki jego i jego rozkazy miały siłę postanowień sejmowych.

Zastosowanie téj władzy zależało, rozumie się, od osobistości hetmanów. Tak o Czarnieckim Pasek mówi: „w dywizyi Czarnieckiego była taka dyscyplina, że Panie zachowaj. Absentować się długo od chorągwi towarzyszowi, albo na stanowisko, lub do obozu niewprowadzić już chorągwi pogotowiu, już okazać ominąć, zaraz sąd, zaraz pokuta, zaraz do artykułów, i już był to nie oficer, gdyby ich zawsze w kieszeni nie miał.“

Takąż sprężystością odznaczali się: Zamojski, Koniecpolski,

<sup>1)</sup> Prace naukowe i dyplomatyczne Stanisława Łaskiego, p. Malinowskiego. Wilno, 1864. <sup>2)</sup> tamże.

a szczególnie Chodkiewicz. Pospolite ruszenie, acz mały udział w tój wojnie przyjmowało, dało się jednak swą zwykłą niesfornością we znaki Radziwiłłowi, który w liście z 30-go października 1621 r. do Paca powiada: „Jaki posiłek Rzplta z terażniejszego pospolitego ruszenia miała i dotąd ma, z osobnej karty, którą w list ten kładę (na nieszczęście zagubionój) wyrozumieć raczysz. I bardzo mało ich i ladajako stanęli, że gorzej być nie mogło. Ponieważ to ztąd idzie, że żadnego rzędu i sposobu, ile kto stawić miał, konstytucyą nie określono. Potrzeba, aby JKM. na przyszlą da Bóg wiosnę, dał instrukcyą, jakoby ad officium przestępnych redigere“<sup>1)</sup>. A w drugim liście do Leona Sapiehy z tejże daty: „Ci, ani w powinnój liczbie staną, ani słusznych pocztów osadzają, ani się pod kary wojskowe poddawać będą chcieli tylko jedni drugich, nieporządnym ściąganiem zniszczywszy wszystką ojczyznę płaczem i krzywdami, a obóz konfuzyją i nieporządkiem napełniają. Chciejże z nimi do szturm, chciej przewagę jaką uczynić, a ujrzysz jak staną“<sup>2)</sup>.

I to był filar obrony narodowój! Cóż dziwnego, że budując na lodzie, z wodąśmy popłynęli.

Taktyka polska była domorosta, szlachecka, ale do charakteru i ducha narodu zastosowana i musiała być na swój czas dobra, kiedy obdarzyła polaków tyłą i tak świetnymi zwycięztwami, jakimi zaledwie który inny naród poszczycić się może. Główną bronią wojska polskiego była, jak wiadomo, jazda, a jednostką jej bojową chorągiew czyli rota. Jaki jednak był szyk chorągwi pozostaje zagadką.

Floryan Zebrzydowski w artykułach w 1561 r. 10-go września, pod Selborkiem ogłoszonych, powiada: „Aby każdy rotmistrz, sprawiwszy huf, rotę swą kazał spisać, kto w pierwszym, wtórym, w trzecim, w czwartym rzędzie ma stać; bo nie trzeba więcej czterech rzędów czynić,” a dalej: „by tylko towarzysze naprzód stanęli, a liczba rzędów jednaka była.” Bauplan mówi: „W chorągwi stokonnój dwudziestu towarzystwa znajduje się, którzy idą na czele, a we czterech innych szeregach pocztowi.” Dupont znowu, na str. 43 pisze; „Chaque compagnie qui est de cent maîtres et de cent archers, qui font le second rang dans l'escadron, montés et armés comme les premiers.”

W ileż szeregów zwykowała się rota jazdy polskiej? Niepodobna, dopuścić, ażeby w wojsku arcy-konserwatywném, jakim było polskie w tak krótkim czasie od Bauplana t. j. od Władysława IV-go do Sobieskiego, tak radykalna zmiana zajść mogła, t. j. ażeby chorągiew z cztero- lub pięcio-szeregowój przeistoczyła się w dwuszeregową. Oprócz tego wiadomo, że towarzysze nie na jednakowój liczbie koni służyli. Byli tacy co na czterech, na trzech, na dwóch i nawet na jednym koniu pełnili służbę. Jakże było skombinować tę przypadkową liczbę pocztów z liczbą szeregów tak, ażeby w pierwszym szeregu byli sami tylko towarzysze. Trudniój to jeszcze było podczas

1) „Sprawy p.“ str. 99. 2) Ibid, 97.



wojny i ubytku w szeregach. Przypuścić więc koniecznie wypada, że w pierwszym szeregu mogli się stanąć i pachołkowie, co i ubliżającym dla towarzyszy nie było, gdyż zwykle czeladź pocztowa składała się też ze szlachty, tylko uboższej. Odrzuciwszy warunek składu pierwszego szeregu jedynie z towarzyszy, łatwo już szykować rotę w ile się podoba szeregów.

Dla boju szyk dwu-szeregowy jest najstosowniejszy, gdyż dając posiłek pierwszemu szeregowi, pozwala większej liczbie ludzi brać bezpośredni udział w pierwszym natarciu i oskrzydlać chorągiew głębiej uszykowaną. Bardzo więc być może, że porządek dwu szeregowy był bojową formą roty. W większą zaś liczbę szeregów chorągiew mogła być szykowaną dla pochodu i manewrowania na polu bitwy. Żółkiewski np. powiada: „że z tyłu postawił kilka chorągwi w ścisanych hufiach jakby w porządku.” Ponieważ polacy, a i cudzoziemcy kolumn w owe czasy nieużywali, to ten ścisany porządek mógł być właśnie owym cztero-szeregowym szykiem. Przejście z czterech do dwóch szeregów, bardzo łatwo daje się wykonywać w marszu przez rozemknienie rzędów i zdwojenie szeregów, a przejście odwrotne do czterech szeregów przez zdwojenie rzędów. Piąty rząd, o którym wspomina Bauplan, mógł się składać z koni powodnych, gdy i u Floryana Zebrzydowskiego w cytowanych artykułach spotykamy: „konie powodne pobok, a kiedy huf wielki sprawiają tedy nazad w piąty rząd.” Przed rotą stawał rotmistrz lub porucznik. Na prawém skrzydle chorągwi i z tyłu dwóch towarzyszy, którzy tam porządku doglądali.

Dla liczby ludzi w chorągwi stałej normy nie było. Wahała się ona między 80 i 200-cie, a w czasie wojny mogła spadać do bardzo niskiej cyfry. Z komputów daje się widzieć, że silniejsze bywały rotы usarskie i dochodziły do 200 koni, kozackie miewały 120 i najwięcej 150 koni. Najzwyklejsza jednak liczba równie jednych jak i drugich była 100 koni i przy takiej sile rotы były obrotne i łatwo się trzymały w rękach i w komendzie.

Podziałów mniejszych, jak kornety, plutony lub sekcye chorągiew nie miała. Dzieliła się tylko administracyjnie na poczty.

Szyk bojowy wojska całego sprawiano zwykle w trzy linie, albo we dwie z odwodem, na co mamy mnóstwo przykładów historycznych. Pod Beresteczkiem środek sprawiony był w trzy linie, skrzydło zaś w większą liczbę, z powodu ciasnoty miejsca. Pierwsza linia nazywała się czelną, tylne zaś „posiiecznemi,” a tak zwana dziś rezerwa,—odwodem. W kierunku od prawego do lewego, składał się szyk ze środka korpusu albo batalii i skrzydeł albo rogów. Gdy liczba piechoty znacznie się powiększyła, zaczynając od Władysława IV, stawiano w środku piechotę, jazdę zaś na skrzydłach. Do tego zaś czasu miejsce piechoty było rozmaite. Stawiano ją za działami, a niekiedy z tyłu.

Szyk polski w stosunku do używanego na zachodzie w końcu XVI i początku XVII wieku, był można powiedzieć doskonały. Wojska europejskie formowały się w on czas w gęste i głębokie masy, bataliami zwane, od 2—3,000 ludzi w sobie zawierające, jak to widzimy

w bitwach pod Breitenfeldem i Lucnem. Rozczłonkowanie ich na mniejsze jednostki taktyczne dopiero co się pojawiało w Hollandyi i Szwecyi. Masy te były nadzwyczaj ociążałe w ruchach, przy przenoszeniu się z miejsca na miejsce, przy najmniejszej zawadzie terenu łatwo utracaly porządek, z trudnością się wspierały wzajemnie, a wprowadzone przez nieprzyjaciela w zamieszanie wyprowadzały z szyku kilka tysięcy ludzi odrazu. Tymczasem gdy szyk polski z małych hufców złożony był lekki, ruchliwy, ułatwiał współdziałanie, a huf zamieszany lub rozbity zawierał tylko 100 ludzi i mógł być łatwo zastąpiony innym.

Potykanie prowadziło się całym czołem. Zwykle polacy starali się obnażyć od jazdy piechotę, poczem dopiero wszystkie usiłowania zwracali na tę ostatnią i niekiedy tępiłi do nogi. Tak było pod Kircholmem, Kłuszynem, Połonką, Libiszowem. Na rzece Basi piechota tém się uratowała, że umknęła do obozu. Uderzenie jazdy działo się w pełnym pędzie konia, habenis laxatis, jak się wyraża Kochowski, à toute bride, jak pisze Dupont. Już sam iloczyn mechaniczny masy ze względu na szybkość, sprawił to, że jazda, spotykająca uderzenie w miejscu lub w powolnym biegu, wytrzymać go nie mogła. Nieprzyjaciel albo uchodził, albo jeśli dotrzymał na miejscu, to tracił porządek, a gdy się z nim polacy mieszałi, to brali górę nad nim, bo każdy polak już z domu był doskonałym jeźdźcem i dzielnie władał orężem, a ciągłe pojedynki, przy lada sposobności, podtrzymywały wprawę i wyrabiały męstwo.

Wprawdzie tatarzy i turcy potykali się także w pełnym biegu, ale szyku szeregowego nie mieli. Także szarżowała i Moskwa, lecz syny bojarskie w czasie pokoju tylko się tuczyli, a za to na wojnie tak słabo na koniach siedzieli, że za dotknięciem padali jak snopy. Rajtary zaś nie podnosili się wyżej galopu i woleli strzelać, niż wdawać się w bój ręczny. Manewrowanie na polu bitwy odbywało się w formach najprostszych, i obrotów było niewiele, a mianowicie poruszenie czołem na pierwszy i drugi szereg, prosto i na ukos, zmiana czoła, na pewną część koła zajazdem całej chorągwi i obroty ku skrzydłom i w tył, który się odbywał dwojako: albo się pojedynczo każdy na miejscu obracał, albo chorągiew całkiem chorąży zawodził.

W cytowanych już artykułach Zebrzydowskiego mówi się: „PP. Rotmistrze mają w każdym razie, towarzysząc dwóch zostawić, którzyby w tyle rząd czynili, a ktemu gdyby się potrzeba trafiła, na miejscu obrócić, aby już huf wiedli.“ Maskiewicz zaś na str. 55 pisze: „Kiedy kazano było ustępować, chorągiew ks. Poryckiego, że na czele samem stała, kiedy już kazano umykać potrosze ku domowi, Kowalski, co chorągiew nosił, acz był serca wielkiego, choć statury małej, ale że nie był eksperient, co miał w miejscu, jako stał konia obrócić, głową, gdzie był zad i tak, każdy i towarzysz i pacholik miał uczynić, że szeregi zadnie iść nieprzyjacielowi miały, a przednie na zadzie z chorągwią, dla snadniejszego obronienia się ku nieprzyjacielowi, jeśliby nacierał,



to on z szeregiem nawrócił wszystkim nazad, w oczach pierzchającego nieprzyjaciela, który wielkie serce ztąd wzięwszy, rozumiejąc, że uchodzimy, wszystkim tłumem pocisnął się za nami.“

Roty mogły przybierać w pochodzie albo szyk ściskany i maszerować czołem, jeżeli droga była dość szeroka, albo obrotem ku prawemu lub lewemu skrzydłu iść dwójkami, albo zdwoiwszy szeregi czwórkami. Tak zwana musztra odbywała się tylko w wojsku cudzoziemskim. Ćwiczenia w polskim wojsku miały inny charakter.

„Młódź polska, powiada Siarczyński, na dworach możnych pańów ćwiczyła się: w jeźdzeniu, gonieniu do pierścienia, strzelaniu z łuku i muszkietu, skakaniu, pływaniu i ojciec nim syna do wojska posłał, pierwej go w domu doświadczył. Dopiero, gdy się okazało, że ćwiczenie dobrze przyjął, gdy pierścień kopią wziął gładko, gdy arkusz papieru, albo magierkę z ziemi podjął, gdy z łuku ptaka wlot ubił, albo kulą z rusznicy trafił, przekop niełada lub płot równemi nogami przeskoczył, konia, nie tykając łęku lub siodła, dosiadł, tak stojąc na koniu wyciągał, trzy kopie za grotą wzięwszy z ziemi podjął, a gdy jeszcze w harcu nieprzyjaciela powalił, dopiero w obliczu rodziny szablę mu przypasał.“

W tymże duchu przepisują ćwiczenia artykuły z 1609 r. (V. 1., t. II, str. 1,695): „Uczciwych i rycerskich zabaw nie mają zaniedbywać i owszem, uchraniając się zabaw niepotrzebnych, rycerskimi się bawić, przejażdżkami, gonieniem do pierścienia, strzelaniem do celu, sposobieniem konia do dzieła i innemi tym podobnemi zabawami, zwłaszcza towarzysze niebwytałe i pacholiki ucząc, jako mają w hufie stać, broni używać; rotmistrz swą rotą władnać, na miejscu obrócić, gdyż tak tedy jak owedy rotmistrz rotę oglądając łatwiej postrzeże niedostatki w jej koniach i rynsztunku.“ W ten sposób tłumaczy się przewaga żołnierza polskiego w pojedyńczym boju, który się przy lada sposobności pojedynkował, jak to widać z Paska i Poczobuta, (najmniej 20 pojedynków i bójek, podczas swjej służby każdy odbył). „A chodzili tam za łby nietylko parami, ale gromadami, wyprawiając prawdziwe utarczki bojowe, wyrabiali w sobie śmiałość, pewność siebie i mężstwo.“ Dziś łamią sobie głowy i nie mogą wynaleźć sposobu ćwiczenia żołnierza w mężtwie w czasie pokoju. Właśnie tę praktykę, choć trochę kosztowną miał żołnierz polski i w tém zawiera się tajemnica jego świetnych zwycięstw. Ciągnienie, obozowanie, ostona marszów i obozów, zwiady i rekonesanse i to wszystko, co się dziś służbą polową nazywa, odbywało się na tychże zasadach i tymże porządkiem, co i dzisiaj. I nie w tém dziwnego, gdyż ta część taktyki wyrabiała się doświadczeniem i zawiła mniej od udoskonalenia broni.

(c. d. n.).

## KRONIKA PARYZKA,

LITERACKA, NAUKOWA I ARTYSTYCZNA.

---

„Korespondencya marszałka Davoust, księcia d'Auerstaedt i d'Eckmühl,“ wydana przez córkę p. de Blocquoville. — „Listy Maryi Ludwiki,“ wdowy po Napoleonie I-ym, ogłoszone z archiwum wiedeńskiego. — „Choses vues,“ wspomnienia Wiktora Hugo. — Krytyczna rozprawa profesora Stapfera o poetach współczesnych. — Album Joanny d'Aro. — Autografy członków Akademii francuzkiej. — Szczątki druidyzmu we Francyi i w Walii. — Zmarły akademik Caro. — Nowy przegląd miesięczny: „Revue de Paris et de St. Petersbourg.“

Pani de Blocquoville, córka marszałka Davoust'a, ogłosiła w tych czasach drukiem zbiór listów ojca z lat dwudziestu pięciu, od r. 1790 do 1815. Wydany tom jest dopełnieniem czterotomowej pracy, dokonanej przez tę córkę, pełną miłości i poszanowania, pod tyt.: „Marszałek Davoust, książę d'Eckmühl, według opowiadania jego własnego i najbliższych mu osób.“ Pierwszy tom obejmuje lata młodości, drugi lata służby wojskowej (années de commandements), trzeci nosi tytuł „Rosya i Hamburg,“ czwarty „Ostatnie dowództwo, wygnanie i śmierć“ (1823 roku). Do każdego tomu dodany portret z odpowiednich czasów.

Materyały do tego obszernego dzieła zbierała już skrzętnie księżna d'Eckmühl, wdowa po marszałku. W liście z roku 1841 do generała Petit, dyrektora archiwów wojskowych, księżna prosi o udzielenie jej dokumentów. „Wszystko to, pisze, cokolwiek odnosi się do tej wielkiej epoki, puścizną jest narodową. Ktokolwiek odżywia te wspomnienia, służy ojczyźnie, według sił i możliwości. Potrzeba żyć wspomnieniem, kiedy wypadki skazały nas na rolę tak odmienną od téj, jaką odgrywała generacya, do której należymy.“

Pani de Blocquoville uporządkowała i poprowadziła dalej prace matki. W piątym, świeżo wydanym tomie pomieściła ojcowskie listy,



jakie wpadły jój w rękę po wykończeniu czterotomowego dzieła. Do tych korespondencyi dodaje ciekawe wspomnienie, zebrane w czasach ostatnich.

W dziecinnych już latach przyszły zapaśnik napoleońskiej epopei, okazywał wielką energią. Uczył się w Auxerres w szkole Benedyktynów; tu ojciec Laporte szczególną okazywał mu opiekę, przewidując, że kiedyś wychowanek wyjdzie na człowieka. Raz podczas popisu szkolnego przy rozdawaniu nagród, gdy długo nie wymieniano małego Davousta, zniecierpliwiony uczeń wymyka się z sali, biegnie do ogrodu, porywa drąg, mści się jak może na swój sposób, otrąca z drzew niedojrzałe jabłka i gruszki. Nagle chwyta go ktoś za kołnierz: był to ojciec Laporte.

— Tyś tu psotniku — zawoła — a tam w sali wywołują twe imię; chcą ci wręczyć dwie nagrody: za matematykę i za język angielski.

Wieńce nie uchroniły laureata; odebrał ostrą karę. Naprózno ojciec Laporte osłaniał go jak mógł opiekuńczem ramieniem.

Hojnie marszałek zapłacił mu te względy. Założył w Auxerres kollegium; prowizorem mianował ojca Laporte.

Wiadomo, że marszałek Davoust, parę lat przebywał w kraju naszym po utworzeniu Księstwa Warszawskiego. Cesarz Napoleon w nagrodę zasług położonych najprzód w Egipcie, następnie w bitwach pod Austerlic, Auerstaedt i Jeną, uposażył go w Polsce ogromną donacją: darował mu Księstwo Łowickie.

Pani de Blocqueville zbiera najskrzętniej wszelkie najdrobniejsze wiadomości, zapisane w pamiętnikach i korespondencyach polskich. Dostarczyło jój wątku dzieło p. Juliusza Falkowskiego: *Obrazy z życia w Polsce*. Powtarzamy przytoczony przez nią ustęp.

„Książę Józef Poniatowski pracował usilnie nad śpiesznem uorganizowaniem armii polskiej. Co dzień przez kilka godzin, dywizya jego odbywała ćwiczenia, by godnie wystąpić przed marszałkiem Davoustem. Słynny ten wódz francuzki był rzeczywiście powołany przez cesarza do objęcia naczelnego dowództwa nad wszystkimi wojskami, jakie miały zająć Księstwo Warszawskie. Napoleon oznaczył ich liczbę na 30,000, ale w rzeczywistości przechodziły o wiele tę cyfrę: Davoust miał pod komendą swoją do 60,000 ludzi. Księstwo obowiązane było żywić ich kosztem swoim a oprócz tego utrzymywać 37,000 żołnierzy z własnego kontyngensu.

„Marszałek rozpoczął przegląd od dywizyi księcia Józefa, którego główny sztab konsystował w Warszawie. Zdziwił się, patrząc na zaprowadzony porządek, na wzorową karność i marsową postawę tego wojska. Wyrzcił podziw swój w przemówieniu do oficerów po odbytych przeglądzie. „Potrzeba — rzekł — widzieć na własne oczy tę armią, tak śpiesznie zgromadzoną a przedstawiającą się już w tak doskonałym szyku wojskowym, aby przyznać prawdę historykom, którzy pokazują nam naród polski, słynny po wszystkie czasy walecznością

i jakby stworzony do rycerskiego rzemiosła. Ta młoda armia, dała już próby dzielności, stawiające ją obok naddziadów.”

Przedstawwszy obowiązki żołnierza i oficera, marszałek kończy pełnym zachęty słowem: „ten naród, odradzający się z popiołów własnych, powinien czynić wszelkie wysilenia, aby stać się godnym zamiarów, jakie cesarz a pan mój powziął względem niego i ważnych przeznaczeń, jakie go czekają.”

Davoust mówił to szczerze. I on marzył o Koronie polskiej, usiłował też zjednać sobie przychyłność Polaków wszelkimi środkami, jakie były w jego mocy; a władza jego nie ograniczała się na komenderowaniu armią, zebraną w Księstwie warszawskiém. Był on nie w urzędowy, ale w rzeczywisty sposób, wielkorządczą tego nowego państwa, w pierwszym roku jego egzystencji. Przedstawiał samego cesarza, który mu powierzył najwyższą kontrolę wszystkich władz cywilnych w organizującym się kraju, aby ściśle i z całą energią zaprowadzić porządek przez siebie obmyślany. Wojewoda Ostrowski, tak określa władzę i działanie słynnego wodza w Polsce:

„Marszałek Davoust odgrywał rolę gubernatora wojskowego, a raczej wicekróla w Księstwie, z władzą szeroko rozciągniętą, przed którą drżały nie tylko władze miejscowe, ale sami Francuzi, przebywający między nami. Jakkolwiek obecnością swoją przypominał nam, że niepodległość nasza nie była jeszcze zupełną, jakkolwiek on sam rządził rzeczywiście za pośrednictwem narodowych magistratur i wywierał wpływ na wszystkie gałęzie administracji, jednakże znaną powszechnie uczciwością, wojskowym rygiorem, energią charakteru, utrzymaniem wzorowej karności w armii, przyczynił się wielce do zaprowadzenia w krótkim czasie wewnętrznego porządku i dzielnie podniecał czynności rządowe.”

Pani Blocqueville, przytoczywszy te słowa, zaprzecza stanowczo, aby marszałek miał kiedykolwiek myśleć o tronie polskim. „A przecież — dodaje po téj protestacyi — czemużby to nie mogło nastąpić: Davoust wart był co najmniej Bernadotta!”

Powtarza następnie autorka całe ustępy z listów pani Anny Nankwaskiej, pisywanych wówczas do siostry.

„Zima w tym roku (1807—1808) — pisze pani N...— będzie bardzo kosztowna, dzięki zbytłkom, jakie panują w strojach. Mnóstwo bywa osób na wieczorach tygodniowych u księcia Józefa Poniatowskiego. Zapowiadają bale u marszałka Małachowskiego i u pani Stanisławowej Potockiej, u ministra Bourgoing i u marszałka Davoust, który wyprawia wielką fetę we środę, w rocznicę koronacyi cesarza. Jutro przyjęcie u dworu. Muszę dodać, że się nie bawią na tych wszystkich zebraniach.

„3-go grudnia. Bał wczorajszy u marszałka Davoust'a był co się zowie przepyszny. Urządzono go w sali teatralnej, przemienionej tak samo jak na bal, dany przez armią francuzką, tylko że więcej było światła. Oboje królestwo z księżniczką zajęli miejsce w loży.



Rozpoczęła się zabawa od przedstawienia w teatrze, zastosowanego do okoliczności <sup>1)</sup>. Rolę grały osoby z towarzystwa: z kobiet pani Cichocka, Zajączkowa i żona komendanta placu pani Target.

„Następnie rozpoczęły się tańce; otworzył je kadryl: marszałek Davoust poprowadził księżniczkę saską. Tłum był ogromny, szczególnie podczas wieszki, która nie usprawiedliwiała wcale tak wielkiego pośpiechu.

„Krytyka ta musi być słuszną — dodaje pani Blocqueville: — stół marszałka nadzwyczaj był skromny; ojciec mój nie grzeszył łałkomstwem. Matka opowiadała mi jak oficerowie sztabowi radzi byli zwykle z jęj przyjazdu, spodziewając się że będzie deser, i że obiad przeciągnie się dłużej niż dziesięć minut, jak to zwykle bywało. Później w Paryżu pamiętam, jak ojciec, wróciwszy nie raz przed samym obiadem z izby prawodawczej lub innego zebrania, oznajmiał matce kilka zaproszonych przez siebie osób. Na skargi zakłopotanej gospodyni odpowiadał spokojnie: każ usmarzyć omlet i dosyć na tém.”

Znajdujemy wśród listów marszałka jeden do księżnej Radziwiłłowej z zaproszeniem na inną uroczystość. Oto krótki bilecik.

„Pani, pragnęłam osobiście pospieszyć do Arkadyi z prośbą, aby księżna raczyła obecnością swoją uświetnić przedstawienie w sali teatralnej i bal w dniu 15-o sierpnia na uczenie urodzin mego dostojnego monarchy.

„Wiadoma księżnej kłeska, która oddalając mnie od jęj sąsiedztwa, pozbawia mnie zaszczytu, abym mógł osobiście zanieść prośbę moję.

„Mam nadzieję, że ta prośba nie przyjdzie zapóźno, i że księżna raczy łaskawie opuścić chwilowo wiejską ustron, przybyć do Warszawy i wspólnie z nami obchodzić uroczystość cesarza Napoleona.

„Mam zaszczyt pozostać z uszanowaniem, pokornym i powolnym sługą.”

Tę kłeską, o której wspomina marszałek, był pożar ślicznego letniego pałacyku w Skierniewicach. Zbudowany z drzewa, spłonął w oka mgnieniu jak pióro. Matka opowiadała nieraz córce, jak za ledwie że uciekła z dziećmi przed ogniem. Oprócz klejnotów, które wierna pokojówka wyrwała z płomieni, nic nie jęj pozostało z pięknych strojów i wytwornych sprzęcików, przywiezionych z Paryża. Parę miesięcy za ledwie ubiegło od przybycia marszałkowej do Warszawy.

Przyjazd jęj opisuje pani Nakwaska w liście z ostatnich dni maja 1808 roku.

<sup>1)</sup> W trzy dni potém 5 grudnia odegrano w tymże teatrze w obec królewskiej rodziny dramat historyczny p. t. Karol Wielki i Witykind, utwór Tekli z Bielińskich hr. Łubieńskiej, żony ministra. Dramat ten, pisany pięknym wierszem, należy do najcenniejszych utworów dramatycznych, jakie przedstawiano za czasów Księstwa Warszawskiego.

„Ukończyły się — pisze — uroczystości z powodu urodzin księcia Józefa Poniatowskiego. Część wytwornego towarzystwa zaczęła opuszczać Warszawę, kiedy przybyła dama, która miała zająć pierwsze miejsce w tém towarzystwie: mówię tu o marszałkowej Davoust, księżnie d'Auerstaedt.

„Ledwie że wstąpiła w granice Księstwa Warszawskiego, przyjeżdżała z takimi prawie honorami, jakie oddawano poprzednio rodzinie królewskiej. Wjechała do Poznania w pośród salw artylerji, przy dźwięku muzyki wojskowej. Wojska francuzkie i polskie stały wyciągniętem szeregiem w ulicach, któremi przejeżdżała. Gdy stanęła w przeznaczonym dla niej apartamencie, władze wojskowe i cywilne składały jęj uszanowanie. Wieczorem była rżęsisza illuminacya. Po trzydniowym spoczynku, odprowadzono ją za miasto z takimiż honorami. Nie pojechała prosto do Warszawy, ale zatrzymała się czas jakiś w przepysznej majątności męża swego w Skierniewicach.

„Dnia 21 maja dopiero odbyła wraz z marszałkiem tryumfalny wjazd do Warszawy. Księżę Józef wyruszył naprzeciwko z orszakiem oficerów polskich. Wszyscy generałowie francuzcy pośpieszyli tęż na spotkanie, równie jak mnóstwo urzędników wojskowych i cywilnych. Wszyscy konno albo w powozach eskortowali dostojną parę przez miasto aż do ulicy Napoleona (dziś Miodowej) do pałacu Tepera, który zajmował marszałek.

„Wojska polskie i francuzkie tworzyły ścisły płot z obu stron ulicy. Muzyka przygrywała bez ustanku. Natychmiast po przybyciu, wszystkie władze składały hołdy pani marszałkowej. Wieczorem illuminowano ratusz i gmachy rządowe. Nazajutrz potēm panie wielkiego świata odbyły prezentacyą.”

Od wiosny 1808 roku korpus marszałka Davousta nie pozostawał już na koscie polskim, skarb bowiem Księstwa Warszawskiego bardzo był wycieńczony. W końcu grudnia tegoż roku z rozkazu cesarza Napoleona, ów korpus przeszedł na Szląsk: główną kwaterę miał w Wrocławiu.

Przez czas jakiś jeszcze Davoust zachował najwyższą komendę nad siłą zbrojną tak polską jak i saską, ale dowództwo wojsk polskich, powierzył księciu Józefowi Poniatowskiemu; nie zrzekł się wcale politycznej straży nad Księstwem. Plac-komendantem Warszawy mianował pułkownika Saunier.

Marszałek Davoust szczerem był jak widać przyjacielem Polski. Tak go mieni generał Załuski w dziele swoim pod tytułem *Polska i Polacy*, w którém zbija stanowczo dowodzenia Thiersa i Villemaina, jakoby Davoust dopuszczał się nadużycia w kraju naszym. Przytoczymy tu list marszałka z 15 stycznia 1810 roku, pisany z Passau po kampanji austryackiej do Załuskiego, a świadczący wymownie o uczuciach jego dla Polaków.

„Panie generale: otrzymałem list pański z 5-o stycznia. Z wielkiem zajęciem wyczytałem szczegóły, jakich mi udzielasz o odbytej.



kampanii. Jeśli, jak mówisz, wojsko polskie wzięło nas za wzór, my odpowiemy z naszej strony, że dorównało w tej kampanii najszlachetniejszym armiom.

„Niepodobna wam było rzeczywiście w tak trudnym położeniu, atakowani będąc przez tak przeważające siły, rozwinać więcej energii, więcej wytrwałości i większej zdolności wojskowej.

„Kampania ta zajmie najszlachetniejsze miejsce w historii.

„Rad jestem z wymówek twoich, generale, z powodu listu mego, w którym zarzucałem ci trochę zniechęcenia. Miło mi bardzo, że ten zarzut był bezzasadny.

„Zalecam wam jedność; ona to daje siłę i najlepszym jest dowodem prawdziwego patriotyzmu.”

W liście do żony, marszałek wspomina również dzielność Polaków, okazaną w tej wojnie.

„Bitwa stoczona w dziedzińcu zamkowym — mówi on — świadczy o wyższości Polaków nad austryakami. Oddział dwunastu ułanów polskich napadł na stu dziesięciu austriackich huzarów; trzydziestu okrył ranami i usunął się w jak najlepszym porządku, wprowadzając jeńców: sam utracił dwóch ludzi. Naród ten okazał w tej sprawie ducha wojennego, który daje mu nowe prawo do szacunku, jaki zdobył w historii. Wszystkie warstwy ożywione tymże samym duchem. Francuzi byłiby pozbawieni wszelkiej czci, gdyby nie czynili największych wysiłków dla tak dzielnych sprzymierzeńców.”

Pani Blocqueville przytacza w dodatku mnóstwo dzieł tak francuzkich jak włoskich, poświęconych pamięci marszałka Davoust. Pomiędzy temi, wspomina odgrzebane świeżo pamiętniki nieznanego dobosza z pułku grenadyerów i powtarza zapisaną w nich przygodę z roku 1812, podczas pamiętnego odwrotu z Moskwy.

„Było to na gościńcu pod Wilnem, mróz ścisnął najstraszliwszy.

— Gdzie dobosze? — zagadnął marszałek Davoust, pułkownika 12-go pułku grenadyerów.

— Od kilku dni został mi tylko jeden — odrzeczł pułkownik — ten oto Maurycy.

I ukazał mnie marszałkowi.

Wówczas książę d'Eckmühl rzekł do mnie.

— Mój przyjacielu, stań na czele dywizji i zagraj nam do marszu.

Biłem w bęben około trzy kwadransy, poczem nie mogąc ruszyć ręką, zacząłem płakać i rzekłem:

— Mój książę, już nie mogę, uczynię jak koledzy moi, pozostanę na drodze. Lepiej umrzeć lub dostać się do niewoli, niż cierpieć tak okrutnie!

Miałem ręce poranione, okryte bąblami; przemrożone były na wskroś, zarówno jak i uszy. Paznogie pozłaziły mi z palców. Tak było zimno, że łyzy przymarzały mi do twarzy.

Wówczas to książę wziął mi z rąk bęben i bił w niego wściekle; tak uszedł z jakic dwieście kroków. Widząc to odebrałem mój bęben i począłem bić po nim pałeczkami, obwinawszy łachmanami pokaleczone ręce.

Zdaniem pani Blocqueville, wymyślona to anegdota, cieszy ją to niemniej, że dziełny jój ojciec pozyskał popularność, skoro imię jego przeszło dziś do legendy.

Z archiwum wiedeńskiego ogłoszono w tych czasach różne dokumenta, dotyczące dziejów Francji. Do tych należą dzieła Arnetha o Maryi Antoninie i Schwiggena o Niewoli Napoleona I-o na wyspie Świętej Heleny. Ostatnie z tych ma wkrótce wyjść z druku w przekładzie francuzkim. Obecnie wydano znów w Wiedniu korespondencyą Maryi Ludwiki, małżonki Napoleona I-o, obejmującą lat blisko pięćdziesiąt od r. 1799 do 1847. Są to listy do hrabiny Colloredo i do córki jój hrabiny de Crenneville. Hrabina Colloredo była ochmistrzynią arcyksiężniczki; posiadała zupełne jój zaufanie.

Po raz pierwszy Marya Ludwika wspomina imię Napoleona w roku 1808. Donosi przewodniczce swojej o świeżo wydaném dziele p. t. Nowy Plutarch czyli biografie sławnych ludzi wszystkich krajów i wszystkich czasów, począwszy od Homera aż do Bonapartego.

„Imię Bonapartego plami to dzieło — pisze księżniczka. — Wolałabym stokroć, aby autor skończył na Franciszku II-im, który spełnił téż wielkie rzeczy, skoro założył Theresianum.”

Tak siedmnastoletnia panienka osądziła tego, który za lat parę miał ją posadzić obok siebie na tronie. W innym liście, mieni go nikiemnym korsykaninem, gdzieindziej znowu antychrystem.

W rok potem, 1809, w lipcu, po zawartém armistycyum, księżniczka niechętniej jeszcze wyraża się o cesarzu.

„Lękam się — pisze — zapowiedzianych odwiedzin; wyznaję, że widok tego człowieka byłby dla mnie najokropniejszą męczarnią. Nie mogłabym utaić mego wstrętu, onby go niewątpliwie odgadnął. W Schönbrunn, w naszém ulubioném Schönbrunn, mieszka cesarz Napoleon. Codzień odbywa przegląd swój armii. Ma to być widok nadzwyczaj wspaniały. Otrzymałam kompozycyą muzyczną Jodin'a; prześlizna, mimo że ofiarowana pani Bonaparte.”

W kilka miesięcy potem w grudniu, małżeństwo Napoleona z Józefiną, rozwiązane zostało urzędowo. W Wiedniu zaczęły krążyć pogłoski o zamiarach rozwiedzionego cesarza: mówiono, że Marya Ludwika ma zasiąść na tronie francuzkim. Pod wpływem tych wieści pisze księżniczka 10 stycznia 1810 r.

„Nie wierzę ani słowa temu, co tu rozpowiadają. Napoleon za nadto lęka się odmowy i ma względem nas za nadto złe zamiary. A potem papa zbyt dobry, aby chciał wpływać na mnie w sprawie tak ważnej. Niech sobie mówią co chcą, ja się tém nie zajmuję. Żal mi



biednej księżniczki, którą wybierze, ale przekonana jestem, że nie będę ofiarą polityki.”

Zaraz po tym liście zamieszczono inny bez daty: Widoczna w nim rezygnacya. Mówiono jak widać księżniczce o ważnych powodach politycznych; zaczyna godzić się z losem: oto jej słowa:

„Od rozvodu Napoleona, znajduję w każdym numerze Dziennika frankfurckiego imię téj, którą wybrał. Ta zwłoka, wyznać muszę, mimowoli mnie niepokoi. Niech Opatrzność kieruje losem moim. Ona sama wie, co zapewnić może szczęście nasze. Jeśli będzie potrzeba, gotowa jestem poświęcić własne szczęście dla dobra państwa. Prawdziwą pomyślność znajdujemy tylko w spełnieniu obowiązków, okupując ją nawet szczęściem osobistém.”

Oznajmiono wreszcie księżniczce w stanowczy sposób projekt małżeństwa, tak bowiem pisze 23 stycznia 1810 roku.

„Wiem, że wydają mnie w Wiedniu za wielkiego Napoleona; myślę, że to fałszywe wieści. W każdym razie dziękuję ci za życzenia twoje; gdyby rzeczy miały wziąć taki obrót, ja jedna cieszyć się nie będę!”

Odtąd do ostatnich dni kwietnia korespondencya przerywa się zupełnie. W pierwszych dniach kwietnia, jak wiadomo nastąpił ślub Napoleona z Maryą Ludwiką. Listy cesarzowej inny całkiem pokazują charakter. Oto kilka wyjątków.

Compiegne 24 kwietnia 1810.

„Życzę ci, droga Wiktoryo, abyś była tak jak ja szczęśliwą, abyś w życiu twojem doznała tyle pomyślności; ile ja dziś doznaję.”

11 maja.

„Może być, że jesteś już po ślubie i tak prawdziwie jak ja szczęśliwą.”

6 maja 1811.

„Mam nadzieję, że mój syn, podobny będzie do ojca i potrafi jak on zapewnić szczęście tym wszystkim, którzy przybliżą się do niego.”

Praga 4 czerwca 1812.

„Łatwo sobie wyobrazić, jak się czuję szczęśliwą, będąc między swoimi, a jednak szczęście moje wtedy tylko zupełne, kiedy jestem przy boku cesarza.”

1 października 1812.

„Rozumiem jak mnie martwi nieobecność cesarza, ale wszystko to ustąpi z jego powrotem. Jestem ciągle niespokojna i drżąca: dzień jeden bez listu doprowadza mnie do rozpacz.”

24 listopada 1812.

„Mój syn codzieln piękniejszy a radość moja tém większa, że cesarz zdrów i wcale nie zmęczony.”

W żadnym liście nie znajdujemy ani słowa o polityce. Kłęski syją się gradem; rozgrywa się straszliwy dramat. Marya Ludwika nie bierze w nim udziału: nie wspomina o Elbie, ani o Waterloo, jakby o niczem nie wiedziała. W roku 1815 wyjeżdża do Parmy. W końcu tegoż roku z rozkazu lekarzy, udaje się do wód Aix-les Bains. Tam zawiązuje bliższą znajomość z generałem Neipperg.

„To przyjaciel mój — pisze — tak mało miałam ich dotąd w życiu!”

Od téj chwili era Napoleońska zaciera się całkiem w jéj pamięci. Kiedy dowiaduje się o śmierci Napoleona pisze 19 lipca 1821 roku.

„Wyznaję, że wiadomość o jego śmierci, głęboko mnie poruszyła, mimo, że nie miałam nigdy dla niego najmniejszego uczucia ani przywiązania. Nie mogę zapomnieć, że był ojcem syna mojego i że wbrew temu, co mówiono o złém obchodzeniu się ze mną, okazywał mi zawsze winne względy. To wszystko, czego żądać można w małżeństwie polityczném. Byłabym mu chętnie życzyła długich jeszcze lat życia i szczęścia, ale zdaleka odemnie.”

W innym liście z 16 sierpnia 1821, pisze znowu: „Rozłączono mnie z ojcem mego dziecka, to prawda, ale śmierć, która wszystko zaciera, zawsze jest bolesną. Tém bardziej poruszyła mnie ta wiadomość, że się o nią dowiedziałam z gazety piemonckiej!!!”

List ten wymownie świadczy jak nieznaczącą rolę odgrywała w historii Marya Ludwika, skoro eks-cesarzowej Francuzów nie doniesiono nawet o śmierci Napoleona I-o. Ta córka Habsburgów, która błyszczała na tronie; obok olbrzyma, wstrząsającego światem, czuła się szczęśliwą w małém włoskiem miasteczku. Zapomniała całkiem o blasku, jaki ją niegdyś otaczał. I historia odpłaciła jéj niepamięcią. Wydane świeżo listy przypomniały chwilowo jéj imię, lecz nie obudziły ku niej najmniejszego współczucia.

Z rękopisów pozostałych po Wiktorze Hugo, egzekutorowie testamentu wydali obszerny tom prozą pod tytułem *Choses vues* (Rzeczy widziane). Jest to szereg wspomnień z lat około czterdziestu od 1838 do 1875. Opuszczone tylko lata przebyte za obrębem Francji, na wyspach Jersey i Guernsey.

Wiele rzeczy przesunęło się przed oczyma poety: znał on wszystkie współczesne osobistości, które pozostawiły ślady przejścia swego tak w politycznym jak w literackim świecie. Zdaje się, że Wiktor Hugo, miał zamiar pisać pamiętniki: w tym celu rzucał na papier dorywcze szkice, pod wrażeniem zaszłych wypadków lub spotykanych osób. Te to luźne kartki, spadkobiercy ułożyli porządkiem lat i ogłosili drukiem.

Na samym wstępie znajdujemy jaskrawo nakreślony obraz Taileranda—zaraz po jego skonie w roku 1838: powtarzamy go za poetą.

„Przy ulicy Saint-Florentin jest pałac i jest ryzsztok. Pałac wspaniały a ponurój architektury, nosił na frontonie napis: Hotel



Taylerand. Ostatni właściciel pałacu, który mieszkał w nim lat czterdzieści, nigdy może nie spojrział na ów ryszток.

Była to osobistość dziwna, groźna, potężna. Człowiek ten zwał się Karol Maurycy de Perigord. Pochodził z rodu szlacheckiego jak Machiawel, był kapitanem jak Gondi, wywłoką jak Fouché; rozumny był jak Wolter, a kulawy jak dyabeł. Rzecz można, że wszystko w nim kulało: szlachectwo, gdyż je oddał w służbę rzeczypospolitęj; kapłaństwo, gdyż je sponiewierał, odrzuciwszy sutannę; małżeństwo, gdyż je znieważył mnóstwem skandalów, nim je nakoniec zerwał; rozum, bo go zbezczeszczył podłością.

Ten człowiek świecił jednak niezwykłym blaskiem, tak w epoce królewskości, jak za cesarstwa francuzkiego.

Przez lat trzydzieści z głębi pałacu swego, z głębi myśli swojej, prowadził niejako Europę. Uśmiechał się do rewolucyi wprawdzie szyderczo, lecz ona tego nie spostrzegła. Znał z bliska, obserwował, przenikał, poruszał, wyszydzał, zgłębiał, pobudzał wszystkich ludzi swego czasu, wszystkie idee wieku swego. Były nawet chwile, że trzymał w rękę losy ucywilizowanego świata.

Po rewolucyi lipcowej gdy upadła stara dynastia, której był wielkim szambelanem, stanął w obec ludu, siedzącego na barykadach, i wyrzekł śmiało: „Uczyń mnie ambasadorem twoim.”

Wystuchał niegdyś spowiedzi Mirabeau, później wystuchał pierwszych zwierzeń Thiersa. Mówił o sobie, że jest wielkim poetą, utworzył bowiem wielką trylogią, złożoną z trzech dynastyi. Akt pierwszy: Cesarstwo Buonapartego; akt drugi Dom Burbonów; akt trzeci Dom Orleański.

Wszystko to wykonał w pałacu swoim. W tym to pałacu, jak pajak do sieci, pociągał kolejno: zdobywców, królów, książąt, cesarzy. Bonapartego, Seyes'a, panią de Stael, Chateaubrianda, Beniamina Constant, Aleksandra I-o i Franciszka II, króla Wilhelma, Ludwika XVIII, Ludwika Filipa. W tę sieć chwycił wszystkie złote i promienne muszki, które brzęczą w historii czterdziestu lat ostatnich. Cały ten rój błyszczący pod czarodziejskim wzrokiem tego człowieka, wchodził kolejno w tę ciemną bramę z napisem Hotel Taylerand.

Owóż onegdaj 17 maja 1838 człowiek ten umarł. Lekarze paryzcy zabalsamowali trupa. Na wzór starożytnych Egipcyan, rozplatali żywot, wydobyli wnętrzości i wyjęli mózg z czaszki. Poczém zmienionego w mumię księcia Tayleranda złożyli do trumny, wybitęj białym atłasem i oddalili się, zostawiwszy na stole mózg, ów mózg, który obmyślił tyle rzeczy, natchnął tylu ludzi, zbudował tyle gmachów, prowadził dwie rewolucye, oszukał dwudziestu królów i trzymał świat na wodzy. Gdy lekarze odeszli wszedł służący, a widząc, że coś pozostało, wyszepnął sam do siebie: — patrzcie, zapomnieliśnać o tém, co z tém zrobić? — I przypomniał sobie, że jest ryszток w ulicy. Zszedł i wrzucił mózg do ryszтoku. Finis rerum.”

Ustęp ten ze wspomnień Wiktora Hugo, zaciekaWił mocno badaczy tutejszych: wzięto go za poetyczną legendę. Postanowili zatem wybadać rzecz do gruntu. I otóż w ostatnim numerze specjalnego przeglądu, pod tytułem *L'Intermediaire du chercheur et de Curieux*, znajdujemy świadectwo, potwierdzające fakt, z małemi barzo odmianami.

Taylerand za życia objawił wolę swoją przybocznemu lekarzowi Bourdais i aptekarzowi Micard, że skoro umrze, ciało jego ma być nabalsamowane według metody egipskiej: dokona tego Micard.

Egipska metoda polega na tém, że wszystkie członki muszą być nacięte, napełnione specjalnym aromatem a następnie zaszyte. Co do mózgu, ten miał być wyjęty z czaszki, namoczony w aromatach i włożony na miejsce. Micard pomieścił ów mózg w szklanym słoju, ale osby przytomne operacyi, która nadzwyczaj długo trwała, nalegały, aby włożyć trupa do trumny. W pośpiechu zapomniano całkiem o słoju. W chwili dopiero kiedy Micard zbierał narzędzia swoje i fiaski spostrzegł, że mózg pozostał. Nie mówiąc o tém nikomu, ukrył słoję pod surdudem i zabrał go do domu. W tych czasach ulice paryżkie, poprzecinane były w środku rynsztokami; nieczystości z nich zbiegały się do otworów, opatrzonych żelazną kratą. Jeden z takich otworów był przy ulicy St. Honoré w bliskości pałacu Tayleranda. Późnym wieczorem Micard wyszedł z domu potajemnie i wrzucił tam mózg zapomniany w słoju.

W ustępie z 1844 roku z współczuciem ukazuje Hugo postać Ludwika Filipa, jakim przedstawiał się nie w urzędowy sposób, ale przy ognisku domowém. W kilku rzutach pióra nakreślił obraz króla, zdjęty żywcem z natury. „Nosi zazwyczaj frak bronzowy, kamizelkę czarną atłasową albo białą pikową, krawat biały, pończochy jedwabne ażurowe, trzewiki lakierowane. Na głowie ma peruczkę z wysokim czubem szpakowatym. Wesoty jest, dobry, uprzejmy i rozmowny.”

„Dnia jednego — mówi poeta — rzekł do mnie Ludwik Filip.

— Raz tylko w życiu mojem kochałem się na zabój.

— A to w kim Najjaśniejszy Panie?

— W pani de Genlis.

— A przecież ona była mistrzem Jego Królewskiej Mości.

Rozśmiał się król i rzecze:

— Tak jest, nadzwyczaj ostrym mistrzem. Wychowywała nas w okrutny sposób, mnie i siostrę moję Adelajdę. Wstawaliśmy o szóstej rano, tak w zimie jak i w lecie. Karmiła nas mlekiem, chlebem i pieczenią: nigdy łakoci ani cukierków. Twarda praca, mało przyjemności. Ona to przyzwyczaiła mnie sypiać na gołych deskach. Kazała mnie uczyć rozmaitych ręcznych robót. Dzięki jój znam mniej więcej wszystkie rzemiosła. Umieć puszczać krew jak Figaro; jestem po trochu stolarzem, mastalerzem, mularzem i kowalem. Systematyczna była i surowa. W dziecinnych latach drżałem przed nią jak



listek. Byłem chłopcem słabego ducha, leniwym i tchórzliwym; bałem się najokropniej myszy. Ona przemieniła mnie całkiem; dała mi chęć do pracy i umysł dość zuchwały. W miarę jak roszłem, spostrzegłem, że była bardzo ładna. Przy niej dziwny jakiś ogarniał mnie niepokój. Zakochałem się, sam o tém nie wiedząc. Ona znała się na tém, odgadła rzecz natychmiast i odtąd surowiej jeszcze obchodziła się ze mną. Powtarzała co chwila: „Panie Chartres, wielki z ciebie mąż, czemu trzymasz się wiecznie spódnicy mojej!” Miała wtedy lat trzydzieści sześć, ja miałem siedmnaście.

„Pani de Genlis — dodaje Hugo — umarła w trzy lata po rewolucyi lipcowej; miała czas wychować na tronie. Ludwik Filip był w rzeczy samej jej dziełem; wychowywała go nie po niewieścieniu, ale z prawdziwą męską energią.”

„Ostatnie lata przeżyła w ubóstwie, prawie w nędzy. Było to w wielkiej części z jej winy: nie umiała się rządzić. Pieniądze rozsiewała po bruku. Król odwiedzał ją często, wraz z siostrą panią Adelajdą i okazywał jej wielkie poszanowanie. Pani de Genlis uskarżała się tylko na skąpstwo Ludwika Filipa. Mawiała często: „był księciem, a ja zrobiłam z niego człowieka; był ociężały, dodałam mu bodźca, dzięki mnie stał się zręcznym; był nudny, uczyniłam go przyjemnym i ożywionym; był tchórzem: obudziłam w nim samodzielność; był sknerą: nie mogłam uczynić go szczodroliwym!”

W zapiskach dalszych znajdujemy ciekawy obraz Berengera. Zobaczmy jak Hugo maluje typową postać popularnego śpiewaka.

„Dziś instalacya szkoły normalnej; zaproszono mnie na uroczystość. Wychodzę z sali, w tém przystępuje do mnie ktoś z twarzą okrągłą, czerwona, okiem bystrym, z długimi, siwiejącymi już włosami. Ma lat przeszło sześćdziesiąt, uśmiecha się łagodnie. Surdut na nim stary, źle zachowany; na głowie kapelusz kwakrowski, z szerokim skrzydłem. Nie poznałem go z razu.

— Jak się masz Hugo — rzecze.

— Ha! to ty Berenger, jak się masz?

Wziął mnie pod ramię... idziemy.

— Odprowadź cię trochę — rzekł — czy masz powóz?

— Mam własne moje nogi.

— I ja także.

Wchodzimy na ulicę Ś. Jakóba.

Dwaj ichmoście w czarnych frakach, przybliżają się do nas.

— Tam do licha! — szepnie Berenger — dwaj natręty: jeden prowizor, drugi członek akademii nauk, czy ich znasz?

— Nie znam ich wcale.

— Szczęśliwy z ciebie człowiek, Hugo! ty zawsze byłeś szczęśliwy!

Dwaj natręty opuścili nas, zamieniwszy dzień dobry.

— Masz słuszność — rzecze Berenger — że poprzestajesz na popularności, panującej nad tłumem. Ja nie mogę uchronić się od tej,

co napływa jak powódź. Biada człowiekowi popularnemu w taki sposób! staje się prawdziwym niewolnikiem. Zważ tylko ich reformistowskie bankiety: staram się wszelką siłą uchronić od nich... zabijają mnie! Tłumaczę się jak mogę: jam stary, mam zły żołądek, nie jadam obiadu, nie wychodzę wieczorem i t. p. „Ba! — mówią — człowie jak ty, nie ma prawa usuwać się od drugich, powinien się poświęcić...” i sto podobnych argumentów. Zmordowany jestem, a jednak muszą uśmiechać się, nastrojać mnie. A toż to rzemiosło dawnego błazna dworskiego! Błaznować księciu, czy ludowi, doprawdy rzecz w gruncie ta sama. Jakaż bo różnica między poetą, włączającym się za dworem, a poetą pociągniętym przez tłumy? Marot w XVI wieku, Berenger w XIX, ależ to mój drogi, jeden i ten sam człowiek. Bronię się wszelkimi siłami: oni mnie doprawdy nie rozumieją. Ty jesteś człowiekiem danój opinii, a nie żadnego stronnictwa. Oh! nie cierpię ich popularności! lękam się, czy nasz biedny Lamartine nie ulgnął w niej na dobre. Żałuje go... zobaczy co to jest... posłuchaj mnie Hugo, mam trochę zdrowego rozsądku, mówię ci: trzymaj się popularności, jaką zdobyłeś, ta jedna prawdziwa, ta dobra! Przytoczę ci oto własny przykład. W roku 1829, kiedy siedziałem w więzieniu La Force za moje piosenki, ponieważ byłem popularny, każdy szlafmyczarz i parzybroda, ktokolwiek czytał „Constitutionela,” uważał za obowiązek, pocieszać mnie w więziennój celi. „Idźmy do Berengera! — mówili jedni do drugich,” — jakoż nachodzili mnie bezustanku, a ja, który marzyłem wtedy o moich poetycznych głupstwach i rymowałem zwrotki za kratą okienka mego, zamiast chwytając rymy w przelocie, musiałem przyjmować uprzejmie mojego szlafmyczarza! Nie byłem wolny w mém więzieniu! Jakże mnie oni bez litości nudzili.”

Tak gawędząc doszliśmy do pałacu Mazaryniego: był to dzień posiedzenia w akademii.

— Czy pójdziesz ze mną? — zapytałem ukazując bramę.

— O wcale nie! takie gody nie dla mnie lecz dla ciebie.

Odbiegł i znikł mi z oczu.

Wspomnienie Berengera odnosi się do roku 1847.

Ubiegło lat dwadzieścia — Wiktor Hugo przepomniał nieszczęściem mądrój przestrogi. Upojony dymem kadzideł, schlebiał do zbyt-ku tłumom! W pogoni za popularnością zwiądnął nie jeden liść z jego poetycznej korony!

Mówiąc o ostatniém dziele Wiktora Hugo, dodajemy tu, że zmarły poeta jest ciągle przedmiotem krytycznych rozpraw i komentarzy. Mamy przed sobą nowy tomik Ernesta Dapin, pod tytułem: Wiktor Hugo człowiek i poeta. Autor wy dobył z języka wszystkie formuły, jakie mogą określić bezwzględną cześć i najwyższe uwielbienie. Pod piórem jego „Wiktor Hugo, jaśniejszy niż słońce, bo nie ma na nim plamy. To człowiek-ocean!” woła w końcu, entuzjastyczny biograf.



Spokojniej ocenia poetę profesor Stapfer, autor ważnego dzieła o Szekspirze. Ten wytrawny krytyk, powstaje zarówno przeciw zagozrałym czcicielom poety, jak i przeciw systematycznym przeciwnikom, usiłującym strącić go z piedestatu. Utrzymuje on, że metoda pro i contra, do nikogo lepiej zastosować się nie da jak do Wiktora Hugo. Zdaniem krytyka nie było w świecie poety, o którym możnaby powiedzieć tak wiele dobrego, a zarazem tak wiele złego. „Był to, największy — jak mówi — z poetów francuzkich, najwymowniejszy organ wieku, a jednak wygłosił stylem napuszystym mnóstwo błahostek, bił zapalczywie w bęben i rzucał proch w oczy gawiedzi. To krynica żywa, co odrodziła literaturę, a zarazem to wzór niebezpieczny, który ją wyjąłowił. Słowem to wielki i zasłużony autor wielu dzieł pięknych i pożytecznych, a jednak, człowiek to niedoskonały: żaden moralista nie mógłby przedstawić go za ideał społeczeństwu.“

Ta antyteza krytyczna, wybornie odpowiada poecie, który wiecznie uganiał się za antytezą.

Czyli-to — jak mówi Stapfer — Wiktor Hugo wyjąłowił za długo grunt poetyczny we Francyi, czy też na to wyjąłowiecie składało się wiele innych powodów, nie będziemy tego dochodzić. Powiedzmy tylko, że w literaturze poetycznej, niesłychane uderza nas dzisiaj ubóstwo. Nie brak tu zapewne wydawnictw poetycznych: codziennie sypią się z pod prasy zgrabne tomiki w złotych lub perłowych okładkach, na gładkim jak atlas drukowane welnie: wiersz w nich poprawny, forma wytworna, ale niestety na tém koniec. Po przeczytaniu pozostaje ekliwość i niesmak. Dwaj pierwsi poeci, Sully Prudhomme i Franciszek Coppée, nie spoczywają przecież beczynnice na akademickich wawrzynach. Pierwszy z nich wykończył i wyda niebawem filozoficzny poemat o Szczyćściu, z którego ogłoszone wyjątki, ukazują nam zakochaną parę w pogoni za prawdą w eterycznej, zaświatowej przestrzeni. Ale nie przesądzajmy rzeczy. Za miesiąc lub dwa, jeśli kochankowie nie rozwiążą zagadki życia, to przynajmniej czytający ogół rozwiąże zagadkę, czy nowy poemat godzien lirycznych zwrotek utalentowanego poety. Drugi, Franciszek Coppée, autor znakomitych dramatów, wydał obecnie maleńki zbiorek ulotnych poezyi pod tytułem *l'Arrière Saison* (Ubiegła doba). Pojąć nam trudno, jakim sposobem powaga akademicka, pozwoliła autorowi na tak osobiste zwierzenia.

Ulotne pieśni składające ów zbiorek, połączone są wspólnym węzłem. Serce poety było niegdyś jakoby rzymski pałac, zbudowany z granitu i marmuru. Powódź barbarzyńców zburzyła gmach, obróciła w ruinę. Poeta oniemiał; smutnym okiem pogląda na owe zwaliska. Aż oto przychodzi kobieta, nie zbyt już młoda, ze słodkim uśmiechem i łagodnym wejrzeniem; położyła rękę na sercu zrospaczonego, poczęła z nim razem zbierać szczątki, i z gruzów pałacu zbudowała chatkę. Odtąd poeta odzyskał spokój i ufność. W szeregu poe-

macików misternie wyrzeźbionych wyraża wdzięczność dobroczynni jej swą Egeryi. Gdybyż przynajmniej ta Egerya była małżonką poety, możnaby poniekąd uwzględnić te zwierzenia!

Przebiegliśmy oczyma kilkanaście tomików oznaczonych tego-roczną datą. Jakaż to różnorodność! Każdy poeta za innym goni ideałem, każdy przystraja go na swój sposób, to dziwacznie, to znów konwencyonalnie, trop w trop za Horacym lub swawolnym Anakreonem. Rzućmy pobieżnie okiem na te objawy muzy francuzkiej.

Hipolit Buffinier „w Wykrzyku miłości i dumy“ opiewa jasnowłosą Lydyą, lub czarnooką Cyntyą; nie żaden to wykrzyk serca, ale parafraza klasyków, z którymi autor obznajmił się na szkolnej ławie.

Markiz de Pimodon, w zbiorze elegii pod tytułem „Wieczory po kłesce“ opiewa gładkim wierszem, chwałę zwyciężonych, to jest szlachty francuzkiej. Z pogardliwą pychą arystokraty woła we wstępie: „Nie dotykaj książki mojej proletaryuszu, królu dni przyszłych! Nie dla ciebie te boskie rytmy! Nie dla ciebie złociste czasy, z których my upajamy się ideałem! Tobie innego trzeba trunku!“

Chorobliwy pesymizm dziś na porządku dziennym w powieści, znajduje również i w poezji zwolenników i propagatorów. Gustaw Rivet, w poemacie p. t.: „Testament Hektora Letras,“ ucznia paryżkiego fakultetu, maluje wrażenia znudzonego życiem młodzieńca, który postanowił zakończyć dni samobójstwem.

Inny apologeta samobójstwa, Olivier Chuntal, w obrazku rymowanym „Flora Fucks“ opiewa miłość poety do jakiejś berajterki z cyrku paryżkiego. Chciwa złota i oklasków bohaterka, odpływa na drugą sferę półkulę, ale widmo opuszczonego „wgrzyło się jak piekielny dym pod jej powieki;“ zrozpaczona rzuca się w fale oceanu.

Inni znów, jak Tankred Martel, wbrew pesymistom usiłują odnowić galską werwę poetów XVI wieku, którzy swobodnie rzucali na papier ulotne rymy, w rodzaju frazsek Kochanowskiego i figlików Reja z Nagłowic. Martel naśladowuje nieźle rubasznosć poprzedników, ale brak mu ich dowcipu i swobody.

Cóż tu powiedzieć mamy o nowej szkole Dekadentów czyli Symbolistów, którzy łamią głowę nad wyszukaniem nowych rymów i nowej miary. Przerzuciliśmy tomik Gustawa Kohn, chcieliśmy przytoczyć na próbę chociażby małą zwrotkę, ale w tém całym galimatia, bez sensu i bez smaku, niepodobna było nam pochwycić jednej nitki.

Pomijamy tu „Zabędzie“ Gryfina i „Zięby“ młodego Pittie; milsze od nich „Wróble“ Jakóba Normand. Wdzięcznie świegoczą te ptaszęta, ale żaden z nich nie wart „Wróbla“ Maryi Ilnickiej, którego poetka tak umiłowała, bo jak nasz kmieć, przyrosły do swęj grzędę, krąży wiecznie nad swojską strzechą, znosi wytrwale jesienne szarugi i śnieżące zimowe.

W gronie nowych poetów znajdujemy imię młodej kobiety, pani de Montgommery. Miłośniczka idealnego piękna, opiewa je wierszem dźwięcznym i potoczystym, powiedzmy tylko że nazbyt śmiało, jakoby



wstępny bojem, poetka wdziera się do przybytku sławy. Z jakąż pychą woła na samym progu:

Ja pracę rozpoczynam dla nieśmiertelności,  
Niech wawrzyny wykwitną z prochu moich kości.

W obec tej posuchy na polu poetycznym, tej gorączkowej pogoni za nowością, z pogardą wyższych ideałów, odczytaliśmy z zajęciem „Mea culpa” mało znanego poety—oto parę zwrotek z tej spowiedzi

Północ bije na zegarze  
Doba kończy się w tej chwili,  
Obrachować rozum każe,  
Czyśmy dobrze ją przeżyli.

Dziś trzynasty, straszna data,  
I fatalny jeszcze piątek,  
Wszystko w opak się zaplata  
Potargany cały wątek.

Zamiast podnieść wzrok w błękity,  
My bluźnili Bogu społem,  
Jak nikczemne pasożyty  
Poza cudzym siedli stołem.

Bez litości gawiedz licha  
Spychaliśmy z prostej drogi,  
Grzbiet przed ludzką gięli pychą,  
Co turzemi bodła rogi.

Goniliśmy choiwem okiem  
Błędny ognik, co połyska,  
Upowity ślad pomrokiem  
Ze zgnitego topieliska.

Tuman szału oczy ślepi,  
Kto wypowie te męczarnie,  
Ahl zagaśmy światło łepiej,  
Niech nas płaszczem noc ogarnie.

Dziwnie sprzeczne prądy wstrząsają społeczeństwem francuzkiem: Paryż stał się dziś żywą antytezą; przytoczmy oto przykład. Kiedy z jednej strony Wolter odbiera liczne hołdy, kiedy na placach publicznych wyrastają niby z pod ziemi posągi filozofa z Ferney, z drugiej znów strony, znicważona przezeń Joanna d'Arc, nigdy jeszcze nie była przedmiotem tak powszechnego zajęcia, nigdy pamięć jej nie była pomszczoną z takim jak dziś zapalem. Francya nie zdaje sobie sprawy z tego popędu, działa bezwiednie, jakby wiedziona przecuciem,

że odrodzenie jęj wypłynię z ludu wieśniaczego, tego piastuna domowych tradycyi, przejętego na wskroś wiarą praojców.

W ciągu dwudziestu kilku lat, odkąd przebywamy w Paryżu, ileż to coraz nowych objawów czci dla Joanny d'Arc przesunęło się przed oczami naszymi. Dawniej jeszcze Michelet uderzył w dzwon na hasło: podjął je Henri Martin; w pamięci naszej brzmią oklaski, jakimi obsypano drgający życiem odczyt, w którym historyk nazywa Joannę krwią ze krwi, kością z kości starożytnego plemienia gallów, przyszłego odrodziciela użytej dziś Francyi. Odtąd z każdym rokiem powtarzają się hołdy. W Orleanie, staraniem słynnego biskupa, staje na placu pyszny pomnik w rocznicę skonu bohaterki, przybiegają tu nieprzeliczone tłumy; dzień 30 maja staje się narodową uroczystością. W Paryżu nowa dzielnica miasta, odżywia pamięć Joanny i rycerzy wstawionych pod jęj chorągwią. Na placu Pyramid miasto wznosi jęj konny pomnik, wykonany mistrzowskim dętem. W tymże czasie zjawia się pomnik innego rodzaju. Wydawca Mame, w wytwornej księdze, obok życiorysu pasterki, nagromadza reprodukcyje wszystkich rzeźbionych grup, obrazów, sztychów i miniatur, jakimi w ciągu czterech wieków sztuka uczciła oswodzicielkę Francyi. Wśród za tém dziełem sypią się inne; dość tu wspomnieć poważną pracę pana de Luce i ozdobną publikacją Maryusza Sepeta. Na dorocznych wystawach widzimy bezustannie odtwarzaną postać Joanny. W tym oto roku, oprócz dzieła Matejki, uderzają nas cztery inne obrazy niepośledniej wartości, przedstawiające to wjazd tryumfalny w bramy Orleanu, to pasterkę pod krzyżem w Domremy, zasłuchaną w głosach świętych patronów.

W idealniejszy sposób kompozytorowie dzisiejsi uczcili Joannę d'Arc; przypomnijmy tylko cudne melodye Masseneta i Deliba, i piękną operę Gounoda z poematem Juliusza Barbier. Wszystko to jednak milknie w obec arcydzieła Gounoda, mszy wykonanej tego lata w Reims, podczas uroczystości Urbana II-go. Zdaniem powszechném mistrz prześcignął się sam w tej genialnej kompozycyi.

Czczyciele Joanny wpadli dziś na oryginalny pomysł: przyszła im w pomoc spekulacya księgarska, gotowa zawsze korzystać z prądów powiewających w czasie. Wydawca Lemercier przedsięwziął nową publikacją, złożoną z nieznanych dokumentów, z ilustracyi pierwszych mistrzów francuzkich, z muzycznych partycyi, wreszcie z autografów. Godna tekstu okładka księgi, ma być wierném odwzorowaniem sztandaru tryumfatorki.

Zebrane już autografy na szczególną zasługują uwagę. Są to krótkie aforyzmy, nakreślone bądź wierszem, bądź prozą, ręką członków Akademii francuzkiej, wszystkie poświęcone Joannie. Poważna ta instytucya pomimo sarkastycznych pocisków, jakimi chłoszczą ją ci, których nie przypuściła do grona swego, jest przecieź od dwóch wieków najwyższą przedstawicielką inteligencyi francuzkiej. Zapisane przez nią słowa mają wagę niezaprzeczoną. W zdaniach tych wiele



napotykamy sprzeczności; wymowny to dowód, że akademia nie jest ciałem martwym. Cogito ergo sum, wyrzekł niegdyś Kartezjusz. Akademia może powiedzieć: Walczę a zatem żyję!

Powtarzamy tu owe dorywcze zapiski; dadzą one poznać osobistości, składające poważny areopag.

Powieściopisarz Cherbuliez, sarkastyczny wolteryjanin, wyraża się w ten sposób:

„Po co żądać kanonizacyi, której nigdy nie będzie. Jakkolwiek Joanna rozmawiała ze świętymi, nie była przecież świętą, była to po prostu Joanna, dobra francuzka.“

Pod takiem zdaniem Kamil Rousset, nakreślił wprost przeciwnie.

„Z przeproszeniem kolegi mego ja uważam Joannę za świętą właśnie dla tego, że była dobrą francuzką.“

Ośmdziesięcioletni Nizard, dziekan Akademii, gorący bonapartysta, z młodzieńczym zapałem wyraził się o bohaterce:

„Dla mnie starego francuza, urodzonego pomiędzy datą Austerlitz a Jeny, przy dźwięku dzwonów bijących na Te Deum, nie mała to w smutku pociecha, jaką starość wlecze za sobą, gdy widzę jak w dzisiejszej Francyi odkwita cześć dla wielkiej oswobodzicielki pra-ojców naszych. Chętnie też zapisuję imię moje pomiędzy imionami waszemi, w zbiorze poświęconym na chwałę Joanny d'Arc.“

Inny bonapartysta, słynny historyk, położył krótki, ale gorący napis.

„Wielkiej francuzce, jeden z najzarliwszych jój wielbicieli, Wiktor Duruy.“

Wierny też pamięci Napoleona, sekretarz Akademii Kamil Domet, połączył pamięć bohatera z pamięcią bohaterki:

Joanna z Napoleonem  
Kraju oswobodziciel!  
A kraj w oblędzie szalonym  
Dziś o nich myśli nie wiele.

Stój na kolumnie Cozarze,  
Złość ludzka cię nie pokona,  
A ty dziewico natchniona  
Wśród naszych patronów grona  
Czuwaj z Genowefą w parze,  
Bóg strzedz wam ojczyznę każę!“

Matematyk Józef Bertrand, napisał słowa zaprawne złośliwym sarkazmem:

„Biedna Joanno! Ci których uwielbienie pragnęłoby widzieć cię odrodzoną, azażliż pomyśleli nad tem: dziś twoje ciało nie spłonęłoby na stosie, ale roje natrętnych reporterów, biegałyby za twemi śladami; ogół sztydziłby z ciebie i nikt nie poszedłby za tobą!“

Poeta Sully Prudhomme, wystawia Joannę rzewnym ośmiowierszem:

„Tyś serc naszych królową; niech ci pozazdrości  
Tego berła Helena, co zburzyła Troję;  
Pasterko w zgrzebnój świcie obleczona w zbroję,  
Twa zasługa przerosła urok jój piękności.

Żadna, oprócz Maryi, co króluje w niebie  
Dziewica, nie zbudziła miłości tak czystej,  
Jak on żar, co nam serca przeniknął dla ciebie,  
Kto cię kocha, Joanno, kocha kraj ojczysty!“

Ociemniały starzec Cuvilliet Fleury, dawny przewodnik synów Ludwika Filipa, podyktował słowa, świadczące więcej o miłości dla rodziny Orleanów, niż o czci dla dziewicy Orleańskiej:

„Z dziełem rzeźby, dłuta księżniczki Maryi, córki króla Ludwika Filipa, późniejszej księżnej Wirtemberskiej, łączy się u mnie wspomnienie Joanny d'Arc, bohaterki Francji: pozostałem jój wierny.“

Z wygnania swego księżę d'Aumale przysłał pełne znaczenia wyrazy:

„Przyjaciele moi! zdradzoną jestem!.. Módlcie się za mnie, albowiem nie będę już mogła służyć pięknemu królestwu Francji.“  
„Ostatnie słowa Joanny wyrzeczone do ludu w Compiègne 23 maja 1430 roku w chwili kiedy opuszczała fortecę.“

A oto napis orleanistowskiego publicysty Edwarda Herve:

„Święta Genowefa jest patronką Paryża; Joanna d'Arc, gdyby była kanonizowaną, powinna być patronką Francji. W nią wcieliły się razem: wiara religijna, wiara monarchiczna i wiara narodowa.“

Gaston Boissier, profesor literatury starożytnej w kolegium francuzkiem, temi słowy określił bohaterkę:

„Co mnie szczególnie uderza w Joannie d'Arc, oto gdy widzę do jakiego stopnia, tak w słowach, jak w całym postępowaniu, łączy zdrowy rozsądek z natchnieniem, rozum i przenikliwość z zapalem. Pyszniejmy ją! to krew z krwi naszej i kość z naszych kości; to prawdziwa francuzka zarówno umysłem jak i wielką miłością dla Francji.“

Gorący lotaryńczyk, profesor Sorbony Mezières, uczcił ośmiowierszem bohaterską rodaczkę:

O! gdyby zmartwychwstały prochy twego ciała,  
Ty w ogień był powiodła lotarynko śmiała  
Młode szeregi naszo, pomne ojców kłęski,  
W prawicebyś im oręż złożyła zwycięzki!  
Bądź nam tarczą Joanno!—Patrz! gród nasz dziewiczy  
Obcą deptany stopą, na pomoc twą licz,   
Strąć mu z bark twarde jarzmo, cierpiał już do syta,  
Wróć przeszłość, niech po nocy dzionek nam zaświał!



Pasteur napisał krótkie słowa, świadczące, że wielki przyrodnik może być zarazem wzniosłym idealistą.

„Wielkość czynów ludzkich mierzy się potęgą natchnienia, z którego są zrodzone. Życie Joanny d'Arc najszczytniejszym dowodem onej prawdy.“

A oto słowa Renana:

„Żytowność starożytna, głęboka, niewyczerpana ducha francuzkiego: to nasz dogmat patryotyczny. Któż to lepiej okazał, jeśli nie nasza dobra lotarynka, Joanna d'Arc?“

Historyk Paryża Maksym Du Camp w ostrych słowach wyraził omylność rozumu ludzkiego, gdy nie umie podnieść się nad poziom.

„Rozum to rzecz najgłupsza w świecie. Wolter dowiódł tego napisaniem Dziewicy orleańskiej.“

Ostro też uderza na Woltera Ludwik Halewy. Wytrwały za paśnik, który najdzielniej utrzymuje w powieści sztandar idealizmu, tak się wyraża o Joannie.

„La Pucelle! Wolter napisał tę bezecną i oplakaną farsę, złożoną z dziesięciu tysięcy wierszy. I Kandida napisana tąż ręką. Jakim sposobem tenże sam człowiek może mieć tak wiele i tak mało rozumu? Śmiało powiedzieć możemy, że z niejednej strony więcej warci jesteśmy od ojców naszych: Kochamy Francją sercem prostszém i wytrawniejszém. Gdyby Wolter żył dzisiaj, nie przyszłoby mu na myśl napisać ohydneho poematu.“

I znów inny pocisk na Woltera, wymierzony piórem innego idealisty Oktawiusza Feuillet.

„Gdyby Joanna w dniu sądu ostatecznego, miała wybierać pomiędzy biskupem Cauchon, który ją skazał na stos, a Wolterem, który ją opiewał, bezwątpienia Cauchon, otrzymałby jój przebaczenie.“

Nie przebaczył też Wolterowi ośmdziesięcioletni akademik Marmier, oto jego wyrazy:

„Joanna d'Arc znieważona przez Woltera, godnie mszczoną była przez dwóch wielkich poetów cudzoziemskich, Niemca Szyllera i Anglika Suthay'a. Potrójna ztąd hańba Wolterowi!“

Legeuvé, najpopularniejszy z czterdziestu akademików, głęboką wyrzekł prawdę:

„Gdyby Wolter miał rozum, byłby utworzył poemat bohaterski o Joannie d'Arc, a komiczny o Henrydzie. Aby mówić o Henryku IV, potrzebna byłoby pióra Aryosta, aby uczcić Joannę, wypadało wziąć pióro Torkwata Tassa.“

Utalentowany komedyopisarz Pailleron, korzystając z okoliczności, rzucił sarkazm na dzisiejszych koryfuszów medycyny, których wziął za przedmiot do nowej komedyi w rodzaju Molierowskim, zastosowanej do czasów obecnych. Oto są jego słowa.

„Spalono Joannę i wytłómaczono ją. Anglicy uczynili z niej męczennicę, uczeni dzisiejsi historyczkę. Co do mnie, wolę Anglików.“

Biskup z Autun Perraud, jeden z grona czterdziestu akademików, nakreślił słowa pełne głębokiego namaszczenia.

„Ciało Joanny, spalone na popiół wrzucono do Sekwany. Nieprzyjaciele jęj, oślepieni wściekłością, dali jęj grobowiec, jakiego pozazdrościć mogą najsłynniejsi bohaterowie. Fale oceanu rozbiegają się wszędzie: Joanna ma grobowiec wielki jak świat!...“

Juliusz Simon powtórzył piękne słowa, które niegdyś nakreślił o Joannie, oceniając dzieło Micheleta.

„Należy ona zarazem do historii i do legendy, jest nieodrodnym dzieckiem ludu w słałości i sile swojej, w wierze i przenikliwości. Wychodzi z najniższych szczebli społecznych, tryumfuje w imię Boga i w imię Francyi, i znika na stosie między niebem a ziemią. Wielki to przedmiot uwielbienia, politowania i miłości.“

Prawnik Rousse, nakreślił też słowa godne uwagi:

„Wkrótce o kilka kroków od statuetki zadumanej Joanny d'Arc, jaką widzimy na placu Pyramid, stanie na placu Caroussel kolosalny posąg Gambetty. Współcześni mierzą na swoją miarę, potomność na inną odmierzył!...“

Słynny autor dramatyczny Emil Augier, wyraził cześć swoje w tych słowach: Joanna d'Arc lubo nie kanonizowana przez kościół, jest świętą dla ojczyzny.“

Związłj jeszcze wyraził się komedyopisarz Labiche:

„Czyż Bóg ześle nam kiedy alzacką Joannę d'Arc?“ Pod temi słowami, na téże samj karcie nakreślił Ferdynand Lesseps:

„Tą Joanną będzie Francya, kwitnąca pokojem.“ Jakby w odpowiedź Lessepsowi, Emil Olivier wyraża się w ten sposób:

„Dziewica natchniona, która dla oswobodzenia ojczyzny biegnie co siły do zapasu, to żywy obraz naszej Francyi. Ona powinna być żołnierzem, żołnierzem Bozym, jak mówi Szekspir. Gdyby miała nad oręż przełożyć spokojne wrzeciono, wzgardzone przez Joannę, wnet szlachetny zapał, cywilizacya, sprawiedliwość i wolność, znikłyby całkiem ze świata.“

Słowa Leona Say, na szczególną zasługują uwagę: wielki finansista przewiduje, że lud wieśniaczy odrodzi w przyszłości Francją posłuchajmy go.

„Kiedy ojczyzna w niebezpieczeństwie, pozostaje francuzom jedyna pociecha: pamiętają, że wśród nich urodziła się Joanna d'Arc i że historia powtarza się niekiedy!“

Audifret-Pasquet, wypisał ustęp z mowy akademickiej, wypowiedzianej siedm lat temu, w dzień przyjęcia.

„Joanna d'Arc, to odrębna całkiem postać w historii naszej. Święta Klotylda umiera w bolesnym, lecz pełnym chwały wdowieństwie u grobu s-go Marcina. Święta Genowefa kończy długie pasmo dni, otoczona błogosławieństwem ludzi w okolicach St. Denis. Joanna, powołana głosem świętych patronów, opuszcza wioskę, podnosi upadłe serca, wypędza z Francyi zastępy nieprzyjaciół. Obsypana oklaskami wojska i ludzi, dosięga najwyższego szczytu chwały ziemskiej. Śmierć nowym blaskiem opromienia tę wielką postać. Zdradzona i opusz-



czona, umiera w płomieniach, przy grzmiącym poklasku pokonanych nieprzyjaciół. Popioły jej rozleciały się z wiatrem. Nic z niej więcej nie pozostało tylko oswobodzony lud i niewygasła pamięć!“

Książę de Broglie, w miejscu własnego pomysłu zapisał czterowiersz panny de Gourny, bratanki sławnego de Montaignu'a, napisany w szesnastym wieku, pod obrazkiem, przedstawiającym bohaterską dziewczę z mieczem w ręku.

—Jak pogodzisz, z niebiesów zesłana Dziewico,  
Słodycz oka twojego i ten miecz zo stali?

—Pieszczę ojezystą ziemię słodką mą żrenicą,  
Miecz mój wróci jej wolność i cześć jej ocali!

Przewódzca szkoły pozytywistycznej, Taine, tak określa Joannę i Francją:

„Słodka Francjo! rzekł umierający Roland: przymiotnik ten pokazuje Francję, jako tkliwą i smętną matkę. Toż samo uczucie budzi w nas Joanna d'Arc. Erudyci spostrzegli, że wyraz ten odpowiada nam najlepiej, określa bowiem oryginalny odcień naszego patriotyzmu.“

Karol Mazade pięknie określił Dziewicę Orleańską.

„Joanna d'Arc świętą jest dla Francji i świętą przez wiarę i bohaterstwo, przez poświęcenie i czystość. Niegdyś była duszą ojczyzny i pozostała dziś żywą poezją w dziejach narodu.“

Aleksander Dumas te piękne napisał słowa.

„Przekonany jestem, że we Francji wszyscy myślą o Joannie d'Arc, to co myślę o niej. Uwielbiam ją, żałuję i oczekuję nowój!“

Zawzięty wróg kościoła Lecomte de Lisle, bryznął tu tymże samym jadem, jakim zaprawił tyle rymowanych paszkwilów.

„Joanna d'Arc, dobra Lotarynka z sercem bohaterskim, zdradzona była nیکczemnie przez królewskość, spalona żywcem jak czarownica i heretyczka przez prawowierny kościół, zaprzędany wrogom narodu.“

Głośny pisarz dramatyczny, Wiktoryn Sardou, zawiódł oczekiwanie powszechne, dla oryginalności zapewne, ten głęboki znawca serc ludzkich, wystąpił, jako zimny archeolog. Oto jego autograf.

„Wyobrażamy sobie zawsze Joannę d'Arc, jako blondynę, tymczasem pozostał list pisany przez nią do Dunois, opatrzony pieczęcią woskową z przyczepionym do niej włosem, według zwyczaju tamtych czasów. Owóż ten włos jest czarny.“

Świeżo zmarły profesor filozofii, Caro, na kilka dni przed zgonem, nakreślił słowa pełne głębokiej myśli protestuje w nich przeciw doktrynie głoszącej, jakoby historia Francji rozpoczynała się dopiero z wielką rewolucją,

„Szkoła nowoczesna odnosi ideę ojczyzny do daty bardzo świeżej. Godzi się utrzymywać, aby nie istniała dalej przed 30 maja 1431 roku, skoro Joanna umarła dla tej idei. Czemże były owe głosy, które

słyszała na stosie, jeśli nie wyrazem najtkliwszym, najprawdziwszym sumienia narodowego Francyi?"

Jeden tylko akademik, John Lemoine, stanowczo odmówił autografu, bądź dla oryginalności, bądź z innej niewiadomej przyczyny. Nie odmówił go sparaliżowany starzec Viel Castel, nie mogąc włożyć ręką ani myślą, położył na karcie swój podpis.

Zostawiliśmy na sam koniec najmłodszego z grona zwanego Beniaminkiem Akademii, jest nim Franciszek Coppée. W zbiorze autografów nakreślił on poetyczny obrazek, pełen barwy, tryskający życiem, złożony z kilkudziesięciu wierszy.

U bram grodu staje dziewica w szyszaku i zbroi na śnieżno-białym biegunie. Powołuje lud do obrony. Ale w pustym grodzie, snuje się tylko dziatwa, obok spłakanych niewiast i siwych starców. Na cmentarzu wyrosły setki mogił, świeżo zatknięte na nich krzyże świadczą o waleczności mężów poległych w boju.

— Chodzisz za mną starce i dzieci!—zawołała Joanna.

Starce i dzieci gotoweby iść—serca biją—oczy błyskają zarem, ale wróg zabrał wszystkie oręż.

Nie zrażona tem bohaterka, zwraca bieguna ku owym świeżo usypanym mogiłom; tłum podąża wśląd za nią, Święty Michał snąc wysłuchał jęć gorącej modlitwy.

Bo zaledwie stanęła na ziemi cmentarnej  
 Ono krzyżów tysiące wśród zielonej darni  
 Zatknięte ręką bratnią nad umarłym ludem  
 Nagle w tysiące mieczów przemienia się cudem,  
 Jaskrawo promień słońca w ich główniach odbłyska;  
 Wnet zawrze bój ostatni, godzina już bliska,  
 Posłuszno woli niebiosa trumny się rozwarły  
 Oręż w rękę żywemu kładzie brat umarły!

Zapowiedziana publikacya wkrótce opuści prasę. Wspaniały to będzie pomnik, godzien bohaterskiej dziewicy.

Dziwne rzeczy widzimy we Francyi. Podczas, kiedy jedni w imię postępu, usiłują tu zatrzeć wszelkie ślady tradycyi, inni tymczasem w cieniu gór i lasów, przechowują z miłością i poszanowaniem nie tylko odwieczne tradycye, ale nawet szczątki starożytnego pogaństwa. Dowiadujemy się, że w południowej Francyi, pomiędzy Saoną a Loarą, przetrwali dotąd starożytni Druidowie. Zowią ich w okolicy białymi, gdyż podczas obrzędów, kapłani ich obłóczą długie białe płaszcze, wszyscy zaś adepci przysłaniają głowę białym kapturem. Żyją otoczeni głęboką tajemnicą. Ich zgromadzenia odbywają się nocą w ciemnym lesie. Ponieważ rozrzucony są na szerokiej przestrzeni, wychodzą na te zebrania, kiedy mrok zapadnie, a równo ze dniem powracają do domów. Co rok mają cztery zebrania, najuroczystsze z nich koło miasteczka Clayetta, pod przewodnictwem wielkiego kapła-



na. Ci co mieszkają dalej, powracają dopiero następnej nocy. Ich nieobecność w ciągu dnia, daje poznać sąsiadom, że się odbywa zgromadzenie. Kapłani ci znani powszechnie; lud mieni ich biskupami i arcybiskupami. Są to Druidy i Archidruidy.

Biali odznaczają się wielką uczciwością, mimo to ogół uważa ich niejako za paryasów. Przywiązani bardzo do obrzędów i zwyczajów swoich, kobiety zwłaszcza okazują wielką żarliwość. Żadna nie wyjdzie za człowieka nie należącego do ich grona,

PP. Bos i Bonnemere napisali ciekawe szczegóły o nich w świeżo wydanem dziele p. t.: *Historja narodowa Gallów*.

Ale prawdziwą ostoją Druidyzmu, pozostała dotąd Wallia. Tam adepci nie pokrywają tajemnicą swych obrzędów: nie tylko że odbywają publicznie zebrania, ale co więcej, aby im nadać tém szerszy rozgłos od czasu do czasu, zbierają się w Londynie. Taka uroczystość odbyła się niedawno w Hyde-Parku, przytaczamy list naoczego świadka, ogłoszony w pismach francuzkich.

„Widziałem dziś, pisze korespondent Debatów, scenę nadzwyczaj ciekawą. Przechodząc przez Hyde-Park, spostrzegłem na trawniku tłum ludzi, okrążający znaczną przestrzeń. W pośród koła, oznaczonego dwunastu kamieniami, stało dwunastu starców z białym jak mleko włosem i długą białą brodą. Mówili żywo, językiem obcym dla mnie, nie zrozumiałem ani słowa.

Ugrupowani byli w koło trzynastego kamienia, większego nad inne. Choć ubrani w zwyczajne suknie odprawiali widocznie jakiś pogański rytuał. U nóg ich leżały przedmioty dziwnego kształtu, wstęgi zielone i błękitne, tabliczki drewniane z napisami, wyróżnionymi nieznanym charakterem. Jeden z tych starców zapewne naczelnik, trzymał w ręku długą szpadę, machał nią bez ustanku,

W tém zbliżył się jakiś człowiek; na znak naczelnika podjął trąbkę, wydobył z niej kilka przeciągłych tonów. Na to hasło dwunastu ludzi przystąpiło do tyłuż rozstawionych kamieni. Każdy stał prosto, lewą nogą wsparty o kamień, z głową odkrytą na znak poszanowania.

Naczelnik wystąpił z grupy, w ręku trzymał księgę otwartą, pod pachą szpadę w pochwie. Odczytawszy na głos modlitwę niezrozumiałą dla mnie, wydobył ostrze z pochwy, wymawiając dziwne jakieś słowa, tłum odpowiadał na nie. Potrzykroć się to powtarzało. Zadowolony, jak widać, z odpowiedzi, starzec podawał szpadę do dotknięcia dwunastu stojącym przy kamieniach towarzyszoim, potem ukrył ją w pochwie i położył na ziemi koło środkowego kamienia.

Zapytałem jednego z obecnych, co znaczyła ta ceremonia i kto byli ci ludzie, objaśnił mnie, że owi starcy są Druidami, że obchodzą Gorssed starożytnym zwyczajem galskim, „w obec słońca, oka światłości,” poczem udadzą się na Eistedfood. Wyraz Eistedfood oznacza igrzyska kwiatowe: są to konkursa poezyi, śpiewu i muzyki. Celem

tęj uroczystości odbywanej rokrocznie, zachowanie języka i literatury galskiej.

W tym roku Walijczycy odbyli swój Eistedfood w londyńskim gmachu Albert-Hall. Co dnia po południu poeci, śpiewacy i muzycy ubiegają się o nagrody, przeznaczone konkursowym zwycięzcom.

Obrzęd Gorseed może się tylko odbywać, kiedy księstwo Walii zupełnie używa pokoju. Zapytanie Druida znaczyło: „Czyli pokój panuje?” — „Pokój panuje,” odpowiedzieli walończycy. I ceremonia odbywała się dalej.

Kolejno Archidruid i Druidowie wstępowali na kamień środkowy, przemawiali do tłumu, który słuchał ich z religijném skupieniem, przyklaskując niekiedy. Jeden z nich, obdarzony basowym głosem, rozśmieszał słuchaczy. Nie wiem co mówił, ale śmiałem się z drugimi, patrząc na jego żywe pantominy i zamaszyste gesta. Uzbrojony parasolem siekał nim powietrze do taktu z wyrzeczonymi słowy

Po mowach nastąpiła pieśń narodowa, to żałosna, to rycerska na przemian, śpiewał ją walijczyk, przygrywając na harfie. Biegły to harfista, wydobywał harmonijne tony ze swego instrumentu.

Gdy skończył dwaj z pomiędzy dwunastu, co stali przy kamieniach, zbliżyli się do Archidruidy, każdego prowadziło dwóch starców. Archidruid podjął z ziemi wstążkę zieloną, obwiązał nią prawe ich ramię. Obrzęd ten odbył się z wielką powagą, było to jakoby przyjęcie do korporacji. Nastąpiły potem mowy w języku walijskim, nakoniec orator zaprosił obecnych na Eistedfood do gmachu Albert-Hall, gdzie tu w południe odbył się sąd konkursowy.

Zebrania te powtarzają się co rok po miastach w Walii, tam uroczystszy jeszcze mają charakter. Z okien i ganków powiewają chorągwie, sznury przeciągnięte od domu do domu ponad wążką ulicą, tworzą jakoby bramy tryumfalne. Na tych sznurach, oplecionych kwiatami, spuszczają się klatki, a w nich kozy ze złocionemi rogami. Trąby grzmia, śpiewacy przebiegają miasto, radość powszechna dochodzi aż do szaułu.

Umarł przed miesiącem w Paryżu jeden z najznakomitszych profesorów Sorbony, członek Akademii francuzkiej, Caro. Od lat dwudziestu trzech wykładał z katedry filozofią; na wykłady jego zbiegały się tłumy słuchaczy. O ile zachwycał potęgą słowa zwolenników spirytualizmu i liczbę ich powiększał bezustannie, o tyle znów w przeciwnym obozie liczył zawziętych przeciwników.

Caro pozostawił wiele dzieł, poświęconych filozofii i krytyce. Wstrzymywał on z całym wysileniem napływającą powódź pessimistycznych teorii Schopenhauera, Hartmanna i Leopardé'go. W dziele, wydaném przed laty kilku, wyzwał do zapasu tych trzech koryfeuszów budystańskiej Nirwany, matki nurtującego dziś nihilizmu. Ostatnią pracą jego jest świeżo wydrukowany tomik: „Krytyczne studjum nad Georges-Sand.“ Śmierć autora odwlekła ukazanie się książki.



Akademia przemysła już nad obraniem nowego członka w miejsce jednego z najznakomitszych erudytów swoich.

Wstrzymujemy się z rozbiorem prac zmarłego profesora, zostawiamy to do czasu, kiedy wybrany następca zajmie osierocone po nim miejsce w Akademii.

Dzienniki francuzkie zapowiadają nowy miesięczny przegląd od początku października. Ma to być wznowiony słynny niegdyś przegląd paryżki, „Revue de Paris,” który w pierwszej połowie tego wieku stał na czele publikacji literackich, zasilany przez pierwszorzędnych pisarzy, jak Balzac, Musset, Aleksander Dumas (ojciec), Alfons Karr, Julian Janin i inni. Właściciel pisma tego Buloz, poświęcił je w chwili najświetniejszego rozwoju dla przeglądu Dwoch światów („Revue des deux mondes“). W lat kilkanaście potem odrodził się przegląd paryżki pod kierunkiem Teofila Gautier, Arsena Houssaye i Maksyma Du Camp. Drukowali w nim dzieła swoje pierwszorzędni pisarze: Georges-Sand, Banville, Flaubert. Na rozkaz ministra, ustało wydawnictwo.

Dzisiaj znów zawiązało się towarzystwo literatów w celu wznowienia publikacji. Pismo wychodzić ma co miesiąc, pod tytułem: „Przegląd paryżki i petersburski.” Dyrekcyą objął Arsen Houssaye. Do głównych współpracowników należyć będą: Aleksander Dumas, Renan, Barbey d'Aureville, Wiktoryn Sardou, Juliusz Simon, Pasteur, Henryk Fouquer, Wejss, Rochefort, August Vacquerie, dr. Charcot Anatol de la Force, Flamarion i inni.

# POZNALI SIĘ U WÓD...

OBRAZEK WSPÓŁCZESNY.

PRZEZ

*Maryą Faleńską.*

— Czy my tu długo jeszcze zabawimy, moja mamó? — spytała panna Alina po dosyć długim milczeniu, niedbale kreśląc parasolką kratki na piasku alei, przy której siedziała.

— Sama nie wiem, moja kochanko—odpowiedziała jój matka.— Będzie to zależało od zdania lekarza. Pojadę temi dniami do Wiednia, żeby go się poradzić; chciałabym powrócić do domu zupełnie wyleczona z mojego reumatyzmu.

— Wszakże ty nie cierpisz na niego już wcale, mateczko, więc z pewnością będziemy mogły wkrótce wyjechać.

— Alboż ci się przykrzy w tym ślicznym Badeniu, moja Alinko? Dziwiłoby mnie to naprawdę.

— Nie powiem, żebym się w nim bardzo nudziła, ale téż i zabawy nie mam wielkiej. Powiedz sama, moja mamó, czy są tu jakie dla mnie rozrywki?

— Myślałabym, że sam już widok tego uśmiechniętego krajobrazu, przechadzki po téj cienistej dolinie, pełnej chłodu i leśnych woni, powinnyby stanowić dla ciebie niemałą rozkosz. Mamy tu także trochę znajomych, ale przyznam ci się, że nawet i bez tego, pobyt w tak uroczej miejscowości byłby dla mnie bardzo miłym. Wiesz, jak żywo miżuję piękności...

— Bo ty jesteś trochę egzaltowana, kochana mamusiu—rzekła z uśmiechem Alina. — Doprawdy, zazdroścę ci czasami tego usposobienia...



— W rzeczy samój, moje dziecię, czuję, że ani lata, ani życia koleje, czasami dosyć twarde, nie odjęły mi owęj siły w odczuwaniu wszelkiego piękna, jaka w człowieku najdłużej bywa zdolną stawić opór starości. Nie dzisiejszą jestem pod tym względem... Czy wiesz ty, Alinko, że nieraz patrząc na was, zaledwie wstępujących w życie, wydaje mi się, że duchem młodszą od was jestem.

— Co téż ty mówisz, moja mamol! Przecież i myśmy młodzi, ale po swojemu, to jest trochę inaczej niż ludzie dawniejsi bywali. Weź oto mnie naprzykład: — nie zachwycam się wprawdzie tyle co ty piękną naturą lub poezją, ale przyznaj — czy nie umiem radować się nadzieją świetnego balu i bawić się na nim jak królowa?

— To prawda, bo wszakże nawet wtedy, kiedyś nam z pensyi powróciła z silną blednicą, dzisiejszym zwyczajem, toś się jeszcze, pomimo zakazu lekarzy, wrała do tańca, zapewniając, że on jeden zdrowie ci poprawia. Ha! inne dziś czasy, trzeba z tém się oswoić—dodała z westchnieniem pani Brzewska, kobieta jeszcze nie stara, z wyrazem twarzy miłym i bystrym, choć w nim trochę brakło może energii.

Nastąpiła potem chwila milczenia pomiędzy niemi; Alina przerwała ją pierwsza.

— Więc pojedziemy temi dniami do Wiednia?—rzekła, całując ręce matki i patrząc jęj pieszczotliwie w oczy.—I nie wrócimy wcześniej jak po teatrze, wszak prawda, mamusiu?

— Dobrze, moja kochanko, muszę to zrobić dla ciebie, choć wiesz, że mam sobie zabronione narażanie się na chłód wieczorny.

— Kiedyś ty już zdrowa, mateczko... prawie zupełnie—wyszeptała Alina trochę zmieszana tą uwagą matki, a ta odpowiedziała tylko łagodnym uśmiechem swęj jedynaczce, odgarniając powichrzoną grzywkę od jęj czoła.

Rozmowa ta miała miejsce na kamiennęj ławeczce, pomieszczonej u wejścia uroczej doliny Heleny, w cieniu wyniosłych drzew, rozrastających się bujnie u podnóża gór lesistych, stanowiących jęj ściany. Najulubieńsza to przechadzka letnich gości Badenu, i w istocie, trudno o chłodniejsze i wonniejsze ustronie, jak ta długa smuga miękkiej murawy, środkiem przecięta szmerzącym potokiem, ocieniona po obu stronach drzewami, z poza których dźwigają się góry obrosłe od dołu lasem iglastym. Z pośród tęg powodzi zieleni, sterczą na wysokościach, w pobliżu wejścia doliny, niby strzegące go chmurne strażnice, wyszczerbione mury dwóch zamczysk średniowiecznych. Na jednym z nich, należącym do arcyksięcia Albrechta, powiewa niekiedy flaga o barwach Austrii; oznacza to, że dostojny jego właściciel przebywa we wspaniałej willi Weilburg, której wdzięczne kształty wykreślają się opodal na tle ciemnych świerków jęj parku.

— Patrzno, moje dziecię — rzekła pani Brzewska po pewnym czasie milczenia, które przerywała tylko nucona przez Alinę półgłosem piosnka z Rigoletta o zmienności niewieściej; — czy mi się zdaje, czy to pani Irena idzie ku nam od strony miasta. Nie mogę jeszcze

rozpoznać jój twarzy, ale jaskrawość ubrania zapowiada mi ją koniecznie.

— Ma się rozumieć, że to ona! — zawołała wesoło Alina. — Czyżby kto inny się zdobył na podobną kombinacją barw najniezgodniejszych z sobą? Doprawdy, patrząc na nią, lękam się nieraz, żeby jój kapelusz nie pobił się z przyczepionemi do niego piórami, albo żeby nie spadło z jój ramion okrycie, nie mogące znieść dłużej sąsiedztwa sukni.

— A któż to z nią idzie, moja kochanko? Nie wzięłam z sobą lornetki, więc zdaleka nic nie widzę.

— Zwykły jój towarzysz, prezes Wistowski, ma się rozumieć. Toż on musi wszędzie u wód zaznajomić się jak najprędzej z każdą osobą, należącą do wyższego towarzystwa, a śmiałość tualetowych pomysłów pani Ireny kazała mu ją od razu zaliczyć do tego wybranego zastępu.

— Że też ty zawsze musisz coś sobie upatrzeć do tego pocziwego prezesa! A on tymczasem, niczego się w prostocie ducha nie domyślając, za każdy kamień chlebem ci się odplaca, ciągnęmi cię obsypując uprzejmościami.

— Bardzo mu za to wdzięczna jestem i nic do niego nie upatruję, tylko ilekroć mu się uważniej przypatruję, wiele z tego miewam zabawy. Co prawda, stanowi on tu jedyną moję rozrywkę. Czy może być naprzykład co pociesniejszego, jak widzieć wielką wagę, jaką ten człowiek nadaje najpowszedniejszym swoim czynnościom, tak, jak gdyby każdy drobiazg, z którym się zetknie, przez to samo nabierał wysokiego znaczenia?

Nadchodząca tymczasem para, przedzielona już tylko od naszych dwóch pań pięknym mostem, zwanym Albrechta, zatrzymała się była przed straganikiem, na którym schludnie ubrana dziewczynka sprzedawała ciastka i owoce.

— Patrzo mateczko, czy nie mam słuszności w tém co mówię — mówiła dalej Alina — któż inny na świecie potrafi wybierać w taki sposób, jak prezes, winogrona i gruszki? Zdawałoby się, że tu chodzi o wyszukanie sobie żony, lub co najmniej o kupno folwarku.

— Niewdzięczna ty dziewczyno! Za chwilę będziesz korzystała z téj pedanteryi, z której teraz żartujesz, jedząc wyborowe owoce, które ci ofiaruje twój wielbiciel.

— Czemu nie? — odpowiedziała ze śmiechem Alina — lubię wszystko co smaczne, a wielbiciela — choćby i takiego nawet, wcale się nie wyrzekam, w tych ciężkich czasach. Co na placu, to nieprzyjaciel — taka moja zasada; tylko, gdy do zawierania sojuszu przychodzi, mniéj łatwa ze mną sprawa...

— Ale patrzo, moje dziecię — przerwała jój matka — ktoś trzeci przyłącza się do tych państwa.

— Ach, prawda. A jakże go serdecznie ścisła prezes! Myślałabym, że to jego syn rodzony, gdyby taki istniał na świecie, — ale



niestety! skoro raz zabraknie prezesa Wistowskiego, nie pozostanie za nim nic, coby ludziom przypominało jego typową postać... Ciekawa też jestem, kim może być ten jego przyjaciel... Nie zdaje mi się, abyś go znały.

— Ani mnie także, a nawet prawie pewna jestem, żeśmy go nigdy nie widziały. Musi to być ktoś, co świeżo tu przybył. Ale dowiemy się zaraz czegoś wyraźniejszego o nim, bo oto prezes dokończył ważnej czynności, którą mu przerwało owo powitanie i całe gronko zbliża się ku nam.

— A! otóż i nasze paniel — zawołał w téj chwili już z połowy mostu prezes, wcale na to nie zważając, że donośny ów wykrzyk zdawał się razić kilku Niemców, przechadzających się poważnie w pobliżu. No! trzeba doprawdy mojego szczęścia, panno Alino, — myślałem właśnie o pani, wybierając te owoce, i oto ją zaraz napotykam. Potém, gdy pierwsze powitania zostały zamienione i Irena zasiadła z paniami na ławeczce — dodał, biorąc pod rękę wysmukłego młodzieńca, który stał przy nim:

— Pozwolą panie sobie przedstawić pana Stefana Jarskiego; syna dawnego mojego przyjaciela i szkolnego kolegi. Przyjechał tu dziś, powracając z Włoch.

— Bardzo nam przyjemnie — rzekła pani Brzewska, podczas gdy Alina obejmowała nieznanego owém niby przelotném, a dziwnie bystrém spojrzeniem, w którém młode panny umieją tyle się dowiedzieć przy podobnych spotkaniach. Znać, że tym razem egzamin ów wypadł dosyć pomyślnie dla tego, który był jego przedmiotem, gdyż ciemne oczy, których spojrzenie prześliznęło się po nim, pobłąkawszy się przez chwilę po lesistych stokach, na których zieloność, przepływające obłoki rzucały ruchome płaty cieniu, zwróciły się znowu ku niemu, i zatrzymały się tym razem nieco dłużej na jego twarzy dosyć przystojnej i trochę ogorzalój.

— Pewnie obywatel — pomyślała, — znać to zaraz z cery. Ciekawa też jestem z jakich stron?..

— Czy pan tu na dłuższy czas przybył, czy tylko przejazdem? — pytała tymczasem młodzieńca pani Irena, zawsze rada każdej znajomości, z którój mogła spodziewać się dla swego dworu przybytku. Lubiła bowiem niezmiernie, zwłaszcza, gdy za granicą bawiła, bywać — jak to mówią — „otoczoną,” upatrując w tém korzystną dla siebie reklamę, za powrotem do kraju. Że zaś w Badenie zaczynało już gości ubywać i dłuższe wieczory czyniły słuchanie muzyki w parku trochę nudne, gdy jej rozmowa nie wtórowała, nowy ten stosunek był dla niej tym pożądalszym.

— Co prawda, miałem zamiar nie zabawić tu dłużej nad parę dni — odpowiedział Jarski — ale pierwsza moja wycieczka w głąb téj prześlicznej doliny tak mnie zachwyciła, że prawdopodobnie zostanę dłużej w Badenie.

— Jak uważam, piękności przyrody mają dla pana wiele uroku — rzekła pani Brzewska.

— Czyż mógłbym, młodym będąc, nie zachwycać się niemi? — odpowiedział Stefan. Znalazłem zaś wyjątkową do tego sposobność, wybrawszy się dzisiaj wczesnym rankiem na daleką przechadzkę, w której dotarłem aż do kaplicy wystawionej na pamiątkę zarazy.

— A, tak, Cholera-Kapelle, jak ją tu zowią — wtrąciła Alina; — wszak prawda, jak cudowną jest droga, która tam wiedzie, i jak przeslicznie wygląda ten gotycki klejnocik na tle szmaragdowych gąszczy, z pośród których wyrasta? Wyobrażam sobie z własnego doświadczenia, czém musiało być dla pana pierwsze wrażenie tego widoku...

— Nie myślałam nigdy, kochana Alinko, żebyś się tyle umiała zachwycać podobnemi rzeczami — odezwała się pani Irena, z lekkim odcieniem szyderstwa. Zdawało mi się, owszem, że cię czasem nudziły moje opowiadania o cudach włoskich wybrzeży, lub szwajcarskich jezior, i że patrzałaś dosyć obojętnie na widoki, któremi się z matką twoją rozkoszujemy.

— Mało jestem w ogóle skłonna do wynurzeń — odpowiedziała panna Brzewska — i wiem, że z tego powodu bywam nieraz o chłód pomawiana. Wolę to jednak o wiele...

— Od zarzutu przesady — chcesz powiedzieć? — podchwyciła pani Irena, ze śmiechem trochę przymuszonym. — Mnie on czasami spotyka, domyślam się tego, ale nie może mnie gniewać to, co w tym razie z płytkości sądu wypływa.

Alina przygryzła usta w milczeniu, jakby nie zrozumiała owego docinku i, wzięwszy pod rękę prezesa, przechadzać się z nim poczęła, żartując niby swobodnie. Irena zaś, rzuciwszy ową strzałę od niechcenia, dalej prowadziła z Jarskim rozmowę prawie wyłącznie z zapytań nawzajem złożoną, jak to zwykle bywa przy pierwszym poznaniu.

Gdy po pewnym czasie, całe towarzystwo wybrało się w stronę parku, gdzie muzyka grała o tój porze, obie panie wiedziały już niejedno o nowoprzybyłym młodzieńcu. Rodem-był z Kaliskiego — jak powiadał, syn obywatelski zapewne, bo wyraźnie w tój sferze miał najwięcej stosunków. Prawdopodobnie tóż z zamożnej pochodził rodziny, wnosząc z niedbałej swobody, z jaką odzywał się o wszelkich rzeczach, będących z marnym kruszczem w związku. Czasu zdawał się mieć wiele wolnego i grosza także sporo, bo ani z pierwszym, ani z drugim wcale się nie liczył. Tak samo nie wiedział, jak długo gdzie zabawi i kiedy do kraju powróci, ile płaci w hotelu za swoje mieszkanie. Na uwagę pani Brzewskiej, aby się nie dał co do tego wyzskać, odpowiedział, że nie ma zwyczaju wchodzić na razie w owe szczegóły nadto ściśle. Rzecz to żenująca — dodał z uśmiechem trochę wyniosłym — a zresztą, czas będzie zawsze dowiedzieć się o tóćm...

— Ten pan musi być bardzo bogaty — rzekła, zastyszawszy te ostatnie słowa, Alina do swego towarzysza, z którym szła o parę kro-



ków z tyłu, usunawszy się z umysłu od współzawodnictwa z panią Ireną w rozmowie z Jarskim, w nadziei, iż uwagę jego bardziej ku sobie zwróci ową taktyką, dosyć u kobiet rozpowszechnioną.

— No, chłopiec nie ubogi z pewnością i z bardzo pięknej rodziny—odpowiedział prezes, —zawsze chętnie przedstawiający wszystkie swoje stosunki w najkorzystniejszym świetle dla dogodzenia próżności, której nie mały zasób ukrywały w nim pozory dobroduszeństwa prostoty.

— Czy pan bywa na wsi u jego ojca? — spytała panna Alina, pragnąc dowiedzieć się czegoś wyraźniejszego o nowo-poznanym młodzieńcu, który tém przystojniejszym jój się wydawał i godniejszym uwagi, im się bardziej ożywał w rozmowie z zalotną wdówką, próbującą zarzucić na niego swoje sieci.

— O, nie; już to w ogóle nie łatwo ruszam się z kochanej Warszawki, gdzie mi zawsze bywa najlepiej—odpowiedział prezes. — Ale widuję od czasu do czasu mojego dawnego kolegę, gdy do miasta zajrzy i zawsze bardzo radzi bywamy sobie nawzajem. Dowiedział się, że tu mam zabawić czas jakiś, więc mi polecił listownie syna, którego już przedtém znałem, gdyż czas jakiś uczęszczał na uniwersytet; ale potem, z powodu niezdrówia, musiał tego zaniechać.

— A jaki obrał sobie wydział?—zapytała Alina.

— Nie wiem tego dokładnie, ale zapewne prawny, bo tak zwykle czynią ci, którzy nie potrzebują w nabytej wiedzy szukać zaraz chleba.

— Szkoda tylko, że kursów nie skończył...

— No, zapewne; — ale czy to on jeden, proszę pani? Dla młodego człowieka wyższego stanu, mającego przez to samo liczne stosunki towarzyskie, dosyć trudnym bywa w mieście oddać się wyłącznej nauce... A przytém, jak to już powiedziałam pani, Stefan chorował dosyć długo i nawet nie zupełnie jeszcze wyzdrowiał.

— Wygląda jednak wybornie—zauważyła Alina.

— Pomimo to lekarze uznali za stosowne wysłać go za granicę, najprzód w cieplejszy klimat, a następnie dla odbycia hydropatycznej kuracji. Właśnie powraca teraz ze Steinerhofu.

— Pan Jarski będzie zapewne później na wsi gospodarował?— spytała jeszcze Alina, pragnąc koniecznie pozyskać bliższe wiadomości w przedmiocie, który ją dosyć zaciekawił.

Ale bądź to wypadkowo, bądź z umysłu, prezes dał jój i tym razem wymijającą odpowiedź.

— Nie wiem wcale—rzekł—jakie są dalsze zamiary tego chłopaka i co mu ojciec na przyszłość obmyślił. W każdym razie, ma on o czém dać sobie rady na świecie.

Czy owe ostatnie wyrazy odnosiły się do osobistych przymiotów pana Stefana, czy téż miały być wzmianką o korzystnym położeniu materialnym, jakie go czekało w przyszłości—trudno było odgadnąć. Do zbadania zaś ich znaczenia zbrakło czasu pannie Alinie, gdyż całe

towarzystwo dochodziło już do parku, gdzie dalsza rozmowa stała się ogólną.

Następnego dnia w popołudniowej porze, służąca przyniosła pani Irenie bilet wizytowy, na którym przeczytała z uśmiechem zadowolonia: „Stefan Szczerba Jarski.” Prosić — rzekła, poprawiając na pędcie fałdy eleganckiego szlafrocza, spływające tak kunsztownie na pantofelki ze złoconej skórki, że ich ponętnego widoku wcale nie zasłaniały oczom, i spuszczać grzywkę na czoło, nie całkiem już gładkie; — a gdy po chwili wszedł do pokoju gość zapowiedziany, powitała go podziękowaniem za uprzejmość, dającą jej nadzieję częstszego z nim stosunku.

— Pospieszylem się z temi odwiedzinami dla własnej korzyści, muszę to pani wyznać — odpowiedział z uśmiechem Stefan — więc na wdzięczność pani nie zasługuję. Ponieważ nie jestem jeszcze pewien, czy tu dłużej nad parę dni zabawię, nie chciałem pozbawić się największej przyjemności, jaką mi pobyt w Badeniu może nastreczyć. Zresztą, poznawszy raz panią, pragnąłbym jak najwięcej praw nabyć — jeśli nie do jej pamięci, gdyż to żądanie byłoby zbyt śmiałem — to przynajmniej do przypomnienia się jej za powrotem do kraju, jeśli się kiedy spotkamy.

Pani Irena podziękowała mu skinieniem głowy i rzekła:

— O, zdaje mi się, że będzie nam to bardzo łatwem. Spędzam zawsze zimę w Warszawie, a pan też zapewne zagląda do niej w tej porze.

— Tak jest, pani, o ile mi czas na to pozwala.

— Ależ zinnową porą, zajęcia gospodarskie nie wymagają go znowu tak wiele...

— Nie mówię też o nich. Właściwie nawet — nie oddają się im teraz. Mam całkiem inne upodobania i obmyślam dla siebie zawód do nich zastosowany. Tylko, jak dotąd, nie zupełnie dobry stan mojego zdrowia zmuszał mię do zajęcia się niem przedewszystkiem, i to nie dozwoliło mi zabrać się do pracy systematycznie.

Zdrowie pana Stefana miało tę właściwość, — powiedzmy tu nawiasem — że w ogóle pracy nie lubiło i nie dawało się w żaden sposób z nią pogodzić, przy dłuższym stosunku. Już od lat najwcześniejszych, ilekroć mu przyszło — jak to mówią — fałdów przysiedzieć, musiał niebawem albo zachorować, albo dłuższego szukać wypoczynku. Nie było na to rady, a jakież rodzicielskie serce mogłoby zachwiać się w wyborze, przy podobnych warunkach?

Stefcio wypoczywał tedy wiele w domu, gdy go do szkół przygotowywał przez całe dwa lata korepetytor, znajdujący przy owej czynności tyle chwil wolnych, że mógł być nawet wzbogacić literaturę bardzo obszernym dramatem, gdyby nie to, że ów utwór, pomimo że miał za tytuł „Eureka“ i za godło: „Pierzchnęły ciemności!“ wróciwszy zapoznany z konkursem — co jeszcze niczego przeciw niemu nie dowodzi — nakładcy skutkiem tego nie znalazł i dotąd spoczywa w kufierku swego twórcy.



Po owęj wyrozumiałej nauce domowej, tém trudniejszą okazała się szkolna dla Stefanka. Wypadło i tu także przerywać ją od czasu do czasu, a jakby na nieszczęście, owo chroniczne niedomaganie — oczywisty wynik nadmiaru pracy — zawsze nawiedzało chłopaka przed egzaminami. Gdy wreszcie, po długim czasie, udało się przebrnąć przez te wszystkie trudności w uniwersytecie, taż sama nieszczęśliwa gwiazda Stefcia i Stefanka nie przestała i pana Stefana prześladować. Od jesieni i przez zimę nauki szły mu jak z płatką; choć nie obywała się bez niego żadna prawie zabawa, tak umiał czas na wszystko znaleźć, że pomimo nocy niedospianych i obowiązkowych wizyt, pewien był najpomysłniejszego zdania egzaminów i pod słowem ojcu to przyrzekał. Aż tu, kiedy się już one mają rozpocząć, ni ztąd ni zowąd zdrowie młodzieńca zaczyna szwankować, praca niesłychanie go utrudza i nawet doktor radzi, żeby sił w tym razie nie nadużywać. Ha! trudna sprawa walczyć z naturą. Kiedy o zdrowie chodzi, pierwszy to wzgląd, uznaje ojciec i zdobywszy sobie potrzebną na to kwotę, wyprawia jedynaka za granicę dla wzmacniającej kuracji.

Wspomnienia świeżo odbytej podróży, dostarczyły Stefanowi obfitego zasobu do rozmowy przy owych pierwszych odwiedzinach. Pani Irena знаła też dobrze ową piękną Italię, z której on powracał, a wzmianki, jakie pobieżnie czyniła o stosunkach jakie tam miała, dawały przypuszczać, iż żyła wśród sfer najwyższych, podczas dłuższego pobytu we Florencji i w Rzymie. Słuchając jęj z zajęciem, Jarski wieszował sobie znajomości zabranęj z osobą tak dystygowaną, obiecując sobie zawczasu nie mało ztąd korzyści za powrotem do kraju. Pierwsza ta wizyta, jak bądź dosyć długa, zesłała im prędko obojgu, a żegnając się ze swym nowym znajomym, Irena zamówiła sobie jego towarzystwo na wieczorną przechadzkę.

— Co zaś do pana wyjazdu, pomówimy o tém później — dodała z zalotnym uśmiechem. — Należy zawsze rady starszych słuchać, więc proszę się zastosować do tego, co postanowimy z panem Wistowskim.

— Nadzwyczaj przyjemna kobieta i wcale jeszcze ładna, choć trochę przekwitła — rzekł Stefan do prezesa, napotkawszy go w kilka chwil potém na werendzie kawiarni, gdzie zwykł był o tój porze czytywać polskie dzienniki.

— Trochę przekwitła, powiadasz? — odpowiedział mu tamten ze śmiechem; — toż ona z pewnością nie wczoraj minęła czterdziestkę. Straciła męża z jakie kilkanaście lat temu, a nie była już wtedy wiośniwym kwiatuszkiem, dobrze to pamiętam, i umiała tak samo jak dzisiaj ludzi łowić na wędkę. Ale cuda może puder płynny zdziałać, zwłaszcza kiedy w dobrym jest gatunku, trzeba ci o tém wiedzieć, mój chłopaku.

— No, proszę! a jabym jęj nigdy nie dał więcj, jak lat trzydzieści — rzekł Jarski. — Czego też te kobiety nie umieją dokazać dla upiększenia siebie!

— I dla oszukania takich jak ty fryców, mój Stefanie. Ale z ta-

kimi jak ja, trudniejsza im sprawa. Ho! ho! nie urodziła się chyba jeszcze taka, coby mnie w pole potrafiła wyprowadzić — dodał prezes, bębniąc palcami po marmurowej tafli stolika. — I zawsze taki sam byłem, słowo ci daję; bo już to we wszystkim mam wzrok tak przenikliwy, że nic mu nie ujdzie. Od pierwszego spotkania, każdego człowieka na wskroś przeniknę, powiadam tobie.

Nadmienić tu wypada, że prezes Wistowski miał głębokie przekonanie o wyjątkowych swoich zdolnościach we wszystkich kierunkach. Jeśli nauki jakiej nie posiadał, — a było takich sporo, mówiąc nawiasem — to dla tego tylko, że nie zadał sobie trudu jęj pozyskania i obchodził się też bez niej wybornie, umiając szczerpłe zasoby swęj wiedzy, dzięki wrodzonemu sprytowi, tak zręcznie zużytkować, iż rzeczywistęj ich miary trudno się było domacać. Z powodu zaś wesołego humoru, objawiającego się w domorostłych dowcipach, nieraz prawdziwie zabawnych, oraz gotowości do zajęcia w każdęj chwili miejsca przy zielonym stoliku, gdzie nigdy rozumu nie uczył swych partnerów, poszukiwanym bywał wszędzie, a szczególnie dla współziomków, którzy go u wód napotykali, stawał się towarzyszem bardzo pożądanym.

— Mniejsza tam zresztą o wiek pani Ireny — rzekł Stefan po chwili milczenia, którą mu zajęło pilne przepatrywanie leżącego na stole Kladeradatscha. — Nie myślałem w niej się zakochać, więc mi pan drogich złudeń nie odbierasz, a w każdym razie spodziewam się mieć przyjemny z nią stosunek, dopóki tu zabawię. Ale niechże się czegoś bliższego o niej dowiem. Czy jest to osoba z wyższego towarzystwa, jakby wnosić można z jęj obejścia i ze stosunków, o których wspomina?

— Jakże ci mam odpowiedzić? Jest i nie jest, według sposobu w jaki zechcesz zapatrywać się na jęj stanowisko. Mąż jęj, niejaki Klinkowski, dosyć znany swego czasu w kołach przemysłowych, jako człowiek bystry i przedsiębiorczy, z małym zasobem rozpoczynszy, wszedł w interes bardzo korzystny w czasie wschodnich zawikłań i do kraju powrócił ze znacznym majątkiem, nie koniecznie podobno zdobytym ucziwie. Wtedy to, oświadczywszy się ponownie o córkę zubożałego obywatela, od której otrzymał był poprzednio odkosza, przyjęty został tym razem, pod warunkiem wszelako, że z żoną stale zamieszka w Warszawie.

— Znać właściwsze tam pole dla siebie upatrywała pani Irena, niż na wsi — wtrącił Stefan.

— Ma się rozumieć, — i stało się jak chciała, chociaż nie bardzo dogadzało to jęj mężowi, mającemu inne plany. W tęg to porze, dzięki swymdawnym obywatelskim stosunkom, a bardziej jeszcze wykwiutnym strojom i zbytkownym przyjęciom, pani Irena Klinkowska wstęp pozyskała do tak zwanego wielkiego świata Warszawy. Na biletach swoich wizytowych miała wypisane: „Irena z Napuszyńskich Klinkowska,“ w taki sposób, iż rodzinne jęj nazwisko najwydatniej



oczom się przedstawiało. Bywano u niej chętnie i zapraszano ją wszędzie. — „Ona do naszego towarzystwa należy—powiadano, wracając z wieczorów i z obiadów państwa Klinkowskich, a mąż jej bardzo przyzwyczajony wygląda, choć nie wiadomo z kąd się wziął i jakim sposobem na wierzch wypłynął?

— Rzeczywiście, umiała ta pani urządzić sobie życie w sposób bardzo umiejętny—rzekł Stefan.

— Ale nie trwały długo owe świetne czasy—ciągnął dalej prezes. — Bawiąc się ciągle w spekulacje, do których go wiecznie pociągała gorąca chęć zysku, mąż pani Ireny natrafił wreszcie na taką, która mu sporo majątku nadszarpnęła. Że zaś do miłego grosza miał wielkie przywiązanie, straty owęj przenieść nie potrafił i rozchorowawszy się, umarł wkrótce, zostawiając za sobą niepokieszoną towarzyszkę.

— Czyż go naprawdę tak kochała?

— Żartujesz sobie chyba, mój chłopcze. Alboż ona kiedy mogła co innego ukochać, jak bogactwo i zabawy? Tego zaś pozostało jej jeszcze sporo, pomimo strat poniesionych przez męża, więc nie potrzebowała zbytecznie go opłakiwać, témbardziej, że żyli podobno z sobą jak pies z kotem, zwłaszcza w ostatnich czasach.

— Więc pani Irena jest i teraz osobą zamożną?—spytał Stefan.

— Dosyć, o ile wnosić można z tego co wydaje. Mieszkanie ma ładne i wiele osób przyjmuje, a także jeździ co rok za granicę. Jednym słowem, jest to dziś kobieta w całym znaczeniu tego słowa szczęśliwa, i dlatego zapewne nie chciała więcej wyjść za mąż. Ale trzeba, żebyś także odwiedził panią Brzewską — dodał po chwili. Dowie się, żeś był u pani Ireny, więc mogłaby znaleźć...

— Że jestem względem niej niegrzecznym—dokończył Stefan.— Ma się rozumieć; sam to uzuję i wybiorę się do tych pań — choć, co prawda, nie wielką mam do tego ochotę.

— A to dla czego?—spytał ze zdziwieniem prezes.— Pani Brzewska jest najzaciejszą kobietą, a do tego bardzo przyjemna w rozmowie, panna zaś ładna i ożywiona.

— Tak—ale panna—a ja nie bardzo lubię tam bywać, gdzie są panny na wydaniu.

— Cóż ci one przeszkadzają? Nie rozumiem ciebie, mój kochany. Jabym owszem myślał, że rozmowa z taką młodą istotą, którą wszystko bawi i zaciekawia, powinny cię pociągać. A żebyś ty wiedział, jak ta Alinka dowcipna jest w rozmowie i co to za uciecha z nią się przekomarzać.

— Bardzo dziękuję za tę zabawę. Albo ja nie wiem czém to pachnie? Nie upłynąłby tydzień, a matka napisałaby do swego męża—jeśli on jeszcze żyje...

— O, żyje gdzieś tam na Podolu i ma się wybornie.

— Więc doniosłaby mu, że ich córka ma konkurenta i opisawszy mnie od stóp do głów, jak upatrzony towar do nabycia, radziłaby

się czy ma nadal wabić mnie uprzejmie do swego domu, czy też równie grzecznie uwagę moję ku drzwiom zwrócić. Oto do czego doprowadziłyby mnie owe ucieszne z panienką zarciki; — czyż nie prawda?

— Masz może trochę słuszności, ogólnie rzecz biorąc—odpowiedział mu prezes, bardzo starannie oczyszczając sobie rękaw od surduta, na którym dostrzegł był plamkę od czarnej kawy, gdyż w stroju swoim zachowywał wielką staranność, a nawet pewną elegancją. — W tym razie jednak, nie masz czego się lękać, upewniam cię o tém. Ani pani Brzewska, ani jój córka nie pomyślą o zastawieniu siedeł na ciebie.

— Któż za to może zaręczyć? Nie uwodzi mię tu zarozumiałość, ale myślę, że choćby dla pochwalenia się jednym więcej konkurentem...

— Dajże sobie pokój, mój kochany. Prawisz jak ślepy o barwach, nie wiedząc wcale jak tu rzeczy stoją. Nasamprzód, z niektórych półstówek Aliny, wnoszę że już ktoś zakwaterował się w jój serduszku,—następnie, jest to panna posażna, która spisu starających się o jój rękę nie potrzebuje zwiększać podrobionemi dodatkami.

— Doprawdy? Więc to bogata dziedziczka, nie mogąca się opędzić tłumom swych wielbicieli?—rzekł śmiejąc się Jarski.—Nie domyśliłbym się tego z postawy jój matki; wygląda tak uprzedzająco grzeczna, jak gdyby raczej wypatrywała dla siebie zięcia, niżby chciała chłodem swoim ludzi uchroniać od daremnych zabiegów.

— Pani Brzewska posiada w obejściu uprzejmość osoby najlepszego wychowania,—odpowiedział z powagą prezes, trochę dotknięty lekceważeniem, z jakim odzywał się Stefan o kobiecie, którą cenił wysoko.—Co się zaś tyczy położenia majątkowego panny Aliny, dodam, że jest ona jedynaczką, i że, o ile wiem, ojciec jój posiada znaczny majątek ziemski na Podolu...—Na Podolu, uważasz Stefanie? to nie żadne Polesie przecię, ani Stanisławowskie; czarnoziem panie, w który byleś ziarno wrzucił, bez niczego więcej w bujny plon ci się rozrasta,—a ona jedna do tego dziedziczka.—I cóż ty na to? czy się i teraz jeszcze boisz, żeby cię tam złapać nie chciano, skutkiem wielkiej posuchy na kawalerów?

— Nie boję się, ale też mało mnie obchodzi, ile może mieć posagu panna Brzewska,—odpowiedział obojętnie Stefan.—Złożę wizytę tym paniom, skoro tego grzeczność wymaga, ale myślę, że w przyszłości stosunek ten nie na wiele przyda nam się nawzajem. Nie będę szukał odnowienia jego na Podolu; w Warszawie zaś nie spotkamy się z sobą zapewne.

— Rzecz to jednak możliwa,—odrzekł mu prezes. — Wiem że panna Alina mocno pragnie spędzić choć jedną zimę w naszej stolicy, a dla rodziców wola jedynaczki często bywa prawem.

Stefan nic już na to nie odpowiedział, i przez czas jakiś wzrok jego tkwił w rycinach jakiegoś pisma, którego ćwiartki przerzucał w roztargnieniu. Wreszcie rzekł do prezesa:



— Czy pan zna oddawna tę rodzinę?

— Pytasz o Brzewskich? Nie, stosunek mój z temi paniami związał się dopiero tutaj. Ale ponieważ widzujemy się codziennie, stał się on wkrótce dosyć blizkim i w ciągu tych kilku tygodni razem spędzonych, mogłem się wiele o nich dowiedzieć. Pani Brzewska opowiada mi nieraz o swém gospodarstwie, uważam z tego, że obejmuje ono szerokie obszary. Ze wzmianek zaś, jakie panna często czyni o urządzeniu ich domu na wsi, o rozległości parku, o pięknych koniach jęj ojca, widzę wyraźnie, że są to ludzie bardzo zamożni.

Młodzieniec zamyślił się znowu trochę, a potem rzekł:

— Zapewne; nie wypada mi ociągać się z tą wizytą, skoro już byłem u pani Ireny. Zresztą—dodał ze śmiechem—jeśli mię pan zapewniasz, że nie w tym domu nie zagraża mojęj swobodzie...

— O, tego znowu nie powiedziałem mój chłopaku,—odpowiedział prezes.—Zaręczyć ci mogę, że nikt tam nie będzie upatrywał w tobie poszukiwacza posagów, ale... czy się sam nie złapiesz z czasem na ładne oczy i na miły szczebiot tęj panny?—to znowu rzecz inna. Wprawdzie, zabezpiecza cię od tego blizki twój wyjazd...

— Nie ma w tém jeszcze nic pewnego,—przerwał mu Stefan,—będzie to zależało od listów, jakie z kraju odbiorę. Ale bądź pan w każdym razie o mnie spokojny,—dodał wstając i biorąc ze stołu laskę i kapelusz;—nie jestem w ogóle bardzo kochliwy, a zwłaszcza jeśli by sercowa sprawa miała prowadzić do małżeństwa, myślę, że sam wzgląd ten wystarczyłyby do ugaszenia we mnie wszelkich miłosnych zapałów, choćby nawet istniały.

— Bardzo pięknie mój kochany; winszuję ci i zazdroszczę podobnego usposobienia. Tacyście wy zresztą dzisiaj wszyscy, że nie tylko młodości nie dajecie nad sobą panować, ale ją nawet zdławić w sobie umiecie. Nazywa się to po terażniejszymu, żeście trzeźwi; co prawda, za moich czasów o ten przymiot pytano tylko przy umowie kucharza albo lokaja. A jednak, pomimo tęj waszēj powściągliwości, zdarza się i wam w dalszym ciągu życia, że wcale nie tam zachodzicie, gdzieście chcieli;—tak jak, nieprzymierzając, pewien mój stary znajomy, który ma w nogach taką dziwną chorobę, że go ośe zawsze zanoszą w przeciwną stronę od tęj, w którą się wybrał. A rzecz to nie bardzo bezpieczna, powiadam ci, mój chłopaku.

Rozstali się z sobą po tych słowach i Stefan prosto ztamtąd poszedł odwiedzić panią Brzewską. Choć się zbliżała zwykła godzina przechadzek, zastał ją jeszcze w domu; mówiła, że odebrawszy listy z kraju, zapóźniła się przy ich czytaniu. Pomimo, że go powitała z wielką uprzejmością, wydała mu się teraz smutna i jakby roztargniona, ale tłómaczyła to usposobienie zmęczeniem, wywołaném kuracją. Alinę za to znalazł tym razem daleko powabniejszą, niż mu się wydała przy pierwszém poznaniu; wyraźnie w kapeluszu, który miała wtedy na głowie, nie musiało jęj być do twarzy. Oczy jęj uznał Stefan całkiem godnemi pochwał, jakie im oddawał prezes, a dowcip miał

sposobność ocenić z kilku uwag, tu i owdzie rzucanych w sposób bardzo zręczny. Rozmowa, jakbądź szła mu tutaj mniej łatwo jak u pani Ireny, posiadającej dar szczególny dobierania w niej dla każdego treści najważniejszej, zajmującą była także, i dotknęła nawet poważniejszych przedmiotów. Alina brała w niej udział z zajęciem, wypytując mianowicie Stefana o szczegóły jego podróży do Włochy w sposób, świadczący o jej wykształceniu w rzeczach dotyczących sztuki. Ku końcowi owych odwiedzin, gdy się obie panie wybierały do parku, w towarzystwie swojego gościa, pani Brzewska spytała Stefana, czy myśli zabawić jakiś czas w Badenie.

— Zaczynam wierzyć, że nie tak prędko ztąd wyjadę jak zamierzałem na razie—odpowiedział.—Uważam, że powietrze tutejsze mi służy, a także miejscowość podoba mi się bardzo.

— Znajdzie ją pan jeszcze piękniejszą przy lepszym poznaniu—rzekła Alina.—Okolice Badenu są prześliczne; naprzód Vösslau, ze swymi rozkosznymi willami, bielejącymi z pośród zieleni lasów na pochyłościach gór, których łuk aż tutaj dosięga. Następnie, dalej już, po drodze do Mürtzuschlag, coraz nowe i coraz piękniejsze widoki, a wreszcie Semmering, owo cudo nie mające sobie równego...

— Znajoma jest mi ta droga; przejeżdżałem nią z Włoch powracając,—rzekł Jarski.

— A, prawda... Szkoda wielka, bo inaczej możebyśmy kiedy razem odbyli tę wycieczkę. Co do mnie, zawsze rada jestem każdej sposobności powtórzenia jej...

— I ją także nie myślę poprzestać na przelotnym widoku, jaki mi się raz jeden przedstawił,—rzekł Stefan.—Chciałbym wybrać się kiedy w tamtą stronę na parę dni, tém bardziej, że zajmując się cokolwiek malarstwem,—ma się rozumieć bardzo po amatorsku...

— Al więc pan jest artystą?—zawołała z zaciekawieniem Alina.—Jakżebym rada zobaczyć jaką jego pracę!

— Raczej pani nie nadużywać na moją korzyść tak szczytnego miana,—rzekł Stefan.—Miałem od dzieciństwa pewne uzdolnienie do rysunku, i poduczywszy się go trochę, wziętem się następnie do pędzla, tak iż dzisiaj jestem w stanie jako tako odtworzyć to, co wzrok mój zajęło najżywić.

Prowadząc ową rozmowę, szli we troje w stronę parku. Po drodze przyłączył się do nich prezes, zdążający też tam ze zwykłą sobie punktualnością, i począł szczegółowo opowiadać pani Brzewskiej, jak wybory jadł obiad w nowo odkrytej przez siebie restauracyi. Młodzi znaleźli się tedy poniekąd sam na sam.

— Widzę nadmiar skromności w tém, co pan mówi o swoim artystycznym uzdolnieniu—rzekła Alina do Stefana,—więc też ocenienie jego prac odkładam do własnego sądu. Na teraz, zapytam tylko do jakiego rodzaju ma pan najwięcej upodobania?

— Do koni przede wszystkim; ale maluję też krajobrazy, o ile



wyjątkowo piękne napotkam. Mam tu z sobą kilka szkiców, zdjętych z natury w ciągu mojej podróży.

— Poproszę pana koniecznie o pokazanie mi ich; ale szczególniej koni byłabym ciekawa, bo je lubię namiętnie i znam się na nich cokolwiek.

— Doprawdy?—rzekł z umiechem.

— Proszę o tém nie wątpić. Od lat dziecięcych nawykłam patrzeć na piękną stadninę mojego ojca, a następnie, jeżdżąc wiele konno na wsi i miewając zawsze konie doborowe, nabrałam wprawy w ocenianiu ich zalet.

Rozmowa szła im już z łatwością, gdy towarzystwo zwiększone nadejściem kilku wspólnych znajomych, zasiadło w parku do kawy naprzeciw orkiestry. Alina mówiła z upodobaniem o Podolu, opisując zimowe tamtejsze kuligi oraz jesienne polowania, i twierdząc, że nigdzie się lepiej nie bawi jak w swych rodzinnych stronach. Gdy jednak zapytał jój Stefan: czy następną zimę radaby na wsi spędzić, odpowiedziała z żywością stanowiącą niejaką sprzeczność z jój poprzednimi zapewnieniami:

— O, nie; mam tym razem nadzieję, że wyproszę sobie u rodziców przebycie karnawału w Warszawie. Nie miałam jeszcze nigdy téj uciechy, więc mi się ona z prawa należy.

— Co ty tam prawisz moja kochanko?—odezwała się pani Brzewska, zasłyszawszy ostatnie słowa swój córki.—Wrócimy zapewne nie długo do domu i tam z ojcem twoim pozostaniemy przez zimę. Dostyc on już długo tęskni za nami.

Alinka nic nie odpowiedziała, tylko nieznacznie główką potrząsała, ruchem, w którym było przeświadczenie, że i tym razem wola rodziców do jój życzeń musi się skłonić.

W téj chwili, szeleszcząc jedwabną suknią ostatniej mody, zbliżyła się żywo do stolika pani Irena:

— Witam państwa na chwilkę, ale zaraz i pożegnam,—rzekła, rozdając w około siebie uściśnienia rąk i uśmiechy.—Zresztą, jak widzę, bawią się tu wszyscy wybornie i bezemnie,—dodała, przelotnym spojrzeniem obejmując Stefana i Alinę, siedzących obok siebie,—więc mogę odejść ze spokojnym sumieniem.

— Dla czegoż pani dzisiaj tak na nas nie łaskawa?—rzekł prezes, podając jój swoje krzesło, ze zwykłą galanterią.—Proszę z nami usiąść chociaż na chwilkę, a ja opowiem, jakie dziś miałem osobliwe spotkanie w kąpieli; zapewniam, że się pani z tego uśmieje.

— Dziękuję; wiem, że pan miewa zawsze zapas najpocieszniejszych anegdotek i bardzo lubię ich słuchoać; ale na ten raz, nawet to mnie nie skusi.

— Cóż się więc stało takiego, że dziś jest pani tak nieubłaganą?—spytała pani Brzewska.

Rzecz najniespodziewańsza, która mi wielką sprawiła uciechę. Oto proszę sobie wystawić, że tu dziś przyjechała hrabina Tumnicka.

Jest w drodze do Meranu i wypocząć chce w Badonie przez parę dni. Dała mi wiedzieć o sobie, skoro tylko moje nazwisko wyczytała w spisie kąpielowych gości, pobiegłam tedy zaraz do hotelu, w którym stanęła i ma się rozumieć, że muszę z nią być ciągle dopóki tu zostanie.

— Więc to blizka pani znajoma?—spytała pani Brzewska.

— Ach, więcej niż znajoma; przyjaciółka moję powiedzieć; a nawet rodzina moja jest cokolwiek z nią spokrewniona. Z powodu bardzo słabego zdrowia, hrabina Helena spędza większą część czasu za granicą; ilekroć jednak bawi w Warszawie, widujemy się jak najczęściej. O, mój Boże! ależ to już siódma,—dodała, patrząc na zegarek— a ja miałam za godzinę być u niéj. Żegnam państwa; do zobaczenia, skoro tylko Helenka odjedzie, odzyskacie mię znowu.

— Ona tylko po to tu przyszła, żeby się tym arystokratycznym stosunkiem pochwalić,—szepnął na ucho prezesowi jego sąsiad, stateczny obywatel, zdala żyjący na swym partykularzu od światowych marności, a tamten kiwnął na to głową u uśmiechem.

Pani Irena, jakbądź dosyć dawno rozstała się była ze swém panieńskiem nazwiskiem, nie umiała w zupełności oswoić się z tém, które po mężu nabyła. Głuche wieści, jakie swego czasu chodziły, jakoby ojciec bogatego przedsiębiorcy Klinkowskiego, był po prostu więkskim kowalem Klinkiem, który uzbierawszy cokolwiek grosza, zapragnął jedynaka wykształcić i nad stan swój wynieść, obiły się zapewne o jéj uszy, gdy za mąż wychodziła. Dla tego to może, zamieszkawszy w Warszawie, postanowiła przewaźnie szukać stosunków w obywatelsko-arystokratycznej sferze i dawne utrzymywać najstaranniej. W rozmowach swoich także lubiła idealizować wspomnienia rodzinnego Domorośla i rozkosznego życia, jakie tam pędzili jéj rodzice, jakbądź mówiąc prawdę, licha ta wioszczyna, stanowiąca ostatnią pozostałość większej niegdyś fortuny, same im tylko kłopoty dawała oddawna, przy nieustanném opędzaniu się od wierzycieli, którzy ją wreszcie zsubhastowali, jeszcze przed wyjściem za mąż Ireny. Wszystkie owe umiejętne starania w połączeniu z zasadami wybitnie zachowawczemi państwa Klinkowskich, a szczególnie przy pomocy środków, jakich im zamożność dostarczała do zjednania sobie ludzi, wytworzyły z czasem pani Irenie stanowisko wcale pokażne wśród wyższego towarzystwa Warszawy, gdzie po śmierci męża, znalazła się tém bardziej do nich zaliczoną.

Przez kilka dni następnych, bywała ona o tyle tylko widzianą dla swoich badeńskich znajomych, że ją w godzinach muzyki napotykali towarzyszącą nicodstępnie popychanemu przez służącego wózkowi, na którym niemłoda już kobieta, o rysach arystokratycznych, ale z twarzą bladą i zmęczoną, na wpół leżała obrzucona ałasami i koronkami. Ze stanowiska tego uwydatniającego poświęcenie przyjaźni, Irena darzyła ich lekkiem skinieniami głowy, nie schodząc z niego wszelako ani na chwilę, a gdy po upływie tygodnia hrabina Tumnicka



wyjechała w dalszą podróż do Meranu, przyjaciółka wybrała się z nią dla odprowadzenia jej do połowy drogi, słusznie obliczywszy, że trud ów opłaci się jej sowicie wdzięcznością osoby tak wysoko położonej i tyle w swoim świecie wpływowej.

W ciągu tego czasu, stosunek Stefana Jarskiego z Aliną i z jej matką stanął na stopie poufałej, dzięki zwyczajom życia, w którym trzeba koniecznie widywać się z sobą po kilka razy dzieinnie. Im bliżej poznawał te panie, tém mu się one więcej podobały, a co w nich szczególniej cenił, gdyż w ogóle dystynkcyja miała dla niego wysokie znaczenie, to wytworność, cechującą zarówno ich postawę, jak i obyczaj. Ubierały się elegancko i z dobrym smakiem, ale nie nadto strojnie, a z tego wszystkiego, co mówiły, znać było, iż należą do wyższego towarzystwa. O zamożności ich nie wątpił już teraz, gdyż przybyły z Wołynia obywatel, zdający się znać dobrze i Podole, zapewniał, że rodzina Brzewskich liczy się do bogatych w tamtych stronach i że nawet nieraz słyszał o bardzo posażnej jedynaczce tego nazwiska, choć bliższych co do niej szczegółów nie zapamiętał.

— Nadzwyczaj miłe osoby, tak matka jak i córka,—powiadał sobie pewnego razu Stefan, wybrawszy się wczesnym rankiem w głąb doliny Heleny, dla zdjęcia widoku z cienistego parowu, szczególniej upodobanego od Aliny.—Panna ładna, co się zowie; rzecz dziwna jak ona zyskuje pod względem urody przy bliższem poznaniu... Za pierwszym widzeniem, wydała mi się zaledwie nieszpętną, a teraz, nawet kiedy ma na głowie ten sam kapelus, co wtedy znajduję ją prawie piękną. Gdybym nie znał siebie, mógłbym mieć obawę, żebym się w niej nie zakochał, ale o to jestem spokojny... W każdym razie, chcę o tyle zbliżyć ten stosunek, żebym go mógł odnowić téj zimy w Warszawie. One tam pewnie zjadą, skoro takimi jest życzenie Aliny. Kto wie zresztą, co z tego dalej może wyniknąć? Panna dosyć łaskawie na mnie patrzy, rzecz to widoczna...

— Aha! tuś mi ptaszku!—zawołał za nim wesoły głos prezesa, nadchodzącego z parasolką w rękę i z torbą owoców, któremi się posiłał podczas przechadzki swoim zwyczajem.—No proszę, to mi guiazd-ko śliczniutkie wybrał sobie! Wypocznę i ja tutaj trochę—dodał, rozpatrzywszy się w koło siebie,—maluj ty sobie dalej twoje drzewa i kamienie, a ja usiądę na tym oto pniu, jakby umyślnie dla mnie przygotowanym. Na ziemi się wylegać, to widzisz, już nie moja rzecz; wygodnie tam, co prawda, ale kiedy dźwignąć się przyjdzie, dyabelnie trudna sprawa.

— Cóż się stało, że prezes dziś paniom nie towarzyszy?—spytał, przywitawszy go Stefan, zabierając się znowu do rozpczętej roboty.

— Wybrały się od rana na cały dzień do Vösslau. Ma się tam dziś odbywać wieczór tańczący „Tanzkränzchen,” jak tu nazywają, dla gości kąpielowych, i zachciało się pannie Alinie zobaczyć popisy austriackich oficerów w walcu i w polce.

— Jakimże sposobem nic nie wiedziałem o tym zamiarze? —

rzekł Stefan trochę strapiiony.—Spędziłem z temi paniami cały wczorajszy wieczór i wcale o tém nie wspominały.

— Nic w tém dziwnego; skoro dzisiaj dopiero dowiedziały się o tój zabawie z afiszów porozlepianych od rana po ulicach. Plan wycieczki ułożyły w jednej chwili i odprowadziłem je przed godziną na kolej. Chciały koniecznie zabrać mię z sobą, ale nie dałem się namówić na opuszczenie jednej kąpeli, ale za to przyrzekłem, że nad wieczór sam do nich przyjadę.

— A czy nie wspomniały też o mnie?—spytał Stefan.

— Nie przypominam sobie doprawdy. Spieszyły się bardzo, żeby nie chybić pociągu, więc mogło nie przyjść im to na myśl.

Zapomnienie owo trochę jednak ubodko młodzieńca; sądził że w obec tego, nie wypada mu narzucać się paniom Brzewskim, a jednak byłby z chęcią pojechał na ową zabawę choćby dla pokazania Alinie, że nie jęj wcale przybył tam szukać.

(C. d. n.).



# PIERWSZY ZJAZD

PRAWNIKÓW I EKONOMISTÓW POLSKICH

W KRAKOWIE.

PRZEZ

Józefa d-ra Milewskiego.

Dnia 9 i 10-go września r. b. odbył się w Krakowie pierwszy zjazd prawników i ekonomistów polskich. Uczestników zgłosiło się przeszło 420-tu, przybyło i brało czynny udział w zjeździe około 300. Najmniejszą liczbę uczestników powitano w wawelskim grodzie z zaboru pruskiego; udział z innych ziem polskich był dość liczny i odpowiadał oczekiwaniom komitetu, który się urządzeniem tego zjazdu naukowego zajmował.

Prezydium zjazdu stanowili pp. August hr. Cieszkowski z Poznania, Roman Wierchlejski z Warszawy, Józef Kasznica ze Lwowa i Julian Klaczko z Wiednia; na jeneralnego sekretarza zjazdu zaproszono profesora uniwersytetu Jagiellońskiego, dr. Franciszka Kasparka z Krakowa, któremu należy się jak największe uznanie za jego gorliwą pracę i niezliczone trudy około urządzenia zjazdu. Jakkolwiek bowiem podnoszono już od wielu lat i z różnych stron myśl zjazdu prawników i ekonomistów polskich, to jednak zasługa urządzenia i przyścia do skutku pierwszego takiego zjazdu przypada w zupełności prof. Kasparce, który przez kilka miesięcy z rządu nieustannie był czynnym, aby zjazdowi i liczny udział i powodzenie zapewnić. Nie zrażony niechęcią jednych, obojętnością drugich, nie zaniechał raz powziętej myśli, nie szczędził osobistej pracy i trudu, i przez usilne swe zabiegi doprowadził sprawę zamierzoną do skutku, i to do skutku, w danych warunkach nader pomyślnego.

Piszący te słowa patrzył z blizka na pracę prof. Kasparka, czuje się tedy uprawnionym do wyrażenia szczerzego uznania dla czło-

wieka, który się najwięcej około zjazdu zasłużył. A jakkolwiek można pragnąć, aby na następnych zjazdach prawników i ekonomistów, i udział był liczniejszy i nie jedno lepiej się odbyć mogło niż w roku bieżącym w Krakowie, to jednak trzeba przyznać, że ten pierwszy zjazd zupełnie odpowiedział swemu zadaniu, a pod wielu względami powiódł się bardzo dobrze.

Posiedzeń odbył zjazd cztery; na pierwszym posiedzeniu po czynnościach przedwstępnych, przedyskutowano jeszcze referaty prof. Kasparka: o potrzebie troskliwości uprawy prawa międzynarodowego prywatnego i środkach do tego celu zmierzających, oraz prof. Kasznicy: wydziały prawne w uniwersytetach jako wydziały nauk społecznych. Prof. Kasperek, wnosząc swój referat, wykazał w krótkim, jędrnym przemówieniu ogólną doniosłość międzynarodowego prawa prywatnego i zaznaczył zarazem, dla czego u nas właśnie tą gałęzią prawa należy zajmować się troskliwie. W kraju samym żyjemy pod rządem trzech odmiennych systematów prawnych; skutkiem różnych wypadków żyją dalej rodacy nasi rozproszeni po całej kuli ziemskiej, a w stosunki prawne wchodzimy zresztą nie tylko z rodakami; istnieje przeto dla nas szerokie pole do stosowania zasad prawa międzynarodowego prywatnego, a zarazem powstaje konieczność naukowego zajmowania się tém prawem, aby interesowanym mózdz praktycznych a słusznych udzielić wskazówek. Zawijając bowiem stosunek prawny z osobą pod rządem innego prawa żyjącą, wiedzieć trzeba przede wszystkim, podług przepisów którego prawa stosunek ten w razie sporu przez sędziego będzie ocenianym, a podczas gdy w wielu sprawach, szczególnie obligatoryjnych, umowy dokładne mogą określić stosunek i wszelką wątpliwość usunąć, to w najważniejszych właśnie sprawach, gdzie rozchodzi się o stosunki rodzinne, jak o ważność małżeństwa, opiekę, kuratelę, o prawa spadkowe, o prawa rzeczowe, odnoszące się do nieruchomości, stanowią tylko prawa ścisłe, wykluczające wszelką dowolność, nie dopuszczające żadnej zmiany, żadnego wyjątku na podstawie umowy prywatnej. Pojąć łatwo, że jeżeli zasady prawa międzynarodowego prywatnego nie są ustalone, jeżeli np. małżeństwo w jednym państwie ważne zawarte w drugim będzie unieważnione, jeżeli niema pewności, czy dzieci w drugim kraju nie zostaną uznane za nieślubne, czy ostatnia wola będzie za granicą uszanowana, wówczas usuwa się grunt prawny pod nogami, wówczas panuje niepewność prawna, nie pozwalająca regulować stosunków prawnych na przyszłość. Wykazawszy w ten sposób praktyczną doniosłość międzynarodowego prawa prywatnego, a zarazem i konieczność troskliwej tegoż uprawy i możliwość zwrócenia w tym kierunku naukowych usiłowań naszych prawników, stawił prof. Kasperek kilka rezolucyj, domagających się nasamprzód szerszego uwzględnienia międzynarodowego prawa prywatnego i karnego w wykładach uniwersyteckich, zebrania materyału, służącego do wyjaśnienia stosunków międzynarodowych prywatnych, — a w tym względdzie mogą uczynić najwię-



céj dzienniki fachowe prawnicze, oraz towarzystwa prawnicze, względnie Akademia umiejętności, — udzielając systematycznie wiadomości o postępach naukowych i praktycznych w tym przedmiocie. Zważywszy dalej, że wiele kollizyi powstaje z odmiennych terminów pełnoletności, że przeważająca część ustaw oznacza termin pełnoletności na skończony 21-szy rok życia, wnosi prof. Kasperek, aby w drodze petycji do Rady państwa w Wiedniu domagać się, ażeby także w Austrii, gdzie do pełnoletności potrzeba lat 24-ry skończonych, termin pełnoletności był ustanowionym na skończony 21-szy rok życia. Omawiając w końcu zawarcie umów międzynarodowych, celem uchylenia kollizyi, wpływającej z zastosowania różnych praw, domaga się referent już obecnie takich umów międzynarodowych dla dwóch dziedzin, a mianowicie: w przedmiocie prawa spadkowego i w przedmiocie wykonania zagranicznych wyroków cywilnych. Dla prawa spadkowego służyć ma za zasadę uchwała instytutu dla prawa międzynarodowego, zapadła w Oxfordzie 1880 roku, że „sukcesya pod tytułem ogólnym względem oznaczenia osób powołanych do dziedziczenia, rozciągłości ich praw, co do miary lub kwoty zachowku i co do wewnętrznej ważności rozporządzeń ostatniej woli, podpada pod prawo tego państwa, do którego należał zmarły, a ewentualnie, gdyby obywatelstwo zmarłego nie było znaném, pod prawa jego miejsca zamieszkania, bez względu na różnicę dóbr, stanowiących spadek, albo miejsce ich położenia.“ Co do wykonania zagranicznych wyroków cywilnych, przypomina referent, że rząd holenderski jeszcze w r. 1874 wystąpił okólnik do wszystkich rządów, aby się porozumiały co do wzajemnej egzekucyi wyroków sądowych. Jaką na ten okólnik holenderski dano odpowiedź, czy ją w ogóle dano — nie wiadomo, to też domaga się referent, aby w drodze interpelacyi w Radzie państwa żądać wyjaśnienia, a ewentualnie wezwać rząd austro-węgierski, ażeby rokowania w interesie kredytu i bezpieczeństwa prawnego rozpoczął i usilnie popierał.

Wniezione przez prof. Kasparka rezolucye po ożywionej dyskusyi zostały uchwalone, również wniosek dr. E. Tilla (ze Lwowa), domagający się ujednostajnienia przepisów co do legalizacyi.

Referat prof. Kasznicy odnosił się do nazwy wydziałów prawnych, do planu i zakresu wykładów na tych wydziałach, oraz do miejsca i znaczenia, jakie na tych wydziałach przyznać należy socjologii. Kwestya to bezwątpienia ważna i nader żywotna, zajmująca dziś umysły w wielu państwach Europy. Przypomnieć tu nie zawadzi zarazem, że np. w Niemczech od prawnika nie żądają znajomości ekonomii politycznej, a od ekonomisty znajomości prawa. Błąd ten nader szkodliwy w organizacyi wydziałów i wykładów uniwersyteckich zachodzi nie tylko w Niemczech, ale i w organizacyi wydziałów prawnych innych uniwersytetów. Kwestya ta wywołała długą i ożywioną dyskusyą, zjazd jednakże nie powziął w tym względzie żadnej stanowczej decyzyi.

Potrzebę s ło w n i k a prawnego polskiego poruszono w dwóch refe-

ratach, a uczynili to prof. Oswald Balzer ze Lwowa i p. Karol Dunin z Warszawy. Prof. Balzer domaga się ujęcia terminologii prawnej polskiej w dwa słowniki, z których jeden zawierałby terminologią polską, używaną w nauce dzisiejszego prawa, drugi terminologią dawniejszego prawa polskiego. Nasamprzód zająć się należy słownikiem, zawierającym terminologią prawa polskiego, a dla uproszczenia rzeczy możnaby pracę nad słownikiem podzielić na dwie części, z których pierwsza objęłaby terminologią prawną średniowieczną, druga nowszą. Słownik terminologii średniowiecznej przedstawia się na razie, zdaniem referenta, jako rzecz pilniejsza, to też do jego ułożenia należałoby przedewszystkiém przystąpić. Co do zasad głównych, których w ułożeniu słownika wyrazów prawa polskiego przestrzegaćby należało, zaznacza prof. Balzer jako pierwszy warunek, że przedmiotem słownika należałoby uczynić ściśle tylko terminologią prawną, a za podstawę do jej odtworzenia użyć wszystkich przechowanych dotąd pomników prawa polskiego, nie pomijając nadto źródeł nieprawnych, jako źródeł pomocniczych. Dalej należy uwzględnić przy każdym wyrazie jego brzmienie polskie, następnie odpowiednio znaczenie łacińskie, przy wyrazach wziętych z prawa niemieckiego niemieckie, z prawa litewskiego ruskie, wreszcie przez stosowne opisanie wyjaśnić treść i znaczenie każdego wyrazu, a odmiennie znaczenia tego samego wyrazu ściśle odgraniczyć od siebie. Również koniecznym jest uwzględnienie historii słownictwa w przestrzeni czasu i miejsca, uwzględnienie synonimiki, oraz podanie charakterystycznych zwrotów, w których poszczególne wyrazy zachodzą; przy niezwykłych zaś lub wyjątkowych znaczeniach należałoby kłaść cytaty. — Tak ułożony słownik mógłby służyć za niewzruszoną podstawę do rektyfikacji dzisiejszej terminologii prawnej i oddać wielkie zasługi dla nauki prawa polskiego. Słownik taki umożliwiłby bowiem przedstawienie instytucji i pojęć prawa polskiego za pomocą właściwego, współcześnie nieprawego słownictwa, ułatwiłby bliższe zbadanie znaczenia poszczególnych wyrazów, tém samém rzuciłby światło na istotę i treść wielu pojęć prawnych i wyjaśniłby po części historią tych pojęć, podając historią odpowiadającego im słownictwa; odtwarzając wreszcie całość terminologii prawnej, wskazałby na obszar i granice dawnego prawa polskiego.

Z dyskusją nad referatem prof. Balzera połączono odczytanie referatu (nieobecnego) p. Karola Dunina, który, uznając z prof. Balzerem potrzebę dwóch słowników, stawia postulaty co do ułożenia słownika praktycznego, mającego zestawić dzisiejszą polską terminologią prawną. Adwokat Alfons Parczewski (z Kalisza) zaznaczył przy tém zupełnie słusznie, że dla bieżącej terminologii prawnej polskiej uwzględnić należy przedewszystkiém słownictwo nieprawne w Król. Polskiem, tam bowiem najdłużej utrzymała się świeża tradycja polskiego języka sądowego. Zarazem odczytano też wniosek dr. Jana Banzemera, aby starania o dobry słownik prawny polski rozszerzyć i na dziedzinę ekonomii politycznej. Odnośne rezolucye i wnioski



zostały uchwalone, a sprawa słownika przekazaną komisji prawniczej Akademii umiejętności, która już dawniej w tym kierunku była czynną.

Na drugim posiedzeniu zjazdu przyszedł jeszcze na porządek dzienny, prócz wspomnianych referatów o słownikach prawnych polskich, wnioski prof. Kasparka o potrzebie zakładania towarzystw prawniczych i referat dr. J. Leo: o reformach skarbowych sejmu czteroletniego. W obec tego okazała się potrzeba częściowej zmiany uchwalonego na pierwszym posiedzeniu en bloc porządku dziennego, inaczej bowiem, trzymając się powyższego porządku referatów, byłyby wszystkie ekonomiczne temata wcale nie przyszedły do dyskusyi. Na wniosek dr. J. Milewskiego, który równocześnie cofnął swój referat, uchwalono na trzecim posiedzeniu zająć się referatami o samorządzie i o spadkach włościańskich, na czwartym referatami ekonomicznymi, po dyskusyi zaś nad innymi referatami przystąpić dopiero po przedyskutowaniu co dopiero wspomnianych referatów. W myśl tego wniosku przystąpiono na trzecim posiedzeniu przedewszystkiem do referatu dr. Witolda Lewickiego (ze Lwowa) o dotychczasowych usiłowaniach w sejmie galicyjskim i wydziale krajowym, mających na celu reformę ustawy gminnej. Referat ten wniósł dr. Lewicki w dłuższym, śmiałym, treściwym, barwnym przemówieniu, jednakże ton był zbyt polemiczny, nadający się doskonale — co w zupełności należy przyznać — do mowy parlamentarnej, ale mniej odpowiednim przy referacie na zjeździe naukowym. Referent umiał zająć słuchaczy swém przedstawieniem ustawy gminnej z r. 1866, jej skutkami ujemnymi i nakreśleniem bezskutecznych usiłowań reformy, czynionych dotychczas w sejmie i wydziale krajowym. W kraju tymczasem przez ciąg niemal całych lat 20 trwały utyskiwania na ustawę gminną, a wielokrotnie wystąpiły jaskrawo jej ujemne następstwa. W obec tego powziął sejm galicyjski w styczniu r. b. uchwałę, polecającą wydziałowi krajowemu, aby zbadał owoce dwudziestoletniego samorządu gminnego w Galicyi. Badanie to okazało: niewykonywanie ustaw, z wyjątkiem tylko tych, do których władze państwowe przymuszają, brak bezpieczeństwa publicznego w gminach, brak policyi sanitarnej, targowej, budowniczej, ogniowej i t. d. wreszcie zły zarządek majątkiem gminnym. Naturalnie ujemne te objawy występują nie wszędzie w równie wysokim stopniu, nie wszędzie nawet występują w ogóle, ale zawsze występują one tak licznie i tak silnie, że reforma odnośnego ustawodawstwa jest pożądaną, nawet konieczną. Referent dr. Lewicki wniósł rezolucyą, domagającą się takiej reformy.

Sprawa reformy gminnej wywołała nader żywą dyskusyą, w której prof. Kleczyński wystąpił przeciw zbyt ogólnikowemu sformułowaniu wniesionej rezolucyi i sam wniósł rezolucyą, domagającą się reformy gminnej w tym kierunku, aby znieść istniejące, a zgubny rozdział gmin wiejskich i dworskich obszarów. Na rezolucyą tę zgodził się referent, a zjazd uchwalił ją jednomyślnie. Czy i kiedy jednakże doz-

wolą stosunki galicyjskie na przeprowadzenie w życie tej tyle pożądanej reformy, o tém nas przyszłość dopiero zdoła pouczyć.

W kwestyi samorządu zapowiedziano jeszcze dwa referaty, a mianowicie prof. Kleczyński z Krakowa: „O zasadach organizacyi samorządu” i p. Henryk Konic z Warszawy: „O konieczności zgromadzeń gminnych, jako samoistnej władzy samorządu gminnego.” W obec oświadczenia prof. Kleczyńskiego, że referat swój cofa, przystąpiono do referatu p. Konica, który domagał się, aby naczelną władzą w gminach wiejskich były zebrania gminne, złożone z wszystkich wyborców czynnych. Te walne zgromadzenia gminne powinny, zdaniem referenta, prócz prawa wyboru urzędników gminnych posiadać jeszcze cały szereg atrybucyi, zastosowanych do własnego zakresu działań gminy, a w szczególności referent pragnie im przyznać władzę nadzorczą nad organami reprezentacyjnymi gminy t. j. nad radami i naczelnikami gminy; dalej w pewnych wypadkach prawo zatwierdzania postanowień rad gminnych, we wszystkich zaś sprawach gminnych prawo inicjatywy. Referent umotywował obszernie swe postulaty; większa część mówców jednakże oświadczyła się przeciw takim walnym zgromadzeniom gminnym i z takimi atrybucyami.

Z kolei zabrał głos sędzia, Julian Tałasiewicz (z Wadowic), wnosząc referat o administrowaniu spadkowych gospodarstw wiejskich na wspólny rachunek aż do spłaty współspadkobierców, jako o najodpowiedniejszym środku do utrzymania gospodarstw gruntowych włościan galicyjskich. Referat ten dotknął nader piekącą i groźną sprawę. Od czasu uwłaszczenia włościan w Galicyi, a więcéj jeszcze, od czasu zniesienia zakazu dowolnej podzielności gruntów włościańskich w roku 1868, przybrała parcelacya dawnych włościańskich gospodarstw w wielu okolicach Galicyi zastraszające rozmiary. Tak samo zastraszającą jest cyfra przymusowych sprzedaży własności włościańskich, która w ciągu 11 lat 1873—1883 dosięga 23,237, włącznej wartości 23 milionów guldenów. Byłoby zupełnie niewłaściwem i zgubnem nadal patrzeć spokojnie na rozrost tego procesu, którego wynikiem byłoby musiało wywłaszczenie stanu włościan z ich dziedzictwa, przemienienie synów i wnuków dzisiejszych gospodarzy w wydziedziczony proletaryat. Prócz nie wielu zacofanych teoretyków, którzy prócz staro-liberalnych formułek z epoki 1848 roku niczego więcéj się już nie nauczyli, uznaje też każdy niebezpieczeństwo ekonomiczne, społeczne i narodowe, jakie obecny sposób regulowania spadków włościańskich w Galicyi wywołuje; ztąd stanęła też ta sprawa już kilkakrotnie na porządku dziennym sejmu galicyjskiego, a ministerya sprawiedliwości i rolnictwa już przed kilku laty rozpięły odnośną ankietę i przedłożyły Radzie Państwa projekt osobnego prawa spadkowego dla własności włościańskiej. Prawo to byłoby dla poszczególnych krajów koronnych obowiązującym dopiero po uchwaleniu tegoż przez sejmy krajowe; ono stawia tylko ogólne zasadnicze normy, podług których ustawodawstwo spadkowe odmienić można. Dotychczas nie zostało ono jeszcze uch-



walone, a wobec tego właśnie jest słuszném i pożądaném, aby ludzie znający dokładnie stosunki spadkowe włościańskie rezultaty swych zadań do publicznej wiadomości podali i przez to uchronili ustawodawstwo od wydania fałszywych przepisów, a dopomogli do przeprowadzenia możebnej potrzebnej i pożądanej reformy. Dla tego też referat p. Tałasiewicza został przez zjazd nader przychylnie przyjęty, jakkolwiek bodaj nikt z mówców na proponowany środek reformy zgodzić się nie mógł.

Referent Tałasiewicz zaznaczył namprzód, że dążeniem wszelkiej reformy prawa spadkowego dla włościan być powinno, aby grunta pozostać mogły niepodzielone a przytém i reszta spadkobierców swe części otrzymała, a dziedzic obejmujący ziemię nie potrzebował się zadłużyć lub jej zaraz sprzedawać. Aby ten cel osiągnąć, na to, zdaniem referenta, nie potrzeba reformy prawa, lecz tylko reformy wykonania prawa a mianowicie: wstrzymanie oddania dziedzicowi głównemu przypadłego mu gospodarstwa, dopóki współspadkobiercy zaspokojeni nie zostaną. Proponuje więc referent administrowanie spadkowego gospodarstwa na wspólny rachunek, co się najlepiej da osiągnąć w drodze dzierżawy. Czynsz dzierżawny, zbierany przez szereg lat, dozwoliłby oddać dziedzicowi głównemu gospodarstwo nie obdłużone, a współspadkobiercom wypłacić przypadające na nich części spadku; równie oni jak dziedzic główny, musieliby tymczasem własną pracą utrzymanie sobie zapewnić, a do tego tylko zupełnie nieletnie dzieci są u włościan niezdolne; każdy powyżej lat 12 zdoła już być pomocnym w gospodarstwie i na chleb sobie zarobić. Powołuje się tutaj referent na sekwestracją dochodów zalegającej z wypłaty realności i chce analogicznego stosowania tegoż środka do spłaty współspadkobierców, do czego zresztą upoważnia już § 812 kodeksu cywilnego austriackiego oraz orzeczenie Sądu Najwyższego z 12 czerwca 1872 r. Zdaniem referenta jest czasowa administracja na wspólny rachunek—równie przy spadkach dla małoletnich jak dla pełnoletnich—właściwszym środkiem, zapobiegającym nadmiernemu obdłużeniu i parcelacyi gruntów włościańskich skutkiem spadku, aniżeli wyznaczanie praecipuum na rzecz głównego dziedzica; żąda on też, aby przy uchwalaniu prawa spadkowego dla mniejszych posiadłości wiejskich środek ten uwzględniono.

Nad referatem tym o spadkach włościańskich wywiązała się żywa dyskusya, w której głównie podnieść należy przemówienie prof. Maurycego Fiericha. Zaznaczył on przedewszystkiém różnicę, jaka zachodzi pomiędzy przepisami spadkowemi kodeksu francuzkiego a austriackiego, przeszedłszy następnie do zalecanego przez referenta środka zaradczego, oświadczył się przeciw niemu równie z prawnych jak ekonomicznych i etycznych względów. Administracja na wspólny rachunek rozciągałaby bowiem kuratelę nad pełnoletnimi, dzierżawy niszczyłyby gospodarstwa, usuwałyby przymusowo dzieci z rodzinnego domu. Dla tego też oświadcza się prof. Fierich przeciw wnioskowi referenta. Wśród dalszej dyskusyi pojawiły się trzy wnioski samo-

istue a mianowicie prezesa Wierchlejskiego, aby przepisy austriackiego kodeksu cywilnego o spadku starano się odmienić w myśl zasad kodeksu francuzkiego. Wniosek ten przekazano do rozpatrzenia komitetowi przyszłego zjazdu; dalej wniosek rejenta dr. Lipowskiego o ustanowieniu rad familijnych i wniosek dr. J. Milewskiego: „poleca się komitetowi 2-go zjazdu prawników i ekonomistów polskich, aby postarał się na przyszły zjazd o referaty i wnioski pozytywne co do kodyfikacji prawa spadkowego dla własności ziemskiej.” Na wniosek ten zgodził się referent p. Tałasiewicz i oba wnioski zostały jednomyślnie zatwierdzone. Winieniem tu jeszcze dodać, że wszyscy mówcy, zabierający głos w téj dyskusyi, przyznawali złe skutki obecnego ustawodawstwa spadkowego, wszyscy uznawali potrzebę reformy, a zarazem nikt nie godził się na proponowany przez referenta środek zaradczy, jako nie odpowiedni lub niedostateczny. W obec tego jest koniecznym ponowne zbadanie kwestyi prawa spadkowego. Stojąc przytém na gruncie równości w obec prawa, nie godzą się obecni na jakieś spadkowe prawo włościańskie, nie chcą różnego prawa dla różnych ludzi, ale raczój, trzymując równe prawo dla ludzi, chcą dla różnych kategorii własności różnego, odpowiedniego ich naturze prawa, w myśl zasady, że odmienne kategorie własności zasadniczo odmiennego prawa się domagają i potrzebują; natenczas dopiero będzie panowała nie formalna, jak dziś, ale materyalna równość prawa. I dla tego też stawiłem wniosek nie o włościańskie prawo spadkowe, lecz o prawo spadkowe dla własności ziemskiej, którego potrzebę i słuszność już dawniej w rozprawie „prawo spadkowe a własność ziemska“ starałem się uzasadnić.

Pomimo kilkadziesiąt godzin już dyskusyi, przystąpiono na trzecim posiedzeniu jeszcze do referatu prof. Maurycego Fiericha o zwyczajnym środku prawnym drugiej instancyi w postępowaniu sądowym cywilnym. Sprawa to nader doniosłego praktycznego znaczenia dla Austrii, gdzie właśnie reforma procedury cywilnej stoi na porządku dziennym. Prof. Fierich, którego referat był znakomitym pod każdym względem i wypowiedziany został w sposób świetny, bo jasny, spokojny, poważny, a przytém uwzględniał przepisy regulaminu obrad i trwał tylko nieco więcej niż 15 minut, oświadczył się za zaprowadzeniem apelacyi, jako zwyczajnego środka prawnego drugiej instancyi. Zebrani hucznie oklaskami wyrazili swe uznanie dla referenta i jednomyślnie przychyliłi się do jego wniosków, oświadczając się zarazem za zasadą ustności i jawności w prawie cywilnym.

Ostatnie posiedzenie zjazdu przeznaczono na rozprawy ściśle ekonomiczne. Nasamprzód przedstawił dr. Witold Skarzyński (z W. Ks. Poznańskiego) referat: o konieczności i możliwości gruntownej reformy kredytu ziemskiego. Jako taką reformę uważa referent użycie dla rolnictwa prawa emisji banknotów, z którego to prawa handel i przemysł już od lat szeregu korzysta, a kredyt rolniczy dotąd nie posunął się przez przeszło 100 lat ani o krok naprzód i dziś jeszcze opiera się wyłącznie na przeszłowiekowych zasadach pruskich landszaft, adoptowanych



i w naszych Tow. kred. ziemskich. Dr. Skarzyński—uwzględniając tylko normalne stosunki monetarne, proponuje wycofanie z obiegu  $\frac{1}{3}$  wydanych listów zastawnych i spłacenia ich bezprocentowymi ratami, które byłyby w  $\frac{1}{3}$  pokryte kruszcem, w  $\frac{2}{3}$  zapasowemi listami zastawnymi, dającymi się co najmniej równie dobrze i szybko realizować, jak weksle, stanowiące pokrycie not w obecnych bankach emisyjnych. Korzyść dla rolnictwa ztąd wyuikająca polegałaby na oszczędzeniu około  $\frac{2}{3}$  łącznej sumy opłacanego obecnie przez Tow. kred. ziemskie procentu. W dyskusji nad tym projektem zabrali głos pp. Kirsztot, dr. Milewski, dr. Lipowski, J. Bloch, dr. Ant. Donimirski, Binder, Wilkosz oraz referent, a pomijając mniej ważne zarzuty, podniesiono nasamprzód zasadniczą różnicę, jaka zachodzi przy emisji not przez banki biletowe, które mają do czynienia z dłużnikiem swym, a proponowaną emisją przez T-wa kred. ziemskie, któreby miały do czynienia z posiadaczem listu zastawnego, z swym wierzycielem. Podniesiono dalej, że emisja not nie może być nieograniczoną a nadmierna ich liczba albo natychmiast wróci do kasy emitującego banku i zażąda wymiany na gotówkę, albo ulegnie zdeprecjonowaniu. W pierwszym wypadku byłaby cała reforma bezpożyteczną, bo wycofane z obiegu listy zastawne znówby doń wrócić musiały i znówby je trzeba oprocentować; w drugim wypadku zaszkodziłaby stanowczo całemu gospodarstwu społecznemu. Odnośna dyskusja poruszyła przytém sprawę obecnego rolniczego przesilenia, co do którego nader zajmującemi były wywody prezesa Blocha.

Po uchwaleniu szeregu wniosków głównie administracyjnej natury i po wyznaczeniu komitetu, mającego za dwa lata następny zjazd prawników i ekonomistów urządzić, przystąpiono jeszcze do referatu d-ra Antoniego Donimirskiego o kolonizacji wewnętrznej. Referent, wyszedłszy od zasadniczego twierdzenia, że dla każdego kraju pożądanym jest rozdział ziemi pomiędzy licznych samodzielnych gospodarzy, przytoczył następnie cyfry o rozdziale dotychczasowym własności ziemskiej u nas i doszedł do wyniku, że kolonizacja wewnętrzna t. j. podział pojedynczych folwarków większej własności na pewną ilość samoistnych jednostek gospodarczych jest pożądaną, ponieważ wytwarza większą ilość właścicieli ziemskich. Referent wykazał dalej, że dla zagrożonych ekonomiczną ruiną właścicieli ziemskich kolonizacja, racjonalnie przeprowadzona, jest częstokroć jedynym sposobem zlikwidowania się bez uszczerbku, dla ekonomicznych stosunków kraju i jego interesów moralnych. To też nie powinna ona mieć na celu pochłonięcia większej własności, której istnienie jest we wszystkich dzielnicach kraju naszym pożądanem i koniecznem zarówno z ekonomicznych jak społecznych i narodowych względów, ale kolonizacja wewnętrzna winna te tylko obejmować ziemie, które inaczej w obce do stałyby się ręce. Nie potrzeba jnż chyba dodawać, że mowa tu jedynie o kolonizacji, dokonanej przez ludność miejscową, przez włościan—rodaków, a nie przez obcych przybyszów. Ze miejscowa ludność włoś-

ciańska jest u nas, a przedewszystkiém w Prusiech królewskich i W. Ks. Poznańskim, chętną i zdolną do kupna ziemi, tego dowiódł referent nader licznemi i ścisłemi cyframi o emigracyi włościan, ich depozytach w kasach oszczędności, o rezultatach już dokonanych parcelacyi i t. d. I dla tego też oświadczył dr. Donimirski, że w obecnych stosunkach W. Ks. Poznańskiego i Prus królewskich kolonizacya przeprowadzona w sposób właściwy przez obecnych właścicieli najwięcej się może przyczynić do utrzymania ziemi w ręku krajowców.

Po krótkiej dyskusyi, w której zabierali głos pp. prezes Bloch, adwokat Alfons Parczewski i referent uchwalono jednomyślnie 4 rezolucyje wniesione przez dr. Donimirskiego a streszczające zaznaczone powyżej myśli jego referatu. Zarazem obrano komisją z 8 członków dla rozważenia sprawy, jakby tę kolonizacyą w W. Ks. Poznańskim i Prusiech zachodnich przeprowadzić należało.

Na tém ukończyły się prace pierwszego zjazdu prawników i ekonomistów polskich. Podawszy szkic niniejszy tych obrad, nasuwa się pytanie czy i jaką jest doniosłość téj pracy zbiorwej, jakie ten zjazd przyniósł rezultaty?...

Bez różowego optymizmu, bez zamykania oczu na usterki, jakie się pojawiły, mamy prawo powiedzieć, że zjazd odpowiedział zupełnie swemu zadaniu i dosyć poważne osiągnął rezultaty. Szereg powziętych uchwał i zapadłych rezolucyj świadczy już o tém; sprawa słownika prawnego i ekonomicznego została popchniętą naprzód, zaznaczono postulaty co do reformy gmiunnej, co do obrony naszych interesów w stosunkach międzynarodowych, nareszcie last not least zajęto się kwestyami agrarnemi. I ta ostatnia dyskusya przyniosła bezpośredni a dodatni rezultat. Sprawozdanie komisji zjazdu wyświeciło zagmatwaną w ostatnich czasach sprawę Banku ziemskiego w Poznaniu, stwierdziło tegoż racją bytu téj instytucyi i zarazem wskazało dla niej zakres czynności, których się bez narażenia kapitału na straty, korzyścią dla społeczeństwa podejmować może i powinna. A chociażby tylko to ostatnie było jedynym rezultatem pierwszego zjazdu prawników i ekonomistów polskich, to świadczyłoby już o nim dobrze, uprawniałoby nas, nawet obowiązywałoby do urzędzenia takich zjazdów w przyszłości. Obowiązkiem nauki jest stać na straży praw i interesów swego społeczeństwa, zarówno moralnych jak i materyalnych. Świeżo odbyty zjazd starał się to uczynić i w tem też leży jego doniosłość jego zasługa, a pragnąć tylko należy, aby przyszłe nasze naukowe zjazdy osiągnęły jeszcze więcej w tym względzie, aby przynosiły coraz bogatsze plony na własną chwałę a społeczeństwu na pożytek.

W końcu dla dokładności sprawozdania niniejszego nadmienić trzeba, że z powodu krótkiego czasu nie mógł zjazd zająć się rozbiorem zapowiedzianych i przygotowanych następujących referatów: prof. Kleczyńskiego: „O zasadach organizacyi samorządu,“ dr. Bronisława Dembińskiego: „O wpływie literatury włoskiej na polityczną literaturę polską XVI w;“ dr. Wł. Ostrożyńskiego: „O odpowiedzialność i



państwa za bezprawne działanie urzędników;" p. Alfonsa Parczewskiego: „O relacji sędziego przy wprowadzeniu sprawy o postępowaniu cywilnem," dr. Fr. Fiericha: „Czy prawo żądania zabezpieczenia względnie zapłaty z powodu niepewnej płatności dłużnika głównego w prawie wekslowem da się ze stanowiska prawnego i ekonomicznego uzasadnić," d-ra Włodzimierza Kozłowskiego: „O reformach podatku od spirytusu," oraz autora sprawozdania niniejszego: „W sprawie waluty."

Kraków, dnia 20 września 1887 r.

# PIŚMIENNICTWO

KRAJOWE I ZAGRANICZNE.

---

„Poczet rodów w Wielkiem Księztwie Litewskiem w XV i XVI wieku,“ ułożył i wydał Adam Boniecki. Warszawa, 1887, 8°.

Z prawdziwem uznaniem powitaliśmy pracę p. A. Bonieckiego, noszącą powyższy tytuł, która uwieńczyła kilkoletnie pilne i sumienne poszukiwania archiwalne zasłużonego na polu heraldyki polskiej badacza.

O ile z samego tytułu pracy wnosić należy, wziął w nią sobie autor za zadanie odszukać, zebrać i w pewną systematyczną całość ułożyć wszystko to, cokolwiek w autentycznych, urzędowych przedewszystkiem źródłach dałoby się znaleźć, odnoszącego się do rycerskich rodów W. Ks. Litewskiego z epoki, która poprzedziła unią jego z koroną. Oderwane fakta, zdobyte w źródłach wydanych lub spoczywających jeszcze w archiwach, widzimy zatem zestawione tutaj w pewne grupy i podane w układzie alfabetycznym, podług nazwisk rodów lub pojedynczych osób, niejednokrotnie z imienia tylko znanych, do których fakta się odnoszą. W grupach zaś fakta te uszeregowane ile możliwości w porządku chronologicznym. W ten sposób powołani tu są jakby do urzędowego w przeróżnych okolicznościach stawienia się wszelacy, jeśli nie wszyscy kniaziowie i bojarowie Litwy XV i XVI-go wieku, którzy zostawili jakikolwiek ślad po sobie w ówczesnych aktach oficjalnych Metryki Wielk. Księztwa i innych dokumentach owój epoki. Przedstawieni są nadto w owym imiennym jakby popisie, w teżej samój, ile można, surowej, prostaczój nawet postaci, w jakiej występowali w życiu, gdzie się dało w splocie mniej lub więcej szerokiego rodowego związku, często zaś i bez żadnych wskazówek na węzły rodzinne, indywidualnie tylko prawie—przy okoliczności jakiegoś nadania, zapisu, testamentu, działu sąsiedzkiego zatargu, sporu rodzinnego i t. p.



Historyografia wymaga od podobnego rodzaju wydawnictw nade wszystko nagich faktów, oczyszczonych krytycznie z wszelkich przy-mieszek z luźnych naleciałości. W tym też zakresie nie mają dla niej wagi żadne późniejsze genealogiczne legendy i wywody fantazyjne.

Wprawdzie skutkiem owęj surowej ścisłości, za mało istotnie w rozważanem przez nas dziele weszło treści anegdotycznej, obrazowej, obyczajowej, tyle pożądanęj dla pełniejszego zrozumienia życia rodzinnego i społecznego każdej epoki. Dość przecie wcisnęło się tu, niby samochcąc złomków tego rodzaju, służących za wskazówki zbyt nieraz wymowne, ile muięj spodziewane, przy których pomocy rozwidnia się nam nie jedna strona życia nieznana.

Główném źródłem, stanowiącém samą podstawę treści poważnej tej pracy, są oczywiście odpisy ksiąg Metryki litewskiej z XV-go i XVI-go wieku, uzupełnione danemi, jakie się znalazły w zbiorach drukowanych rozmaitych aktów, hramot, dokumentów oraz materiałów przeróżnych, jak specjalnych monografii, a nawet kilku archiwów prywatnych.

Pracę swoją poprzedził autor odpowiednią „Przedmową,” w której tłómaczy pobudki nadanej formy swemu kompendyum. Posiadając oto Sumaryusz najstarszych ksiąg Metryki W. Księstwa do połowy XVI-go wieku, uważał za najodpowiedniejsze spożytkować treść jego przez ułożenie alfabetyczne heraldycznego wykazu, wzbogaconego zasiłkiem z innych znanych już źródeł tegoż zakresu; w głębokiém przekonaniu, że tak bogate roztoczenie szczegółów nie może się nie przy-czynić do jaśniejszego wytłómaczenia niejednego zawitego faktu z dziejów ogólnych kraju.

Ztąd praca ta posiada nadewszystko wartość informacyjną, ogarniając jako „Poczet rodów,” ze szczególniejszą ścisłością rody znakomitsze W. Księstwa, daje też dokładniejsze wskazówki o dostojnikach państwa, o datach ich urzędowania etc. Przy końcu zaś dzieła podanym jest podług kategorii, a w chronologiczném po sobie następstwie, porządnny spis wszystkich nie tylko wysokich dyguitarzy duchownych i świeckich, lecz i urzędników pomniejszych, którzy występują w samym tekście. — Znajdziemy więc tu w szeregu alfabetycznym: chorążych, ciwunów, gajewników, kluczników, koniuszych, krajczych, kuchmistrzów, leśniczych, łowczych, mieczników, mostowniczych, okolniczych, pisarzy, podczaszych, podkomorzych, podsędków, podstarościch, podstolich, podwojewódzzych, sędziów, stolników, wojskich i in.

Wśród tytułów urzędowych, podawanych równie w tekście jak i w rodowodach osób nie pomału to nas musiało dziwić, gdyśmy spotykali przy imionach pewnych kniaziów tytuł „ataman kozacki.” Że taka nota zresztą znajduje się np. w rodowodzie ks. Rużyńskich przy dwóch kniaziach tego domu, można ją byłoby jeszcze wytłómaczyć potrzebą krótszego, ile się da, terminu. Ależ i w tekście samym, przy tychże osobach: ks. Ostafim Iwanowiczu, który był pierwęj namiestni-

kiem kaniowskim i czerkaskim ks. Ostrogskiego, później zaś (1581) kijowskim—autor wyraźnie zaznacza: „W latach 1579—1586 pełnił on i brat jego Michaiło urząd „atamana kozackiego.“ Co za zamącenie pojęć: namiestnik ukraińnych zamków królewskich owego czasu „pełni urząd“ atamana kozaków! Tymczasem było to przecie niemożliwem—nawet względem „posłusznych.“ Nie wesprze tego chyba K. Stadnickiego powaga (Synowie Gedymina)! Że kniaziowie przeróżni, jako namiestnicy czy starostowie zamków kresowych hetmanili, „atamanili“ często luźnym drużynom, „kozakom“ swych starostw w stepowych wyprawach—rzecz to powszechnie wiadoma. Za przykładem głośnego Ostafa Daszkiewicza „kozakował“ nie jeden starosta królewski, kozakowali też i kniaziowie—Wiszniowieccy, Rużyńscy i inni. Niewątpliwie drużyny ich—„kozacy takiego a takiego kniazia“—zwracały się ku nim, jako ku swym „bat’kom—atamanom,” lecz oni napewno nie „pełnili urzędu“ atamanów u „swoich“ a nawet i zaporozkich kozaków. Dla wyraźniejszego unaoocznienia rzeczy, przypomniemy tu, iż ten zapęd atamanienia i kozakowania, choć coraz to w odmienny sposób, przeżył u naszych panów ukraińnych nawet upadek Rzpltej; czego dowodem ów „kniaź-kozak“ ze Steblowa i „emir“ sawrański. Wypada nam być tedy bardzo ostrożnymi w używaniu tak elastycznych terminów, mniejsza już o to, iż niktby nas przecie nie posądził o niebaczne potakiwanie scholastycznej systematyce starój, wygasającej już doktryny mało-rosyjskiej.

Ale wróćmy do samej pracy p. Bonieckiego. Otóż z dzisiejszego stanowiska historyografii, praca tego rodzaju przekracza oczywiście wartość heraldycznego almanachu czy przewodnika, przeznaczanego zwykle dla zaspokojenia powszedniej ciekawości, częstokroć tylko przez próżność podniecanej. Obecnie, gdy w przeszłości doszukujemy się przedewszystkiem śladów życia wewnętrznego, społecznego, domowego, właśnie taka jedna kronika rodowodowa staje się dla nas pożądanym przyczynkiem, z bogaczącym nieliczny zasób dzieł wydanych, których przeznaczeniem ułatwianie oryentowania się swobodniejszego wśród zawiłej gmatwaniny faktów przy szerszych poszukiwaniach.

Ma to wprawdzie większe znaczenie dla ziem dawnych ruskolitewskich aniżeli dla połaci lechickiej późniejszej Rzpltej, ale właśnie o rozjaśnienie mniej znanego życia tamtych, w obecnym stadium naszych badań historycznych więcej nam chodzić musi; gdy charakter zmierzających ku zrzeszeniu się społeczeństw tak widocznie odmienny. Rozumiej to należycie sam autor, gdy mówi o tém we „Wstępie.“

Spoczeństwo W. Księstwa przed Unią wyróżniało się wielce od szlacheckiego w koronie, powstało z innych pierwiastków, jako też następnie rozwijało się inaczej. Przeważną w niem grał rolę żywioł dynastyczny rozradzającego się w nieprzeliczony drobiazg kniaziosstwa, zacierającego w ciągłym krzyżowaniu się różnice pierwotnego pochodzenia z rodu Gedymina czy Ruryka, prastarych kunigasów w litewskich lub sołtanów kipczackich. Inne warstwy wojenno-ziemiańskie



w feudalnym szczeblowaniu piętrzącej się budowy polityczno-społecznej rzeszy litewskiej, poczęły się przez rody silniejsze dźwigać ku normie udzielnno-możnowładczej, modelującej się bardziej podług wzorów dalszego Zachodu, gdy szczeble niższe bojarostwa ledwie śmiały marzyć o swobodach już dawno zdobytych przez szlachtę polską. Ponad tym wszystkim u szczytu wznosiła się władza dziedzicznie panującego rodu Jagiellonów. I samo więc życie w ogóle toczyło się różnemi od polskiego tory. Mimo to zawierało się ono tutaj nie tyle w zamkniętej sferze dworu monarszego, ile wśród zastępów nieprzebranego rojowska dynastyczno-feudalnego, z którego z czasem (po Unii) wytworzy się we wschodniej połaci Rzpltej owo rozkielznane możnowładztwo, co na koniec zacięży tak fatalnie i nad losem całego narodu polskiego! Lecz i wtedy już decyduje nieraz w W. Księztwie o sprawach natury ogólniejszej współzawodnictwo pewnych grup rodowych, idące ściśle w parze z porywami ku autonomii własnej, jeśli nie ku supremacyi nad całą litewską rzeszą pewnych ziem i okolic.

Przy pomocy „Pocztu rodów“ dałoby się przeprowadzić poniekąd i samo ugrupowanie rodów terytoryalne, podług ziem, resp. województw, a nawet powiatów, gdyby chodziło o ziemiańską drobnotę <sup>1)</sup>. Dokładna znajomość stosunku pokrewieństwa rodów, osobliwie potężniejszych, ułatwia niepomniernie śledzenie w zawitych przedewszystkiem sprawach, nici przewodniej, pobudek i prywatnych interesów, spoczywających na dnie zadań i faktów ogólnego znaczenia. Takie kompendyum, nie zdradzające nawet cienia ustępstw dla żadnej próżności familijnej, może służyć za dokładny przewodnik dla historyka.

Bez głębszych badań wiemy już ogólnie, że różnie były ukształtowane kroczące ku unii politycznej dwa podstawowe społeczeństwa przyszłej Rzpltej — wschodnie i zachodnie. Co do pierwszego, to sam proces powolnego łączenia się jego z koroną najwydatniej może się ujawnia na tle walki możnych rodów, grup całych z grupami, a nawet rozszczepionych gałęzi jednego rodu. Oto grupa staro-litewska (już katolicka) zwiera się ze staroruską, (jeszcze grecką), nowo wyrastającą z bojarstwa możni panowie z uboższém kniaziostwem idą w zapasy, duma zaś pojedynczych osób rozstrzela widoki najbliższych członków tejże rodziny (jak np. Ostrogskich). Lecz zrozumieć tego należycie bez znajomości stosunków genealogicznych niepodobna.

Otóż w dziele rozważańm posiadamy nie tylko, ile można, pełne informacje genealogiczne w tekście, lecz nadto p. B. wzbogacił je osobnemi rodowodami wszystkich znaczniejszych domów tak kniaziowskich jak i możnowładczych, ułatwiającymi znakomicie oryentowanie się w chaosie imion etc. Utrzymana tu ściśłość i dokładność wzorowa. W zakresie rodowodów autor nie pozwala sobie na żadne hazardowne kombinacye i wywody. Podaje pochodzenie i protoplastów tam tylko

<sup>1)</sup> Red., skrzepowana żądaniem autora, pozostawia sprawę języka i stylu na jego odpowiedzialności.

gdzie wątpliwość została już wyświetloną dostatecznie. Naprz. kolebkę domu ks. Zbarazkich z jego gałęziami wskazuje w rodzie ks. Nieświckich; Radziwiłłów wyprowadza od Ościka i t. p. Lecz zarazem podaje w wątpliwość wersją (p. J. Wolfa) co do litewskiego pochodzenia Czartoryskich i Sanguszków. Odosobnieni: Niemiry, Niemirowie, Niemirowicze, Niemiryce i t. d. rodziny o podobnie brzmiących nazwach. Co więcej—widoczna zbytnia nawet oględność. Tak np. podani oddzielnie: Borzobohaci i Borzobohatowicze, Butrymy i Butrymowicze, Kewła i Kewlicz, Orda i Ordicz, Pesoczyński i Piasoczyński, Seheń i Sieheń i wiele in. Chociaż z drugiej strony należy z największą ostrożnością zbliżać genealogicznie nazwy bliskie sobie—osobliwie patronymiczne. Czyż bowiem napewno do jednej rodziny należą: Tretiak i Tretinicz? lub nawet Maćkowicz, Maćkiewicz i Mackiewicz; Narkiewicz i Narkowicz, Steckiewicz i Steckowicz, Wołodkiewicz i Wołodkowicz i w. i.? Niejednokrotnie zaś wcale nie łatwo odnieść jakąś nazwę patronymiczną, podwójną do pewnej określonej rodziny. Ktoby się np. domyślił, nie będąc obeznanym z rzeczą, że ów dzielny „djak hospodarski,“ Lew Postejewicz Tyszkowicz, który 1545 r. dokonał tak chlubnie rewizyi zamków ziemi wołyńskiej (p. Żr. Dz. t. VI), należał do rodu Pocijów? Autor przecie podobne trudności należycie rozwiązuje.

Oprócz tego musimy przyznać słuszność p. Bonieckiemu, iż imiona i nazwy podał w takiej postaci, w jakiej występują w samych aktach. Myliłby się atoli, ktoby z formy chciał stanowczo wnioskować o krwi lub wyznaniu osoby. Ówczesny język urzędowy litewsko-ruski podciągał obce mu dźwięki pod prawa swój pisowni. Stosowało się to równie do charakterystycznych właściwości mowy krywickiej jak i ruskiej południowej, a tém bardziej i do mowy podlaskich mazurów. Pisownia ta nie miała nawet odpowiednich znaków na oddanie takich dźwięków, jak krywickie *č*, *dž*, lub wyłącznie polskie *q*, *g* lub *rz*. Co więcej—gdy do ostatecznego ustalenia się przewagi cywilizacji zachodniej na właściwej Litwie, trzymał się tu górą i obyczaj ruski; zatem długo jeszcze nawet imiona katolickie w formie ruskiej nie tylko pisano, lecz miano w użyciu. Ztąd imiona Bartłomiej, Bernat, Kacper, Mateusz, Rafał, Stanisław, Walenty, Wojciech i t. p. świadczą, iż noszący je byli katolicy; ale nie dowodzą przeciwnego: Bohusz, Ławryn, Mataj Stanko, Stecko i t. p. używane w rodzinach katolickich. Imiona te dowodzą tylko, iż wpływ obyczaju i języka ruskiego wśród szczerolitewskiej społeczności utrzymywał się nie mały czas jeszcze za Jagiełły po pierwszym zbliżeniu się Wielkiego Księstwa z Koroną. Podobnież co do nazw rodowych. Forma używana w aktach: Jundił, Radziwił lub Kostiuszko, Potój, zamiast znanój zmiękczonój, nie przyświadcza też, iż pierwotnie tak samo wymawiano nazwiska te, jak je pisano w hramotach: wymawiano je od początku: Jundziłł, Radziwiłł, Kosićszko, Pocij, zgodnie z wymaganiem języka równie litewskiego jak i biało-ruskiego (krywickiego). Nie mniej też pod osłoną pisowni ofi-



cyalnej nazw takich jak np.: Brozka, Dubrowski, Hrymała, Radiszewski i t. p. z łąkowością poznajemy mazowiecką szlachtę Podlasia.

Co do charakteru owoczesnych nazw ziemiańskich W. Księstwa, przeważają tu w ogóle nazwy patronymiczne. Przejierając jednak pilniej „Poczet Rodów“ widzimy ze zdumieniem, ile to utrzymało się nazw wprost imiennych, nie tylko litewskich, lecz i słowiańskich, które próbowały przez pewien czas utrwalić końcówkę *icz*, lecz ostatecznie drogą niezrozumiałej (?) ewolucyi, wróciły do pierwotnej swój formy prostego imienia. Dla przykładu: Bohuchwał, Bohowityn, Borejko, Butrym, Denisko, Domejko, Dowbor, Dowgiąłło, Dowgird, Dowojna, Gasztold, Gedygolt, Gintowt, Horain, Hurko, Jundził, Karp, Kierdej, Kieżgajło, Kmita, Kostjuszko, Meleszko, Mondygird, Moniwid, Moutowt, Narbut, Niekras, Niemira, Olizar, Ostik, Pac, Pociiej, Sanguszko, Siemaszko, Sołtan, Radziwiłł. Z czego moglibyśmy zaznaczyć ten fakt, iż tak jeszcze nie ustalona była rodowitość w tym pierwotnym, prostaczem społeczeństwie, że protoplaści późniejszej jego arystokracji poczynają ledwo stwarzać kolebki rodowe, przekazując potomkom imiona swe osobiste jako nazwy.

Spotykamy już wśród ziemian litewskich i nazwy narodowe: Bułharyn, Chorwat, Czerkas, Dotmat, Hryczyn (owicz), Lach, Litwin, Pruszak, Serbin, Słowak, Uhryn, Wenet, Wołoszyn.

Najbardziejzie przecie ilustracyjnie, że tak powiem, przyświadczają prostaczności ówczesnego rusko-litewskiego społeczeństwa nazwy jego przewodniczących rodzin przezwiskowe: Białożor, Byczko, Czapla, Czaplica, Czyż, Dremlik, Drozdzcza, Dyczko, (Haha) Hahin, Hłuszank, Hołuba, (Hołubec) Hołubcewicz, Hornostaj, Jeż, Komar, Korsak, Koszka, (Kot) Kotowicz, Kozica, Koziel, Kuropatwa, Lis, i w. i. A cóż dopiero gdy do nich dołączym istną nomenklaturę botaniczną: Cybulka, Harbuz, Hordyna, Huba, Kapusta, i i. Ileż to jeszcze nazw prostaczo-przezwiskowych, satyrycznych nieraz: Bobojed, Borzobohaty, Chmara, Dudka, Hromyka, Kisel, Kiszka, Kociel, Masło, Mazepa, Owsiany, Piwo, Podbipięta, Sapięha, Służka, Bury, Krywy etc. Przewy to jedynie słowiańskie, odnoszące się bardziej do sfery ruskiej; ale znawca litewszczyzny odszukałby podobnie i wśród rodów szczerolitewskich nie mało przezwisk podobnych, wziętych ze świata żywego i nieżywego przedwiecznych puszcz Neromy i Zmudzi.

Należy tu jednak zastrzedz, że nazwa słowiańska nie świadczy zawsze o słowiańskim pochodzeniu nazywanego; owszem, nie mówiąc już o nazwach od posiadłości (np. Holszańscy) lub patronymicznych (Olelkowicze), częstokroć przewy słowiańskie dostawały się w epoce przewagi kultury ruskiej osobom i rodzinom najniewątpliwiej litewskiego pochodzenia (choćby np. Podbipiętom). Nie mało też rodzin szczerolitewskich weszło w szeregi ziemiaństwa południowo-ruskiego, przez nadania etc. i przybrało nazwy słowiańskie od miejscowości—np. Dorohostajskich, z rodu Rymowida idących.

Zakres pracy p. Bonieckiego nie pozwolił mu dotyczyć szczegółów życiowych, stanowiących właściwie samą treść aktów, z których czerpał swój materiał. Nie pozwolił mu dotyczyć szczegółów charakteryzujących istotę ówczesnego życia społecznego rusko-litewskiego towarzystwa, we wszystkich onego feudalnie uszczelbionych warstwach. A tymczasem radzibyśmy poznać jego zwyczaje, obyczaje, pojęcia prawne i etyczne, tryb bytu rodzinnego, stopień moralności familijnej i publicznej, religijność i t. d. Nieliczne przecie wskazówki, podane we „Wstępie,” każą przypuszczać, jak wielkie skarby ukryte czekają pracownika, któryby wziął sobie za specjalny przedmiot zbadanie stanu wewnętrznego społeczności W. Księstwa w epoce łączenia się jego z Polską!

Tymczasem, rzucając wzrok choć pobieżnie na ten przedmiot, spostrzegamy wszędzie pewien feudalizm dynastyczny nie tylko na wyżynach: całe zastępy rodów według legendy ze krwi panującej pochodzących. Pomiędzy już tak liczne a znane powszechnie rody potężniejsze, co zajaśniawszy wygasły, lub żyją dziś jeszcze jako książęce, jakie to mnóstwo kniaziowskiéj drobnoty, której potomstwo, jeśli gdzie jeszcze da się spotkać, zapomniało prawie o swym ciężkim już do noszenia tytule. Odważmy się na zrobienie choć pobieżnego przeglądu: Babicze, Boratyń, Borów, Boreml, Bujniccy, Burniewscy, Czersey, Dolscy, Hłazinicze, Hłusanki, Hołowczyńscy, Horodeccy, Jurscy, Kobryńscy, Kromscy, Kroszyńscy, Kurcewicz, Łukomscy, Maśalscy, Mikityńscy. Pomnażała tę liczbę nadto wielorakość nazw, jakie przybierały rozrodzone linie jednego gniazda; tak np. pomiędzy gałęziami jednego rodu Druckich widzimy: Bahrynowskich, Holcowskich, Horskich, Lubeckich, Odyńcewiczów, Oziereckich, Podberezkich, Widenickich. A ileż tu oprócz tego domów kniaziowskich o nazwach prostaczych! Przysłuchajmy się im, aby z brzmienia tych nazw zrozumieć zarazem i ocenić rodzaj i stopień kultury tego koła wysokiego, do którego należeli: Baba, Bacht, Bułhaka, Bułyha, Duda, Hłazyna, Hłuszanok, Hołownia, Horczak, Juraha, Kapusta, Konopla, Kozika, Kropotka, Mamczyc, Muńcza, Puzyna, Sanguszko, Siekira, Tołoczko, Tucza, Wdacza. Nie mniej jak owe przezwy prostacze, przyświadczyłaby o stopniu kultury tego wyższego towarzystwa, i sama forma imion chrzestnych, używana w rodzinach książęcych: Andruszko, Daszko, Olelko, Petko, Stanko albo Fedka, Marusza, Opranka, Sońka—to chyba nie księżęta i księżniczki a młódź wieśniacza!

Nie koniec jeszcze tym tytułowanym zastępom—nie możemy tu pominąć i tłumu kniazów tatarskich, co chorązowali pocztom swych ordyńców, osiedlonych na Litwie—owych: Asanczukowiczów, Birdybakowiczów, Bohatyrewiczów, Chodyrewiczów, Kadyszewiczów, Malikbaszyców, Tymirczyców, Urazowiczów, Wojszutowiczów i tylu in., z których przecie, zdaje się, żaden ród na wyżynę możnowładczą, choćby pod inną nazwą, nie zdołał się wydzwignąć.

Rozejrzawszy się bliżej pomiędzy tém mrowiskiem różnorakiego



kniaziostwa, ze zdumieniem możemy się zapytać: jak też to wszystko zdołało się trzymać nawet w tak rozległym państwie jak W. Księstwo? Zwiększy jeszcze to nasze zdumienie uwaga, że pewne rody kniaziołów już w w. XV były tak rozgałęzione, iż poza legendą nie podobna dla nich odszukać pnia wspólnego, np. Druckich wszelakich, Gedrojciołów, Głińskich, Massalskich, Połubińskich. Nie trzeba nakoniec przypominać, że oprócz imiennie podanego wyżej tłumu kniaziołów, pozostaje jeszcze w krainie zapomnienia spory poczet drobnoty niegdyś tytułowanej, która nie figuruje już prawie w aktach bliżej znanych. Rozplynęli się pewnie wśród niej tacy np. zagadkowi na Rusi południowej kn. Bołochowscy, tacy przywódcy Czarnych Kłobuków—gdy nawet takich znanych później zład inąd, kn. Połowców, Rożynowskich nie spotykamy w „Poczcie rodów.“ Jak znów z innej strony, ogólnym mianem Rurykowiczów osłania się napewno nie jeden ród przybytny krwi zupełnie obcej: przecież Głińskich poznaliśmy już jako tatarów z pochodzenia, a Szyszewscy, Uwarowicze lub Wieliccy, Kożanowicze widomie wątpliwego gniazda.

Po tém wszystkim, cośmy tu wyżej, przezierając bogate kompendyum p. Bonieckiego, choć tak dorywczco tylko potrącili, występuje samo przez się zapytanie: w jaki sposób przecie, mocą jakich wpływów przemożnych, skutkiem jakiego oddziaływania nieodzownego, społeczeństwo rusko-litewskie u świtu XV-go w. tak różne od polskiego, wprędce po dokonanej ostatecznie unii politycznej w Lublinie, okazuje się naraz tak bardzo przeobrażonem, tak zbliżonem ku polskiemu? Kto tu najwięcej przyczynił się do takiej zmiany stanowczej? Oczywiście przyczyn tego faktu, skombinowanych, wzajem się wspierających, da się wykryć nie mało, zresztą głównejsze znane są z dziejów ogólnych Rzpltej, ale za to jedna z nich, nie mniej od innych poważna a nadto głębsza i dalej skutkami swemi sięgająca, zdaje się być nieco za mało ocenioną i braną na uwagę. Jest zaś téj natury, iż ją tylko w świetle podobnego pryzmatu, jaki właśnie przedstawia praca autora, jaśniej dostrzedz i zbadać można. Mówimy o znaczeniu kobiety w dziele szybszego i trwalszego zbliżenia się dwóch tak różnych społeczności.

Ogólny pochód podbojowy uspołecznienia zachodniego wśród klas przewodniczących W. Księstwa, wyrażający się w obrębie stosunków domowych, familijnych przyjmowaniem obrządku łacińskiego lub tylko polskiego języka i poloru w rodzinie, porywa oczywiście za sobą ród po rodzie i pociąga ku wyższej cywilizacyjnej normie. Łatwiej atoli proces ten zrozumieć, unaoeczniając sobie wyraźniej łączenie się między sobą domów możnych szerokiej rzeszy Jagiellońskiej przez kobiety. Oto mniej więcej, w jaki sposób się to poczyna: najprzód rodziny możnowładcze litewskie spotykają się z polskimi u dworu, tak w Krakowie jak i w Wilnie; dwór królewski ton nadaje i popiera nawiązywanie węzłów familijnych między dwoma qbozami. Początkowo polki wchodzą tylko w domy szczerolitewskie katolickie, nim

zdobędą sobie otwarte na oścież podwoje zamków kniaziów ruskich. Koło ruskie trzyma się długo odosobniono od polskiego, ale łączy się przecież coraz częściej węzłami familijnymi z rodzinami litewskimi łącińskiego obrządku, tak kniazie jak panowie. W obec czego córki polek tém swobodniej wnoszą polszczyznę do rodzin dotąd opornych, w które wchodzą i przygotowują całe nowe pokolenia zwolenniczek zachodniej kultury. Powoli tryb towarzyski. możnych naśladowują skromniejsze domy ziemiańskie, i polszczyzna staje się nakoniec cywilizacyjną normą w W. Księztwie.

Nie mało też naprawdę rozsądniczek bezpośrednich zachodniego uspołecznienia i poloru występuje w owej epoce na Litwie. Wskażemy choć wybitniejsze nazwy: oto w dom Hornostajów wchodzi Łaska, za Hliniczem Herburtówna, za Niemirą Firlejówna, kn. Porycki bierze Uchańską; w dom Radziwiłłów wchodzi: Bonarówna, Dalejowska, Herburtówna, Szydłowiecka, Tomicka; kn. Rużyński żeni się z Falczewską, kn. Olelkowicze Słucecy biorą Tęczyńską i Mielecką; w dom Tyszkiewiczów wchodzi Wolska, kn. Woronieckich Giżanka, Zabrzezińskich Tęczyńska, za kn. Zbarazkimi, Firlejówna i Jordanówna. Nim nakoniec Kościelecka i Tarnowska, wyszedłszy za dwóch Ostrogskich Ilię i Konstantina Konstantinowiczów, nie zdobędą dla polskiej kultury najpotężniejszego z ruskich rodów książęcych, którego następny przedstawiciel, Janusz, pierwszy senator Rzpltej, staje się najsilniejszą oporą nawet religijnęj unii na Rusi. W odwet za to, lecz zarazem dla tém większego wzmocnienia zadzierzżanych przez polki węzłów między społeczeńsią W. Księstwa i koroną, nie jedna litwinka i rusinka idą za mąż w domy polskie. Oto Bohowitówna i Sudymontowiczówna z Chożowa idą w dom Tęczyńskich, Chreptowiczówna za Oborskiego, Illebowiczówny za Reja, druga za Wolskiego; Homszejównę bierze Tarnowski, kn. Prońską Zborowski; z Radziwiłłowien jedna wychodzi za Konrada ks. mazowieckiego, inne zaś idą w domy: Mieleckich, Sieniawskich, Tworowskich, Zamojskich; kn. Sanguszkówny widzimy za Leszczyńskim, drugą za Radziwiłłowskim; Sapięzanki wydane w domy Sieniawskich i Tęczyńskich; Tyszkiewiczówna za Jazłowieckim, kn. Wiśniowiecka za Zamojskim, Wołowiczówna za Bonarem; nareszcie kniażny Zaskawska Jewuntowiczówna oddana w dom Sieniawskich, Zbarazkie zaś za Czermińskim i Baworowskim.

Przy takiém żywém wiązaniu się dwóch społeczeństw węzłami najściślejszemi, bo familijnymi, jedno z nich musiało wziąć nad drugim ostatecznie przewagę cywilizacyjną. Nic tedy dziwnego, że przy wskazywanęj tu prostaczosci społeczeństwa litewsko-ruskiego, polskie, jakkolwiek samo w sobie wtedy nie wysoko stojące, lecz bezpośrednio zespolone z zachodem i właśnie odtąd coraz żywięj biorąc zeń podniety, musiało powoli otrzymać przewagę nad pobratymczem, któremu widać oddziaływanie długie Carogrodu greckiego nie wiele było pomogło do dźwignięcia obyczaju domowego.



Nakonec, zwracając się do samego wydania „Pocztu rodów,” wzorowego i wspaniałego—napewno powiedzieć możemy, że praca ta p. Bonieckiego nie tylko przyczyni się do wzbogacenia każdej zasobniejszej biblioteki ziemiańskiej, lecz przyozdobi nawet stół nie jednego wykwińskiego salonu.

Czy nadto nowy ten „Poczet rodów” przysporzy nam choć jedną mitrę więcej—w „Przewodniku heraldycznym”—zdaje się, że nie! Nie ma bo właściwie już komu odwoływać się do tytułowanych protoplastów:—tyle rodzin kniaziowskich wygaśło, a zubożenie innych nie ośmiela nawet uprawnionych do narażania się na śmieszność.

*Aleksander Jabłonowski*

„Kondyllak. Traktat o wrażeniach zmysłowych.” Przełożył z francuzkiego Antoni Lange. Pod redakcją Henryka Struvego. Warszawa 1887 r., str. 216 in 8-vo.

Wiek XVIII obfituje w zjawiska i wypadki dziejowe pierwszorzędnej doniosłości, które spowodowały wielkie zmiany nie tylko w życiu społecznym, ale umysłowym i politycznym narodów europejskich. Nauka a za nią i praktyka życiowa na nowe wkroczyła pole, na gruzach przeszłości tryumfatorzy nowych idei zatknęli swoje sztandary. Ów wiek przełomu — wiek ciężkich bojów i walk, zbroczony krwią i ogłuszony przekleństwami zwyciężonych, wyłamujący się z pod jarzma przestarzałych formułek, przesądów i więzów kastowych,—ów wiek wielkiej rewolucji... stanowi niezwykłe źródło materiału badawczego. Jeśli w dziedzinie stosunków społecznych wiek XVIII wywarł wpływ potężny na reformę ustroju socjalnego, to bez zaprzeczenia i w sferze nauki zdobycze jego są bardzo wielkie. Jedno imię Kanta wystarcza dla przypomnienia rozkwitu filozofii w zeszłym stuleciu. A gdy poniżej tego wielkiego imienia postawimy imiona encyklopedystów, Kondyllaka i wielu innych, wówczas uzupełnimy poczet myślicieli wieku XVIII, dążących różnymi drogami ku jednemu celowi. Jak zwykle w epoce przełomu, dążności ludzkie występują dosyć jaskrawo. Myśliciele zeszłego stulecia odznaczają się krańcowością poglądów i jaskrawością teorii wygłaszanych. Teorie te wchodziły bardzo szybko w życie, a ku temu przyczyniała się ich jasność i przejrzystość. To, co ma być urzeczywistnionym, musi być łatwym do ujęcia i zrozumienia. Tą też zasadą kierowali się wszyscy pisarze i myśliciele zeszłego wieku. Najtrudniejsze i najpoważniejsze kwestye starano się ująć w łatwą i dostępną formę. Bezpośrednim skutkiem tego uprzystępnienia dla ogółu najzawilszych kwestyi filozoficznych była łatwość rozpowszechnienia oświaty, która coraz szerszym korytem zaczęła płynąć wśród ludów europejskich.

Taką jasnością i przejrzystością wykładu odznacza się słynny sensualista zeszłego stulecia, Kondyllak, którego klasyczny w swoim rodzaju „Traktat o wrażeniach zmysłowych,” właśnie ukazał się z druku w przekładzie polskim.

Dziwne zniechęcenie ogółu naszego do samodzielnych prac naukowych i głębszych teorii filozoficznych szkodliwie bardzo wpływa na stan krytyki współczesnej. Brak jasnych i sformułowanych podstaw naukowych podkopuje fundamenta myślenia krytycznego, które może się tylko opierać na jasno określonej, niewątpliwiej, wyraźnej zasadzie naukowej, kierującej i normującej zastosowanie jej przy ocenie i rozbiorze zjawisk świata duchowego i fizycznego. Krytyk bez teorii własnej—to okręt bez steru, żaglu i busoli. Ogół, nie zdający sobie sprawy z zadań krytyki, zatracą wszelkie jej poczucie i mianem krytyki zaszczyca zarówno zwyczajne sprawozdania, opisy, przeglądy, pozbawione wszelkiej głębszej podstawy teoretycznej, jak i krytykę istotną, reprezentowaną u nas przez bardzo nieliczny zastęp pracowników pióra. Dalej ogół sądzi, iż krytyka danego dzieła ma koniecznie zawierać nieprzychylną jego ocenę. Ten ostatni pogląd szczególnie jest u nas rozpowszechnionym, ponieważ wpłynęły na to krzykliwe pseudokrytyki, które całą swą treść zasadzały na bezwzględnej ganieniu rzeczy danej, bez wszelkiej argumentacji i bez zastosowania jakiegokolwiek teorii i metody naukowej: chodziło o to, aby „zwymyślać“ i to uważano za krytykę. Zjawisko to objaśnia historia literatury naszej przez tę okoliczność, że owym krytykom brakowało zazwyczaj głębszego ukształcenia, a niedoboru tego nie pokrywała szczerą chęć zapełnienia braków tego niedostatecznego wykształcenia umysłowego za pomocą skromnego samo-uctwa. Krytyka, w obec takich warunków rozwoju upadała powoli,—a dzisiaj już ogółowi trudno zdać sobie sprawę z tego chaosu frazeologii, jaki na polu publicystyki naszej panuje. Najbezmyślniejsze ze zdań narodu francuzkiego „la critique est facile, mais l'art est difficile“ zyskało u nas powszechne uznanie, do krytyki bierze się każdy, „literat,“ choćby pod względem naukowym najbardziej zaniedbany. Ogół sądzi, iż kto pisze powieści lub poezye, ten oczywiście tém bardziej może pisać i krytyki, boć trudniej jest, zdaniem ogółu, coś skomponować z głowy, aniżeli napisać ocenę dzieła skończonego. Tymczasem rzecz się ma odwrotnie.

Kto pojmuje, na czém polega różnica pomiędzy nauką i sztuką, ten z łatwością zrozumie, jak odmiennym musi być uzdolnienie artysty-poety i uczonego-krytyka. Sztuka ma na celu ideały, nauka rzeczywistość, dziedziną sztuki jest świat twórczej i podniosłej fantazyi, słowem świat idealny, dziedziną nauki zjawiska świata realnego. Podstawą nauki jest abstrakcyjna krytyka, podstawą sztuki plastyczne obrazowanie. Działalność uczonego i krytyka opiera się na wiedzy i refleksyi umysłowej, na zagłębianiu się w istotę danego zjawiska, na badaniu jego przyczyn i skutków, jego związku ze zjawiskami współczesnymi, poprzedzającymi go i następującymi po nim, działalność



poety na wyobraźni twórczej i ujmowaniu idei w konkretne plastyczne formy. Krytyk analizuje i rozkłada całość na części — poeta skupia i łączy w harmonijną, estetyczną całość objawy, rozrzucone we wszechświecie piękna. Podstawą krytyki musi być wysokie wykształcenie i rozwój samodzielności myślenia. Bez tych dwóch zasadniczych czynników krytyka w istotnym tego słowa znaczeniu ostać się nie może.

Otóż w celu „ożywienia ruchu umysłowego u nas” pr. dr. Henryk Struve rozpoczął wydawnictwo przekładów dzieł filozoficznych najznakomitszych myślicieli świata, starając się w ten sposób zapełnić w literaturze naszej naukowej ten niedostatek. Bliższe bowiem zaznajomienie się ogółu z teoryami filozoficznymi najgenialniejszych myślicieli świata powinno wpłynąć na podniesienie krytyki naukowej u nas.

Dzieła filozoficzne mają dla każdego narodu znaczenie dwojakie: bezwzględne, jako źródła wiedzy i względne, pośrednie, jako czynnik pedagogiczny.

Filozofia, owa królowa nauk, owa kwintesencja wszelkiej wiedzy człowieka, oczywiście musi być zarazem i źródłem wiedzy dla wszystkich: stanowi ona spójnię pomiędzy wiekami w rozwoju ducha ludzkiego — łączy myśl ludzką w organicznym jej toku, czyni naukę wiecznie jedną, choć tak różną przez swoje zdobycze w różnych epokach istnienia ludzkiego. Każdy wiek musi się oprzeć na poprzednim, dawniej zdobyta wiedza jest podstawą nowo-nabywanej. Zdaje się, iż rzecz sama przez się jest zbyt jasną, aby dalszych wyjaśnień potrzebowała.

Pod względem pedagogicznym dzieła filozoficzne mają doniosłość nieskończoną, gdyż studia nad niemi stanowią podstawę wszelkiego myślenia krytycznego. Przedewszystkiém umysł człowieka, dla wyrobienia samodzielności musi nawyknąć do zastanawiania się nad zjawiskami życia, poddawać je ścisłej analizie, zagłębiać się w ich istotę. Bez tej indywidualnej ciężkiej pracy myśl zawsze ślizgać się będzie po rozpatrywanych przez nią przedmiocie i nie zada sobie trudu zagłębiania się i wnikania w istotę rzeczy. A właśnie taki organiczny proces myślenia, powiązanego szeregiem argumentów, znajdujących się w ścisłej logicznej zależności, spotykamy jedynie w dziełach filozoficznych. Umysł czytelnika, przechodząc wraz z myślicielem cały łańcuch rozwijających się w nim myśli i wnikając w ich związki wewnętrzny, rozpatrując daną teorię w całej pełni jej rozwoju, — potęguje swe siły, nawyka do myślenia krytycznego, uczy się praktycznie logiki i staje o własnych siłach, wyzwalając się z pęt narzucanych mu teorii. Tego samodzielnego badania systematów filozoficznych w oświetleniu krytycznym współczesnej filozofii nie zdoła nic zastąpić pod względem pedagogicznym. Wszelkie wykształcenie uniwersyteckie, bez samodzielnego studiów filozoficznych, traci cechę uniwersytecką. Uniwersytet przedewszystkiém winien dać samodzielność myśli i podstawy krytyki, a tego bez studiów filozoficznych nikt osiągnąć nie zdoła. Tak się

przedstawia pożytek, wynikający z pracy samodzielnej nad dziełami myślicieli świata.

Jak wiadomo, Kondyllak reprezentuje skrajny sensualizm. Przekład więc dzieła jego powinienby uspokoić tych, którzy sądzili, iż w „Bibliotece filozoficznej,” wychodzącej pod redakcją pr. Struvego, pomieszczeni zostaną przedstawiciele idealistycznego wyłącznie kierunku. Przeciwnie, pr. Struve ma na celu dać ogółowi przekłady dzieł najgenialniejszych i najbardziej typowych przedstawicieli różnych kierunków i szkół filozoficznych, a tém samém ułatwić społeczeństwu dostęp do pierwotnych i bezpośrednich źródeł wszystkich teorii filozoficznych, ażeby ogół nie był zmuszonym brać wiadomości z drugiej ręki, nie zawsze dokładnie informującej o istotnym stanie rzeczy. Teorya filozoficzna danego myśliciela, przedstytowana w sprawozdaniu zwolennika pewnej szkoły, ulega częstokroć tak wielkim modyfikacyom, iż autor samby jęj nie poznał. Zdawałoby się więc, iż ze względu na upadek krytyki u nas i palącą potrzebę podniesienia poziomu umysłowego społeczeństwa, wydawnictwo „Biblioteki filozoficznej” jak najbardziej jest na czasie i dla ogółu ma doniosłość pierwszorzędną, a tém samém na poparcie ogółu i głębszą uwagę prasy zasługuje.

Tymczasem ani wśród ogółu, ani w prasie niepodobna dostrzedz najlżejszego zainteresowania się pomienionem wydawnictwem.

To też ze smutkiem, a jednak z poczuciem całej słuszności czujemy się w obowiązku, unikając wszelkiej osobistej polemiki, przytoczyć gorzkie, a tak pełne prawdy słowa ze wstępu do 3-o tomiku „Biblioteki filozoficznej” (przekładu Kondyllaka).

„W obec naszego ubóstwa materyalnego i niestety w znacznej części i umysłowego; w obec braku zrozumienia doniosłości takiego wydawnictwa nawet ze strony ludzi „piśmiennych,” roszczących sobie prawo do sądenia o wszystkim i o wszystkich,— ale niestety często bez odpowiednich do tego danych,— w obec tego wszystkiego, narzyć wprawdzie nie można o szerszem rozwinięciu tego wydawnictwa, o zawarciu w niem, na wzór obcych literatur, wszystkiego, co stanowi dorobek filozoficzny ludzkości, co i u nas uznać należy za niezbędny czynnik dalszego postępu na drodze do głębszego pojęcia świata i jego objawów.

„Ograniczając w skutek tego z góry wydawnictwo niniejsze do skromniejszych rozmiarów, pragnę jednak skupić w niem przynajmniej przedstawicieli choć najgłówniejszych typowych kierunków myśli filozoficznej, przedstawicieli tych fundamentalnych poglądów, które weszły w skład ustroju umysłowego późniejszych pokoleń, często bezwiednie dla nich. Jasne bowiem uświadomienie w szerszych kołach inteligencji tych poglądów fundamentalnych, przy pomocy źródłowego materyału, jest prawie jedynym środkiem zarówno zachęty do poważniejszych studyów filozoficznych, jak i środkiem przeciwdziałania owęj przestraszającej powierzchowności sądu, która u nas coraz bardziej się



roziada w umysłach, ferując z chaotyczną zarozumiałością ostateczne wyroki w kwestyach najwyższej doniosłości.

„Nie dziw, że u zwolenników takiej powierzchowności „Biblioteka filozoficzna“ znalazła dotąd niechętnie tylko przyjęcie. Nikt wprawdzie nie zadał sobie pracy oceny istotnej wartości wydanych dotąd przekładów Platona i Kartezjusza; żadnego zarzutu w tym względzie nigdzie nie wypowiedziano; ale za to nie brak było głosów, dowodzących ogólnikowo zbyteczności i bezpłodności podobnego przedsięwzięcia. Na seryo tych głosów traktować nie myślę; wspominam o nich tutaj jednak dla tego, że chrakteryzują najlepiej ową płytką sofistykę, z jaką u nas występują przeciwnicy wszelkiej głębszej filozofii. Obawiają się oni, aby „Biblioteka filozoficzna“ szerzej rozwinięta, nie podkopała z czasem ich popularności. Ale obawa ta świadczy właśnie wymownie o tém, że wydawnictwo to odpowiada istotnej potrzebie społeczeństwa, że zdolnym jest najwłaściwiej usunąć jedną z nader słabych stron naszego życia umysłowego, jaką jest brak gruntowniejszej znajomości ogólnych podstaw poważnego filozoficznego myślenia.

„Bogate nabytki nowoczesnej wiedzy nie mogą przynieść należytych owoców dla umiętowanego poglądu na świat, jeżeli umysł, przyjmujący te nabytki, nie jest wdrożony w krytyczną działalność myśli i nie ma jasnego pojęcia o jej dotychczasowym rozwoju. Bezpośrednie zaś, że tak powiem, pogładowe zaznajomienie z tym rozwojem zarówno młodzieży, dążącej do wyższego wykształcenia, jak w ogóle wszystkich głębszych umysłów, oto zadanie Biblioteki filozoficznej. Kto tego zadania zrozumieć nie chce, lub nie może, ten daje tylko dowód bądź złej woli, bądź wyjątkowej ciasnoty głowy. W jednym i drugim razie dyskusya z przeciwnikami tego przedsięwzięcia staje się po prostu niemożliwą“ (Przedmowa str. V, VI i VII).

Traktat o wrażeniach zmysłowych poprzedza ogólna „przedmowa“ pr. Struvego (str. V—XII), dająca ogólny pogląd na kierunek filozoficzny Kondyllaka i „wstęp tłumacza“ (str. XIII—XXVIII), zawierający życiorys Kondyllaka oraz poglądy tłumacza na teorię sensualizmu. Obie te przedmowy uzupełniają wszelkie przedstępne wiadomości i dają objaśnienia, niezbędne do dokładnego zrozumienia dzieła i filozoficznych jego tendencji.

Kondyllak jest najbardziej typowym i jak najszczerzym ze wszystkich sensualistów. Przedstawiając z całą konsekwencją zasady teorii sensualistycznej, daje możliwość czytelnikowi poznać od razu zasadnicze rysy poglądów tej szkoły, datującej się w historii filozofii nowożytniej od Bacona.

Kondyllak poddaje ścisłej analizie działalność zmysłów i stara się wykazać, że wszelką wiedzę czerpiemy jedynie i wyłącznie za pomocą zmysłów, że zmysły stanowią jedyne źródło rozwoju psychicznego człowieka.

Zasada Locke'a: nihil est in intellectu, quod non fuerit in sensu, znajduje zastosowanie w całej swój rozciągłości w „Traktacie o wra-

zeniach zmysłowych” Kondyllaka. Jak wiadomo, teoria ta, znajdującą się w najściślejszym związku z materjalizmem współczesnym, zaprzecza istnienia samodzielnego pierwiastku duchowego w człowieku i twierdzi, iż zmysły, przesyłając do mózgu doznane z zewnątrz wrażenia, wywołują wszelkie zjawiska duchowe, jak pamięć, wyobrażenia, refleksya i tym podobne za pomocą kombinacji i współ oddziaływania wrażeń na siebie samych. Otóż dla przeprowadzenia téj teoryi Kondyllak stara się z możliwą wszechstronnością zbadać działanie każdego zmysłu w szczególności, a następnie wspólną ich wzajemną działalność, — wzajemne dopełnianie i kojarzenie wrażeń. W tym celu Kondyllak uciekł się do bardzo dowcipnego środka: wyobraża on sobie fikcyjną postać, obdarzoną jednym tylko zmysłem i bada stan jój psychiczny: jój pojęcia, wrażenia, wyobrażenia o świecie zewnętrznym, budzące się w niéj procesa porównania i refleksyi, słowem wszelkie objawy życia, rozpoczynającego się w owéj postaci pod wpływem działania jednego tylko zmysłu. Dalej stopniowo obdarza ją jeszcze jednym zmysłem i bada współdziałalność obu tych zmysłów i kombinacye różnorodnych otrzymanych z zewnątrz wrażeń, poddając ściślemu rozbirowi nowe objawy psychiczne, powstające w skutek zwiększonej ilości wrażeń. W ten sposób, obdarzając następnie postać wszystkimi zmysłami, Kondyllak stara się z wrażeń zmysłowych wyprowadzić całe bogactwo zjawisk duchowych człowieka, pomijając zupełnie działalność wszelkich innych czynników. Kondyllak uplastycznia tym sposobem teorią sensualistyczną, prowadząc konsekwentnie dalej dzieło, przez Bacona i Locke’a rozpoczęte.

Nie wdając się w ścisłą krytykę téj od wieków trwającej i do dziś dnia nie rozstrzygniętej walki dwóch obozów naukowych, zaznaczymy tylko, iż krańcowy sensualizm podąża prostą drogą do subiektywizmu, pozbawiającego naukę jój racyi bytu — możliwości zbadania prawdy. Jeśli wrażenia zmysłowe stanowią jedyne i wyłączne źródło poznania, jeśli umysł ludzki nie zdoła poddać krytyce działalności zmysłów, a tém samém weryfikować i sprawdzać zgodności wrażeń z rzeczywistością, które one produkują, — oczywiście o dojściu do jakiegóś obiektywnéj, realnéj prawdy mowy być nie może, a tém samém nauka, dążąca do poznania rzeczywistego stanu rzeczy — prawdy — istnieć nie może, — gdyż i prawdy nie ma. Człowiek staje się istotą, zamkniętą jak w klatce, w ziemskiej swéj powłoce i niezdolną wiedzieć i doświadczać nic, oprócz własnych zmysłowych, cielesnych podrażnień. Oczywiście więc człowiek nie może mieć najmniejszego wyobrażenia o świecie zewnętrznym, obiektywnym, a tak zwane naukowe badanie tych lub innych objawów świata zewnętrznego nie jest według téj teoryi niczem inném jak tylko badaniem własnych wrażeń, bez możliwości ich zmiany. Od dokładności tych wrażeń i zgodności ich z rzeczywistością zależy dokładność i wartość naszych sądów, a ponieważ niezdolni jesteśmy wydostać się na żaden punkt obserwacyjny z owéj sztucznej klatki, w którą ujęła nas natura, ponieważ nie możemy sprawdzić wia-



rogodności najdrobniejszego naszego spostrzeżenia, — wiecznie więc pozostawać musimy w sferze czysto subiektywnego bytu, o obiektywnym najlższego nie mając wyobrażenia.

O tój prostěj i oczywistěj konsekwencyi nie chcą nic mówić zwolennicy i przedstawiciele teoryi sensualistycznej, wiedząc dobrze, iż jest to miecz obosieczny, który zarówno dla wszelkich twierdzeń jest niebezpiecznym. W obec tój teoryi znika wszelka pewność naukowa, wszelka podstawa wiarogodności naszych twierdzeń i wszelka podstawa krytyki, a tём samém upada wszelka nauka. Krańcowa subiektywność, będąc konsekwentną sama z sobą, musi wyrzec się wszelkich uogólniań, które stanowią zasadniczą dążność nauki. Oczywiście, — jeśli każdy człowiek zna tylko swój osobisty, subiektywny świat wrażeń, — o niczem więcéj nie wiezieć nie może: jeśli co porównywa, — to tylko czyni to odnośnie do własnych wrażeń, a nie względem rzeczywistego świata, — jeśli co analizuje, to jest to tylko własne jego wrazenie, a nie realne zjawisko świata rzeczywistego.

Ale w takim razie, jakąż mamy zasadę logiczną do wypowiedania pewnych twierdzeń i wydawania sądów o czémkolwiek, co po za naszymi wrazeniami się dzieje? Rzecz prosta — żadnej. Znając tylko wrazenia własne, a nie znając świata rzeczywistego, nie możemy o nim, jako o rzeczy nieznaněj, wydawać żadnych sądów. Nie możemy równieź sprawdzać wiarogodności sądów innych ludzi, gdyż sądy ich, czynione na podstawie wrażeń subiektywnych, mogą nie odpowiadać naszym, lecz zarazem mogą pozostawać w zupełnej zgodności z ich stanem subiektywnym. A więc i teorya subiektywizmu i sensualizmu zabija się własną konsekwencyą, gdyż sama się pozbawia wszelkiej podstawy naukowej, gdyż nie ma zasady do uogólniań.

Dalěj, w obec dzisiejszego rozwoju nauk przyrodniczych wiarogodność zmysłów bardzo została podkopaną. Za pomorą bardzo dowcipnych kombinacji i sprytnie pomyślanych narzędzi człowiek zdołał wykryć istnienie milionów zjawisk, istniejących w świecie tuż koło nas, a jednak nieuchwytnych dla zmysłów. Nie dosyć na tём, nauka współczesna wymierzyła wrażliwość zmysłów i obecnie wykazuje, jakże zjawiska przejdą dla człowieka bez wrazenia, nie podrażnią nerwów i zmysły nie zdołają uwiadomić człowieka o ich istnieniu, jakkolwiek człowiek wie, że one istnieją — tylko wie nie za pośrednictwem zmysłów. W obec tak ściślej analizy zmysłów i w obec wykazania mnóstwa złudzeń, którym właśnie w skutek niedoskonałości zmysłów naszych podlegamy, wyprowadzanie wszelkiej wiedzy naszej i działalności władz psychicznych z kombinacji wrażeń zmysłowych nie wytrzymuje krytyki. Jakież więc pożytek odniesie czytelnik z dzieła Kondyllaka?

Przedewszystkiém, śledząc uważnie za tokiem rozumowania Kondyllaka, rozwinię on swój umysł i zdolność spostrzegawczą, gdyż trudno o ściślejszą i głębszą analizę procesów zmysłowych. Kondyllak stara się w badaniu objawów działalności zmysłów względnie i rozpatrzyć najnieuchwytniejsze na pozór studia w rozwoju wrażeń, stara się zba-

dać ich psychiczną genezę. Z tego, cośmy powyżej zaznaczyli, łatwo wywnioskować, iż Kondyllak rozpatruje działalność zmysłów jednostronnie—i tendencyjnie stara się przeprowadzić całą tę analizę. Lecz właśnie dla tego, że w pracy tej Kondyllak chce uplastyczyć niemal teorią sensualizmu, wysiła się w rozumowaniu swém na możliwą jasność i dokładność, zużywając przy tém całą siłę swój wymowy, argumentacyi i twórczej wyobraźni. Pod względem opracowania — jest to dzieło klasyczne. Tylko krańcowość poglądów Kondyllaka, uwydatniająca treść zasadniczą teorii sensualistycznej w jaskrawych barwach, może nie w smak iść dzisiejszym, współczesnym przedstawicielom tej szkoły, którzy tego i owego lubią nie dopowiadać, aby nie zrażać ogółu względem niebezpiecznych swych teorii.

Dałej czytelnik, poznawszy wyniki szkoły filozoficznej, której Kondyllak jest wybitnym przedstawicielem, będzie miał poważny temat do zastanowienia się nad dążnościami i aspiracyami sensualizmu, nad istotną wartością tej teorii. Czyżby to było nie na rękę komu, że dana teoria filozoficzna wystąpi przed oczy społeczeństwa bez obston?

Jeśli czytelnik, zachęcony poważnemi studjami filozoficznemi nad „Traktatem o wrażeniach zmysłowych” Kondyllaka, zechce dla dopełnienia i rozjaśnienia powstałych w myśli jego wątpliwości przeczytać różno pod względem dążności „Rozmyślenia” Kartezjusza, zawierające, jak wiadomo, genialną krytykę zmysłów i Obronę Sokratesa, krytykę, otwierającą przed człowiekiem całe światy wzniosłych myśli i dążności,—wówczas korzyść podobnych studyów porównawczych byłaby bardzo wielką. Skromna wiązanuka dotychczas wyszłych z druku przekładów filozoficznych rozjaśniłaby czytelnikowi, żadnemu wiedzy, nie jedną ciekawą i doniosłą kwestyą filozoficzną, wyrabiając w nim ścisłość i konsekwencyą myślenia, refleksyą i zmysł krytyczny.

Przekład dzieła odznacza się czystością i potoczystością języka, obok zachowanej ściśle wierności z oryginałem. W obec dzisiejszego niedbalstwa w przekładach na język polski nawet dzieł poważnej treści, czystość języka i poprawność stylu na wyróżnienie zasługuje. Przekład czyta się jak oryginał, a to dostatecznie świadczy o zaletach tłumaczenia.

Wreszcie niech nam wolno będzie wyrazić nadzieję, iż inteligentna i pragnąca rozwoju, część społeczeństwa naszego wbrew wstecznym prądom, poprze usiłowania „Biblioteki filozoficznej,” pragnącej przyswoić literaturze polskiej arcydzieła największych myślicieli świata i nie okaże bezmyślną obojętności w obec pracy poważnej, mającej na celu zdobyć nowe dróg oświaty i rozwoju umysłowego u nas.

*J. K. Dworzaczek.*



Dr. T. Heryng: „O chirurgiczném leceniu suchot krtani i ich wyleczalności na podstawie badań mikroskopijnych i klinicznych.“ Z 2-ma tabl. (Odbitka z „Gaz. lek.“).  
Warsz. 1887.

Autor nie po raz pierwszy głosi wyleczalność suchot krtani; w licznych rozprawach i artykułach, drukowanych w pismach lekarskich ogłaszał wyniki leczenia wrzodów gruźliczych krtani, kładąc przedewszystkiém nacisk na miejscowe leczenie. Opierając się na doświadczeniach berlińskich lekarzy Krauzego i Fränkl'a, dr. Heryng stosuje przy owrzodzeniach krtani kwas mleczny, środek niszczący laseczniki. W odpowiednich niezbyt zadawnionych wypadkach zabliźnianie postępowało dosyć szybko, przy czém można było zauważyć i wyraźną poprawę stanu ogólnego. Oprócz czysto miejscowego leczenia, autor stosuje także ogólne, dążące przedewszystkiém do poprawienia sił i odżywienia pacjentów. Leczenie klimatyczne, pobyt w zimie w południowym klimacie, obfite ilości mleka z koniakiem, arszennik i t. d. stanowią podstawę ogólnego leczenia.

Ponieważ jednak gruźlica krtani jest po większej części tylko komplikacją gruźlicy płucnej, przedewszystkiém więc badania przyszłe należy skierować ku wynalezieniu metody, leczącej skuteczniej niż dotąd suchoty płucne. Póki to nie nastąpi, zabliźnianie wrzodów w krtani będzie miało zawsze więcej czysto teoretyczny, niż praktyczny interes. Większość bowiem chorych, z podgojonemi wrzodami w krtani, umiera z suchot płucnych. Skuteczne więc leczenie tych ostatnich jest pod względem klinicznym najważniejsze.

W każdym razie i to jest postępek nie mały, że nieszczęśliwym chorym, nie mogącym łykać i skazanym przez to na śmierć głodową, możemy chociaż chwilowo przynieść znaczną ulgę.

W ostatnich czasach pod wpływem teoryi pasożytniczej suchot płucnych, głoszonej już przez znakomitego lekarza francuzkiego Willemin'a a rozwiniętej przez Kocha, coraz więcej w leczeniu suchot płucnych zaczynają stosować środki przeciwnilne, jak kwas kربولowy, salicyłowy i t. d. O ich rzeczywistym pożytku przyszłe badania rozstrzygną.

W każdym razie praca d-ra Heringa, napisana pięknym językiem, opierająca się na wielu nowych faktach, czyta się z korzyścią i zajmuje ważne miejsce w naszym piśmiennictwie lekarskiém.

*Ch.*

# P O L E M I K A

## P. ADAMA KRECHOWIECKIEGO Z P. W. K. ZIELIŃSKIM,

z powodu krytyki powieści p. t.: „Starosta Zygwulski.”

---

### I.

W sierpniowym zeszycie „Biblioteki Warszawskiej,” zamieścił p. Wład. Korn. Zieliński obszerną recenzyą mojej powieści historycznej p. t. „Starosta Zygwulski.” Nie jest wcale moim zamiarem stać w obronie mojej pracy; wszakże na zarzuty przekręcania faktów historycznych odpowiedzieć uważam za obowiązek. P. Wład. Korn. Zieliński najzupełniej słusznie twierdzi, że powieść historyczna, która przekręca fakta dziejowe, nie uwzględnia źródeł i postacie historyczne w fałszywem przedstawia świetle jest szkodliwą. Bez wątpienia wszakże szkodliwszą jest jeszcze krytyka, która potępia, nie zgłębiwszy faktów, nie uwzględnivszy nowszych badań i źródeł.

Przystępując do pisania powieści o Stanisławie Stadnickim, nie mogłem wyłącznie opierać się na tém, co powiedzieli Niesiecki lub Siarczyński; uważałem owszem za obowiązek sięgnąć także do innych, nowszych źródeł, a przedewszystkiem brałem za podstawę to, co o Stadnickich w ogóle, w szczególności zaś o „Dyable” pisał znakomity historyk i niewątpliwie wyborny znawca dziejów swego rodu, ś. p. Kazimierz Stadnicki. On téż, a nie ja, odpowie panu Wład. Korn. Zielińskiemu na jego zarzuty.

P. Wład. Korn. Zieliński pisze: „Autor Starosty Zygwulskiego myli się, czyniąc ojcem Stanisława Stadnickiego, zwanego „Dyablem” starosty Zygwulskiego: Stanisława Mateusza dwojga im. pana na Niedźwiedziu, kiedy nim był Marek ze Żmigroda, dziedzic na Dubiecku i Niedźwiedziu.”

Tak wprawdzie twierdzi Niesiecki, ale ś. p. Kazimierz Stadnicki w drukowanych in folio rodowodach Stadnickich (1857—1861), uzupełnionych następnie przez autora na podstawie nowych źródeł, jako



téż w Monografii Stadnickich, ogłoszonej w „Złotéj księdze szlachty” Żychlińskiego (Rocznik III, str. 257—286 i Rocznik VI, str. 2—26) utrzymuje inaczej: „Stanisław Mateusz—pisze on—dziedziec po rodzicach, domu w Krakowie, kilku miast i kilkudziesięciu wsi (Niedźwiedz, Bruss, Wyganowice, klucz Dubiecki i t. d.), po dwakroć wstępował w związki małżeńskie, najprzód z Katarzyną Pilecką, bezdzietną, następnie z Barbarą Zborowską... Piąty z synów Stanisława Mateusza, Stanisław, przydomku „Dyabeł,” od roku 1576 rotmistrz królewski, a w r. 1598 starosta zygwulski.”

P. Wład. Korn. Zieliński pisze dalej: „Jan Dziaduski, biskup przemyski, o którym pisze autor, że rzucił klątwę na ojca Stanisława Dyabła, a więc na Marka (?), na stolicy biskupiej zasiadał od r. 1545—1549 i tegoż roku umarł, klątwy więc na Marka, czy Mateusza rzucać nie mógł i nie rzucał, Pstrokoński to a nie Dziaduski rzucił klątwę, lecz nie na ojca „Dyabła,” ale na Stanisława ze Żmigrodu, pana na Dubiecku, kasztelana przemyskiego i marszałka trybunału.”

Zupełnie inaczej twierdzi Kazimierz Stadnicki.

„Stanisław Mateusz Stadnicki—pisze on—nie piastował urzędu w Rzeczypospolitéj... Czém zaś najwięcej w czasie swoim odznaczył się, była to żarliwość w różnowierstwie, które wszystkimi siłami rozszerzał w Małej Polsce, pierwszy zaś wprowadził je i wziął pod obronę swoją na Rusi. Biskup przemyski, Dziaduski, starał się z początku napomnieniami położyć tamę temu zgorszeniu, ale gdy nie skutkowały, natenczas biskup wielką ex-komuniką go obłożył. Wyrok wręczony został skazanemu w Proszowicach, gdzie natenczas odprawiał się sejmik. Uniesiony gniewem, natychmiast przedstawił zgromadzeniu sprawę swoją i w mowie pełnej obelg na biskupów i ich sądy, założył protest na mocy przywileju Wład. Jagiełły przeciw prawości wyroku. Sejmik przyłączył się do protestu...” „Biskup widział się zmuszonym powtórnie wyrokiem z 12 maja 1554 r. klątwę na niego rzucić i niema śladu, aby ta klątwa kiedy zniesioną została.” (Stadn. l. c. Rocznik VI, str. 4). — Ob. także „Premislia sacra” ks. Pawłowskiego, str. 273—5. Proces przez biskupa Dziaduskiego Stadnickiemu wytoczony, znajduje się w archiwum katedry w Przemysłu pod latami 1551, 1552 i 1554. Obacz również „Annales Orichovii:” „Pro contumaci haeretico condemnat excommunicat infamem pronunciat, honoribus privat ac bannis publicatis proscribit.”

Tak samo twierdzi Szujski („Dzieje Polski,” tom II, str. 263): „Wkrótce potem wyklął Dziaduski Mateusza Stadnickiego z Dubiecka. Stadnicki poleciał na sejmik proszowski i szlachtę do protestacyi zmusił.”

Nie twierdziłem nigdzie, że ojciec „Dyabła” miał prócz Stanisława tylko dwóch synów; najwyraźniej owszem napisałam na str. 1 tomu II-go: „Stadniccy mieli jeszcze kilkoro dzieci;” wymieniłem zaś z imienia tylko dwóch synów bardziej znanych, bo téż całego rodowodu Stadnickich nie miałem zamiaru spisywać. Natomiast myli się p.

Wład. Korn. Zieliński, twierdząc, że „Dyabeł” miał tylko trzech braci, miał ich bowiem pięciu, mianowicie: Mikołaja, Samuela, Andrzeja, Marcina i Jana (Kaz. Stadnicki loc. cit. Rocznik VI, str. 6).

Utrzymuje p. Wład. Korn. Zieliński, że „Dyabeł” Stadnicki, przybywszy na zjazd w Lublinie 1606 r., żadnych gwałtów się nie dopuścił. W powieści przytoczyłem dosłownie według źródeł, ustępy słynnej mowy Stadnickiego, wówczas wygłoszonej, która sama przez się jest gwałtem, jako bunt wyraźny przeciw władzy królewskiej i obraza majestatu. (Żubieński „De motu civili in Polonia:” Stanislaus Stadnicki petita dicendi potestate regis inprimis nomen incestuoso lacerat ore, impium perjurum appellat, regno eum excidisse denunciat. Haec insolens furiosi hominis oratio etc.).

Powyższemi cytatami złożyłem już, zdaje mi się, dowód, o ile główne zarzuty p. Wład. Korn. Zielińskiego są usprawiedliwione i że nie podawałem w powieści mojej „rzeczy nie bywałych za fakta historyczne.” Oczywiście, o ile się to odnosi do osób i faktów dziejowych; inne bowiem mniejszego znaczenia postacie, jak np. Jerzego Szornela lub Stawskiego są już więcej wytworem fantazyi, ale téż, zdaje mi się, że i najbardziej skrupulatny powieściopisarz nie uniknąłby zarzutu wprowadzania fałszów, gdyby krytyka chciała żądać od niego, aby wszystkie postacie fabuły powieściowej były ściśle historyczne.

Na udowodnienie, jaką podstawę mają i dalsze p. W. K. Zielińskiego zarzuty, wystarczy już słów kilka: Twierdzi on, że Stanisław Stadnicki nie Korniakta, ale Opalińskiego pojmał i w więzieniu osadził, zarzuca mi zatém, że Korniakta jest fikcyjną postacią. Niewątpliwym jest faktem, że Opaliński był przez Stadnickiego pojmany i więziony, ale niemniej jest prawdą, że i Korniakta doznał tego samego losu, o czém przekonać się można z cennej, źródłowej pracy prof. Augusta Sokołowskiego p. t. „Dyabeł Stadnicki,” drukowanej przed laty kilku w Ateneum warszawskim. W rozprawie tej opisana jest także szczegółowo śmierć Stadnickiego. P. Wład. Korn. Zieliński utrzymuje w ślad za Siarczyńskim, iż Stadnicki zginął w kark postrzelony. Inne a liczniejsze źródła, z których ja czerpałem, mówią wszakże inaczej, między innymi zaś „Kronika współczesna ruska“ wydana w całości w r. 1868 przez ks. Petruszewicza. „Znowu Opaliński—są słowa tej krouiki—ze Stadnickim wojnę toczył, aż naostatek Stadnickiemu łańcuckiemu kozak Szowleka głowę uciął.” Równie pisze Samuel Maszkiewicz w Pamiętniku swoim: „Natenczas właśnie p. Opaliński dojechał końca Stadnickiemu łańcuckiemu, co go dyabłem zwano, z pomocą księżny Jarosławskiej, że mu kozak szyję uciął...”

Pomijam już inne mniejszej wagi zarzuty, nie mogę wszakże jeszcze nie wspomnieć, że autor recenzji przypisuje mi twierdzenia, których nie wypowiedziałem i ztąd wyprowadza różne niedorzeczności. I tak np. utrzymuje jakoby napisał, że Stadnicki Stanisław z araz w tymże jeszcze roku (1568) po śmierci ojca wrócił do Dubiecka jako młodzian dorosły, z kąd wynika, że ów „dorosły młodzie-



niec“ nie liczył wówczas jak lat 15-cie, nie mógł więc tak szalenie rozkochać się w Hannie Pileckiej. Byłaby to oczywista niedorzeczność; ale na str. 2 tomu II-go powieści jest zupełnie inaczej, brakuje bowiem wyrazów „zaraz po śmierci ojca,“ co zmienia zupełnie postać rzeczy. Na przytoczonej stronie napisałem: „Gdy Stanisław po śmierci rodzica, dorostym już młodzieńcem powrócił do Dubiecka, wszyscy nadziwować się nie mogli jego pięknej postawie...“ a o parę wierszy niżej oznaczyłem ściślej epokę tego powrotu, mówiąc: „było podówczas wiele wypraw rycerskich a sławnych, w których Stanisław zastąpił wielką odwagę. I tak najpierw w r. 1577 walczył z Janem Zborowskim pod Tczewem, a potem pod Gdańskiem.“ Zatem według słów moich, powrócił Stanisław do Dubiecka już po śmierci ojca, ale nie za raz, jak to wyprowadza p. Wład. Korn. Zieliński, lecz wówczas, gdy była pod Tczewem wyprawa, to jest w kilka lat później. Miłość jego dla Hanny objawiła się dopiero po wyprawie Gdańskiej, gdy był już rotmistrzem królewskim.

P. Wład. Korn. Zieliński, przytaczając treść powieści, umieścił z oburzeniem aż trzy wykrzykniki przy dacie powrotu Stadnickiego do Polski. „Na wstępie powieści autor powiada, że działo się to jesienią 1605 r.,—tu zaś pisze (w tomie drugim), że w początkach roku 1606!!!“ I autor tym razem nie pomylił się wcale i nie zapomniał o tém, co było na wstępie. Na str. 1-ój tomu 1-go powieści powiedziałem wprawdzie, że była to pora jesienna 1605 roku, gdy Szornel osiedlił się w Lublinie, ale dalej na str. 12-ój zaznaczyłem, że od czasu tego „minęło miesięcy kilka,“ zatem był to już początek r. 1606, gdy Stadnicki do Lublina przybył.

Twierdzi wreszcie p. Wład. Korn. Zieliński, że powieść „Starosta Zygwulski“ nie poprawnym jest pisana językiem. Nie moją jest rzeczą spierać się o to, niech mi wszakże wolno będzie zaznaczyć, że p. Zieliński na poparcie swego twierdzenia przytoczył tylko trzy, jak je nazywa, „dziwolaگی“ językowe. Temi „dziwolaگami“ mają być wyrazy: „już“ (?), „straszliwie,“ podobno będące w powszechném i teraz użyciu, — a także wyraz „zawždy,“ który wprawdzie wyszedł z użyciania, lecz w historycznych powieściach zastosowywany jest nic raz zamiast „zawsze“ przez najznakomitszych współczesnych pisarzy. Ze wyrazy te były i dawniej w użyciu, pozwolę sobie przytoczyć Postyllę Reya F. 4. „Pismo, powiada, iż straszliwa jest rzecz wpaść w możne ręce Boga. Modrzewski Baz. „O poprawie Rzpltej“ str. 46 pisze: „Panie Boże day, aby to z a w ż d y, a jeśli nie może być z a w ż d y, tedy aby w ż d y często było z pożytkiem ludzkim.

Lwów w sierpniu.

*Adam Krechowiecki*

## II.

P. Ad. Krechowiecki w obronie swojej twierdzy, że w rozbiornie jego powieści historycznej „Starosta Zygwulski“ oparłem się jedynie na Niesieckim i Siarczyńskim; wskutek czego mylnie ogłosiłem zdanie o pochodzeniu Stanisława „Dyabła“ Stadnickiego, niemniej i co do tego faktu, przez kogo klątwa rzuconą była na ojca „Dyabła,“ ile „Dyabeł“ miał lat, przybywszy po śmierci ojca do Łańcuta, — co do gwałtu popełnionego przez „Dyabła“ w Lublinie r. 1606 i t. d. Nie chcąc uchodzić za stronnego i nieomylnego, nie mogę z drugiej strony uznać się za nieprzygotowanego do téj rozprawy szermierza, a nadto, uznając w zupełności słuszność obrony p. A. Krechowieckiego, podaję niniejszém źródła, na podstawie których oparłem moję krytykę:

T. Święcki w swoich „Historycznych pamiątkach,“ objaśnionych i uzupełnionych przypisami Juliana Bartoszewicza, tom II, str. 134, podaje co następuje: „Stanisław ze Żmigroda na Dubiecku, kasztelan przemyski (od r. 1597 do 1611 Niesiecki, Herbarz Polski, — Lipsk, 1839—1846, t. I, 305) i marszałek tryb. koron. (tamże, I, str. 379, r. 1608), mąż wielkiego umysłu i t. d. Różne zdania i stronnictwa dały powód do wstępnych bojów między domami Stadnickich i Drohojewskich w Przemyskiem. Szczęsny Herburt, siostrzeniec Jana Drohojewskiego, starosta przemyskiego, dał tego powód. Znalazszy przytułek w domu wuja po zaburzeniach rokосу, rozpoczął wstępny bój, napadł z uzbrojonym ludem na Stanisława, ten odparłszy napaść mścił się swojej krzywdy, napadł na zamek przemyski, w którym u starosty Drohojewskiego krył się Herburt, przypuszczono szturm; powstaje na cmentarzu katedry przemyskiej krwawa bitwa, w którój z obu stron kilku zabitych, więcéj rannych zostało. Pstrokoński rzuca na pluskających krwią święty przybytek klątwe.“ Dalej zaś czytamy: „Herburt, mszcząc śmierć wuja, powracającego Stanisława Stadnickiego od Janowa 1606 roku dogania we wsi Chołyńce, chwytą i uwozi do Lwowa, aby tam na nim kary i zemsty dopełnił. Wtenczas i Adam Stadnicki, kasztelan kaliski, a świeżo przez króla, po śmierci Drohojewskiego, starostą przemyskiem mianowany, przybywa bratu Stanisławowi na pomoc, a gdy za pośrednictwem Zamojskiego, arcybiskupa lwowskiego, układy z Herburtem odbywać się zaczęły, Stanisław ucieczką się ratował. W końcu na téjże stronicy czytamy: „Stanisław poszedł walczyć za sprawę nowego cara, po którego zabiciu dostał się do niewoli, a wyszedłszy z téj, w obozie pod Smoleńskiem 1611 r. życie zakończył.,,

W témże samém dziele, t. II-gi, str. 135, czytamy: „Stanisław, pan na Łańcutcie, starosta Zygwulski, szatan albo dyabeł nazwany. Drugi syn Marka, (Marek ze Żmigrodu, dziedzic na Dubiecku, z Barbarą Zborowską miał syna Marcina, kasztelana sanockiego, dziedzica na Niedźwiedziu), mąż jak wielkiego serca, tak burzliwego umy-



słu i t. d.; str. 136: „stoczył bitwę, w której od nicjakiego persa w kark postrzelony poległ na placu.“

Niesiecki, Herbarz Polski—Lipsk, 1834—1846, VIII, 477—478 tak pisze: „Stanisław Stadnicki, kasztelan przemyski, marszałek tryb. koron. 1608 roku, syn drugi Stanisława, kasztelana sądeckiego, brat Adama, wojewody bełzkiego umiera pod Smoleńskiem 1610 (?). Oburzył był na siebie nienawiść Jana Tomasza Drohojewskiego, referendarza koronnego, z której przyszło do tego, że szturmem i działami ten się dobywał do niego (patrz: Żubieński, Vita Pstroconii), przeciw Stanisław więcej rozumną moderacją niżeli orężnie zbił te na siebie impety.“ Był on dwa razy żonaty: „1-mo z Jadwigą z Fredrów; 2-do z Heleną z Oborskich Leśniowolską i z tej syn jedyny Jan Adam, podczasy krak., 1629, żonaty był z Barbarą z Korycińskich. Tamże, str. 479: Marek ze Żmigroda, pan na Dubiecku i Chrzewowie, Niedźwiedziu i innych, z Barbarą z Zborowskich spłodził: 1) Marcina, kasztelana sanockiego, ożenionego z Białobrzeską, h. Abdank; 2) Stanisława, rotmistrza za Augusta I-go, stronnika Maksymiliana i t. d.—a więc „Dyabła;“ 3) Jana † 1620, 4) Jędrzeja, 5) Jerzego i 6) Krzysztofa.“ — Tamże, I, str. 57: Biskup przemyski, Jan Dziaduski, zmarły 1559 r. (?); — str. 58: Pstrokoński, 1601—1608 r.; — str. 315: Stanisław Stadnicki, kasztelan przemyski; — str. 379: Stanisław Stadnicki, kaszt. przemyski, marszałek tryb. koron., 1608. „Schematismus Uni. Vener. Cleri r. 1. Premislensis, 1882,“ str. 6: Joannes Jelita Dziaduski nom. 1545 † 1549. Mathius Poraj de Bożenni Pstrokoński nom. 1601, Epis. Vladis. 1608.

Stadnicki Kaź. „Rodowody domu Stadnickich.“ „Jędrzej Stadnicki, kasztelan sanocki i jego potomstwo,“ str. 9: „Stanisław, kasztelan przemyski, drugi syn Stanisława kasztelana sanockiego—kasztelanem przemyskim był od r. 1608;“—str. 10: Głośne były zajścia, które miał (Stanisław, kaszt. przem.) z Janem Tomaszem d. i. Drohojewskim, referend. koron., o gwałty wyrządzone, wyrok był ferowany 1608 . . . . Przyszło raz między nimi do potyczki w katedrze przemyskiej, przytém kościół armatami uszkodzono. W samej świątyni kilku ludzi zabitych zostało. Biskup Maciej Pstrokoński kościół zamknąć kazał i na Drohojewskiego, referendarza i starostę przemyskiego, który dał pierwszy powód do walki, rzucił na niego tylko interdykt. Starosta na klęczkach przeprosił i t. d. Wedle tej notatki Stanisław, kasztelan przemyski, umarł pod Smoleńskiem.

Jak z powyższych wypisów, a mianowicie z Świąckiego i Niesieckiego widzimy, o Stanisławie Matenszu, jako ojcu „Dyabła,“ nigdzie mowy nie ma, a jest tylko o Marku, synie Marcina, kasztelana sanockiego, a męża Barbary z Zborowskich. Klątwą zaś obłożonym przedstawia się Stanisław, kasztelan przemyski, marszałek tryb. koronnego 1608 r.

Pisząc krytykę powieści p. Krechowickiego, nie miałem pod ręką

ką dzieła K. Stadnickiego i twierdzenia moje oparłem jedynie na Niesieckim i Świeckim, a nie Siarczyńskim; dziś przejrzawszy dokładnie „Rodowody domu Stadnickich“ i przyznając słusność p. A. Krechowickiemu, nadmienię tylko, że i w tym dziele znajduje się wątpliwość co do rodzaju śmierci „Dyabła,“ a o czém jest na str. 16 rozprawy. czyli wywo du linii Stadnickich, piszących się ze Zmigrodu na Dubiecku i Niedźwiedziu.

Co do gwałtów „Dyabła,“ popełnionych jakoby w czasie zjazdu w Lublinie 1606 r., to raz jeszcze twierdzę, że zachował się on pod ten czas spokojnie,—boć mowy, choćby nawet najskrajniejszej i wykraczającej przeciw królowi—gwałtem nazwać nie można. W Aktach grodz. i ziemsk. lubelskich nie ma też i wzmianki, jakoby w tym roku „Dyabeł,“ będąc w Lublinie, popełnił gwałt jaki,—gdy tymczasem o Herburcie wyraźnie jest powiedziane, że „napadł na Lublin z kupą zbrojnych i gwałtując, ściągnął z mieszczan kontrybucyę.“

Pomijając inne poczynione mi zarzuty przez p. K., z powodu mojej krytyki jego powieści „Starosta Zygwulski,“ w zakończeniu nadmienię, że wyrazy „już“ i „straszliwie“ nie są dziwolągami, lecz stają się niemi, jeżeli na 5 — 6 wierszy są 8 — 10 razy użyte, jak to w wielu razach w powieści p. K. ma miejsce; co do „zawždy,“ to w powieściach historycznych wraz z innemi wyrazami danej epoki używanym być może, jeżeli cała powieść, a przynajmniej dialogi jej są pisane językiem owoczesnym — w każdym innym razie jest to „dziwoląg.“

*Wł. K. Zieliński.*



## KRONIKA MIESIĘCZNA.

---

Rzut oka na ważniejsze objawy stosunków politycznych państw europejskich. — Tomata konkursowe, ogłoszone przez wydział prawa Uniwersytet. Warszawskiego w r. b. akademickim. — Z raportu ministra oświaty o szkołach średnich w Cesarstwie a mianowicie w Królestwie Polakiom z r. 1884. — Prawa i przywileje szkół realnych, zapewnione przez nową ustawę. — Wystawa nasion w Warszawie. Obrady delegacyi rolniczej oraz plantatorów obmielu i piwowarów w Tow. pop. przem. i handlu. — Memoryał kupiectwa rosyjskiego, przedstawiony zarządzającemu ministerstwem skarbu w sprawie „przemysłu pasorzytniczego.“ — Z wystawy rolniczo-przemysłowej w Krakowie. — Sprawozdanie biura statystycznego niemieckiego o handlu zewnętrznym za 1-szą połowę 1887-go roku.

Pisma codzienne polityczne, w braku faktów donioślejszego znaczenia, zajmowały się w miesiącu wrześniu, który polityka jeszcze za wakacyjny uważać zwykła, rozbiorem układających się nowych stosunków Niemiec do Rosyi, rozbiorem kwestyi tak zwanój bułgarskiej, którą dla jasności inném mianem stanowczo ochrzcic należało; — lecz najpilniej poruszały stosunek Niemiec do Francyi, nie mniej tworzącą się nową sytuacją wewnętrzną w Rzeczypospolitej francuzkiej. Atmosferę polityczną Francyi, przenikają od czasu dosyć pomyślnój próby mobilizacyi idee zastosowania przyktycznego wypróbowanych urządzeń mobilizacyjnych, bo „armia pracować bez wytchnienia powinna; lecz nie dla pokoju tylko dla Francyi,“ gdyż godzina rozbrojenia nie wybije dla ludów Europy, dopóki sprawiedliwym aspiracyom Francyi nie stanie się zadość.“ Chwilę tę uznał także hr. Paryża, reprezentant idei monarchicznój, za odpowiednią, aby zwolennikom swoim wskazać kierunek dalszego postępowania. Objawione w tym celu „rady,“ które uważać można za manifest przyszlój monarchii, odstępują od idei „legitymizmu“ Chambordowego, a przywłaszczając sobie cząstkę tendencyi „bonapartyzmu“ zamierzają na podstawie tój tranzakcyi budować most dla monarchii orleanistowskiej. — Rząd angielski po zadekretowanój

proskrypcy członków „ligii narodowej“ w Irlandyi, postępuje z całym drakońskim rygorem na drodze ciemnienia Irlandyi, nie unikając obok wyroków sądowych użycia broni przeciw „burzycielom“ porządku publicznego.

Wydział prawny uniwersytetu warszawskiego ogłosił następujące tematy do rozpraw dla studentów, pragnących uzyskać nagrody w r. b. akademickim: a) Z encyklopedyi prawa: „Nauka o źródłach prawa.“ b) Z historii prawa rosyjskiego: „Znaczenie akt prawnych epoki moskiewskiej, jako środków zaznajomienia się z historią prawa rosyjskiego.“ c) Z prawa państwowego: „Porównawczo-krytyczny przegląd ważniejszych rozpraw rosyjskich w kwestyi polityki naukowej.“

Podług wyciągu z raportu ministra oświaty z r. 1884, drukowanego w „Prawit. Wiestniku“ przytaczamy z „Kraju“ następujące ustępy, odnoszące się do Królestwa Polskiego. Sprawozdanie opiewa: „Szczególnie znaczną zniżkę cyfr uczniów spostrzegamy w okręgu naukowym warszawskim. W 18 gimnazyach tego okręgu liczba uczniów w roku sprawozdawczym zmniejszyła się z 11,586 (1 stycznia 1884 r.) na 11,064 (1 stycznia 1885 r.),“ t. j. o 522. Liczba uczniów wydalonych z powodu niedostatecznych postępów w naukach w ciągu r. 1884 wykazuje na okrąg:

Syberyi	zachodniej	wydalono	27	uczniów,
„	wschodniej	„	28	„
w okręgu	kazańskim	„	72	„
„	orenburskim	„	76	„
„	kaukazkim	„	90	„
„	wileńskim	„	192	„
„	moskiewskim	„	204	„
„	charkowskim	„	205	„
„	kijowskim	„	227	„
„	odeskim	„	243	„
a w warszawskim	„	„	422	„

Ogółem więc wydalono 1,993 uczniów,

co stanowi 3,04% liczby ogólnej. Sprawozdanie zaznacza, iż z 422 uczniów, wydalonych w okręgu warszawskim—290 usunięto za brak postępu w języku rosyjskim.

Pod względem stopni, udzielanych za sprawowanie się uczniów, okręg warszawski również wyjątkowe zajmuje miejsce. Jestto okręg, w którym przyznano mniej piątek (sprawowanie celujące), a więcej c zwórek, trójek i dwójek niż w którymkolwiek z 12 okręgów naukowych; jestto dalej okręg, w którym najwięcej wymierzono kar na uczniów, bo 29,486. Natomiast procent opuszczonych przez uczniów lekcji jest w tym okręgu najmniejszy. Procent uczniów, otrzymują-



cych w ogóle świadectwa dojrzałości w ciągu ostatnich lat pięciu stale się zmniejsza. W roku 1880 świadectwa takie otrzymało 99,5% uczniów, w r. 1881—97%, w r. 1882—93,7%, w r. 1883—90,5%, a w r. 1884—90,3%. I tutaj znowu najniekorzystniej przedstawia się okrąg warszawski. Podczas gdy w r. 1884 przecięciowo nie zdało egzaminów 9,6%, to w okręgu warszawskim stosunek ten podniósł się do 17,3%, gdyż na 410 uczniów zdających egzaminy w 18 gimnazyjach, nie zdało 71. W tej liczbie większa część (38) źle napisała ćwiczenia rosyjskie.“

Nowa ustawa szkół realnych, jak donosi „Kraj,“ zapewnia następujące prawa i przywileje: Kto ukończył ogólny pięcioletni kurs nauk, może być przyjęty do służby państwowej, jeżeli ma na to prawo z pochodzenia swego, zaś pod względem odbywania powinności wojskowych korzysta z praw na równi z kończącymi zakłady naukowe dwóch pierwszych kategorii. Uczeń, który wystąpił z klasy czwartej lub piątej, będzie korzystał z praw, przysługujących kończącym kurs w szkołach miejskich na za sadzie ustawy z r. 1872. Kto, oprócz pięcioletniego ogólnego kursu, przejdzie jeszcze czteroletni kurs w klasach dopełniających (specjalnych), otrzyma tytuł technika danej specjalności. Ci, którzy z racji pochodzenia swego nie mają praw wyższych, otrzymują honorowe obywatelstwo i będą mogli narówni z kończącymi gimnazyja wstępować do wyższych szkół technicznych.

Dnia 18-go września r. b. otwartą została w Warszawie druga Wystawa nasion w gmachu Muzeum przemysłu i rolnictwa, która jakkolwiek ilością nie dorównywa swojej zeszłorocznej poprzedniczce, to nie ustępuje jej pod względem jakości. Cała wystawa mieści się w 7-miu salonikach, na których zapełnienie złożyło się 243 wystawców. Zapewne krótkość czasu nie pozwoliła usunąć zupełnie pewnej chaotyczności rozłożenia przedmiotów, co utrudnia dokładniejszy przegląd i ocenę wartości pojedynczych produktów. Pomiedzy nasionami trzyma prym pszenica, której w różnych gatunkach dostarczyło 39 wystawców. Ogół wystawy robi jeszcze więcej wrażenie wystąpienia popisowego aniżeli naukowego; widzimy pokaźną ilość nasion wyborowych; ale przy tego rodzaju wystawie chodziłoby o zszeregowanie wybitnych, stałych typów ziarna, wytworzonego umiejętną i wytrwałą pracą, bo takie typowe nasiona staną się rozsądnikiem pięknego ziarna, które się konkurencji zagranicznej nie ulegnie. Studya i wskazówki pism rolniczych w tym kierunku byłyby pożądanwsze aniżeli spisy sążnistej listy admirałów.

Równocześnie odbywały się w Muzeum obrady delegacji rolniczej naznaczonej przez sekcją rolniczą w Tow. popierania przemysłu i handlu podczas jarmarku wełnianego, tudzież obrady producentów chmielu razem z właścicielami browarów. Delegacja rolnicza, pod przewodnictwem hr. Czackiego, zajmowała się projektami

wyższego ocenia cykoryi (ref. Adolf Schütz), fosforytów, superfosfatów, kości i makuchów nasion oleistych, — araków i koniaków; w interesie zaś rolników projektowano staranie się o obniżenie cła od maszyn rolniczych, gdyż cło, obowiązujące dzisiaj osłania zanadto miejscowe liche wyroby, nie pobudzając miejscowych fabryk do sumiennéj konkurencyi z zagranicą. P. Oraczewski rozbierał kwestyą gorzelnictwa w kraju. Ponieważ w chwili, gdy kronikę naszą zamykamy, powołano do rozbioru szczegółowego tych kwestyi osobne delegacye czyli komisyje, które z jasno sformułowanemi wnioskami wystąpią, przeto musimy poprzestać na niniejszój wiadomości tymczasowój.

Rozwój przemysłu fabrycznego w Królestwie Polskiém nic od dzisiaj budzi zazdrość współzawodników. Po różnych usiłowaniach osłabienia go i podcięcia, wyszłych z pod pióra p. Szarapowa et consortes, nie wahających się interesów i widoków handlowych jednego okręgu chrzcic mianem sprawy ogólnopañstwowój i narodowój, dzisiaj w dalszym ciągu te same zawiści i niechęci znalazły wyraz w memoryale, jaki Kupiectwo rosyjskie czy Wielkorosyjskie (jeden bowiem i drugi tytuł użytym jest w pomienionym dokumencie) przedstawiło p. Zarządzającemu ministerstwem skarbu podczas bytności jego w chwili jarmarku niżegorodzkiego.

Ciekawy ten dokument w szeregu życzeń, poddanych uwadze p. Zarządzającego ministerstwem, stawia na pierwszém miejscu kwestyą tak nazwanego „przemysłu pasożytnego,“ osiadłego na zachodnich kresach państwa. Zgodnie z osnową memoryału, w skutek nierównego opodatkowania przemysłu kresowego i środkowo-rosyjskiego, w skutek więkšej łatwości w sprowadzaniu materyałów surowych, z jakiej korzysta przemysł Królestwa, — wreszcie w skutek nierówności taryf kolejowych, które za przewóz towarów z krańców państwa w głąb kraju nakładają opłaty rażąco niższe od tych, jakie uiszczają musi przemysł Rosyi środkowój przy transportowaniu produktów swoich wewnątrz państwa, — przemysł kresowy cieszy się położeniem do pewnego stopnia uprzywilejowaném. Memoryał czerpie jaskrawe swoje przykłady prawie wyłącznie z artykułów, zamieszczanych w znaném czasopiśmie „Ruskoje dieło“ i z broszur p. Szarapowa; między innymi przytoczono tu, że jedna z fabryk Sosnowickich opłaca podatków zaledwie po sr. 109 od miliona rubli produkcyi, gdy tymczasem inna fabryka, położona w Rosyi środkowój, płaci od téj samój jednostki produkcyi rs. 14000, — że za przewóz wyrobów tkackich na odległość 310 wiorst w głębi Rosyi płacić trzeba do 30 kop. od puda, podczas gdy przewóz tych samych wyrobów na pięć razy więkšej odległości 1500 wiorst, dzielących Łódź od Moskwy, kosztuje zaledwie kop. 52 od puda, — że wreszcie na jednéj i téj samój odległości, na jakiej leżą od siebie z jednéj strony Łódź i Moskwa, a z drugiej Kijów i Odessa, przewóz jednych i tych samych towarów unormowanym jest niejednakowo i przy tém korzystniej dla przemysłu kresowego. Dla wyrównania położenia, przemysłowcy proszą o podwyższenie podatków na kresach,



o ujednostajnienie taryf kolejowych i o oclenie wyższe materyłów surowych, wprowadzanych do państwa drogą lądową.

Oprócz tój pierwszej, najważniejszej i najboleśniejszej — znać — dla kupiectwa kwestyi, memoriał porusza i inne, które wszakże ze względu na szczupłość ram niniejszej wzmianki kronikarskiej, pominąć musimy milczeniem, ażeby szczegółowiej rozpatrzyć się w sprawie, najbliżej nas obchodzącej.

Nie znamy dokładnie stosunku podatków, wnoszonych przez Królestwo, do sumy ogólnej podatków z całego państwa, — nieznaną nam jest również norma opłat za przewóz tkanin w głąbi Rosyi; lecz natomiast wiemy dokumentnie, że Łódź od Moskwy dzieli wiorst nie 1500, lecz 1365, — że za przewóz wyrobów rękodzielniczych płacą tu przemysłowcy odnośni nie 52, lecz przeszło 86 kop. od puda, — że taryfa kolejowa dla przewozu wyrobów tych z Łodzi do Moskwy i z Moskwy do Łodzi jest najzupełniej identyczną, — że wreszcie jeżeli opłaty z Moskwy i z Łodzi do portu Odeskiego nie są jednakowe, to nie dla tego, iżby temu winne były koleje, lecz że odległość Moskwy od Odessy jest bezmała o 290 wiorst dłuższą, aniżeli droga z Łodzi do Odessy. Memoriał, uskarżając się na to, iż taryfy kolejowe faworyzują przewóz od kresów w głąb kraju, zapomina lub tylko przemilcza tę okoliczność, że istnieją całe kategorie towarów, dla których rzeczy przedstawiają się wprost odwrotnie, jak to ma miejsce naprzykład dla zboża rosyjskiego, produktów zbożowych, wyrobów mącznych i tym podobnych, które w istocie zalewają rynki Królestwa, nie wywołując jednak użaleń ze strony rolników naszych, młynarzy etc. Ale wróćmy do wyrobów, będących specyalnością fabryk środkowo-rosyjskich. Wiadomém jest ogólnie (jakkolwiek memoriał o tém nie wzmiankuje), jak szerokim pokupem cieszą się u nas wyroby fabryk moskiewskich, jako to perkaliki kolorowe, jedwab' i atlas. W roku 1886-ym, zgodnie ze sprawozdaniem urzędowém drogi żelaznej Warszawsko-Terespolskiej, przywieziono z drogi Moskiewsko-Brzeskiej do samej tylko Warszawy 265930 pudów wyrobów rękodzielniczych, tranzyto zaś z tójże drogi Moskiewskiej przez drogę Terespolską, czyli między innemi i do stacyj kolei Warszawsko-Wiedeńskiej, położonych w środku fabrycznych okolic Królestwa, przybyło w tym samym r. 1886-ym przeszło 47 tysięcy pudów wyrobów rzeczonych. Jeżeli po tém, cośmy już powiedzieli, fakt konkurowania z powodzeniem fabrykatów moskiewskich na rynkach naszych z wyrobami miejscowemi ulega najjuńszej choćby wątpliwości, to stwierdza go w sposób stanowczy, świadek bardzo poważny, którego o stronność dla przemysłu naszego przychylną bynajmnieć pomówić nie można. Mianowicie profesor uniwersytetu moskiewskiego i znany ekonomista p. Janżuł, w mowie, jaką wygłosił w styczniu r. b. na uroczystém zebraniu uniwersyteckim, wydanéj następnie p. t. „Zarys historyczny rozwoju przemysłu fabrycznego w Królestwie Polskim,” gdzie zaznacza, że niektóre fabryki bawełniane okręgu moskiewskiego, jako to na przykład fabryka należąca do firmy

„Wasilij Morgunow Synowie” w gub. Moskiewskiej pow. Kołomeńskim, stale i do tej chwili wysyłają wyroby swoje do samejże Łodzi. I dodaje uczony profesor, że jeżeli przemysł Królestwa korzysta z tańszego opału, a zgodnie z memoryałem niższo-nowogrodzkim — i z łatwiejszej dostawy materiału surowego, to natomiast przemysł Rosyi środkowej daleko taniej opłaca pracę ludzką.

Memoryał piętnuje przemysł Królestwa mianem pasożytnego. Pytamy: czy przemysł ten rzeczywiście na nazwę tę zasługuje? czy istotnie wyzyskuje on ludność miejscową i wysysa soki żywotne tej ziemi, na której osiadł, nic w zamian nie dając? Kwestya ta łączy się ciśle ze sprawą narodowości w przemyśle Królestwa. Że w sferach przemysłowych, rozwijających działalność swoją w kraju naszym, ważną rolę odgrywają czynniki cudzoziemskie tego nikt zaprzeczyć nie może; lecz z drugiej strony i to jest faktem, że przemysł Cesarstwa również od czynników tych wolnym nie jest. Do jakiegokolwiek wszakże narodowości należy przemysł Królestwa, w każdym razie pośrednio i bezpośrednio daje on zarobek licznym zastępom ludności krajowej, przy czem z samej natury rzeczy, żywiol miejscowy z biegiem czasu zyskuje tu udział coraz szerszy. Nie przeczyśmy, że proces rozwijania się przemysłu swojskiego i przenikania żywiołu miejscowego w sfery przemysłowe, odbywa się w większości przypadków pomimo woli i wbrew życzeniu czynników cudzoziemskich, niemniej jednak, z samej natury położenia, asymilacya i przenikanie owo odbywa się nieprzerwanie. Ażeby zaś przekonać się, co może owo powolne, niepostrzeżone prawie oddziaływanie, dość rzucić okiem w przeszłość niezbyt jeszcze odległą. Jeszcze w czwartym dziesiątku bieżącego stulecia, pracą rzemieślniczą zajmowali się u nas prawie wyłącznie cudzoziemcy. „Przed trzydziestu laty, — pisze p. Aleksander Temler w broszurze swojej, p. t. „Kilka słów o cechach rzemieślniczych i garbarstwie,” wydanej w r. 1873-im prawie wszyscy majstrowie byli Niemcy lub pochodzenia niemieckiego... Czeladnicy po większej części byli Niemcy, głównie z Prus... W izbie... mówiono wszystko po niemiecku.” A dzisiaj ślady tej niemieczyny odnaleźć można chyba tylko w nazwiskach, brzmiących z cudzoziemska, mimo że ludzie, którzy je noszą, niejednokrotnie dowiedli, że czują się obywatelami tej ziemi, na której żyją, — albo w nazwach technicznych, które — mamy niepłonną nadzieję — także się z czasem spolonizują.“

Sądźmy, że kilka tych naprędce rzuconych uwag wystarczy dla zdania sobie sprawy, jakiejś to walki epizod mamy przed sobą. Jest to poprostu najzwyczajniejsza i najpospolitsza konkurencyja kupiecka, która byłaby całkiem na miejscu, a dla konsumentów przedstawiała by się nawet korzystnie, gdyby w celach natury czysto prywatnej nie używała orgza zgoła niewłaściwego, gdyby mianowicie nie przyoblekała się obłudnie w płaszczek interesów narodowościowych lub ogólnopafistwowych. Przemysł gubernij środkowych rzeczywiście rozwija się i działa w warunkach odmiennych, aniżeli przemysł kresowy, lecz



1-sze) ten ostatni, jak dowiódł cytowany już przez nas kilkakrotnie prof. Janżuk, przemysłowi środkowo-rosyjskiemu w istnieniu jego i rozwoju bynajmniej nie zagraża, choćby tylko dla tego, że suma ogólna produkcji całego Królestwa Polskiego wynosi rocznie 191 milionów rubli, podczas gdy wartość wytworu jednej tylko gubernii Moskiewskiej przewyższa 217 milionów rubli, i 2-re) mniejsza lub większa porcja grosiwa, wpadająca do kieszeni przemysłowców tego lub owego okręgu w jednym i tym samym państwie, nie stanowi jeszcze sprawy państwowej. Państwo, górując po nad kwestyami i walkami koteryjnemi, uwzględniać powinno całokształt interesów danego terytoryum i ogół potrzeb całej ludności, na terytoryum tém osiadłej. Z ciasnego, kupieckiego punktu widzenia, utrudnienie funkcjonowania przemysłu współzawodniczącego, może być rzeczą pożądaną, ze stanowiska wszakże państwowego możliwie najszerszy rozwój stosunków ekonomicznych całego kraju, wszystkich jego okręgów handlowych i przemysłowych, jest właśnie celem najbardziej pożądanym. Jeżeli w stosunkach międzynarodowych system protekcyjny jest niekiedy potrzebnym dla tego, aby młodym siłom narodu dać możność rozwinięcia się i stężenia, to przeciwnie wewnątrz państwa, w bezstronnie pojętym interesie zarówno wytwórców, jak i spożywców, istnieć winna swoboda konkurencji jak najszersza.

Lekceważona zazwyczaj — więcej z przyzwyczajenia aniżeli na zasadzie sumiennego badania — Galicya na polu życia ekonomicznego złożyła w otwartej dnia 15-go września wystawie rolniczo-przemysłowej, połączonej z wystawą sztuki, liczne dowody rozwoju życia krajowego od chwili, w której jej pozwolono pracować zgodnie z potrzebami społeczeństwa. Z porównania stanu Galicyi z przed laty trzydziestu, a nawet od wystawy lwowskiej przed laty dziesięciu, z tém, co widzimy już dziś na polu pracy ekonomicznej, widnieje postęp niezaprzeczony, a jeżeli ogół nie przedstawia owoców imponujących, to nie można o tém zapominać, że trwałe rezultaty na polu ekonomiczném zdobywają się równie powoli i z równą trudnością, jak na polu oświaty powszechnej. Społeczeństwo zyskało dowód, że nie potrzebuje się ograniczać na zbywaniu tylko surowych produktów, gdyż istnieją warunki, umożliwiające byt i rozwój własnej produkcji w przeciwstawieniu do konkurencji zagranicznej. Rozpatrzenie się w szczegółach tej wystawy rozjaśni dokładniej zadanie najbliższej przyszłości i na tém polega nienajpośledniejsza wartość obecnego opisu. Znaczenie to podnoszą zjazdy, odbywające się podczas wystawy: delegatów kółek włościańskich, zjazd przemysłowców i kupców, zjazd prawników i ekonomistów i t. p. Ponieważ ważniejsze szczegóły z tego ruchu ekonomiczno-społecznego zasługują na sprawozdania szczegółowe, przeto rozpoczynając już w zeszycie niniejszym przegląd prac zjazdu prawników, kończymy tę kronikę wzmianką o Wystawie rolniczo-przemysłowej w Krakowie słowami, które przy otwarciu wystawy wypowiedział

prezes komitetu Artur hr. Potocki, jako zadanie dni najbliższych. „Co tylko w kraju naszym podnosi się, powstaje i rozwija, co tylko utrwała się i doskonali, to wszystko odnieść musimy do jednego źródła ożywczego: do możności pracy z podstawą narodową i z miarą wolności. Rozwój nauki i wiedzy w szkołach polskich, doświadczenie i postęp społeczny na tle samorządu, możność pracy ekonomicznej na podstawach rodzimych,—to wszystko zawdzięczamy opiece i łasce, woli i sercu najmiłościwiój nam panującego monarchy...“

Sprężyscie funkcyonujące cesarskie biuro statystyczne w Niemczech, ogłosiło przed niedawnym czasem sprawozdanie z handlu zewnętrznego tego państwa za pierwszą połowę r. 1887-go. Ponieważ w stosunkach handlu międzynarodowego, Niemcy są dotychczas najpoważniejszym naszym odbiorcą, jeżeli nie jako spożywca, to przynajmniej jako pośrednik, utrzymujący się wciąż jeszcze w tej ostatniej względem nas roli, mimo ujawniającej się od pewnego czasu dążności kupiectwa naszego do wyswobodzenia się z pod uciążliwych i kosztowych warunków opieki Niemieckiej, zatem sądzimy, iż nie będzie bez interesu przejrzenie choćby pobieżne danych, w sprawozdaniu rzeczonym zawartych, a odnoszących się do najważniejszego produktu naszego krajowego, to jest do zboża. Jakkolwiek cyfry, podane w sprawozdaniu, dają nam obraz obrotów handlowych Niemiec z całym państwem rosyjskiem, bez wydzielenia specjalnie nas obchodzącego wywozu z Królestwa Polskiego, to jednak i na podstawie tych danych ogólnych będziemy mogli powziąć niejaki wyobrażenie o stanie wywozu zboża z kraju naszego.

Opierając się tedy na sprawozdaniu cesarskiego biura statystycznego, wnosimy, iż handel zbożowy w półroczu ostatniem nieco się ożywił. Nie było to ożywienie tak znaczne, aby na opłakane położenie finansowe naszych rolników mogło mieć wpływ poważny, lecz zawsze przewyżka wywozu w pierwszej połowie roku bieżącego w porównaniu z odpowiednim okresem czasu roku zeszłego, wyniosła przeszło 4 miliony pudów. Mianowicie pomiędzy 1 stycznia a 30 czerwca r. z. przywieziono z Rosyi do Niemiec 12,621,907 pudów zboża, co stanowiło 32,5 % ogólnego przywozu zboża do Niemiec, a w tym samym przeciągu czasu r. b. przywóz rzeczony wyniósł 16,870,990 pudów i dorównał 41,2 % przywozu ogólnego. Rozglądając się w szczegółach sprawozdania, widzimy, że największe powiększenie przypadło dla najważniejszych gatunków zboża, mianowicie:

	Przywieziono pudów		Powiększenie w r. 1887 w pudach
	w r. 1886	w r. 1887	
Pszeniczy	4,093,356	4,751,430	658,074
Żyta	6,027,129	7,330,315	1,303,186
Owsa	858,862	2,019,515	1,162,653
Jęczmienia	600,228	1,366,607	766,379



przyczém w stosunku do przywozu danego gatunku do Niemiec w ogólności, owies, przywieziony z państwa rosyjskiego, wynosił 73,4 %, żyto 54,3 %, pszenica 53,6 %, jęczmień zaś tylko 15,5 %. Zauważyć należy, iż głównym dostawcą jęczmienia do Niemiec jest Austria.

Ceny zboża rosyjskiego na główniejszych rynkach niemieckich uległy również, w części przynajmniej, niejakiemu podwyższeniu. Przekonywa o tém podane w jednym z ostatnich numerów organu urzędowego rosyjskiego ministerjum skarbu, zestawienie cen rzeczywistych i średnich, otrzymywanych za zboże rosyjskie na rynkach niemieckich pomiędzy 1 stycznia a 30 czerwca 1886-go i 1887-go. Różnice cen średnich dla pierwszej połowy roku bieżącego przedstawiają się w sposób następujący:

	W Ber- linie	Wrocła- wiu	Gdań- sku	Królow- cu	Szcze- cinio
	K o p i e j e k o d p u d a .				
Za pszenicę płacono	+32	+26	+21	+22	+5
„ żyto	+5	+6	0	-3	+4
„ jęczmień	—	+7	+3	-10	+7
„ owies	-13	-19	-6	-13	-8.

Cena więc tylko owsa wszędzie spadła, a natomiast pszenicy podniosła się na wszystkich rynkach.

Na polepszenie to jednak i co do ilości wywozu, i poniekąd co do ceny, niepodobna patrzeć zbyt optymistycznie. Większa ochota do kupna a ztąd i niejaki tu i owdzie podniesienie się zboża naszego w cenie, jest—zdaniem naszym—naturalnym następstwem pogłosek o mającém niezadługo nastąpić wyższém ocleniu zboża, przywożonego do Niemiec. Jest to fakt w stosunkach handlu międzynarodowego dobrze znany, iż przed zaprowadzeniem pewnego utrudnienia w przywozie danego przedmiotu z zagranicy, kupcy, chcąc wyzyskać istniejące jeszcze warunki łatwiejsze, sprowadzają znaczniejsze jego partje, a w skutek zwiększonego przez to popytu cena tegoż przedmiotu chwilowo się podnosi. A przytém oddziałał tu prawdopodobnie i niski stan waluty rosyjskiej na giełdach zagranicznych. Niepodobna więc z powodu polepszenia się stosunków w pierwszej połowie roku bieżącego, żywić zbyt różowych nadziei na przyszłość, tém więcej że w Niemczech, skonstatowane powiększenie się przywozu wywołało natychmiast tém natarczywsze domaganie się od rządu podwyższenia ceł wchodowych. Gazety przynoszą wciąż wiadomości o licznych petycyach, wystosowywanych w tym duchu do rządu cesarskiego przez osoby interesowane, wykazujące potrzebę sparaliżowania konkurencji, na jakiej cierpieć ma rolnictwo i ludność rolnicza w Niemczech. Z drugiej strony jednak są dane, zdające się rokować jeżeli nie podwyżkę, to przynajmniej powstrzymanie dalszej obniżki cen zboża naszego na rynku wszechświatowym. Nadzieję tę z niejakiem prawdopodobieństwem urzeczywistnienia się jej, powziąć można na podstawie danych

co do rezultatu żniwa, osiągniętego w Europie, Ameryce i w Indyach; dane te zebrali i przesłali swemu rządowi konsulowie austriacy, celem ogłoszenia ich podczas targów zbożowych międzynarodowych, odbywających się zazwyczaj w tej porze w Wiedniu. Owóż w Europie rezultat żniw był w ogóle średnim, a w Ameryce i Indyach nie dosięgnął nawet miary średniej. Samej pszenicy wyprodukowano w Ameryce w roku bieżącym około 20% mniej niż w roku zeszłym, a oprócz tego zaznaczają ztamtąd zupełny już nieurodzaj kukurydzy. W tych warunkach, oraz przy skonstatowanem zmniejszeniu się zapasów, zboże nasze cieszyć się może w rozpoczynającej się kampanii widokami niejakiej pomysłności.

---



## WIADOMOŚCI BIBLIOGRAFICZNE.

Antykwaryusz Bukowski, żyjący w Szwecyi, wydał w Sztokholmie obszerny katalog ksiąg i numizmatów, pochodzących ze zbioru Henryka Bończy, który zgromadził wiele cennych materyałów bibliograficznych, dotyczących się historii polskiej, szczególnież z czasów reformacyi, nie mniej odnoszących się do wojen polsko-tureckich. Zbiór ten ma być sprzedany w Sztokholmie przez licytacją.

Po wydrukowaniu w zesz. kwietniowym „Bibl. Warsz.“ z rękopisu biblioteki braci czeskich w Lesznie w W. Ks. Poznańskiem broszury z r. 1682-go pod tyt. „Recepta na to, abyśmy się długo w ojczyściej ziemi osiedzieli” — odnalazł p. Zygmunt Wolski w bibliotece hr. Krasińskich w Warszawie egzemplarz téj broszury drukowany czcionkami gotyckimi, bez wskazania roku i miejsca druku, obejmujący 12 kart nieliczbowanych w 4-ce. W ogłoszeniu Składu antykwarskiego Friedleina w Krakowie o przedrukach autograficznych i homograficznych z dawnych dzieł i manuskryptów czytamy pod nr. 36-ym tytuł téj saméj broszury (cena 5 fl. 50 ct.) z wiadomością: „kopiowano z egzemplarza, będącego własnością hr. L. Skórzewskiego w Lubostrońniu. Odbito egzemplarzy 30.” Według „Przewodnika bibliogr.” p. Wisłockiego uskuteczniiono tę edycją w r. 1881. K. Estrajcher zanotował tę broszurę sposobem domyślnym pod r. 1597 (Biografia polska XV—XVI stolecia. Kraków, 1875, str. 185), lecz my, mając w rękopisie podany wyraźnie r. 1682, gdy nadto i treść broszury nie pozwalała szukać jej po za granicami panowania Sobieskiego, którego dzieła hetmańskie i królewskie są wyraźnie odróżnione (zob. zesz. z kwietnia str. 19), przeto domysł K. Estrajchera, spowodowany zapewne mowami Gaetanego, St. Karnkowskiego i J. Zamoyskiego na seymie 1597 r., co do czasu druku téj bądź co bądź rzadkiéj broszury upada. Ponieważ w powołanym przez nas Zbiorze Oniasza zgromadzone są różne pisma, a nawet i druki wieku XVII-go, przeto sądzimy, że Oniasz, zbierając współczesne dokumenta, przepisał tę świeżo wydrukowaną broszurę i rok właściwy 1682, rozbrzmiewający nawoływaniem do nowéj wojny tureckiéj położył. Wszystkie fakta, powołane w broszurze za tym wnioskiem przemawiają i to téż właśnie stanowi jéj war-

tość, jako źródła historycznego. Różnice, jakie spotykamy między egzemplarzem drukowanym a kopią Oniasza, nie są zbyt wielkiej doniosłości (niektóre wyrazy opuszczone, inne przestawione, niektórych formy odmiennie pisane: „naylisszy“, „letki“—„wszytkie“ a nie wszystkie, „albo“ obok „abo“, „insze“ obok „iunc“ oraz drobne warianty ortograficzne); chociaż znajdujemy i takie miejsca, które prostują błędy kopii Oniasza. Do takich liczymy: Str. 7 w. 10 od góry opuszczono po wyrazie nie poruszycie; „darmo rozumiecie“—w. 16 „prawie“ zam. „cale.“ Str. 8 w. 13 z góry na początku opuszczano: „mnie y siebio tak ladajako o zgubę przywodzicie, czemu i t. d.—w. 19: retraktujecie zam. retradujecie. Str. 9 w. 5 z góry czytają: „ośm milionów co rok z samych portów posyłałam waw do domu; w. 13 czytają: „któregom prymasa.“ Str. 12 w. 29 zam. „używam kwiatków“ czyt. „zażywam kw.“—Str. 13 w. 5 od góry czyt.: że gdy okręt szwankuje, ezwanukują wszyscy w nim zostający, szwankuje nie tylko zdrowie i t. d.; w. 8 czytają: „tak każdy rozumny Oyczynny syn i t. d.; w. 19 zam. iako blizoy czytają: iako blizszych; w. 30 czyt.: „że kto tylko śmiał kiedy sarknąć—zam. choiał; w. 36 czyt. oyczynę bezbronną. Str. 14 w. 8 czytają: nad sobą zam. na sobie. Str. 15 w. 5 od dołu czytają: „iako to ta druga krow zam. iaka to droga kr.—w. 2 od dołu czytają: „kto poborami, kto olami, kto komorami zawiaduje... Str. 17 w. 11 z góry czytają: „gdzie ambidextri ziachawszy; w. 5 od dołu czytają: „Pierwszy skutek Niemiłości oyczynney i t. d. Str. 18 w. 3 od góry czytają: Ci teraz do galer przykowani; w. 10 od góry czytają: „przyszliście do tego;“ w. 21 czytają: „zowie Chalcedamaj;“ w. 23 czytają: „nie ma strawniejszego chleba y fortuny nad tę, której onotą bez obrazy Bozkiej szukasz.“ w. 10 od dołu: waszym nieprzyjacielem zam. naszym n.—Str. 19 w. 6 od góry: „a przez domową natenczas confuzyą; w. 9 „o którym napisano;—w. 7 od dołu: w Greoyi usiadł; jako teraz w Podolu u Was. Cóż zatym secutum? Grekowie i t. d. W odsyłaczu 9: intempestivi risus. Str. 20 w. 1: pactami się tylko tureckimi; w. 10: zemknął zam. zamknął; w. 18: „otrzymał zam. zatrzymał; w. 25: nad Dnieprem; w. 25: „pokazuje niebezpieczeństwo następujące cesarz Const.; w. 2 od dołu: włożono zam. złożono; str. 21 w. 4: „A tak mówią do wesel.. w. 9: „ujachać“ zam. uciekać; w. 14: „osmego dnia do oblężenia;“ str. 22 w. 5: „toś mu mógł..“ w. 10: „wyciąć rozkazał..“ w. 7 od dołu: „powiedziałam“ zam: powiadałam; w. 1 od dołu: długo mógł ostać... zam. zostać

Nakładem Gubrynowicza i Schmidta we Lwowie wydane zostały oprócz dawniejszych 2-óch tomów pod tytułem „Pisma zbiorowe Zygmunta Krasińskiego“ jeszcze dwa nowe (III-ci i IV-ty) tudzież tom trzeci, „Listów Zygmunta Krasińskiego.“ Dwa tomy działu pierwszego zebrane i sprawdzone co do poprawnego autentycznego tekstu przez Jana Amborskiego zawierają: 1-szy (właściwie III-ci) „Władysław Herman,” 2-gi (t. j. IV-y), podzielony na trzy części obejmując: a) zebrane i porównane z autografami wszystkie poczye Krasińskiego, rozproszone po rozmaitych czasopismach, b) artykuły i urywki prozą pod tyt. „Myśli;“ c) młodzieńcze utwory powieściowe. Zbieranie tych materyałów, prowadzone z wielkim mozołem, trwało lat kilka, ponie-



waż wiele utworów ukrywało się w autografach, odszukanych przez przyjaciół poety, inne gromadzono z czasopism dawniejszych. Trzeci tom „Listów“ zawiera korespondencją Krasińskiego: *a)* Z Juliuszem Słowackim (dotyczy przeważnie poezyi i estetyki), *b)* Edwardem Jaroszyńskim (filozofii); *c)* Z Koźmianami (Stanisław, Andrzej i Kajetan) (religii); *d)* Bron. Trentowskim (polityki). Niektóre z tych wynurzeń ducha poety były już znane; ale zebrane razem świadczą wymownie o potędze tego geniuszu i powitane być powinny z prawdziwą wdzięcznością przez społeczeństwo polskie, bo zawierają wiele myśli głębokich. Powołujemy dla przykładu pogląd poety na ówczesną filozofią niemiecką z listów do Edw. Jaroszyńskiego, zwolennika Hegla. Krasiński przyznaje, że „nigdy nie mógł ukoić rozpacz jak systemem Hegla lub Nowalisa, ale nigdy zupełnie i nie we wszystkim im uwierzył.“ „Filozofia dobra jest na godziny wesela lub na bóle cudze, ogólne; ale gdzie tylko cząstka naszego własnego serca dotknięta, tam religii nam trzeba, tam najprostszyc, najbliższyc nas pojęć, bo cierpienie wzrok przytępia, w oddal niepodobna wzroku rzuć.“

Nakładem tój samój firmy wyszła serya VI-a „Opowiadań historycznych“ dra Antoniego J. (Podkowa Iwan, Nalewajko, ks. Bazyli Ostrogski, Grabianka, jego żona, Teresa ze Stadnickich, Stanisław August — po detronizacyi).

Tymże nakładem wyszło dzieło znanego pedagoga Mieczysława Baranowskiego p. t. „Pedagogika i dydaktyka,“ zawierająca treściwy obraz zasad pedagogicznych i dydaktycznych dla użytku nauczycieli szkół elementarnych.

Z listów Juliusza Słowackiego do matki wiedziano, że poeta nasz pisał po francuzku powieść historyczną polską, utworu tego jednak nie drukowano nigdzie, nie znał go nawet biograf Słowackiego, dr. A. Małeckci. Dopiero teraz z rękopisu, będącego własnością p. Sobieszczańskiego, b. oficera b. wojsk polskich, przełożył powieść Słowackiego na język polski p. Jan Amborski, a „Kłosa“ drukują ją w tym przekładzie. Powieść nosi tytuł „Król Ladawy,“ jest pisana pod wpływem Walter Scott'a, a głównymi jej bohaterami są dwie głośne na Ukrainie postacie: Emir Wacław Rzewuski i Ignacy Scibor Marchocki. Słowacki pisał „Króla Ladawy“ w r. 1832, chcąc pokazać Europie, że nie tylko Szkocya i Anglia obfitują w typowe postacie i wybitne charaktery; lecz nie dokończył go, rzuciwszy się zupełnie na pole poezyi.

Władysław Koleżak wydał ciekawą broszurkę pod tyt. „Posąg króla Zygmunta III-o w Warszawie. Warsz. 1887. Z 7-io rycinami. Materiał do historyi tego pomnika zebrał dawniej Weinert; p. K. uzupełnił go szczegółami z czasów ostatnich. Są tutaj zebrane szcze-

góły o wzniesieniu kolumny przez Władysława IV-go, zamachu na nią przez Karola Gustawa, o odnowieniu pierwszém za czasów Augusta III-go i następném za Księstwa Warszawskiego, wreszcie skreślona jest historia obecnego jój restaurowania. Okolicznościowe to wydawnictwo ozdobione jest siedmiu rycinami, przedstawiającemi posąg Zygmunta, według rysunku z r. 1646-go, przewiezienie kolumny z gór chęcińskich do Wisty w r. 1643-im, rusztowanie i ustawianie kolumny w tymże roku, rusztowanie, osłaniające kolumnę w czasie ostatniej przebudowy, statwę Zygmunta, stojącą na ziemi, i chwilę ustawiania posągu na szczycie kolumny w dniu 6-ym września r. b.

W Moskwie rozpoczęto wydawnictwo dzieł M. N. Katkowa. Tom pierwszy zatytułowany „M. N. Katkow 1863 r. Zbiór artykułów w kwestyi polskiej, pomieszczanych w pismach: *Moskowskije wiadomości*, *Russkij wiestnik* i *Sowremennaja letopis*“ wyszedł z druku.

Jako osobna odbitka z czasopisma wiedeńskiego „Archiv fuer oesterreichische Geschichte“ t. LXX, wyszło ważne nader dla historii polskiej dzieło, zawierające sprawozdania rezydenta austriackiego na dworze Jana Kazimierza podczas wojny szwedzkiej, od roku 1655—1660 pod tyt.: „Die Berichte des Kaiserlichen Gesandten Franz von Lisola aus den Jahren 1655—1660. Mit einer Einleitung und Anmerkungen versehen.“ Herausgegeben v. Dr. Alfred Francis Příbram. Wien, 1887, str. 571. Nazwisko Lisoli jest dosyć głośnie w owęj epoce, jak to zaznaczyli wszyscy ówczesni historycy (Rudawski, Pufendorf, Kochowski, de Noyers i i.), przypisujący mu przeważny wpływ na politykę owęj chwili. Z relacji jego korzystał już Ant. Walewski; ale w zwykły swój sposób bałamutny; tak że ogłoszenie drukiem całego zbioru sprawozdań Lisoli jest bardzo szacownem zubożeniem źródeł do historii téj epoki. Uczony wydawca poprzedził te dokumenta obszernym wstępem, który ułatwia zorientowanie się w tym obfitym materyale. Historycy obcy zapatrują się dotychczas na tę epokę głównie przez okulary Pufendorfa i archiwów pruskich; pożądaną więc jest rzeczą poznać także poglądy gabinetu wiedeńskiego, które Příbram dosyć jasno i dokładnie charakteryzuje. Nie możemy przy téj wzmiance bibliograficznej zapuszczać się w szczegółowszą ocenę dzieła, chociaż ono na nią ze wszech miar zasługuje.

Nakładem Akademii umiejętności w Krakowie wyszło ważne nader dzieło Aleksandra dr. Semkowicza p. tyt. „Krytyczny rozbiór dziejów Polski Jana Długosza do roku 1384.“ Głównym celem autora było oznaczyć stosunek Długosza do źródeł, z których korzystał, o ile jesteśmy w stanie źródła te wykazać. Kwestya ta zajmowała już od dawna uwagę pracujących nad dziejami polskimi; (Zob. Przyczynek do krytyki historii Długosza w Bibl. Warszawskiej 1873 r. T. III, str. 312) ale z powodu wielu zatraconych kronik najstarszych jest to ba-



danie nadzwyczaj mozolne i wymaga jaknajściślejszej metody, do której zasad autor się stosował.

Staraniem redakcyi „Wszechświata“ z zapomogi kasy pomocy dla osób pracujących na polu naukowem im. dr. J. Mianowskiego wychodzić zaczęła „Biblioteka przyrodnicza Wszechświata.“ Dotychczas opuściła prasę pierwsza książka pod. tyt. „Krótki przewodnik do zajęć praktycznych z Botaniki mikroskopowej przez dr. Edwarda Strasburgera, prof. uniwers. w Bonn. Warsz. 1887, 8-o, str. X, 368, VI i 115 drzeworytów w teksie. Cena rs. 2.

„Kwartalnika historycznego,“ organu Tow. hist. pod red. Ksaw. Liskiego wyszedł zeszyt 4-ty i zawiera treść następującą: 1) Staszyc jako historyzof przez T. Korzona; 2) Szkoła orientalna w Stambule (1766—1795) p. Wł. Smoleńskiego; 3) Recenze i sprawozdania; 4) Spis recenzi w innych czasopismach; 5) Bibliografia dzieł zagranicznych; 6) Polemika A. Szarłowskiego; 7) Dodatek do artykułu: Nieznana konstytucya z r. 1501 p. Bostla.

---

## N e k r o l o g i a .

† Dnia 9 września umarł w Wilnie **Wincenty Chełmiński**, współpracownik pism krajowych, pisujący pod pseudonymem „Korwin,“ licząc 37 lat wieku. Ostatnią jego pracą był zbiór nowelli, obrazków i rymów ulotnych p. t. „Z życia.“ Ś. p. Ch. mieszkał od młodości w Wilnie, gdzie był jednym z współpracowników zwinętej księgarni Orzeszkowej. W następstwie przeniósł się do Warszawy, zkąd parę miesięcy temu udał się do swoich krewnych do Wilna i tam po długiej chorobie umarł. Cześć jego pamięci!

---

## ENCYKLOPEDIA WYCHOWAWCZA.

Pod redakcją J. T. Lubomirskiego, E. Stawiskiego, S. Przysiańskiego i J. K. Plebańskiego, wychodzi w zeszytach 5-arkuszowych. Prenumerata wynosi kop. 40, z przesyłką kop. 50 za zeszyt. Można także wносить przedpłatę po rs. 3 kop. 20 za tom, złożony z ośmiu zeszytów, z przesyłką rs. 4.

Skład główny i ekspedycja „Encyklopedyi Wychowawczej” znajduje się w Warszawie w księgarni Gebethnera i Wolffa, Krakowskie-Przedmieście, Nr. 415.

---

## „PRZEGLĄD KATOLICKI.”

Nr. 38-my z dnia 22-go września r. b. zawiera treść następującą: O wychowaniu młodzieży żeńskiej, Mowa d-ra Hammera na posiedzeniu walnego Zjazdu katolików w Trewirze. — Hypnotyzm (dok.). — *Notatki z prasy peryodycznej*: Z Gazety Petersburskiej. — Bez-wiedna świadomość. — Dawid Starcewicz. — *Kronika kościelna krajowa*: Zmiany zaszczytne w archidiecezyji warszawskiej i diecezji płockiej. — Z seminarjum wileńskiego, — Ś. p. Helena Bentkowska. — Ś. p. Zofia Wilczyńska. — Wizyta kanoniczna J. Eksc. ks. biskupa sufragana warszawskiego. — Konsekracja kościoła w Konstantynowie. — Zabytek polskiego malarstwa z XVI wieku. — Sekundycy ks. Emila Borzurowskiego — Z Szydłowa. — *Kronika kościelna zagraniczna*: Niemcy. Zjazd katolików niemieckich w Trewirze (dok.). — R z y m. Pielgrzymki na jubileusz papieżki. — *Bibliografia*: Rewolucya od XVI-go wieku, przez W. Hohofa.

---

## „K R A J.”

Nr. 37-my zawiera treść następującą: *Artykuł wstępny*: I. Sprawa narodowości litewskiej i główne fazy dotychczasowego jej roz-



woju.—*List otwarty do redaktora Kraju.*—*Koresponden-  
cye Kraju:* z Krakowa, p. W. Ż.—*Z sądów.*—*Sprawy bieżą-  
ce:* Reformy szkolne.—Przeciw cudzoziemcom.—O żydach. — *Dział  
polityczny:* Z politycznego świata.—Tydzień polityczny. — Ostatnie  
telegramy. — *Z tygodnia:* Słowo wstępne. — Ziemie i kolonie sło-  
wiańskie.—Przegląd prasy.—Wiadomości bieżące. — Kronika peters-  
burska.—Z Warszawy.—Z prowincyi.—Kronika powszechna.—Donie-  
sienia. — *Dział ekonomiczny:* Sprawozdanie giełdowe i rynki to-  
warowe. — Tydzień ekonomiczny (rolnictwo, cukrownictwo, gorzelnic-  
two i piwowarstwo, przemysł i handel, komunikacye, finansowość).—  
*Ogłoszenia.*

*Przegląd literacki:* „Towarzystwo kredytowe ziemskie  
w Królestwie Polskiem i kredyt rolny,“ p. Kazimierza Waliszewskie-  
go. — „Najnowszy zwrot w historyografii (1861—1886),“ przez M. I.  
Kariejewa. — Dwa polskie listy M. N. Katkowa. — Kolonizacya kraju  
połudn.-zachodniego w czasach poprzedzających wiek XV-ty, p. Jana  
Łtowskiego.—Hipocondryk o Szwajcaryi. — Bajki, III, p. D. Zgliń-  
skiego.—Sprawozdania literackie: Armenische Bibliothek: I. „Drei Er-  
zählungen von Raph. Patkanian,“ II. „Litterarische Skizzen,“ p. W.  
Nehringa.—Kronika naukowa, literacka i artystyczna. — Nowe książ-  
ki, otrzymane w redakcyi „Kraju.“—Treść pism. — Bibliografia.—*Od-  
cinek:* „Starzec,“ nowela Piotra Loti, przełożyła Wila Zyndram-Ko-  
ściałkowska.

---

*Redakcyja Biblioteki Warszawskiej.*

Redaktor odpowiedzialny i Wydawca J. K. Plebański.

O P I S

RZECZYPOSPOLITEJ POLSKIEJ Z ROKU 1574<sup>go</sup>,

według relacyi

Ludwika Gonzagi, kó. de Nevers i Rhétel.

PRZEDSTAWIŁ

*D-r Ludwik Finkel.*

I.

Przeceniamy częstokroć rozgłos, jakiego nabrać miała Polska w wieku XVI-ym. Wywierała zapewne wpływ znaczny na sprawy polityczne Wschodu, ale w państwach zachodnich mało się z nią liczone, bo do polityki ich prawie wcale się nie mieszała. Nie umiała stać się ilością dodatnią, — czynną w ich rachubach dyplomatycznych; zajmowano się też nią bardzo mało. Przybywali do Polski nieraz posłowie zagranicznych dworów, zwłaszcza nuncyusze papiescy, czy to w sprawie wielkiej na Turków wyprawy, czy aby zyskać oderwany od Kościoła Wschód, albo działać przeciw rozlicznym sektom religijnym; udawali się polacy na uniwersytety zagraniczne, gdzie zaślęgli nauką i wrodzonym dowcipem, wielu duchownych jeździło do Rzymu, ale to były jednostki i wyliczać ich imion, na dowód rozgłosu Polski, nauka historii nie pozwala. Natomiast daleko silniejsze są wskazówki, łagodzące nieco owe optymistyczne zapatrywania. Orzechowski powiada, że wielokrotnie za pobytu swego w obcych krajach spotykał się z zapytaniem, ażali ta „Polonia,” z której pochodził, jest miastem, jako Bolonia. Jan Krasieński w opisanu Polski, którego dokonał we Włoszech w r. 1574-ym, żali się, że „narody zachodnie nie tylko dla małych z nami stosunków, ale i dla znacznej odległości w sądzeniu o spra-



wach naszej Rzeczypospolitej, równiej niewiadomości jak i dumy dają dowody." A wreszcie i same relacye tych posłów weneckich, czy papieskich, takiego Fulwiusza Ruggieri lub obu Lippomanów, jaskrawo świadczą o tém, jak mało musiano o nas za granicą wiedzieć. Przypominają one bowiem poniekąd opisy Marca Polo, lub dzisiejszych podróżników afrykańskich. Każdy z nich uważa za potrzebne powiedzieć, gdzie właściwie ta Polska leży, jakie jój granice, jak wygląda kraj, czém się mieszkańcy trudnią, jaki ich charakter? Hieronim Lippomano zaczyna od tego piękną swoją relacją o Polsce, że uważa „za obowiązek swój dać szczegółową wiadomość o kraju, z którego powraca, i o szlachetnym narodzie polskim, prawie, rzec można, nieznanym weneckiej rzeczypospolitej;" a wyliczając wiele osobliwości Polski, kończy temi charakterystycznymi słowy: zamilczę o wielu innych z bojaźni, aby mi nie uwierzono...

Dla Francyi w chwili wyboru Henryka Walezego, było jaskrawsze wysunięcie Polski na widowni dyplomatycznej czémś podobuém do odkrycia zupełnie nieznanój krainy, pobudzało ciekawość poznania narodu, o którym ledwie się wiedziało, że istnieje. Francuzi niechętnie zajmują się sprawami obcemi; rzecz to dobrze wiadoma, przez nich samych przyznawana. W szeregach wędrujących humanistów skromny nader znajdujemy procent „Gallów;" opisy zaś ziemi i jój mieszkańców, zainteresowanie się szersze widokami różnych krajów i narodowości, to dopiero wynalazek humanizmu. Nie miała téż Francya handlowych stosunków z Polską; uwaga jój, jak wszystkich ludów nad oceanem, zwróconą była wówczas na dalekie zdobycze zamorskie.

Kiedy więc powstał plan starania się dla brata Karola IX-go o koronę polską, plan, który podobno urodził się w głowie Coligny'go <sup>1)</sup>, była Polska dla Francyi terra incognita w dosłowném znaczeniu tych wyrazów. Znajdował się wprawdzie na dworze Katarzyny Medcejskiej między karłami polak, Krassowski, kasztelaniec podlaski, który dziwy prawił o swojej ojczyźnie, o bogactwach kraju, o cnotach szlachty i sympatyach jój dla Francyi, ale serce matki drżało na samą myśl, że syn jój ukochany pójdzie w tak dalekie i tak nieznanne strony. Henryk był, jak wiadomo, jój bożyszczem; widziała w nim swój własny wizerunek <sup>2)</sup>. Przyjęła wprawdzie myśl wyniesienia go na tron Jagiellonów, bo pragnęła gorąco zaszczytów i chwały dla niego; biskup Walencyi, Jan de Montluc, układał razem z Katarzyną plany kampanii wyborczej w Polsce i z jój polecenia, na jój prósy podjął się trudnej, jak się zdawało, misyi; ale równocześnie starała się o najdokładniejsze informacje o kraju i ludziach, o dochodach i władzy królewskiej, bo pragnęła wspierać syna radami nawet z tój odległości, jaka w owe czasy dzieliła Francją i Polskę.

<sup>1)</sup> Le Marquis de Noailles, *Henri de Valois et la Pologne en 1572*, tom I, str. 39, 48 (nota 2).

<sup>2)</sup> Tamże.

Montluc skoro tylko stanął na ziemi naszej i rozpatrzył się nieco w stosunkach, wyprawia dziekana de Die do króla i królowej matki z relacją obszerną i kartą geograficzną Polski <sup>1)</sup>. Jan Choisin, sekretarz Montluca, który już poprzednio z Janem de Balagny przybył do Polski, pisze dokładny dziennik wszystkich wydarzeń w Polsce, wydaje go w r. 1574 z druku i poświęca Katarzynie <sup>2)</sup>. Na rok przedtém Blaise de Vigenère tłómaczy kronikę Herburt z Fulsztyna i drukuje p. t. „*Les Chroniques et Annales de Pologne*,” uzupełniwszy ją opisem Polski i jej rządu. Przekładu téj samej książki dokonywa w r. 1573 także Fr. Balduin. Słowem, mnożą się wiadomości o Polsce, która nagle i niespodziewanie staje się dla dworu francuzkiego i dla publiczności przedmiotem żwawego zajęcia, tém ciekawszym, że dotąd nic o niej nie wiedzano. Spieszą i nasi z wyświadczeniem przysługi „szlachetnemu szczepowi Gallów — jak w dedykacji Henrykowi Walezemu wyraża się w opisie Polski Jan Krasieński — który teraz taką gorącą żądzą poznania rzeczy polskich pała.” Sławny i sędziwy Marcin Kromer śle na powitanie i dla informacyi nowego króla swoje „Polskę” <sup>3)</sup>. Dzięki więc wyborowi Henryka, gromadzi się bogaty materiał do poznania naszego kraju, jakiego nie posiada inna epoka.

Nie dość jednak na tém. Troskliwa o dobro ukochanego syna matka, posyła ze spieszącym na tron polski królem jako towarzyszy najwybitniejszych ludzi dworu Karola IX-go. Jedzie z nim książę de Nevers, książę de Mayenne, marszałek de Retz, jedzie pisarz głośnej sławy Guy du Faur de Pibrac, jeden z obrońców Nocy św. Bartłomieja, cały poczet męźnej i znakomitej szlachty francuzkiej. Każdy odznaczył się już w jakiejś gałęzi służby królewskiej i do niej specjalnie jest przeznaczony. Pan Pibrac rozsiewa kwiaty retoryki w odezwach i przemówieniach królewskich, marszałek de Retz prowadzi wspaniałą orszak, książę de Nevers ma zbadać stan kraju, władzę króla, jego dochody, ma jako mąż stanu i finansista zawołany podawać rady, wskazać środki powiększenia skarbu królewskiego. Jemu to poleca także Katarzyna, aby jej „szczegółowo i otwarcie” pisał

<sup>1)</sup> Choisin J., Pamiętniki, przekład Turskiego (Ad. ks. Czartoryski), Wilno, 1818, str. 100—1.

<sup>2)</sup> Tytuł oryginału taki: „*Discours au vray de tout ce qui s'est fait et passé pour l'entière négociation de l'election du Roy de Polongne, divisé en trois livres. Fait par i t. d.*” Paris, 1574.

<sup>3)</sup> Czas napisania *Polonii*, która wyszła z druku w r. 1577 w Kolonii u Materna Cholina, nie jest dotąd ściśle zbadany. Ze powstała znacznie wcześniéj na jakie lat dziesięć, wskazałem w dziółku p. t. „*Maroin Kromer*” (Kraków, 1883), str. 34, nota 4. Na powitanie Henryka przesyła ją Kromer na ręce Karnkowskiego, do którego pisze: „*Polskę moję posyłam Wielebności Waszój, abys ją przed przybyciem króla uważnie przeczytał, a jeśli uznasz za godną, złożył królowi w mojem imieniu*” (*Epistolae oratorum virorum ad Carnoovium scriptae 1586*).



o wszystkiem, co w Polsce zauważy. Zapoznajmy się nieco lepiej z postacią tego polityka francuzkiego, bo jego to właśnie relacya, skreślona w r. 1574 dla zaspokojenia ciekawości królowej francuzkiej, jest przedmiotem naszej rozprawy.

## II.

Ludwik Gonzaga <sup>1)</sup>, książę de Nevers i RétHEL, pochodził ze znakomitego rodu włoskiego, który od XIV-go wieku dzierżył rządy księstwa Mantuańskiego. Wzniesieni, jak tyle innych domów, zahartowani w ciągłych wojnach granicznych, rozumną polityką i stanowczością postępowania, utrzymali się Gonzagowie dłużej niż inni przy władzy i przetrwali czasy tyranii. Odnaczały ich zaś przedewszystkiem dwie cnoty: zdolność powiększania majątku i skłonność do sztuk i literatury. Zdaje się, że pierwszy z tych przymiotów pozwolił im zdobyć tytuł najprzód margrabiów, a potem książąt mantuańskich. Piąty z rzędu margrabia, Federigo II, panujący od 1519—40, był ojcem Ludwika, który urodził się 18 września 1539 r. Nadarmo starała się matka zapewnić jemu następstwo w Mantui, gdyż w obec dwóch starszych braci musiał ustąpić im miejsca, a dorósłszy, pójść szukać szczęścia i zaszczytów poza miastem ojczystem. Udał się więc około r. 1555 w szesnastym roku życia do Francyi, gdzie odznaczył się jako odważny żołnierz. Francya stała mu się niebawem drugą ojczyzną. Kiedy w r. 1557 w bitwie pod St.-Quentin dostał się do niewoli hiszpańskiej, a wuj jego, stronnik Habsburgów, chciał go dla nich pozyskać, oparł się pokusie uzyskania za taką wiarołomność wolności, okupił się własnymi pieniędzmi i powrócił do Francyi, gdzie dalej walczył jako wierny sługa Walezyuszów w wojnach domowych z Hugonotami. Za nadzwyczajną dzielność, okazaną podczas obrony oblężonego przez anglików Hawru w r. 1563, zamianował go Karol IX-ty namiestnikiem posiadłości francuzkich w Piemencie. Tam to rozwinął Gonzaga zdolności znakomitego administratora i zasłynął z zebranego w krótkim czasie majątku. Uważając pieniądź za główną podstawę potęgi i władzy, nie zawahał się poślubić w r. 1565 Henryki z Kliwii (de Cleve), dziedziczki księstwa Nevers i hrabstwa RétHEL, która dla odrażającej brzydoty, dopóki nie była w posiadaniu dóbr swoich, nie znalazła żadnych konkurentów. Wkrótce uchodził książę de Nevers za najbogatszego pana we Francyi, do czego przyczynił się także spadek po babce jego, Annie z Alençon. Nie przeszkodził mu majątek rzucić się

<sup>1)</sup> Doctoris Antonii Possavini junioris: „Gonzaga,“ Mantuae 1627, dzieło o rodzinie Gonzagów współczesno, ale stronno i pobieżno. Świetny artykuł o Gonzagach w Erscha i Grubera Encyklopedyi, str. 128—129, za którym przeważnie idę. Z dzieł tam wymienionych, prócz powyższego, nie mogłem z żadnego korzystać.

powtórnie w wir wojny domowej i walczyć zażarcie po stronie Katarzyny Medycejskiej przeciw Hugonotom. Gorliwy katolik, bezwzględny w obec obcych przekonań, zwolennik Jezuitów, jak wszyscy jego krewni, ścigał Gonzaga kacerzy ogniem i mieczem. Nie wątpiono o tём, że brał czynny udział w nocy św. Bartłomieja. W jeduój z potyczek z Hugonotami został ranny w kolano, a rana ta przez całe życie mu dolegała, czyniąc go zgrzyźliwym, nieludzkim i w obejściu przykrym. Mimo to, jeszcze w r. 1573 szedł z Henrykiem na hugonocką twierdzę La Rochelle, a nawet aż do śmierci, która nastąpiła dopiéro w r. 1595, oręża nie składał.

Stały i wierny stronnik króla, niepospolity znawca politycznych nauk swego czasu, Gonzaga nadawał się doskonale na doradcę młogo króla.

Przybywszy do Polski wziął się natychmiast do pracy. Potrzeba było najprzód stosunki poznać, rozpatrzeć się w tём, co Henryk w nowém państwie zastał, aby nakreślić plan działania. Rzecz nie była łatwa. Królestwo Polskie było zupełnie odmienne od wszystkiego, co poznał na Zachodzie. Należało przedewszystkiém zrobić gruntowne studyum urzędów polskich. Oto jak nam tę pracę sam ks. Nevers opisuje w liście do Henryka, pisanym w chwili wyjazdu z Polski: „W miarę, jak się dowiedziałem o czémś albo zrobiłem sam jakie spostrzeżenie, zapisywałem je zaraz na osobnych karteczkach, których tyle się namnożyło, że trudnoby mi było wszystkie zebrać. Musiałem zaś tak postępować, bo starałem się nasamprzód sam poinformować możliwie dokładnie i szybko o wszystkiém, i wątpię, by kto inny w tak krótkim czasie zbadał tak szczegółowo Wasze państwo, jak ja to uczyniłem z chęci usłużenia W. K. Mości. Każdy, kto przychodził do mego pokoju o którymkolwiek czasie, zaświadczy, że mnie zawsze zastał piszącego.“ W tym celu ponawiały stosunki z kilku znakomitszymi ludźmi w Polsce, do których należeli biskup kujawski Karnkowski, Krzysztof Warszawski, Gwagnin, któremu niepomierne oddaje pochwały, Firléj i inni, prosił ich do siebie, wypytywał, badał, przeglądał akty podskarbińskie, kazał sobie spisywać memoryały; żydów nawet używał dla zasiągnięcia wiadomości o istotnym stanie rzeczy. Na tём spłynął mu miesiąc marzec na zamku w Krakowie. Już wygotowywał rady, do których miał się Henryk zastosować, kiedy król pod wpływem panów polskich kazał wyjeżdżać z Polski prawie wszystkim swym towarzyszom francuzkim; Gonzadze zaś w pierwszej linii, bo rady jego wcale nie podobały się w Polsce. Prócz tego i jako człowiek nie zyskał sobie Gonzaga sympatyj młodego króla, a tём mniej jego otoczenia, jak to sam wyznaje, że w Krakowie czuł się jak „skowronek między kobuzami;“ z rad zaś swoich uważa za stosowne usprawiedliwić się temi słowy: „Starałem się wykonywać polecenia W. K. M., jak umiałem najlepiej. Nie sądzę, bym zbłądził, doradzając przerwać posiedzenia senatu przed koronacją przemową, któraby była odwróciła uchwałę, powziętą przez owych niegodziwców odłożeniem koronacji do



Wielkiej Nocy, aby mieć dosyć czasu skrepować W. K. M. Podobnie sądzę, że nie byliście źle usłużonymi przez piękny protest wszystkich biskupów, do którego przystąpiło kilku senatorów, a także przez rozdział posłów mazowieckich, którzy nie szli z innymi, ale robili, co różni chcieli<sup>1)</sup>, równie jak partya województwa płockiego, a chociaż grożono im śmiercią, nie cofnęli się i pozostali wiernymi swym przekonaniom i przyrzeczeniom, co uczyniło takie zamieszanie między senatem i izbą poselską, że można było zbierać owoce, jakie chcieliście... Że kilkakrotnie widząc, jak utrzymywano Was w przekonaniu, że nie możecie usunąć pewnych artykułów do następnego sejmku, straciłem umiarkowanie w słowach, a prosiłem trzymać się przy swoim i powziąć postanowienie, jakiego użył w podobnym wypadku Zygmunt August; uczyniłem to tylko z chęci usłużenia W. K. M., co mi było tyle miłym, ile bolesnym opłakany stan zdrowia mego w czasie podróży“ i t. d.<sup>2)</sup> Z relacji L. Gonzagi dowiemy się jeszcze dokładniej, jakie to było owo przebranie miary w słowach, które rozgniewało króla i senatorów, i jakie to rady i opinie księcia wywołały burzę przeciw niemu. Tu dość nam stwierdzić, że Ludwik Gonzaga, znękanym dokuczliwym bólem nogi, rozgoryczony bezskutecznością swych usłowań, rozgniewany nagłym rozkazem wyjazdu, zebrał tylko luźne ustępy notatek nad ustawami polskimi i skarbem publicznym, kilka memoriałów i wskazówek, zaopatrzył to listem do króla i wyjeżdżając z Krakowa 20-go kwietnia 1574 r., złożył do jego dyspozycji na ręce posta francuzkiego p. Bellièvre. Niektóre ustępy z téj pracy, która przechowała się w kilku odpisach, ogłosił z kopii biblioteki arsenału w Paryżu w trzecim tomie wielkiego dzieła swego o Henryku Walezyuszu markiz de Noailles<sup>3)</sup>.

Z Krakowa udał się książę do Wiednia, gdzie z powodu silnych dolegliwości przez dłuższy czas zatrzymać się musiał. Tutaj napisał obszerną relację o Polsce w liście do Katarzyny Medycejskiej, datowanym w Wiedniu 20 maja 1574 r. Relacja ta, wynik owych poszukiwań i rozmyślań nad rządem w Polsce, liczy 72 stron in folio bitego pisma w dwóch poszytach („Cayers“), a zachowała się w oryginale w archiwum spraw zagranicznych (Archives du ministère des affaires étrangères) w Paryżu, w pierwszej księdze spraw polskich („Pologne“), z którą ją przepisałem. W téj samej księdze znajdują się także inne memoriały o Polsce ks. de Nevers, które są ledwie w drobnej części znane.

<sup>1)</sup> Na czele posłów mazowieckich stał Krzysztof Warszawicki, oddany zupełnie księciu de Nevers, jak widać z relacji.

<sup>2)</sup> Ustępy powyższe znajdują się w liście ks. Nevers do króla, ogłoszonym w dziele de Noailles'a, t. III, str. 29—32.

<sup>3)</sup> Copie d'un livre que M. le duc de Nevers a laissé au roy de Pologne a son partement de Cracovie le 20 Avril 1574. Inny w Bibliotece narodowej fonds français 3,274.

Jako pismo męża stanu wybitnego talentu i gruntownych, chociaż krótkich studyów, jako wylew całej goryczy i złości, którą ze sobą uwoził, jako poniekąd miara zapatrywań innych francuzów otaczających króla, zasługiwałoby ono już na baczną uwagę. Zasługuje na nią także jako pomnik historyczny, oddający dosyć wyraziście sposób panowania i kilka chwil z krótkiej epoki Henrykowej.

Jest jeszcze jeden moment ważniejszy. Pomijam, że Ludwik Gonzaga był przyjacielem Possevina i zapewne udzielał mu wskazówek w chwili jego dyplomatycznej misji do Polski. Książę de Nevers był w prostej linii dziadkiem Maryi Ludwiki, córki syna jego, Karola, księcia mantuańskiego (1627—37), żony zaś Władysława IV-go i Jana Kazimierza. Nie mamy zaś na myśli samej tylko tradycyi rodowej, która w chwili powołania jej na małżonkę królów polskich, żywo obudzić się musiała i przypomnieć opowiadania dziada, jego uwagi i spostrzeżenia o Polsce, zachowane zapewne w rodzinie, ale mniemam, że ktokolwiek zna nieco dokładniej postępowania, wyrażenia (w korespondencji) i rady wpływowej tej u nas pani, czytając tę relacyą przypomni ją sobie nieraz i nabierze przekonania, że ją znać musiała. Jeżeli by zaś to się dowieść dało, rady ks. de Nevers będą miały dla nas niepospolitą wagę, a spostrzeżenia jego, jakkolwiek nie miłe, historyi przypomnieć należy.

### III.

Autor zagaja rzecz swoje temi słowy: „Czyniąc zadosyć poleceniu, które raczyła mi poruczyć W. K. M., abym Jój doniósł otwarcie i szczegółowo o wszystkiém, co dostrzegłem dobrego i złego w Królestwie Polskiém, z którego król, wasz syn, może być w części niezadowolonym, w części zadowolonym, przyjdzie mnie być nieco rozwlekłym. Chciałbym bowiem oświecić w zupełności W. K. Mość, ponieważ wiem, że życzy sobie tego i mnie poleca, aby wyrobić sobie pewny sąd o rzeczy. W każdym razie będę, o ile możności, treściwym, błagając najpokorniej W. K. M. o przebaczenie, jeżeli nie zadowolę całkiem Jój życzenia, témbardziej, że krótkość czasu stawia mi tu pewne trudności. Zresztą jestem jeszcze osłabionym wskutek wielkich bólów, tak długo trwających, a chora moja noga będzie może powodem, że zapomnę o czémś, co W. K. M. raczy mi wybaczyć. Upraszam także, aby W. K. M. ze chciała odczytać ten mój traktat na osobności, ponieważ go w tej intencji pisałem, t. j. mówię w nim bardzo swobodnie o wszystkiém, co należy. I tak rozpocznę od tego, co można o Polsce złego powiedzieć, aby potem, kiedy powiem także, co w niej dobrego poznałem, sformułować mój sąd o jój stanie.“

I tutaj rozpoczyna się właściwa relacya, którą najlepiej podzielić na dwie części: na jedną ogólną — o charakterze polaków, o rządzie i sposobach dojścia do większej władzy — i szczegółową, zajmującą się



wyłącznie dochodami królewskimi. Pierwszą podają obszernie, bo była dotychczas zupełnie nieznaną; drugą w streszczeniu, bo zasady finansowe księcia Nevers można poczęści wywnioskować z memoriałów jego, wydrukowanych w dziele Noailles'a. Gonzaga rozpoczyna od opisu stron ujemnych Rzpltej, przyczem znajduje pożądaną sposobność wylania całej swój żółci na nasze stosunki. Posłuchajmy go wszakże cierpliwie, uwzględniając jego położenie nie bardzo miłe; spostrzeżeniom, chociaż cierpkim a nawet złośliwym, nie odmówimy przecież dzisiaj pewnej bystrości.

„Uspodobienie polaków wydaje mi się nieznośnym, gwałtownym i zarozumiałym. Kto im okaże nieco ufności i przychylności, bardzo łatwo jój nadużywają. Posiadają wadę, że nie umieją utrzymać nic w tajemnicy. Prędko i łatwo zmieniają się, bo są niestali w przyjaźni, sądach i chęciach, co jest powodem, że od pierwszego razu, kiedyście ich poznali, zdobywają sobie zupełnie waszę przyjaźń dla wielkiej łatwości towarzyskiej, która ich odznacza, ale obcując z nimi dłużej, traci się wielką część dobrej opinii, jaką powzięto się o nich. Być może, że ponieważ mało z uimi przestawałem, znajduję wcale nie wielu dowcipnych, z którymi mógłby król, wasz syn, mieć przyjemność rozmawiać poufale. A sądzę, że prawie niema takiego, z którym można mówić o sprawach świata; ja przynajmniej nie spotkałem ani jednego. Dostrzegłem u większej części pomieszenie i niepewność wiadomości; w wykonywaniu spraw poleconych im na usługach króla wielki brak sądu. Nie leży też w ich charakterze uprawiać jakąkolwiek cnotę, lub oddawać się przystojnym ćwiczeniom okrom polowania. Nie są wcale zręczni w turniejach pieszych, a nie mają wcale dobrych koni, by walczyć z konia, gdyby to nawet potrafili. Wątpić należy niemal o wszystkich, czy wytrwają w obietnicy, daniej dnia poprzedniego. Oddają się prawie wszyscy pijaństwu, w czém przewyższają Niemców. Lubują się nadzwyczaj w miewaniu mów długich i w wypowiadaniu swobodnym królowi, co im ślina na język przyniesie. Większość tak mało jest chętną, że nie zrobiłaby jednego kroku, nie powiedziała jednego słowa, jeśli nie widzi w tém korzyści dla siebie. Zwyczaj ten wprowadził ostatni król, który nie wymierzał sprawiedliwości, jeśli nie miał z tego zysku i często sądził niesprawiedliwie, jeśli otrzymał więcej pieniędzy od strony, która nie miała słuszności<sup>1)</sup>. Bardzo często, gdy chcą prosić o coś króla, opowiadają mu najpierw o jakiejś wieści niepokojącej, udzielają niedobrych nowin, ofiarując przytęm swoje usługi i takim fortelem starają się dopiąć swego.

Co się tyczy ich religii, jest po większej części taką, jaką podrytuje im kaprys bez oglądania się na Pismo Święte, raczej aby się podobać przyjacielom swoim, aniżeli w innym celu; częstokroć słyszałem zapytanych o wyznanie wiary, że wierzą w to, w co wierzy ktoś inny,

<sup>1)</sup> Historia tego sądu nie potwierdzi.

przez co dają świadectwo, że własnego przekonania nie posiadają. Mówię tu o należących do Kościoła. Jest także wielu panów, którzy są katolikami raczej z miny (?) niż w istocie, bo co do samej szlachty, a zwłaszcza biednego ludu, ci są katolikami gorącego uczucia. Herecyty zaś postanowili wypędzić proboszczów z swoich parafii i nie płacić dziesięcin. Są oni zresztą skąpi, próżni, a więc także ambitni. Oto, co dostrzegłem brzydkiego w charakterze polaków.“

Jakaż dziwna mieszanina trafnych spostrzeżeń i niesprawiedliwych wymyślań! Bo, że niektóre z tych ujemnych stron są uchwycone bardzo bystro, chociaż wyrażone dużo za skrajnie, któż zechce przeczyć np. o tém lubowaniu się w długich przemówieniach, o nieochowywaniu tajemnic lub łatwém nadużywaniu przyjaźni. A choćbyśmy téż nie przyznali racji rozgniewanemu włochowi, dziwna zgodność wielu relacji, bieg spraw w najbliższej przeszłości, mianowicie w kwestjach religijnych, musi nas wywieść z błędu zapoznawania wad narodowych, przynajmniej owego czasu, o którym mówi. Nasuwa się pod tym względem bardzo ciekawe i bardzo pouczające porównanie, bo każdy z pisarzy, obcych i naszych, kreśli charakterystykę owoczesnych polaków t. z. ingenium, na co humaniści baczną zawsze zwracali uwagę. Zarzut giętkości charakteru, podobno wada całego wieku, niedotrzymywanie obietnic i nieochowywanie tajemnic, wielomówność nawet, zauważył już Długosz w swojej historii. O ucztowaniu, nadmierném używaniu napojów wspominają Ruggieri i H. Lippomano. Pierwszy, rzecz dziwna, używa nawet tych samych słów: „Na ucztach i biesiadach dużo piją, w czém przewyższają samych nawet Niemców“<sup>1)</sup>; Lippomano zaś ostro skłonność do pijatyki piętnuje (tamże, str. 252), a bierze to, zdaje się, z Polonii Kromera, bo i tam osobny ustęp pijaństwu jest poświęcony<sup>2)</sup>. Ten sam Kromer także o uprawie nauk wyraża się niezbyt pochlebnie: „Wolą dowiadywać się troskliwie o wynalazkach obcych, niż sami coś wymyślać i zgłębiać, gdyż niechętnie poświęcają się jednej nauce lub sztuce; pragną wiedzieć wiele, choćby mniej gruntownie.“ Zupełnie podobnie Ruggieri na dzieśięć lat przedtém: „lubo pojętni, nie wchodzą w głębsze poznanie rzeczy, łatwiej się uczą tego, co już odkryto, niżeli sami zadają sobie pracę, aby coś odkryć w naukach i sztukach, a sekunduje mu późniejszy Lippomano tak dalece, że nieraz możnaby sądzić, że jeden z drugiego korzystał, pytanie tylko kto z kogo? <sup>3)</sup>.

<sup>1)</sup> Relacje nuncyuszów apostolskich i innych osób o Polsce. (Wyd. bibl. pol. w Paryżu. Berlin i Poznań, 1864, t. 2-a). Tom I, str. 131.

<sup>2)</sup> Maroína Kromera „Polsku“, przełożył Władysław Syrokomla. Wilno, 1853, str. 52—4.

<sup>3)</sup> Pokrewieństwo Polski Kromerowej i niektórych relacji, mianowicie Ruggieriego (1565) i Lippomana, jak i tych sprawozdań poselskich między sobą, musi uderzyć każdego, kto je uważnie odczyta. W obec okoliczności, że „Polskę“ napisał Kr. prawdopodobnie przed r. 1568, nasuwa się



O religijnym stanie Polski z r. 1572 wiemy z kąd inąd także, że przekonania były chwiejne, niestałe, kołyszące się między drogą wiarą ojców a powabem nowinek, ku którym polacy zawsze miewali pociąg. Ale to, co o braku zręczności i waleczności mówi, zdaje się nie grzeszyć bezstronnością i jest chyba wynikiem złego humoru; sprzeciwia się też w tym zarzucie Gonzaga wszystkim bez wyjątku opisom: „Wprawdzie długie lata pokoju pogrążyły wielu w próżnowanie, nie zaginał jednak hart duszy, odwaga i ćwiczenia w sztuce wojennej“ (Kromer, str. 32). Najsilniej przemawia może przeciw niemu sprawozdanie drugiego, nie mniej bystrego spostrzegacza, biskupa Montluca, który (wedle słów Chojsnina) w relacji „wynosił pod niebiosa męstwo, odwagę i zręczność rycerstwa polskiego.” Podobnie o słynnej w w. XVI-ym (i XVII) konnicy polskiej Bernard Bongiovani w r. 1560 (str. 98) Ruggieri, Lippomano i inni dziwy wypisują.

Ale pozostawmy tę szczegółową krytykę — rzeczy dosyć nieuchwytną, jaką jest istota wewnętrzna całego narodu, i słuchajmy dalej, co wytyka ks. de Nevers ustrojowi, urządzeniom i sądownictwu w Polsce.

„Wymiar sprawiedliwości jest u nich tak zawity, że sami częstokroć nie wiedzą, jak postąpić. Będąc zaś skłonnymi do zmian, żądają na każdym zgromadzeniu nowych praw, które zalewają tak bardzo ich statuta, że w wielu wypadkach nie wiedzą, wedle którego prawa sądzić, bo mają ich kilka sobie zupełnie sprzecznych. Proszą więc teraz króla, aby im pozwolił poprawić statuta.

Wielka swawola panuje pomiędzy szlachtą, ponieważ, gdy się ich nie schwyta w 24 godzin po czynie, nie wolno ich więcej ścigać jak tylko cywilnie, bo nikt nie może sądzić ich sumarycznie (s o m a i r e m e n t), nawet król nie, z czego wynika, że uwięzienie odracza się, szczególnie kiedy zachodzą większe wypadki, których nie może król sądzić tylko na sejmie. Sprawia to, że sprawiedliwość bardzo się przewleka, jeżeli strona przeciwna nie jest dość silną i zapobiegliwą. Pozwalali też sobie w ostatnim dziesiątku lat przez niedbałość ostatniego króla, bezkarnie robić, co im się podobało <sup>1)</sup>.

„Król nie ma żadnego środka ukarania absolutnie (?) szlachcica; jeżeli mu uczyni przykrość niema nawet władzy uwięzienia go, z wyjątkiem wypadków, określonych w statutach. Co więcej: nie może złożyć z urzędu żadnego urzędnika, czy to wielkiego czy małego, zwanego ziemskim, a jeszcze mniej odjąć folwark czyli starostwo temu, kto je dostał w posiadanie.

---

pytanie, czy nie służyła w rękopisie obu relacyom za podstawę. Być też może, że wiele uwag umieszczonych w Polonii razem, a w różnych miejscach przedtém w Historii Kromera zapisanych, spowodowały to podobieństwo. Rzecz w każdym razie godna bliższego rozbioru.

<sup>1)</sup> ...d'aller au travers les champs mangeant le bon homme sans payer...

Dobra króla są albo w zastawie albo przynoszą tak mało, że wedle tego, co mi powiedział podskarbi, nie można ich cenić rocznie więcej, jak na 106,203 złotych. Na tych 106,203 złotych cięży wydatek 50,000 złotych pensyi, które ostatni król nadał w ciągu swego życia i przywilejami zatwierdził różnym osobom za ich życzliwe usługi, dalej wydatki infantki około 40,000 zł., potem roczna płaca Tatarom, wynosząca 30,000 dukatów węgierskich na rok, których połowę płaci skarb litewski, tak że na Polskę spada druga połowa, co czyni 27,000 złotych. Prócz tego na zamki graniczne idzie 15,000, na podarki ambasadorom książąt zagranicznych około 10,000, na powrót do domów posłom sejmowym 7,000; co wszystko razem daje sumę 149,000, tak, że wydatki przewyższałyby dochody o 42,797 zł. a król nie miałby z czego żyć. Co się zaś tyczy dóbr na Litwie, są one podobnie zupełnie zaangażowane, sprzedane lub rozdane. a jak mi mówił pan de Pibrac nie przynoszą królowi więcej nad 30 lub 40 tysięcy zł. rocznie, ale o tém nie jestem dobrze poinformowany. Król zaś ma zapłacić na ś. Jan 200,000 złotych wojsku, wedle artykułów i przysięgi, ma utrzymać armię morską, któraby powstrzymała żeglugę na Narwie, co jest dla nas wielkim ciężarem.

Większa część senatorów oraz wielu ze szlachty zajmuje dobra królewskie w taki sposób, że byłoby nader trudno odzyskać je wkrótce, bo prawie wszyscy są temu przeciwni, jedni bezpośrednio inni pośrednio.

Na sejmie nie może król nic zdziałać bez pomocy senatorów, do których musi pisać, zasięgając ich rady. Nie może też król ustanowić żadnego prawa, jeżeli sprzeciwią się jemu senatorowie i posłowie ziemscy, których wybiera szlachta, a prawdę powiedziawszy sejmy oporną mocno władzy królewskiej, bo doszły do wielkiej zuchwałości za czasów ostatniego króla i trudno będzie rychło ją ukrócić. Także nie może król podjąć wojny bez przyzwolenia stanów. Wszystkie sprawy państwa, jak podatki i daniny, zmiany kursu monety, alianse i układy z innymi władcami i t. p. zależą od stanów. Nie może nawet król ustanowić nic w sprawach zwyczajnych, codziennych bez rady senatorów, którzy są u jego boku. Również nie wolno mu przesłuchiwać ambasadorów książąt obcych w nieobecności senatorów.

Senat zaś składa się z ludzi, którzy są wszyscy bardzo nudni (uwaga wyłącznie francuzka!), a gdy traktuje się jaka ważna sprawa, krewni i przyjaciele stron nie zostają w domu, ale chcą mieć także głos, powiadając, że przysięgali królowi mówić prawdę, a więc nie baczają na to, co ich dotyka; są zaś namiętniejsi niż same strony interesowane.

Można powiedzieć, że nie ma ani jednej twierdzy w Królestwie, któraby była coś warta. Gdańsk, piękny port morski, podlega tylko w połowie królowi, bo nie ma on z niego tych korzyści, któreby mógł ciągnąć, gdyby był zupełnie w jego mocy, ponieważ tam składa-



ne bywają wszystkie towary, które wchodzą i wychodzą z Królestwa Polskiego.

Gdy rzucimy okiem na kraj zobaczymy, że chaty wiosek są z drzewa i słomy, a nie znajdziesz tam ani jednego domu murowanego. Nie mają wcale mebli po domach; mówią, że to z przyczyny pożaru, bo co sto lat wszystkie wsie i kilka miast w Polsce do szczętu spłonę; to podało u nich meble w pogardę, zwłaszcza, że nie przywiązują się do takich rzeczy.

Wieśniacy są wszyscy niewolnikami swych panów, którzy mogą ich zabić i upiec (tuër et grillèr), jeśli chcą bez odpowiedzialności, a gdy szlachcic zabije chłopca swego sąsiada, płaci tylko 10 talarów (escus). Zresztą ci biedni chłopci nie mogą nic na własność posiadać, bo wszystko należy do szlachcica, ich pana. Żaden zaś szlachcic nie może mieć drugiego szlachcica za lennika lub poddanego, z wyjątkiem biskupa krakowskiego i proboszcza płockiego, który pierwszy ma Księztwo szląskie, przyłączone do jego biskupstwa, drugi część Księztwa mazowieckiego. Ale zasada ta nie obowiązuje Litwy, bo tam książęta i znakomita szlachta ma wasalów szlacheckich.

Oto wszystko, co sobie przypominam, że poznałem złego w tém królestwie, co pewnie nie podoba się i gniewa króla, syna W. kr. M. Być może, że są jeszcze inne podobne rzeczy, ale tych nie przypominam sobie, albo też nie doszły do mojej wiadomości.“

Wszystkie te ujemne strony w ustroju Rzeczypospolitéj: brak unormowanego sądownictwa i co za tém idzie swawola społeczna, skrzępowanie króla, niedostateczna obrona granic, niedola chłopca—wszystkie one nam dzisiaj dobrze znane, wtedy wszakże w kraju dostatecznie i właściwie nie były pojmowane w swojej potworności. Na brak sprawiedliwości, prawda krzyczano, ale zaradzić złemu nie umiano. Kromer zgromił swawolę szlachty, ale sądzono, że czyni to z powodu swego stanowiska osobistego i duchownego. Przebrzmiały potężne głosy o reformy takiego Modrzewskiego a już się znalazł pisarz, który wprost wypowiedział, że „zastanawiając się nad dawnymi i nowszemi rzeczypospolitemi, przekonywa się, że Polska bardzo mądrze jest urządzoną;” że to rzecz bardzo słuszna, aby króla niebacznie postępującego ostro napominali senatorowie” <sup>1)</sup> i t. p.

Napisał więc Jan Krasiński pierwszą apologią rządów szlacheckich. Nie burzy się tego, co się wielbi. Teorya, wyznawana po cichu, uzyskawszy raz sankcyą, rosła szybko aż do potworności. Ale obcy widzieli już wtedy po jakiej pochyłości bieży Polska. Alojzy Lippomano ze zgrozą donosi papieżowi, że namnożyło się gwałtów, mordów i rozbojów bez liku (str. 65); Moroni pisze, że biada temu kto w Polsce słabszy (str. 86). Zwłaszcza władza szlachty nad kmieciami zdziwienie i oburzenie wywołuje. Krasiński nazywa to uświęconym po ojcach zwyczajem! Wspominają także wszyscy, że dochody królewskie są szczupłe i bardzo niedostateczne, że twierdz granicznych ni

<sup>1)</sup> Jana Krasińskiego, Polska (Warszawa 1852) str. 43, 59.

obrony dobrze urządzonej nie ma. Cyfry podane przez ks. Nevers, chociaż zestawione z umyślną przesadą, polegają na autentycznych danych. Do przedmiotu tego jeszcze powrócę.

## IV.

Po tém przystępuje Gonzaga do tak nazwanych przez niego dobrych stron charakteru polaków. Pożal się Boże czytać te pochwały, przypominają one chyba pochwały, oddawane nam przez Niemców w dzisiejszych czasach. Są one w rzeczywistości gorszą uagana niż to, co poprzednio słyszeliśmy. Rady jednakże, które na podstawie swego wywodu daje, są wielce charakterystyczne i ze wszech miar godne powtórzenia.

„Mają polacy takie złe o sobie wyobrazenie, tak brzmi pierwsza nasza zaleta, że naśladową bezwzględnie to, co poznają u innych. Nabierają manier krajów, w których się wychowują. Wasza K. M. mogła zauważyć marszałka Radziwiłła, pana Tomickiego i pana Marcina, jak oni są podobni do Włochów, bo się kształcili w szkołach tamtejszych. Macie tam pana Kazimierza, który ma ułożenie zarazem francuzkie i włoskie, ponieważ chował się w obu krajach. Zresztą znała W. K. M. także hrabiego Krzysztofa i jego brata, który przywiózł szpadę od papieża, i wie ile przejął jeden z Francyi i Niemiec, drugi z Francyi i Włoch. Mógłbym podać wiele innych przykładów jak łatwo okrzesać charakter polaków. Król, Wasz syn, będzie mógł ich wedle własnego uznania pokierować, co jest bardzo do życzenia.“

O tój t. zw. zalecie polaków wspominają także inni i to prawie zgodnie: lubią obce stroje, zwyczaje, języki i t. d. (Ruggieri, Kromer, Lippomano).

„Mają i tę zaletę, wywodzi nasza relacya, że chociaż są natrętni, nieznosni i zarozumiali, mimo to lubią być prowadzonymi a nawet sami w tém pomagają, jeśli im się powie, że chodzi o powagę ich króla, z wyjątkiem w sprawie ukrócenia wolności. Łatwo utrzyma się ich w uległości jeśli się okaże silną wolę.“ (Uwaga bardzo trafna. To samo mówił Moroni w r. 1560: „Król czynny, niemalowany mógłby wiele dokazać.“ W praktyce okazał rzecz Batory). „Ponieważ łatwo nadużywają łask, nie należy im dawać za wiele. Gdyby usposobienie króla było tego rodzaju, że oddawałby się chętnie w czyjeś ręce zupełnie i zwierzał mu się ze swych myśli, trudnooby było znaleźć tutaj osobę takiego zaufania godną, bo nie umieją dochować nic w tajemnicy. Ale nie mówiąc połowy z tego, co się myśli nawet temu, komu się powiada, że jest powiernikiem, sędzę, że łatwo będzie powstrzymać się od udzielenia rzeczy, której nie chce się mieć powtórzoną i obędzie się bez powiernika. A prawdę powiedziawszy, nie dobrze byłoby zwierzać się, mając do czynienia z tak wielu i tak różnymi ludźmi, i zachowywać się w obec nich niejednakowo. Sędzę, że w ten sposób będzie król znał wszystkie ich intencye i zamiary.“



„Prawda, że są gwałtowni i krnąbrni, ale gniew ich nie trwa długo, gdyż, jeżeli im się stawi czoło w wielkiej ich furii, ale łagodnie, miękko zaraz, a w końcu tracą całą złość swoją i najczęściej dają się powodować wedle życzenia. Królowa Bona, która dobrze ich znała, porównywała Polaków z piwem, które świeżo zrobione rozsadza beczki, ale wkrótce, gdy się ostoi, traci siłę i ostrość.“ Rys bardzo bystro, jak mniemam, uchwycony.

„Że nie są ludźmi bystrego pojęcia i miłej rozmowy, ludźmi, którzyby oddawali się literaturze i sztukom, nie są przeto mniej zdolnymi do usług króla, syna W. K. M. Mają niektóre formy rządu republikańskiego, które znaczą mało raczej z powodu ich ignorancyi jak woli; gdyby zaś umysły rozbudziły się, mogliby zamącić wiele rzeczy, co przyniosłoby przykrość i szkodę J. K. M. Miałem mały przykład na staroście bełzkim <sup>1)</sup>, który posiadając trochę wiedzy i umysł rozbudzony, chce poznać sprawy państwa, aby nabrać znaczenia między swoimi. Narobił też dużo krzyku razem z posłami ziemskimi nad artykułami, co wytworzyło kłótnie i swary, a wysuwał ciągle naprzód dobro Rzeczypospolitej. Bardzo to niebezpieczne, zwłaszcza gdy tacy ludzie jak ten, o którym mówię, wybrani są posłami. Otóż dla tego wnoszę, że to, co chętnie widzę u innych narodów, literatury i cywilizacyi nie chciałbym rozwijać u Polaków a to zarówno z tej przyczyny, jako też, że gdyby byli bardziej wykształconymi, oddawaliby się więcej wygodom i rozkoszom, a nie chcieliby ponosić ciężaru wojny, który jest bez wątpienia bardzo wielki w tym kraju, przeciw Moskwie i Turkom. Żaden inny naród nie mógłby wytrzymać tych znojów, tego zimna i ciągłej pracy lub obozowania pod gołym niebem w cieniu drzew, na wozach, mając za posłanie tylko dywan turecki; pozostają nieraz jeden, dwa dni bez jedzenia, żywią się kawałami źle przyrządzonego mięsa. Oto dla czego chwalebę ich ciemnotę i dzikość i radzę utrzymywać ich w tym stanie dopóki nie zdobędzie sobie król władzy absolutnego panowania. Mówię to w ogólności, bo oczywiście dobrzeby było, gdyby król miał przy sobie kilku inteligentnych ludzi, którzyby byli jego faworytami.

Ta uwaga i rada charakteryzuje księcia Nevers. W ten sam sposób stara on się dalej wytłómaczyć Katarzynie inne przywary Polaków jako strony dobre t. j. korzystne dla Francuzów:

„Nie są tak waleczni jak Francuzi, Włosi, Niemcy i Hiszpanie, ale są mężniejsi od północnych ludów i Tatarów, chociaż narody te przewyższają ich liczbą. Nie obawiają się walki, gdy są nawet w mniejszości jednego przeciw czterem; tak dalece, że w porównaniu z nieprzyjaciółmi należą ich uważać za odważnych i walecznych. Jeżeli zaś nie są zręcznymi w robieniu bronią, w turniejach pieszych i konnych, jest to niewątpliwie wada, ale brak ten łatwo naprawić można

<sup>1)</sup> Był nim, jak wiadomo, Jan Zamojski, późniejszy kanclerz.

ćwicząc ich w tém rzemiośle, jak to się dzieje we Francyi. Jestem nawet zdania, że król powinien utworzyć rodzaj milicyi, tak konnej jak pieszej: około 16,000 koni a 10,000 piechoty, dotąd niema tego w Polsce, a stosunki sprzyjają przedsięwzięciu. Sama nawet szlachta, która nie posiada środków pójścia na wojnę konno, jako téż wielu mieszkańców miast i wiosek, którzy nie byłiby zdolni w strzelaniu z rusznicy, nosiliby chętnie pikę lub halabardę, a uczyniliby to bez żołądu, gdyby im nadano pewne przywileje i zaszczyty; trzebaby ich tylko ubrać i uzbroić. Moznaby zwoływać to wojsko trzy lub cztery razy do roku i przyzwyczajając do władania bronią z wdziękiem i zręcznością, jak my to umiemy. A nie byłby na tém koniec. Gdyby bowiem król potrafił uformować tego rodzaju wojsko, mógłby wtedy powiedzieć, że jest królem absolutnym, ponieważ miałyby na swoje usługi każdej chwili połowę armii, aby ukarać nieposłusznych i nakazać szacunek dla siebie; służyłaby ona także przeciw Moskwie i innym wrogom i do obrony, gdyby go nagle napadnięto. Ale jeszcze teraz nie czas po temu, bo wzniciłoby to podejrzenie i dla tego lepiej, aby taka myśl wyszła niejako od jednego z nich a wcale nie od króla, aby nie podejrzewali czegoś złego. Wspomniałem o tém J. K. M. kiedyś odjeżdżał. Konie mogą sobie sprowadzać jak my, z Włoch, Niemiec i Turcyi, bo są bliżej tych krajów; mogą téż wychodować kilka stadnin, wprawdzie nie koni szlachejnych z powodu srogości klimatu, ale kobylic (*chevaux de frise*), których my używamy we Francyi. Tym sposobem będzie ła-two urządzić milicyą, o której myślę."

Po téj radzie bardzo trafnej i bardzo praktycznej, której niestety nie miał czasu usłuchać Henryk, a następcy jego nie chcieli czy nie mogli przeprowadzić, wraca znowu książę do rozważania umysłu polskiego.

"Niestakość w przyrzeczeniach jest także wielką ich przywarą. Ale jeżeli król potrafi obchodzić się z nimi i ukarać tych, którzy raz nie dotrzymają obietnicy, zrobi to ich stałymi. Jeżeli ma czyjąś sprawę rozstrzygać, zwłaszcza sądową, powinien król korzystać ze sposobności i polecić jemu wykonanie czegoś potrzebnego i honorowego. Sprawa utrzyma go w posłuszeństwie, a król dojdzie swego zamiaru. Obawiam się tylko, czy nie będzie to połączone m z kłopotem i trudem.

"Nałóg pijaństwa (tak mówi dalej w iście machiawelowskim swoim traktacie) stanowi jedyną ich rozrywkę i sprawia, iż nie myślą o innych pło-nych i niecnotliwych rzeczach. Dla tego sądzę, że należy im pozostawić tę uciechę a nie przyzwyczajając do wstrzemięźliwości, która by mogła rozjaśnić ich umysł i skłonić do myślenia o rzeczach o wiele szkodliwszych niż picie.

Zwyczaj ich miewania mów długich i wyrażania w pięciuset słowach, coby mogli powiedzieć w czterech, jest próżnością wrodzoną im nieszkodliwą, która daje im zadowolenie; trzeba tylko cierpliwie ich wysłuchać. Czasami rozmawiają téż zbyt swobodnie z królem, a zwłaszcza senatorowie, którzy twierdzą, że mają przywilój napomi-



niania króla (to czytamy w Polsce Krasińskiego). Nie należy oburzać się na to, jeżeli rzecz nie jest nad miarę kołącą, nie trzeba odpowiadać ze złością, lecz łagodnie od siebie odsunąć. Bywało też już, że król nie miał słuszności. Przeciwnie zdarzyło się, że senator był niezadowolonym, gdy król skromnie i zimno dał mu do poznania jego głupotę i zuchwałość. Każdego to zadziwi, a inni będą się wyśmiewać z niego, poczem dwa razy się namyśli, nim zechce dawać napomnienie królowi. Nie należy też takim udzielać żadnej łaski.

To też, co zdaje się w nich złem, że tak mało są względem siebie uprzejmi (*d'estre si peu charitables les ungs aux les (!) aultres*) uważam za dobre, bo brak przyjaźni nie łączy ich i przeszkadza związaniu lig i powstaniom.“ Nawet niestałość w religii nie uważa ks. Nevers za złą, bo jak słusznie mówi, szybciej skłonią się ku wierze króla, bądź jego przykładem zachęceni, bądź jeszcze bardziej przez dobrodziejstwa, jeżeli je będzie dawał katolikom. „Tym sposobem za lat kilka będą wszyscy katolikami, a szczególnie przedniejsi obywatele, jeżeli ich król potrafi uczynić zawistymi od siebie. Ale w takim razie musi J. K. M. zmienić zupełnie dotychczasowe postępowanie, bo aż do téj chwili faworyzował nieco za mocno heretyków, mianowicie Krzysztofa Zborowskiego. Kasztelanie przemyską i podlaską, poznańską i mińską (?) <sup>1)</sup> dał heretykom. Podskarbi nadworny, senator mieszczący przy nim, jest heretyk <sup>2)</sup>. Stało to się zaś raczej przez nadzwyczajne natręctwo ich niż dobrowolnie.“ Należy wprawdzie okazać, że król pragnie, aby brali udział w sprawach państwa jego także heretycy, ale (wedle rady, którą dałem J. K. M.) dawać im z czterech lub pięciu wakansów najmniejszy. Powinni wiedzieć, że król woli katolików, aby nawrócić ich do kościoła. „Jest-to jedyny środek, łagodny i uczciwy, którego może król użyć w téj sprawie, bo niech wcale nie sądzi, że zdoła ich zmusić do swéj religii, przeciwnie partya ich z każdym dniem wzmacnia się będzie, zwłaszcza jeżeli będą traktowani na równi z katolikami, bo natura tych ludzi ciągnie silnie do złego niż do dobrego, i ciągle nowych werbują sobie zwolenników. Chcieć z pomocą siły zmusić ich do nawrócenia się byłoby wielkiem szaleństwem (*grande follic*), a w tém królestwie większem niż gdzie indziej <sup>3)</sup>. Z tego zaś, co widzę, boję się, aby J. K. M. nie uległa złym radom, bo już po moim odjeździe umarł wojewoda krakowski a nastąpił po nim wojewoda sandomierski <sup>4)</sup>, co znaczy, że zwiększyło się znacze-

<sup>1)</sup> Byli nimi: Andrzej Wapowski, Adam Kosiński, Piotr Czarnkowski, Jan Hlobowicz.

<sup>2)</sup> Hieronim Bużeński.

<sup>3)</sup> W obec téj bystrzej uwagi ks. Gonzagi powinni historycy nsi, idący za powagą Leop. Ranko'go, zmienić swoje doktrynę co do téj kwestyi i nie robić za nią odpowiedzialnymi Jezuitów, oraz posłusznych rzekomo ich radom królów St. Batoroego i Zygmunta III-go. *Red.*

<sup>4)</sup> Umarł Jan Firley, nastąpił Piotr Zborowski.

nie heretyków, a to w dodatku w Krakowie, stolicy królestwa, zkaż król powinien starać się o wyrugowanie sekt i predykantów (kaznodziejów). Z drugiej strony radziłbym podnosić dobrych katolików a szczególnie pana Andrzeja Zborowskiego i marszałka nadwornego <sup>1)</sup>, który jest perłą dobroci wśród tego narodu. Co się tyczy wypędzenia proboszczów przez heretyków, dobrze byłoby to naprawić, tém bardziej, że sprzeciwia się w zupełności ich konfederacyi <sup>2)</sup>, której bynajmniej przez to uwzględniać nie chcę, ale jeżeli sami ją uchwalili, niechże się téż jęj trzymają, a księża niech pozostaną przy swych kościołach." „Do płacenia dziesięcin dadzą się łatwo nakłonić, bo są do tego przyzwyczajeni.“

Tak wytlómaczywszy królowej matce wszystkie przywary polskie na dobre, dodaje jeszcze jedną zaletę, która nas zadziwi. Nie wiem, czy jest prawdziwą, ale jeśli jest nią, tośmy później nabyli coś wprost przeciwnego. „Jednym z dobrych przymiotów — tak się kończy owo rozpamiętywanie „zalet polskich," który spostrzegłem w Polsce i dla czego Polaków więcej kocham (!) jest, że nigdy nie klną i nie mają ustanowionych przekleństw; są téż śmiertelnymi nieprzyjaciółmi tego brzydkiego nałogu, który poczyna panować w innych państwach; a w tym ostatnim względzie podobni są do Niemców.“

## V.

Po tém przechodzi książe do rad, które uważa za stosowne, ażeby je matka udzieliła królowi.

„Ponieważ nie ma Polaka, z którymby król mógł śmiać się i bawić, jak to książęta zwykli czynić z osobami, które zbliżają w tym celu do siebie, powinien znajdować się przy nim zawsze jakiś szlachcic francuzki lub włoski, który mu będzie opowiadał co się w świecie dzieje, bo Polacy sigają tylko do granic swego królestwa, nie uwzględniając nawet Francyi, która jeszcze tętni w sercu króla (bouillante dans le cuer). Jest-to bardzo potrzebném dla księcia, który nie tylko chce panować nad swoim królestwem, ale osiągnąć w niem jedynowładztwo. W braku takiej rozmowy, musi nieco przewyciężyć swoje usposobienie i poszukać innych przyjemności, które mu spisałęm na różne pory roku i w różnych miejscach, wedle tego, co widziałęm i słyszałem <sup>3)</sup>. Ale potrzeba mu w tém dopomódz. Najlepszym środkiem, zdaje mi się, utrzymywać stałego ambasadora, któryby potrafił zabiawić go i dawał mu wskazówki, bo zresztą znajdzie także Polaków, którzy będą mogli usłużyć mu w pewnych sprawach, chociaż nie są uzdolnieni do wszystkich, co w mądrości swęj J. K. M. wkrótce pozna i oceni. Są naprzykład tacy, którzy znają dobrze pewne prowincye,

<sup>1)</sup> Andrzej Opaliński.

<sup>2)</sup> T. j. warszawickiej z r. 1572.

<sup>3)</sup> Tego spisu między memoryałami nie znalazłem.



gdzie długo przebywali; inni znowu urzędy, na których od dawna pozostają. Byłoby także bardzo pożytecznym dla rozerwania króla, aby się ożenił jak najrychlej z jaką uczciwą kobietą wedle swego gustu. Znajdzie się taka niejedna we Francyi, bo nie wierzę, aby go niemka zadowolila. Gdy zaś będzie raz żonatym wedle swego upodobania, zajmie mu to wielką część dnia i nie będzie wystawionym na pokusy życia rozwiązłego przez pochlebców, których wszędzie dosyć. Zresztą można wybrać także kilku Polaków, których król najlepiej lubi, tych wynieść nad innych i do osoby jego zbliżyć.

Polacy są bez wątpienia bardzo dziwnego charakteru, ale J. K. M., syn Wasz, przez mądre prowadzenie ich (nie łatwe wprawdzie) zrobi z nich, co zechce. Są bowiem bardzo złymi rachmistrzami, wielkimi rozrzutnikami, z czego wynika, że potrzebują ciągle dobrodziejstw króla. Nadto są próżni i ambitni zwłaszcza ci, którzy nieco nad poziomem szlachty pospolitej stoją a prowadzą za sobą resztę. A ponieważ są z natury zuchwali i dopuszczają się nieraz uczynków niedozwolonych, nastęrczają królowi sposobność karania ich, co może tém łatwiej czynić, że ma zupełne prawo wyrokowania w sądzie wedle własnej fantazyi <sup>1)</sup>. Pomimo bowiem, że musi powołać część senatorów do sądu i wysłuchać ich opinie, decyduje jak chce, bez względu na większość głosów senatorskich.

Tymi dwoma zatem środkami: nagradzaniem dobrych a karaniem złych, utrzyma król ich wszystkich w karbach posłuszeństwa; będą wiedzieć, że chcąc mieć łaskę u niego, winni postępować wedle jego woli a przynajmniej nie sprzeciwiać się jej. Ale na to potrzeba, aby tej zasady ściśle przestrzegał i aby oni to poznali, bo inaczej, jeżeli wynagrodzi tych, którzy mu są przeciwni, albo odda rząd dwom lub trzem senatorom, nie pozyska sobie nigdy poddanych, którzy myśleć będą, że sprawy ich wcale króla nie obchodzą, a każdy będzie wolał udać się do owych trzech lub czterech niż do niego. A gdy sam będzie potrzebował usługi, nie znajdzie ludzi i stanie się lokajem tych (vallet), których faworyzował.

Życzyłbym był, aby król nie przychyłał się do pewnych żądań wojewody podolskiego <sup>2)</sup> i Szafranca, bo robili, co mogli złęgo przeciw J. K. M.

Dwa zaś te sposoby: dobrych wynagradzać a złych karać, to po prawdzie jedyne środki, jakie posiada król, aby nakazać posłuszeństwo w Polsce; a to dla tego ponieważ nie ma tej władzy rządu absolutnego, jaką dzierżą inni książęta. Zostawiłem mu o tém memoryał, którego kopią przesłałem W. K. M. jako rzecz wielkiej wagi, bo dobroć króla i przystępność posuwa go czasem do większych ustępstw, niż interes jego pozwala. Inaczej będą nim Polacy

<sup>1)</sup> Zapomniał gorliwy doradca o tém, co pisał wyżej (str. 178 i 178).

*Red.*

<sup>2)</sup> Jerzy Jazłowiecki.

gardzić i nie będą mieli dlań szacunku, bo już poczynali sobie zuchwale i nadużywali okazywanej im łaskawości, sądząc, że J. K. M. obawia się, żeby im się mógł niepodobać. Czyni to ich natrętnymi; wchodzą do króla gwałtownie w godzinach niestosownych, grożą służbie, pilnującej drzwi, przemawiają zuchwale, bo taki ich charakter, a król im nic nie mówi ani się nie gniewa.

Przed odjazdem moim musiałem powiedzieć pewnego dnia całkiem głośno J. K. M., w obecności tylko czterech czy pięciu z jego rady, że go mają za bojaźliwego, a było prawdą, że mi to powiedziano. Rozgniewało go to mocno i odpowiedział, że zobaczą czy jest bojaźliwym. Zrobiłem to umyślnie, aby go przeciw tym ludziom podburzyć. Ale nie wiem zkąd poszło, że za godzinę dobre postanowienie króla obalono a z niem wszystko, co mu poradzili ludzie uczciwi, jak to mogą opowiedzieć marszałek de Retz i pan Rambouillet."

I tutaj daje nam Gonzaga już nie relacyą ogólną o Polsce, ale jakby sprawozdanie z jakiejś sesyi, która dotychczas nie jest znana, a jeśli się nie mylimy stała się ową ostatnią kroplą oburzenia przeciw przybyłym z Walezyuszem Francuzom, osobliwie zaś przeciw samemu autorowi listu. Chodziło o artykuły, dotyczące dyssydentów, których Nevers stale Hugonotami nazywa, o zatwierdzenie ich zgody i konfederacyi. Francuzi byli temu przeciwni, bo król powinien milcząco artykuły unieważnić. Biskupi, a nawet krakowski, który artykuły pochwalał, przemawiali przeciw propozycjom Hugonotów; tak samo postąpiło sobie kilku senatorów, chcących przypodobać się królowi, „bośmy im powiedzieli, że sobie tego życzy.” „Ale gdy zobaczyli, że (król) się obawia niepodobać Hugonotom i złym katolikom, że jest niezdecydowany w rzeczy, w której sprawiedliwość i słuszność były po jego stronie, a tak ważnej i użytecznej, potracili (i oni) także odwagę. I tak zamiast unieważnić w milczeniu artykuły, nie wspominając o niczem jak (?) ich bezładnym manifeście i nie dać innego potwierdzenia przywilejów jak tylko dawniejsze, poradzono mu dodać, aby się pogodzili między sobą, na co przystawszy zrobi, co zechcą <sup>1)</sup>. Wprawdzie wedle mego zdania nie pogodzą się oni nigdy, ale daje im to sposobność ponawiania swych usiłowań na każdym sejmie, celem dokonania swych niegodziwych zamiarów, czego by nie czynili, skoroby zobaczyli, że nadziei żadnej nie mają. Poznałem zaś, Pani, dobrze i sam doświadczyłem, że heretycy nie życzą sobie wcale powiększenia władzy królewskiej. Niech sobie król, syn Wasz, wspomni, jakie wywołali dyskusye i spory! Już to ja

<sup>1)</sup> Ustęp ten nie jasny, potrzebowałby dokładniejszego wykładu rzeczy. Przypuszczamy, że Gonzaga ohoiał powiedzieć: I tak zamiast w sposób miłujący unieważnić pojedyncze artykuły konfederacyi, wspominając tylko ogólnie o ich (dyssydentów) bezładnym manifeście i potwierdzając w sposób dawniejszy przywileje szlachty, usłuchał król złej rady i dodał życzenie, aby się pogodzili między sobą; poznali oni bowiem, że skoro ich w tej sprawie usłucha, to i dalej robić będzie, co oni zechcą.



dostrzegłem po sposobie postępowania ich, zupełnie podobnym do naszych Hugonotów, że Genewczycy nadesłali do Polski instrukcye swoje. Boją się oni, że gdyby Polska i Francya pozostały wolne od tego robactwa, Niemcy z czasem mogłyby być ściśnięte jak skrzynia obgęzami żelaznymi pomiędzy Francją, Polską, Włochami i Flandryą z pomocą ligi książąt katolickich, jak to łatwo stać się może przy nowém starciu. Dla tego też zajmują króla małemi sprawami, aby go odwieść od myślenia o rzeczach wielkich i godnych jego, a zabawiać intrygami i sprzeczkami między senatorami a posłami, nad czém nie warto zastanawiać się nawet godziny, w obec usiłowań pozyskania władzy monarchicznej. Podałem mu jako przykład ostatniego króla, który mimo oporu senatorów i posłów, żonę Barbarę koronował w rok po wstąpieniu na tron, chociaż posłowie ziemscy wymagali, by ją opuścił i nagadali mu różne obelżywe słowa, a nawet odeszli, nie chcąc potwierdzenia swych przywilejów, co jest wielkim despektem,— mówiąc, że woleliby Turka widzieć w Krakowie niż Barbarę na tronie. Inny przykład zdarzył się na rok przed jego śmiercią: wszyscy senatorowie z wyjątkiem trzech czy czterech, i wszyscy posłowie ziemscy przybyli zdradziecko do króla i prosili, aby napowrót przyjął żonę, którą odesłał; rzucili się nawet na kolana, błagając usilnie i gwałtownie, ale król nie ustąpił. „Dwa te przykłady mogły wystarczyć, aby dał się namówić do uwolnienia się od artykułów, mając za sobą połowę senatu szczególnie biskupów, których nakłoniłem do protestowania i dobrą część posłów ziemskich, których mogę powiedzieć pozyskałem dla niego. Ale mimo to wszystko przemogły względy dla Hugonotów i wybrana została łagodność, która, dałby Bog, by J. K. M. na dobre wyszła.

Z wszystkiego doszedłem do konkluzji, że jeżeli król, Wasz syn, powróci do pierwszego swego postanowienia i okaże się silnym w swych słusznych opiniach, jeśli łaskawym będzie dla wiernych sług a surowym i stanowczym dla tych, którzy nie postąpią jak powinni, i nie będzie dawał posłuchu radom namiętnym, w takim razie utrzyma w karności ten naród i nagnie go prawie do swój woli. Skoroby inaczej postępował, obawiam się, że mu to sprowadzi wielką pogardę u poddanych, a wtedy będzie musiał uważać na rady zgubne i nie będzie miał swojej woli, ponieważ nie umiał utrzymać sam, z trudem wprawdzie i pracą poddanych w karbach i w obowiązkach, do jakich mu są powinni. Opowiadałem mu o ostatnim królu, który acz bojaźliwy i zniewieściał (ile nim tylko być można), przecież znając charakter swych poddanych, wymagających, aby ich krótko trzymać (*être tenu court*), ilekroć który z nich zrobił mu jakąś przykrość, karał go ostro, a zuchwalec wiedział dobrze, że król nie daruje niczego wyrządzonego królowej, sobie lub swoim krewnym; tak, że każdy go się obawiał, co sprawiło, że chociaż był znieawidzony, nikt nie odważył się przeciw niemu nic przedsięwziąć. Więc i J. K. M. może tak samo postępować a niewątpliwie dojdzie końca z Polakami, jak ostatni król i będzie jak tamten uznany

mądrym, mężnym, walecznym, człowiekiem czynu i boju. Więcej mu nawet niż potrzeba przestrzegać tej zasady należy, jeżeli chce być szanowanym i słuchanym, bo, po prawdzie, królowie polscy nie posiadają tej władzy absolutnej, która może rozkazać: „ten niechaj będzie pozbawionym życia, ów wrzucony do więzienia.“ Dla tego to jemu więcej niż innemu królowi zalecić należy wynagrodzenie dobrych, ostre karanie złych; ale postępując tak zyska sobie tyle posłuszeństwa, co inni królowie, bo żaden inny naród na świecie nie potrzebuje tyle łask króla czy to dobrodziejstw czy kar; wszystko bowiem dzieje się wola króla, czego nie ma w żadnym innym państwie.

Możliwość czynienia złego jest w istocie w Polsce wielka, bo jak nadmieniałem, złoczyńca nie chwycony w 24 godzin po uczynku, nie może być uwieszony bez wyroku. Mimo to nie unika on kary. Jeżeli go bowiem zasądzą na śmierć a on nie stanie, ogłaszają go za pozbawionego czci, rzecz do tego stopnia haniebna u tego narodu, że wola raczej umrzeć, niż być skazanym na infamią, ponieważ odbiera ona cześć całemu ich rodowi i czyni go niezdolnym do piastowania urzędu lub godności <sup>1)</sup>. To jest doskonały i jedyny środek, utrzymujący ich w posłuszeństwie, a chociaż kary, jak się zdaje są lekkie, bo za śmierć szlachcica siedzi się rok w wieży i płaci się 100 talarów (escus), mimo to są bardzo ciężkie, bo więzienie znajduje się na dnie baszty wilgotnej i tak ciemnej, że nic nie widać. Uważam, że ci, którzy stanowili te prawa byli bardzo sprytni, bo kara na pozór mała sprowadza samego (l) złoczyńcę do więzienia, podobnie jak owo zagrożenie postradania czci. Szlachta zaś, będąc do tego stopnia zupełnie wolną nie dałaby się nigdy uchwycić policyi marszałków (aux prevosts des marchaux) i dla tego wypadało znaleźć środek, aby sami przychodzili poddać się karze. W ten zaś sposób bez policyi i pachołków, jedynie dowcipem praw i statutów, które umieli wymyśleć dawniejsi królowie, może być kara wymierzona.

Także częste zmiany w ustawach, zwyczajnie na każdym sejmie, mogą wyjść królowi na pożytek, bo najprzód nie pozwoli ustanowić nowego prawa, sobie niedogodnego, a potem może je naginać wedle upodobania. Potrzebuje tylko raz zdobyć sobie dobrą opinią u tego narodu, a uznają dobremi i sprawiedliwymi wszystkie jego rozporządzenia.“ (Jakie głębokie i trafne postrzeżenie!). Trzeba tylko, aby nie wzbudził ich nieufności, że dąży do powiększenia władzy, a mówił, że celem jego jest dobro Rzeczypospolitej, bo to jest wyrażenie, mające tutaj kurs.

Złe to zapewne, że król, Wasz syn, nie może karać absolutnie Polaków, ale dla tego powinien czynić to tém ściślej drogą pośrednią. Nie powinien nigdy zapominać, jak mówiłem, krzywdy sobie wyrzą-

<sup>1)</sup> To samo Ruggieri: „Nie ma żadnego, któryby nie usłuchał króla, jeżeli mu coś nakaze pod infamią“ (Rolaoye str. 150).



dzonej, a karać nie tylko winowającą, ale wszystkich krewnych jego (jeżeli tylko w czémkolwiek krewny zasłużył kary), bo rzuci to taką bojaźń między tym narodem, że namyślać się będą trzykroć nim go obrażać. Dla tego nie chciałbym, aby czynił tyle dobrego ludziom, którzy okazali się niesfornymi, a nie dali dotąd dowodu, że żałują tego. Mówiłem mu o tém nieco przed moim odjazdem, ale zdaje się, że był wtedy nadto rozdrażnionym i skłonny czynić wprost przeciwnie. Wyniósł też wojewodę Zborowskiego (najsilniejszy to dom w Polsce), którego heretycy zrobili naczelnikiem; głośno on przed moim wyjazdem mówił (wedle opowiadania brata własnego Andrzeja), że nie przypomina sobie wcale, aby zezwolił, żeby król nie przysięgał na artykuły podczas koronacyi, rzecz kompletnie fałszywa, dowodząca jego płochości i wskazująca, że trzeba się co do niego zapewnić w sposób wyżej wymieniony.

Zawalenie ich statutów różnymi ustawami, tak, że nie wiadomo wedle którego sądzić, może wyjść także na korzyść królowi. Znajdzie się bowiem zawsze część senatu za królem, tak, że będzie mógł karać lub protegować wedle swojej woli a zawsze opierać się będzie na statutach. A skoro żądać będą poprawy statutu, król winien bardzo uważać, na kogo włoży ten obowiązek, jako rzecz wielkiej dla niego wagi. Ten, co je poprawiać będzie, powinien być całkiem oddanym J. K. M. Chciałbym, ażeby to był Francuz, na co zgodzą się też Polacy, bo są nieukami i przyznają się do tego. Będzie on mógł ułożyć je dokładnie, aby usunąć wszystkie sprzeczności, a wreszcie zrehabilitować tak, aby władzę i wpływ króla ustalić i powiększyć. Człowiek sprytny zrobi to dobrze i ku zadowoleniu ich samych, byle tylko nie podejrzewali, że chce ukrócić ich wolność.

Radziłbym także, aby król sądy odbywał regularnie od czasu do czasu np. co sześć miesięcy, aby mieć sposobność częstszego sądzenia i karania szlachty, ale bez sejmów. O ile życzę sobie zbliżenia terminów sądów sejmowych, o tyle chciałbym usunąć same sejmy jak najdalej, dla powodów, które zaraz wyjaśnię.

Nie szkodzi także, że szlachta ma taką władzę nad ludem, bo wszystko zło w skutek tego spada na szlachtę. Oto, Pani, ile środków ma syn Wasz, by nakazać sobie miłość, bojaźń i posłuszeństwo, które acz niepodobne do używanych we Francyi, ten sam skutek sprowadzą. Nie mało będzie miał, prawda, trudów, ale mogę Panią zapewnić, że patrząc na niego, kilka razy miałem prawdziwe zadowolenie. Mówił mi, że ponieważ widzi się przeznaczonym dla dobra tego królestwa, chce żyć lub umrzeć, aby zarobić sobie na sławę. Ale niebawem złe duchy takim gniewem i rozpazą go napełniły, że wolałyby nigdy nie widzieć Polaków; tak daleko odbiegł od pierwszego swego postanowienia i od tego, co robić należało. Pan Rambouillet, który ostatni wyjechał, opowie W. K. M. jak się zachowywano, aby się nas pozbyć. Także marszałek Retz może coś o tém opowiedzieć; oni bowiem dwaj starali się ściśle spełniać wasze zlecenia i co wymagała służba królewska. Pan Bel-

lièvre tak samo działał. Jako ten, który miałem najwięcej starania o króla w Niemczech, ściągnałem na siebie zazdrość wielu, którzy nie dopuścili królowi zasmakować w radach moich. Ale zdaje mi się, Pani, że nieraz obezwładniał się (?) umysł króla, wskutek czego tracił ów hart i swobodę ducha, które posiada i robił się smutnym, prawie tchórzliwym, co należy przypisać różnicy naszych zamiarów i opinii, tak dalece, że rano dwie godziny przed przybyciem naszym ciągle skarżył się w łóżku, a mimo to, gdyśmy weszli nie dał nic poznać po sobie. Ale można się było domyśleć po mowie jego, bo nie sprzeciwiał się niczemu, czego Polacy żądali, jakby mu to było obojętnym; w senacie nieraz zmieniał powzięte postanowienia i obierał drogę łagodniejszą, aby ich sobie nie narazić. Ta melancholia zrobiła go słabym na jakiś czas i spowodowała napisanie listów do W. K. M., o których raczyłaś mnie donieść, pod wpływem być może namowy kilku osób, którym na tém zależało, aby W. K. M. wiedziała o jego niezadowoleniu i sądziła, że Królestwo Polskie jest państwem dzikich Scytów i że niema tu co jeść. Mogę to doprawdy zaświadczyć, Pani, że złe to namowy i rady zgubne, by udawał boleść, dał więcej Hugonotom niż należało i złym katolikom, ich stronnikom, aby tychże pozyskać, by rozdawał urzędy raczej dla pieniędzy i zyskania względów, niż bacząc na interes państwa, by odłożył potwierdzenie statutów do czasu, kiedy się pogodzą,— one to wielką szkodę wyrządziły królowi, Waszemu synowi, bo odwróciły go od téj wesołości, z jaką wstępował do tego królestwa i posiadał aż do odjazdu pana de Chemerault. Ona byłaby mu się stała zwyczajem przez namowy dobrych sług W. K. M., gdyby nie starano się temu przeszkodzić.

Litość bierze pomyśleć, że wreszcie nikt na tém nie ucierpi tyle, co biedny książę, bo po cóż narzekać na królestwo, jeżeli się nie daje środka, aby złemu zapobiedz. A właśnie nie słyszałem, aby podawali jaki dobry sposób, a za to słyszałem, jak przeklinali godzinę, w której wszedł do królestwa.

Ja, widząc, że pożytecznym jest dla króla nabranie odwagi, nie przepomniałem niczego w tym względzie, bo wiem, że popadłszy w smutek, straci z sercem także przejrzenie rzeczy i cześć i nie będzie myślał o rzeczach wielkich, jak to powinien. Jeżeli więc W. K. M. odebrała od króla bardzo dziwne wiadomości, to wie teraz z kąd pochodzi choroba, wysłuchawszy sprawozdanie o narodzie polskim."

(Dok. nast.).



# GENERAL FILIP HAUMAN

I

## RODZINA ANTONIEGO MALCZEWSKIEGO.

PRZEZ

*Kajetana Kraszewskiego.*

*Kajetana*

A to wszystko bogactwo, kto się sławy dobił  
Lepiej się tem, niż złotym łańcuchem ozdobił.  
(*J. Kochanowski—Satyr.*)

Jeżeli prawdą jest to, co mówi łańcuchowe przysłowie, że, „gdy wojna, milkną muzy,“ to niemniej też doświadczoną jest rzeczą, iż wielkie wypadki dziejowe wywołują na widownią świata dzielnych, energicznych i zdolnych do poświęceń ludzi, jako też talenta organizacyjne lub wojskowe. Dowody na to podaje historia wszystkich czasów i wszystkich narodów. W wypadkach też, które zaszły w ojczyźnie naszej z końcem ubiegłego stulecia, wśród wielu ludzi, co się odznaczyli, których imiona ozdabiają karty współczesnych kronik, a potomność w wdzięcznej zachowała je pamięci, niepoślednie miejsce zajmuje nazwisko generała Haumana.

Nazwisko to jednak spotykamy poraz pierwszy głównie w kwietniowych wypadkach i w dalszym przebiegu kampanii 1794 roku. Z poprzednich lat zaledwie coś-nie-coś tylko pochwyć mogliśmy z żywej tradycyi miejscowej o generale. W pozostałych po nim papierach, które szczęśliwym trafem dostały się do rąk naszych, najdalsza data nie sięga poza rok 1782-gi, gdy, według prawdopodobnej rachuby, urodzić się on musiał około 1754 roku.

Wspomnienie o generale Haumanie podaje Bartoszewicz w wielkiej Encyklopedyi Orgelbranda, nic jednak więcej nie wie o nim pew-

nego nad to, co udało się temu niezmordowanemu badaczowi wyszukać w Sygillatach i pamiętnikach współczesnych. Jakoż, wiadomości, podane przez Bartoszewicza, a odnoszące się do kampanii 1794 roku, obrobione wybornie, prawdziwe są i mają wartość rzeczywistą; autor wszelako, chcąc uzupełnić życiorys generała, dalsze losy jego podaje, widać, z posłuchów i ze źródeł, nie mających żadnej podstawy; są też one zupełnie fałszywe i błędne. Sprostowania w tym względzie nie przedstawiają żadnej trudności; jeśli bowiem z papierów pozostałych po generale nie możemy do badać się ani pochodzenia jego, ani pierwszych lat życia przebiegu, natomiast wszystko, co się tyczy osoby generała z lat późniejszych, aż do zgonu samego, ujawnia się w tych dokumentach, listach i papierach, które w rękach naszych posiadamy, jak niemniej w żywej tradycyi miejscowej, rodziu z nim spokrewnionych i osób żyjących jeszcze, co go dobrze znały.

Poza publicznym generała zawodem, w życiu jego prywatnym znajdujemy też szczegóły nadzwyczaj ciekawe, ze względu na stosunki jego z rodziną Malczewskich (autora „Maryi“), tak zaś przytém dramatyczne, że mogłyby one stanowić wyborne tło nawet do jakiegóś historyczno-obyczajowej powieści. O ludziach jednak z wielu względów znakomitych, których szczegóły życia mogłyby być dla lubowników rzeczy ojczystych ciekawe i przedstawiać wartość historyczną — a są przecież mało znane,—opowiadanie w formie powieściowej wcale nie jest właściwe; im z większym bowiem talentem rzeczywiste wypadki z fantazyami autora zostaną zmieszane, tém większą pracą podobna przyniesie szkodę, zamacając istotną prawdę, która jest podstawą historyi, a jako jedyne i najczystsze piękno winna być składaną w hołdzie prawdziwym zasługom.

Pierwsze dwie wzmianki o Haumanie odkrył Bartoszewicz w Sygillatach, pod latami 1774 i 1777; najprzód, podług daty, nominacya na kapitana (1774), później awans w regimencie pieszym księcia Kaliksta Ponińskiego z porucznika na sztabs-kapitana (1777), co dowodzi słuszności uwagi Bartoszewicza, że dopiero druga nominacya była rzeczywistym stopniem służby czynnej, gdy pierwsza jedynie tylko tytułem.

Patentów jednak na oba te stopnie w papierach pozostałych po generale nie znajdujemy; najpierwszym między niemi jest u nas oryginalny z podpisem króla i odciskiem pieczęci wielkiej koronnej patent z r. 1782 d. 26 maja, na szarżę kapitana z kompanią w regimencie pieszym ks. Ponińskiego, po dobrowolnym ustąpieniu pułkownika Jankowskiego. O tój znowu nominacyi u Bartoszewicza nie ma wspomnienia.

W ośm lat później przechodzi Hauman do regimentu pieszego XII-go wojsk koronnych szefowstwa Jana Malczewskiego; widzimy w papierach patent na podpułkownika w tym regimencie, wydany dn. 13-go stycznia 1790 roku. Tegoż roku konstytucyą sejmową otrzymuje szlachectwo, nadane według brzmienia tekstu „podpułkowniko-



wi Filipowi Wacławowi i bratu jego Antoniemu;“ ten ostatni był w tym czasie podporucznikiem w tymże regimente Jana Malczewskiego. Oryginalny dyplom szlachectwa Haumana z nadaniem herbu „Bronisz,“ opatrzony trzema w metalowych puszkach pieczęciami, w pięknej oprawie, wydany został z kancelaryi d. 21 lutego 1791 roku. Niema w nim żadnej wzmianki o pochodzeniu rodziny Haumanów; nie mogliśmy téż i z tradycyi podchwycić jakiegokolwiekbądź pod tym względem wiadomości. Rzeczą jest prawdopodobną, że Haumano wie, jak wiele innych rodzin, za Sasów przybyć musieli do naszego kraju. Przyjazne stosunki z Kościuszką z lat poprzedzających jeszcze wypadki 1794 roku, oraz „biegłość w rzeczach wojskowych“ wyrażona w dyplomie szlachectwa, jako nagroda za nią właśnie nadanym, pozwalają przypuszczać, że kształcić się musiał w sławnej naówczas szkole kadetów, z której nie mało wyszło ludzi, co się w późniejszych czasach wstawili. Utwierdzają nas w tém mniemaniu i dobre stosunki Haumana z dworem oraz rodziną królewską, której szczególnymi względami zawsze się szczylicli wszyscy wychowawcy tego zakładu.

W roku 1779-ym Hauman, jak widzieliśmy wyżej, miał rangę sztabs-kapitana. W pełnej sile młodego wieku, był on jednym z najpiękniejszych naówczas mężczyzn w Warszawie i tak słynnym z tych przymiotów w stolicy, że król nawet z tego powodu często go do zamku zapraszał. Wiadomą jest powszechnie i znaną romansowość pięknych pań z owéj epoki; usposobienie to spotęgowało się jeszcze w późniejszych nieco latach, jak to zwykle bywa czasu gorących patryotycznych uniesień, a z epoki już Napoleońskiej mogliśmy zacytować wielu pięknych a walecznych oficerów nieznanego zgoła pochodzenia, którzy węzłami nawet małżeńskimi skojarzyli się z córkami najstarożytniejszych i magnackich rodów. Trafiło się to już lubo nieco rzadziej i za Stanisława Augusta. Piękny przeto oficer, przyjmowany na zamku, nie dziw, że uprzejmie téż witany był wszędzie i w najpierwszych nawet domach stolicy.

Mieszkała naówczas w Warszawie JPani Bleszyńska, która trzymała w dzierżawie od ks. Lubomirskich dobra Staszów w Sandomierskiem; wdowa po dwóch mężach, Młockim a następnie Bleszyńskim. Z drugiego małżeństwa z Bleszyńskim, miała pięć córek i dwóch synów: Ksawery starszy, żonaty był z Ludwiką Rogalską, córką znanego metrykanta koronnego; młodszy Hipolit, rotmistrz kawaleryi narodowej, odznaczył się w kampanii 1792 roku pod księciem Józefem, za co ozdobiony został krzyżem „virtuti militari.“ Prócz tych synów i córek, pani Bleszyńska miała jeszcze jedną córkę z pierwszego małżeństwa z Młockim, najstarszą z całego rodzeństwa Agnieszkę, która była już od lat kilku zamężną także za Młockim, kasztelanem wołyńskim. Był to jeden z bogatszych ówczesnych panów, posiadał znaczne dobra na Wołyniu i trzynaście wsi w Galicyi z rezydencją w Żulinie, w cyrkułe Stryjskim. Pani kasztelanowa niezmiernie lubiąca za-

bawy i wesołe towarzystwo, często też przesiadywała w Warszawie. Dla zwabienia zaś gości, którym na wsi różne w tym celu płatano figle, w mieście wynajdywała również tysiączne sposoby; najlepszą wszelako przynętą dla stołecznej młodzieży było pięć panien Błęszyńskich, przyrodnich siostr pani kasztelanowej, jedna w drugą tak pięknych, wesołych, miłych i powabnych, że trudno było nawet którejkolwiek z nich przyznać palmę pierwszeństwa.

Jak był pan kapitan Hauman znanym w Warszawie z piękności mężczyzną, tak znane były i głośne z nieporównanych wdzięków i panny Błęszyńskiej.

Niebawem przeto znalazł się i nasz kapitan w gronie licznych wielbicieli tych czarodziejek, a jako w każdej sprawie, aż do podeślanych lat był wielce gorącego temperamentu, tak też w niedługim czasie padł ofiarą wdzięków panny Konstancyi Błęszyńskiej. Julia była już zaręczoną z rotmistrzem Aleksandrem Russockim, dziedzicem Przyuszyna w Sandomierskiem, z którym w roku 1811 rozwiodła się i osiadła była we Lwowie. O Eleonorę starał się właśnie drugi sandomierzanin, JMP. Antoni Młodecki z Witowic.

Pani kasztelanowa Młocka, bezdzietna, wesoła, a przedewszystkiém lubiąca się bawić i kojarzyć małżeństwa, tak skutecznie pomogła młodej a śmiertelnie w sobie wzajemnie rozkochanej parze, tak zrzęcznie potrafiła przełamać pewne wahania się matki z powodu różnicy urodzenia pochodzące, — ile że Hauman nie posiadał jeszcze wówczas indygenatu, — że piękna para połączyła się wreszcie węzłem małżeńskim w Warszawie 1779 roku. Cały posag panny wynosił tysiąc dukatów, a majątek pana młodego, szlify i spodziewana krescytywa wojskowa.

Jak widzieliśmy wyżej, w 1791 roku dostaje Hauman dyplom szlachecki, będąc już natenczas podpułkownikiem w regimencie szefostwa Jana Malczewskiego, do którego, na szczęście czy nieszczęście swoje, przeniósł się na rok przedtém, jak to wspomnieliśmy wyżej i widzimy z oryginalnego, a dla opowiadania naszego ważnego patentu: „na szarżę podpułkownikowską w regimencie pieszym wojska koronnego szefostwa ur. Jana Malczewskiego, po odejściu ur. Antoniego Schweryna podpułkownika, urodzonemu Filipowi Haumanowi, tegoż regimentu kapitanowi dany. D. 13 stycznia 1790 roku.“

W owym czasie mieli już państwo Haumanowie troje dzieci; syna Edwarda i córki Konstancyą, która wyszła później za Markowskiego i Filipinę, późniejszą Sobolewską; niżej powiemy o losach jęj życia, niemniej awanturnicznych od większej części tęg całej rodziny.

Pani Haumanowa, nie dochodząca natenczas lat trzydziestu, pomimo trojga dzieci <sup>1)</sup>, była jeszcze zawsze jedną z najpiękniejszych kobiet w Warszawie. Dom podpułkownikowstwa, jak u kasztelanowej Młockiej, codzień był pełen gości i — wielbicieli pięknej gospody

<sup>1)</sup> Oprócz tych trojga żyjących dwoje w dzieciństwie zmarło. p. A.



ni. Bawiono się wesoło; jedna młodsza i jedna starsza siostra jęj jaśniały wdziękami; w starszój, Maryannie, kochał się na zabój JMPan Toczyński, rotmistrz kawaleryi narodowój, panna za nim także szalała, ale pani Błeszyńska, nie wiadomo nam z jakich powodów, ani chciała słyszeć o tém małżeństwie i na żaden sposób pozwolenia jęj uzyskać nie było podobna. Któżby tam jednak na tak drobne przeszkody uważał! Od czegoż były siostry zamężne, które tak dobrze gorących serc porywy pojnować umiały. Obchodząc się więc bez pozwolenia, które na późniejszy a wolniejszy czas odłożono, za pomocą dobrych przyjaciół i przyjaciółek, zakochana para późnym wieczorem wzięła ślub u Bernardynów i wsiański do czekającego już powozu, wymknęła się z Warszawy w Sandomierskie, do majątku Szewna, świeżo wziętej przez pana młodego dzierżawy. Ze spełnionym czynem trzeba się było wreszcie pogodzić i pani Błeszyńska, za wstawieniem się kasztelanowój Młockiej, sióstr i wielu innych osób, dała się nakoniec w kilka miesięcy później prześlagać. Działo się to zimą, ale w gorące, jak wiadomo, czasy sejmu czteroletniego 1790 roku, i serca też snąc były gorąco. Szef regimentu, do którego przeszedł Hauman, JMP. Jan Malczewski <sup>1)</sup>, najczęstszym bywał gościem w domu pułkownika; znajomi dostrzegali już oddawna nie obojętne zachowanie się wzajemnie gościa i pełnej zawsze czarodziejskiego wdzięku gospodyni. Wiadoma to rzecz jednak, że mąż najpóźniej się o tych sprawach dowiaduje; pułkownik przeto żył zawsze w najserdeczniejszych przyjacielskich ze swoim szefem stosunkach. Tymczasem nadszedł rok 1791-szy i wojska pod dowództwem księcia Józefa i Kościuszki ruszyły na kresy, ku Ukrainie.

Zdaje się, że natenczas już romans pułkownikowój z szefem Malczewskim dochodzić musiał do punktu kulminacyjnego, a Hauman czy coś dostrzegając, czy przestrzeżony, poczynął mieć niejakię podejrzliwość. A miał też do nich i najzupełniejsze prawo; przez ciąg bowiem lat z górą dziesięciu musiał nieraz hamować różnostronne roman-sowe pięknej pani wybryki. Zawsze jednak, do tęg pory, kończyły się one dość szczęśliwie; dla tego najprzód, że pułkownik namiętnie był do swojej żony przywiązany, a ztąd zawsze i do przebaczenia skłonny; powtóre, że adonisom gra z nim była niebezpieczna, znano go bowiem z nieustraszonej odwagi, determinacyi, a wielce gorącego i nieuchodzonego prawie temperamentu. I pułkownikowa przeto, lubo w nowy romans się wiała, prowadziła go jednak z wielką ostrożnością, starając się na ten raz wszelkich nawet unikać pozorów. Zabrała się wszelako za regimentem na kresy, a jak sądzić można nie z wielkiej zapewne już dla męża miłości podróż tę przedsięwzięła.

Życie obozowe, pełne rozmaitości, drobnych przygód, zabaw, rycerskich ćwiczeń i popisów, wśród pięknego lata i piękniejszej jeszcze natury, w zmieniających się z każdym dniem krajobrazach. Życie to sta-

1) Ojciec Antoniego, autora „Maryi.”

nowiło tak porywające tło do nowego romansu, że niepoohamowane serca kaprysy i awanturnicze usposobienie pułkownikowej oprzeć się tym pokusom nie mogły.

Kryła się wszeleko i tała kochająca para; śledzeni bacznie czujnym okiem męża, hamując zapały, wstrzemięźliwe zachowując decorum, starali się kochankowie oddalać wszelkie pozory i podejrzenia. Było to im potrzebne do czasu; ale cierpiała na tém najbardziej zgoda i harmonia małżeńska, bo pułkownikowa, czy nagradzając sobie owo uciśnienie serca i przymus, czy szukając jawnej zwady, a folgując wszelkim kaprysom, tysiączne za to domowe sceny, bez żadnej widocznej nawet przyczyny, wyprawiała mężowi. Im bardziej na zabawach, spacerach i wycieczkach w asystencyi licznej świty adoratorów, a nigdy nimi zawsze i samego szefa regimentu, była pułkownikowa wesołą, miłą i czarującą, o tyle, powróciwszy do męża, stawała się chmurą, dziwną i popędliwą.

Regiment rozkwaterowany był na samém ówczesnym pograniczu Rosyi, a kwatery pułkownika znajdowała się w osadzie zwanój Jasnohorodka, o cztery mile ukraińskie od Kijowa, należącej do Szujskich. Służba wymagała nieustannój czujności w strzeżeniu posterunków na znacznej rozciągniętych przestrzeni, oraz luk przejezdnych i samego granicznego pasa. Pułkownik w ciągłej był pracy i rozjazdach, z których nieraz dopiero w noc późną powracał.

Jeździł też Hauman i do któregoś z baszów tureckich, mających rezydencyą swoją na pograniczu, gdzie był ze wschodnim przepychem przyjmowany, o czém w późniejszych już latach opowiadać lubił.

Z wyjazdów tych skorzystała wreszcie płoża pułkownikowa i gdy pewnego razu mąż powrócił, nie zastał już ani żony, ani ludzi kilku ze służby, ani zasobów domowych, ani własnych nawet rzeczy niektórych i... kasy lubo nie bogatej, którą posiadał. Stało się to na samym początku lata 1791 roku, którą to datę zaznaczamy jako ważną dla niżej zamieszczonych wiadomości o rodzinie Malczewskich.

Pani pułkownikowa, postanowiwszy już ten krok stanowczy, szerokiemi etapami puściła się ku Warszawie, a w znacznej części podróży „eskortował“ ją i pan szef regimentu, Malczewski.

W Warszawie, zatrzymawszy się nie długo, podążyła wnet pułkownikowa do Szcwiny, w Sandomierskie, gdzie mieszkała jej siostra, Maryanna, która wykradła się była z domu matki z rotmistrzem Toczyskim, o czém wspomnieliśmy wyżej. Ztąd napisała piorunujący list do męża, żądając rozłączenia się i rozwodu.

Ciekawą i ważną dla téj całej sprawy kopia odpowiedzi Haumana, pisanej pod wrażeniem świeżego ciosu, znajdujemy w papierach po generale i podajemy ją w całości, jak następuje:

D. 24 Julii z Jasnohorodki.

„Odebrałem list W Pani z Szewny pisany, dość ostry i groźny, zdawałoby mi się, że do człowieka tyle lat służącego, należałoby więcej



ludzkości użyć a dopiero do męża, który przez wszystkie lata starał się przyzwycie jak dotąd na niczém Ci nie zbywało dostarczać. Zapalczywość W.Pani i zaciętość wspomnisz kiedyś, lecz po niewczasie, do czego Cię przywiedzie. Odjechałaś mnie nie po ludzku, pozabierałaś konie i wszystkie rzeczy tak stajenne jako i kuchenne, wiesz dobrze w jakim jestem niedostatku, że właśnie bez grosza tu pojechałam, zabrałaś i sukna, com dla wszystkich na liberye pokupił, tam Ci będzie zbywało a ja kupić muszę; bielizna moja co lepsza pozabierana, a podarte nie ponaprawiane zostały. Zgoła wszystkie rzeczy moje w niwecz zponiewierane, nawet sztuczkę batystu kupionego wzięłaś; to wszystko zdaje się nic nie znaczące, lecz jak mi to bolesno, że tak nicliłościwie ze mną postąpiłaś. Odprowadzał Cię zdrajca niepoczciwy, który szuka chluby, że Cię uwieść potrafił, pokładasz całą nadzieję w jego wykrętach, rozumiesz, że nikt nie wie, że on Cię całą drogę konwojował, rozumiesz oraz, że mu się to tak minie, dowiesz się później. — Każesz mi się zastanowić nad sobą, dosyć się widzę być zdradzonym za moje wierne przywiązanie, wiem ja jak byłbym dobrym, oto wtenczas gdyby(m) był pomocą zdradzać mnie samego. Potrzebna rzecz była jeździć na komisją z zdrajcą niegodziwym do Humania bezemnie, udając, że dla chorób. Uczciwa kobieta wolałaby umrzeć niżeli być w niesławie, on to wszystko niegodziwy na dobre przetłomaczy, a W.Pani się zdrajcy niegodziwemu powodujesz, nakoniec sama zdradzoną zostaniesz. Uznałaś karę Pana Boga nad sobą wdawszy się z nierządną kobietą w Warszawie, zabrał nam Bóg dzieci w jednym miesiącu, została Ci pamiątka téj nieprawności.. a przy tém co straty było na wszystkiem, osobiwie na reputacyi jak miałaś, słusznój osoby, a ona ztąd szukała awantażow aby Cię sprzedała; weź to wszystko na rozważę, odłożywszy na czas własną miłość, wszak za to nic nie dasz nikomu. Przewiduję ja zamysły tego niegodziwca, ale nie spodziewam się, żeby wzięły swój skutek; już ja bardziej tkniętym być nie mogę, bardziej zrujnowanym być nie mogę, i mój honor w tém cierpi, już więcej nie gorszego spotkać mi nie może; a zatem użyję co będę mógł. Żądasz W.Pani odemnie pensyi podług dawnój—z naradzeń zdrajcy niegodziwego projektów, wiedząc doskonale moje dochody jakie są, wymagasz ze mnie nad możność, choć znasz że mam dług w kassie, nie zastanawiasz się nad żadną rzeczą, i ja Cię, widzę, nic nie okoliczam, byleś swojemu dogodziła kaprysowi; wymieniasz mi jakioś pochlebne noszenie imienia męża Twego, prawda że zaszczyt był wielki dla mnie—póki cnota panowała. Majątku zaś nie racz mi wyrzucać, bo przekonana jesteś, że grosza na mnie samego nie obrócił. Jeżeli masz do mnie pisać, racz łaskawiej, nie strasz mnie, bo ja się do niczego złego nie poczuwam. Złośliwie ze mną postępujesz i takóž piszesz że ze mną żyć nie chcesz, tylko chcesz pensyi...”

Na tém urywa się kopia listu.

Hauman, znając dobrze niestałość „sentymentów” pani, rachował, że czas i oddalenie uśmierzą jój namiętność i zapalczywość, o rozwo-

dzie więc nie myślał a listami starał się ją uspokoić. Wyjazd żony, pomijając nawet ograbienie obozowej kwatery, dawał mu niejaki spokój i mógł wpłynąć na osłabienie stosunków pułkownikowej z Malczewskim.

Z czasów owój konstytucji wojsk na kresach r. 1791 oraz kampanii 1792-go znajdujemy w papierach Haumana list generała Kościuszki, który, lubo w nieznanój sprawie, zamieszczamy dla pamiątki wraz z dwoma rozp orządzeniami księcia Józefa, tyczącemi się rzeczy wojskowych.

List generała Kościuszki na siniej dużej ćwiartce grubego papieru w głównej treści pisany ręką obcą, brzmi jak następuje:

Z Niemirowa d. 15 lutego 1792 r.

„Wielmożny Mości Pułkowniku Dobrodzieju! Życzyłbym całą tę okoliczność zagodzić a jeżeli WPan masz jakie na tego sekretarza zażalenie powinienes się z tém udać do zwierzchności nad sekretarzami poczt; teraz zaś zagódź to.

Z winnym więc szacunkiem jestem W Pana Dobrodzieja  
najniższym sługą

*T. Kościuszko.*”

(Podpis jest własnoręczny jako i przypis następny):

„Zapowuiony jestem że uczynisz jak najprędzej chociaż niesprawiedliwie wymaganego, lecz lepiej stracić kilka złotych niżeli zaszkodzić reputacyi jęgo osoby, która jest wszystkim znana. Łasce mnie oddaje, wyburkowałem ja go w liście moim dobrze.“

Korespondencya wojskowa ks. Józefa brzmi jak następuje:

„Nr. 21. Odpowiedź IMPanu Haumanowi podpułkownikowi na raport, de d. 19 Julii do JW. Generała-Majora — Poupparta.

„Rozporządzenia WMPana, tyczące się pogranicznej Jego komendy, pilne y roztropne znajduję. Dalszą bacznosc na bezpieczeństwo granic, własność obywatelów, zgoła wszystko to co być może użytecznego dla kraju Jemu zalecam, przyłączając tu ordynans względem publikowania pardonu. Wiadomości pogranicznych od niego oczekuję.

Dan w kwaterze Głównej. Tulczynie d. 28 lipca 1791 roku.

*Józef Książę Poniatowski, G. Major.*”

Dokument drugi:

„Ordynans WMPanu Haumanowi, Podpułkownikowi Regimentu XII-go do Marszu. Daję niniejszy ordynans WJMP. Haumanowi podpułkownikowi Regimentu XII-go, ażeby z batalionem komendy swojej z przykomenderowaną artyleryą, ruszył w marsz natychmiast y stanął w obozie pod Tulczynem, gdzie Regiment Imienia Potockich już obozuje. Chorzy podług przeszłego ordynansu odesłani być mają



do Międzyboża y traktamentem miesięcznym opatrzeni. Zależyć będą od IMPana Ponińskiego Majora Regimentu Malczewskiego.

Dan w Tulczynie, kwaterze głównej d. 18 maja 1792 r.

*Józef Książę Poniatowski, G. Major.*“

Ordynans ten pod pieczęcią lakową osobistą księcia, adresowany jest do Omełyniec z nadpisem „pilno.“

Z owego czasu w rękopisie p. t.: „Pamiętniki do objaśnienia dziejów panowania Stanisława Augusta“ przez T. T. Wejcherda, Kons. JK. M. które w archiwum naszym Romanowskiem posiadamy, znajdują się doniesienia z obozu księcia Józefa Poniatowskiego pod Zaslawiem d. 19 czerwca o bitwie pod Boruszkowcami i Zieleńcami, z najdrobniejszych szczegółami przebieg wypadków wojennych opisujące, w zakończeniu zaś korespondent donosi:

„Książę Józef oddaje sprawiedliwość mężtwu oficerów i wojska (z tą o sobie samym skromnością, która najprawdziwszém jest znamieniem rzetelnego mężstwa, cnoty i zacności) mianowicie, Gener.: Wielhorskiemu, Brygadierowi Mokronowskiemu, Porucz. Szczutowskiemu i innym od kawalerji oficerom; od artylerji Kapitanowi Chomętowskiemu, Kapitanowi Gałęckiemu, ciężko rannemu, Porucz. Tepfer, Por. Morszyckiemu i Podpor. Bukarowi; od piechoty Podpułkownikowi Grochowskiemu, Podpułkownikowi Haumanowi, Majorowi Krasickiemu, Kapitanowi Bronikowskiemu“ etc.

W nagrodę odznaczenia się tego pułkownik Hauman ozdobiony został krzyżem „Virtuti militari,“ na co patent z podpisem i pieczęcią królewską znajdujemy, wydany pod d. 1 lipca 1792 r.

O tém odznaczeniu się Haumana czasu kampanii 1792 r. spotykamy jeszcze wspomnienie w oryginalnym liście księcia Kaźm. Poniatowskiego, ex-podkomorzego koronnego, który przytoczymy we właściwém miejscu.

Odegrał się wreszcie cały ów dramat, a raczój smutna komedia kampanii 1792 roku. Wojska, jak się bić mogły, najlepsze dały wody pod Zieleńcami i Dubienką, cofały się jednak z rozkazu króla Jegomości i strategicznych planów pani generałowej Grabowskiej, Chreptowicza, Tyszkiewicza i Ogińskiego, na których działały jakieś dalsze wpływy. Wzięła wreszcie górę partya Targowicka, nastąpił pokój, i nowy rzeczy porządek.

Hauman, jak widać z papierów, w ciągu 1791 roku i na począt-1792 musiał przyjeżdżać do Warszawy, wytoczony już był proces rozwodowy, a żona, jak ówczesny porządek wymagał, bawiła w klasztorze Wizytek.

Pułkownikowa, sama lekkomyślna, nie lepszych też dobierała sobie i przyjaciółek, które nietylko podtrzymywały ją w kapryśnym uporze, ale umiały jeszcze wynajdywać nie mało przekonujących pobudek do żądania rozwodu a wydania się za szefa Malczewskiego. Ten zaś, ze zmianą okoliczności mniéj może z przekonania jak raczój

dla uniknięcia prześladowań od nowo zaprowadzającego się rządu, podpisał akt Targowicki, chcąc ochronić znaczne posiadane na Wołyniu majątki. Człowiek był bogaty, a zgodziwszy się z nowym porządkiem rzeczy, otrzymał też zaraz w wojskach sprzymierzonych stopień generała lejtnanta z dodatkiem znacznej pensyi oraz świetnych wstęg i orderów.

Dla pułkownikowej próżnej i w najwyższym stopniu stratnej, której fantazyom, mąż z niewielkiej pensyi nie był w stanie nigdy dogodzić, ta zmiłna małżonków okazywała się też niewątpliwie korzystną; nadto i samo nazwisko nawet Malczewskiego wchodziło w rachubę, jako bowiem widzimy z korespondencyi i nierówność urodzenia wy-mawiała mężowi.

Napróżno więc zakochany jeszcze zawsze Hauman, do krat klasztornych wywołując żonę, zaklinał ją i błagał, aby się rozmyśliła, zastanowiła się nad losem trojga ledwie podrastających opuszczonych dzieci, nad hańbiącym rozgłosem porzucenia męża, po trzynastoletnim pożyciu; żadne prośby, zaklinania i łzy nawet nie pomogły wcale. Bardzo niby sentymentalna pułkownikowa, wdychając dowodziła mężowi sama, że „jest tak piękną i ponętą, iż zasługuje i potrafi sobie zdobyć męża, który nie będzie, jak on ubogim tylko podpułkownikiem, ale milionowym panem, generałem, w mundurze kapiącym od złota, obwieszonym wstęgami i orderami.“

Kilkakrotne odwiedziny takie, namowy, prośby i uwagi, żadnego na pułkownikowej nie czyniły wrażenia, strapiiony mąż próbował pisać, ale uparta kobieta i odpowiadać nawet nie chciała.

Nie było już więc żadnego sposobu, aby ją przywieść do opamiętania; należało zgodzić się z losem. Z tego czasu spotykamy kopią kartki pożegnalnej do żony, spisaną własną ręką Haumana.

„Gdy na żądane odemnie zgłoszenie się nie mam odpowiedzi, znakiem jest, iż nie życzysz sobie ze mną korespondować. Ja i w tém nie czyniąc Ci przykrości ostatni list piszę. Żegnam Cię już na zawsze, życzę Ci najlepszych pomyślności. Bądź zdrowa.“

W początku wreszcie 1792 roku, o ile z innych dat pomiarkować można, nastąpiło ostateczne rozłączenie się małżonków, o czém odtraconego męża zawiadamia pułkownikowa listem pisanym z klasztoru d. 22 marca:

„Donoszę WPanu, iż dnia wczorajszego stanął dekret ostatni rozwodowy, któren nas zupełnie rozłączył, jutro zaś przewisko inne biorę. Kostunię oddałam na pensyę do madame Fur (?), mieszkającą naprzeciw Św. Krzyża, którą ugodziłam za dukatów 40 na rok. Zapłaciłam od niej za kwartał y zupełnie jest oporzędzona, zechcesz więc WPan mieć o niej staranie teraz, gdyż ja jutro wyjeżdżam z Warszawy. Proszę jednak zawsze być pewnym méj przyjaźni y nawzajem swoiey proszę mi nie odmawiać na zawsze, przyjaciółka y służa

*Haumanowa.*



Z dzieci rozstających się małżonków, najstarsza, Konstancya, o której wspomina pułkownikowa, że ją umieściła na pensyi, musiała na ten czas mieć, jak się zdaje, około lat 10-ciu, syn Edward, około 6-ciu, a najmłodsza córka Filipina cztery. O losach tych dzieci we właściwem miejscu niżej powiemy.

Małżeństwo się więc ostatecznie rozeszło, a ponieważ sprawa ta dość długo się ciągnęła, jak na owe czasy, zdaje się przeto, że pułkownikowa, jak z jéj kartki widzimy, musiała też natychmiast wziąć ślub z szefem Malczewskim i wyjechała z nim na Wołyń, zabierając z sobą i dwoje młodszych dzieci. Z kilku brulionów listów, które w owym czasie pisał pułkownik do któregoś ze swoich przyjaciół, widać jak głęboko i boleśnie dotknięty był tém nieszczęściem, co na niego spadło, jak był jeszcze przywiązany do téj lekkomyślnéj kobiety, a w sercu, przepełnioném goryczą, obiecywał sobie srogi wziąć rachunek z owego przedtém najlepszego przyjaciela, który bez skrupułu zadawał mu cios tak krwawy.

Oto jeden z tych listów, który przytaczamy jako ważny dla objaśnienia stosunku Haumana z Malczewskim:

„Przyszedłszy cokolwiek do pamięci po tak strasznój dla mnie odmianie, o której powracając z Warszawy miałem honor listownie JMPanu dobrodziejowi nadmienić, lecz w pomieszanu takowym opisanie smutku mojego musiało być niedokładne, ale rozumiem iż JM. Świętosławski jako wiadomy, ustnie całą rzecz JMPanu Dobrodziejowi opowiedział. Z tém wszystkiém szukając ja ulgi uzaleniem się przed IMPanem Dobr. jako moim łaskawcą mam honor donieść iż tego wszystkiego nieszczęścia przyczyną jest przewrotny i zdradziecki szeff Malczewski wynalezieniem różnych zrad i podstępów, któremi zbałamucił i z rozumu wyprowadzić potrafił żonę moję, tak daleko, że przez to przywiązanie do niéj, dla niego ze mną rozstała się w tym sposobie jak tu przyłączam kopią między nami zawartéj komplanacyi i pozew do rozwodu. Zważ tedy IMPan jak ja jestem nieszczęśliwy przez jednego zdrajcę, z którym za obaczeniem się jak zakończę światu będzie wiadomo. Bo ja pocziwie cały ciąg życia mojego bez noty żyłem. Mówi on, że to nie pierwsze między mną y żoną (nie)porozumienie; prawda jest, ale to było wtenczas, kiedy moja żona wdała się z podobną temu w charakterze zdrajcy figurą, czego potem żałowała. Nie obwiniam ja w tém mojęj żony, bo ja nadto jeszcze kocham, ale mnie samego, że nadto jéj charakterowi zaufałem, bo po upłynionych trzynastu latach czy można się było spodziewać takiéj odmiany” etc.

List ten przed rozwodem jeszcze pisany być musiał, jak sądzimy do Ksawerego Bleszyńskiego, brata pani Haumanowéj.

Nie mógł wszelako, jak widać, pułkownik rozprawić się z Malczewskim, póki zostawał w czynnej służbie w regimencie, którego szefem był jego przeciwnik, starał się więc natychmiast o przeniesienie do innego. Nie poszło to dość prędko i gładko, gdyż dopiero w d. 9 paź-

dziennika 1793 r. dostaje patent z kancelaryi króla w Grodnie datowanej „na szarżę Pułkownika Regimentu pieszego dziesiątego Wojsk Koronnych Szefostwa Ur. Działyńskiego, po śmierci Ludwika Dahlke Pułkownika.”

Po tej tranzlokacji do regimentu Działyńskiego, w którym zaraz następnego roku miał Hauman tak głośne w kraju imię pozyskać, nie zwlekając ani chwili, wyzwał szefa Jana Malczewskiego na śmiertelne spotkanie. Sprawa, jak się zdaje, musiała być na owe czasy głośną i powszechnie wzbudzała zajęcie; król znajdował się w Grodnie, przewodnicząc ostatniemu posiedzeniu w sejmie. Przyjaciele zapaśników musieli czynić zabiegi, aby jakim bądź sposobem przeszkodzić pojedynkowi, gdyż w jedenaście dni zaledwie, po wydaniu patentu Haumanowi na pułkownikostwo w regimencie Działyńskiego, wychodzi z kancelaryi królewskiej, pod dniem 20-ym października 1793 r. w Grodnie jeden z ciekawszych dokumentów, jakie w papierach po generale znajdujemy, treści następującej:

„Stanisław August z Bożej łaski Król Polski Wielki Książę Lit. etc. etc. Urodzonemu Filipowi Haumanowi, Pułkownikowi Regimentu pieszego Szefostwa W. Działyńskiego.

„Nie bez uczucia serca naszego dowiedzieliśmy się o jakowymś zajściu między Wiernością Twoją a urodzonym Janem Malczewskim, Generał Majorem Wojsk Rossyjskich, które przez pojedynek usmierzyć zamyśliłeś. Co gdy uszu Naszych doszło krok takowy jako nie mogący być pochwalonym niniejszym listem Ślubem naszym królewskim wstrzymać umyśliłszy. Jakoż, wstrzymujemy, zalecając Wierności Twojej, abyś za odebraniem niniejszego listu, gdyby i na placu pojedynku od użycia wszelkiej broni wstrzymał się i do przedsięwziętego pojedynku nieprzystępował. Co zalecając Wierności Twojej, tymczasem dobrego mu od Pana Boga życzymy zdrowia.

„Dan, w Grodnie dnia XX Października Roku Pańskiego MDCCXCIII (1793) Panowania Naszego XXX roku.

„Stanisław August król.”

„Adres: Urodzonemu Haumanowi Pułkownikowi Reg. Piesz. Szefostwa ur. Działyńskiego, wiernie nam miłemu.“

Z wierzchu odcisnięta wielka pieczęć koronna.

Powaga tego królewskiego pisma, stawiała w nader ciężkiem położeniu Haumana; zdradziecki cios, zadany mu przez Malczewskiego, wymagał krwawego odwetu, według pojęć honoru; następstwa jednak takiego kroku, pomimo bezkarności, jakie się trafiały, bądź co bądź, w obec królewskiego wyraźnego listu, zapowiadać mogły co najmniej niewątpliwe zwiechnienie całej przyszłości. Mógł Hauman wystąpić ze służby, bić się z Malczewskim i uchodzić wreszcie za granicę, bo i tak nie raz bywało; na to jednak trzeba było mieć pewne fundusze, nie tylko do postawienia pierwszych w nowém życiu kroków, ale co więcej,



dla zapewnienia opieki jakiejś i utrzymania téj sierocie, córce Konstaucyi, którą opuściła lekkomyślna matka, zostawiając ją jedynéj pieczołowitości ojca. Hauman, nie bogaty, całe dochody miał tylko ze służby wojskowej, z tych funduszków utrzymywał siebie i córkę, zapasu z kilkunastoletniej służby nie był w stanie zebrać, bo wszystko, co miał roztrawiała zawsze żona. Przy całej determinacyi i żywości charakteru, jakie posiadał pułkownik i do ostatnich lat życia zachował, wrodzony rozsądek nakazywał mu pewne zastanowienie się i namyślenie. Względy więc powyżéj przytoczone, a nadewszystko serdeczne przywiązanie do jedynego, które na opiece jego pozostało dziecięcia, zniewoliły pułkownika do pewnego namysłu i wstrzymania się na czas jakiś z zamiarem wzięcia na Malczewskim odwetu. Dodać tu musimy, że Hauman był przytém związany i niejakiemi osobistemi obowiązkami wdzięczności dla króla, który go zawsze względami swemi zaszczycał.

Wszedł więc w tę sprawę najlepszy na świecie rozjemca, czas; burzliwe rozhukanych namiętności fale z każdym dniem zwalniały ruchu, ukołysywały się pod ciśnieniem coraz nowych wrażeń i nowych dla całego społeczeństwa tylu ważnych wypadków, które pochłaniały całą uwagę.

Regiment Działyńskiego konsystował w Warszawie, gdzie téż i pułkownik Hauman, od lat wielu, w różnych towarzyskich sferach liczne miał przyjaciół i znajomych domy. Między innymi bywał i u państwa Skalskich, którzy mieli kamienicę własną na Krakowskiém Przedmieściu pod N-rem 431, oraz dworek z placem i zabudowaniami przy Furmańskiej ulicy Nr. 2693.

IMPan Józef Skalski, konsyliarz J. K. M., wziął był za żonę Maryannę Żucką, córką bogatego kupca korzennego i winiarza, który miał kilka posesyi w Warszawie, posag dość znaczny, sam z siebie był również majątny i znaczne pobierał dochody z apteki, w téjże kamienicy na Krakowskiém Przedmieściu unieszczonej na dole, w której sam z rodziną całe górne piętro zajmował. Był dostarczycielem lekarstw dla całego królewskiego dworu i znano go w całym mieście jako doskonałego chemika a bardzo prawego i powszechnie szanowanego człowieka.

Straciwszy żonę dość jeszcze młodą, pozostał IMPan Skalski z dwiema tylko córkami, na które téż wszystkie zasoby serca swego zlewając, z całą gorliwością zajął się ich wychowaniem. Ilu było najświetniejszych metrów i nauczycieli w Warszawie, albo nawet w przejeździe tylko w stolicy bawiących, póty pan Skalski zabiegał, płacił i przepłacał, póki nie zyskał od nich lekcyi, rad albo wskazówek jakichś dla swoich ukochanych córek. Panienki téż istotnie odebrały wychowanie tak świetne, ale zarazem tak rozsądnie przeprowadzone, że prawdziwie mógł się niemi kochający ojciec cieszyć i przed światem pochwalić, choćby się im przyszło znaleźć i w najwyszukańszém towarzystwie stolicy. A że przy wychowaniu była i uroda i posagi znaczne,

znajdowały się więc wszelkie warunki do zapewnienia im świetnej przyszłości.

W roku 1793-im starsza, Norbertyna, była już od paru lat zamężną; wyszła ona za IMP. Daniela Lotticha <sup>1)</sup>, także właściciela apteki, znajdującą się na ów czas na Nowym-Świecie, w domu zajmowanym później przez Towarzystwo Przyjaciół Nauk. Małżeństwo to lubo i majątkowo i pod względem pożycia nie pozostawiało rzeczywiście nic do życzenia, zdaje się wszelako, że nie ze wszystkiém odpowiadało świetnym marzeniom pana Skalskiego. Ztąd, większą jeszcze pieczołowitością otoczył młodszą swą córkę, Elżbietę, która ze wdziękami i ukształceniem gruntowném, łączyła nadto niepospolity talent muzyczny uprawiany tak starannie, że kurs téj sztuki równał się z planem wykładów jakiegokolwiek bądź konserwatoryum, zamykając w sobie zasady nawet harmonii, kontrapunktu i kompozycyi.

Zachwycano się powszechnie i talentem i osobą panny Skalskiej; uległ wreszcie temu uczuciu i pułkownik Hauman, a że się i pannie podobał i ze stanowiska swego a imienia, okrytego już pewną chlubą wojskową, odpowiadał téż w zupełności widokom ojca panny, małżeństwo więc ułożone zostało. Zdaje się, że to musiało już nastąpić albo w końcu 1793-go lub na początku następnego roku; wypadki bowiem zaszły w parę miesięcy później zastały pułkownika narzeczonym panny Skalskiej.

Tymczasem przygotowywał się już nowy krwawy dramat, który miał się niebawem odegrać na ulicach Warszawy i silném wstrząśnieniem poruszyć kraj cały.

Wypadki te są nadto dobrze znane abyśmy je szczegółowo opisywać potrzebowali, nadmieniamy tylko, idąc w ślad za sprawozdaniem rosyjskiego generała kwatermistrza, Pistora, że gdy w Krakowie wybuchnęło powstanie pod dowództwem generała Kościuszki, natenczas konsystujący w Warszawie generał, ówczesny poseł Igelström, chcąc utrzymać spokój w stolicy, ułożył plan rozbrojenia części zostającego tam wojska polskiego, opanowania obficie na on czas zaopatrzonego arsenału i aresztowania dwudziestu kilku osób podejrzanych o spiskowanie. Plan ten ułożony był wspólnie z królem: Stanisławem Augustem i jego najściślejszą, przyboczną radą, a za gorliwém współdziałaniem hetmana Ożarowskiego i innych kilku dyguitarzy koronnych.

Że plan powstania istniał, układany jeszcze w początkach 1793 roku przez emigrantów, jak Potocki Ignacy, Kołłątaj i inni, bawiących w Dreźnie i Lipsku, wątpliwości to nie podlega; już w lipcu tego roku spisek był całkowicie prawie uorganizowany. Dziwić się jedynie wypada tak jednomyślnie dochowanej aż do ostatniej chwili tajemnicy, że pomimo niewątpliwjéj świadomości o nim strony przeciwnéj, pomimo

<sup>1)</sup> Córka pp. Lottichów wyszła za p. Karola Wałęckiego, podprefekta powiatu Łukowskiego. pr. Aut.



największej czujności, żadnej nici ani dokładnej w tym względzie wskazówki chwycić nie zdołano. Przyczyna zdaje się w części i w tém leżeć, że z wyższego stanowiska osób zaledwie kilka tylko było wtajemniczonych. W wojsku niżej jedynie oficerowie należeli do sprzysiężenia, z oficerów zaś sztabu powiadomionym był sam tylko pułkownik Hauman. Były posądzenia wielu osób usprawiedliwione, ale brakło dowodów. Regiment Działyńskich, którym Hauman komenderował najbardziej był podejrzewany z powodu nie oddania do arsenału dwóch dział, zostających w jego posiadaniu; zatrzymywał je zaś przy sobie, tłumacząc się tém, że nie były one własnością rządu Rzeczypospolitej, ale regimentu, co je własnym kosztem kazał ułać dla siebie.

Największém nieszczęściem dla kraju były współczesne wypadki we Francyi, które z jednej strony przejmowały dwór królewski nieustanną trwogą, lubo zgoła nieusprawiedliwioną, gdy cały naród, postępując wprost przeciwną drogą, oddał królowi i nad wojskiem nawet władzę, jakiej żaden u nas stótkroć godniejszy jój monarcha nie posiadał;—z drugiej zaś, pohop, jaki ztąd wyciągać mogły rządy państw sąsiednich dla zabezpieczenia spraw własnych, ku czemu, mimo pojęć ogółu społeczeństwa, nie trudno było wynaleźć i wskazać kilku istotnie najgorliwszych patriotów, ale obalamuconych ideami republikańskimi, jak Kołłątaj i inni adherenci jego, do których w pierwszej linii zaliczał się i generał Zajączek.

Wybuch rewolucyi wywołany niejako został i przyspieszony znaczeniem i wyborem dnia oraz sposobu dokonania powszechnego rozbrojenia i aresztowania osób podejrzanych. Do narady i ułożenia planu w tym względzie należeli adherenci króla samego, świeccy i duchowni, oraz hetman Ożarowski i szef sztabu jego, generał Cichocki <sup>1)</sup>, — najlepszy przyjaciel pułkownika Haumana, którego też naturalnie, po skończonej sesji natychmiast o całym planie uwiadomić pospieszył, gdy i sam już poprzednio z własnym pułkiem przysposobił się być do powstania.

O prawdziwości przeto relacji gen. Cichockiego tém mniej mógł powątpiewać Hauman, że była ona niewątpliwém potwierdzeniem wskazówki, jaką otrzymał był właśnie przed kilku dniami w niedyskretnym własnoręcznym liście księcia eks-podkomorzego koronnego, Kazimierza Poniatowskiego, królewskiego brata, pisanym w sobotę d. 12 kwietnia, na pięć dni przed wypadkami. Oto jest ów nieznany a ze wszech miar ciekawy dokument:

„Wielmożny IMCPanie pułkowniku y kochany bracie.

„Lubo mało mam z WMCPanem znajomości, ale wiedząc jakieś się WMPan dystyngował będąc pod komendą X-cin Józefa i że nie chciałeś acceptować oferty (nieprzyjacielskie), kiedy IMPana namawiano

<sup>1)</sup> U Szujskiego T. IV, fol. 709 (Dzieje Polski) mylnie podane jest nazwisko „Cichowski.“  
pr. Aut.

na tamtejszą służbę. Los WMPana żywo mnie interesuje i dla tego z zupełną ufnością mu moje zdanie otwieram. Życząc WMPanu jak najlepiej; wiadomo WMPanu że regiment, który WMPan komenderujesz jest w podejrzeniu (nieprzyjaciół); spodziewać się, że ta opinia o niewierności tego regimentu jest niesprawiedliwa; jednakowoż widząc, że jeszcze między naszą młodzieżą jest wiele głów zapalonych, którzy uwiedzeni fałszywym patryotyzmem, chcieliby burzyć, gdyby się tego podała okazyja, któraby niemylnéj zguby naszej zupełnéj byłaby przyczyną, gdyby się co przeciwnego stało w tym czasie, w tym regimentcie, byłbyś WMPan za to odpowiedzialnym, choćbyś do tego się nie przyczynił. Zaczém jako dobrze życzący WMPanu przyjaciel, radzę Mu abyś się uchylił na czas krótki od regimentu, prosząc o urlop, który WMPanu nie będzie odmówiony. Tym sposobem zła opinia, którą ma Moskwa o WMPanu teraz się uspokoi. Życzę usłuchać téj rady, którą WMPanu daję z powodu prawdziwego przywiązania z którym jestem.

„Wielmożny Mci Panie Pułkowniku, WMPana szczerze życzliwym bratem y służą,

*K. X. Poniatowski, bywszy P. K.*”

O ile znane są nam stosunki Haumana, możnaby przypuszczać, że list powyższy napisany został za wskazówką króla, który zawsze pułkownika łaską swoją zaszczycał. Początek listu księcia eks-podkomorzego, przyznającego się do małéj z Haumanem znajomości, również i zakończenie, zapewniające mu urlop, jedynie natenczas od króla zależny, zdają się w zupełności domysł ten potwierdzać; tém więcéj jeszcze, gdy zważymy na to, że ksiązę eks-podkomorzy, przedewszystkiém egoista i sybaryta, do spraw publicznych w ogóle nigdy wtrącać się nie lubił. Przypuszczenie podwójnój gry ze strony dworu mogłoby téż mieć niejakię prawdopodobieństwo, z obawy rozruchów, a w myśli pozyskania pewniéj jeszcze zobowiązanego stronnika, mającego w obozie patryotycznym znaczenie. Byłby to krok dyplomatyczny również dość naturalny ze strony króla, który do podobnych skoków oddawna był przyzwyczajony i wprawę pod tym względem posiadał niopospolą.

Hauman, list królewskiego brata skrzętnie przechował, również jak wiele innych papierów, ale o urlop nie prosił, a w pięć dni potém, za umówionym na znak strzałem armatnim, nad ranem w dniu 17-ym kwietnia wystąpił z całym regimentem swoim i z dwoma nie wielkiemi działami z Ujazdowskich koszar; pod gradem kul znacznie przewyższającego liczbą nieprzyjaciela i po morderczéj trzygodzinnéj walce przedarł się przez cały Nowy-Świat i Krakowskie Przedmieście aż pod sam Zamek, gdzie złączył się z regimentem gwardyi konnéj, będącój pod dowództwem Stanisława Kosmowskiego. Wszyscy kronikarze współczesni, nie wyjmując rosyjskiego generała kwatermistrza Pistora, jednogłośnie przyznają, że to właśnie wystąpienie i działanie regimentu



Haumana niewątpliwie a stanowczo na losy ówczesnych wypadków wpłynęło.

Bartoszewicz, opierając się na wielce stronną relacyi Zajączka, zarzuca Haumanowi, że dotarwszy do zamku, na usilne prośby króla pozostał dalej z regimentem swoim na straży, jakoby na miejscu bezczynnie, gdy walka przedłużała się jeszcze na ulicy Miodowej. Zarzut ten Zajączka nie jest sprawiedliwy, ale też i postawiony jest nie bez racyi; czytamy bowiem w „zapiskach Kaminieckiego z relacyi naoznego świadka,“ że „regiment Działyńskich ku zamkowi przyciągnąwszy, atak do domu na ulicy Miodowej wzmocnił.“ W istocie, posłał tam Hauman oddział regimentu, z resztą pozostawszy na straży pod zamkiem. Z opowiadań samego generała Haumana, których pamięć przechowały dziś jeszcze żyjące osoby, okazuje się, iż generał rzeczywiście chciał osobę króla zabezpieczyć, wiedział bowiem na pewno — w tenczas już — o warcholskich marzeniach i zachciankach Kołłątaja i kilku jego przyjaciół, między którymi właśnie liczył się i późniejszy namiestnik Królestwa.

Tém pokrzyżowaniem niejako owych Robespierowskich planów, bardzo się jasno tłómaczy ów zawistny zarzut, który czyni Haumanowi Zajączek, a za nim powtarza go i Bartoszewicz.

Tu w papierach po generale spotykamy malutką, żółtkłą, postrzępioną już i nieco porozrywaną kartkę, a na nięj napis:

„Masz serce i enotę, stań na czele roboty, oyczyna zwłoką zginię, zaczynaj a żałować nie będziesz.

*T. Kościuszko.*“

Do tój własnoręcznej kartki Naczelnika, na dołączonej ćwiarteczce dopisane objaśnienie następane:

„W czasie rozruchów rewolucyjnych, przysłana od Kościuszki do mnie karteczka przez porucznika Biegańskiego, którą w Wielki Czwartek w parę godzin po otrzymaném zwyciężtwie pod S. Krzyżem, przybywszy Biegański do Warszawy, oddał mi ją, a na to obszerny raport przez tegoż porucznika do Kościuszki posłałem.

*Kp. II.*

Nosząc tę kartkę w perspektywie w kieszeni, podarła się.

Zdaje się, że Hauman nominacyą na stopień Generał-Majora otrzymać musiał wkrótce po tych wypadkach, odtąd bowiem we wszystkich listach i papierach urzędowych spotykamy już nadawany mu ten tytuł.

Niebawem też z rozporządzenia naczelnego wodza, ruszył w Radomskie z dość silnym oddziałem w 2,200 ludzi piechoty, z ośmiu armatami i 120-tu końmi jazdy; że jednak z końcem maja zbliżały się ku granicom, w okolicach między Dubienką a Chełmem, nieprzyjacielskie korpusy wojsk Zagrajskiego i Derfeldena, wysłał przeciw nim Kościuszko oddziały Wedelsteta i generała Kajetana Ożarowskiego, dla

wzmocnienia nadciągających właśnie tamże z Wołynia komend, dzielnego majora Wyszkwoskiego, Kopia i Zagórskiego. Pułkownik Chomętowski organizował już tam nowe zaciągi rekrutów, kósynierów. Były to wszystko jednak w obec wojsk nieprzyjacielskich siły bardzo słabe i wcale niedostateczne; dla podniesienia ich przeto, otrzymał i generał Hauman rozkaz udania się tamże ze swoim oddziałem. Ruszył więc niezwłocznie, a sam na chwilę tylko wpadłszy do Warszawy, znalazł się dnia 5-go czerwca pod Chełmem. Tu przedstawił zebranym już w obozie dowódcom, Ożarowskiemu, Wyszkwoskiemu i Wedelstetowi rozkaz Rady najwyższej warszawskiej, donoszący o nadciągającej tegoż wieczora swojej komendzie. Hauman był generałem starszym od zebranych wodzów, z porządku rzeczy przeto zamierzali oni oddać mu nad całym tym złożonym korpusem komendę. Zebrano się właśnie wieczorem w tym celu w namiocie, gdy nagle usłyszano trąbkę pocztową i przez nikogo nie oczekiwany pojawił się Generał-Lejtnant Zajączek, jadący wprost z obozu pod Połańcem, gdzie natenczas znajdował się Kościuszko, z rozkazem objęcia głównego dowództwa nad wszystkimi oddziałami wojsk zgromadzonych pod Chełmem.

Siły, nad którymi komendę obejmował Zajączek, wynosiły 4,533 koni kawalerji, 5,000 regularnej piechoty i 2,050 świeżo zrekrutowanych włościan; cała artylerja składała się z 11-tu armat, z których jedna tylko 12-to funtowa, 5 sześćcio- i 5 trzyfuntowych działek. Korpus ten powstrzymać miał wkraczające wojska pod Zagrajskim 10,000 ludzi z dwudziesto-czterema działami i Derfeldena 12,000 ludzi z trzydziestu działami, żołnierzka karnego i dobrze wyćwiczonego.

Przeprawy przez Bug nie udało się przeszkodzić nieprzyjacielowi, który w połączonych siłach zbliżył się już dnia 7-go czerwca pod Chełm od strony Serebryszcz i Kamienia.

Przyjął Zajączek bitwę dnia 8-go czerwca, zająwszy dość silną i obronną pozycją na wzgórzach od wschodniej strony miasta położonych, mając 11,000 ludzi i 11 dział z niewielkim już zasobem amunicji, którą w przeddzień, przy wycieczce za Bug, Wedelstet, jak się zdaje, bez żadnej koniecznej potrzeby wystrzelał. Z drugiej strony stało 22,000 ludzi, z potężną artylerją o 54-ch działach wielkiego kalibru. Pomimo tak znacznej przewagi, była jednak chwila, w której nieprzyjaciel mieszać się i w części pierzchać począł, pod nagłym i piorunującym uderzeniem brygady kawalerji Wyszkwoskiego. Czy to jakaś niedokładność głównej komendy, czy być może dla zbyt rozciąglej linii bojowej niedostateczne porozumienie się wodzów, nie pozwoiliły jednak korzystać z tego szczęśliwego momentu, aby owo natarcie poprzeć całemi siłami. Pierwszy Wedelstet, nie wiedząc o niczem, a z pierwszego ataku nieprzyjaciela, przy którym zginął dzielnym pułkownik Chomętowski, sądząc, że już opór jest daremny, cofać się począł; za nim również uwiedziony poszedł Ożarowski. Ta jedna chwila stracona dała przewagę nieprzyjacielowi i byłby cały korpus



Zajęczka poszedł może w rozsypkę, gdyby cofających się nie zastąpiły dwa bataliony Haumana, regimentu Działyńskich i regiment kawalerji narodowej Wyszkwowskiego.

Przegrał bitwę Zajęczek, ale wycofał się w porządku, nie będąc wcale ściganym przez nieprzyjaciela, który zajął miasto i tam się zatrzymał.

Ta nieszczęśliwa bitwa pod Chełmem ujawniła, jak zwykle w takich okolicznościach się zdarza, pewne nieporozumienia i niechęci między generałami, że zaś przeważnie działał tu Hauman, nie możemy przeto zająć tych pominąć milczeniem.

Wszystkie prawie bez wyjątku źródła historyczne jednozgodnie świadczą, że Zajęczek, jako przyjaciel a podobno i krewny jakiś podkanclerzego Kołłątaja, podzielał też w zupełności przekonania jego skrajno-rewolucyjne i terrorystyczne, których próbkę postarał się okazać podkanclerzy w wywołaniu krwawych a rozpasanych rozruchów dnia 9 go maja w Warszawie. Przekonania więc podobne generała Zajęczka były wprost przeciwne i religijnym wyobrażeniom i duchowi ogółu społeczeństwa; nadto i w obcowaniu nawet z ludźmi był on zwykle zawistny, podejrzliwy i szorstki. Powszechnie też w wojsku i poza wojskiem nie był lubiany i przyjaciół wcale nie miał, z wyjątkiem tych chyba, którzy go mniej znali albo w czémkolwiek mogli być od niego zależni. Nie lubił go też i dobronuduszny a cnotliwy Kościuszko, ale znosić musiał, w braku zdolniejszych i ukształceńszych generałów, znana też naczelnego wodza prostota i delikatność uczuć, pozwalała nieraz narzucać się mu i czynić potrzebnymi wielu wątpliwój wartości moralnej, lub zgoła nawet niezgodnych z nim przekonań ludziom. Przesłanie też pod Chełm Zajęczka na naczelne dowództwo odrazu wywołało i zdziwienie i niezadowolenie zebranej tam całej starszyny wojskowej. W żadnym razie jednak nie przypuszczamy, aby wrażenie to, w obec uczuć obywatelskich dowódców zebranych pod Chełmem, wpłynąć mogło na los bitwy szkodliwie. Zważywszy na tak przeważne siły nieprzyjacielskie, przegrana była prawie nieuniknioną; wszelako, w tém świetniejsze właśnie mogła się ona przemienić zwyciężstwo, gdyby umiano i zdołano skorzystać z owego wyżej wzmiankowanego a nadspodziewanie szczęśliwego w tej bitwie momentu. Przyczyną owego popłochu kolumn nieprzyjacielskich było, naprzód zwykle nieustraszonemu Wyszkwowskiemu szalone natarcie ze swoją brygadą, w znacznej wszelako części przyczyniła się i ta okoliczność, że regiment Wyszkwowskiego nad zwykły swój regulamin zaopatrzony był na ten raz w rodzaj starożytnych kopii, jakich niegdyś pancerne chorągwie u nas używały. Były to silne lance z długimi szeleszcząciami a powiewnemi proporcami, które Wyszkwowski, wychodząc z Podola, sporządzić umyślnie kazał, zastępując nimi brak karabinków, jakie regiment jego postradał w kampanii 1792 roku. Las tych proporców ze świstem i szelestem najeżonych, a pędzących na nieprzyjacielskie kolumny, nie tylko jeźdźców, ale wszystkie pod nimi konie tak spło-

szył, że nie było siły do ich powstrzymania; w tym nieładzie porozbiły one same i dalsze własne kolumny kawalerii i piechoty. Poparcie w tej stanowczej chwili całą masą, mogło przeto niewątpliwie o losie całej bitwy stanować.

Inaczej widać jednak chciało przeznaczenie — i chyba przeznaczenie tylko; ileż to bowiem i od wielu lat w historii naszej zdarzyło się różnego rodzaju podobnych momentów i okoliczności — z równym jak tu rozwiązaniem!

Ta chwila jednak w bitwie pod Chełmem pomyślna, była, wyznajmy, przypadkową; w warunkach zwyczajnych i najbieglejszy wódz nie mógłby być wróżyć sobie nic pomyślnego. Wszelako, bądź co bądź, cały przebieg bitwy dał powód do ogólnego w szeregach wojskowych na głównego dowódcę szemrania, a jednocześnie do sprawiedliwie zresztą zasłużonych pochwał i uwielbień dla dzielnego Wyżkowskiego.

W tym stanie umysłów cofano się z korpusem na Krasnystaw i Piaski. Tu, gdy wojsko na noc stanęło, Zajączek, zdając tymczasowo dowództwo według porządku wojskowego najstarszemu z patentu generałowi Haumanowi, pospieszył sam do Lublina. Miejscowa komisya cywilno-wojskowa zgromadzona właśnie znajdowała się na zwykłym swém posiedzeniu, kiedy się drzwi z trzaskiem otworzyły i, jak opisuje współczesny kronikarz <sup>1)</sup>, „wszedł do sali mężczyzna wysoki, przystojny, w ciemnej bajowej wołoszce z czarnym bandoletem przez ramiona, włosy gładko uczesane; śmiały krok jakim ku przysiadującemu postępował, wydawały wojskowego wyższej rangi. Gdy się zbliżył, rzekł dobitnym głosem: Jestem generał Zajączek, nie byłem szczęśliwy odeprzeć silniejszego nieprzyjaciela pod Chełmem; cofam się, lecz pod Lublinem bić się zamyślam; czy są przysposobione środki obrony dla miasta? bo może być wystawione na walki po ulicach.” Gdy zwrócono jego uwagę na nieszczęśliwe skutki, jakiby ztąd dla mieszkańców wynikły, wpadł w gniew ogromny, począł lżyć i łajać, grożąc komisarzowi Dederce, człowiekowi już w wieku, że go w kajdany okuje i do kryminału odda. Reflektował go nieco pan Grabowski, podkomorzy krasnostawski, ale to nie wiele pomogło. Dopominał się o mokre skóry do nakrywania dachów, o narzędzia do gaszenia ognia, o generalne powstanie, co wszystko, wedle niego, powinno być już oddawna na pogotowiu — i nakajawszy się, ile mu się podobało, w najwyższym gniewie opuścił wreszcie salę i ostąpił tych po takim traktamencie panów komisarzy.

Gdy to się dzieje w Lublinie, inna równocześnie scena odgrywa się w obozie rozłożonym w Piaskach. Nocą zesłała się starszysza wojskowa do namiotu generała Haumana; znaleźli się tam: generał Ożarowski, gen. Wedelstet, pułkownik Zagórski, Kopeć, Zejdlie, Rozwadowski, Łażniński i inni starsi oficerowie, brakło tylko brygadiera

<sup>1)</sup> Koźmian K., Pamiętniki.



Wyszkowskiego, który strudzony spać się położył. Roztrząsano szczegółowo przebieg bitwy pod Chełmem, użalano się na głównego dowódcę i w rozgoryczeniu powszechném, nie wiadomo na prawdę kto pierwszy rzucił myśl wcale nie chwalebna, aby, łamiąc karność wojskową, Zajączkowi odjąć dowództwo a powierzyć je Wyszkowskiemu. Zbudzono tego ostatniego i wezwano do namiotu Haumana, gdy przyszedł i dowiedział się o co chodziło, wzbraniał się zrazu, ale uległ wreszcie namowom wszystkich zgromadzonych kolegów. Protokół spisał sam Hauman i gdy nazajutrz Zajączek z Lublina powrócił, wręczył go sam na czele całej deputacji oficerów.

Relacją o tém szczegółową skreślił w notatkach swoich Michał Zienowicz, za którym poszedł i Bartoszewicz. Cała namiętna owa notatka Zienowicza, przyjaciela Zajączka, technie najwyższą a niewytłomaczoną jednak wcale niewawiścią do Haumana; zwała on na niego całą winę spisku, a nawet i przegraną bitwy pod Chełmem.

Co do spisku, jak go nazywa Zienowicz, kto go ułożył wiedzieć wcale nie można, ze skutków wszelako, jakie wywołał, podejrzenieby padało raczej na Ożarowskiego chyba, jak to się pokaże niżej. Że Hauman na tę skandaliczną niesubordynacją pozwolił — lubo stał co do przekonań swoich politycznych w przeciwnym Zajączkowi obozie — to się w żadnym razie usprawiedliwić nie da, i zarzuty w tym względzie słusznie obciążają Haumana. Inna rzecz jest wszelako co do przegraną pod Chełmem; zapalczywe zapędzenie się Zienowicza, aby i tu na generała zwalić winę, przy uważnym rozbiorze jego samego o tę bitwę opowiadania, oraz porównania tej relacji z wiadomościami podanemi w innych źródłach i przez samego Zajączka, wcale tóż inaczej rzecz przedstawiają. Przebieg, a raczej główny moment bitwy, opisaliśmy wyżej; mogło tam być nieporozumienie, ale ztąd woli żadnemu z generałów przypisać wcale niepodobna, témbardziej, że sama późniejsza chęć usunięcia Zajączka od głównego dowództwa, byłaby w takim razie następstwem zgoła nielogiczném.

Zajączek ów protokół spiskowy przyjąwszy, przestał go Kościuszce, wskutek czego „Ożarowski“ przeniesiony został do korpusu generała Mokronowskiego; „Wedelstet“ zaś zachorował i „podał się do dymisyi.“

Trwogą przez Zajączka napełnieni mieszkańcy Lublina, ujrzeni też niewąwem korpus jego zbliżający się w okolice miasta, ale równocześnie naddbiegła wieść o nieszczęśliwej bitwie pod Szczekocinami, stoczonej dnia 5-go czerwca na trzy dni przed Chełmską. Plan operacyi wojennych wskutek tego został zmieniony i Zajączek odebrał rozkaz posuwania się na Kurów i Warkę, dla zastąpienia zagrożonej stolicy.

W początku lipca Kościuszko był już pod Warszawą, skupiając siły dla odparcia zbliżających się z dwóch stron nieprzyjaciół; dnia 8 lipca nastąpiła bitwa dywizyi Zajączka pod Gołkowem; Hauman, jak się zdaje, dowodził na ten czas dywizyą osobną, spotykamy bowiem

w papierach po generale list bardzo pospiesznie pisany, treści następującej:

„Generale! maszeruy z dywizyą Twoją do Woli y tam staniem obozem, awangarda z batalionem kawaleryą (?) y dwoma armatami stanie w Rakowcu, gdzie są dwa stawki wody. 10 lipca 1794 r.

*T. Kościuszko.*“

Cały ten list własnoręczny.

Zająć przeto miał Hauman stanowisko, jak widać z planu obrony stolicy, pomiędzy dywizyą Mokronowskiego, rozciągającą się od Młocin do Powązek i dywizyą Zajęczka, wyciągniętą między Czystem i Królikarnią, gdzie dalej już aż po Czerniaków w bronit pozycyi sam Kościuszko. Pomimo jednak tak kategoriycznego rozkazu naczelnego wodza, jak czytamy w pamiętnikach samego Zajęczka, on sam zajął Wolę—na prawdziwą zgubę—mimo zbyt słabych sił, jakie na obronę miejsca tego posiadał; co téż dobrze nawet wiedząc, polecił dowodzącemu w Woli oficerowi, aby w razie ataku „sofał się, zbytecznie ludzi nie narażając.“ Jakoż przy takiem rozporządzeniu prusacy w dniu 21 lipca stanowisko to zdobyli i ustawiwszy swoją bateryą, nie tyle miastu ile własnemu obozowi Zajęczka bardzo znaczne zadawali straty.

W dalszym ciągu kampanii odebrał jednak od prusakow Wolę Zeifferyn, oficer z dywizyi Zajęczka, zagwoździwszy 9 dział i zabraw kilku niewolników.

Odstąpiono wreszcie od oblężenia Warszawy, a działania wojenne oddzielnych korpusów, stosownie do ruchów wojsk nieprzyjacielskich, rozszerzyły się na znacznych przestrzeniach kraju, korpus jednak Zajęczka i dywizya Haumana pozostały pod murami stolicy.

Tak upłynęły dwa miesiące, podczas których Hauman, zostając niejako bezczynnym, postanowił ułożone już od dawna małżeństwo swoje z panną Elżbietą Skalską doprowadzić do skutku. Przeszkód nie było żadnych, wszystko się więc ułożyło jak należy, ślub odbył się dnia 21-go września 1794 r.

Zaledwie jednak państwo młodzi, wróciwszy z kościoła mieli stanąć w progu ojcowskiego domu, gdy wpadł za nimi kuryer, wręczając generałowi od naczelnego wodza pismo następujące:

„Zalecam Generałowi-Majorowi Haumanowi, aby spiesznym marszem dążył do Siedlec, i gdy spotka Generała Sierakowskiego z nim się złączył.

D. 21 Września 1794 r., z obozu pod Mokotowem

*T. Kościuszko.*”

Przypominamy tu, że właśnie d. 16 września stoczył był generał Sierakowski ową sławną bitwę pod Krupczycami, gdzie mając do czynienia z jednym z najlepszych wodzów rosyjskich, Suworowem, pomimo ogromnie przeważającej liczby ludzi i armat, siły nieprzyjaciela w do-



skonałej stanąwszy pozycyi bardzo znaczne, bo z górą 3,000 ludzi wynoszące zadał mu straty, długi czas potrafił utrzymać się na miejscu i wycofał się w największym porządku. To mu też dało zanadto wielką pewność siebie tak, że przeszedłszy następnie Bug pod Terespołem pewnym był, że już jest zupełnie zabezpieczonym; ale z Suworowem sprawa była nie łatwa. Jakoż przekonał się o tém Sierakowski niebawem; Suworow, nie spuszczać go z oka z 17-go na 18-ty w nocy cicho Bug przepłynął, ledwie na brzask się miało, gdy z dwóch stron uderzył na wcale nieprzygotowany obóz Sierakowskiego i zadał mu klęskę nieobliczoną, poraziwszy prawie ze szczętem. Niedobitki cofały się właśnie ku Siedlcom, kiedy naczelny wódz pospieszył z nadsyłaniem nowych sił dla wstrzymania postępującego ku stolicy Suworowa.

W tym to właśnie czasie odebrał Hauman polecenie jaknajspieszniejszego marszu w pomoc generałowi Sierakowskiemu i musiał być Kościuszko mocno zaniepokojonym, kiedy widzimy drugi jeszcze list, jako i pierwszy własnoręcznie, tego samego dnia pisany treści następującej:

„W niepewności czy pierwszy list mój doszedł, powtarzam Ci Generale zalecenie moje, abyś dwie armaty 12-fuutowe odesłał na Pragę, gdyż te, które były do Grodna przeznaczone z Węgrowa ciągną do dywizyi Generała Sierakowskiego. Bądź zdrów Generale.

21 Septemb. 1794.

*T. Kościuszko.*”

Nim jeszcze papiery po Generale dostały się do rąk naszych, wiedzieliśmy z ustnej tradycyi, że Hauman zaraz w dzień ślubu musiał iść na linią bojową, a żonę pozostawił w zamku na opiece pani generałowej Grabowskiej.

Porównanie daty ślubu na akcie i innych papierów, oraz listu naczelnego wodza Kościuszki, w zupełności potwierdza to pierwotne podanie, co do umieszczenia zaś tylko co poślubionę małżonki na królewskim zamku, rzecz zdawałaby się zgoła niezrozumiałą, zważywszy, że ojciec pani Haumanowej, JMP. Józef Skalski, mieszkał przecie w Warszawie w kamiennj kamienicy swojej, niedaleko nawet od rezydencji królewskiej, na Krakowskiém-Przedmieściu. Bardzo jednak cenną, rzucającą pewne światło na ówczesne stosunki i zupełnie przedmiot ten wyjaśniającą wskazówkę, spotykamy w niezmiernie ciekawym rękopisie niewydanego pamiętnika Michała Starzeńskiego, starosty brańskiego. Wyjaśnia on, że w obec rewolucyjno-terrorystycznych zachcianek zwolenników Kołłątaja, utworzyło się z wybuchem powstania w Warszawie, bardzo liczne koło tak zwanych Rojalistów, do których zaliczało się téż wielu generałów i wyższych wojskowych. Nie byli oni bynajmniej stronnikami Stanisława Augusta, którego ani pojęć ani postępowania bronić nie myśleli, ale otaczali szacunkiem osobę króla, jako przedstawiciela pewnych zasad i społecznego porządku. Oto co dalej pisze starosta brański. „Zamek królewski w Warszawie zmienił się w cytadelę. Wielka liczba kobiet zamknęła się w nim i wszystko, co uważano za najkosztowniejsze tam przeniesiono nocami.“

Widzieliśmy wyżej, że generał Hauman pomimo tak czynnego i żywego udziału, jaki brał w całych wypadkach 1794 roku, zaliczał się zawsze do przeciwników partyi Kołłątajowskiej, a z dawniejszych lat jeszcze cieszył się pewnymi względami króla. Zważywszy więc na ową chwilę ogólnego popłochu, o której starosta brański mówi w swoich pamiętnikach, wyjaśnia się nam i stwierdza zupełnie prawdziwość drugiego podania o umieszczeniu przez generała młodej żony w zamku na opiece pani Grabowskiej.

Zaraz też ledwie odszedłszy od ślubu, po otrzymaniu rozkazów wyruszył Hauman z Warszawy ku Siedlcom; w pochodzie już drugiego dnia otrzymał od naczelnika pismo następujące:

„Generał Hauman ma się spieszyć forsownym marszem, drogą ku Siedlcom (dla złączenia się?) z Generałem Sierakowskim, i jemu da znać, którą drogą idzie, gdzie się znajduje i gdzie na drugi dzień nocować będzie.

D. 22 Września (1794)

*T. Kościuszko.*”

*(dok. nast.).*

---



# WŚCIEKLIZNA I PASTEUR.

NAPISAŁ

Władysław dr. Chodecki.

Od chwili wystąpienia uczonego francuza, Pasteur'a, z nauką szczepienia zarazków, a w szczególności szczepień ochronnych i leczniczych wścieklizny, szerokie koła publiczności zaczęły zwracać baczniejszą uwagę na tę przerażającą plagę ludzkości, o której już Dyoskorydes, żyjący na początku pierwszego wieku naszej ery, powiedział: „Chorzy na wodowstręt przeznaczeni są na śmierć niechybną.”

I rzeczywiście. W obec rozwiniętej wścieklizny sztuka lekarska jest zupełnie dotąd bezsilną; żaden z tylu zalecanych środków nie okazał się skutecznym. Przypadki wyleczenia wścieklizny, ogłaszane przez różnych autorów, każą powątpiewać o trafności rozpoznania. Kiedy zatem Pasteur po kilkoletnich doświadczeniach, wystąpił ze swymi szczepieniami, czyniącemi zwierzę odporném na wściekliznę, a następnie ze szczepieniami leczniczemi i kiedy nakoniec przystąpił do szczepień na ludziach ukąszonych przez wściekłe zwierzęta, cały świat ucywilizowany z natężoną uwagą słuchał rozpraw w paryżkiej Akademii nauk, ważąc głosy badaczy pro i contra, oczekując z biciem serca ostatniego słowa nauki... Jak zwykle w takich razach się dzieje, zaczął w kołach niespecjalistów panować dualizm przekonań: jedni przyjmowali rezultaty otrzymywane przez genialnego francuzkiego uczonego bez wszelkich zastrzeżeń, wierząc ślepo, iż każdy ukąszony przez wściekłe zwierzę, metodą Pasteur'a wyleczonym będzie; drudzy, nie czerpiąc wcale swych argumentów ze skarbicy nauki, potępiali ją bezwzględnie, nazywając francuzką błagą i szarlataneryą. Nauka nakazuje w takich razach cierpliwość, nakazuje oględność sądu, aż się pojawią fakty niezbite, sprawdzone przez najwyższe kryterium w naukach eksperymentalnych: przez doświadczenie. Szczepienie cho-

robotwórczych zarazków wskazane przez genialnego Pasteur'a, odda cierpiącej ludzkości niespożyte usługi — i zdobędzie sobie w historii sztuki lekarskiej pierwszorzędne znaczenie.

Aby tém łatwiej porząć i ocenić system uczonego francuzkiego, musimy poprzednio nakreślić obraz samęj wścieklizny.

Wścieklizna powstaje najczęściej od ukąszenia aż do krwi przez wściekłego psa lub inne zwierzę, jak wilka, kota, lisa. Oprócz tego i inne obrażenia skóry, zarażonej przez ślinę wściekłego zwierzęcia są dostateczne do wywołania zabójczej choroby. Już Caelius Aurelianus opowiada o szwacze uległej wściekliwości przez łatanie sukni i dotykanie ustami i językiem kawałków podartych przez psa wściekłego, a Diberder opowiada o chłopcu, który zachorował na wściekliznę wskutek podrapania łapą psa wściekłego. Choroba nasza znana już była w głębokiej starożytności: już Asclepiades a za nim Pliniusz nauczali, że ukąszenie człowieka przez psa wściekłego wywołuje objawy choroby, cechującej się niemożnością połykania płynów, ztąd nazwa wodowstręt (hydrofobia z greckiego *ὕδωρ* woda i *φοβέω* = boję się).

Wścieklizna zdarza się najczęściej w wieku dziecięcym i młodzieńczym. Według danych statystycznych, zebranych przez d-ra Emminghaus'a, autora znakomitej monografii o wściekłości, pomieszczonej w „Podręczniku chorób dzieciennych“ Gerhardta, na 385 wypadków śmierci ze wścieklizny znajdowało się najwięcej w wieku od 10—20 lat, bo 111, od 20—40 lat 97 wypadków.

Zastępuje w wysokim stopniu na uwagę fakt, iż nie każdy ukąszony przez wściekłe zwierzę ulega napadowi wścieklizny; zależy to od wielu okoliczności, bo i pewna indywidualna wrażliwość gra tutaj nie mniejszą rolę. Według danych statystycznych, zebranych w dziele Faber'a <sup>1)</sup>, co do królestwa Wirttembergskiego, zachorowało na wściekliznę tylko 28 na 145 pokąsanych. W sprawozdaniu pruskiem za rok 1883/4 czytamy, że w tym czasie w prowincjach niemieckich, w Poznańskim i na Szlązku pokąsanych zostało przez psy wściekłe osób 74, z tych umarło 4, a więc tylko 5%, co jest stosunkiem bardzo nieznacznym. Zresztą różni autorowie różnie określają stosunek pokąsanych do uległych wściekłości: gdy jedni bowiem oznaczają go 5 na 100, inni (Emminghaus) aż 55 na 100. Trudno zresztą ten stosunek na pewno oznaczyć z tych powodów, iż nie każdy pies podejrzany o wściekliznę jest rzeczywiście wściekłym; stosunek więc pokąsanych do uległych wściekłości wypadnie większy, jeżeli będziemy brać w rachubę te tylko wypadki pokąsania, w których wścieklizna na pewno stwierdzoną została.

<sup>1)</sup> Faber: „Die Wuthkrankheit der Thiere und der Menschen.“ Karlsruhe, 1846.



Niektórzy autorowie są zdania, iż szczególnież dzieci są mało wrażliwe na jad wścieklizny; według danych statystycznych, zebranych przez Thamhayn'a, na 247 wypadków pokąsania zostały wolne od wścieklizny:

w wieku od	3 — 5 lat	6 z 18 pokąsanych
„	5 — 10 „	12 z 39 „
„	10 — 20 „	10 z 59 „
„	20 — 40 „	5 z 36 „
„	60 i więcej lat	3 z 11 „

U dzieci więc, stosunek pokąsanych do uległych chorobie oznaczyć wypadnie na 20%. W ogóle zaznaczyć należy, iż stosunek pokąsanych do zapadających na wściekliznę jest mniejszy u dzieci, aniżeli u dorosłych.

Niepoślednią rolę gra także miejsce ukąszenia: jeżeli było nie pokryte przez odzież np. twarz, jeżeli zadane rany są liczne i głębokie, prawdopodobieństwo wybuchu wścieklizny u pokąsanego silnie się zwiększa. Szczególnie pokąsania w twarz uważane bywają za najmniejbezpieczniejsze, bo stosunek śmiertelności, przy różnych metodach leczenia, jest po nich największy.

Również bardzo niebezpiecznymi są ukąszenia wściekłych wilków; sam Pasteur ogromny ua to kładzie nacisk. Według jednozgodnych poglądów badaczy, jad psa i wilka jest zupełnie identyczny, ale wilk kąsa po większej części w twarz, zadając rany liczne i głębokie, a przez to i śmiertelność po ukąszeniu wilka jest większa. Statystyka wykazuje, iż na 100 osób, pokąsanych przez wilka, przecięciowo umiera 82. Nadto okres wylegania się wścieklizny (czas upływający od pokąsania do chwili wybuchu choroby) jest zwykle krótszy po ukąszeniu przez wilka, niż po ukąszeniu przez psa. Według zestawień Renault'a z pomiędzy 259 osób, pokąsanych przez wściekłych wilków, dostało wścieklizny 164, a więc dwie trzecie; kiedy według tego samego badacza, tylko trzecia część osób, pokąsanych przez psy wściekłe ulega téjże chorobie <sup>1)</sup>.

Prawie wszystkie zarazki chorobotwórcze, dostawszy się do organizmu nie wywołują od razu objawów chorobowych, ale przez pewien czas pozostają ukrytymi w organizmie; jest to tak zwany okres „wylegania“ (incubatio), różny dla różnych chorób zakaźnych. Okres wylegania wścieklizny odznacza się ogromną niestałością, przecięciowo trwa on od czterech do ośmiu tygodni. Według zestawień Hamilton'a i Thamhayn'a najczęściej wybuchu wodowstręt między 18 a 59 dniem po ukąszeniu; według tablicy Bauer'a, opierającej się na obserwacyi 500 przypadków śmierci z wścieklizny, największa liczba śmierci przypada w ciągu pierwszych dwóch miesięcy, mała ilość pomiędzy

<sup>1)</sup> Renault: „Rapport sur la rage.“ (Recueil de med. veterin. prat. 1852).

5—6, najmniej zaś po 8—9 miesiącach. Niemniej jednak znamy wypadki wybuchu wścieklizny w parę lat po ukąszeniu przez wściekłe zwierzę. Morel <sup>1)</sup> ogłosił wypadek wybuchu wścieklizny w dwa lata, dwa miesiące i tydzień po ukąszeniu. Kilka lat temu w „Gazecie lekarskiej“ dr. Ludwik Kadler ogłosił wypadek wścieklizny, wybuchłej w dwadzieścia siedm lat po ukąszeniu. Objawy, obserwowane za życia są: niemożność połykania płynów, charakterystyczne kurcze mięśni oddechowych i połykowych, śmiertelny koniec choroby, wreszcie negatywny rezultat sekcji, nie pozwalają ani na chwilę wątpić o rzeczywistej wściekłości.

W obec tych faktów musimy przypuścić, że różnice okresu wylegania zależą przedewszystkiem od indywidualnego usposobienia, a szczególnie od wrażliwości układu nerwowego; pewne podrażnienia tego systemu, wstrząśnienia moralne, mechaniczne obrażenie blizny, pozostałej po ukąszeniu, mogą przyspieszyć wybuch wścieklizny. O ile wstrząśnienie psychiczne może przyspieszyć wybuch wścieklizny, dowodzi następujący wypadek (u Faber'a): Dwunastoletni chłopiec, w czterdzieści dni, po ukąszeniu go przez psa wściekłego w palec, pozostał zdrowym; w sprzeczce z drugim towarzyszem zabaw, usłyszał wyrzut: „czekaj, ty wściekły psie;“ zmieszany mocno, nie mówiąc ani słowa poszedł do domu i wkrótce zaczął narzekać na dotkliwy ból ręki, a umarł 4-go dnia przy charakterystycznych symptomatach wodowstrętu.

W ogóle peryod wylegania się wścieklizny u dzieci krótszym jest, aniżeli u dorosłych. Według zdania znakomitego lekarza francuzkiego Jaccoud'a <sup>2)</sup>, zarazek wścieklizny działa najpierw na gałęzie nerwowe, znajdujące się w obrębie rany, z kąd dopiero podrażnienie wzdłuż uszkodzonego nerwu, przenosi się do rdzenia w dłuższym lub krótszym przeciągu czasu i z różnym natężeniem, co już zależy od indywidualnych własności chorego.

Wścieklizna należy więc do wielkiego szeregu chorób zakaźnych, z tą jednak wybitną różnicą, że gdy zarazki większości chorób zakaźnych doskonale znamy i to dzięki najnowszym badaniom bakteriologicznym, morfologia zarazka wścieklizny jest nam dotychczas zupełnie nieznaną, a wszelkie w tej mierze przypuszczenia równie samego Pasteur'a jak i innych uczonych zostały zachwiane przez ścisłe badania drobnowidzowe. Jest to ogromna luka w nauce o wściekłości, nie dozwalająca stawiać ścisłych wniosków i działać na pewno. Tyle tylko wiemy, dzięki badaniom Pasteur'a, potwierdzonym przez innych uczonych (Frisch), iż jad wścieklizny znajduje się w największej ilości w mózgu, oraz w rdzeniu i w ślinie; doświadczenia innych badaczy wykazały, że zarazek wścieklizny znajduje się także w małej ilości

<sup>1)</sup> Morel: „Cas de rage developpé après deux ans deux mois et une semaine etc. (Gazette des hopit. 1875).“

<sup>2)</sup> Jaccoud: „Wykład patologii szczegółowej,“ tom III, str. 725.



w świeżej krwi zwierzęcia chorego <sup>1)</sup>. Ciekawy jest fakt, iż króliki, pojone rozartym mózgiem wściekłych zwierząt, i szczury, karmione tym samym materiałem, dostawały wściekliczny. Wpływa ztąd wielkiej doniosłości wniosek, iż psy i inne zwierzęta, zjadając świeże mięso zabitych wściekłych zwierząt, lub też ich mózg i rdzeń nawet w kilka dni po ich zabiciu, mogą dostawać wściekliczny. Gotowane mięso jest zupełnie nieszkodliwe (Bujwid). Już dawni autorowie, jak Brogiani, Boërhave, van Swieten, wspominają o wypadkach wodowstrętu, powstałych po zjedzeniu mięsa lub mleka (Timaeus, Rahn), co potwierdzają badania d-ra Bardacha z Odessy, według którego mleko wściekłych krów ma zawierać w sobie jad; niegotowane więc może stać się przyczyną zarażenia.

Raz jeszcze zwracamy uwagę na fakt koncentrowania się jadu wściekliczny w głównych ośrodkach systemu nerwowego, jak mózg i mlecz pacierzowy. Gdy inne zarazki chorobotwórcze oddziałują na cały organizm, to jad wściekliczny działa przeważnie na układ nerwowy, wywołując za życia tylko objawy patologiczne ze strony systemu nerwowego.

Czy wściekliczna u psów i wodowstręt u człowieka są jedną i tą samą chorobą? Doświadczenie każe odpowiedzieć twierdząco. Wprowadzając bowiem pod twardą oponę zwierząt (błona mózgu) cząstki rdzenia człowieka zmarłego na wodowstręt, zwierzęta ulegają wścieklicznie po 15—21 dniach. Earle przeniósł wodowstręt z człowieka na królika; z ciekawego zaś sprawozdania Youatta widać, że jeden ze studentów szpitala Middlessex, szczepiąc ślinę chorego człowieka, zdołał wywołać wodowstręt u świnki morskiej. Daleko wątpliwszém jest pytanie, czy choroba może się przenosić z człowieka na człowieka? W najnowszych czasach (1877 r.) lekarze angielscy Legg i Ormerod donoszą, że postugaczka szpitalna, pokąsana przez człowieka chorego na wodowstręt, pozostała najzupełniej zdrową. Nadmieniamy, że jeden przypadek niczego nie dowodzi, a wypadki pokąsania człowieka przez człowieka są tak rzadkie, iż trudno tutaj przyjść do stanowczego wniosku.

Wścieklicznę można najpewniej przenosić ze zwierzęcia na zwierzę, przeszczepiając małą ilość rdzenia psa, zdechłego na wścieklicznę, innym zwierzętom pod oponę twardą mózgu. Po dniach 14—21 u zwierzęcia, któremu zaszczepiliśmy wścieklicznę, możemy obserwować jej objawy, a po 4—5 dniach zwierzę zdycha. Zaszczepiając jad podskórnym, zauważyć się daje pewne opóźnienie wybuchu wściekliczny, czyli przedłużenie okresu „wylegania;“ nadto zarażenie jest mniej pewne. Im mniejszą jest ilość jadu wstrzykniętego podskórnym, tém okres wylegania będzie dłuższy; wstrzykując równe ilości jadu różnym zwierzętom, otrzymany jeden i ten sam okres wylegania.

Jakie są symptomy wściekliczny u psów? Psy przed zbliżającym się wybuchem wściekliczny stają się smutne, złośliwe i objawiają dąż-

<sup>1)</sup> O. Bujwid: „Metoda Pasteur'a,“ *Gazeta lekarska*, nr. 32.

ność do kłapania równie człowieka, jak i przedmiotów martwych. Wcześniej bardzo tracą pragnienie, płyny łykają niechętnie; przytém zjadają bardzo często przedmioty niejadalne, jak: siano, słomę, szerść, piasek, kamienie i t. d. Pies wściekły często ucieka z domu i więcej nie wraca; gdy pokąsa ludzi i zwierzęta w domu, ucieka i kąsa ludzi i zwierzęta obce. Z wtulonym ogonem, z błyszczącymi ślepiami pies taki, trapiiony niepokojem, lata z miejsca na miejsce. Przytomność pewną posiada; pies wściekły, wołany po imieniu, zwraca się w stronę wołającego; szczekanie jego ma w sobie coś istotnie charakterystycznego, jest głuchém, pośredniém między szczekaniem a wyciem. Zwykle przed śmiercią przychodzą objawy paralityczne, najprzód w kończynach tylnych a następnie i przednich; czucie staje się znacznie przytępióném.

Co do objawów wodowstrętu u człowieka, to tutaj obserwujemy zwykle złowieszcze zwiastuny: ból w ranie, darcie, dreszczyki, ogólne uiedomaganie, wstręt do płynów i uderzającą zmianę humoru i usposobienia psychicznego. Peryod ten trwa zwykle 1—4 dni. Po upływie tego czasu zaczynają występować halucynacje, niepokój z każdą chwilą się wzmacnia, szczególniej w okolicy serca, chory oddycha głęboko, przy czém czynnemi są wszystkie pomocnicze mięśnie oddechowe; temperatura ciała zwykle dochodzi do 38,5<sup>o</sup> a nawet i 39<sup>o</sup>. Chory, dręczony niepokojem i przestraciem, krzyczy gwałtownie, zrywa się z posłania i biega po pokoju. Nadczułość (hyperaesthesia) zmysłów z każdą chwilą się wzmacnia: najmniejszy szmer, hałas, jaskrawe światło, wywołują kurczowe drżenie całego ciała. Z powodu podwyższonej nadmiernie pobudliwości zwrotnój, każde dotknięcie się chłodną ręką choroego, przeciąg powietrza wywołują drgawki i gwałtowne kurcze wszystkich mięśni oddechowych. Gdy chory dręczony straszném pragnieniem usiłuje przełknąć chociażby najmniejszą ilość płynu, występują gwałtowne kurcze mięśni połykowych i oddechowych, uczucie duszenia się, tak, iż nieszczęśliwy ze wstrętem odrzuca naczynie z płynem. Niepokój i przestracie dochodzą do prawdziwego szaleństwa; tylko łagodne, pocieszające słowa mogą do pewnego stopnia i na krótki czas uspokoić chorego. Nieubłagana jednak choroba z każdą chwilą postępuje naprzód; już próby przełknięcia płynu, a nawet sam widok naczynia z wodą wywołuje gwałtowne kurcze przełyku, mięśni oddechowych, twarzy, a nakoniec i całego ciała. W tym to okresie wodowstręt zaczyna przypominać drugą chorobę, przychodzącą po obrażeniu nerwów czucia, a charakteryzującą się również takiém podwyższeniem pobudliwości zwrotnój, iż po najmniejszych podrażnieniach obwodowych występują kurcze. Jest to tak zwany tężec (tetanus); wielu autorów twierdziło nawet, iż wodowstręt jest tylko tężcem.

Żadne, najwymowniejsze pióro nie jest w stanie dokładnie opisać męczarni chorego na wodowstręt; już Celsus dobitnie odmalaował jego położenie w następnych słowach: „Miserrimum genus morbi, in quo simul aeger et siti et aquae metu cruciatur.“ Okropna scena prze-



strachu, kurczów i duszenia występuje przy każdej nowej próbie za spokojenia pragnienia. „Trudność w połykaniu, jak to słusznie zauważył Romberg <sup>1)</sup>, zależy nie tyle od niemożności połykania, ile od tego, że aktowi temu stają na przeszkodzie zaburzenia w oddychaniu; chorzy doznają w chwili połykania uczucia zaduszania oraz niepokoju, które ponawia się przy każdej nowej próbie połykania. Nie ma żadnego dowodu na to, aby uczucie ściskania w gardle, jakiego doznaje chory, zależało od istotnego zamknięcia światła krtani: przeciwnie badanie krtani nie wykrywa w niej żadnych zmian, natomiast zaś wypuklenie dołka podsercowego i podniesienie łopatek, świadczy o tężco wym skurczu mięśni wdychowych; w tém to zjawisku szukać należy przyczyny duszności i wszystkich objawów podmiotowych.“

Niepokój z każdą chwilą wzrasta; chory wyskakuje z łóżka, zrywa z siebie i drze wszystko, okazując zniecierpliwienie i rozpacz bez granic; męczarnie dochodzą do tego stopnia, iż prosi Boga o blizką śmierć, brak mu już bowiem sił na zniesienie tortur takich.

Chorzy nawet w najstraszliwszych chwilach szaleństwa, kásają otaczających niezmiernie rzadko, i w tym to fakcie leży istotna różnica objawów tego samego procesu u zwierząt i u człowieka. Wścieklizna u psów odznacza się niepohamowanym popędem do kásania, u człowieka—niemożnością przełykania płynów. Nakoniec napady kurczów stają się coraz radsze; chory może już przełknąć pewną ilość płynu, ale występuje ogromny upadek sił, zapowiadający blizki koniec. Ciało pokrywa się lepkiem potem, z ust sączy się nieprzerwanie ślina, źrenice są rozszerzone, oczy nieruchome, jakby szklane; do tego dołączają się objawy paralityczne i to zwykle najprzód w ukąszonej kończynie, następnie bezwład posuwa się dalej i przy zjawiskach paraliżu całego systemu nerwowego i serca a pulsie małym, nitkowatym—następuje śmierć okrutna.

Oto jest obraz wodowstrętu z całą jego grozą; kto go raz widział nie zapomni go nigdy. Nawet najzimniejszy obserwator, patrząc na męki chorego, dozna wzruszenia.

Zastanawiając się dokładniej nad objawami wodowstrętu, przyjść musimy do przekonania, iż głównie pod wpływem zabójczego jadu cierpi system nerwowy t. j. że wodowstręt przedstawia nam nerwicę, pochodzącą z zatrucia czyli jak dokładnie określił całą tę sprawę znakomity neuropatolog niemiecki Romberg: „toxo neurosis.“ Na podstawie najnowszych danych z fizjologii o czynnościach systemu nerwowego, musimy przyjąć gwałtowne podrażnienie rdzenia przedłużonego (łączy mózg z mleczem pacierzowym) i mostu Warol'a, o których wiemy, iż pośredniczą w sprawach oddechania, połykania i są siedliskiem kurczów. Ogólna nadszutość, napady bólów i kurcze wskazują na podrażnienie szarej substancji w mleczu pa-

<sup>1)</sup> Cytowane w dziele Jaccoud'a: „Wykład patologii szeregółowej.“ Tom III, str. 728.

cierzowym, nakoniec zaburzenia psychiczne, napady szaleństwa dowodzą zaatakowania szarej korowej substancji mózgu.

Rozpoznać wodowstręt jest bardzo łatwo: ukąszenie przez podejrzaną zwierzę, (już sama ucieczka psa z domu i kąsanie ludzi i zwierząt w obcym miejscu świadczą prawie napewno o wściekłości), objawy kurczów oddechowych i połykowych przy każdym uśkowaniu przełknięcia płynów, stanowią wskazówkę niewątpliwą.

Śmierć następuje zwykle w 4 lub 5 dni.

Jakie zmiany w organizmie pozostawia po sobie tak straszna choroba?

Ponieważ za życia obserwujemy główne objawy w układzie nerwowym, tutaj też szukać trzeba zmian głównych, jakkolwiek, dla ścisłości naukowej, zaznaczyć należy, iż zmiany te są bardzo niestałe a po największej części sekcyą dają nam negatywne rezultaty.

W mózgu i mleczu pacierzowym uderza nas na pierwszy rzut oka przekrwienie: opony twarde i miękkie znajdują się w stanie silnej kongestji, są przepełnione krwią, szara korowa substancja mózgu i rdzenia zdaje się być ciemniej zabarwioną, w niektórych przypadkach widzimy obrzęk opon miękkich mózgu i rdzenia; surowicze nacieczenie mózgu, nagromadzenie wody w komórkach, spłaszczenie zwojów mózgowych rzadziej obserwowane się dają.

Znakomity wiedeński psychiatra Mejnert, robiąc badania drobnowidzowe na mózgu i mleczu pacierzowym dwóch osobników, zmarłych na wodowstręt w klinice prof. Oppolzer'a, odkrył już w r. 1869-m głębsze zmiany, zasługujące w wysokim stopniu na uwagę. Zmiany te polegają na obecności drobniotkich ognisk, utworzonych z rozpadu ziarnistego i białych ciałek (prawdopodobnie przenikłych z naczyń krwionośnych) oraz na nagromadzeniu okrągłych komórek we wnętrzu naczyń.

Nad zmianami temi dłużej rozszerzać się nie będziemy, przedstawiają one bowiem interes tylko dla specjalistów; nadmienimy tylko, że z nich można wnioskować, iż jad wściekliczny wytwarza w mózgu i mleczu pacierzowym zaburzenie odżywiania, prawdopodobnie charakteru zapalnego.

Co do zapobiegania wścieklicznie, to przypominałbym o przepisie, na mocy którego wszystkie psy, szczególnie w lecie winny być zaopatrzone w kaganiec. Również powinna być obmyślona forma kagańców w rzeczywistości zabezpieczająca od ukąszenia. Obecnie praktykowana istnieje chyba tylko dla formy i nie przynosi istotnego pożytku.

Jeżeli ukąszenie już nastąpiło przez psa prawdopodobnie wściekłego, należy natychmiast ranę przemyć i wypalić żelazem rozpalonem, kwasem azotnym dymiącym lub potażem żrącym. Powtarzam raz jeszcze, iż uczynić to należy natychmiastowo, najpóźniej w kilka minut po pokąsaniu; późniejsze przypalenia nie przynoszą żadnego pożytku. Dla tego też na wsi w każdym dworze powinien się znajdować potaż gryzący lub czysty kwas solny; nie czas w takich razach posyłać do-



piero po lekarza. Tutaj każda stracona minuta decyduje prawie o życiu pokąsanego. Na pochwałę zasługuje również wyssanie na miejscach odpowiednich za pomocą suchej bańki; przy licznych pokąsaniach dobre usługi oddają kąpiele sublimatowe. Następnie należy podtrzymywać ropienie w ranie przez 4—6 tygodni i opatrywać jakim obojętnym materiałem opatrunkowym. Niektórzy lekarze zalecają kąpiele parowe, środki napotne (pilocarpinę), by drogą obfitych potów wypędzić jad z organizmu, wyznajemy jednak, iż do tych środków nie przywiązujemy zbyt wielkiej wagi.

Chciałbym również zwrócić uwagę szerokiego ogółu na to, iż ukąszonemu należy dodawać otuchy zapewnieniem, że pies wcale nie był wściekły, że mu żadne niebezpieczeństwo nie grozi. Uspokojenie zupełne chorego, by zapomniał o nieszczęśliwym wypadku, jest ważnym środkiem zapobiegawczym (profilaktycznym), na który u nas niestety mało zwracają uwagi.

Także chronić należy ranę od uderzeń, uszkodzeń i tym podobnych obrażeń mechanicznych, wszystko to bowiem, jak już wiemy, może przyspieszyć wybuch wścieklizny.

Przy rwaniu, darciu w ranie i innych objawach, zwiastujących chorobę, należy natychmiast rozpocząć energiczne leczenie miejscowe a mianowicie wycięcie blizny i silne przypalenie gruntu. Obok tego trzeba uspokoić chorego, że te objawy wkrótce przejdą i nie przedstawiają żadnego głębszego znaczenia.

Przy rozwiniętej już wściekłości leczenie ogranicza się właściwie tylko do łagodzenia najbardziej męczących symptomów, do sprowadzenia snu i uspokojenia chorego. Chloral, ów środek nasenny par excellence, morfina, której w łagodzeniu bólów żaden inny środek nie sprostą, w napadach zaduszania wziewanie tlenu, zalecone niedawno przez Laszkiewicza, oto pospolicie używane środki, które chwiłowo oddają jeszcze najlepsze usługi.

W obec zupełnej bezsilności medycyny przeciwko wściekłości, znakomici badacze różnych krajów i czasów, silili się na to, aby wynaleźć środek zabezpieczający ludzi i zwierzęta od tak strasznej klęski. Pasteur, znakomity chemik i fizyolog, oddawna zajęty już był szczepieniem ochronnym różnych chorób zakaźnych; szczepienie węgliką, zalecane przez niego, chroni wprawdzie na czas krótki, bo na rok tylko, ale i to jest wielkim krokiem naprzód. Wprawdzie mikroorganizmu wścieklizny dotąd nie znamy, ale nie znamy też i mikrobu ospy tak dobrze jak innych, a mimo to szczepienie ospy zyskało prawo obywatelstwa w nauce.

Na czym tedy opiera się metoda Pasteur'a? Wiadomo, że peryod wylegania wścieklizny jest bardzo niestały. Chodziło więc Pasteurowi przedewszystkiem o to, aby otrzymać zarazek wścieklizny o stałym okresie wylegania („virus“ fixe jak się Pasteur wyraża). Zadanie to rozwiązał w zupełności. Przeszczepiając z królika, padłego na wściekłość, wywołaną przez wstrzyknięcie mózgu psa wściekłego,

zdechłego na zwykłą wściekliznę, (*rage des rues*); cząstkę mózgu na innego, potem na następnego i t. d. przekonamy się, że okres wylegania choroby za każdym dalszym szczepieniem będzie coraz krótszym. Po 20 lub 25 takich przeszczepieniach zarazka, dojdziemy do okresu wylegania 8-dniowego, który to okres pozostaje niezmiennym w obec dalszych 20 lub 25 przeszczepień. Szczepiąc dalej, okres wylegania skraca się do dni 7 i pozostaje na tej wysokości przez następnych 90 przeszczepień. Obecnie Pasteur doszedł do takiego 7-dniowego jadu; jest to więc tak nazwana „wścieklizna wzmocniona“ („*virus*“ *fixe*), która zaszczipiona królikowi wywołuje wściekliznę po siedmiu dniach. Rozporządzać jadem wścieklizny o sile zarażającej stałej jest już częściowem rozwiązaniem zagadnienia. Rdzeń pacierzowy takich królików, padłych na wściekliznę wzmocnioną, cały przesiąknięty jest jadem i każdy jego kawałek jest w równym stopniu zarażającym. Jeżeli taki rdzeń pacierzowy wyjmemy, pokrajemy na kawałki długości paru centymetrów i wysuszymy w powietrzu, to traci on po dniach 12—14 swe własności zarażające. Czas, w którym taki kawałek rdzenia traci swoją jadowitość, zależy od grubości jego oraz od wysokości temperatury otaczającej. Im temperatura jest niższą, tém rdzeń dłużej zachowa swe własności zarażające. Szczepiąc psu rdzeń, wysuszony przez 12—14 dni, nie wywołamy u niego wścieklizny. Kolejno szczepiąc rdzenie od 14-dniowego, aż do 1-dniowego lub świeżego, wywołujemy u zwierzęcia przyzwyczajenie do jadu wścieklizny, czyli odporność względem niego, tak iż np. pies, który przeszedł serją takich szczepień, będzie odpornym na ukąszenie jakiegokolwiek wściekłego zwierzęcia. Psu téż takiemu można jad wścieklizny podskórnie a nawet do mózgu zastrzykiwać, bez wywołania objawów tej choroby. Przez użycie takiej metody udało się Pasteurowi 50 psów różnej rasy i wieku przed wścieklizną zabezpieczyć.

Będąc w posiadaniu tak ważnych faktów, mógł Pasteur przystąpić do szczepień leczniczych najprzód na psach. Otóż liczne doświadczenia, wykonane na psach pokąsanych przez zwierzęta wściekłe, wykazały, że jeżeli szczepić im będziemy rdzenie królicze z wścieklizną wzmocnioną („*virus*“ *fixe*) zaczynając od 14-dniowego a kończąc na 5-dniowym lub nawet świeżym, nie ulegną one wściekliznie.

Łatwo więc z tego zrozumieć, iż metoda Pasteur'a polega z jednej strony na tém, iż zaszczipienie jadu silniejszego broni od działania jadu słabego, a z drugiej—na stopniowém przyzwyczajeniu się organizmu do zarazka jadowitości coraz większej.

Chcąc ażeby szczepienia Pasteur'a były skuteczne, należy rozpoczynać je wkrótce po ukąszeniu przez wściekłe zwierzę; robione późno nie skutkują.

Są one również mniej skuteczne po silnych i głębokich pokąsaniach; szczególniej pokąsania w twarz dają złą przepowiednię i opierają się zwykłej metodzie Pasteur'a. W takich razach Pasteur używa tak zwaną „metody wzmocnionej“ t. j. wykonywa szczepienia 2 — 3



razy dziennie, a nawet co kilka godzin, zaczawszy od rdzenia 14 dniowego a skończywszy na jednodniowym. Tę samą metodę praktykuje również w razie pokąsania przez wściekłego wilka.

Pierwsi ludzie, pokąsani przez psy wściekłe, zgłosili się do Pasteur'a w lipcu 1885 r.; były to trzy osoby: Teodor Vone, kupiec korzenny z Meissengott w Alzacyi, który w dniu 4 lipca został pokąsany przez swego psa wściekłego w ramię; Józef Meister 9 letni chłopiec, który przez tego samego psa i w tymże dniu pokąsany został. Pies rzucił chłopca o ziemię i pogryzł go w ręce, uda i gołęń, a rany były tak głębokie, iż nieszczęśliwy wcale chodzić nie mógł. Trzecią osobą była matka dziecięcia wcale niepokąsana. Przy sekcyi psa, zabitego przez właściciela, znaleziono w żołądku siano, owies i kawałki drzewa. Znalezienie takich przedmiotów niejadalnych przemawia w danym razie prawdopodobnie za wścieklizną. Józefa Meister wydarto ze szponów psa, okrytego krwią i pianą. Tego samego dnia o godzinie 8-jej wieczorem dr. Veber z Villé wypalił kwasem karbolowym rany dziecka. Teodor Vone miał znaczne wylewy krwi na ramieniu, gdy jednak pokazało się, iż ukąszenie nastąpiło przez koszulę, przez którą ślina nie przeniknęła do gołego ciała, odjechał nie leczony do domu. Stan zdrowia małego Józefa Meister zbadali dokładnie profesorowie Vulpian (niedawno zmarły znakomity neuro-patolog) i Grancher i zaopiniowali, iż wskutek licznych i głębokich ran wybuch wścieklizny jest prawie niewątpliwym. Uważając chłopca za straconego, niepewny jeszcze rezultatu swój metody, która na psach takim powodzeniem uwieńczoną została, zabrał się Pasteur do szczepień po raz pierwszy na człowieku. W dniu 6 lipca a zatem drugiego dnia po pokąsaniu o godzinie 8-jej wieczorem zastrzyknięto Józefowi Meister pod skórę brzucha pół szpryki Prawaz'a rdzenia pacierzowego, wziętego z królika, który w dniu 11 czerwca, a więc na 24 godzin przedtém zdechł wskutek wścieklizny. Następnie przez dni 13 codziennie zastrzykiwano rdzeń co raz świeższy, tak że nakoniec 16 lipca zastrzyknięto rdzeń, który tylko przez jeden dzień był suszony czyli tak zwany rdzeń jednodniowy. Dla doświadczenia przytém stopnia zaraźliwości wstrzykiwanych Meisterowi preparatów, zastrzykiwano je jednocześnie do mózgu zdrowych królików, okazało się przytém, że cztery pierwsze rdzenie, zastrzyknięte pacjentowi, nie były wcale zaraźliwe, gdyż króliki pozostały zdrowe, dopiero preparaty zastrzyknięte 11, 12, 13, 14, 15 i 16 lipca okazały się jadowitemi, gdyż zastrzyknięte królikom wywołały objawy gwałtownej wścieklizny.

W ostatnich więc dniach zastrzyknięto Józefowi Meisterowi najsilniejszy zarazek wścieklizny, który za pomocą przeszczepienia z królika na królika, został tak wzmocniony, iż zaszczepiony zwierzęciu napewno wywoływał wściekliznę po 7 dniach. Metoda Pasteur'a polega więc na tém, że zaczynamy wstrzykiwanie substancyi mało zaraźliwej, a stopniowo przechodzimy do bardzo zaraźliwej działającej. Stopniowe więc przyzwyczajanie się organizmu do coraz silniejszego za-

razka odgrywa tutaj pierwszorzędną rolę. Skoro tylko odnaleziono zabezpieczenie przeciwko wścieklicznie, można bez wszelkiego niebezpieczeństwa dla organizmu zastrzykiwać coraz silniejszy jad wściekliczny; zastrzykiwania zaś takie zabezpieczają jeszcze mocniej od tej choroby. Józef Meister, mały nasz pacjent, został przez Pasteur'a zupełnie wyleczony.

Muszę tu wreszcie zwrócić uwagę na to, że metoda Pasteur'a jest tylko zapobiegającą (profilaktyczną) wybuchowi wściekliczny; na rozwiniętą zaś wścieklicznę nie posiadamy jeszcze środka radykalnego. Metoda szczepienia zarazków chorobotwórczych nie leczy, ale zapobiega. Do szczepień na ludziach, pokąsanych przez psy wściekłe, używa więc Pasteur mleczanki, powstałej z roztarcia rdzenia królika, zdechłego na wścieklicznę wzmocnioną (t. j. z 7-dniowym okresem wylegania) z wodą słoną; pełną szprykę Pravaz'a tej mleczanki zastrzykuje on codzień w jakąkolwiek okolicę ciała. Zaczyna zawsze od rdzeni 12—14 dniowych a przechodzi stopniowo do coraz świeższych.

Doświadczenia na zdrowych zwierzętach bardzo łatwo przekonują, że szczepienia metodą Pasteur'a są zupełnie nieszkodliwe, na pokąsanych zaś bardzo łatwo sprawdzić, czy zdychają wskutek ukąszenia czy też wskutek szczepienia. Jeżeli bowiem chory umiera wskutek pokąsania, rdzeń jego, zastrzyknięty królikowi, wywoła wścieklicznę po 13—15 dniach wylegania, jeżeli zaś—wskutek szczepień metodą Pasteur'a, to umiera—po 7 dniach.

Przeszczepiając w ten sposób rdzeń ludzi i zwierząt, padłych na wścieklicznę, którym stosowano szczepienia lecznicze, nigdy nie otrzymano 7-dniowego okresu wylegania. Jest to reakcja zupełnie pewna. Mamy w tém bezwzględny dowód, iż szczepienia Pasteurowskie zupełnie są nieszkodliwe.

Liczba chorych, szukających pomocy w pracowni Pasteur'a, coraz bardziej się zwiększa; ogólna liczba osób leczonych w Paryżu od 1 listopada 1885 r. do 31 grudnia 1886 r. wynosi 2,682, liczba przypadków śmierci 35, stosunek 1,30%. Słusznie możnaby zarzucić, iż nie ma tutaj pewnego dowodu, czy osoby, leczące się metodą Pasteur'a, były pokąsane przez psy rzeczywiście wściekłe, czy też tylko przez podejrzane o wścieklicznę. Na ten zarzut da nam jasną odpowiedź wykaz *A* i *B*.

Pokąsanych przez zwierzęta, których wściekliczna stwierdzona została przez doświadczenie na króliku za pomocą sekcyi, dokonanej przez weterynarza lub też przez wyraźne objawy: Osób 2,164, liczba śmierci 33, stosunek 1,45%.

*A.* Pokąsanych przez zwierzęta, których wściekliczna stwierdzona została przez zaszczerpienie na króliku lub też przez wścieknięcie się pokąsanych równocześnie zwierząt: Osób 233, liczba śmierci 4, stosunek 1,71%.

*B.* Pokąsanych przez zwierzęta, uznane z objawów za wściekłe



lub też na zasadzie sekcji, dokonanej przez weterynarza: Osób 1,931, liczba śmierci 28, stosunek 1,45‰.

C. Pokąsanych przez psy, podejrzone o wściekliwość: Osób 518, liczba śmierci 3, śmiertelność 0,58‰.

W ogólnej liczbie 2,682 osób leczonych było pokąsanych w twarz lub głowę: Osób 214, liczba śmierci 12, śmiertelność 5,60‰.

Interesujące te dane statystyczne czerpiemy z pracy d-ra O. Bujwida, drukowanej niedawno w „Gazecie lekarskiej.“

Cyfry te wymownie świadczą o wartości metody Pasteur'a: jeżeli weźmiemy pod uwagę, że liczba ulegających wścieklicznie, powstałej z ukąszenia, wynosi, średnio biorąc 30‰—40‰, to musimy dojść do przekonania, że szczepienia lecznicze są dobrodziejstwem dla ludzkości.

Komisya angielska, złożona ze znakomych lekarzy i fizyologów, jak: Horsley, Burdon, Sanderson doszła do następujących rezultatów w kwestyi metody Pasteur'a: 1) Szczepienia ochronne metodą Pasteur'a pozwalają otrzymać u psów i innych zwierząt odporność przeciwko wścieklicznie, wprowadzonej jaką bądź drogą. 2) Szczepienia leczniczo-ochronne, wykonywane po wprowadzeniu jadu, zdolne są zabezpieczyć dane zwierzę od wybuchu wściekliczny. 3) U ludzi pokąsanych szczepienia posiadają wartość leczniczą. Z drugiej strony nadmienić należy, iż sposób, w jaki obecnie dokonywają się szczepienia lecznicze, niewątpliwie ulegnie w przyszłości licznym zmianom, nie można więc uważać go za ostatni wyraz prawdy <sup>1)</sup>. Gdy poznamy bliżej naturę mikro-organizmu wściekliczny, gdy wychodzimy go tak, jak obecnie mikroba cholery i suchot płucnych, postępowanie całe oprze się na niezbitej naukowej podstawie, której dotychczas niestety nie ma jeszcze. Przedewszystkiém więc badania przyszłe powinny być skierowane ku dokładnemu poznaniu mikro-organizmu wściekliczny. Wynalezienie go uwieńczy dzieło: w porównaniu z tém, co zrobiono, pozostaje niezaprzeczenie jeszcze wiele do zrobienia. „Ale potrzeba badać i szukać, szukać jeszcze, szukać ciągle, szukać zawsze!“ A więc nie spoczywajmy na laurach, pracujmy dalej na drodze postępu ku prawdziwemu szczęściu ludzkości. W każdym razie nazwisko Pasteur'a jaśnieć będzie między geniuszami ludzkości i będzie stanowić dumę wieku XIX-go.

<sup>1)</sup> Sam Pasteur nie uważa swęj metody za bezwzględnie prawdziwą.

SPRAWOZDANIE Z WYSTAWY

# SZTUK PIĘKNYCH I STAROŻYTNOŚCI

W KRAKOWIE

PRZEZ

A. Karbowiaka.

Są jednostki, są społeczeństwa i narody zasobne w siły niepolite, zdolne i siebie uszczęśliwić i stać się niezbędnymi w postępie cywilizacyjnym ludzkości, ale do tego stopnia lekkomyślne, że tych sił nie wyzyskują, gdy im się dobrze dzieje, a budzą się do życia, do spełnienia szczytnego swego posłannictwa domowego i ogólnodziejowego dopiero wtedy, gdy przejdzie nad nimi cała burza nieszczęść. Do takich i nasz naród zaliczyć trzeba! Za cenę bardzo wysoką nabyliśmy doświadczenia, że, aby spełnić obowiązek względem siebie i innych, trzeba nam się jąć pracy naukowej, ekonomicznej, przemysłowej.

Samo wywieszanie tego programu spokojnej ale skrętniej pracy, było objawem zdrowego rozumu i siły, której nieszczęścia przytępić nie potrafiły. Cały zastęp poetów polskich złożył przed światem dowody naszej twórczej siły i rozbudził w nas miłość do pracy, a nadzieję i wiarę w jej powodzenie. I rzeczywiście, mimo trudnych warunków, w jakich się znajdujemy, usiłowania nasze i zabiegi wydają owoce, może nie takie, jakichbyśmy sobie życzyli, ale zawsze pocieszające. Na całym polu naukowym odbywa się ruch ożywiony, nie jedno już imię polskie zabłysło w Europie, wystawy rolniczo-przemysłowe równie dawniejsze, jak i ostatnia krakowska, stwierdzają może za powolny, ale przecież stateczny postęp i rozwój naszego gospodarstwa i przemysłu. Z nietajoną radością wyznajemy, że na tych dwóch ostatnich tak ważnych pozycjach widzimy wprzágające się do wspólnej i wzajemnej pracy wszystkie stany naszego społeczeństwa. Dzięki



dzisiejszym stosunkom i warunkom dźwiga się mieszczaństwo, a oświata ogarnia coraz to szersze warstwy ludowe.

Najlepszym może dowodem naszego postępu i zagospodarowania się, świadectwem usprawiedliwionego wydanego co dopięro o nas sądu, jest ruch, objawiający się na polu sztuki, który nie tylko my widzimy, ale i skąpa dla nas w pochwały zagranica stwierdza. Społeczeństwo niezasobne, gnuśne, bez sił żywotnych, nie zdobyłoby się na ten najpiękniejszy owoc cywilizacji, jakim jest sztuka. Ona jest, że tak powiem, sumą naszych dotychczasowych prac i usiłowań, jest dowodem naszego dorobku i dostatku. Bo patrzmy, co ją zbudziło do życia? Nie zrodziła się pod opieką tronu, nie wykołysali jęj mecenasi; bez szkół mistrzów, w obec zupełnej nieomal w społeczeństwie obojętności i nieznamomości, przysłała do nas, wypłynęła sama na wierzech ku ogólnemu naszemu zdziwieniu. Kilku ludzi dobrej woli narzucało akcye zawiązującego się Towarzystwa przyjaciół sztuk pięknych wbrew niedowierzaniom, a niekiedy szyderstwom, aby w Polsce malarstwo zakwitnąć mogło. Krytyka potępiła wszystkich <sup>1)</sup>, którzyby o sztuce w Polsce i dla Polski myśleli, i radziła skierować cały zasób sił i zdolności do pracy politycznej i społecznej.

Mimo tych niekorzystnych warunków zjawia się sztuka u nas, przychodzi mimo naszej wiedzy, a poniekąd i woli, ale przecież nie bez naszej zasługi, bo jako pośrednie następstwo spokojnej, uczciwej, skrzętniej pracy, dorobku i dostatku; dobrześmy uprawili glebę, jeżeli ten kwiat cywilizacji mógł się na nią przyjąć i nabrać sił do wzrostu.

Geneza dzisiejszego ruchu zdaje się być jasną. Serca nasze wabrały od uczuć, zrodzonych z jednej strony przez burze, jakie nad nami szalały, a wywołanych z drugiej strony pogrążeniem się w przeszłość, która w obec tych nieszczęść, przedstawiała nie jeden moment chwały i powodzenia. Przeszłość i terażniejszość, to dwa ze sobą sprzeczne pojęcia. Serce-by pękło, gdybyś jeduż z drugą nie pogodził. Trzeba się było wypowiadać, uzalić, pocieszyć!

Brakło nam poczui: zresztą świat słów jęj nie cniciał—czy nie umiał pojąć. Trzeba więc było zrozumialszych szukać form, aby mu pokazać i unaocznic, to co w dziejach naszych, w przyrodzie polskiej, w polskiej społeczności, w duchu narodu odrębnym, indywidualnym, co nowym źródłem chluby i pociechy dla nas, a dla obcych pierwiastkiem nieznanyim.

U nas sztuka nigdy nie była nowością. Dość spojrzeć na stare nasze świątynie z ich pomnikami, na pałace naszych panów i ich zbory, by się przekonać, że cywilizacja polska nie obywatła się bez tego pokarmu i bez tój wzorzystej szaty, jaką architektura, rzeźba i malarstwo ozdobiły naszą przeszłość historyczną. Nic mieliśmy jednak w przeszłości ani wybitnych artystów, ani tęcz tyle pomników sztuki, z którychby się mógł uczyć natchniony adept sztuki.

<sup>1)</sup> Sął tak stanowozoy uważamy za jednostronny.

Ostatnie wypadki rzuciły sporą część naszych zagranicę i to przeważnie do głównych siedzib sztuki. Tu mimowoli kształcił się nasz smak i udzielił się tym, którzy w domu pozostali. Był tedy jaki taki ruch artystyczny u nas, ale brakowało w nim siły i treści. Dopiero gdy gwiazdy poezji naszej się przyćmiły, gdyśmy się skierowali do wyrazu nowo rozbudzonych uczuć, do sztuki, zapanował od razu na tém polu ruch ożywiony i wydał prawie od razu piękne owoce.

Bezstronni krytycy zagraniczni pierwsi zobaczyli je i pochwalili. My nie wierzyliśmy z początku pochwałom zagranicy, ale poświęciliśmy więcej interesu rozbudzonemu ruchowi artystycznemu. Stan średni dostarczył ludzi, pragnących się oddać sztuce a Towarzystwa Przyjaciół Sztuk Pięknych w części zastąpiły opiekunów.

Posiadamy dziś już nie tylko wielkich mistrzów pędzla, ale i niepoślednich rzeźbiarzy i budowniczych, którzy są nie tylko naszą chlubą, lecz i u obcych zjednali sobie uznanie i zajęli wysokie stanowisko. Wstąpiliśmy już na taką drogę rozwoju artystycznego, po której w dalszym biegu możemy dojść do sztuki, mającej całkiem nasz rodzinny charakter.

W tej świadomości powzięliśmy myśl urządzenia wielkiej wystawy sztuki polskiej. Był zamiar wykonania jęj dopiero za lat kilka. Wystawa rolniczo-przemysłowa krakowska przyspieszyła ten termin.

Mamy więc obok wystawy płodów rolnictwa i przerobów przemysłu, urządzonej na Błoniach krakowskich, wystawę sztuki polskiej w salach górnych Sukiennic. Do wystawy sztuk pięknych dołączono wystawę starożytności i sztuki, stosowanej do przemysłu oraz sztuk graficznych.

Wystawie dano imię pierwszej ogólnej wystawy sztuki polskiej. Naszém zdaniem wystawie krakowskiej daleko do tej nazwy. Lekko biorąc, przeszło 150 artystów, a między nimi wielu wybitnych nie przyjęło udziału w wystawie. Wiele pierwszorzędných dzieł sztuki pozostało po za wystawą. Wystawa krakowska nie daje nam dokładnego obrazu o naszym ruchu artystycznym.

Rozumiemy, dla czego przyspieszono terminu wystawy; rolnictwo, przemysł i sztuka obok siebie postawione, ułatwiają i uzupełniają obrachunek naszej pracy z ostatniego okresu.

Artyści pierwsi zawinili, bo nie ułatwili komitetowi spełnienia trudnego zadania przez chętne nadesłanie dzieł swoich.

Zawinił i komitet. Gdy w ograniczonym, bo ledwie kilkumiesięcznym czasie, mimo wyteżonej pracy niektórych swoich członków, komitet nie zdołał zgromadzić wielu ważnych dzieł, i dla czegoż nie postarał się przynajmniej o ich reprodukcye i nie umieścił w Katalogu wystawy spisu artystów, którzy w wystawie udziału nie wzięli oraz wykazu dzieł na wystawę nie nadesłanych. Katalog tego rodzaju, sporządzony z wszelką ostrożnością, byłby uzupełnił do pewnego stopnia to, czego wystawa nie zrobiła, nie mówiąc już o innych przysługach, jakiebys w przyszłości oddał i artystom samym i historykom sztuki.



I w sposobie, w jaki zgromadzone przedmioty wystawiono, widać brak przewodniej myśli, nie ma rozsegregowania według działów: rzeźba pomieszana z obrazami, wiele obrazów dobrych powieszono w górze, gdy gorsze korzystniej są pomieszczone. Wszędzie znać pośpiech a może i obliczenie na efekt. Aby pogląd ułatwić, o tém zdaje się wcale nie myślano!

Są to braki dotkliwie dające się uczuć, które przy następnej wystawie z pewnością pominięte będą. Obecną wystawę należy uważać nie jako pierwszą ogólną wystawę sztuki polskiej, ale raczej jako próbę takiej wystawy.

Wspomniawszy już raz o słabych stronach wystawy w Sukiennicach, rozpoczniemy nasze szczegółowe sprawozdanie od działu, który jest ze wszystkich najstarszy. Jest nim dział starożytności.

Najprzód nie można pojąć z jakich powodów dla tego działu jako i dla kilku innych nie zrobiono katalogu. Należało przynajmniej do przedmiotów dołączyć karteczki; ale i tu nie wszędzie to zrobiono. Przeciętą publiczność patrzy na ten i ów przedmiot, a nie wie właściwie, co to jest i z których czasów pochodzi.

Urządzaliśmy już kilkanaście wystaw starożytności, z małymi wyjątkami mieliśmy zawsze powodzenie. Nagromdziło się i wiele i pięknych przedmiotów. Wystawa starożytności krakowska jest, powiedzmy otwarcie, licha. Nie ma w niej żadnej myśli głębszej, darmo—byś szukał tu téj uici przewodniej, za którą możnaby dojść do źródeł dzisiejszego ruchu artystycznego. Zamiast zrobić z niej tło do dzisiejszej epoki, zebraliśmy to, co kto przysłał i uczyniliśmy coś, czego się sami wstydzimy i z czego się obcy śmiać będą. Ilość wystawionych przedmiotów, nie wiem czy dochodzi do pięćdziesięciu, a pod względem jakości, to mało takich przedmiotów, któreby głębszy budziły interes.

Całość w swój skromności jest jaskrawa. A więc jest tu kawał zęba mamutowego, dalej roślina pokrzyk (mandragora), dwie płasko-rzeźby wykopane w Pompei (?) a przedstawiające cesarów rzymskich, Augusta i Tyberjusza, zbiór monet polskich Ryszarda, zbiory monet i medali Umińskiego i Bartynowskiego, kolekcya rycin Bartynowskiego, kilkanaście portretów miniaturowych z XVIII i XIX wieku, ordery i dyplomy masonskie, zabytki cechów krakowskich, kilka pamiątek po generale Skrzyneckim, tabakierka z kości słońców, rzeźbiona przez Kościuszkę, kilka pasów litych, makat i gobelinów, ornat, stuła i wolum Bazylikańskie z klasztoru w Lwowie, dwa kancyonaty, relikwiarz, oto mniej więcej cała wystawa starożytności.

Z zabytków cechów krakowskich należy wyszczególnić olbrzymi dzban cynowy czeladzi cechu piekarskiego z r. 1564 z wyrzuitym na nim orłem polskim, a dalej relikwiarz z relikwiami ŚŚ. Kryspina i Kryspianina z r. 1779, własność cechu szewców. Do relikwiarza przyczępione są trzy medaliony, jeden z nich emaliowany z XVII wieku.

Zwraca też powszechną na siebie uwagę olbrzymi kancyonał pergaminowy z r. 1644, illuminowany przez ks. Stanisława Stolca. Przyśłali go na wystawę OO. Karmelici krakowscy. Illuminacye nie źle robione, wartość archeologiczna kancyonału nie wielka, gdyż nie ma w nim miniatur prócz jednej tutułowój.

Razem z starożytnościami w jednym i tym samym salonie (Langerówce) inieści się sztuka zastosowana do przemysłu i prócz tego wystawa architektoniczna.

Okazów sztuki stosowanych do przemysłu, jest liczebnie jeszcze może mniej aniżeli starożytności. I tu znów daje się uczuć brak katalogu. Przedmioty należało zebrać na jedném miejscu, a nie rozrzucić ich po całej sali jakby dla dekoracyi.

Okazy sztuki stosowanej do przemysłu, aczkolwiek nie licznie tu zgromadzone, dają razem z tém, co z tego działu mamy na wystawie na Błoniach, świadectwo, że pragniemy połączyć pożyteczne z piękném. Nie daleko jeszcze na téj drodze postąpiliśmy, a przecież koniecznie postąpić musimy, inaczej bowiem bezowocowne będą nasze usiłowania, aby zagraniczny towar zastąpić domowym wyrobem.

Pani Stępkowska z Wiednia została zasłużenie wyszczególniona medalem brązowym na pierwszém miejscu; prace jej, wykonane w emalii na metalu i w technice rysunkowej na porcelanie, zasługiwały na to odznaczenie wśród innych przedmiotów téj grupy. Pan Odrzywolski w Krakowie dostał medal brązowy, jako drugi stopień, za projekta z dziedziny przemysłu artystycznego. Wiele bardzo gustownych okazów ceramicznych i dekoracyjnych wyszło z fabryk Krycińskiego i Daczyńskiego w Kołomyi. Wyroby tych fabryk mogą śmiało współzawodniczyć z zagranicznymi.

Architektura po raz pierwszy na wystawie krakowskiej wystąpiła samodzielnie razem z rzeźbą i malarstwem. Z radością stwierdzamy, że na tém polu występuje ruch coraz bardziej się potęgujący. W ostatnich czasach wszystkie nasze budowle monumentalne wzniesione zostały rozumem i rękami rodaków. Z oburzeniem patrzymy już dziś na tych, którzy pomijając domowe siły, posługują się zagranicznymi.

Wystawa krakowska pokazała nam, że architekci nasi mogą już śmiało współzawodniczyć z zagranicznymi. Zygmunta Gorgolewskiego wyszczególniono najwyższą nagrodą, dyplomem honorowym, i słusznie. Polak wyrobił sobie stanowisko wśród Niemców, naszych wrogów, posiadających znakomitych architektów. Projekt jego konkursowy na gmach sądu w Lipsku (8 tablic), projekt na gmach parlamentu w Berlinie, projekt na budujący się most w Berlinie, fotografie z projektu na gmach łaźniowy w kąpielach Ocynhausen są wymowném świadectwem o wybitnych zdolnościach tego mistrza.

Obok Gorgolewskiego stanął do popisu cały szereg budowniczych: Pryliński Tomasz, Stryjeński Tadeusz, Odrzywolski Sławomir,



Zaremba Karol, Knaus K., bracia Schulz, Józef Huss, i inni, wszyscy prawie znani z prac monumentalnych, dokonanych w kraju i za granicą, tudzież z przeprowadzonych odpowiednio restauracyj dawnych pomników architektury. Nie szczędziła też komisya znawców nagród dla tych panów, oceniając ich wielkie zasługi i artystyczne i obywatelskie.

Dla rzeźby nie przysły jeszcze u nas czasy takiego powodzenia, jakie święci malarstwo, widać jednak i na tém polu ożywiony dosyć ruch i dzielnych artystów. Wystawa krakowska stwierdza to wymownie. Przyjęło w nią udział 30 przeszło artystów, którzy nadesłali razem przeszło 100 dzieł. Szczupłe ramy naszego sprawozdania nie pozwalają na szczegółowy rozbiór. Musimy się ograniczyć na wzmiance o wybitniejszych dziełach.

Weloński Pius wystawił „Niewolnika tańczącego (Sclavus saltans)”, „Gladyatora“ i portret z natury Fr. Liszta. Gladyator, własność Muzeum narodowego, zachwyca, jak wiadomo, swą potężną budową ciała i stroną moralną całej kompozycyi. Sclavus saltans jest jakby antytezą Gladyatora i pod względem fizycznej budowy i strony moralnej: pierwszy jest muskularny, drugi wysmukły, tamten ma stoczyć walkę, w której może życie postradać, ten zapomniiał o swój doli i bawi się. Gladyator wykonuje ruchy zrozumiałe i dobre, Sclavus nie ma dokładnego ruchu tańczącego. Gladyator odpowiada naszemu o nim pojęciu, Sclavus zdaje nam się być więcej wypieszczonym jak na niewolnika przystoi. Jednym słowem: Gladyator jest w obec niewolnika arcydziełem. Pomiedzy kreatorami rzeźby, wystawionymi w Sukienicach należy mu bodaj czy nie najpierwsze miejsce.

Z licznych i mistrzowskich prac Lewandowskiego wyróżnia się kilka, mających większe rozmiary. Słowianin zrywający pęta dowodzi, że artysta, przy dokładniejszych studyach sztuki klasycznej, będzie w stanie tworzyć dzieła monumentalne.

Temat klasyczny opracował Lewandowski w płaskorzeźbie z gipsu: „Thetis przed Zeusem.” Artysta przywłaszczył sobie powagę i spokój rzeźb klasycznych, nie naśladowując ich w niczem, ale ani jego Zeus ani Thetis nie mają owój prawdziwie klasycznej piękności.— „Zeus” Rygiera to nie ten silnie zbudowany potężny Bóg grecki. Rygier przysłał na wystawę cztery dzieła, z nich należy Kopernik do najlepszych. Mimo nie wielkich rozmiarów robi to dzieło silne wrażenie głęboką melancholią wyrazu i artystycznym wykończeniem, uwydatniając dobitnie znane dobrze zalety tego wybitnego artysty.

Julian Bełtowski, zajmujący się przeważnie rzeźbą z drzewa, pokazał na wystawie cały szereg dzieł bardzo dobrze wykonanych i miłe czyniących wrażenie. Szkoda, że jego Psychologia i Pedagogika nie zupełnie odpowiadają zadaniu.

Tadeusza Błotnickiego „Samson” jest dziełem, przedstawiającóm nam człowieka pełnego potężnej siły i charakteru, w formach wprowadzie wiele pozostawiających do życzenia, ale świadczących o zdolno-

ściach artysty. Jego grupa z gliny palonej zatytułowana „Po za służbą,“ ma mimo trywialności tematu, wiele powabu.

Piotra Wójtowicza figurka „Nagięj dziewczyny,“ zaplatającej warkocz po kąpielu, oraz Niewolnik i posąg „Rzucającego lanca,“ świadczą o sumiennych studyach, o wielkim talencie i biegłości w technice. Szkoda jednak, że autor tak mało dba o anatomię.

Trembeckiego „Kochanowski z Urszulą,“ grupa bronzowa małych rozmiarów, która w tak świetny i wierny sposób charakteryzuje naszego wieszca z Czarnolasu i jego miłą córeczkę, jest dziełem znanem nam od lat wielu.

Antoniego Plenowskiego „Kobieta nad grobem“ jest kreacją pełną głębokiego uczucia w dosyć szlachetnych formach. Znać, że artysta czuł to, co przelewał w kształty swego dzieła. Szkoda, że niektóre szczegóły psują ogólnie dobre wrażenie.

Liczne prace Władysława Marcinkowskiego, jako to: rzeźby rodzajowe, medaliony i portrety rozmaitych osób świadczą o talencie artysty. Jego „Żniwiarz i żniwiarka“ są bez zaprzeczenia najlepszymi rzeźbami rodzajowymi na całej wystawie. Tyle tam prawdy i życia przy sumiennem wykonaniu.

Do dobrych dzieł zaliczyć trzeba Walerego Gadomskiego „Herodyadę“ i „Wita Stwosza,“ i Brodzkiego „Tajemnica miłości.“

Reasumując nasze sprawozdanie o rzeźbie, stwierdzamy to, o czém już napomknęliśmy, że mimo znacznego dosyć zastępu artystów i dosyć poważnej liczby dzieł, nasza rzeźba jest dopiero w początku swego rozwoju. Mało dzieł mogłoby współzawodniczyć z zagranicznymi.

Wystawa krakowska sztuki i starożytności, gdyby nie miała takiego działu malarstwa, jaki ma, byłaby, powiedzmy otwarcie, bardzo uboga. To co ją robi bogatą, wspaniałą, to co w nas wznieca podziw, a u obcych budzi zajęcie i uznanie, to właśnie dzieła malarstwa, których jest blisko 350. Widać jak potężny na tém polu panuje u nas ruch! A przecież właśnie w tym dziale mnóstwo dzieł klasycznej wartości brakuje na wystawie. Artystów malarzy przyjęło udział w wystawie blisko 150, dobra jedna trzecia usunęła się od niej. Obrazów olejnych jest blisko 250, reszta to akwarele, rysunki, pastele, miniatury, akwaforty. Najbogaciej reprezentowane jest malarstwo historyczne, portretowe i rodzajowe, ubożej pejzażowe, a najubożej religijne.

Wystawa obrazów przedstawia tak bogaty przedmiot studyów, że możnaby nimi całe księgi zapełnić. Ciasne jednak ramy niniejszego sprawozdania pozwalają ledwie dotknąć szczegółów.

Jan Matejko wystawił jedenaście obrazów. Hołd pruski, Wernyhora, Maćko Borkowicz i Władysław Biały olśniewają swoją pięknoscia. Szkic do Rejtana i Szkic do poświęcenia dzwonu Zygmunta ciekawe są, bo dają nam poznać pierwsze myśli przy malowaniu tych tematów. Obraz „U kresów“ jest bardzo pięknem studjum. Na głęb-



szą uwagę zasługują portrety mistrza. W tym dziale malarstwa nie jest Matejko specjalistą a przecież przewyższa w nim najlepszych naszych portrecistów. Ma on właściwy sobie sposób robienia portretów. W portretach jego widzą krytycy za mało podobieństwa do osoby. Jest w tym trochę prawdy. Matejko nie kopiuje osoby tak jak mu się ona w chwili tworzenia obrazu przedstawia. Bierze tylko jej rysy i uwydatnia w nich stan duszy i charakteru nie tylko ów obecnej chwili, ale wlewa w nie całą sumę wartości moralnej i umysłowej człowieka taką, jaką on z życia jego sobie wykombinował. Dla tego też, kto chce zrozumieć portrety Matejki, ten musi znać dokładnie życie osób portretowanych, musi znać ich charakter i umysłową i moralną wartość, wszystkie ich zalety i wady. Portret Szujskiego jest wymowną ilustracją tego, co właśnie powiedzieliśmy. Nie wiem, czy kto lepiej scharakteryzował lub scharakteryzuje tego tytana wiedzy, tego człowieka, rwącego się do pracy jak orzeł do lotu, jego bystrość umysłu i głęboką wartość moralną. Kto na portret Szujskiego patrzy, ten mimowoli powie, że zbytecznie wytężenie umysłu strawi fizyczne siły tego człowieka.

A portret Zybkiewicza? Ten zasłużony wysoce mąż wystąpił ze wszystkimi swymi namiętnościami, w ruchu twarzy i ciała przebija się owa niezawisłość charakteru i energia w działaniu, ów prędko zmysł orientacyjny, wszystkie jego wady i zalety. To samo można powiedzieć o portretach Dietla i hr. Alfreda Potockiego.

Matejko, jako należący do komisji sędziów, stał hors concours, tak samo jak Siemiradzki, Rodakowski i kilku innych artystów.

Siemiradzki prócz „Pochodni Nerona“ wystąpił na wystawie z portretem hr. Ludwika Potockiego, który jednak ani z portretami Matejki ani też Rodakowskiego nie może współzawodniczyć.

Pomiędzy trzema portretami tego ostatniego artysty najlepsze bez zaprzeczenia są portrety hr. Władysława Dzieduszyckiego i ks. Aleksandra Czartoryskiego. Portret ks. L. Sapichy mimo technicznych doskonałości ma za mało ruchu i życia.

Komisya sędziów przyznała najwyższą nagrodę (dyplomy honorowe) czterem artystom a mianowicie Brandtowi Józefowi za obraz „Spotkanie na moście“, Malczewskiemu Jackowi za dwa obrazy zatytułowane „Na etapie“ i „Dwa pokolenia“, Bilińskić Annie za portret własny i Ciesielskiemu Władysławowi za obraz „Droga samotności.“

Sąd ten jest sprawiedliwy. Wirtuozostwo rysunku i kolorytu, które widzów ośniewa, głęboka treść umysłowa, mistrzowska charakterystyka osób, te i wiele innych zalet znanych powszechnie, musiały Brandtowi zjednać to wysokie uznanie sędziów.

W obrazach Malczewskiego zdobyło sobie zwycięstwo z pewnością nie co innego jak treść traktowana z takim głębokim uczuciem, porywającym za serca, oraz trafna charakterystyka tego całego szeregu osób z tak różnorodnymi uczuciami. Akcesorya traktowane są świetnie, rysunek może nie wszędzie szczęśliwy.

Portret Biliński, który już w Paryżu otrzymał medal złoty trzeciej klasy, jest do tego stopnia doskonały, że się chwilami zdaje, iż stoimy przed samą osobą. Chcielibyśmy do niej mówić!

Ciesielskiego „Droga samotności w lesie Fontainebleau” ma tę wyższość nad innymi zresztą bardzo dobrymi krajobrazami np. z Kochanowskiego Romana Krajobrazem z nad Wisły, że odznacza się szczęśliwym doborem motywu i harmonią kolorytu.

Drugą nagrodę (medale) dostało jedenastu artystów a mianowicie Gerson Wojciech za obraz „Opłakane apostołstwo,” Horowitz Leopold za Portret hr. A. Potockiego, Kochanowski Roman za Krajobraz z nad Wisły, Kossak Wojciech za Generała Chłopickiego ze sztabem, Lisiewicz Tomasz za Chrystusa wychodzącego z Apostołami, Piotrowski Antoni za Jarmark w Mikulincach, Pochwański Kazimierz za Portret prof. Teichmanna, Styka Jan za Hulęg prorokinią, Szymanowski Wacław za Rozmowę górali, Szynkler Pantaleon za Portret Norwida i Kobiętę w kąpieli, Unierzycki Józef za Zdjęcie z Krzyża.

Gdyby nie wzgląd na ciasno zakreślone ramy sprawozdania, dałoby się wiele powiedzieć o motywach, jakie sędziami przy wyszczególnianiu powyższych artystów kierowawać mogły.

Ograniczymy się tylko do kilku szczegółów. Zauważyliśmy już, że malarstwo religijne jest u nas jeszcze w pieluchach. W liczbie 13 artystów, wyszczególnionych drugą nagrodą, znajdujemy aż trzech artystów, oddających się malarstwu religijnemu. Komisya sędziów chciała ich przez to wyszczególnienie zachęcić do wytrwania w obranym przez nich a u nas tak mało uprawianym kierunku pracy. Obrazom ich można nie jedną słabą stronę zarzucić. Unierzyckiego „Zdjęcie z krzyża” tak samo jak i Lisiewicza „Chrystus,” nie mają tego heroicznego nastroju, jakiego sceny przedstawione wymagają. To samo da się powiedzieć o Styki „Scenie z Starego Testamentu,” „Hulda prorokini nieszczęść narodu.” Ugrupowanie figur i ich ruchy w obrazach Styki i Unierzyckiego, mają w sobie do pewnego stopnia coś teatralnego.

Listy pochwalne otrzymało dziesiętnastu artystów.

Na zakończenie naszego sprawozdania o obrazach olejnych nie możemy nie wspomnieć o dwóch niefortunnych obrazach Józefa Chełmońskiego, artysty tak zaszczytnie znanego. Płótno jego zatytułowane „Wnętrze kościoła wiejskiego,” robi wprost nie miłe wrażenie. Widzimy tyły osób klęczących w kościele i nachylonych, aby błogosławieństwo odebrać. Patrząc zdaleka na ten obraz, myślimy, że to ślady porozlewanych jaskrawych farb. Niebezpieczną jest rzeczą dla artysty tak lekceważyć sobie publiczność. Drugie jego płótno, mające niby przedstawiać „Dropie na stepie,” w gruncie rzeczy nic nie przedstawia. Jest to chaos linii i kształtów i wszelki brak kolorytu.

Fafat Julian został odznaczony dyplomem honorowym za dwie akwarelle a mianowicie za „Ruszenie niedźwiedzia” i za „Żmudzinkę.” Artysta ten, którego prace odznaczają się poprawnością rysunku,



wielką wprawą w traktowaniu, łądzącą prawdą w charakteryzowaniu przedmiotów, nie byłby dostał pierwszej nagrody, gdyby Kossak Juliusz, nasz znakomity i wielce zasłużony akwarelista był stanął do konkursu, ale dzieła jego, których przeszło dziesięć wystawił, pominięto przy ocenie, gdyż autor ich należał do komisji sędziów. Nie zapuszczamy się w oceny dzieł Kossaka, gdyż one są od dawna znane i już przez nie jedne wymowne usta i biegłe pióro znawców omówione i opisane.

Drugą nagrodę otrzymali Bilińska Anna za Portret mężczyzny pastelowy i Stachiewicz Piotr za cykl, złożony z pięciu obrazów, rysowanych na temat podań ludowych.

Portret Bilińskiej zrobiony z właściwą zamaszystością i pewnością, oddaje wiernie rysy osoby, razi w nim jednak pewna jaskrawość kolorytu. Prawe ucho niezgrabnie narysowane i dla tego odmówilibyśmy temu portretowi drugiej nagrody, a przyznali ją Portretowi starca (akwarela) Franciszka Tepy, odznaczającemu się bardzo starannym obrobieniem szczegółów i silnym a spokojnym kolorytem.

Za udatne i dobrze narysowane akwaforty otrzymał Jasiński Feliks medal a Roman Kochanowski list pochwalny.

Cersze M. przyznano medal za rysunki dawnych pomników, sumiennie i z całą drobiazgowością opracowane. Pan Cercha skopiował w przeciągu kilkudziesięciu lat już prawie wszystkie ważniejsze pomniki sztuki miasta Krakowa.

---

## OBJAŚNIENIE UWAG,

ZAWARTYCH W ARTYKULE P. W. A. SUŁKOWSKIEGO

w „Bibl. Warsz.“ za m. sierpień 1887 r. pod tyt. „Szpital Ewangelicki.“

---

W celu zapobieżenia wszelkim nieporozumieniom, mogącym wyniknąć z uwag, wypowiedzianych w powyższym artykule, Zarząd Szpitala Ewangelickiego uprasza Redakcyą „Biblioteki Warszawskiej“ o pomieszczenie niniejszych objaśnień w najbliższym zeszycie „Biblioteki“ <sup>1)</sup>.

1. Najbardziej uderzającą jest notatka autora na str. 205, że „podług sprawozdania Rady miejskiej dobr. publ. za r. 1885-ty miał szpital dochodu 16.910 rs. 74 kop., wydatkował zaś więcej ponad dochód 2,849 rs. 50 kop.; tymczasem podług sprawozdania kuratora tegoż szpitala za r. 1885 (w sprawozdaniu Zarządu parafii ewang. za ten rok) nietylko wydatki nie były większe od wpływów, lecz przeciwnie, były mniejsze o 2 rs. 54 kop., gdyż tyle pozostało w kasie gotówki na rok 1886-ty.”

Zachodzi tu następujące nieporozumienie. Sprawozdanie Zarządu parafii za r. 1884 wykazuje specjalnie zalegające wypłaty z tego roku, obciążające rok następny w ilości 2,682 rs. 4 kop. Zaległości te wynikły głównie wskutek urządzenia ambulatoryów, przeniesienia mieszkania intendenta i t. p. niezbędnych przeróbek wewnętrznych.

Objęmując zarząd szpitala na początku 1885 r., obecny kurator starał się przedewszystkiém o pokrycie téj zaległości przy pomocy możliwych oszczędności. I w saméj rzeczy drukowano sprawozdanie Zarządu parafii za r. 1886 wykazuje, że pokryto w tym roku zaległości przeszłe w ilości 2,852 rs. 3½ kop. Dopomogła do tego nadzwyczajna składka członków Zboru, która przyniosła prawie 1,500 rs. i na dochód r. 1886 zapisaną została.

---

<sup>1)</sup> Dla należytego wyświetlenia poruszonej sprawy, drukujemy chętnie uwagi Zarządu Szpitala Ewangelickiego.

*Redakcya Biblioteki Warszawskiej.*



Wyznać należy, że sprawozdanie Zarządu parafii za rok 1885-ty powinno było zaznaczyć ową zaległość, która figuruje w r. 1884 i przeszła na rok 1885-ty. Oryginał sprawozdania szpitalnego zaznacza też w samej rzeczy tę zaległość i w r. 1885, tylko w druku (widocznie przypadkowo) ją pominięto. W każdym razie zestawienie sprawozdań z lat 1884, 1885 i 1886 rzecz tę wyjaśnia dostatecznie.

2. Na str. 202 autor zastanawia się nad fluktuacją wydatków na żywność. Liczby tej rubryki, podane ze sprawozdania Rady miejskiej dobr. publ, są większe, aniżeli liczby sprawozdania Zarządu parafii ewangelickiej dlatego tylko, że w tych ostatnich żywność dla chorych i żywność dla służby szpitalnej zestawione są w jednej rubryce. Ale i w sprawozdaniach Zarządu parafii ewang. liczby bardzo są zmienne w tej rubryce, tak np. w 1883 roku 6,729 rs., w 1884 r. 7,176 rs., w 1885 r. 5,716 rs., w 1886 r. 6,355 rs. Ta nierówność wydatków tłumaczy się w sposób następujący. W r. 1883 było dni szpitalnych 21,258, w r. 1884—22,032, przewyżka około 400 rs. prawie na 800 dni szpitalnych więcej, — przy innych zmiennych warunkach jest zupełnie umotywowaną. W r. 1885 obecny kurator zaprowadził możliwą oszczędność i w tej rubryce przez usunięcie często nadmiernych dodatków, wyznaczanych przez lekarzy dla chorych jako środki wzmacniające, — i to się odbiło w zmniejszonym wydatku. W roku 1886, przy polepszeniu stanu finansowego szpitala, odmawianie chorym owych dodatków, na które lekarze nalegali, było już mniej koniecznym, stąd znowu wydatek na żywność się powiększa, lubo nie powraca do wysokości zaznaczonej w r. 1883. Większe wydatki szpitala Ewangelickiego na żywność w stosunku do liczby chorych, w porównaniu ze szpitalem Żydowskim, wynikają najprzód zapewne z tego, że szpital Ewang. daje lepszą w ogóle żywność chorym, a prócz tego w szpitalu Ewang. są sale wyborowe z opłatą 50 kop. dziennie i osobne pokoiki z płacą 1 rs. 35 kop., których niema w szpitalu Żydowskim. Chorzy tych dwóch kategorii mają naturalnie prawo do lepszej żywności, aniżeli chorzy na salach ogólnych z płacą kop. 30-tu dziennie.

3. Podobniez usprawiedliwia się szczególnymi okolicznościami fluktuacja w wydatkach na aptekę. Zestawienie tych wydatków z wydatkami szpitala Żydowskiego i tutaj niczego zgoła nie uczy, bo w sprawozdaniach Zarządu parafii ewang. lekarstwa zestawione są z bandażami, pijawkami i narzędziami chirurgicznymi, których wartości nie można oceniać według liczby chorych leczonych w szpitalu. Tak np. uderza autora na str. 204 różnica wydatków na „aptekę” między latami 1884 i 1885. W roku 1884 rs. 2,575, w r. 1885 zaś tylko 1,565 rubli, a zatem przeszło o 1,000 rs. mniej. Wyjaśnienie proste. W r. 1884, z powodu rozszerzenia oddziału chirurgicznego pod kierunkiem dra Stankiewicza, kupiono narzędzi chirurgicznych, oraz materiałów opatrunkowych na zapas za sumę 874 rs. 49 k. Resztę zaoszczędzono w r. 1885 przez skrupulatniejsze gospodarstwo i na tém polu. Więcej

w tym roku 1885 zawsze jeszcze wydano w tój pozycyi o 230 rs. mniej niż w r. 1883, który zaznacza wydatek na „aptekę etc.“ rs. 1,792.

4. Dotknąć téż należy kwestyi budowlanej. Autor zaznacza na str. 204, że w okresie od r. 1870 do 1885 wydano 18,737 rs., a protokoły odbiorcze poświadczyły tylko wartość robót dokonanych na rs. 1761. Otóż protokoły odbiorcze w szpitalu Ewangelickim sporządzają się tylko po wzniesieniu nowych budowli i to zazwyczaj tylko, gdy wzniesienie takowych powierzono jakiemu przedsiębiorcy. Inne roboty budowlane usprawiedliwiają się porządkiem zwykłym, t. j. rachunkami i kwitami rzemieślników, kontrolą budowniczych i t. p. W zaznaczonym okresie wzniesiono w szpitalu tylko jedną nową budowlę tego rodzaju. Do niej odnosi się ów protokół odbiorczy, o którym mówi autor. Reszta rubli około 17,000 obejmuje wydatki na utrzymanie budynków szpitala i wewnętrzne przeróbki, tak np. urządzono w tym okresie nową łaźnię i grabarnią, dalej 6 nowych pokojków na poddaszu dla sióstr Dyakonis, nowe ambulatorya i salę operacyjną, przerobiono z gruntu i częścią do nowych pomieszczeń przeniesiono pralnię, suszarnię, kuchnię oraz mieszkanie dla intendenta i t. p. Mając na uwadze wszystkie te roboty budowlane i polepszenia w urządzeniu wewnętrzném szpitala, suma 17,000 rs., przy wydatkach na utrzymanie w porządku zabudowań szpitala, rozłożona na przeciąg czasu lat 15-tu nie wyda się nikomu wygórowaną, témbardziej, że w tój sumie mieszczą się i bieżące wydatki na utrzymanie czystości.

5. Wreszcie jeszcze ostatnie objaśnienie co do kapitałów wieczystych szpitala Ewangelickiego. Autor artykułu na str. 206 zaznacza, że kapitał wieczysty w r. 1870 był w sumie 40,598 rs. 93 kop., a w r. 1885 wykazano go w sumie 59,515 rs. 63 kop., więc powiększył się o 18,916 rs. 70 k. Do tego jednak dodaje uwagę: „Zkąd się tu przewyżka wzięła, sprawozdania w małej tylko części objaśniają. Zapisy i ofiary bowiem w nich zanotowane czynią tylko 3,561 rs.“ Autor nie miał tutaj widocznie pod ręką sprawozdań Zarządu parafii ewangelickiej. W tych bowiem sprawozdaniach rok rocznie wykazane są pod bieżącemi numerami wszelkie dawniejsze i nowe zapisy wieczyste szpitali. I tak w r. 1870 wykazano szczegółowo i imiennie numerów 81 z sumą powyżej zaznaczoną, w r. 1876 już jest numerów 97 z kapitałem 53,302 rs. 16 kop., w r. 1881 jest ich 105 z kapitałem 57,710 rs. 78 kop. Rok 1885 wykazuje powyżej przez autora pomienioną sumę 59,515 rs. pod 112 numerami, a sprawozdanie za r. 1886 pod 116 numerami zaznacza kapitałów wieczystych na sumę 60,734 rs. 1 kop. Numerów i sum ogólnych, rok rocznie się zwiększających, z lat pośrednich nie powtarzamy tutaj, odsyłając ciekawych do owych sprawozdań Zarządu parafii ewangelicko-augsburskiej w Warszawie.

*Zarząd Szpitala Ewangelickiego.*



Przyjmując to objaśnienie Zarządu Szpitala Ewangelickiego z prawdziwą wdzięcznością, nadmieniam, że różnice omawiane wytknąłem jedynie dla ścisłości i bezstronności. Wina w tém nie moja, lecz zbyt mało objaśniających sprawozdań Rady miejskiej, które od r. 1873 co rok stają się małowówniejszemi; — a jako dowodów ściśle urzędowych wyłącznie się ich trzymać postanowiłem. Co do apteki wreszcie, to choćbym chciał był usprawiedliwić różnice między pojedynczemi latami—nie mogłem, bo nawet w sprawozdaniu Gminy ewangelickiej za r. 1884 tu usprawiedliwiany, objaśnienia zwiększenia wydatku nie ma. Zresztą sumiennosc administracji i ewangeliczną jej miłość dla cierpiących, szukających w szpitalu Ewangelickim pomocy, wykazałem równie w opisie Dzieciątka Jezus w zeszycie kwietniowym, jak i w opisie szpitala św. Jana Bożego w zeszycie lipcowym Biblioteki Warszawskiej.

*W. A. Sutkowski.*

# POZNALI SIĘ U WÓD...

OBRAZEK WSPÓŁCZESNY \*).

PRZEZ

Maryą Faleńską.

Odłożył po niedługim czasie na bok swoją robotę. Nie szła mu jakoś teraz. Drzewo które naszkicował, zdawało mu się wyglądać trochę na miotłę, a promień słoneczny, mający się przedzierać przez jego gałęzie, żadnego nie miał podobieństwa z tém, co powinien był przedstawiać. Po dosyć długim milczeniu, Stefan rzekł do prezesa, przerywając mu nie całkiem grzecznie, jakieś opowiadanie, z którego nie słyszał ani słowa:

— Może i ja się wybiorę z panem do Vösslau. Ciekawy jestem tego niemieckiego wieczorku.

— A wiesz co?—to wyborniel Trzymam cię za słowo, mój chłopcze. Chciałem ci właśnie zrobić uwagę, że byłoby z twojej strony wielką uprzejmością, zapewnić pannie Alinie choć jednego znajomego tancerza.

— Wcale nie jestem pewien, czy moje przybycie będzie dla niej pożądanem i nie myślę też naprzykrzać się jój na tej zabawie. Zresztą, przyjdę tam późno i na krótko; przyjechawszy zaś, wybiorę się zaraz na daleką przechadzkę w góry i nikomu nie będę swoją obecnością przeszkadzał.

— Pleciesz bez sensu, mój kochany,—odpowiedział mu prezes, zawijając bardzo systematycznie pestki zjedzonych owoców w opróżnioną torebkę i kładąc ją na ziemi.—O cóż ci chodzi właściwie?

— O to tylko, abym nie wyglądał na natrętnego wielbiciela panny Aliny, kiedy nim wcale nie jestem. Jest to dla mnie stosunek całkiem objętny a skoro te panie chcą wyraźnie trzymać mię trochę zdaleka...

---

\*) Ciąg dalszy.—Patrz zeszyt za m. październik r. b.



— Otóż i znowu głupstwo palnąłeś, mój Stefanku; zaraz cię o tём przekonam,—przerwał mu Wistowski.—Wszakże wiesz, w jaki sposób ułożyła się ta wycieczka, jakże więc mogła pani Brzewska dać ci o niej wiedzieć i zapraszać cię z sobą, po tak krótkiej znajomości?

— Nie miałem bynajmniej tak dziwnego wymaganania,—odpowiedział Jarski,—ale nie chciałbym też na inną śmieszność się narazić nadmiarem uprzejmości. Jeżeli pojedę do Vösslau, postaram się o to, aby te panie wyraźnie widziały, że wcale nie za niemi tam podążyłem.

— A cóżby w tём było tak złego, gdyby nawet co innego pomysłały?

— Jakto:—co złego? Ależ ja nie mam żadnych zamiarów co do panny Aliny i wcale nie chcę, aby mnie o nie posądzano.

— Nie masz... żadnych zamiarów?...—powtórzył przez zęby prezes, bo w nich właśnie trzymał w tój chwili cygaro.—Ha! wolna twoja wola! mój kochany,—dodał.—Ani cię zachęcać myślę, ani namawiać do niczego; tylko ci to powiem: że jeśli chybisz dobrą sposobność, nie nadarzy ci się ona z pewnością. Stary Dumas napisał w którejś ze swoich powieści, że każdy człowiek choć raz w życiu taką napotyka, — ale w tём sęk, że ją rzadko kto umie za włosy pochwytać, bo ona ich ma tylko trzy na głowie, tak samo jak Bismarck.—Czy ty znasz powieści Dumasa?

— Niektóre. Najlepiej pamiętam Damę Kameliową...

— Ale nie o tym ośle chcę mówić, któremu się zdaje, że rozumu uczy społeczeństwo, tylko o jego ojcu, o tym najgenialniejszym powieściopisarzu swojego czasu. Mam u siebie wszystkie jego dzieła,—cała biblioteka, wystaw sobie, i skoro się tylko uczuję w posepném usposobieniu, dosyć mi wziąć na chybił trafił którykolwiek tomik z półek, abym po kwadransie czytania uczuł się rozweselony. Jakież bo to nie tylko zajmujące, ale i uczciwe utwory! Co za niechybny wymiar sprawiedliwości, jak tam każda krzywda srodze bywa pomszczona! Warto przeczytać, powiadam ci, choć to dziś już wyszło z mody.

Szli potём jakiś czas w milczeniu obok siebie, ku miastu, mijając szczerbate mury Rauensteinu, sterczące z pośród leśnych gąszczy; wreszcie prezes rzekł do Stefana:

— Wracając do tego, o czём mówiliśmy poprzednio, dodam tylko: że gdybyś był moim synem, odzywałbym się może inaczej do ciebie, w przedmiocie twojego stosunku z temi paniami.

— A cóżbym w takim razie usłyszał od pana?—spytał Stefan, zwracając ku niemu oczy, które dotąd w zamyśleniu trzymał spuszczone ku ziemi.

— Że nie przesądzając wcale następstw tego przypadkowego spotkania, należałoby na wszelki wypadek wyzyskać korzyści obecnej chwili. Panna jest ładna i przyjemna, do tego posiada znaczny posąg...

— Ale czy go posiada? Jaki jest sposób sprawdzenia tego do wodnie?—przerwał mu Stefan, zapomniawszy na ten raz o tём, że nie ma żadnych zamiarów co do panny Brzewskiej.

— „Zakryte karty“—powiadasz, jak napisał Zacharyasiewicz na okładce jednej ze swych powieści? Wziąłem ją kiedyś do przeczytania od znajomego, i miałem z tego prawdziwą satysfakcję.. Ale tu nie ma powodu do podobnych obaw. Rzecz wiadoma przecie, rodzina znana; są osoby, które bliższe o nię wiedzą szczegóły; a zresztą, czyż samo zachowanie się pani Brzewskiej, nie zdradza w nię przekonania, iż dla swęj jedynaczki wybrać może męza, zamiast co by go szukać i wabić potrzebowała?

— To prawda, że widać w nię spokój bardzo rzadki u matek mających córki na wydaniu,—odpowiedział Stefan, a potem rzekł:— O której porze wybierasz się pan do Vösslau?

— Przyrzekłem, że wyjadę ztąd o szóstęj. Jest wszystkiego kilka minut drogi koleją, więc w samą porę trafię tam do parku na muzykę i na kawę,—a wyborną podobno dają w Kursalu. Pamiętaj, żebyś się tylko nie spóźnił na pociąg,—dodał, jak gdyby już miał zapewnione sobie towarzystwo Stefana, a ten nie opierał się więcej, rad może przy musowi, któremu niby uległ.

Zamiar, mający na celu zabezpieczenie jego godności w czasie owęj wycieczki, nie dał się jednak wykonać naszemu młodzieńcowi, skutkiem jednęj z owych nieprzewidzianych przeszkód, jakie psotne chochliki życia powszedniego lubią często stawiać na jego drodze, dla popsucia ułożonych przez nas planów. Oto zaledwie panowie nasi, wysiadłszy z wagonu, rozpoczęli pieszą wędrowkę ku miastu, napotkali idące w stronę dworca obie panie Brzewskie, pragnące jak powiedziały przy powitaniu z prezesem wywdzięczyć mu się za jego uprzejmość. Nie było już zatém sposobu dla Stefana odłączyć się od reszty towarzystwa, a należy też nadmienić, że lekkie zarumienienie się Aliny na jego widok, nieco go skłonnniejszym uczyniło do pewnych ustęstw w powziętém postanowieniu.

— Nie myślałam, że pan tu dziś przyjedzie,—rzekła do niego, gdy szli razem drogą wiodącą do parku, zamieniwszy poprzednio kilka ogólnych uwag o miejscowości.

Stefan nic na to nie odpowiedział, a ona dodała:

— Czy i pana także zaciekał dzisiejszy wieczorek?

— Tak jest, pani—odrzekł trochę chłodno;—dla tego jedynie wybrałem się tutaj, abym zobaczył ideał tańca w postaci austriackich oficerów, zanim Baden opuszcze. Gdyby nie to wolałbym być dzisiaj wieczór spędzić na miejscu.

Alina spojrzała na niego ze zdziwieniem i rzekła:

— Dla czegoż pan nie chce zostawić nam w tym razie cokolwiek złudzeń? Ktoś inny powiedziała by z pewnością, że wolał się tu wybrać w tym samym dniu, co my; ale pan nie chciał nawet w tak małej rzeczy minąć się z prawdą... co mu zresztą zaszczyt przynosi.

Mówiła to w taki sposób, że słowa jej zarówno mogły być żartem, jak mimowolnym wyrazem doznanego zawodu, bo dźwięk głosu zdawał się kłamać zadawać swobodzie uśmiechu.



Zmieszany na razie Stefan, zatrzymał przez chwilę na nią wzrok przenikliwy, który jednak prześliznąć się musiał po tój młodocianój twarzy, nie dojrawszy co się kryło pod jój pozornym spokojem.

— Gdybym mógł był przewidzieć, że pani zechce zwrócić jakąkolwiek uwagę na powody, które mię tu sprowadziły, — rzekł wreszcie, — byłbym jój może odpowiedział z większą szczerością.

Nie potrafił dostrzedz jakie wrażenie sprawiły na pannie Alinie te słowa nieco śmiałe, gdyż właśnie w tój chwili prezes zatrzymał panię, dla pokazania im ciekawego stroju mamki rumuńskiej w wystawie fotografii, a gdy potem przerwana rozmowa zawiązała się znowu, nie wróciła wycędy do poprzedniego przedmiotu. Stefan byłby chciał ku niemu ją skierować, ale nie wiedział jak się wziąć do tego; swoboda, z jaką teraz Alina mówiła o najobojętniejszych rzeczach, zdając się być wyłącznie zajęta tём, co w koło siebie widziała, i nie zwracając wcale na niego uwagi, odbierała mu zwykłą przytomność umysłu, i to go bardziej jeszcze drażniło. Na szczęście jego, owo kłopotliwe położenie nie trwało długo. Dochodzili już do parku, gdzie prezes zajął się zaraz wyszukaniem dla swego towarzystwa jak najlepszego stolika na werendzie i tam kazał podać kawę.

Rozmowa szła teraz daleko łatwiej Stefanowi. Wypadało mu zająć się cokolwiek panią Brzewską, więc zwrócił się ku niój, pytając czy miała temi dniami pomyślne wiadomości z domu.

— Nic koniecznie — odpowiedziała. — Rok ten jest w ogóle bardzo ciężki dla gospodarzy; mąż mi pisze, że mniej zasobni z trudnością zdołają go przetrwać. Na szczęście, co do nas, mniej odczuwamy skutki nieurodzaju, mając gospodarstwo wzorowo prowadzone od dawna.

Mówiła to ze spokojem osoby, dla którój troski podobne nie mogą być zbyt dotkliwemi. Zauważył to Stefan i rzekł po chwili:

— Czy pani zamierza zabawić jeszcze jakiś czas w Badenie?

— Nie wiem jeszcze sama. Chcę się wybrać pojutrze do Wiednia, dla zaradzenia się co do tego mojego lekarza. Radabym móż wkrótce wyjechać, szczególnież ze względu na to, że Baden sprzykrzył się już mojoj córce.

— Ach, moja mamó, cóż to znaczy — zawołała Alina. — Pamiętaj przedewszystkiём o twojem zdrowiu, a bądź pewna, że mi jest wszędzie dobrze z tobą. Zresztą przyzwyczaiłam się już potrosze do tego pobytu, a nawet zaczynam go lubić.

Przy tych ostatnich słowach, zarumieniła się trochę, napotkawszy spojrzenie Stefana ku niój zwrócone.

— A pan czy nas wkrótce myśli opuścić? — spytała pani Brzewska.

— Nie postanowiłem jeszcze nic co do tego — odpowiedział. — Co prawda, czuję teraz coraz mniej chęci do wyjazdu, tak mi się Baden podobał. Na szczęście, mam jeszcze trochę wolnego czasu przed sobą, zanim mi wypadnie do moich zajęć powrócić; mogę zatём moje-

mu pociągowi dogodzić. Chodzi tylko o to, aby rozsądek nie stawał z nim tutaj w sprzeczności — dodał, spoglądając na Alinę, ale ona słuchała w tej chwili z takim zajęciem jakiejś anegdotki prezesa, że mogło się zdawać, iż słów jego wcale nie usłyszała.

Stefan nie wybrał się tedy owego wieczoru na samotną wycieczkę, którą był zapowiedział, ale owszem przechadzał się długo z paniami około trawnika, zdobnego kwiatowym dywanem, słuchając muzyki i rozmawiając, a raczej wcale nie wiedząc co grano i odpowiadając nieraz z roztargnieniem na czynione mu zapytania. Myśli jego skupiały się wyłącznie około jednego przedmiotu; powstawał w nim zamiar, kształtujący się coraz wyraźniej. Brwi jego, zlekka ściągnięte, zdradzały owo zaprzątnienie umysłu, a ciemne źrenice zatrzymując się od czasu do czasu na twarzy Aliny, zdawały się tam szukać wskazówek co do dalszego względem niej postępowania. Ale daremne były te badawcze usiłowania, w obec owego poniekąd wrodzonego uzdolnienia, za pomocą którego kobieta, zaledwie w życie wstępując, umie, skoro tylko zechce, ukryć własne wrażenia pod nieprzejrzaną zasłoną.

Z ową poważną zadumą, uszlachetniającą rysy Stefana, było mu bardzo do twarzy. Dostrzegąca to Alina i rada była móżd się pochwalić tak pokaźnym towarzyszem, przed licznym zebraniem, otaczającym estradę orkiestry. Zręczna w ruchach i ubrana z wykwintnym smakiem, właściwym polskim kobietom, przemykała się z uśmiechem zadowolenia wśród hoźych, ale pozbawionych dystynkcji Wiedenek, porównywając śmiechy rubaszne i pospolite twarze rozmawiających z niemi mężczyzn, z wysmukłemi kształtami i z wytworną postawą młodzieńca, którego głębokie spojrzenie stawało się dla niej coraz wymowniejszém, ilekroć się z jęj oczami spotkało.

Czy ona kochać zaczynała Stefana? trudno byłoby za to zaręczyć, bez obawy nadużycia owego wyrazu. Pewna tylko, że była nim — jak to mówią — zajęta. A jeśli przyszło do tego po tak krótkiej znajomości, wynikało to zapewne ztąd, iż żadnego innego zajęcia nie miała w tym czasie. Przykro nam dawać tak prozaiczne tłómaczenie dla tego, co uczucia bywa zawiązkiem, ale cóż na to poradzić, skoro tak było w tym razie? I nie wyjątkowo — proszę wierzyć — oddziaływał tutaj ów czynnik, częściej wywierający swoje wpływy na tym bożym świecie, niżby można przypuszczać. Albo to jeden związek się kojarzy dla tego, że panna, za wiele mając wolnego czasu w domu rodziców, sprzykrzyła sobie dłuższy w nim pobyt i właśnie w samą porę natrafia na młodzieńca, który także trochę z nudów zaczyna się jęj zalecać? Albo to jedno stało się rozchodzi, któreby do końca w zgodzie dotrwało, gdyby żadnemu z małżonków pracy nie brakło? Nadmiar wywczasu, to najprostsza droga do wszelkich manowców i pomyłek.

Dodać też należy, na względne usprawiedliwienie Aliny, że odkąd z pensyi powróciła do domu rodziców, upłynęło już było lat pięć,



podczas których choć wiele z matką bywała po sąsiedztwach — czasem nawet dalekich — i w domu dosyć osób widywała, nie zdarzyła się jój ani jedna „partya” stosowna. Jak bądź panna Domicela, daleka krewna, trudniąca się od lat wielu domowém gospodarstwem w domu państwa Brzewskich, dowodziła, że w Ulaniu roiło się od konkurentów, zaciągając każdego gościa nieznanego do ich liczby. Alinka wiedziała dobrze co o tém trzymać. Pokochał się w niej wprawdzie i to bardzo, wkrótce po jój powrocie z Warszawy, młody chłopak miły i wykształcony, zajmujący wyższą posadę w zarządzie sąsiedniej cukrowni, i bywający czasami w Ulaniu za bieżącym interesem; ona zaś odpłacała mu się o tyle wzajemnością, że nawet byłaby wtedy z chęcią wyszła za niego, choć do obywatelskiej sfery nie należał. Ale tym razem, panna Domicela, jak bądź zwykle cicha i potulna, uczuła się tak głęboko dotkniętą tém, iż człowiek tyle podrzędnego stanowiska śmiał „oczy podnieść” na jój krewną, i wdała się w ową sprawę tak energicznie, że Edward Hrubicki musiał wkrótce zaprzestać wszelkiego towarzyskiego stosunku z domem państwa Brzewskich, skutkiem wyraźnego chłodu, jaki mu tam okazywano, i obowiązkowe swoje odwiedziny czynił odtąd jak najkrótszemi. Alinka odczuła na razie bardzo żywo ów zawód swych pierwszych nadziei i w listach pisywanych do przyjaciółki z pensyi, o której nie miała jeszcze czasu zapomnieć, opisywała w najczarniejszych barwach biedną starą pannę, z resztą Bogu ducha winną istotę i najzgodniejszą we wszystkiém, co nie zagrażało godności jój herbowego klejnotu. Siebie zaś przedstawiała jako ofiarę owych zapleśniałych przesądów, o których tak zdrowe zdania wygłaszał ich profesor literatury.

Ale usposobienie to nie przetrwało podróży do Krynicy, gdzie ją matka zawiozła dla wyleczenia blednicy, której się nabawiła przy zdawaniu egzaminów ostatnich. Wróciła ztamąd całkiem już inną, bądź to skutkiem łagodnych napomnień matki, bądź téż, że zakosztowała nowych zabaw i wrażeń, uczuła budzące się w niej pociągi silniejsze, niż było owo pierwsze zajęcie raczej wyobraźni niżli serca.

Edward, ujrawszy ją po raz pierwszy potem w kościele, znalazł u niej zupełną zmianę względem siebie; nie rzuciła mu już ani jednego z owych spojrzeń nieśmiałych i przelotnych, a jednak mówiących tak wiele, któremi dawniej umiała mu dodawać na długo otuchy, ilekroć spotkali się z sobą. Po lekkim skinieniu głowy, jakim go powitała, nie podniosła ani razu na niego oczu podczas nabożeństwa, choć stanął z umysłu naprzeciw jój ławki, a gdy przy wyjściu towarzyszył jój przez parę chwil do powozu, kilku mu tylko słowami odpowiedziała na zapytania, co do jój zdrowia i żegnając go, nie powiedziała nawet: do zobaczenia.

Wrażenie owego spotkania, wyczekiwanego z takim utęsknieniem, nadzwyczaj było bolesném dla Edwarda, ale uczucie jego dla Aliny tyle miało siły, że sprawa jój — choćby najgorsza — musiała być

zawsze jój wygraną. Po pewnym czasie, przyszedł do przekonania, że w obejściu z nim ulegała konieczności, że skutkiem danego słowa rodzicom, musiała udawać w obec niego obojętność, której w sercu nie miała. Utwierdziło go w tój wierze dalsze zachowanie się Aliny. Jakaż kobieta, choćby najnaiwniejsza, nie potrafi w podobnych razach postawą swoją podwyższyć jeszcze piedestału, na którym ją zaślepienie miłości umieściło? W obecności Edwarda, Alina milcząca była raczej smutna, niżeli chłodna; uważał ów odcień i nie tracił wszelkiej nadziei, — a ona nic przeciw temu nie miała, wiedząc, że jój do niczego nie obowiązują jego marzenia. O czémżeby z resztą myślała w owych wolnych chwilach, których miewała tak wiele, gdyby on zupełnie dla niej zobojętniał? o czémby pisywała do swój dawnój koleżanki, mogącój zaledwie pochwalić się studentem, który jój bukiet przysłał na imieniny i nawet do kościoła chodził, żeby ją tam widywać.

Pięć lat minęło tedy, odkąd Alina w świat weszła, — pięć owych lat, które z tak niepojętą szybkością upływają dla panien na wydaniu, że sądzićby można, iż złośliwy jakiś chochlik nieustannie dla nich klepsydrą czasu potrzasa, ażeby piasek prędczej w niej spływał. Edward Hrubicki przebywał zawsze w pobliżu Ułania, ale kobieta, którą ukochał, wcale już nie myślała o połączeniu się z nim kiedykolwiek. Bywały wprawdzie chwile, w których budził się w niej pewien żal za uczuciem, które znajdowało niegdyś w jój sercu oddźwięk, ale trwało to krótko. Rozpatrując się w koło siebie, słysząc rozmowy młodych mężatek i panien swojego świata, Alina pragnęła dla przyszłości swój tego, co one za najwyższe szczęście uważały: — dostatku, zabaw, podróży, — no, i męża, któregooby kochać można, choć trochę. Ale związek odpowiadający tym warunkom, nie zdarzał się jakoś pannie Brzewskiej, ani w rodzinnych stronach, ani w odbywanych niekiedy dalszych wycieczkach; więc z upływem czasu, poczęło się w niej zbudzać owo rozdrażnienie miłości własnej, nieuchronne u każdej prawie panny, która nie dosyć prędko znalazła sposobność przywdziania ślubnego welonu. Nie tyle tu właściwie chodzi o to, ażeby samėj zostać mężatką, jak o to, że inne rówieśniczki już mężów poznajdowały; więc trzeba, bądź co bądź, tego samego dokazać. — Nie zostanę przecię starą panną, — powiadała sobie Alina; — zanim rok upłynie, musi to się skończyć, bo widzę, że i mama zaczyna mną się niepokoić.

W rzeczy samėj, matka czuła się w wyższym jeszcze stopniu niż to córka mogła przypuszczać, zafrasowaną dłuższym jój pobytem w domu rodzicielskim. Znając stan interesów swego męża, wiedziała, iż znaczne długi ciężą na ich majątku; o daniu jakiegokolwiek posagu córce, nie było co marzyć, a nawet trudne przejścia mogły im zagrażać, w razie gdyby czasy przesilenia miały dłużej potrwać dla rolników. — Wiedzą sąsiedzi, jak kto siedzi — powiada przysłowie; — domyślała się zatém zaniepokojona matka, dla czego na wychwalaniu zalet i powabu jój jedynaczki poprzestawała młodzież, wśród której ra-



daby zięcia dla siebie upatrzeć. Ale troski téj niczém nie zdradzała, zarówno skutkiem wrodzonego pociągu do tłumienia w sobie wszelkich silniejszych wrażeń, jak przez uczucie godności i taktu, które posiadała w wysokim stopniu. Nie dziw zatem, iż przy podobnych warunkach, stosunek zawiązany na obczyźnie z młodzieńcem sympatycznej powierzchowności i dobrego wychowania, zdającym się należeć do wyższych warstw społecznych i jak zapewniano zamożnym, nie małe miał znaczenie zarówno dla matki Aliny, jak i dla niéj saméj.

Zabawiono do późna na wieczorku, który okazał się być bardzo zajmującym. Nawet prezes, odstąpił tym razem dla miłego towarzystwa od systematyczności swych nawyknień, oświadczając, że téj nocy gotów jest wcale spać się nie kłaść, tak mu czas przyjemnie schodzi na przypatrywaniu się tańcom. Alina bawiła się wybornie, nie wiadomo czy z tego samego powodu co on, czy dla tego, że Stefan, podrażniony zbyt żywém zajęciem, jakie w niéj obudzał młody oficer od strzelców, tańczący polkę z prawdziwym artyzmem, nie odstępował jéj ani na krok od połowy zabawy, nieustannie do tańca ją zapraszając. Młoda para polska zrobiła w sali pewne wrażenie; Jarski był także tancerzem niepospolitym, a zwinność ruchów Aliny zadziwiła hoże, ale trochę ciężkie Wiedniki, nie zdolne w tém jéj dorównać. Ożywienie zabawy dawało jéj urody, rumieńcem kraszając twarz zwykle bladawą, a oczy jaśniały blaskiem, jakiego w nich dotąd nie widywał Stefan. Drobnie jéj kształty i wzrost unieję niż średni, sprawiały iż wydawała się młodszą niż była.

— Cóż to za śliczne dziewczątko! — zawołał, patrząc na nią młody wiedeńczyk, odznaczający się szykiem czysto miejscowym, objawiającym się w najosobliwszych letnich strojach i w noszeniu kapelusza całkiem z tyłu głowy.— Patrz no pan, jakie maleńkie ona ma nóżki.

— Dowód słabego organizmu, — odpowiedział sentencyonalnie gruby jak słoń lekarz kąpielowy, ocierając spocone czoło po pracowitem przetańczeniu walca ze swoją żoną. — Siła ciała bywa zawsze w stosunku z rozmiarami kończyn i dla tego właśnie polskie kobiety miewają małe ręce i nogi, że są w ogóle wątłe.

— Zawsze to rzecz piękna, mój kochany panie, — odpowiedział mu wiedeńczyk.— Co do mnie, lubię patrzeć na polki, bo są prawie wszystkie ładne. A jakie one mają zdrowie, mało mię to obchodzi, bo z żadną z nich nie myślę się żenić, — dodał śmiejąc się grubo.

— Ona jest śliczna; słowo daję, że zaczynam w niéj się kochać— myślał w duchu Stefan.— Pojadę z niemi do Wiednia, jeśli mię choć cokolwiek do tego zachęci Alina.

I stało się czego życzył, chociaż nic takiego nie powiedziała, coby na namowę mogło wyglądać. Tylko, gdy zmęczona już tańcem, odpoczywała, przyglądając się snującym się przed nią parom, prze-rwawszy znużoną złośliwe uwagi, jakie jéj nastęrczał widok kilku pociesznych postaci, rzekła do Stefana:

— Chciałabym choć jeden jeszcze podobny wieczór tu spędzić, a nie będę go już miała zapewne.

— Dla czego? — spytał. — Wszakże to od pani tylko zależy.

— Nie koniecznie. Alboż ja wiem, co ten doktor wiedeński powie mamie? Dałabym wiele za to, żebym się mogła pierwój z nim zobaczyć i mówić mu, żeby nam dał jeszcze tu pozostać czas jakiś. Ale nie będzie to w żaden sposób możliwém.

— Jeśli mi pani pozwoli, — rzekł Stefan, — wyręcę ją co do tego, a zapewniam, że się zrzęcznie sprawię. Miałem i tak wybrać się po jutrze do Wiednia, a na szczęście, znam doktora, którego panie się radzą.

— Ach! jakże się to dobrze składa! — zawołała Alina. — Ale czy doprawdy zamierzał pan tam pojechać?

— Daję na to słowo, a jeśli mię pani zapyta: dla czego? odpowiem, nauczony szczerości poprzedniem doświadczeniem, że uważałbym za krzywdę nadto wielką dla siebie utratę jednego dnia spędzonego z panią, skoro ich tak nie wiele mam już przed sobą.

Mówiąc to, patrzył jęj w oczy, a ona nic nie odpowiedziała tylko wstawszy, poszła matce przypomnieć, że już czas byłoby pomyśleć o powrocie do domu. Stefan pomyślał na razie, że ją uraziły jego ostatnie słowa, ale tak chyba nie było, bo gdy czekali nadejścia ostatniego pociągu na werendzie dworca, usłyszał jak mówiła do prezesa:

— Musi pan także odbyć z nami tę wiedeńską wyprawę; mamy już do nięj zapewnione towarzystwo pana Jarskiego, więc nam panu koniecznie potrzeba, choćby dla symetrii.

— Rozkaz pani jest dla mnie prawem, — odpowiedział z galanterią prezes. — Pojadę więc; zrobię przy tęg sposobności kilka sprawków i zaprowadzę panie na najlepszą kawę, jaka jest w całym Wiedniu.

Nazajutrz pani Brzewska, zapewne zmęczona nocą nie dospaną, użalała się na ból głowy i wczesnie wróciła do domu, zostawiając córkę w parku pod opieką prezesa, aby dłużej mogła użyć świeżego powietrza. Stefan był z nimi także, ale tym razem nie mógł ani na chwilę znaleźć się sam na sam z Aliną, tak sumiennie spełniał względem nięj swe obowiązki pełnomocnik matki. Prowadzili zatęm rozmowę o rzeczach obojętnych, wplatając w nią jeduak tu i owdzie półstówka, których znaczenie było dla nich dwojga tylko zrozumiałęm, jak gdyby już istniało między niemi owo tajemne porozumienie, jakię zakochanych zwykło oddzielać od reszty świata. Alina nie miała tego wieczoru zwyczajnego ożywienia, ale w zamian zdawała się zwracać uwagę na rzeczy, które ją zwykle zostawiały dosyć obojętną. Zachwycała się gwiaździstęm niebem i wonią drzew iglastych, mówiąc, że jęj ona przypomina rodzinne strony. Wreszcie, podczas gdy prezes zamieniał kilka słów z napotkanym znajomym, zapytała Stefana: w której stronie widnokręgu znajduje się Polska? W tęg chwili, jakby zbudzone temi



słowami, ukłuło go przypomnienie wzmianki prezesa, o kimś, co podobno już zajął miejsce w jej sercu.

— Pani tęskno do kraju?... bardzo tęskno, wszak prawda? — spytał z cicha.

Osobliwszy nacisk z jakim wymawiał te wyrazy, uderzył ją; zatrzymała na nim oczy przez chwilę, potem rzekła:

— Choćby tak było, cóż w tém dziwnego?

— Choćby tak było, — powtórzył jeszcze ciszej, głosem drżącym od wzruszenia serca, czy też od zranionej miłości własnej, — niech mi pani tego nie mówi... Nie chcę, nie mogę o tém słuchać.

— O czém?... — spytała go chłodno.

Opamiętał się od samego dźwięku jej głosu, tak spokojnego, jak gdyby mówiła o rzeczy najubożniejszej.

— Niech mi pani przebaczy, — rzekł; — nie zawsze podobna nad sobą panować. Innym razem poproszę jeszcze o to — dodał, widząc zwracającego się ku nim prezesa.

Alina nie zdawała się jednak obrażona i dalej prowadziła rozmowę z zupełną swobodą, ale wkrótce zapragnęła powrócić do domu, dając za powód, że nie chce dłużej matki zostawić samą.

Mówiła prawdę, ale nie całą prawdę, jak to zwykły czynić kobiety wtedy, gdy szczerze chcą tłómaczyć pobudki swych czynów. Była w istocie od kilku dni trochę niespokojna o matkę, zauważwszy jakiś w niej smutek, czy też zafrasowanie.

— Co tobie jest moja mamo? — spytała, zasiadłszy z nią po herbacie przy otwartém oknie, przez które dochodziła z ogródka woń rezedy i lewkonii, zasadzonych na wązkiej rabacie tuż pod domem. — Widzę od pewnego czasu, że nosisz w sobie jakąś troskę, miałabym przeciw prawo podzielać ją z tobą.

— Cóż ci z tego przyjdzie, moje dziecię, że się o niej dowiesz, skoro nic na to nie możesz poradzić?

— Spokojniejszą będę w każdym razie. Mów szczerze, mateczko, powiedz mi wszystko...

— Niechże więc tak będzie jak chcesz, moja kochanko. Oto z ostatnich listów mojego męża, widzę, że nasze interesa o wiele gorzej stoją niż przypuszczałam. Poczciwy twój ojciec nie dawał mi dotąd poznać dokładnie ich stanu, licząc na pomyślny zwrot jaki, któryby pozwolił je poprawić. Tymczasem, zamiast tego, nadeszło ogólne przesilenie, tak groźne dla właścicieli ziemskich, nie posiadających gotówki do jego przetrwania. Nasz majątek zastał już obciążony znacznymi długami. Buraki, stanowiące tak ważną część naszego dochodu, chybiły w tym roku, a przytém cena ich coraz się obniża. Jednym słowem, moje dziecię, przyszłość nasza przedstawia się w smutnych barwach.

— Mamo, co ty chcesz przez to powiedzieć? — zawołała z trwogą Alina. — Ojciec nie będzie przeciw zmuszony sprzedać Ułania?

— O, nie, chyba ostateczność doprowadziłaby go do tego, ale wspomina mi o prawdopodobnej konieczności wypuszczenia majątku

w długoletnią dzierżawę, dla stopniowego spłacenia długów. Taki tylko układ mógłby skłonić do cierpliwości naszych wierzycieli, domagających się dziś natarczywie swych należności.

— A z czegożbyśmy wtedy żyli, moja mamó?

— Ma się rozumieć, że z dochodów majątku wypłacanoby nam corocznie pewną kwotę. Ale byłaby ona zapewne tak szczupła, że zaledwie moglibyśmy z niej się utrzymać w mieście, żyjąc jak najskromniej.

— O, mój Boże! więc musielibyśmy wynieść się z tego ślicznego Ulania? — zawołała z przerażeniem Alina, obejmując myślą w jednej chwili, wszystkie wygody i przyjemności, jakich używała wśród dostatku rodzinną siedzibę.

— Tak jest, moje dziecię, osiedlibyśmy zapewne w tej Warszawie, którą tak pragnęłaś poznać; ale stałoby się to w innych warunkach niż te, o których marzyłaś. Ani o zabawach, ani nawet o liczniejszych stosunkach, nie moglibyśmy wtedy myśleć.

Alina nic na to nie odpowiedziała; trzymając czas jakiś wzrok w jeden punkt nieruchomo utkwiony, nagle zakrywszy twarz rękami, namiętym wybuchnęła płaczem. Na widok rozpaczy ukochanej jedynaczki, matka o wszystkiém zapomniała, aby dla niej szukać pociechy.

— Uspokójże się, moja kochanko, — mówiła, tuląc ją do siebie — chciałaś wiedzieć wszystko, więc ci to nawet powiedziałam, do czego może jeszcze nie przyjdzie. Ojciec twój próbuje wejść w układy z wierzycielami, liczy także na pożyczkę, którą mu przyrzeka bogaty krewny, — może nas jedno albo drugie nie zawieść, ale wolałam przygotować cię zawczasu na to, co nas spotkać może najgorszego.

— Więc to nie jest jeszcze postanowioném? możemy zostać przy Ulaniu? — spytała żywo Alina, czepiając się lepszej nadziei ze skwapliwością właściwą jej wiekowi.

— Wierzę, że nam Bóg oszczędzi boleści opuszczenia naszej ukochanej siedziby, — odpowiedziała pani Brzewska. — Wszystko jest w Jego mocy, może On nam zesłać pomoc najniespodziewanej.

Zamilkła po tych słowach i przez jakiś czas panowała w pokoju cisza, przerywana tylko łagodnym szmerem miniaturowego wodotrysku ogródka. Być może, iż w tej wspólniej zadumie, jeden przedmiot zajmował myśl matki i córki.

— Cóżby to za ulga była dla mnie — rzekła wreszcie pani Brzewska, gładząc pieszczotliwie jasne włosy córki, — gdybym chociaż widziała twoję przyszłość zabezpieczoną! Zakrawa coś wprawdzie na to, że będziesz miała starającego się, ale jak dotąd wiemy o nim tak mało...

— O kim chcesz mówić, mameczko? — spytała Alina z owém naimnem zaciekawieniem, na jakie umie się zdobyć każda córka Ewy, wtedy gdy chce dowiadywać się dopiero o tém, co nie jest już dla niej tajemnicą.



— Wiesz to dobrze, moja kochanko, — odpowiedziała ję z uśmiechem matka; — nie byłabyś kobietą, gdybyś najpierwsza nie dostrzegła, że ktoś się w tobie pokochał.

— Masz mamó na myśli pana Jarskiego? — rzekła Alina zaruszonym głosem.

— Ma się rozumieć, wszakże nikogo innego z młodzieży tu nie widzimy. Zresztą, zajęcie się jego tobą jest tak widoczne, że zapewne nie ja jedna mogłam je zauważyć.

Alina nic na to nie odpowiedziała. Ręka ję wygładzała machinalnym ruchem aksamitną wstążkę, której końce spadały od paska, a wzrok w jedno miejsce zapatrzony, zdawał się czy to w przeszłości szukać jakichś wspomnień, czy też w przyszłości coś wypatrywać.

— Czy ci się podoba pan Stefan? — spytała ją matka po kilku chwilach.

Młoda dziewczyna podniosła na nią oczy, jakby ze snu zbudzona i rzekła:

— Alboż ja sama wiem, moja mamó? Trudno to powiedzieć po tak krótkiej znajomości.

— Zdawało mi się jednak, że lubisz z nim rozmawiać... że kiedy go niema, braknie ci go trochę.

— Cóż w tem dziwnego, że mi jest przyjemnym towarzystwem młodego człowieka tak dowcipnego i wykształconego, jak pan Jarski? Wiem z resztą, że należy do naszego świata...

— O, tak: prezes zapewnia, że jest dobrze urodzony i że pochodzi z zamożnej rodziny. Z tych wszystkich względów, zdaje mi się, że byłaby to dla ciebie partya stosowna, jeżeli osobiste przymioty pana Stefana...

— Mateczko, co ci się dzieje? — zawołała ze śmiechem Alina, całkiem już zapomniawszy o swém poprzednim strapieniu, pod wpływem daleko weselszych wrażeń. — Nigdy mi dotąd nie przyszło do głowy, żebym mogła zostać kiedy żoną pana Jarskiego, a i on także...

— Nie powziął może jeszcze co do tego wyraźnego zamiaru, ale z każdym dniem serce jego łągnie bardziej do ciebie. Dobrze ja to widzę i pisząc jutro do męża, chce mu o tém wspomnieć.

— Zrób jak zechcesz, kochana mamó; nie obowiązuje mię to do niczego, a jeśli mam być szczerą, to ci wyznam, że lada dzień spodziewam się od pana Stefana jakiegoś słowa wyraźniejszego, że nie będę już mogła zbyć go żartami, jak dotąd czynię. Lepiej zatem, abyśmy się wcześniej dowiedziały o zdaniu ojca co do jego zamiarów.

— Al więc tak już daleko zaszły rzeczy pomiędzy wami? — rzekła matka z uśmiechem.

— Nie pomiędzy nami, ale tylko z jego strony, — odpowiedziała z żywością Alina. — Co do mnie, z niczém się takiem nie wymówiłam, coby go mogło upoważniać do jakichkolwiek nadziei, — nie jestem już dzieckiem przecie, — ale pomimo to, wiem że gdybym go tylko do tego

ośmieliła, oświadczyłby mi się zanim ztąd wyjedziemy... może nawet nie dalej jak jutro, chodząc z nami po Wiedniu.

Ostatnie te słowa wymówiła z wesołą swobodą, dającą przypuszczać, iż nie wielką miarę uczucia wkładała w ową sercową sprawę. I tak było w istocie. Stefan podobał się jój wprawdzie, a bardziej jeszcze lubiła zajęcie się nią, które jój na każdym kroku okazywał tak widocznie, ale miłości dla niego nie czuła. Wrażenia, jakich przy nim doznawała, były tylko zadowoleniem kobiecój dumy, lubującej się w odniesionem zwyciężtwie. Pewna będąc, że jeżeli tylko zechce, spotka się z Jarskim w Warszawie, nie rozpatrywała dotąd dalszych wyników owego stosunku, zostawiając to przyszłości; teraz dopiero, po tém, co od matki usłyszała o majątkowém położeniu swoich rodziców, zaczęła wierzyć, że lepiej byłoby może, nie odkładając téj sprawy na później, tak rzeczy od razu postawić, aby Stefan już zaciągnął względem niej pewne zobowiązania, któreby jej jednak do czasu w niczém nie krępowały.

— Nie mam czego się lękać, — powiadała sobie po owéj rozmowie z matką; zakręcając grzywkę na szpilki przy rozbieraniu;—choćby mi się on nawet oświadczył, powiem, że bez woli ojca mama nic dla mnie nie postanowi... Ale ojczulek pewnie będzie za ten. Pan Stefan jest podobno bogaty, a do tego bardzo miły w rozmowie i przystojny. — Ojciec, myślę, że napisze i rzecz się może prawie ułożyć zanim do kraju wrócimy. Odemnie tylko zależy wyjść za niego i myślę, że to zrobię, choć się w nim tak bardzo nie kocham... Mój Boże! jak to ja inaczej zapatrywałam się na te rzeczy, kiedym z pensyi wyszła! Zdawało mi się wtedy, że znajdę w życiu to wszystko, co w książkach wyczytywałam, ale wkrótce wyleczyłam się z tych przywidzeń... A jednak—są na świecie ludzie tacy jak w powieściach... Biedny ten Edward! co on na to powie, kiedy usłyszysz, że za mąż wychodzę?

— Jak się to świat zmienił, od czasu, kiedy ja młodą byłam! — mówiła sobie jednocześnie matka, ukończywszy wieczorną modlitwę, którą dziś z gorętszą niż kiedykolwiek prośbą odmawiała.—Cóż się to ze mną działo, kiedy mój mąż zaczął u nas bywać, a ja wiedziałam, że rodzice moi życzą sobie kogoś innego za zięcia! W jakiej gorączce żyłam dopóki nie zezwolili wreszcie na ten związek! Dniem i nocą jedną myśl miałam tylko w głowie i w sercu; za nic na świecie nie byłabym wyszła za mąż bez miłości... A ona, taka dobra, tak stworzona do kochania, jakże spokojnie patrzy na możliwość przyszłego związku z człowiekiem, który tylko tyle jój się podoba, jakby mogło wielu innych! ...Hal może to i lepiej nie żądać od życia zbyt wiele;—a zresztą, chcąc nie chcąc, godzić się trzeba z tém, co jest w duchu czasu.

Następnego rana, na godzinę prawie przed porą oznaczoną do wyjazdu, prezes już kołatał do drzwi Stefana.

— A co? nie gotów — pewny tego byłam!—zawołał, ujrawszy młodzieńca w stroju negliżowym.—Tacyście wy dzisiaj wszyscy, że tyl-



ko wam bawić się, a potem po zabawie wypoczywać, jak po jakiejś pracy. Kiedyż ty się wybierzesz, mój chłopaku?

— Ależ mam na to aż nadto czasu, kochany panie,—odpowiedział Stefan, nie rad, że mu ktoś przerwał ważną czynność dobrania sobie ubioru, w którymby mu najlepiej było do twarzy.

— Nie można go mieć nigdy za wiele, kiedy idzie o podróż kolejną,—rzekł prezes.

— Alboż to zabawna rzecz czekać na dworcu do nieskończoności?

— Lepiej tam przyjść o godzinę za wcześnie, niż o minutę za późno, zwłaszcza zaś mając paniom towarzyszyć. Że też to was młodych trzeba na każdym kroku uczyć grzeczności, pomimo całego waszego szyku,—który nawiasem mówiąc, nie narodził się był jeszcze za moich czasów!

Stefan zaśmiał się, zawiązując przed zwierciadłem krawat, którego smak wytwórny poprawiał mu zapewne humor i rzekł:

— Szyk terazniejszy, a dawna galanterya, to widzi pan są dwie rzeczy nie mające z sobą nic wspólnego. Dzisiejsze kobiety za nic mają młodzież, która im nadto nadskakuje, a najwyższą ceną taką, która sobie dla nich nie wiele zadaje trudu. Dla tego to właśnie...

— Nie chciałeś się dziś pojawić zbyt wcześnie na dworcu?—dokończył prezes, zabierając parasol swój i okrycie, gdyż Stefan był już gotów i mieli wychodzić.—A, rozumiem teraz. Ja tam waszej dzisiejszej mody dobrze nie znam, ale skoroś mi rzecz jasno wytłómaczył, przyznaję ci słuszność.—A zatem, jak widzę—dodał, gdy już byli na ulicy, — ułożyłeś sobie pewien plan co do dalszego prowadzenia twojego stosunku z temi paniami.

— Nic nie ułożyłem,—odpowiedział trochę niecierpliwie Stefan, —tylko nie odstępuję w tym razie od tego, co jest u mnie ogólną zasadą. Ani z usposobienia mojego zresztą; ani ze stanowiska, mogę dodać bez przeceniania go, nie kwalifikuję się do zastępu tak zwanych aspirantów do posażnych panien.

— Bardzo pięknie; — przemawia to ze wszechmiar za tobą.— Masz rozum, mój chłopaku; w naszych praktycznych czasach, lepsze posady dostają się zazwyczaj nie tym, którzy się o nie skwapliwie ubiegają, ale takim, którzy zdają się mało dbać o nie. A nie byłaby to byle jaka posada, mój kochany, zostać mężem téj ładnej panienki, która będzie do tego miała wcale ładny majątek.

— Niekoniecznie jest ładną panna Alina, tylko dosyć powabną,—odpowiedział tak niedbale Stefan, chłuszcząc laseczką napotykaną przy drodze roślinki w cienistej ulicy, którą szli do dworca, że można było święcie uwierzyć, iż go wcale nie obchodzi osoba, o której mówił.— A czy dostanie rzeczywiście tak znaczny posąg jak powiadają?—rzecz to także wątpliwa.

— Jakto wątpliwa? — podchwycił żywo prezes. — Alboż tu nie

był jeszcze przed dwoma tygodniami obywatel z Podola, ten poczciwy Swada, z którym miewałem partyjkę co wieczór? Nie obchodził mię wtedy tyle, co dzisiaj stan majątkowy państwa Brzewskich, więc go nie wypytywałem, ale pamiętam jak mi powiadał, że owo ich Ulanie, to złote jabłko, co się zowie. Lasu szmarł, panie, ziemia wyborowa, obszary jak okiem zajrzeć,—kilka folwarków przecie...

Stefan słuchał owych szczegółów z zajęciem, którego nie zdradzała bynajmniej jego postawa.

— Wszystko to ślicznie wygląda, szanowny panie, — rzekł po chwili, odprowadziwszy wzrokiem urodziwą wiedenkę, idącą od kolei w towarzystwie szykownego oficera.

— Ale co w tém jest prawdy, trudno jeszcze wiedzieć. Nawet śniegi na wiosennem słońcu prędzej nie topnieją, jak posagi bogatych panien po ślubie.

— Ha! nie namawiam cię do niczego, mój kochany,—odpowiedział mu prezes.—Rób jak ci własny instykt doradzi,—nie mówię już serce, bo wy młodzi nie dowierzacie mi dzisiaj. Co do mnie, mam przekonanie, że nie ma tu przyczyny lękać się podobnego zawodu. Sama już powierzchowność tych pań i nawyknięcia ich, zapowiadają osoby zamodne. Nie stroją się wprawdzie kosztownie, jak pierwsza lepsza kupcowa lub bankierowa, ale mieszkanie mają ładne, najmują często powóz do dalszych wycieczek, a na kolei i w teatrze tańszych miejsc nie biorą, co wskazuje, że podobne oszczędności małe mają dla nich znaczenie. Słyszałaś także jak wspominała pani Brzewska o zamiarze spędzenia kilku tygodni w Szwajcaryi przed powrotem do kraju, a to koszt nie mały. Wszystkie te wskazówki potwierdzają moje przypuszczenia.

— Takby się zdawało,—wszelako...

— Niech cię tam licho porwie z twoją podejrzliwością,—przerwał mu prezes. — Daję wreszcie za wygraną i nie mięszam się więcej w twoje sprawy. Zmęczyłem sobie daremnie płuca jedynie z dobrej chęci dla syna dawnego kolegi, bo co do panny, to nie potrzebuje ona żeby do niej ciągnąć kogokolwiek i znajdzie męża jakiego sama zechce.

Dochodzili już na miejsce, rozmowa z konieczności została przerwana, co nawet dogadzało Stefanowi. Postawa jego obojętna i wątpliwości, jakie wyrażał, były tylko fortelem zręcznie obmyślonym, aby nie odsłonić przedwcześnie zamiaru, w którym utwierdzał się coraz bardziej. Całe zachowanie się pani Brzewskiej względem niego, pociągało go ku temu; gdyby zaś należała do liczby matek, potrzebujących starać się o konkurentów dla swych córek, byłoby ono trochę odmiennym. Wyglądał przecie na człowieka z wyższego towarzystwa, nie rachującego się bardzo ani z czasem ani z pieniędzmi; mieszkał w jednej z najdroższych willi i gotów był zawsze do udziału w kosztowniejszych nawet wycieczkach, — a pomimo to, nie bywał nigdy na nie zapraszany, jeśli się sam o to nie dopomniął. Jeśli zaś panna okazy-



wała się przy nim trochę zalotną—nawet i bardzo niekiedy—to już zawdzięczał swym osobistym przymiotom.—No, kobieta w każdym razie, —powiadał sobie, — cóż dziwnego, że pragnie zdobyć, mającej przecie pewną wartość?

U progu dworca, Stefan, spojrzawszy na zegarek, opuścił prezesa dowodząc że musi jeszcze pójść kupić sobie cygar w sąsiedniej dystrybucyi. Sprawunek ten, łącznie z kupnem biletów, zabrał mu tyle czasu, iż ledwie zdołał wskoczyć do wagonu, zanim pociąg ruszył z miejsca. Ale za to, mógł dobiegając do drzwiczek, dostrzedz wychylającą się z nich niespokojnie Alinę, co go dowodnie przekonało, iż jak najlepiej sobie postąpił, dając czekać na siebie.

Młodość ma jednak i zachowa zawsze swoje prawa, nawet w czasach, w których wyrachowanie zapanowało tak wszechwładnie nad światem, jak dzisiaj. Oboje oni uczuli żywsze przy tém spotkaniu wzruszenie, niżby się tego po sobie spodziewali, a gdy po chwili, skorzystawszy z rozmowy prezesa z jej matką, Alina rzekła półgłosem do siedzącego naprzeciw niej Stefana, układając niby plecy położone koło niego:—Pan postarał się o to, żeby jak najpóźniej zacząć nudzić się z nami, wszak prawda?—on odpowiedział głosem, którego drzenie było szczere:

— Nieprawda; — pani aż nadto wie dobrze, kiedy ja się nudzę i które godziny wydają mi się być całymi dniami.

Mówiąc, trzymał w niej utkwione spojrzenie, którego wyraz oblał ją tak gorącym rumieńcem, że odwróciwszy się żywo, przez czas jakiś stała w oknie, niby zapatrzona w zielone łąny winnic, ciągnące się wzdłuż drogi, choć oczy jej nic przed sobą nie widziały. On jest szalenie we mnie zakochany—myślała w duchu;—może i ja go z czasem pokocham... Już to trzeba mu przyznać, że dowcipu ma wiele i że jest bardzo przystojny—dodała, skłonna, jak każda kobieta, nadawać jak największą wartość pozyskaną zdobyć.—A także, ma ojca bardzo zamożnego, powiada prezes, i znać to zresztą po nim, że nawykł do dostatku... Nie chodzi mi przecie tyle o pieniądze dla mnie samój, ale ze względu na moich rodziców, muszę wyjść bogato za męż. Skoro nie mogą dać mi posagu, niechże będą chociaż spokojni o mój byt w przyszłości.

Własnego upodobania do zabaw i do zbytku Alina nie kładła tu w rachubę, rada, iż może złożyć na karb poświęcenia we własnym mniemaniu to, co mniej szlachetne miało pobudki. I czyż jej się dziwić? Wyjątkową istotą nie była, ani sercem, ani umysłem, więc też posiadać nie mogła owęj bezstronności sądu, którą wyższe tylko dusze umieją do siebie zastosowywać, wtedy nawet, gdy on na ich niekorzyść może wypaść. Zamyślenie jej przerwał prezes, mówiąc wesoło:

— Zapraszam panią do naszego towarzystwa, które za nią tęskni nadto długo.

— Zwróciła się ku niemu, trochę zmieszana uwagą, dającą przypuszczać, że mógł dostrzedz jój poprzednie wrażenie, a on dodał:

— Czy pani czasem głowa nie boli, że ją tak chętnie na powiew wiatru wystawiasz?

— Bolała mię w istocie, kiedyśmy wyjeżdżali, ale to już minęło, i cieszę się niezmiernie tym rozkosznym dniem, jaki mam przed sobą; — odpowiedziała, a Stefan wzięwszy do siebie, słusznie czy niesłusznie, owo oświadczenie, podziękował jój spojrzeniem tak wymowném, że nie tylko ona je zrozumiała, ale i prezes, dosyć przenikliwy, pomimo pozornej dobroduszości.

Przez resztę podróży, rozmowa już ogólna szła swobodnie i wesoło. Nawet pani Brzewska ożywiła się w nięj cokolwiek i nastrój ów pomyślny trwał u wszystkich przez cały dzień, spędzony razem w Wiedniu. Była to niedziela. Ku wieczorowi udano się do Prateru, dla zwiedzenia téj jego części, w której odbywają się najrozmaitsze przedstawienia i zabawy ku uciechu ludu urządzone. Towarzystwo nasze miało tu zabawić tylko godzinkę, ale barwność i ruchliwość owego obrazu tak żywo zajęły Alinę, dla której widok ten był całkiem nowy, że wyprosiła sobie u matki przedłużenie téj uciechy, zapewniając, że się chętnie z tego powodu wyrzeczce dziś teatru. Być może, iż wolała ową rozmarzającą przechadzkę sam na sam ze Stefanem, pośród nieznanego tłumu, otaczającego ich poniekąd samotnością, przy dźwiękach muzyki, odzywającej się zewsząd, która zagłuszała słowa, lękając się obcych uszu wśród tych mrocznych cieni, które drzewa rzucały na ziemię, tam gdzie roziskwienie gazu nie umiało się przedrzeć przez ich gęsto zaplcone konary.

Zostawiwszy panią Brzewską w strzelnicy z prezesem, który z zachwytem podziwiał niewyczerpane pomysły niemieckiego humoru, młodzi krążyli długo pośród niezliczonych kiosków, pawilonów i straganów, to śmiejąc się do rozpuku ze statecznego walca tancerzy, zebranych na ludowym baliku, to kupując bilety na tombolę, odbywającą się pod gołem niebem, to znowu zatrzymując się przed menażeryą, której osobliwości wyszczególniał donośnym głosem gruby niemieć stojący w jój progu. Byli oboje niby bardzo weseli, śmieli się głośno i często, — częściej nawet niż im to z rozmowy wypadało, — a potem znowu milczeli przez czas jakiś, sami nie wiedząc, do jakiej nici nawiązać przerwana rozmowę. Ha! młodzi byli! Bądź co bądź, choćby chwilami...

— Ach! Otóż i jasnowidząca, panie Stefanie! — zawołała nagle Alina, zapewne w zapomnieniu nazwawszy go pierwszy raz po imieniu, a on zlekka w téj chwili przycisnął do siebie rękę, którą się na jego ramieniu opierała. Nie zauważywszy niby tego, dodała: Chcę koniecznie usłyszeć, co mi ona wywróży. Chodźmy tam...

— I owszem, skoro pani chce tego, — odpowiedział.

— Chcę, ale pod warunkiem, że i pan także zapyta ją o swoje przyszłość. Niezmiernie ciekawa jestem jój przepowiedni.



— O nie, pani; tego za nic nie zrobię.

— A to dla czego?—spytała zdziwiona.

— Dla tego, że to, w czym pani poszuka tylko rozrywki,—odpowiedział wzruszonym głosem,—mogłoby zbudzić we mnie bolesny niepokój, lub też...

— Lub też co?

— Lub dodać otuchy nadziejom, którym jój tak dotąd skąpiono, że się nawet objawiać nie śmiały. Alboż ja wiem, na co mógłbym się odważyć, usłyszawszy słowa téj kobiety?

— Nie domyślałam się, że pan tyle przesądny,—rzekła, śmiejąc się Alina.—Ale to są żarty chyba. Któżby chciał wierzyć w przyszłość, przepowiedzianą za kilka centów?

— Słabości, którą mi pani dziś zarzuca, nie podlegałem dotychczas—odpowiedział Stefan,—ale bywają w życiu chwile tak ważne, że w nich wszystko nabiera znaczenia dla człowieka, który je przebywa.

— A pan się w takiej znajduje?—rzekła Alina w pół żartobliwie.—Nie odgadłam i tego także; widzi pan jak mało jestem domyślna.

— Widzę tylko, że pani nie chce być w tym razie szczerą. Kiedy tak, uwzględnię jój życzenia i zastosuję się do wskazanego mi nastroju. Pójdziemy więc oboje zapytać téj wieszczki o nasze przyszłe losy i przekona się pani, że potrafię mężnie usłyszeć mój wyrok, choćby wypadł dla mnie najgorzej.

Chłodna swoboda, z jaką wyrzekł te słowa, dotknęła do żywego Alinę. Wyzwana do walki jój miłość własna zapragnęła teraz gorąco odzyskać zdobycz, która zdawała jój się wymykać, ale wrażeń tych nic na zewnątrz nie zdradziło.

— Chodźmy więc,—rzekła wesoło,—będzie to zawsze zabawne, a wiemy już teraz, że nikt z nas dwojga nie weźmie na serio tego, co sobie kupił za własne swoje pieniądze.

To powiedziawszy, pociągnęła swego towarzysza ku estradzie, tak mało w téj chwili otoczonej, że mogli bez trudności dostać się do niej. Chuda niemka, której ponury wyraz twarzy uwydatniała jeszcze bardziej fantastyczność stroju, wzięła naprzód w swe dłonie rękę panny Brzewskiej i poczęła jój prawie zwykłe oklepanki o zdobytych sercach wielu blondynów i brunetów; zapowiadając przedłużenie się do nieskończoności owego szeregu ofiar, a w końcu wymarzone szczęście w małżeńskim pożyciu. Alina, trochę niezadowolona temi ogólnikami, w których nie nie dawało się przystosować do jój obecnego położenia, rzuciła zapłatę na tacę i rzekła do Stefana:

— Na pana teraz kolój. Ciekawa jestem, czy jego wyrocznia lepiej wypadnie od mojej.

Ale tym razem, posiedzenie trwało bardzo krótko. Zaledwie oczy wróżki padły na dłoń młodzieńca, podniosły się ku jego twarzy i przez chwilę bystro w niej tkwiły. Następnie, popatrzywszy jeszcze z uwagą na krzyżujące się linie jego ręki, rzekła tylko półgłosem:

— Nie kocha... może pokocha... Czego pragniesz, pozyskasz... potem utracisz... a w końcu radość wielką uczujesz.

Alina serdecznie się roześmiała, usłyszawszy te dziwne wyrazy.

— Nic zabawniejszego nie słyszałam w życiu od téj przepowiedni!—zawołała. To mi dopiero zagadka! Czy widział kto kiedy podobną oszustkę?

Ale Stefan nic jój na razie nie odpowiedział, tylko wycofawszy się z nią z tłumu, który zaczynał otaczać liczniej estradę, zwabiany głośnym nawoływaniem przedsiębiorcy, odgrywającego rolę magnetyzera, poprowadził ją ku ustronnej alei, gdzie mniej gwarno było i tam o rzeczach obojętnych rozpoczął rozmowę. Ale mu ją przerwała Alina.

— Co panu jest takiego? — spytała niespokojnie.—Dostrzegam w nim jakieś przykre wrażenia. Czyż podobna, aby je zbudziły niedorzeczne brednie téj kobiety?

— Nic mi nie jest, zapewniam panią,— odpowiedział.—Zresztą, choćby nawet było inaczej, cóż to panią może obchodzić? Wszakże wyznałem zawczasu, że dziś lada drobnostka może mię zranić dotkliwie, a jednak wołała pani narazić mię na to, niżli wyrzec się chwilowej rozrywki.

— Panie Stefanie, cóż to za bolesne dla mnie słowa?—zawołała Alina.—Czyż może pan przypuścić...

— Niech pani nic więcej nie mówi,—przerwał żywo chwytając jój rękę.— Wolę pozostać pod wrażeniem tych kilku słów, które mimowoli z ust pani wybiegły, zachować w duszy drżące dźwięki głosu, który je wymawiał... Niech mi pani niczem nie psuje tego wspomnienia. Na dzisiaj chociaż, odwołuję się do jój miłosierdzia nademną...

— Alboż ja zawsze bywam tak okrutną, że je wyjątkowo tylko można u mnie wyprosić?—rzekła Alina ze śmiechem, w którym znać było pewien przymus. Coraz większe pomieszanie ogarniało ją w istocie, dostrzegając tuż przed sobą chwilę stanowczą, której bliskości nie umiała dobrze obrachować.

— Pani umie bywać okrutną, ale tylko wtedy, gdy się do tego przymusi,—odpowiedział jój Stefan, gładząc zlekka rękę, która się na nim opierała.—Doznawałem tego nieraz na sobie; dzisiaj jednak, wiem, że nie zagraża mi nic podobnego. Widząc mnie tak przygnębionym, nie zechce pani z pewnością znęcać się więcej nademną.

— Nie, nie zechce;—odpowiedziała półgłosem, próbując cofnąć rękę, którą on jednak w swojej zatrzymał.—Odpowiem pana ufności w moją wspaniałomyślność, skoro mi pan tak otwarcie wyznaje swoje usposobienie, choć doprawdy nie pojmuję jego powodu.

— Czyli raczej nie chce go pani zrozumieć...

— Czyż podobna, aby tyle pana obeszła owa ciemna przepowiednia? Zresztą wszakże zakończenie jój obiecywało wielką radość?

— Chciej pani nie przypominać mi więcej chwilowego wrażenia, którego sam się wstydzę. Szkoda nawet czasu na takie błahostki.

— Tém bardziej, że nam już trzeba powrócić do mamy, która pewnie nas wygląda,—dorzuciła Alina, rada teraz w dalszą przyszłość



odsunąć wyznanie, dla którego wywołania pociągała ją przedtém kobieca zalotność.

— O, nie;— odrzekł Stefan, zatrzymując ją w miejscu, i biorąc obie jęj ręce w swoje, z wyrazem tak stanowczego postanowienia, że serce w nięj uderzać silnie poczęło i nie probowała więcj oporu.

— Na godzinę taką, jaką mi dziś losy nastęrczyły, nie umiałbym czekać dłużej—mówił dalej.—Raz muszę dowiedzieć się na prawdę o mojęj przyszłości od tēj czarodziejki, która ją trzyma w tych oto drobnych ręczkach. Niech ona powie, co mnie od nięj czeka... Alino, odkąd cię poznałem należę do ciebie... bom cię całą duszą pokochał.

— Wiem o tēm,—odpowiedziała, prawie już spokojna, jak gdyby czar owęj chwili, któremu dotąd ulegała minowoli, prysnął nagle od słów stwierdzających jęj zwycięztwo. Ale mówiąc to, podniosła na niego pełne współczucia spojrzenie, przez które złagodziła przykre wrażenie, jakie mu na razie sprawiła jęj odpowiedź.

— O tak, wiesz o tēm,—i czyżby mogło być inaczej? Ale co znaczą te słowa w twoich ustach?—rzekł, obejmując badawczym wzrokiem tę młodą twarz, z któréj nic jednak nie zdołał wyczytać, bo nawet lekkie jęj zarumienienie dostrzedz się nie dawało, w otaczającym ich półcieniu. Czy o tēm, co ci jest tak dobrze znaném, nie zechcesz nigdy zapomnieć? Czy mi wolno będzie kochać cię coraz bardziej,—kochać cię tyle, że aż wreszcie twoję miłość pozyskam?—, Nie kocha... może pokocha“—powiedziała wyrocznia.

— Serce rozkazów niczyich nie słucha,—odpowiedziała, wzrok trzymając ku ziemi spuszczonej,—zatem ani panu nie mogę miłości dla mnie zabronić, ani tēj mojęj mu przyobiecować. Zresztą, nie mam jeszcze prawa rozrządać sobą. Rodzice moi powinni przedewszystkiém...

— Wiedzieć o moich zamiarach,—dokończył z żywością.—Pamiętam o tēm dobrze i chcę tylko wiedzieć, czy mi pozwolisz, Alino... czy mi pani pozwoli—poprawił się szybko, dostrzegłszy, że brwi jęj zlekka się ściągnęły,—pomówić jutro o tēm z jęj matką?

Milczała przez chwilę, a on, zaniepokojony dodał z naleganiem:

— Wszak mogę to uczynić? wszak mi tego pani nie zabrania?

— Nie,—rzekła cicho, oczy mając w inną stronę zwrócone.—Ale proszę pamiętać, że nic dotąd nie przyrzekłam i że żadnego też zobowiązania od pana nie przyjmuję.. Wolni jesteśny oboje.

Wyrzekłszy te słowa, na które Stefan, zdumiony jęj przytomnością umysłu, nie znalazł odpowiedzi, skierowała się śpiesznie w stronę, w któréj spodziewała się znaleźć matkę. Ale teraz szła sama przodem, nie opierając się już na ramieniu swego towarzysza.

Wypadło wkrótce naszym turystom pomyśleć o powrocie do Baudenu, gdyż późno już było. Na dworcem kolei czekała ich niespodzianka, nie dla wszystkich równie przyjemna. Zaledwie wyszli na platformę, gdzie z powodu niedzieli tłum się roił, podbiegła ku nim pani Irena, z oznakami najżywszėj radości.

— Ach! cóż to za szczęście, że się wreszcie spotykamy!—zawołała, ściskając czule panią Brzewską.—Przyznać się muszę do tego, że już wyglądała wyjazdu tej biednej Helenki, tak się za państwem stęskniłam. Ale otóż jestem wreszcie swobodna, pożegnawszy się z nią przed chwilą.

— Jakimże sposobem tutaj?—spytał ze zdziwieniem prezes. — Toż się pani hrabina wybrała z Badenu do Meranu.

— Tak było w istocie; ale w drodze zmieniła zamiar najniespodziewaniej. Ona biedaczka taka jest nerwowa, że nie można nigdy przewidzieć tego, co zrobi. Miewa coraz nowe zachcianki i wstręty. Ale to nie jęj wina, powiadają doktorzy, tylko sprawa tych niegodziwych nerwów.

— W każdym razie osoba trochę trudna w pożyciu, — wtrącił prezes.

— Ale gdzież znowu! Anioł nie kobieta, powiadam panu, tylko nerwowa,—toż nie jęj wina przecię.

— Więc nerwy hrabiny zwróciły ją z drogi do Meranu?

— Otóż właśnie. Zaledwieśmy wyjechały, ogarnęła ją ni ztąd ni zowąd jakaś trwoga, którą nazywała przeczuciem, że się tam gorzej rozchoruje i wreszcie oświadczyła mi w Gratzu, że się wyrzekła stanowczo tej podróży i woli zimę spędzić w Paryżu. Odwiozłam ją tedy do Wiednia, a teraz, zabawiwszy z nią czas jakiś, powracam do mego ulubionego Badenu i do równie miłego stosunku z państwem.

— Wielka to dla nas szkoda, że będzie on musiał przerwać się wkrótce,—rzekła na to pani Brzewska, nie bardzo teraz pragnąca widzieć Argusowy wzrok przebiegłej wdowy, ciągle zwrócony na jęj córkę i na Stefana. Mamy zamiar wyjechać w tych dniach; może zabawiemy jeszcze jakiś czas w Szawcaryi przed powrotem do kraju.

— Al śliczna wycieczka! Zazdroszczę jęj państwu... — bo zapewne i panowie wezmą w nięj udział?

To mówiąc, rzuciła bystre spojrzenie w stronę Stefana, który jednak zdawał się tak zajęty zapalaniem sobie cygara, że mogła uwierzyć, że jęj nie słyszał.

— Państwo! pociąg już odchodził—zawołał w tej chwili prezes, podając żywo ramię pani Brzewskiej.—Proszę za mną, już ja za to ręczę, że dobre miejsca znajdziemy.

Tak się też stało jak zapowiedział, pomimo że na platformie sporo ludzi zostało, do przyszłego pociągu. W wagonie p. Jarski, pomieściwszy ze szczególną troskliwością panią Klinkowską, zajął obok nięj miejsce, z umysłu trzymając się zdala od Aliny.

— Diabli tu chyba przynieśli tę babę, w takiej właśnie chwili! —myślał w duchu, z u śmiechem odpowiadając na szczebiotanie wyświeżonej wdówki, która dziś wyglądała bardzo na korzyść w nowym kostiumie, nabytym w Wiedniu.—Czego ona chce odemnie ze swojemi zalecankami? Toż nie myślę chyba, żebym z nią chciał się żenić. Albo ja głupi złapać się na takie farbowane lisy? Niby to ona bogata, dla



tego że się stroi i włóczy po świecie, ale widocznie robi to dla upolowania sobie gdziekolwiek męża, a może sama ostatkami już goni. Co to za różnica z temi paniami. Tu zaraz znać osoby, nie potrzebujące przechwalać się swoją zamożnością... Wybornie stoi moja sprawa; nie wątpię już teraz o tém. Alina opowie zaraz wszystko matce, a ja przyjdę jutro do rzeczy gotowej... Wolałbym być, żeby to nie poszło tak śpiesznie, ale trudno,—człowiek nie zawsze bywa panem siebie... Nie myślałem nigdy zająć dziś tak daleko i sam nie wiem jak do tego przyszło. Podrażnił mię jej chłód udany; chciałem koniecznie wymóżyć na nią jakiś tkliwszy wyraz, a ona, od słowa do słowa, doprowadziła mię w tej szermierce do tego, że się najwyraźniej oświadczył. Rozumna i dzielna istotnie z nią kobieta, skoro tak umie uad sobą panować i ludzi wodzić na pasku, a do tego świetna partya... Zatelegrafuję do ciotki Brygidy; choć z nią trudna bywa panem, kiedy chodzi o pieniądze; nie odmówi przecię przyjść w pomoc swemu chrzestnemu synowi w tak ważnych okolicznościach. Muszę koniecznie jechać z temi paniami do Szwajcaryi... tak wypada nawet.

Pani Irena tymczasem zabawiała towarzystwo rozmaitemi szczegółami, dotyczącemi hrabiny Tumnickiej, świadczącemi jak serdeczny stosunek ją łączy z tą dostojną damą. Wypytywała się także ciekawie o wszystko, co w ich kółku zaszło w czasie jej nieobecności, podejrzewając tam coś nowego, z małego udziału, jaki brali w rozmowie Alina i Stefan, wyglądający oboje roztargnieni, czy też smutni.—Hol! hol! coś się tu stało widocznie,—pomyślała—trzebaby tylko zbadać co takiego, i czy ci młodzi państwo są z sobą w niezgodzie, czy też w serdeczném porozumieniu?..

Za przybyciem do Badenu, zamiast poprosić Stefana, aby ją odprowadził do domu, oświadczyła od razu, że musi to wziąć dzisiaj na siebie prezes, za którym najbardziej się stęskniła. — Zostawiam paniom młodszego towarzysza,—dodała ze śmiechem,—więc myślę, że nikomu krzywdy nie zrobię przez mój wybór.

Rozeszli się tedy w przeciwne strony miasta, a po drodze, Irena, zręcznie kierując rozmowę, zużytkowała ją dla zamierzonych przez siebie celów. Zanim do swój willi doszła, idąc powoli,—skutkiem znużenia, powiadała,—już potrafiła wyciągnąć od Wistowskiego wszystko, co mu było wiadomém o kierunku, jaki przybierał stosunek, zdający się obchodzić ją bardzo żywo.—Jarski nie odstępował tych pań w parku i podejrzawszy innych wycieczek; rozmawiał też wiele z panną Aliną,—ale czy miał co do niej jakie dalsze zamiary? — trudno było odganiać.—Młodzież dzisiejsza bardzo jest w tych rzeczach ostrożna,—mówił prezes,—a do tego chłopak z pięknej familii i wcale nie ubogi, zatem i ceni też siebie.

— Więc on w istocie nie potrzebuje szukać posagu? — spytała Irena, zatrzymując się przed ogródkiem swego domu, do którego już doszli.

— Tak mi się zdaje przynajmniej. Wiem, że jego ojciec miał

dawniej ładny majątek, a i teraz kiedy się z nim spotykam, nie narzeka nigdy na złe czasy i gęsta u niego mina, co się zowie. Powiadał mi nawet niedawno, że przyjechał za kupnem domu do Warszawy.

— Ale czy tylko dla siebie?—pomyślała nie łatwa do wyprowadzenia w pole Irena, gdy pożegnawszy swego towarzysza, znalazła się sama w swoim pokoju.—Albo to jeden podupadły obywatel, fakturuje dziś—nie samym nawet obywatelom?...—No, nie od razu—jak to mówią—Kraków zbudowany,—z badałam już jedno, dojdę i reszty z czasem. Mam chwałę Bogu dosyć stosunków w kraju, abym się mogła o każdym dowiedzieć, czego mi potrzeba. Jeżeli, jak to potroszę przypuszczam, odegrwa się tu obecnie pocieszna komedia, nie trzeba jęj przerywać przed ostatnim aktem, boby go szkoda było naprawdę... Zakończenie, może ja wezmę na siebie.

Kiedy to myślała, układając na noc przed zwierciadłem bujne jeszcze i ciemne włosy, miała na ustach przebiegły uśmiech kobiety, pewnej, że potrafi dopiąć swego celu.

Nazajutrz Stefan wybrał się do pani Brzewskiej w porze, w której wiedział, że ją w domu zastanie. W téj chwili, nie było z nią nawet córki; widocznie spodziewano się jego odwiedzin. Trwały one niedługo, gdyż z obu stron pewne zakłopotanie, usprawiedliwione świeżością stosunku, utrudniało rozmowę, ale Stefan wypowiedział jednak otwarcie swoje zamiary, a matka odpowiedziała mu, że nie będzie im przeciwną, jeśli zgodną z niemi będzie wola jęj męża i przyrzekła zaraz w téj sprawie do niego się odnieść.

— Winnam wszelako pana uprzedzić,—dodała trochę drżącym głosem,—że posag mojej córki...

Ale szlachetny popęd Stefana nie dał jęj dokończyć słów, które wrodzona prawość mogła uczynić nadto szczeremi w chwili, w której gorące pragnienie ustalenia losu córki nakazywało jednak pani Brzewskiej wielką ostrożność.

— Chciój pani nie dotykać tego przedmiotu; błagam o to najusilniej,—przerwał jęj z żywością.—Gdybym nie posiadał możności zapewnienia pannie Alinie tego wszystkiego, do czego przywykła od dzieciństwa, nie śmiałbym z pewnością starać się o pozyskanie jęj serca. Względy majątkowe są tu dla mnie całkiem podrzędne...

Słowa te, wypowiedziane z lekkim odcieniem wyniosłości, znamionującym człowieka, który umie cenić własną godność, sprawiły na pani Brzewskiej najlepsze wrażenie. Zaraz po tém oświadczeniu Stefan wstał, zabierając się do odejścia i rzekł już tylko, całując rękę swęj przyszłej teściowięj:

— Dziękuję najmocniej za łaskawe chęci pani. Więcej niż otrzymałem, nie miałem prawa się spodziewać; sam to czuję. Ale mam jeszcze jedną prośbę do przedstawienia;—wszak mi wolno będzie towarzyszyć paniom do Szwajcaryi?

— Sama nie wiem,—odpowiedziała pani Brzewska, zawaha-



wszy się przez chwilę.—Lękam się aby to nie dało przedwczesnego rozgłosu rzeczy... nie całkiem jeszcze pewnej.

— Racz pani powierzyć wzgląd ten mojej delikatności,—odpowiedział Stefan.—Mogę nie wyjechać jednocześnie z paniami, a tam na miejscu będę się starał nie być im nadto natrętnym. Proszę o to tylko, abym nie był skazany przez dłuższy czas na zbyt przykrą dla mnie tęsknotę.

Wzruszona tak głębokim uczuciem Stefana dla jej ukochanej córki, pani Brzewska nie potrafiła mu odmówić tego, czego tak gorąco pragnął a zaraz po jego odejściu opisała rozmowę swoją z nim w liście do męża, kładąc szczególny nacisk na szlachetną bezinteresowność tego młodzieńca, świadczącą zarówno o jego wyjątkowym w tych czasach usposobieniu, jak o majątkowym stanowisku, pozwalającym mu w wyborze żony kierować się wyłącznie pociągami serca. Zanim jednak to pismo wysłała, poprzedziła je krótkim telegramem, prosząc męża o jak najprędszą na nie odpowiedź. Tą samą drogą odwołał się też zaraz Stefan do swjej ciotki. Treścią jego odezwy, nieco dłuższej, gdyż musiał udzielić wiadomości całkiem dla niej nową, była usilna prośba o jak najprędze przysłanie pewnej kwoty, od której mogły w tym razie zależeć przyszłe losy jej kochającego siostrzeńca.

Odpowiedź stariej panny, nadesłana natychmiast, brzmiała w sposób następujący:

„Ostatni raz, jeżeli bajka—przekaz jutro—Wiedeń—bank narodowy.“

Tęj samej nocy, tenże sam roznosiciel przywiósł do mieszkania pani Brzewskiej w tych słowach depezę jej męża:

„Spuszczam się na ciebie—pozory dobre—nie śpieszyć się jednak—napiszę jutro.“

Nazajutrz, pani Brzewska zapowiedziała swym znajomym, że zamierza wyjechać za tydzień do Szwajcaryi. Stefan zaś nie wspominał wcale, dokąd myśli się udać, a na zapytanie Ireny, odpowiedział, że nie będąc niczem związany, w ostatniej chwili przechylił się ku temu, co go będzie najbardziej nęciło.

— Szwajcaryja śliczna jest w tej porze,—rzekła mu pani Klinskowska,—i roją się w niej turyści z całego świata.

— Znam już każdy jej zakątek,—odpowiedział niedbale,—i nie wiem, czy mi się zechce zajrzeć do niej w tym roku; nie lubię w ogóle tłumy. Zresztą, zobaczę jeszcze...

Irena nie pytała go już o nic więcej, i tę samą powściągliwość zachowała względem pani Brzewskiej. Ale na ustach miewała teraz często właściwy sobie uśmiech złośliwy, ilekroć ujrzała Stefana rozmawiającego z Aliną, lub pochwyciła w przelocie spojrzenia ich, spotykające się z sobą, chociaż w jej obecności zachowywali się oboje bardzo ostrożnie, wzajemną udając obojętność.

Gdy po upływie kilku dni, prezes Wistowski oświadczył, że ukoń-

czywszy swoją kuracją, myśli już odjechać do Wiednia, aby po krótkim tam pobycie, wrócić do kraju zanim chłody nastaną. Pani Irena oddała mu się w opiekę na dalszą podróż, rada, że przez to oszczędzi sobie wszystkich drobnych kłopotów; a prezes, wierny swój ogólniej względem płci pięknej uprzejmości, chętnie przyjął na siebie stanowisko towarzysza kobiety jeszcze przystojnej, która strojami swojemi i szykiem zwracała wszędzie na siebie uwagę. Wybrali się tedy razem z Badenu, odprowadzeni przez resztę swego kółka do dworca kolei, gdzie prezes objął godnie przyjęte na siebie obowiązki, opiekując się rozlicznymi pakunkami swój towarzyszki i pomieszczając ją z niemi jak najwygodniej.

W kilka dni potem, Stefan pojechał na kilka godzin do Wiednia, w skutek odebranego od ciotki przekazu na dosyć znaczną kwotę, oraz krótkiego listu, stanowiącego poniekąd parafrazę poprzedniego jej telegramu. Cokolwiek później nadszedł list pana Brzewskiego do żony. Zdawał on tém chętniej na nią postanowienie o przyszłości Aliny, że sam zgnępany w tej chwili interesami, których powikłanie coraz się zwiększało, ani głowy, ani czasu nie miał do zajęcia się pozyskaniem bliższych danych co do konkurenta, którego pojawienie się tak w porę i zacna bezinteresowność, bardzo mu dogadzały.

„Wiem dobrze ile jesteś rozważna, moja kochanka,—pisał w swoim liście,—więc nie lękam się z Twojej strony niewłaściwego postąpienia, w sprawie tak ważnej. Dobrze byłoby nie przyspieszać tego, ale też i zwłoka zbyt długa mogłaby wszystko rozchwiać. Powiadasz mi, że Alinka muić go daleko kocha, niżli on ją; więc któż może zaręczyć, czy ociągając się z przyrzeczeniem, nie spotka ona kogo, co się jej lepiej spodoba, a nie będzie posiadał szlachetności i majątku tego chłopaka; boć musi on być bogatym, skoro o posag wcale nie dba. Przytém nie bardzo mamy dziś prawo być co do zięcia wybredni; a nawet, możebyśmy go później nie znaleźli wcale, bo nie ma co się ludzić, interesa nasze bardzo źle stoją. Na jednego tylko Edwarda Hrubickiego mogłaby wtedy liczyć Alinka, bo on zawsze w niej zakochany, dobrze to widzę;—ale czyżby ona chciała kiedy wyjść za niego, i cóż to za partya zresztą? Chłopak zacny i wykształcony, to prawda; ale koniec końcem ofycjalista, skoro roczną płacę bierze, choćby ona była najwyższa, a z tej sfery nia brała jeszcze nigdy męża żadna panna z naszego rodu...

„Co do zamiaru twojego zwiedzenia Szwajcaryi i spędzenia potem pewnego czasu w Warszawie, zgadzam się zupełnie; będzie mi wprawdzie bardzo trudno się zdobyć na przysłanie ci potrzebnych na to pieniędzy, ale skoro tu chodzi o przyszłość naszej jedynaczki, nie zawacham się przed największą nawet ofiarą i ucieknę się do kredytu, choćby nawet kosztownego. Rozumiem, że potrzeba pewnego czasu, aby się młodzi lepiej poznali, dostarczy zatem do tego sposobności wasz pobyt w Szwajcaryi, ale radbym, żeby się tam jeszcze nie stanowczego nie ułożyło. Jeśli można będzie, staraj się odto-



żyć to do waszego powrotu. Bądź co bądź jednak, należy uważać na to, żeby tego młodzieńca nie zrazić;—mów to Alince, niech ona nie myśli, że na każdego może tak rachować, jak na tego biednego Edwarda. Dzisiejsza młodzież łatwo zmienia swe upodobania, a na bogatego chłopaka nie jedna matka pewnie sieci zastawia...”

Wyjazd pani Brzewskiej z Badenu opóźnił się jednak o parę tygodni. Alinie tak dobrze tam było teraz, że z dnia na dzień wypraszała sobie u matki jeszcze jedną przechadzkę w dolinie Heleny, jeszcze jedną wycieczkę do Vösslau, jeszcze jeden wieczór spędzony na słuchaniu wyborniej muzyki w parku, coraz mniej zaludnionym. Kąpielowych kuracjuszków z każdym dniem ubywało; co rano szeregiem przeciągały przez ulice ręczne wózki, odwożące na kolej stopy kufrów i pakunków; po restauracjach nie trzeba już było tak długo wyczekiwać obiadu, a oświetlenie ulic i parku zmniejszało się stopniowo, w stosunku do ilości pozostałych gości. Alinie jednak nie przykrzyła się owa względna samotność, ani ucieszenie miejscowości przedtém tak gwarniej. Lubiła, wybrawszy się rankiem z matką w głąb doliny, zastawać Stefana w którymsz tu zakątku, zajętego zdejmowaniem szkicu, przeznaczonego do albumu, mającego jój być podarowaniem; lubiła w cienistej alei parku, wśród pomroki, którą miejscami tylko przerywały gazowe latarnie, słuchać rozmarzających walców „nad modrym Dunajem,” przy wtórze cichego szeptu, który już teraz mówił jój wyraźnie o miłości.

Czy ją sama także czuła? Może niekoniecznie, — ale coraz jój był Stefan mniej obojętny, coraz trudniej przysłoby jój się wyrzec przeświadczenia, że jest od niego kochaną. I on także, pomimo wrodzonego chłodu i wyrobionój duchem czasu trzeźwości, ulegał mimo-woli owym wpływom wiosny życia, których nic nie zdoła zupełnie zagłuszyć w młodej duszy, i sam nieraz się dziwił własnemu wzruszeniu na widok Aliny, silniejszym serca uderzeniem od tkliwszego jój słowa, lub spojrzenia.—Zaczynam się w niej kochać na dobre—powiadał sobie — i rad temu jestem. Nie potrzebuję bronić się od tego uczucia, bo jest ono w zupełnej zgodzie z rozsądkiem; mogę teraz uspokoić poczciwą ciotkę Brygidę, która w swojój uczuciowości staropanieńskiej lęka się dla mnie ożenienia bez miłości.

W kilka dni, po przybyciu pań Brzewskich do Genewy, pojawił się tam i Jarski. Odtąd towarzyszył im nieodstępnie w wycieczkach, które odbywały w różne strony; a gdy potem obrały sobie Vevey na dłuższy pobyt, zamieszkał tam także. Willa, którą sobie obrał, należała do najozdobniejszych, a z okien swoich miał cudowny widok, za co, jak wiadomo, płacił się drogo w Szwajcaryi. Ale względ ten zdawał się mało go obchodzić, tak jak i wszystko, co było z marnym kruszcem w związku. — Chociaż marnotrawstwem się nie popisywał, zwyczajem tuzinkowój złotój młodzieży, znać było, że się ze swemi wydatkami nie bardzo potrzebuje liczyć. W restauracyi nie wybierał koniecznie najdroższych potraw, ale też nigdy przy płaceniu nie spraw-

dzał rachunku, a dając na piwo, zwykł był sięgać do kieszonki od kamizelki, patrząc w inną stronę i wcale nie zwracając uwagi na to, co z nięj dobył, na chybił trafił.

Stosunków zdawał się też mieć wiele i to z najlepszego świata. Zdarzyło mu się kilka razy napotkać znajomych w Szwajcaryi, a były to wszystko osoby widocznie zamożne, nieraz nawet tytułowane. Gdy podczas podróży, odbywanęj z pośpiechem, właściwym ludziom, którzy zawsze próżnują, młody hrabia Oskar Skalski zatrzymał się jednę dobę w Lucernie, posłał zaraz po Stefana, wyczytawszy jego nazwisko na spisie mieszkańców hotelu, w którym stanął, i pozostali przez cały ten czas z sobą.

— Kto są te panie, z któremi rozmawiałeś przed chwilą?— spytał hrabia Jarskiego, który zatrzymał się był, spotkawszy Alinę z matką, dla wytłómaczenia im, z jakiego powodu nie będzie mógł dnia tego spędzić z niemi.—Panna niezporna i wygląda dosyć bystro.

— To pani Brzewska i jęj córka—odpowiedział Stefan. — Obywatelki z Podola, — rodzina podobno zamożna. Musiałeś o nięj słyścić, bywając w tamtych stronach.

— A tak,—przypominam sobie to nazwisko — rzekł hrabia. — Nawet kiedyśmy polowali zesztęj jesieni u mojego wuja, pamiętam, że przy śniadaniu, wyliczając posażne panny na intencyą tego biednego Fredzia, który po wszystkich kątach kraju szuka bogatęj żony, ktoś wymienił pannę Helenę Brzewską.

— Nie Helenę, ale Alinę—poprawił Stefan.

— Ależ zapewniam cię, że ją wtedy nazywano Heleną — nawet Halką — pamiętam jak dzisiaj.

— Podobieństwo tych dwóch imion w błąd cię wprowadziło — rzekł Jarski. — Przecież ja wiem najlepiej, jak się nazywa ta panna, widując ją codzień od miesiąca.

— Al więc to jest owa bogata dziedziczka? — zawołał hrabia, oglądając się z zaciekawieniem za odchodzącą Aliną.—Wcale szykowna w ruchach, słowo daję, i z dobrym smakiem ubrana... I ty masz z teini paniami tak blizki stosunek? No proszę! co to za mądry z ciebie robaczek, mój Stefusiul! Ha! niech ci Bóg dopomaga w twoich rozsądnych zamysłach, życzę ci tego całym sercem.

— Nie ma w tém jeszcze nic pewnego—odpowiedział Jarski. — To jest... nie zdecydowałem się jeszcze na krok stanowczy. Poproszę cię zatem, kochany Oskarze..

— Rozumiem; — czyż potrzebujesz nawet to mówić? Przed nikim ani słówka nie pisnę do twego powrotu. Tylko powiedz mi: czy chcesz zawsze, żebym ci dopomagał w uzyskaniu tęj posady, na którą miałeś chętkę?

— W Amerykańskiem Towarzystwie ubezpieczeń na życie? — Nie, — czy wiesz co? lepiej zatrzymać się z tém do czasu. Być może, iż nie będę wcale potrzebował szukać dla siebie zajęcia, bo już ci teraz wyznam otwarcie, że się o tę pannę staram i mam najlepsze na-



dzieje dla moich zamiarów. Więc prawdopodobnie, wydawszy ją za mnie, rodzice zechcą, żebym wziął na siebie ich majątki. Niekoniecznie to zabawna rzecz gospodarować, no,—ale kiedy jest na czém...

— To się ów kłopot zawsze opłaci, już tém samém, że wtedy o kredyt daleko łatwiej—dokończył poważnie hrabia.—W każdym razie, gdyby cię to chybiło, licz zawsze na mnie; będę się starał wyrobić ci tę posiadłość. A wcale nie żła, wierzaj mi, jak na początek,—z jakie półtora tysiąca rubli z samój tanyemy. Tylko—czy dałbyś ty sobie radę z temi utrapionemi obliczaniem? O ile pamiętam, w szkołach nie tegi był z ciebie matematyk.

— To i cóż z tego? Skoro tylko zechcę, nauczę się czego tam będzie potrzeba. Albo to święci garnki lepia? a mnie przecie nie brak bystrości, mogę sobie to przyznać.

Tak było w istocie; objęcie miał on łatwe, ale wrodzony wstręt do pracy nie dał mu nigdy zużytkować jak należało owego daru, a podobieństwo usposobienia co do tego zbliżyło go na szkolnej ławie z hrabią Oskarem, obok którego siadywał zawsze w klasie na szarym końcu. Stosunek ów trwał dotychczas, starannie utrzymywany, z jednéj zwłaszcza strony.

Po odjeździe przyjaciela, Stefan zwrócił znowu wszystkie swoje starania ku sprawie, która go do Szwajcaryi sprowadziła. Spędzał cały swój czas z panią Brzewską i z jéj córką, w obec której przybierał coraz bardziej postawę konkurenta, prawie pewnego, że zostanie przyjęty. Alina jednak nie wymówiła się nigdy z żadném słówkiem, coby mogło stać się dla niéj zobowiązaniem; raz w obejściu ze Stefanem tkliwa i niby rozmarzona, raz znowu chłodna i wyzywająco zalotna, wykonywała z niesłychaną biegłością wszystkie passażę owéj kunsztownéj symfonii, którą kobiety tak chętnie odgrywają do nieskończoności, bądź to na sercu, bądź na nerwach zdobytego przez siebie niewolnika. Tym razem, te ostatnie tylko drażnione były u Jarskiego; niemniej jednak, podniecany nieustannie owemi ciągłemi przemianami, nie dającemi się nigdy przewidzieć, a także lękając się, aby dłuższa zwłoka nie przyniosła mu szkody, postanowił wreszcie przyspieszyć przyrzeczenie Aliny, na które liczył z pewnością. Nastąpiła mu się téż wyborna do tego sposobność; widocznie losy we wszystkiém mu sprzyjały.

Powróciwszy z paniami Brzewskimi z kilkodziowéj wycieczki, podczas której bogdanka jego nie okazywała mu się zbyt łaskawą, zająwszy się trochę młodym anglikiem, który, czy to z umysłu czy przypadkowo, znajdował się często na ich drodze, — zastał w Vevey znajomego mu z ostatniego warszawskiego karnawału obywatela, podróżującego z córką, panną trochę już nie młodą, ale wcale ładną, dla której nie ułowiwszy męża ani na balu, ani na rautach, pomimo czynionych w tym celu zabiegów, poszukał pociechy po zimowym zawodzie w miłych wrażeniach podróży. Przy spotkaniu się ze Stefanem, równie ojciec jak i córka okazali wielką radość i zamówili so-

bie koniecznie jego towarzystwo na krótki swój pobyt w miejscu, w którym nie mieli innych znajomych, a on tém chętniej przyjął owo zaproszenie, że mu wypadło w samą porę.

Ujrawszy tego, którego już miała za wyłączną swoją zdobycz, przy boku bardzo powabnej kobiety, uśmiechającej się do niego zalotnie, Alina doznała silniejszego wzruszenia, niż go się mógł nawet Stefan domyślać, a gdy po południu wyczytała w krótkim liście, który napisał do jej matki, że za parę dni dopiero będzie mógł zobaczyć się z niemi, namówiony do towarzyszenia dawnym znajomym podczas dalekiej wyprawy w sąsiednie góry, rozdrażnienie jej i niepokój zwiększyły się jeszcze.

Za powrotem swoim, Stefan znalazł ją zmienioną i smutną; przywitała go chłodno, ale nie zatrwożył się tém wcale, przewidziewszy wszystko, co go tu spotykało. Pani Brzewska także wyglądała jakby zmieszana i nie było w jej obejściu serdeczności, jaką mu zwykle okazywała. Skoro tylko Alina znalazła się z nim sama, rzekła mu głosem, nad którego drzeniem nie była w stanie zapanować:

— Nie pytam pana o wrażenia tej trzydniowej wędrówki po górach i po dolinach, bo wiem zawczasu, ile musiały być rozkoszne.

— W rzeczy samej, mieliśmy pogodę cudowną—odpowiedział;— a wieczorami jasność księżyca dodawała jeszcze uroku krajobrazom.

— Wyobrażam sobie, jak prześlicznie wyglądała przy tém łudzącem oświetleniu owa piękność trochę przekwitła — rzekła sztyderczo.

— Panna Anna Przeźwicka jest jeszcze bardzo ładna, nawet bez tej pomocy—odpowiedział Stefan.

— Doprawdy? tak pan znajduje? Być może; nie przyjrzałam się jej dobrze.

Po tych słowach zamilkła na chwilę, a Stefan zapalał sobie tymczasem cygaro, zdając się być wyłącznie zajęty tą czynnością. Alina rzekła wreszcie:

— Więc się ona nazywa Anna? Złowrózbe dano jej imię. — „Siostró Anno, czy tam nikogo nie widać na drodze?”—powiada ktoś w starój bajce francuzkiej. Ale nie tam nigdzie nie ma. Tylko w dali trawa się zieleni i kurzawa szarzeje, a ludzkiej postaci ani dojrzeć...— Dla czego też ta piękna panna za mąż nie wyszła?

— Bo sobie dotąd nikogo nie upodobała.

— Może nie ma posagu?

— I owszem, znaczny nawet.

— Czy pan się nigdy o nią nie starał?

— Nie, pani.

— Szkoda; możeby też w panu znalazła swój ideał.

— Rzecz do naprawienia jeszcze,—jeśli tego pani życzy—odpowiedział bardzo spokojnie Stefan.

— Życzę, skoro panu tak łatwo przychodzi usłuchać mojej rady — rzekła mu na to, tyle już wzburzona jego niepojętym chłodem,



ze pomimo zwykłej mocy nad sobą, nie była w stanie powstrzymać łez, tłumiących jej głos i cisnących się do oczu.

Stefan nic jej na razie nie odpowiedział, tylko, — popatrzawszy na nią przy gasnących blaskach zachodu, słabo rozjaśniających cieniistą aleję, w której się przechadzali oboje, — wziął z nagłą jej rękę w swe łonie i to przy ruchu, którego napiętniej sile nie zdołała się oprzeć.

— Alino — rzekł z cicha — ty płaczesz? Dla czegoż nas dręczysz oboje tak bezlitośnie? Tyś moja — ty mnie kochasz... — niechże to raz wreszcie usłyszę od ciebie!...

Nie przygotowana na ten zwrot niespodziany, podniecona wrażeniami zranionej miłości własnej, która w niej nabierała w tej chwili siły uczucia, za całą odpowiedź, nerwowym wybuchnęła płaczem.

Wzruszony jej rozżaleniem Stefan, przycisnął ją do piersi, ale nie tracąc nawet w tej chwili z oczu obmyślonego planu, dodał z wyrazem stanowczym, dotykając ustami jej czoła:

— Najdroższa moja, niech ten pocałunek będzie pierwszymi naszymi zaręczynami. Dostyc nam już tych daremnych cierpień i nieporozumień. Dla czegoż mamy dłużej odwlekać nasze szczęście? Chcę, abys od dzisiaj została moją narzeczoną, i muszę wyprosić to sobie u twojej matki!...

Daremuje Alina próbowała cofnąć się jeszcze, złożyć swoje łzy na karb nerwowego rozdrażnienia, musiała uleść jego woli i stało się to, czego żądał. Na telegram wysłany przez żonę, pan Brzewski odpowiedział, że się zgadza na zamianę słowa pomiędzy jego córką i Jarskim, pod warunkiem wszelako, aby wzajemne owo zobowiązanie nie zostało rozgłoszonym, dopóki sam nie pozna w Warszawie swego przyszłego zięcia.

Rozstając się w kilka dni potem ze Stefanem, Alina nosiła tedy już na palcu pierścionek od niego otrzymany; — ładny, choć nie kosztowny klejnocik staroświecki, który dotąd nosił jako brelok przy dewizce od zegarka, podając go za otrzymany w spadku po ciotecznej babce, kasztelanowej Sieradzkiej. Ale zabytek ów dawniejszych czasów, z mniej świetnego pochodził gniazda; wyprosił go był sobie prosto Stefan u ciotki Brygidy, zauważywszy misterną jego robotę, a ona tym go chętniej oddała, że jej przypominał bolesną młodości chwilę, w której zwróconym sobie miała ów zakład miłości, przy zerwaniu związku upragnionego.

(Dok. nastąpi).

## PIŚMIENNICTWO

KRAJOWE I ZAGRANICZNE.

Władysław Habdank Korzybski: „Melioracye rolne.“ Warsz. 1887, 8-o, str. XVI, 183.

Coraz więcej podnoszące się ceny płodów rolniczych w drugiej połowie bieżącego wieku, sprzyjały rozwojowi naszego rolnictwa, a mianowicie jego intensywnemu kierunkowi. Widzieliśmy jak lasy przemieniały się w pola orne, a dzikie smugi i bagna w urodzajne łąki. I chociaż jednocześnie wzrastały ciężary, przywiązane do posiadłości gruntowej, to jednak rozwój rolnictwa, czyniąc pracę wdzięczną—podołał wszystkiemu.

Rok dopiero sześćdziesiąty czwarty, przynosząc wielkie zmiany społeczne, czyni pracę o wiele droższą i wytwarza warunki coraz trudniejsze; ale te same, co wyżej przyczyny t. j. łatwość zbytu i wysoka cena produktów rolnych, pozwalały i teraz pocieszać się, że mocą budzącego się kredytu i za pomocą gospodarstwa intensywnego, zachowaną zostanie równowaga między kosztami produkcji, a jej dochodem. Niestety nadzieja ta w zupełności zawiodła, i to zarówno rolnictwo folwarczne jak włościańskie. Niepomierne bowiem wzrastający dowóz płodów rolnych, wyprodukowanych tanio w nowinach krajów zamorskich, obok ustanowionego cła przez rząd pruski—utrudnił niezmiernie zbyt naszych produktów, a tém samym wpłynął bardzo niekorzystnie na ich cenę, gdy jednocześnie ciężary, przywiązane do własności rolnej, poczęły się zwiększać u nas a obniżyć w Ameryce <sup>1)</sup>. Ratowanie się kredytem, o ile było dawniej po-

<sup>1)</sup> Ciekawe pod tym względem cyfry podaje niemiecki ekonomista Meyer.

### Ciężary fiskalne w Stanach Zjednoczonych:

w latach	dochody związku	taksy lokalne	co wynosi na osobę
1870	359,9 mil. dol.	280,5 mil. dol.	17 dolarów
1880	360,7 „	302,2 „	13,2 „
1883	347,7 „	290 „	12 „



mocnym, o tyle w nowych okolicznościach stawało się coraz zgubniejszem. Początkowy wzrost zamożności włościan nieustannie się zmniejszał, a po kilkunastu latach doszło zło do postaci straszego widma, wykazanego przez statystykę, że ludność Królestwa Polskiego i Galicyi nie tylko się cofa, ale nawet w swój zdrowotności słabnie i wyraża się powoli. Gospodarstwa folwarczne pod ciężarem długów niszczenia lub rozpadają się na cząstki, a powstałe lub powstające tą drogą drobne gospodarstwa, zakładane bez dostatecznego kapitału i przez pracowników mało obeznanych z intensywnością, gdy ta małym gospodarstwom najwięcej jest odpowiednią—wytwarzają stan cofania się niektórych gałęzi naszego rolnictwa.

Upatrywanie przyczyny zła w niedostatecznej pracowitości, oszczędności i znajomości swego zawodu rolników naszych—w pewnej tylko części słusznym być może, zwłaszcza, gdy weźmiemy na uwagę, że powodzenie poprzednie nie zmuszało wielkich ani małych posiadłości do tych wysiłków, które do utrzymania się teraz przy roli są potrzebne.

Stan rolnictwa naszego nie jest wyjątkowym w Europie. Wszak w Niemczech i Anglii, pomimo wielkiego upowszechnienia naukowych wiadomości między rolnikami, rolnictwo tamtejsze z temi samemi walczącymi trudnościami co u nas. Oprócz więc przyczyn czysto lokalnych, oddziaływających szkodliwie na powodzenie naszego rolnictwa, istnieją jeszcze przyczyny ogólne ekonomiczno-społecznej natury.

W tak krytycznym momencie dla naszego rolnictwa „Gazeta rolnicza” stawia pytanie: „W jaki sposób należy prowadzić gospodarstwa, aby wyrównać niedobory, powstałe w skutek obniżenia się cen ziarna, a głównie pszenicy?” Nic więc dziwnego, że pojawienie się jakiegokolwiek na to odpowiedzi, budzi w kołach rolniczych niezmiernie zainteresowanie się, że zatem rozprawa p. Wład. H. Korzybskiego, o której, gdyby ujrzała była światło dzienne przed 20-tu laty, widzieliby tylko księgarze—dziś wywołała liczne oceny, jakich nie doznały o wiele godniejsze prace. Zainteresowanie się nią było tém większe, skoro specjalny organ, „Gazeta rolnicza,” rokuje z niej „szczęśliwszą dla ziemian naszych przyszłość” Cóż to więc są owe melioracje rolne p. H. Korzybskiego? Czy rzeczywiście zawierają one w swych rozdziałach „generalne lekarstwo,” zbawiające rolnictwo nasze od zupełnego upadku?..

Nim odpowiemy na to ostatnie pytanie, musimy zaznaczyć, że umieszczenie przez samego autora silnie reklamującej przedmowy, wywołuje wprost przeciwny skutek zamierzonemu. Po przeczytaniu tej przedmowy, najbezsronniejszy krytyk zmuszony jest sceptycznie poglądać na wartość pracy. Chociaż z drugiej strony, pochwały, wygłoszone przez „Gazetę Rolniczą,” jako specjalne w tym kierunku pismo, — Sprawozdanie sędziów konkursowych, ogłoszone w nr. 11 tejże gazety z 1886 r., o którym autor nadmienia w przedmowie—nareszcie ocena teoretycznej wartości „Melioracji rolnych,” wypowiedziana przez d-ra Blomayera, rektora Akademii rolniczej

w Lipsku, kończącego swój list wyrazami: „Jestto olbrzymi zakres, który autor opracował, i w rozprawie jego zawiera się w najwyższym stopniu poważna wiedza (höchst respectables Wissen),“ i nakoniec pomyślnie rezultaty, jakimi rzeczywiście prace melioracyjne w Rudniku (majątek autora) jemu się wywdzięczyły — tłumacząc poniekąd mniemanie autora „że zbawia rolnictwo,“ że opublikowaniem swęj rozprawy wyświadcza mu nieobrachowane korzyści! I w imię sprawiedliwości, wszystkie gromy, jakie wypadły z pod pióra d-ra Stefana Jentysa (Nr. 25 Gaz. Rol. z 1887 r.) Wład. Lubomęskiego i Jana Szczęsnego Sikorskiego, profesorów dublańskich (Niwa, zes. 303 i 304), gromy, druzgocące całą mniemaną zasługę p. W. H. Korzybskiego, w bardzo małej tylko części odnieść należy do dyletanckiej części pracy jego, a całkowita reszta należy się redakcyi „Gaz. Rol.“ i sędziom konkursowym, którzy do pierwszorzędnej wartości wynieśli wspomnianą wyżej rozprawę.

Ale powróćmy do postawionego wyżej pytania. Czem są „Melioracje rolne“ p. W. H. Korzybskiego? Jako wycieczkę naukową, stanowiącą według słów „Gaz. Rol.“ cytowanych w przedmowie „fundament praktycznych zastosowań i wniosków autora“ dostatecznie już oceniły krytyki Dr. Jentysa, Wł. Lubomęskiego i J. S. Sikorskiego—i nie może być dwóch zdań, że autor „Melioracji rolnych“ nie wypowiedział rzeczy nowych, a tego, co wypowiedział, nie dosyć rozumiał. „Praktyczne więc zastosowania i wnioski autora,“ jako na tak słabym oparte „fundamencie,“ stanowiące resztę jego pracy, nie mogą też przedstawiać rzetelnej wartości. To też prawdopodobnie nie wszystkie „zastosowania i wnioski“ opierał autor na „fundamencie“ swych naukowych wywodów, niektóre jednak mogą rzeczywiście znaleźć praktyczne zastosowanie, chociaż nie stonowią nowości; są atoli i takie, które rażą swoją niepraktycznością. O jednym i o drugich jako rolnik praktyk, kilka uwag chcę niniejszemu objawić.

Polem do obserwacyi i eksperymentów dla sz. autora, był własny jego majątek t. j. dobra Rudnik. Uważam więc za stosowne zaznaczyć bliżej czytelnika ze stanem tego majątku, w jakim był przed czasem objęcia go w posiadanie przez autora „Melioracji rolnych.“ Rudnik znam przeszło lat 20. Wszyscy dzierżawcy, opłacający nie wysoką stosunkowo tenotę, po paru lub kilku latach bez wyjątku bankrutowali. Rudnik zażywał też jaknajgorszej opinii: cięższe ziemie były kwaśne, zimne i zlewne, — natury poleśnej—lżejsze zaś saporwate i jałowe; niżej położone posiadały charakter zimnych, olszowych zadziczałych gruntów, czułych nadzwyczaj zarówno na suszę, jak na zbyteczną wilgoć. Obfite zatem urodzaje, jakimi rzeczywiście Rudnik w r. b. poszczycić się może, powołane przez p. Korzybskiego, urodzaje, które także sprawdziła na gruncie Delegacya warszawskiego oddziału Towarzystwa popierania przemysłu i handlu—bezwarunkowo zawdzięcza zdobytemu doświadczeniu, sumiennym studjom, wytrwałej pracy i nakładom przez p. Korzybskiego poświęconym. Wszakże rezultatów



powyższych sz. autor bynajmniej nie osiągnął tak małym stosunkowo kosztem, jak go w swych „Melioracyach” oblicza. Przeciwnie, początkowo p. K. gospodarował po omacku, bez systemu; ale powiększał i dobrze utrzymywał inwentarze, kupował słomę, paszę i sztuczne nawozy, regulował orkę, odnawiał stare i nowe przeprowadzał rowy—słowem, ciężką, wielką i z zamiłowaniem traktowaną pracą, oraz „znacznym nakładem,” bogacił glebę i wytwarzał kulturę. Mimo to system powyższy, żadnych dodatnich nie wydał rezultatów—przeciwnie, zawody i niedobory, były stałym tych poświęceń udziałem; zbytek bowiem wilgoci w gruncie, o słabo przepuszczalnym spodzie, a bardzo łagodnym choć jednostajnym spadku, czynił ten grunt niedość czułym na pracę p. K. koło niego podjętą. Zrozumiał to autor „Melioracyi rolnych”—dokonał niwelacji na całym terenie swojego majątku i ujął go w pewien prawidłowy system odwadniania. Gdy nadto dołączymy poważne ilości wapna, obfite glinowanie, zwierzęce i zielone nawozy, to nie dziw, że przez długi czas gronadzone, a w skutek zbytniej wilgoci, zakwaszone i w nierozpuszczalne związki zamienione części organiczne, przy nowych, a tak dogodnych warunkach, pobudzone zostały do życia, a tём samém dobroczynnie oddziaływały na urodzajność gleby.

Ta okoliczność w zupełności wystarcza do zrozumienia, dla czego autorowi „Melioracyi rolnych” wydaje się, że „z piasku bicz ukreśli,” że jego „słomiasto-gliniasto-wodniste” nawozy, mogą zastąpić nawóz stajenny. Czy jednak na długo?... Po odpowiedź odsełam sz. autora do jego własnego zdania, wygłoszonego w przedmowie: „Recepty rolnicze, pisane w gabinetach naukowych, były zazwyczaj przez wytrawnych praktyków krytykowane i odrzucane, i z żalem dodać należy, że podobna krytyka była zawsze uzasadnioną.”

Najzupełniej też jest uzasadnione ogólne przekonanie, że 10-cio polowa rotacya sz. autora z 8-ma kłosowemi po sobie, zasilana mixtum-compositum, według jego „słomiasto - ziemisto - wodzianej” recepty, w niedalekiej przyszłości stanowcze uczyni fiasco.

Sam autor przyznaje, że: „Kompost słomiasty, wytworzony ze słomy, przesypanej ziemią i polewanej wodą, nie będzie zapewne odpowiadać chemicznym wymaganiom nauki, ale z pewnością w większej liczbie wypadków, w gruntach związłych, gliniastych, okaże się pod względem ekonomicznym korzystniejszym od intensywnie wyprodukowanego obornika i przyniesie dochód czysty z majątku.” Taki kompost jest rzeczywiście nowym pomysłem, ale wątpię bardzo, czy który z rolników miałby odwagę zastąpić nim obornik.

Używanie według rady p. K. ziemi na ściótkę o tyle jest gospodarne, o ile ma na celu zapobieżenie palenia się nawozu i uwięzienia gazów amoniakalnych, jako też oszczędzenia słomy dla użycia jój na karmę, z dodatkiem pewnej ilości treściwych inateryatów pastewnych, zdolnych do uczynienia jój karmą tak dobrą jak siano. Funt słomy pastewnej wart więcj niż dwa funty obornika, powstałego ze słomy

użytej na ściółkę. W wyjątkowych zaś razach, a mianowicie w pobliżu miast większych, gdzie słomę spieniężyć można po wysokości cenie, a nawóz i odpadki miejskie tanio nabyć, używanie ziemi, jako dodatkowej ściółki, może być korzystnym; nie trzeba jednak wypuszczać tego z uwagi, że wykopanie ziemi, przywiezienie jej i nagromadzenie w suchem i ciepłym miejscu na zimę, przedstawia koszt nie mały, do którego doliczyć należy przewyżkę kosztu wywożenia w pole. Fura obornika ziemistego waży do 40 centnarów, czyli 2 razy więcej niż fura pospolitego, pół przegniłego obornika.

I ta więc rada zdaje się być bardzo wątpliwą wartości, a jako ogólna, bezwarunkowo nie ma prawa bytu.

Płodozmiany projektowane przez p. K. na gruntach mocnych: 1) Ugór nawożony, 2) pszenica, 3) koniczyna, 4) pszenica i jęczmień na kościach, 5) jęczmień i owies, 6) owies i nawóz, 7) pszenica, 8) jęczmień, 9) żyto, 10) owies; a na gruntach piaszczystych: 1) Ugór nawożony gliną i obornikiem, 2) żyto, 3) kartofle i owies, 4) owies, 5) łubin na ziarno, 6) żyto na nawozie, 7) żyto z łubinem, 8) żyto, 9) owies, 10) owies—płodozmiany powyższe, jak słusznie powiedzieli Wład. Lubomęski i J. S. Sikorski (Niwa, zes. 304 z r. 1887) nie pozwalają wierzyć, aby p. Korzybski trudnił się kiedykolwiek gospodarstwem rolnym. Nie wytrzymuje również krytyki ekstensywna hodowla zwierząt rolniczych, zalecana przez autora „Melioracyi rolnych”—żywienia ich tylko samą słomą i marchwią.

Słoma z powodu nadmiaru w niej bezazotowych tworów, a niedostatku białkowych, jest źle trawioną, jeżeli się nie dodaje do niej paszy obfitą w twory białkowe. Zwierzęta muszą jej zjadać ogromne ilości, aby z niej zaczerpały potrzebną ilość białkowych, konieczną do odnowienia tej części swojej krwi, która się przez życie zużywa. Tę samą wadę, choć w mniejszym stopniu, posiada i marchew. Najmniej  $\frac{1}{3}$  część słomy i marchwi można oszczędzić przez dodanie odpowiedniej ilości kuchów lub otrąb. Zwierzęta są wówczas mniej rozepchane i ciężkie, konie zdatniejsze do roboty, krowy dają więcej mleka, a młody przychówek lepiej rośnie. Autor liczy dla konia dziennie w czasie roboczym, 2 garnce owsa i 10 funtów siana—w zimie zaś radzi utrzymywać słomą i marchwią. Pierwsza recepta przy ciężkiej robocie, przepisuje za mało siana lub owsa, druga jest zupełnie chybioną. Dziękuję na wiosnę, w pierwsze parę tygodni robót, za konie, przezimowane słomą i marchwią!

Podobnych rad w „Melioracyach rolnych” spotyka się bardzo wiele. Ja wybrałem najważniejsze t. j. te, których zastosowanie nie tylko że nie zbałoby naszego rolnictwa, ale przeciwnie, naraziłoby je na niepowetowane straty.

W ogóle p. Korzybski napisaniem „Melioracyi rolnych” dał świadectwo, że dotąd nie jest ani teoretycznym, ani praktycznym rolnikiem. Pomiędzy ekstensywnym a intensywnym sposobem gospodarowania nie umie zachować granicy, a przesadna skłonność ku eksten-



zownemu kierunkowi, wywołana jest chwilową, jak to wyżej powie działem, urodzajnością gleby w Rudniku, oraz fałszywem pojęciem teorii Liebiga i Boussingolta o próchnicy. Kto w teoretycznej części „Melioracyi rolnych“ przytoczył tak wielu autorów a między tymi i mało zasłużonych, temu i prace profesora Grandaux nie powinny być obce, a z nich dowiedziałyby się, że próchnica jest mało użyteczna roślinom w braku mineralnych zasobów nawozowych, i na odwrót zasoby mineralne nie dosyć są dla roślin użyteczne w braku próchnicy.

Praca p. Korzybskiego, pomimo licznie rozsianych w niej błędów, ma jednak ustępy dodatnie, o których zamilczać byłoby niesprawiedliwością. Autor „Melioracyi rolnych“ rozumie to dobrze, że rachuba naszych rolników, na tradycyjalny eksport wyprodukowanego przez nich zboża, jest mylną, a racjonalną byłaby tylko wówczas, gdyby koszt produkcji naszego zboża pozwalał nam konkurować z cenami zboża napływającego do Europy z Ameryki, Indyi Wschodnich, Australii, Egiptu i t. p. Radzi przeto „starać się o zwiększenie dobrobytu mas narodowych, aby powiększyć ilość i wypłatność konsumentów“ — czyli innymi słowy, starać się o zbyt miejscowy. Rada w zasadzie bardzo dobra, w wykonaniu zaś przedstawia pewne trudności, których pokonanie nie zupełnie od nas zależy... Podnieść kulturę mas, przy bardzo sprzyjających okolicznościach i dobrze zastosowanych środkach, jest dotychczas kwestyą przyszłości, a nam chodzi o dziś; każdy jednak krok w tym kierunku uczyniony, przyszłość tę zbliża.

Rada 20 i 21 w § 58, gdzie mowa o stosunku chlebobawcy do robotnika, właściciela folwarku do sąsiednich włościan — jest wielce humanitarną i dążącą właśnie do owego podniesienia mas. Jeżeli autor „Melioracyi rolnych“ to, co pisze, przeprowadza w czyn, o czém nie mam powodu wątpić, zasługuje w zupełności na uznanie i życzyć mu tylko należy, aby znalazł jak najwięcej naśladowców.

Z kwestyą stopnia kultury mas, połączył p. K. system protekcyjnistowski i może za odważnie wypowiedział: „że w ogóle cła ochronne porównane być mogą do pasorzytów, oblegających młode organizmy, nie dając im się rozwinąć i wykształcić należycie, i takim sposobem w samym zarodku obezwładniając ich rozrost prawidłowy.“ O téj sprawie kilka słów pomówimy.

Konkurencya amerykańska jakkolwiek stała się u nas już faktem powszechnie znanym, bardzo jednak mało o niej wiemy. (Dzieło Meyera, traktujące o téj konkurencyi, nie jest dosyć spopularyzowaniem, to też nie dziwnego, że piszący o niej dopuszczają się błędów). Grozę téj konkurencyi przedstawia Meyer w następującem statystycznym zestawieniu: „W produkcji zboża w ciągu lat 10-ciu, t. j. od roku 1870 do 1880, produktywność pracy wzrosła o 44%, czyli prawie o połowę, dzięki zastosowaniu kultury intensywniej.“

Powszechnie mniemają u nas, że gospodarstwo amerykańskie rozwija się jedynie ekstenzywnie—cyfry jednak przekonywają inaczej,

choć i ekstenzywność odgrywa wielką rolę w rozwoju rolnictwa amerykańskiego. „W roku 1870 rolnictwo poświęcało się w Stanach Zjednoczonych 5,922,000 osób, a w roku 1880 już 7,670,000, czyli 1,748,000 osób więcej, t. j. wzrost wynosił prawie 30%. Przestrzeń ziemi zajęta pod uprawę, która w 1870 r. wynosiła 76½ milionów hektarów, w dziesięć lat później doszła już do 115½ milionów hektarów, czyli że wzrosła o 15%. Nie zapominajmy przytém, iż leżą jeszcze bez uprawy kilkakroć większe przestrzenie. Stany Zjednoczone zabijają coraz bardziej rolnictwo europejskie taniością produkcji, na którą to taniość składa się bardzo wiele czynników, a między innymi mniejsze daleko ciężary rolne. Gdy w roku 1870-m każdy rolnik płacił przeciętnie 17 dolarów, to w r. 1880 już tylko 13,2 dolara, a od tego czasu ciężary te jeszcze bardziej się zmniejszyły. Kanada również Europie grozić zaczyna. Teraźniejszy jej wywóz wynosi 7 milionów buszli, przy zajęciu pod uprawę ledwie miliona hektarów, a przecież ziemi rolnej jest tam 120 milionów hektarów. Indye Wschodnie, dzięki taniości robotnika i urodzajności gleby, zaczynają konkurować nawet z Ameryką.

Dodajmy do tego Amerykę Południową (w r. 1884 miała na wywóz zboża za 54,1 mil. marek), Algier (w tymże roku za 15 mil. marek), Australią (za 85,4 mil. marek, gdy w r. 1881 za 49,4 mil. marek) i t. p., a zobaczymy, że niebezpieczeństwo jest groźne tak, że bez przesady możemy zawołać: „periculum in mora!“ W obec tego nie ma się czemu dziwić, że państwa europejskie chwyciły się protekcyjizmu, choć z wyjątkiem Rosyi, Polski, Austrii i Rumunii, we wszystkich widzimy deficyt zbożowy. Dania do 1884 roku mogła jeszcze wywozić zboże, od tego zaś czasu i ona musi zakupywać brakujące za granicą.. Cóż za sprzeczność! Państwa europejskie potrzebują zboża obcego, a jednak stawiają mu przeszkody do przejścia granicy. Sprzeczność ta jednak jest tylko chwilową i doprowadzi w rezultacie do urzeczywistnienia planów Kaufmana, wyłożonych w pracy jego wyszłej w r. z. pod tytułem: „Der mitteleuropäische Zollverein für die gesamt. Staatswissenschaft.“ a projektujących związki celne, z których najwięcej nas obchodzący, bo tylko o ścianę, austriacko-niemiecki prawdopodobnie najwcześniej urzeczywistnionym zostanie.

Przechodząc do rozdziałów III-go i IV-go „Melioracyi rolnych“, w których mowa jest o osuszaniu gruntów za pomocą prawidłowej uprawy mechanicznej i o wykonaniu robót melioracyjnych,—przyznać musiny, że niezaprzeczenie należą one do najwięcej udatnych, choć również nie wolnych od błędów. Nie można np. żadną miarą zgodzić się na twierdzenie autora, że „pola uprawne muszą mieć koniecznie trzy spadki, z których jeden podłużny będzie równoległy do dwóch najbliższych przyległych zakłębnień gruntu, czyli smug i dwa spadki poprzeczne w kierunkach prostopadłych do tychże zakłębnień.“ Prawdopodobnie znajduje się taki stan rzeczy w Rudniku (czego okiem



ocenić nie mogłem), ale to bynajmniej nie dowodzi, by miał być ogólnym i nie jest też uim wcale.

Uogólnianie tego, co ma znaczenie lokalne, co uogólnić się nie da, jest dominującym błędem autora w całej jego pracy.

Ze kierunek orki, przegonów i rowów, doskonale jest zastosowany przez autora na jego majątku, miałem sposobność przekonać się o tém. Rudnik oglądałem w kilka godzin po deszczu, padającym przez pół dnia, a nawet w miejscowościach nadłącznych, zatém niskich, nigdzie stojącej wody nie zauważyłem. Zawdzięczać to należy umiejętnie uadanemu kierunkowi orki, rowów i przegonów, opartemu na dopełnionej uprzednio niwelacyi, t. j. na wynalezieniu takiego kierunku bruzd, przegonów i rowów, aby niemi zbytnia napływowa woda z łatwością ustąpić mogła.

Czy system, podany przez p. Korzybskiego, może zastąpić drenowanie, zwłaszcza na gliniastych łąkach i rolach mocno sapowatych — pozwałam sobie wątpić, pomimo że szan. autor, mówiąc „o zaletach podłużnej uprawy,“ przyznaje jej wyższość, a to mianowicie z tego powodu: „skoro wczesną wiosną dolne warstwy gruntu są jeszcze zamrznęte, woda napływająca z pół wyżej leżących, nie mogąc przesiąkać do rurek, musi w nadmiarze przesycać wcześniej odmarzającą wierzchnią warstwę,“ gdy tymczasem „system przewencyjny,“ przez autora proponowany, nie tylko zabezpiecza wierzchnią warstwę od „zamokżenia,“ ale nadto chroni od wypłukania z niej związków azotowych. Słusznie atoli uczynił autor, dodając następnie „zdaje się,“ że wyżej opisany sposób jest „pewniój działającym.“ Przyznaje bowiem dalej, „że drenowana rola tylko tak długo wilgocią przesycać się może, dopóki warstwa orna nie odmarznie do głębokości drenów.“ A ponieważ w téj porze przy niskiej zazwyczaj temperaturze i rola znajduje się w stanie martwym, zatém do czasu jej odmarznięcia i ogrzania — zbyteczna wilgoć ani ujemnie, ani dodatnio nie działa, a tym mniej zdolną jest wypłukać związki azotowe. Sam autor na str. 80 powiada: „Drenowanie pod innemi względami jest niezaprzeczenie korzystnym,“ a dalej „grunta drenowane prędzej odmarzają i ogrzewają się na wiosnę, wskutek prądów ciepłego powietrza przez sączki przechodzące“ (sic).

Przesadą również grzeszy stanowcze twierdzenie szan. autora, jakoby „prawdziwy postępek w kulturze możliwym był tylko przy osuszaniu sposobem przewencyjnej uprawy (str. 81), gdyż jedynie przy zachowaniu „bryłkowatej budowy,“ rola zadawalniająca plony wydać może; gdy bowiem skutkiem wiosennego „zamokżenia“ rola zlewa się na znacznej głębokości i prawidłową swą budowę zatracą, — zatém póki rolnik nie wystawi jej na działanie mrozu i nie przeprowadzi uprawy ugorowej, która jedynie „przymioty bryłkowatości“ przywrócić może, ślepo ufając metodzie „prewencyjnej,“ — w tym wypadku roli swój wcale orać i zasiewać nie powinien.

Rok bieżący dostarcza bardzo wiele wymownych przykładów

przeciwno jednostronnym wywodom autora. Zasad „podłużnej uprawy,“ czyli systemu „prewencyjnego przeciw zamakrzaniu,“ prawdopodobnie nikt dotąd w kraju nie wprowadził,—mimo to, ani obfite śniegi i powódzie wiosenne, ani długotrwała zimna i wilgotna pora, dzielnie pracując nad „zamokrzaniem i zatraceniem prawidłowej bryłkowej budowy,“ nie zdołały wstrzymać bujnej vegetacji, rozwiniętej po ustaleniu się ciepłej i przyjaznej pory, która zarówno bogate, jak uboższe grunta obfitym obdarzyła plonem. To dowodzi, że o ile umięjętna uprawa i wytworzona kultura w znacznej mierze łagodzi niekorzystne wpływy aury, o tyle w przyjaznych warunkach, nawet role „zamokrzona“ i mniej poprawna, czyli role ze „zniszczoną budową bryłkową“—zdolne są obudzić się do życia i do płodności.

W każdym razie system odwadniania roli, podany przez autora, czyli tak nazwana „podłużna uprawa,“ przedstawia pod pewnym względem nowość i zasługuje na szersze zastosowanie w praktyce, a główną jej zaletą jest niedopuszczanie, aby wilgoć zbierająca się w górnych warstwach, powiększała sobą wilgoć warstw niżej położonych. Pomimo nawet, że „podłużna uprawa“ nie może w zupełności zastąpić drenowania, to ze względu na olbrzymią różnicę kosztu każdego z tych dwóch sposobów odprowadzania wilgoci, a prawdopodobnie nie tak wielką stosunkowo różnicę w skutkach, z wyjątkiem gruntów o mocno nieprzepuszczalnym podłożu, a także gruntów bardzo płaskich, — uprawa podłużna, podana przez autora „Melioracji rolnych“ ma przyszłość przed sobą.

Sposoby utrzymywania rowów w ciągłym porządku, podane przez autora, brakowanie ścieków, odpływów i budowa mostków kamiennych,—słowem, cały rozdział IV „o wykonaniu robót melioracyjnych“ jest bez zarzutu. Rolnik, po zastosowaniu tego wszystkiego w praktyce (nb. nie przy skali kosztów przez p. K. podanych), niezawodną korzyść odniesie. Reasumując to wszystko, co się wyżej powiedziało, przechodzimy do wniosku, że p. Korzybski nie odpowiedział na pytanie, „w jaki sposób prowadzić gospodarstwo rolne, aby wyrównać niedoborom, powstałym na skutek obniżenia się cen ziarna?“ Trzeci jednak i czwarty rozdział jego rozprawy są ważnym przyczynkiem do melioracji rolnych.

Nadolna wo wrześniu 1887 r.

*Edmund Dobrzański.*

Pamiętnik warsz. Instytutu głuchoniemych i ociemniałych  
z r. 1885 na 1886. Rok XVII. Warsz. 1886.

Rocznik „Pamiętnika,“ którego tytuł podajemy w nagłówku, okazuje widoczny postęp w treści swój w porównaniu z dotychczas-



wemi. Jest to tom XVII-ty <sup>1)</sup>). Zestawienie (w t. XII-ym z r. 1881-go) artykułów z lat poprzednich ułatwia porównanie treści roczników poprzednich z rocznikiem ostatnim. Mamy więc najprzód w 2-ch tomach „metodę wykładu religii,“ rzecz dobrą; dalej w 3-ch tomach „całkowity kurs wykładu nauk głuchoniemych“ przez Brzeskiego, nauczyciela w Poznaniu. Metoda wykładu języka przez Szczygielskiego, stare notatki pośmiertne, w 2-ch tomach. Resztę zajmują sprawozdania Papłońskiego z podróży i historia Instytutu przez tegoż; dalej kilka jego rozpraw i odczytów ogólnej treści pedagogicznej. A w przedostatnim Pamiętniku (rok XVI-ty) są przeważnie panegiryki i życiorysy dobroczyńców zakładu, sprawozdania i t. d., ale ani śladu pracy naukowej.

W obec tego przedstawia się ostatni pamiętnik pod wielu względami o wiele lepiej. „Pamiętnik“ tego rodzaju, jako sprawozdanie roczne Instytutu głuchoniemych i ociemniałych, ma u nas szersze znaczenie i przeznaczenie, niż podobne „Jahresberichte“ w Niemczech. Tam jest 119 zakładów <sup>2)</sup>; pamiętniki więc są przeznaczone więcej na wspólną wymianę, dla wzajemnej kontroli i nauki, i dla władz przełożonych; publiczność mało lub wcale z nich nie korzysta. U nas przeciwnie, zakładów z językiem wykładowym polskim jest w ogóle 3, to jest: w Warszawie, we Lwowie i w Poznaniu. Zadaniem więc pamiętnika u nas powinno być, obok umieszczenia kroniki zakładu, statystycznych danych, sprawozdań rocznych z życia zakładu i programu nauk, także—jeżeli nie przedewszystkióm — pomieszczenie prac naukowych i artykułów, mających na celu i pouczanie nauczycieli młodych, poświęcających się zawodowi temu, i sprawozdanie z postępu nauki za granicą, i wreszcie objaśnianie publiczności oświeconej, szerszej: raz w celu jednania zakładowi dobroczyńców, a powtóre dla werbowania nowych sił nauczycielskich.

Jakże się z tego zadania wywiązał pamiętnik ostatni? Liczymy tu artykułów 20. Pomiędzy nimi są i naukowe, pouczające (jak np. nr. 3) i zajmujące niespecjalistów (np. nr. 6). Uderza nas mała stosunkowo liczba współpracowników; pars leonina, bo na 16-tu aż 6 numerów i to najważniejszych jest podpisanych przez Wład. Nowickiego.

Nim przystąpimy do szczegółów, czynimy tu uwagę, iż pragnęlibyśmy innego układu, czyli rozkładu tego wydawnictwa. Na pierwszym miejscu słusznie mogą być umieszczone nekrologi. Tu nr. 1-szy

<sup>1)</sup> Reconzyą tego rocznika pomieszczamy tém chętniej, że Bibl. dośó szczegółowo zajmowała się wydawnictwami Instytutu, tudzież rocznikami „Pamiętnika.“ Porów. Bibl. Warsz., 1872, t. II; 1875, t. II; 1877, t. I i in.

Przyp. Red.

<sup>2)</sup> Patrz: „Walthor Eduard, Geschichte des Taubstummen—Bildungswesens. Bischofeld u. Leipzig, 1882“ i „Organ der Taubstummen—Anstalten in Deutschland, 1887, nr. 1.“

„cześć jego pamięci“ (Papłońskiego), przez Wł. Nowickiego i nr. 2-gi ksiądz Karol Mosing (wspomnienie pośmiertne), przez E. Radziszewskiego. Ale dalej powinien iść nr. 6-ty „Postęp w nauczaniu głuchoniemych“, przez Wł. Nowickiego—jako najważniejszy, podający nam pogląd historyczny na naukę głuchoniemych i przedstawiający ostatni jej wyraz <sup>1)</sup>. Zastanowimy się więc przy tym artykule cokolwiek nad dzisiejszym stanem nauki głuchoniemych. Nauka głuchoniemych szuka dziś podstaw naukowych i stara się oprzeć na fizjologii i fonetyce, która znów ze swój strony na pierwszej się opiera. Jest to bardzo słusznie, ale niestety fonetyka jest dziś jeszcze stosunkowo bardzo nową nauką i bardzo sporną, a o ile zauważyliśmy, to matadorzy nauki głuchoniemych nie są nawet obznajomieni z nią dostatecznie. Opierają się oni przeważnie na Sieversie, który rzeczywiście do ostatnich czasów używał największej powagi; ale system jego został ostatecznie silnie zakwestyonowany przez innych, np. przez Brückego, Flodströma, a przedewszystkiém przez Hoffory'ego. Nauczyciele głuchoniemych nie mogą więc i nie powinni jeszcze budować swych metod na żadnym systemie fonetyki, ale zdaniem naszym powinni iść tymczasem drogą praktyki, jak tego wymaga pod innym względem sam Vatter <sup>2)</sup>.

Pod tym, jak i jeszcze pod innym względem, co później zobaczymy, bardzo ciekawem i słuszném jest to, co mówi Flodström w rozprawie swjej „Zur Lehre von den Consonanten“ (pomieszczonej w Bessenbergera Beiträge zur Kunde der indogermanischen Sprachen, VIII p. 1). „Na mowę—powiada on—z dwóch stron zapatrywać się można, raz jako słyszaną (vernommen), drugi raz jako na wydaną (hervorgebracht) czyli mówioną. Pierwszy przymiot jest bez wątpienia najważniejszy; bo gdybyśmy mowy za pomocą słuchu nie mogli uchwycić, ograniczone miałyby tylko znaczenie. Są wprawdzie osoby, które za pomocą samego uważania poruszeń warg i ust niekiedy dobrze rozumieją, co mówiący wyraża; ale przyznać trzeba, że gdyby człowiek był w ogólności wskazany na pojmowanie myśli drugich tylko za pomocą wzroku, byłaby mowa mimiczna o wiele praktyczniejszą. Jako słyszana składa się mowa z dźwięków (głosów), ale nie tylko z dźwięków samych, lecz także z bezdźwięcznych elementów, mających także swe znaczenie.”

Otóż ta uwaga, mająca nie tylko dla samych lingwistów swoje znaczenie, jest także ważną w nauczaniu głuchoniemych; a, o ile nam wiadomo, w metodach nauki głuchoniemych nie uwzględniano jej dotychczas.

Ostatecznym wyrazem dzisiejszego stanu nauki głuchoniemych są Roessler i Vatter. Różnica ich zasad jest nie wielka; pierwszego metoda jest więcej empiryczną, drugi jest więcej systematykiem.

<sup>1)</sup> Zdaniem naszym autor powinien go rozszerzyć i wydać w osobnej odbitce, ażeby szersze koła nim zainteresować.

<sup>2)</sup> Patrz Organ z bioż. roku Nr. 2.



Pierwszy zresztą nie jest tak radykalnym przeciwnikiem mowy mimicznej, jak Vatter <sup>1)</sup>. Vatter jednakże jest dzisiaj, powiedzieć można, najpierwszym przedstawicielem tak zwaną szkoły niemieckiej, tak jako pratyk jako też teoretyk; zawdzięcza to licznym pismom swoim na polu nauki głuchoniemych i redaktorstwu najważniejszego czasopisma „Organ der Taubstummen-Anstalten.”

To też Pamiętnik zawiera w przekładzie dwie rozprawki Vattera: Nr. 3 „Jakim sposobem nauczyć można głuchoniemego dobrze mówić?” i Nr. 4 „Uwagi dotyczące się nauki wymawiania wygłoszone na kongresie w Gmünd,” (prawdopodobnie na konferencyi, o której zresztą na str. 135—140 tegoż, rozbieranego przez nas Pamiętnika, jest mowa). Są to artykuły specjalne mające przeważnie tylko wartość i znaczenie dla samych nauczycieli. Nr. 5 „Nauczyciel, uganiający się za nadwyzwyczajnością, łatwo w błąd popaść może,” zainteresować zdolen szerszą publiczność; jest to tłumaczenie artykułu J. Heidsieka z czasopisma „Organ.” Z tytułu polskiego wnosić o treści nie można; zdawałoby się, że to jest ogólnopedagogiczny. Tymczasem rzecz ma się inaczej. Tytuł niemiecki brzmi „Wunder und Verirrungen auf dem Gebiete der Heilpädagogik.” Odpowiedniej byłoby więc przełożyć go ile możności dosłownie, np. cudowność i błędne tory na polu pedagogiki terapeutycznej (lub leczniczej). Ale w ogóle byłby tłumacz lepszym uczynił zamiast przekładu dać krótsze streszczenie i historią sporu, o który w artykule chodzi, tym bardziej, że niejasność jaka już w oryginale (zwłaszcza w pierwszej części) panuje, przez nieudolne tłumaczenie znacznie powiększoną została. Chodzi w tym artykule o rezultaty, jakie niektóre zakłady rzekomo z głuchoniemymi osiągać mają, a którym autor zaprzecza. W dalszym ciągu przemawia autor za tym, aby głuchoniemych nie pozbawiać mowy mimicznej. Spór ten trwa do ostatnich czasów i jest bardzo gorący. Nam zdaje się, że tu jak często aurea via media est. Vatter ma słuszność mówiąc w Nr. 2 Organu z roku bieżącego, że „spór, czy głuchoniemego można doprowadzić do myślenia mową głosową, i do wyrażania w niej poprawnego swych myśli, lub też czy potrzebuje zawsze mimiki, powinien być rozstrzygnięty na podstawie praktyki.” Stuszenie, ale już dziś zwrócić uwagę możemy z jednej strony na to, co Flodström powiedział o mowie (powyżej), a z drugiej na to, że głuchoniemi nie tylko pomiędzy sobą obcować mają i muszą, ale i z pełnozmysłowymi, obcymi, którzy mowy mimicznej uczyć się nie mogą. Jeżeli więc do rezultatów tak świetnych, a jak w niektórych razach wyjątkowych, przecięciowo dojść nie będzie można nigdy, nie idzie zatem, aby głuchoniemi nie mieli uczyć się mowy głosowej. Za daleko jednak idą ci, którzy mowę mimiczną chcieliby zupełnie znieść. To się nie da uskutecznić.

O Nr. 6-ym wspomnieliśmy już wyżej, iż pragnęlibyśmy widzieć go rozszerzonym i w oddzielnej odbitce. Następuje Nr. 7 „Zasady

<sup>1)</sup> Vide: Walther, Gesch. p. 384.

i zakres kształcenia głuchoniemych," jest to wyjątek z dzieła niemieckiego Walthera, historia kształcenia głuchoniemych, tłómaczony p. Wł. Nowickiego i dający poznać dzisiejsze wymagania szkoły niemieckiej. Tłómacz dodał tu sporo dopisków, dotyczących zastosowania wymagań szkoły niemieckiej do instytutu warszawskiego. Dopoknia zaś tego artykuł pana Nowickiego Nr. 12 „Sprawy głuchoniemych, poruszone na ostatnich konferencyach i kongresach nauczycielskich w Niemczech, Szwajcaryi i Francyi.” Więcej samych specjalistów i nauczycieli zajmują następujące trzy artykuły Nr. 8 „Zalety systemu rotacyjnego w szkole głuchoniemych” przez A. Rakowskiego; nie śmiemy rozstrzygać téj kwestyi, czy panowie przełożeni, którzy są za systemem anty-rotacyjnym (coroczną zmianą nauczycieli), czy téż nauczyciele, którzy są za systemem rotacyjnym, mają słuszość. Dałoby się tu powiedzieć niejedno pro i contra; praktyka musi to rozstrzygnąć. Następuje Nr. 9 „Głuchoniemy przed sądem” i Nr. 10 „Amaurograf,” przyrząd do pisania dla słabo-widzących. Obydwa przez E. Radziszewskiego.

Artykuł W. Nowickiego Nr. 11 „O potrzebie zastosowania nauki zręczności (slójdju) w kształceniu głuchoniemych,” jest na czasie a że projekt p. N. jest dobrym, widzimy w jednym z ostatnich numerów tegorocznych „Organu“ (Nr. 6, czerwiec). Czytamy tam, że i we Francyi żądają, ażeby w miejsce nauki rękodzielniczej zaprowadzono naukę zręczności podług systemu szwedzkiego. W *Revue internationale* ogłosił p. Goguillot, profesor instytutu narodowego w Paryżu, obszerną o tém pracę.

Nr. 13 „Sławni ociemniałi,” przez F. Witkowskiego jest ciekawy; nie odróżnił tu przecież autor ociemniałych od urodzenia, od ociemniałych w późniejszym wieku. Pomiął wreszcie z pomiędzy naszych zacnego ks. Fr. X. Malinowskiego, znanego lingwistę.

Ważnych może dostarczyć wskazówek „Bibliografia,” zestawiona przez Wł. Nowickiego. Zreferowano tu przeszło pięćdziesiąt dzieł, podręczników, rozpraw i sprawozdań różnych zakładów naukowych z ostatnich lat trzech. Bibliografia ta przecież nie jest pełna i słabo przedstawia się w niej tyflopädagogika t. j. dzieł ociemniałych. Mało téż krytyk uwzględnił czasopisma specjalne, zwłaszcza francuzkie, jak *Revue française*, *Revue internationale de l'enseignement des sourds-muets*, *Le sourdophone*.

Następują artykuły, które nas mniej zajmują (Nr. 15—17): projektowane (i zaniechane, niestety) zakłady w Uwielinach, Rozmaitości, Kronika. Na tém kończy się część I Pamiętnika.

Druga część zawiera sprawozdanie z części wychowawczo-naukowej i sprawozdanie z części ekonomicznej, oraz wykaz legatów, pożyzionych przez osoby prywatne na korzyść Warszawskiego Instytutu Głuchoniemych i Ociemniałych, od początku jego istnienia.

Z téj części zaznaczamy najprzód tylko, że w roku szkolnym 1885 na 1886 było głuchoniemych chłopców 150, dziewcząt 96, razem



246; ociemniałych chłopców 28, dziewcząt 15, razem 43. Ogółem było chłopców 178, dziewcząt 111; razem głuchoniemych i ociemniałych 289. Ciekawych bliższych szczegółów odsyłamy do Pamiętnika samego.

Chodzi teraz o to, jak się przedstawia nauka głuchoniemych w zakładzie warszawskim? Mamy tu kilka pod tym względem pytań do stawienia.

Postulaty szkoły niemieckiej, zakres i zasady kształcenia głuchoniemych, jakie ona sobie stawia, są znane, gdyż kilkakrotnie o nich w Pamiętniku jest mowa (str. 85 i t. d., 132 i t. d.). Szkoła niemiecka, której zasady są dziś wszędzie i po za granicami Niemiec akceptowane, stawia sobie głównie za zadanie nauczyć głuchoniemych dobrze mówić, używać mowy potocznej nie tylko w obejściu z pełnozmysłowymi, ale i pomiędzy sobą; a co do wykształcenia, to stawia sobie za cel, dać elewom takie, jakie jest zadaniem szkoły elementarnej. Różnica pomiędzy różnaitymi zakładami i teoretykami zachodzi tylko co do metody. W ostatnim czasie, na kongresach i w pismach, położono także w Niemczech wielki nacisk na gimnastykę, która u głuchoniemych daleko ważniejszym jest czynnikiem wychowawczym niż u pełnozmysłowych. Jakżeż w obec tego przedstawia się zakład warszawski? Czy mowa potoczna jest tak uwzględniana i rozwinięta, jak tego wymaga dzisiejsza szkoła niemiecka? Czy gimnastyka jest dostatecznie pielęgnowana? Tém więcej mamy prawo pytać się o to, że w Pamiętniku po kilkakrotnie, jakżeśmy o tém wspominali, o tych kwestyach jest mowa,— a ze sprawozdania z części wychowawczo-naukowej nie można o tém powziąć miary. Przeciwnie, z wszystkiego zdaje się wynikać, że praktyka tu pozostaje daleko po za teorią. Program za wiele daje, zwłaszcza w klasach wyższych jest za szeroki, ma za wielką liczbę przedmiotów, np. w klasie VI. Oprócz religii, nauki języka, geografii, w dość szerokim zakresie, wiadomość z zoologii, botaniki i mineralogii, całkowitego kursu historii średnich wieków i nowożytniej,— są jeszcze wiadomości z fizyki, geometryi i higieny i stosunki społeczne. Porównując materyał z materyałem szkoły niemieckiej (na str. 86) wypadłoby przypuścić, że instytut co do zakresu wyprzedza nawet wymagania dzisiejszej szkoły niemieckiej; a więcéj jeszcze w porównaniu ze zbiorowym programem nauczycieli głuchoniemych, pomieszczonym w „Orgau“ 1885 i 1886 (porównaj Pamiętnik str. 159).

Jeżeli jeszcze weźmiemy pod uwagę, że w zakładzie warszawskim jest tylko kurs sześcioletni, a w Niemczech już w więkšej części kurs ośmioletni, i taki wszędzie wymagany,— to niepodobna przypuścić, aby w rzeczywistości można osiągnąć to, co w programie Pamiętnika jest wyrażone lub téż, wykonać to można kosztem języka potocznego. A jeżeli téj równowagi nie ma, to program ten ograniczyć wypadnie do luźnych encyklopedycznych wiadomości, nie przynoszących uczniom korzyści.

Dowiadujemy się (str. 65), że Rada Pedagogiczna pracuje nad ułożeniem programów nowych w duchu najnowszych wymagań; nie wątpimy tedy, że w Pamiętniku są zamieszczone prace, świadczące o znajomości obecnego stanu nauki, nie wątpimy, że wyżej wymienione wymagania (przedewszystkiem téż gimnastyka) wejdą do planu i w wykonanie. Tak samo pocieszającą byłoby rzeczą, gdyby projekt p. Nowickiego co do zaprowadzenia slójdju wszedł niebawem w życie. Instytut warsz. jest w tém szczęśliwém położeniu, że posiada znaczną liczbę warsztatów, czego mu inne zazdrościć mogą. Sądząc z ładnych wprowadzie, ale zbyt prostych wyrobów, okazywanych w czasie popisu, przychodzimy do wniosku, że instytut daje początki, chociaż tylko początki, wykształcenia rzemieślniczego. Nie wiemy tóż, czy jest zadaniem zakładu wychowywać elewów na skończonych rzemieślników. W każdym razie, o ile sędzić możemy z programu nauk rzemieślniczych (str. XLIV), wypadałoby mu życzyć więcej systematyczności, a także zaprowadzenia slójdju dla młodszych dzieci.

Co do ociemniałych, program umysłowego wykształcenia jest umiarkowany i idzie w parze z muzyczném. W jednym i drugim widzimy właściwą miarę, a co więcej, tak z tego programu (str. LXXV—LXXXIV), jak i z ustępów, wykonanych przez ociemniałych na popisie, widać, że nie chodzi tu tylko o muzykę zarobkową, ale że i wyższa muzyka jest uwzględniana, która, jeżeli nie wyrobi z ociemniałego artysty, to wykształci go estetycznie.

W ogólności widzimy, że Zakład warszawski w tak trudném zadaniu — kształcenia nieszczęśliwych ułomnych — nie ustaje, że pracuje z całym szlachetnym poświęceniem. Braki i niedostatki, tu i owdzie wykazane, nie czynią mu żadnej ujmę. Słusznie publiczność otacza go swą opieką i pragnęlibyśmy, aby nasza ocena działalności instytutu przysporzyła mu jaknajliczniejszych przyjaciół.

W końcu jeszcze jedno pytanie? Dla czego w Pamiętniku nie widać żadnej łączności z innymi zakładami, mianowicie z Poznańskim i Lwowskim? czy redakcja Pamiętnika nie mogłaby zjednać więcej współpracowników, w ogólności jeszcze więcej ożywić go i rozszerzyć?

*Dr. Wł. Wicherkiewicz.*

„Grzybki chorobotwórcze.“ Napisał Maryan Jakowski. Wydawnictwo „Gazety lekarskiej.“ Warsz. 1887.

Na tle naszego życia umysłowego, ginącego prawie zupełnie w literaturze nadobnej i dziennikarskiej, pojawienie się oryginalnej książki naukowej jest wypadkiem rzadkim. Gdy w bellestryce i sztukach pięknych dorównujemy produkcjom cywilizowanej Europy, w naukach ścisłych karmimy się okruchami cywilizacji Zachodu. Każ-



da więc oryginalna polska praca naukowa zasługuje nawet w piśmie niespecyjalnem na troskliwą uwagę. Taka wzmianka jest często jedynem wynagrodzeniem dla autora, jedyną zachętą do przyszłych badań i poszukiwań!

„Bakterye“ były przez pewien czas bardzo u nas w modzie, były przedmiotem rozmów nawet salonowych. Zajmowano się wszędzie bardzo głośno odkryciami Pasteur'a, badaniami Kocha, odkrywającego istotną przyczynę cholery, suchot płucnych i wielu innych plag ludzkości; dla tego też książka d-ra Jakowskiego, rozbiegająca kwestyą o grzybkach, jako przyczynach wielu chorób zakaźnych, następcza każdemu możność dokładnego poznania owych drobnych tworów, czychających na nasze zdrowie i życie!

Bakteryologia, nauka traktująca o owych mikroorganizmach, jest wytworem ostatnich czasów, jest beniaminkiem medycyny. Jakkolwiek Henle już w 1840 roku na drodze samej dedukcyi przyszedł do wniosku, że przyczyną wielu chorób muszą być drobnoustroje, to jednak z twierdzeniami tego uczonego, nie zawsze popartymi przez badania drobnowidzowe i doświadczalne, nauka mało się rachowała. Właściwa bakteryologia, jako nauka, zaczyna się od czasów Pasteur'a, który przez badania swoje położył podwalinę do wiekopomnych odkryć Kocha. Ten ostatni opisał dokładnie budowę, historią rozwoju i działanie chorobotwórcze lasecznika czarnej krosty (karbunku), suchot płucnych i cholery azjatyckiej, to też jego dokładnym badaniem zawdzięczamy tę wiadomość, iż laseczniki, a nie inne twory są wzmiankowanych chorób jedyną przyczyną (*causa efficiens*).

Do rzędu chorób, wywołanych z wszelką pewnością przez grzybki chorobotwórcze, należą: czarna krosta (karbunkuł), suchoty płucne, cholera indyjska, tyfus, gorączka powrotna, trąd, nosacizna, rzeżączka cewki moczowej czyli tak zwany tryper, zapalenie płuc, zapalenie szpiku kostnego i róża.

Powstawanie tego całego szeregu chorób zakaźnych wskutek przenikania do ustroju owych mikroorganizmów, dowiedzionem zostało za pomocą ściśle naukowych metod, t. j. drobnowidzowego badania tkanek, sztucznego wyhodowania czystego zarazka i wywołania téjże samej choroby przez zaszczepienie śladu na czystej hodowli. Widzimy więc z tego, że obecne badania skierowane były przedewszystkiém do jednego punktu, a mianowicie: pragnęły okazać i udowodnić pasywności natury całego szeregu chorób.

Bakteryologia przyczyniła się już nie mało do wyświeślenia wielu ciemnych punktów medycyny a zwłaszcza higieny. Jeżeli np. wiemy dokładnie, iż w wypróżnieniach chorych na tyfus, znajdują się laseczniki tyfusu brzuszego, jasną jest rzeczą, iż dezynfekcyja tych wypróżnień za pomocą sublimatu lub kwasu karbolowego, jest rzeczą pierwszorzędną wagi. Jeżeli wiemy, że w wypróżnieniach cholearycznych znajdują się zawsze laseczniki przecinkowe, to wykrycie tych laseczników w pierwszych przypadkach cholery, da nam pewnoś,

iz mamy do czynienia z cholera indyjską i skłoni do przedsięwzięcia odpowiednich środków ostrożności. Jeżeli badanie fizykalne płuc nie wyświetli nam dostatecznie, czy w danym razie mamy do czynienia z suchotami płucnymi, to wykrycie lasecznika gruźliczego w płwocinie nada absolutną pewność naszemu rozpoznaniu.

Z tych przykładów pojąć łatwo, jaką doniosłość ma dla lekarza bakteriologia; nauka o przyczynowości chorób (etyologia) zyskała dopiero przez nią trwałe podstawy.

Wiemy więc obecnie dobrze, iż organizm nasz przez całe życie zmuszony jest walczyć z owymi mikroorganizmami, żądnymi jego części składowych; wiemy doskonale, iż organizacje słabe, przez niehygieniczne życie nadwątlone, ulegają łatwo bakterjom i podpadają jednej z chorób zakaźnych. Chcąc więc być zwyciężcą w walce z mikroorganizmami, należy najprzód starać się o energią i prawidłowość wszelkich funkcji żywotnych. Dopiero jakiś czynnik, naruszający równowagę w funkcjach żywotnych, jak np. przeziębienie, ułatwi walkę owym drobnym twórcom z naszym organizmem, z której one zwyciężcami wychodzą. Łatwo pojąć, że i metoda nowszej sztuki lekarskiej jest przedewszystkiēn higieniczną, t. j. chodzi nam głównie o to, aby wzmocnić organizm, aby uczynić go wytrzymalszym na ataki owych wicherzycieli zdrowia. Czyste, nie zawierające mikrobów powietrze, dobre pożywienie, leczenie umiarkowane wodą, obok środków wzmacniających, stanowią podstawę sztuki lekarskiej, są drogowskazem dla higieny.

Co do działalności bakterji w ustroju zwierzęcym, to wiadomości nasze pod tym względem są jeszcze niedokładne. Wiemy tylko, że niektóre bakterje, rozmnażając się nadzwyczaj szybko we krwi, odbierają jej tlen i mogą spowodować zatkanie światła naczyń krwionośnych. Według zdania wielu badaczy, mikroby tworzą produkty rozkładowe, zgubnie oddziaływające na układ nerwowy, na mięśnie i na serce. Niektóre, zagrażające życiu, jak gorączka, upadek działalności (?) serca, objawy mózgowo, należy odnieść do chemicznego działania produktów wydzielinowych, wytworzonych przez bakterje.

Książka d-ra Jakowskiego napisana jest jasno i przystępnie; niektóre rozdziały jak np. rozdział 2-gi o lasecznikach gruźliczych, czyta się z nadzwyczajnym zajęciem. Nadmieniamy, że autor pierwszy widział laseczniki gruźlicze w płynie nasiennym. Język autora przedstawia pewne usterki, które tłumaczy wprawdzie nauka szkolna w języku obcym; ale krytyka naukowa i literacka nie może pokryć milczeniem tego zaniedbania jednego z najświętszych obowiązków pisarza polskiego.



## KRONIKA MIESIĘCZNA.

---

Ogólny rzut oka na sytuacją europejską.—Przepisy o egzaminach konkursowych studentów, pragnących otrzymać stypondyum w uniwersytecie Warszawskim. — Posiedzenie Wydziału matematyczno-przyrodniczego Akad. umiej. w Krakowie z dn. 20 października r. b.—Doroczno posiedzenie sprawozdawcze Zakładu im. Ossolińskich we Lwowie. — Kongres międzynarodowy literacki w Madrycie.—Z dziedziny sztuki: Nowy obraz Siemiradzkiego („Chopin, grający na fortepianie u ks. Radziwiłła“) na wystawie Akademii sztuk pięknych w Berlinie. — Z ruchu ekonomicznego: a) W sprawie Banku ziemskiego w Poznaniu; b) Urzędowe wiadomości statystyczne o zagranicznym handlu zbożowym za pierwsze półrocze r. b. według sprawozdania ministra finansów; c) Tabela przyszłej kampanii zbożowej, ogłoszona przez ministerstwo Austro-Węgierakie co do produkcji i konsumpcji pszenicy na rynku wszechświatowym; d) Wpływ ujemny niemieckiego oła zbożowego na ceny produktów rolnych w Niemczech; e) Sprawozdanie Warszawskiego Towarzystwa Oczyszczenia i Sprzedaży spirytusu za pierwsze półrocze r. b.; f) Sprawa taryfy celnej w Warszawskim Towarzystwie popierania przemysłu i handlu.—Ruch Ludności w Królestwie Polskim od 1816—1886-go.—† Dr. Robert Gustaw Kirchhoff, zasłużony badacz na polu fizyki.

Wśród zbrojnego pokoju, pod którego dolegliwościami od kilku już lat ugina się społeczność europejska, można było dostrzedz w miesiącu ubiegłym zjawisko, zakrawające na namidło chwilowego złożenia broni. Prąd ten przenikał tak dalece atmosferę polityczną, że ani polowania niemieckie na francuzów w pasie granicznym, rozdzielającym Rzeczpospolitą francuzką od cesarstwa Niemieckiego, ani wybory bułgarskie i towarzyszące im deklamacje panslawistów na temat gromadnego „rzeszenia się“ Słowian zachodnich i wschodnich — nie potrafiły zaalarmować publicystyki europejskiej. Zastugę stworzenia tak pokojowej fizyognomii Europy przypisuje poważna prasa przedewszystkiem Włochom, a mianowicie podróży ministra Crispi'go do ks. Bismarcka we Fridrichsruhe, ujawniającej wejście Włoch—w miejsce Rosyi—do związku środkowo-europejskiego, pragnącego strzedz pokoju powszechnego tak długo, dopóki okoliczności tym stróżom pokoju nie

ułatwią dzieła złupienia i wytepienia sąsiada. Na tém szarém tle dziczyny europejskiej odzywają się chrapliwe głosy antagonizmu podejrzliwych, bo winnych Niemiec i Rosyi, oburzonej zwodniczą przyjaźnią sąsiada, a ostentacyjnie aplaudowanej przez zaszarganych republikanów w Paryżu. Antagonizm ten wzniosł się aż do tego stopnia, że prasa gadzinowa pruska wywiesiła nawet widmo wskrzeszonej Polski bez Wielkopolski i prowincyi nadbałtyckich aż po morze Czarne, na co odpowiedziano z drugiej strony dosyć groźnie, wskazując łupieżcom słowian granice Słowiańszczyzny aż po Elbę. Tymczasem spieszą się władze administracyjne ze swoją robotą ex-terminacyjną, aby w chwili wskrzeszenia téj „abstrakcyjnej“ Polski nie było już ludzi mówiących po polsku. Usuwa się naukę języka polskiego ze szkół ludowej i wypędza się uczniów ze szkół za czytanie książek polskich! Wszystkie wyniki ztąd niedobory ma z wielkim zyskiem pokryć i znakomicie powetować wskrzeszona i oswobodzona z ucisku „narodowość chłopska!“ Opinia publiczna w Niemczech zajmuje się nie tyle groźbą wskrzeszonej Polski, ile raczej zdrowiem następcy tronu niemieckiego, które pozostawia wiele do życzenia.

We Francyi, zatrudnionej brudnemi skandalikami, występuje możliwość jednego z tych przewrotów krańcowych a gwałtownych, w których Rzeczpospolita po dwakroć już w wieku naszym ginęła. Nie twierdzimy, żeby kongres orleanistów w Dortrecht zagrażał bezpośrednio Rzpltej, ale pozostanie on zawsze poważnem ostrzeżeniem dla doktrynerów republikanizmu w kraju tak wielkim jak Francya.

Stanowisko gabinetu Salisburego, zachwiane w wysokim stopniu przez niefortunną politykę torysów w Irlandyi, która kompromitując rząd na każdym kroku, nie wzmocni się tak bardzo przez doprowadzenie do skutku porozumienia z Francją w sprawie zneutralizowania kanału Suezkiego, żeby powrót Gladstona do władzy w czasie jak najkrótszym nie miał być możliwym.

Austria, pocieszona zmniejszającym się deficytem w administracyi skarbowej, jak to wykazali w mowach swoich ministrowie przy zapowiedzi przedstawionego parlamentom budżetu, biedzi się z kłopotem wewnętrznym, spowodowanym przez ministra Gautscha, który zniósł kilka szkół średnich w Czechach. Sprawa ta rozbudziła na nowo tłumiony oddawna antagonizm t. zw. Młodo-Czechów z Czechami starymi,—antagonizm, który przerzuca się lekkomyślnie nawet poza granicę Czech i turbuje racjonalny rozwój indywidualności narodowej reszty plemion słowiańskich.

Grożąca Europie kwestya marokkańska nie dojrzała jeszcze tak dalece, aby mogła dorównać kwestyi bułgarskiej pod względem antagonizmu państw europejskich.



Przepisy o stypendyach dla studentów uniwersytetów, ogłoszone w „Gońcu Urzędowym,” opiewają: Wszystkie stypendya, równie rządowe jak i prywatne, oddane do rozporządzenia uniwersytetu, mają być przyznawane tylko na podstawie następujących przepisów. Każdy student, starający się po raz pierwszy o stypendyum, powinien wnieść do inspektora uniwersytetu podanie najpóźniej 13 września, przy załączeniu świadectwa ubóstwa. Inspektor, po otrzymaniu prośby zbiera potrzebne wiadomości o studencie i przedstawia fakultetowi listę starających się o stypendya, wraz z dowodami i zebranymi wiadomościami. Fakultety poddają kandydatów szczególnemu nadzorowi profesorów, na których lekcye kandydaci się zapisali. Kandydaci obowiązani są przedstawić się osobiście odpowiednim profesorom w godzinach, wyznaczonych na udzielanie rad. Inspekcya zaś rozczyga nad kandydatami stypendyów nadzór co do ich sprawowania. W końcu dziekan osobiście zaznajamia się z kandydatem i w ciągu każdego półrocza komunikuje fakultetowi o nim wszystkie wiadomości. Fakultet 13 kwietnia postanawia, kto ma być dopuszczony do egzaminu konkurencyjnego. Egzamin składa się ze specjalnych prac naukowych, wyznaczonych przez fakultet—na wydziale lekarskim praktycznych, a na innych piśmiennych—oraz ze specjalnych egzaminów ustnych. Po egzaminach dziekan łącznie z całym fakultetem sporządza listę kandydatów porządkiem stopnia kwalifikacyi, opartego na następujących danych: *a*) stopień uzdolnienia, *b*) liczba ukończonych półroczy, *c*) znajomość nowszych języków obcych, *d*) jakość i ilość przestudyowanych w domu autorów i źródeł naukowych, *e*) dokładność notowania i poprawiania słyszanych w uniwersytecie lekcyi, *f*) akuratne wypełnianie obowiązków studenta. Stypendyum przyznaje ostatecznie kurator okręgu naukowego tylko na pół roku. Przedłużenie stypendyów na dalsze półrocza zależeć będzie od opinii inspekcji co do sprawowania się stypendysty, które musi być pod każdym względem bez zarzutu, oraz od postępów w naukach, do których oceny wymagane będzie przedstawienie notatek z lekcyi i jaknajlepszy rezultat egzaminów półrocznych. W razie braku wolnych stypendyów, zasługujący na nie mogą otrzymać na przedstawienie władz uniwersyteckich zasiłki do 15 rubli miesięcznie z funduszków specjalnych, o ile te będą w rękach kuratora.

W Akademii umiejętności odbyło się d. 20 października posiedzenie wydziału matematyczno-przyrodniczego. Przewodniczący, prof. Teichman, dyrektor wydziału, przypomniał bolesną stratę, jaką poniósł wydział przez śmierć swego długoletniego sekretarza, d-ra St. Kuczyńskiego, którego pamięć uczcili obecni przez powstanie i przedstawił wydziałowi nowego sekretarza w osobie prof. Edwarda Janczewskiego. Sekretarz przedstawił wspólnie z prof. Rostafińskim rozprawę d-ra J. Szyszłowicza: „Polypetalae disciflorae Rehmmanianae.“ Prof. Szajnocha streścił rozprawę swego ucznia, pana Tondery: „Flora

kopalna pokładów węglowych okręgu krakowskiego” i przedstawił okazy roślin skamieniałych ztamąd pochodzące. Prof. Czyrniański zdał sprawę z pracy p. Kostaneckiego: „Synteza  $\beta$ -orcyny.“ W dalszym ciągu odbyło się posiedzenie administracyjne, na którym rozprawy pp. Kostaneckiego i Szyszłowicza odesłano do komitetu wydawniczego, rozprawę p. Tondery oddano dwom członkom Akademii do opinii, a rozprawę p. Pełczyńskiego postanowiono odesłać autorowi jako niekwalifikującą się do pism Akademii.

W dniu 13 paźdz. odbyło się we Lwowie walne posiedzenie zakładu imienia Ossolińskich, na którym prof. Antoni Małecki wyjaśnił stosunki majątkowe zakładu i wspomniał o dewastacji majątku, zostającego pod odrębnym zupełnie zarządem kuratora ekonomicznego. Zakład posiada bowiem dwie kuratorye; jedną literacką, drugą ekonomiczną, zupełnie od siebie niezależne. Kuratorya literacka, zaniepokojona nieładem i gospodarką zarządu administracyjnego i stojąc na straży zabezpieczonego sobie przez założyciela legatu w kwocie 7,000 złr. rocznie, zwróciła na nią uwagę wydziału krajowego, który wydelegował komisją dla zbadania sprawy. Komisya znalazła administracyą majątkową w bardzo smutnym stanie i losy kuratoryi ekonomicznej rozstrzygną się niebawem, bo dnia 25-go listopada przed najwyższym trybunałem w Wiedniu. Po przemówieniu d-ra Małeckiego, skryptor biblioteki, p. Bronisław Czarnik, odczytał sprawozdanie zarządu bibliotecznego za rok ubiegły, a p. Władysław Bełza, nieznaną epopeę z XV-go wieku, odnalezioną w manuskrypcie przez dyrektora zakładu, d-ra Wojciecha Kętrzyńskiego.

Dziesiąty międzynarodowy kongres literacki, odbywał swe posiedzenie roczne od dnia 8 b. m. do 15 paźdz. w Madrycie. Rozbierało kwestye następujące: 1) Jednolite uporządkowanie i czas trwania literackiej własności dla wszystkich krajów. 2) Zgodne uregulowanie praw przekładów i reprodukcji. 3) Czy publiczne odczytanie dzieła literackiego lub przedstawienie sztuki teatralnej zależy od pozwolenia autora? 4) Czy dzieła architektury mają zażywać téj saméj opieki, z jakiej korzystają dzieła literatury? 5) O prawie robienia wyciągów z dzieł literatury i o prawie krytyki. 6) O rozszerzeniu opieki prawnej nad autorami w obec scen teatralnych. 7) Cervantes i jego wpływ na literaturę innych narodów. 8) Mianowanie komitetu honorowego i wykonawczego. 9) Różne wnioski drobniejsze.

„Krótco przed zamknięciem wystawy Akademii sztuk pięknych w Berlinie nadszedł tam nowy obraz Siemiradzkiego. Obraz jest znacznych rozmiarów, bo około 2 metrów długości a przeszło metr szerokości mający, przedstawia Chopina, grającego na fortepianie u księcia Antoniego Radziwiłła, którego młody artysta w przejeździe przez Berlin odwiedził. „Kuryer Poznański” podaje o dziele tém następującą szcze-



gółową relacją. Oboszerny salon umeblowany w stylu cesarstwa, oświetlony światłem jarzącym, którego ciemno-złote promienie, padając z niewidzialnego świecznika na kobierzec, łagodzą jego nieco jaskrawe barwy. Z prawego saloniku z czerwonym obiciem przez drzwi otwarte przebija jaskrawe światło, które z pierwszemu stanowiąc przewi kontrast, działa efektownie. Ku lewej stronie salonu, przy nieco ukośnie ustawionym fortepianie, siedzi Chopin, dwudziestoletni młodzieniec, o wysmukłej postaci i pięknym profilu i zachwyca grą swoją otaczających go słuchaczy. Ku prawej od niego w środku salonu siedzi w fotelu piękny mężczyzna o siwych włosach, klasycznych rysach, twarzy niezmiernie sympatycznej. Jestto pan domu, ksiązę Antoni Radziwiłł. Za nim stoi urocza dziewczica w białej sukni z przypiętą białą różą, drugą trzymając w pięknej rączce, cała zachwycona piękną grą Chopina; za nią jej siostra Wanda, późniejsza żona księcia Adama Czartoryskiego z Rokosowa. Na prawo od tej grupy siedzi sędziwy Aleks. Humboldt, a obok niego dostojna pani domu. Osoby wymienione są portretami, reszta osób traktowana więcej szkicowo, służyć ma do uzupełnienia obrazu. Na wszystkich twarzach maluje się głębokie wrażenie, jakie młody artysta grą swoją wywołał—wszyscy zachwyceni są jego cudowną muzyką. Piękny ten utwór wabi do siebie licznych widzów nie tylko zaletami artystycznymi, ale i sympatyczną treścią i wiernym przypomnieniem czasu, z którego epizod ten z życia Chopina wzięty. Pisma niemieckie z wielkim uznaniem wyrażają się o tém, podnosząc wielostronność talentu twórcy. Obraz jest prywatną własnością i został wykonany na zamówienie. Zobaczymy go niebawem na wystawie w Warszawie.

Rozbierana na I-ym Zjeździe prawników i ekonomistów polskich w Krakowie sprawa „Banku ziemskiego w Poznaniu“ (zob. zesz. za mies. październik r. b.) postąpiła o tyle, że po przeprowadzeniu dyskusji co do zasad wzięcia udziału w tej instytucji, utworzył się w Krakowie dnia 18 września odpowiedni komitet, który rozpoczął czynności swe od wydania odezwy do dwustu przeszło osób, bardziej znanych w łonie obywatelstwa miast i wsi. Odezwa ta, wyłuszczając cel podjętej działalności, zaprasza obywateli na wspólną naradę, która w Galicyi Wschodniej odbyła się już we Lwowie d. 6 paźdz. a dla Zachodniej w Krakowie d. 8 paźdz. W naradzie lwowskiej uczestniczyło trzydzieści kilka osób, pomiędzy nimi Jerzy Czartoryski i Artur Potocki; przewodniczył Adam Sapieha. Postanowiono dużo, zapisano mnóstwo, wypłacano—oczywiście—jeszcze mniej. Granicą do której zapisy dojść powinny, jest 1,200,000 marek. Zaraz po zebraniu zapisano 114,000 marek. Sześć osób najzamożniejszych złożyło się łącznie na 100,000.

W poprzedniej „Kronice miesięcznej“ (zesz. paźdz., str. 159) zaznaczyliśmy niejako ożywienie się handlu zbożem naszym za granicą, opierając się na danych statystycznych, ogłoszonych przez cesarskie

biuro statystyczne w Niemczech. Obecnie możemy przytoczyć także materiał cyfrowy nierównie obszerniejszy, zaczerpnięty ze sprawozdania o handlu zewnętrznym za pierwszą połowę roku bieżącego, z organu urzędowego ministerstwa skarbu (Więstnik finansów nr. 37) w Rosyi. Zwiększenie się wywozu zboża rosyjskiego za granicę dosięgło podług tego sprawozdania prawie 66%. Zbierając dane szczegółowe dla pojedynczych gatunków zboża, widzimy że:

	w r. 1886	w r. 1887	różnica w r. 1887	
	tysiące pudów		w ilości pudów biewzględnej	w stosunku do 100
pszenicy wywieziono	33,065	38,818	+ 5,753	+ 17,4 <sup>0</sup> / <sub>0</sub>
żyta	24,921	37,397	+ 12,476	+ 50,1 <sup>0</sup> / <sub>0</sub>
jęczmienia	6,724	21,500	+ 14,776	+ 220,5 <sup>0</sup> / <sub>0</sub>
owsa	9,799	20,457	+ 10,658	+ 108,8 <sup>0</sup> / <sub>0</sub>
kukurydzy	7,711	19,159	+ 11,448	+ 148,6 <sup>0</sup> / <sub>0</sub>
grochu	579	1,730	+ 1,151	+ 198,8 <sup>0</sup> / <sub>0</sub>
kaszy	104	551	+ 447	+ 429,8 <sup>0</sup> / <sub>0</sub>
mąki	1,946	1,788	— 158	— 8,1 <sup>0</sup> / <sub>0</sub>
zboż różnych	2,915	4,175	+ 1,260	+ 43,2 <sup>0</sup> / <sub>0</sub>
W ogóle	87,764	145,575	+ 57,811	+ 65,9 <sup>0</sup> / <sub>0</sub>

Oprócz tego w porównaniu z pierwszą połową r. 1886-go podniósł się olbrzymio, bo przeszło pięć razy, wywóz siemienia lnianego, podobnież prawie cztery razy wzrósł wywóz wszelkich nasion oleistych, a przeszło półtora raza eksport lnu i konopi. Z produktów, zostających w blizkim stosunku z rolnictwem, znniejszył się najgwałtowniej wywóz cukru, nieznacznie zaś spirytusu. Gdy jednak mimo to zwiększył się o 4% dochód państwa z akcyzy od wódki, mniejszy wywóz dowodzi jedynie podniesienia się konsumpcyi wewnętrznej.

Najpowaźniejszym odbiorcą zboża rosyjskiego jest zawsze Wielka Brytania, jakkolwiek przywóz pszenicy z Rosyi do Anglii zmniejszył się tu nawet w porównaniu z niepomyślnym rokiem 1886-ym; a pod względem popytu na żyto i jęczmień rywalizowała z nią w pierwszej połowie r. 1887-go Holandya. Francya i Niemcy zakupiły w roku bieżącym znaczniejsze ilości zboża rosyjskiego, aniżeli w roku zeszłym. Pod względem konsumpcyi pszenicy rosyjskiej poważne stanowisko przypało w półroczu sprawozdawczem Włochom, które zajęły tu drugie miejsce zaraz po Anglii.

Za polepszeniem się stosunków w sferze rolniczej poszło ożywienie w przemyśle fabrycznym. Fakt ścisłego związku, zachodzącego pomiędzy stanem rolnictwa i przemysłu w danym kraju, wskazywany niejednokrotnie przez ekonomistów, powtarza się obecnie i w państwie Rosyjskiem, gdzie równolegle z rozwojem handlu zbożowego dostrzedz można widoki kończącego się jakoby przesilenia, które przez lat kilka bardzo przygnębiająco oddziaływało na stosunki ekonomiczne kraju. Do takich liczymy: zwiększenie się dochodu dróg żelaznych, oraz pomyśl-



ny rezultat ostatnich jarmarków dorocznych. W ogóle dochód brutto dróg żelaznych w całym państwie zwiększył się o 12,9%. Do wzrostu tego przyczyniły się głównie koleje, wiodące do niektórych portów morza Czarnego i Bałtyckiego, a przede wszystkim do Sebastopola, Rewla i Rygi. Drogi żelazne Królestwa daleko mniej odczuły zwiększenie się ruchu i dochodu w tym czasie, aniżeli linie kolei w Cesarstwie, co jednak uważać należy poniekąd za naturalne, a to wskutek tego, iż zastój przemysłowy w kraju naszym nie doszedł do tego stopnia natężenia, co w guberniach Cesarstwa, a zatem i różnica pomiędzy stanem stagnacji poprzedniej a względnie ożywieniem obecnym nie może być tak wydatną. Jeżeli zaś na drodze, na przykład warszawsko-wiedeńskiej widzimy nawet niedobór, to tłumaczy się w części konkurencją drogi Iwangrodzko-Dąbrowskiej, której dochód podniósł się w tym czasie najpoważniej, bo o 18%.

Za symptom polepszenia się stosunków ekonomicznych państwa, sprawozdanie uważa stopniowe zmniejszanie się przywozu zagranicznego i przewagę, jaką zyskuje w tym kierunku wywóz. W pierwszej połowie roku bieżącego przywóz towarów z zagranicy do państwa rosyjskiego zmniejszył się w porównaniu z odpowiednim okresem czasu roku zeszłego o 20,894,000 rs., czyli o 13,6%, wartość zaś wywozu przewyższała wartość przywozu o rs. 83,289,000 czyli o 54,15%. Rodzaj przywiezionych przedmiotów jest również dowodem wstąpienia stosunków ekonomicznych na drogę rozwoju. Mianowicie zmniejszył się przywóz wyrobów tudzież materiałów surowych, które mogą być otrzymywane w kraju, jako to: skór, wełny, węgla kamicznego, żelaza, a natomiast urósł przywóz takich przedmiotów, jak bawełna surowa i juta, co dowodzi najwymowniej wzmocnionej działalności fabrycznej w kraju.

Wreszcie i obserwacja bezpośrednia rozwoju stosunków społecznych upoważnia do wnioskania, iż rzeczywistość w dziedzinie ekonomicznej ruch i życie budzić się zaczyna. Fakt ten zauważył we Francji już w roku zeszłym, poważny znawca stosunków ekonomicznych Europy, p. Paweł Leroy-Beaulieu. U nas spotykamy się coraz częściej z wiadomością, to o kupnie majątku ziemskiego z wolnej ręki, co w czasach ostatnich należało już prawie do faktów niebywających, to o zamówieniach, poczynionych w fabrykach, to o przyjmowaniu—czasowem wprawdzie—robotników w zwiększonej ilości przez zakłady przemysłowe, i t. p. Czy jednak potrwa to długo? czy witać mamy jutrzeńkę dni lepszych, czy też jest to tylko przerwa jaśniejsza, przemijająca—trudno dziś orzec. Zależać to będzie w wysokim stopniu od ułożenia się stosunków w dziedzinie polityki między państwowej. Wychoząc ze stanowiska ściśle ekonomicznego, możnaby jednakże już dzisiaj żywić niejaką nadzieję, iż polepszenie, którego świadkami jesteśmy, będzie trwałe, rozbudzona bowiem żywsza działalność w sferze przemysłowej powinna pociągnąć za sobą zwiększenie się konsumpcji, co znowu wpłynąć może na tём jaśniejsze wystąpienie dążności zwyż-

kowej względnie do produktów rolniczych, i t. d. Przy oddziaływaniu wzajemnych stosunków przemysłowych na rolnicze i rolniczych na przemysłowe, można z niejakim prawdopodobieństwem oczekiwać końca przesilenia, które od lat kilku tak dotkliwie przygniata społeczeństwa europejskie.

Jako ilustracją optymistycznego poglądu na przyszłą kampanią zbożową, jaki wyraziliśmy w kronice przeszłomiesięcznej, dajemy poniżej tablicę, ogłoszoną przez Austriackie ministerstwo handlu, a dotyczącą producyi i spodziewanej konsumpcyi pszenicy w roku bieżącym.

## I. Kraje wywozu.

	produkuje	może wywieźć.
	h e k t o l i t r y .	
Rosya	90,000,000	28,000,000
Węgry	47,000,000	14,000,000
Rumunia	8,500,000	4,500,000
Ameryka	145,000,000	35,000,000
Australia	10,000,000	3,000,000
Indyc	82,000,000	10,000,000
Razem	382,500,000	94,500,000

## II. Kraje przywozu.

	produkuje	potrzebuje przywieźć.
	h e k t o l i t r y .	
Anglia	25,640,000	41,500,000
Francya	110,000,000	20,000,000
Niemcy	40,000,000	6,500,000
Szwajcarya	600,000	3,500,000
Włochy	43,000,000	7,000,000
Austria	17,000,000	4,000,000
Inne państwa	61,000,000	22,500,000
Razem	297,240,000	104,900,000

Bijąca z téj tablicy przewaga przypuszczalnego zapotrzebowania nad zaofiarowaniem, pozwala spodziewać się, iż rzeczywiście cena pszenicy naszej na rynku wszechświatowym, jeżeli nie pójdzie w górę, to przynajmniej przestanie się obniżać. Jeżeli zaś dodamy, że jest prawdopodobieństwo podniesienia się upadłej ostatniemi czasy konsumpcyi, to zgodzić się trzeba, że istotnie nadzieja poprawienia się położenia w sferach naszych rolniczych przybierać zaczyna kształty coraz wyraźniejsze.

Wśród ogólnego chóru sfer rolniczych niemieckich, domagających się à tout prix podwyższenia cła od zboża zagranicznego, odezwał się głos, który, na podstawie gruntownej znajomości



rzeczy i w imię zdrowych zasad nauki ekonomicznej, wykazał nieracjonalność środków, przedsiębranych dla rzekomego podniesienia rolnictwa kosztem pozostałych warstw narodu. P. Wilbrandt, znany powszechnie w Niemczech rolnik-ekonomista, wydał niedawno książkę p. t.: „Das fortschreitende Sinken der Preise unter der Herrschaft der Schutz-Zollpolitik.“ („Obniżanie się stopniowe cen pod wpływem polityki ceł protekcyjnych”). Przedmiotem badania, o którym mówimy, jest głównie cło od zboża i produktów, bezpośrednio z rolnictwem się łączących. Systemat protekcyjny—jak twierdzi p. Wilbrandt—zapanował w Niemczech pod wpływem przesilenia, wywołanego nadprodukcją w niektórych gałęziach przemysłu, tudzież w skutek obaw, jakie obudziło w sferach rolniczych z jednej strony pojawienie się na rynku krajowym zboża, produkowanego na urodzajnej a nie wyjątkowo wyczerpanej glebie Nowego świata, z drugiej zaś obniżona żyzność i słabnąca konsumpcja w Europie. Rządy, utrudniając przystęp zbożu zagranicznemu miały na celu, oprócz względów fiskalnych, zapewnienie rolnictwu krajowemu zbytu produktów łatwego i korzystnego. Rezultat jednak zawiódł oczekiwania, zapomniano bowiem wziąć w rachunek czynnika najważniejszego, to jest konsumpcji. Sztuczne podnoszenie ceny artykułów pierwszej potrzeby, samo przez się wpłynąć musiało na konsumpcję ujemnie, oddziaływanie to zaś spotęgowało się jeszcze w obec zastoju, jaki zapanował ostatnimi czasy we wszystkich prawie gałęziach przemysłu. Pod tym wpływem, przy braku pracy zarobkowej i przy niespokojności o jutro, klasa najbiedniejsza i najliczniejsza, dla której chleb stanowi rzeczywistą podstawę wyżywienia a wydatek nań główną rubrykę rozchodu, pochłaniającą od szóstej do czwartej części całego dochodu, ograniczyła potrzeby swoje do granic ostatecznych. Popyt zatem zredukował się do minimum, a wskutek tego ceny spadły. Charakterystyczną cechą obecnej ery protekcyjnej, stanowi właśnie owo spadanie ceny zboża mimo sztucznego śrubowania jej w górę. Zdaniem autora, gdyby państwa były pozostały rzeczy biegowi ich naturalnemu, wszystko byłoby powoli wróciło do równowagi. Mówi za tém okoliczność, na którą, podług p. Wilbrandta, zbyt mało zwrócono uwagi, mianowicie wzrost liczby ludności. Powiększenie zaludnienia i konsekwentnie za niem idące wzmocnienie spożycia, w naturalny sposób byłoby oddziaływało na podniesienie się cen zboża, obniżonych gwałtownie w skutek konkurencji Ameryki i Indii. Sztuczne zaś podnoszenie ich za pomocą ceł ochronnych, onieśmieliło konsumpcję i doprowadziło ostatecznie do rezultatu najmniej spodziewanego, to jest do tém większego ich upadku. P. Wilbrandt jest zdania, na które się w zupełności piszemy, że złe leczenie gorszem jest od samej choroby, tę ostatnią bowiem organizm silny sam mógłby pokonać, gdy tymczasem nietrafnie użyty środek nie tylko nie przynosi ulgi w cierpieniu, lecz jeszcze podkopuje i osłabia wrodzoną siłę odporu.

O słuszności poglądów p. Wilbrandt'a co do obniżenia się ceny produktów rolniczych równolegle z rozwieleniem się idei protekcjonizmu, przekonywa ogłoszony niedawno przez biuro handlowo-statystyczne w Hamburgu, wykaz fluktuacji cen różnych towarów w przeciągu ostatnich lat czterdziestu. Hamburg, jak wiadomo, jest jednym z najbardziej ożywionych punktów handlowych Europy, jest on rynkiem międzynarodowym w całym tego słowa znaczeniu, tu zatem lepiej niż gdzieindziej odbija się wpływ prądów, panujących w danym czasie w dziedzinie stosunków handlowych międzypaństwowych. Z wyrazu pomienionego przytoczymy poniżej kilka gatunków zboża oraz produktów, mających związek bezpośredni z rolnictwem. Cyfry, umieszczone w górze oznaczają ceny przeciętne danego produktu w pewnym okresie czasu, cyfry zaś, znajdujące się pod spodem, wyobrażają stosunek ceny średniej, notowanej w peryodzie, stanowiącym punkt wyjścia wykazu, do cen tegoż samego produktu w czasach późniejszych. I tak płacou w przecięciu:

	w r. 1847—50	1871—75	w r. 1885	w r. 1886
za pszenicę:				
marek i fenig. za 100 kil.	19,44	23,72	15,33	15,06
co daje stosunek	100,00	122,02	78,86	77,47
za żyto:				
marek i fenig. za 100 kil.	12,24	17,56	12,21	11,05
co daje stosunek	100,00	143,46	99,75	90,28
za chmiel:				
marek i fenig. za 100 kil.	89,76	304,68	218,11	191,49
co daje stosunek	100,00	339,14	242,99	213,34
za spirytus:				
marek i fenig. za 100 kil.	31,57	43,40	33,23	24,07
co daje stosunek	100,00	137,79	105,26	76,24
za cukier:				
marek i fenig. za 100 kil.	45,66	54,78	26,59	24,04
co daje stosunek	100,00	119,97	58,23	52,65
za mięso:				
marek i fenig. za 100 kil.	0,72	1,15	1,08	1,08
co daje stosunek	100,00	159,72	150,00	150,00
za mleko:				
marek i fenig. za 100 kil.	0,07	0,12	0,12	0,11
co daje stosunek	100,00	171,43	171,43	157,14
za wełnę:				
marek i fenig. za 100 kil.	360,24	334,24	202,48	187,35
co daje stosunek	100,00	92,78	56,21	52,01
za len:				
marek i fenig. za 100 kil.	94,80	123,12	148,20	132,34
co daje stosunek	100,00	129,87	156,33	139,60

Język cyfr jest bardzo wymownym. Tablica powyższa streszcza dobitnie wpływ zastojów na obniżenie cen produktów rolnych, oraz ma-



luje zupełną bezsilność systemu protekcyjnego, który miał temu właśnie zapobiedz. Pomiędzy rokiem 1847-ym a 1875-ym, to jest w epoce rozwoju przemysłu i względnej swobody ruchów w stosunkach handlu międzynarodowego, ceny wszystkich produktów wyżej wymienionych poważnie się podniosły, z wyjątkiem jedynie wełny, której cena nieco spadała. Najmniejszy wzrost w owym czasie wynosił prawie 20% (cukier), najwyższy zaś osiągnął kolosalnego stosunku nieledwie 240% (chmiel). W epoce zaś pomiędzy r. 1875-ym a 1885-ym, gdy, w ślad za rozpościerającym się coraz więcej zastojem w przemyśle, poczęto zastosowywać w praktyce handlowej system protekcji celnej, ceny ujawniają dążność zniżkową. Spadają one w r. 1885-ym, a bardziej jeszcze w r. 1886-ym przy najważniejszych produktach rolniczych, jako to: pszenica, żyto, wełna, i przy wyrobach przemysłowych, ściśle z rolnictwem związanych, jako to: spirytus i cukier, niżej poziomu z r. 1847.

Cyfrы, jakie przytoczyliśmy nie stanowią jeszcze dowodu zupełnego, wykazującego stanowczo wpływ ujemny protekcji celnej na ceny zbożowe, bo na to potrzebaby obszerniejszego i różnorodniejszego jeszcze materiału statystycznego. Niemniej jednak można uważać ten materiał statystyczny za początek poważnej dyskusji na tém polu, tém poważniejszej, że biuro statystyczne hamburskie wykaz swój formowało bynajmniej nie w celach polemicznych, i że z téj przyczyny można mu przyznać znaczenie dowodu ściśle przedmiotowego.

W dniu 12 października r. b. odbyło się Zebranie ogólne akcyonariuszów Warszawskiego Towarzystwa oczyszczania i sprzedaży spirytusu. Odczytane na tém zebraniu sprawozdanie Zarządu za czas od 3 (15) stycznia do 18 (30) czerwca r. 1887-go, wykazało pomyślny rozwój obrotów młodego jeszcze przedsiębiorstwa. Przez ten przeciąg czasu wywieziono okowity 398,200 wiader 80°. Zysk czysty Towarzystwa wynosił rs. 12,081 kop. 83, z których po potrąceniu sum właściwych na podatek dochodowy, procent od kapitału zakładowego i na kapitał zasobowy, pozostało do rozporządzenia zgromadzenia ogólnego rs. 7,570 kop. 50. Kwotę tę rozdzielono w ten sposób, że na każdą akcyę wypłacono dywidendy rs. 12, sumę rs 450 przeznaczono na wynagrodzenie dodatkowe Zarządu, pozostała zaś po za tém rs. 2,320 kop. 20 postanowiono dopisać do kapitału zakładowego. P. Rzętkowski proponował, aby w przyszłości zysk czysty Towarzystwa rozdzielać inaczej, mianowicie, aby z kwoty, pozostałej po potrąceniu procentu właściwego na kapitał rezerwowy i 6 % na dywidendę od akcyj, przeznaczać 20 % na superdywidendę dla wszystkich posiadaczy akcyj, 80 % zaś wypłacać tym akcyonariuszom, którzy przyczynili się do rozwoju działalności Towarzystwa przez oddanie mu w komis swego produktu; ci ostatni dodatkiem tym dzieliliby się w stosunku do dostawionej przez nich okowity. Projekt ten Zgromadzenie przekazało Zarządowi do bliższego rozpatrzenia. Z pomiędzy wniosków, jakie przedstawiono do decy-

zy zebrania, zaznaczyć należy projekt nabycia nieruchomości w Warszawie, celem urządzenia własnego zakładu rektyfikacyjnego i składu hurtownego. Przy obradach nad kwestyą Zakładu rektyfikacji dyskusya przybrała ton żywszy, część bowiem zgromadzonych, a między innymi pp. Oraczewski i Bronisław Werner, wyrazili się stanowczo przeciwko projektowi, jako niemającemu widoków powodzenia. Opinia jednak przeciwna, popierana przez prezesa Towarzystwa, p. Władysława Przyłubskiego, przy głosowaniu ostatecznym przemogła. Uchwalono nadto postawienie budynku własnego w Mławie, a to celem przechowywania okowity, oczekującej na ocenie. Dla wiadomości kapitalistów zaznaczono korzyści, płynące ze składania depozytów w kasie Towarzystwa. Na członków Zarządu ponownie powołano wychodzących z niego Feliksa hr. Czackiego i p. Kazimierza Czarnowskiego, na zastępcę zaś członka w miejsce występującego p. Eugeniusza Zielińskiego, wybrano p. Ludwika Skarzyńskiego.

W końcu zaznaczyć musimy, iż w ostatnich czasach zaszły w handlu międzynarodowym okowitą zmiany poważne. Dotychczas okowita nasza szła przeważnie do Hamburga, gdzie, po oczyszczeniu jej odpowiednio do wymagań spożywców na różnych rynkach europejskich, wysyłano ją dalej na sprzedaż. Jednym z najważniejszych odbiorców okowity, oczyszczanej i przeładowywanej w ten sposób w Hamburgu, była dotychczas Hiszpania. Świeżo jednak rząd hiszpański, korzystając z prawa, przysługującego mu na mocy traktatów handlowych, obłożył produkt rzeczony, wysyłany z portów niemieckich, cłem wchodowym stosunkowo wysokim. W skutek tego wywóz okowity do Hiszpanii, za pośrednictwem Hamburga, prawdopodobnie upadnie, a o ile słyszeliśmy, pośrednictwo w handlu okowitą z kraju naszego, przejdzie po części w ręce komisjonerów i zakładów rektyfikacyjnych szwedzkich.

Uwagę sfer naszych przemysłowych i handlowych zajmują obecnie posiadzenia, odbywające się w towarzystwie popierania przemysłu i handlu. Przedmiotem obrad jest bardzo ważna dla nas, i żywotna kwestya taryfy celnój. Gencza kwestyi jest następująca:

Przez ciąg lat ostatnich taryfa celna ulegała niejednokrotnym zmianom cząstkowym, przeważnie w kierunku podwyższania opłaty za te lub owe towary, sprowadzane z za granicy. Zmiany te, mnożąc się z biegiem czasu pod wpływem systemu wybitnie protekcyjnego w polityce ekonomicznej państwa, podkopały w rezultacie jednolitość taryfy wzmiankowanej. Praktyka wykazywała niejednokrotnie anomalie rażące, które wymagały uregulowania. Względ ten skłonił sfery decydujące do ogólnej rewizyi taryfy. Ażeby jednak opracować się mająca taryfa nowa odpowiadała rzeczywistym potrzebom przemysłu krajowego, ministerstwo skarbu, pragnąc wysłuchać opinii osób interesowanych a kompetentnych, zwróciło się do towarzystwa popierania przemysłu i handlu w Petersburgu z żądaniem zebrania



i przedstawienia w drodze właściwej życzeń przedstawicieli przemysłu. Z kolei rzeczy zebranie danych, dotyczących kraju naszego w większej jego części, przypadło w udziale oddziałowi warszawskiemu tegoż towarzystwa.

Pragnąc przygotować materiał, kwestyą możliwie wyczerpujący, oddział warszawski rozesał do przemysłowców naszych odpowiednio zredagowany kwestyonaryusz. Po otrzymaniu zaś odpowiedzi, w mniejszej co prawda, niż się spodziewano, ilości, są bowiem działa przemysłu, które dotychczas żadnych nie udzieliły objaśnień, towarzystwo przystąpiło do ostatecznej w tej sprawie dyskusyi. Żądania przez przemysłowców nadesłane, a dodać należy, w wielu punktach wręcz sobie przeciwne, stopił w jedną całość sekretarz towarzystwa, p. Edmund Diehl, i w dniu 17 października rozprawy zostały otwarte. W chwili, gdy kronikę naszą zamykamy, posiedzeń odbyło się już trzy, przy licznych stosunkowo współdziale osób interesowanych.

Nie kusimy się w niniejszej wzmiance kronikarskiej streścić choćby tylko pobieżnie żądań szczegółowych, motywów, przytaczanych na ich poparcie, oraz dyskusyi, jaka wywiązywała się przy rozpatrywaniu kwestyi pojedynczych. Nie możemy jednak nie zaznaczyć, iż idea protekcyonizmu, żądania poparcia ze strony państwa, głęboko w społeczeństwie naszym zapuściła korzenie. Myśl tę nasuwa nam sposób przedstawienia rzeczy nie tylko w referatach, obecnie w towarzystwie popierania otrzymanych, lecz i w podaniach, jakie różnemi czasami tu napływały. Referatów odpowiednio opracowanych, w których obok potrzeb własnych branoby w rachubę położenie działów przemysłu pokrewnych, i co ważniejsza, słusznych wymagań konsumenta, naliczyćby można bardzo niewiele. Natomiast poważna większość rozumuje w ten sposób: ponieważ przedsiębiorstwo moje lub nasze nie prosperuje tak, jakbyśmy sobie tego życzyli, zatem prosimy o ułatwienie nam przywozu materiałów surowych, a utrudnienie importu odpowiednich wyrobów. Te ostatnie graniczą nieraz z zakazem wprowadzania. Od wielu lat przywykliśmy w rządzie desideratów, podawanych do uwzględnienia władz przez różnorodne zjazdy i konferencye przemysłowe, znajdować na pierwszych zaraz miejscach żądania, odnoszące się w tym lub owym kierunku do cła i opłaty przewozowej dróg żelaznych.

Nie przeczmy bynajmniej racyi bytu systemu ochronnego, owszem uważamy go za pożądany i niezbędny tam, gdzie siły produkcyjne narodu jeszcze nie stężyły i wskutek tego mogłyby łatwo uleść pod silnemi i z bezwzględnością kupiecką wymierzonymi ciosami potężniejszego sąsiada. Uznajemy nadto w zupełności słuszność zapatrywania, które państwu, jako obrońcy organizmu społecznego przed wrogiem zewnętrznym, dozwala w razie potrzeby kierować się polityką protekcyi. Twierdzimy jednak stanowczo, że zbytnia wybujałość idei i żądań tego rodzaju w daném społeczeństwie, nie tylko dowodzi słabości organicznej jego przemysłu, lecz nadto budzi obawy o los

tego ostatniego w przyszłości. Prawda, że trudno wytknąć granicę pomiędzy potrzebą rzeczywistą, a ową wybujałą nadmiernie żądzą protekcji z góry, nauka ekonomii nie wyrzekła tu bowiem jeszcze ostatniego swego słowa, lecz nie ulega wątpliwości, że najpierwszym i najpewniejszym środkiem i warunkiem rozwoju zdrowego, rokującego nadzieje trwałości, jest dążenie przedewszystkiēm do uaprawy braków wewnętrznych, do postawienia na nogi produkcji za pomocą odpowiednich ulepszeń organicznych. Ze zbytnią ufnością w protekcją celną rzecz ma się tak samo, jak z każdą w ogóle rachubą na pomoc zewnętrzną, czy to w życiu narodowēm, czy w indywidualnēm. Pomoc ta jest przygodną, chwiczną, dziś jest a jutro może jēj zabraknąć; źródłem zaś siły rzeczywistēj, nieprzewartēj i w skutki płodnēj jest praca wewnątrz. Cło, uważane jako środek poparcia przemysłu, da się usprawiedliwić o tyle tylko, o ile pod czasową jego osłoną przemysł ten postępuje drogą udoskonalēń technicznych i handlowych, tak iż z czasem potrafi stawić czoło współzawodnikom. W przeciwnym razie wpływ jego jest zgubny, usypia bowiem energią żywotną produkcji, a konsumpcją zmusza do zadawalniania się wyrobem gorszym. Niebezpieczeństwo, wyptywające ztąd dla samego przemysłu, jest rzeczywiście groźnēm, groźniejszēm nawet niź to, na które wskazywał cytowany przez nas powyżēj rolnik niemiecki p. Wilbrandt, à propos ceł od artykułōw żywnościowych. Polega ono na bardzo prawdopodobnēm zmniejszeniu się zapotrzebowania w razie, jeżeli wyroby nie będą odpowiadały słusznym wymaganiom konsumentōw. Skoro fakt podobny mógł nastąpić przy artykułach żywności, stanowiących przedmiot pierwszēj i ogólnēj potrzeby, to tēm więcj obawiać się tego można dla wyrobōw, których potrzeba—bądź co bądź—tak bezwzględnie odczuwać się nie daje. Słowem zgadzamy się na to, że przemysł nasz, dla obrony swego bytu potrzebuje obecnie ochrony celnēj, lecz boimy się, aby pod wpływem opieki tēj równie ponętnēj, jak niebezpiecznēj, przemysł nasz nie stał się efemerydą, która ma wprawdzie dzisiaj byt zapewniony, lecz za to truchleć musi o jutro, gdy okoliczności się zmienią.

Rzecz naturalna, iż obrót, jaki weźmie sprawa rewizji taryfy celnēj, nie zależy bezpośrednio i wyłączenie od życzeń i poglądōw, jakie przemysł kraju naszego objawi w rezultacie rozpraw toczących się obecnie nad tym przedmiotem. Sfery rządzące, do których należy decyzja, będą miały do rozważenia nietylko desiderata innych okręgōw przemysłowych państwa, lecz nadto względy fiskalne, nie wchodzące w rachubę przy omawianiu kwestyi przez przemysłowców. Nie przesadzamy zatēm rezultatu. Wolno nam jednak wyrazić pragnienie, aby przemysł nasz w ogólnēj dyskusyi nad kwestyą rzeczoną zajął stanowisko własciwe. W obec wszechstronnego badania sprawy na posiedzeniach oddziału warszawskiego, przy licznyh współdziałle ludzi fachowo z przemysłem obznajmionych i ogólnie wykształconych, wreszcie przy umiejētnēm kierownictwie naradami przez prze-



wodniczącego Ludwika hr. Krasińskiego, mamy nadzieję, że ostatecznie sformułowane desiderata będą istotnie przeciętną żądań wytworców i wymagań spożywców.

Jasny pogląd na ruch ludności w kraju jest dla każdego społeczeństwa jedną z kwestyi najżywniejszych, dla tego korzystamy „Kronice“ naszej z zebranego przez redakcyą „Gazety Warszawskiej“ materyału, z którego pokazuje się, że wzrost ludności Królestwa Polskiego od r. 1816 nie był jednostajny. Od roku 1816 do 1858 włącznie roczny przyrost ludności wynosił przeciętno 49,359 głów, od roku 1858 do 1863 włącznie 39,170 głów, od r. 1872—1877 włącznie 65,972 głów. W jednych wszakże latach więcej, w drugich mniej przybywało, albo nawet ludność zmniejszała się. Poniższy wykaz uwidoczni nam ruch ludności od r. 1816 do 1863, do czego dodamy i lata dalsze po r. 1886 ze znaczniejszymi przerwami. Dodamy jeszcze, że ludność W. Ks. Warszawskiego w roku 1808 wynosiła na 1,713 mil. kw. 2,319,396 głów; w roku zaś 1809, po przyłączeniu departamentów Krakowskiego, Radomskiego, Lubelskiego i Siedleckiego, 3,831,578 głów na obszarze 2,715 mil. kw.

Królestwo Polskie utworzone w roku 1815 liczyło mieszkańców:

w roku	g ł ó w	w roku	g ł ó w
1816	2,717,287	1846	4,867,129
1820	3,520,355	1847	4,857,700
1821	3,612,019	1848	4,790,061
1822	3,658,729	1849	4,781,355
1823	3,704,306	1850	4,810,735
1824	3,786,484	1851	4,851,639
1825	3,911,417	1852	4,812,577
1826	3,978,211	1853	4,813,091
1827	4,088,289	1854	4,797,845
1829	4,137,634	1855	4,673,869
1830	3,997,746	1856	4,696,919
1831	3,762,003	1857	4,783,760
1832	3,914,665	1858	4,790,379
1833	4,037,925	1859	4,764,446
1834	4,059,517	1860	4,840,466
1835	4,188,112	1861	4,910,608
1836	4,251,334	1862	4,972,193
1837	4,298,962	1863	4,986,230
1838	4,344,392	1865	5,336,210
1839	4,392,565	1872	6,528,017
1840	4,488,009	1873	6,398,793
1841	4,547,703	1874	6,519,138
1842	4,623,318	1876	6,771,974
1843	4,700,374	1877	6,857,878
1844	4,770,290	1885	7,852,990
1845	4,798,658	1886	7,999,333

Z tablicy powyższej wynika, że od r. 1816 do 1886 włącznie ludność Królestwa Polskiego zwiększyła się o 5,282,046 mieszkańców. Średni roczny przyrost ludności za okres lat 70 wynosił 75,457.

Teraz przejdźmy do ludności w roku zeszłym. Według danych urzędowych, Królestwo Polskie z końcem roku 1886 liczyło 7,999,333 mieszkańców, co w porównaniu z rokiem 1885 stanowi o 146,343 dusz więcej. W ogóle w ostatnich latach przyrost ludności wynosi około 100,000 rocznie. — Miasto Warszawa liczyło w 1886 roku 439,174 mieszkańców, gub. Warszawska 990,998, gub. Piotrkowska 946,834, gub. Lubelska 945,238, gub. Kaliska 823,574, gub. Radomska 697,273, gub. Kielecka 669,319, gub. Siedlecka 661,533, gub. Suwałkoska 639,966, gub. Łomżyńska 601,587, gub. Płocka 583,837. — Według płci ludność składała się z 3,918,004 mężczyzn i 4,081,329 kobiet, czyli średnio na 1,000 mieszkańców wypadło 490 mężczyzn i 510 kobiet. — Według wyznania, na podstawie źródeł urzędowych, ludność składała się z 6,042,058 katolików, 1,140,379 starozakonných, 439,371 ewangelików i 374,775 prawosławnych, oraz 2,750 wyznawców innych religii (1,046 baptystów, 806 mahometan, 275 menonitów i t. d.). W roku 1859 m, według źródeł również urzędowych, było 3,657,140 katolików, 599,875 starozakonných, 274,707 ewangelików augsburskich, 215,967 unitów, 4,856 prawosławnych, 4,189 ewangelików reformowanych, 3,744 starowierców, 1,581 menonitów, 1,451 braci mormonów, 502 jednowierców, 306 mahometan i 128 cyganów, na ogół 4,764,446 mieszkańców.

Jeżeli 2,216 mil geograficznych kw. przyjmiemy jako obszar Królestwa Polskiego, na jedną milę kw. wypadnie średnio 3,609 mieszkańców, czyli około 60 mieszkańców na kilometr kw. Jest to więcej niż średnie zaludnienie, ale daleko jeszcze do przeludnienia, gdyż w Niemczech na kilometr kw. wypada około 100 mieszkańców, w Anglii około 180, w Belgii około 200.

W dniu 17 października zmarł w Berlinie dr. Robert Gustaw Kirchhoff, profesor fizyki przy tamtejszym uniwersytecie. Gustaw Kirchhoff urodził się 1824 r. w Królewcu. W r. 1850 mianowany został profesorem fizyki we Wrocławiu, gdzie wykładał przez lat cztery. Następnie przeniósł się do Heidelberga, a w r. 1875 do Berlina. Wstąpił się głównie przez odkrycia w dziedzinie Analizy spektralnej. Jak wiadomo promień światła, rozszczepiony pryzmatem, rzuca na ciemne tło widmo barwne o rozmaitych jasnych i ciemnych liniach równoległych. Istotę, znaczenie tych linii wykrył właśnie Kirchhoff, udowadniając, iż one właśnie charakteryzują najdokładniej istotę ciała płonącego, ponieważ promień płonącego ognia daje owo widmo o pewnym stałym rozkładzie i o pewnej szerokości linii ciemnych i jasnych. Tak np. wykrył Kirchhoff, że para Sodum — żarząca się, daje w widmie w ściśle określonym miejscu wąską linią barwy żółtej. Skoro przeto w widmie, rzuconym przez rozszczepiony promień słońca, znaj-



duje się w tém miejscu, ściśle wykreślonym, linia żółta, — to wnioskował Kirchhoff—będzie dowodem, że na żar światła słonecznego składa się także żar pary sodu, czyli, że na słońcu pierwiastek Sód stanowczo znajdować się musi. Tym sposobem wskazał Kirchhoff drogę, po której dociec możemy składu chemicznego gwiazd oddalonych od nas o miliony mil w przestrzeni światowej. Przez to odkrycie rzucił Kirchhoff astronomią, astrochemią, optykę etc. na całkiem inne tory i wykreślił szczególniej astronomii nowy kierunek pracy. Najważniejsze jego dzieło jest: „Untersuchungen über das Sonnenspectrum.“ Od roku 1875 należał Kirchhoff do członków Akademii berlińskiej.

---

## WIADOMOŚCI BIBLIOGRAFICZNE.

---

Adam Pług, umieszczając w kilku ostatnich numerach „Kłósów“ drobne poezye Bohdana Zaleskiego pod zbiorowym napisem „Pyłki,” podaje w osobnym artykuliku wykaz całej pozostałości literackiej poety. Spuścizna ta składa się: 1) z kilkudziesięciu drobnych utworów lirycznych; 2) z kilkuset dwuwierszy umieszczonych właśnie pod napisem „Pyłki;” 3) z niedokończonego poematu pod tytułem „Wigilia tysiąclecia,” opiewającego wymarzony obchód uroczystości chrztu narodu polskiego; 4) z niedokończonój „Złotój Dumy,” opiewającój „Przodków,” znanój jnż z kilku drukowanych ustępów; 5) z „Dumy hetmańskiej“ o potrzebie „Zbarazkiej,” na poły historycznej na poły fantastycznej.—Wykończona część pierwsza „Wigilii” obejmuje około ośmiuset wierszy, „Duma Złota“ zawiera przeszło 4,600 wierszy, a „Duma hetmańska” zupełnie wykończona, składająca się z trzech części, ma około 3,000 wierszy. Spuścizna ta, powierzona Adamowi Pługowi, aby przygotował ją do wydania i znalazł nakładców, ma się wkrótce pojawić w druku. „Duma hetmańska” ma być wydana osobno przez syna poety Dionizego Zaleskiego. Drobne poezye będą umieszczane częściowo w rozmaitych pismach literackich. Czysty zaś dochód wydawnictwa przeznaczony na opatrzenie sieroty, którą się ś. p. Bohdan szczerze opiekował.

Bibliografia galicyjsko-ruska. Publikacyi tej pod względem typograficznym niemał wykwintnej, podjętej przez samego autora, p. Jana E. Lewickiego, wyszedł zeszyt I. Tytuł w oryginalnej brzmii: „Haličko-ruska Bibliografia XIX stolitja z uwzgladnieniem izdanij, pojavywszychsia w Uhorszczyni i Bukowyni, 1801—1886“ W prospekcie daje autor zwięzły rys prac, podjętych w tej gałęzi przez literatów ukraińskich i galicyjskich, a wykazawszy dorywczość tych usiłowań, zawiadania, że praca jego obejmie: 1) wszystkie wydania, które się pojawiły w Austro-Węgierskiej monarchii w języku ruskim, tak czcionkami kirylickimi, jak grażdanką, tudzież pismem łacińskiem, bez względu na narodowość autorów; 2) wszelkie utwory, ogłoszone gdziekolwiek drukiem, w językach polskim, niemieckim, po łacinie lub innym, których



autorami byli rusini galicyjscy. Autor, zamierzywszy podać graficzny rozwój ruchu literackiego, przyjął w bibliografii swojej porządek chronologiczny, na końcu dzieła jednak dołączony będzie przegląd alfabetyczny przedmiotów i autorów z krótkimi datami biograficznymi. Zeszyt I formatu in folio, we dwie szpalty, na pięknym papierze welinowym, obejmuje publikacje od 1801—1884 r. Odnacza się ta praca bibliograficzna przez to, że stanowi równocześnie i katalog realny, przy każdym bowiem ważniejszym dziele podaje autor i streszczenie jego, oraz ważniejsze okoliczności, które ułatwiały lub utrudniały wydanie. Dla historyków i badaczy dziejów krajowych obu narodowości, system powyższy będzie pożądanym, ułatwi bowiem dalszą pracę w przyszłości.

Księgarnia nakładowa H. Beuthera w Berlinie, rozpoczęła wydawnictwo bardzo pożądane dla badaczy dziejów i literatury narodów wschodnich, pod tyt.: „Orientalische Bibliographie.“ Unter Mitwirkung d. Herrn Prof. Dr. A. Bezzenberger (Królewiec), prof. dr. H. L. Strack (Berlin), Dr. Joh. Müller (kustosz bibliot. w Berlinie), dr. C. Vollers (dyrektor biblioteki Khediwa w Kairze) i in. Herausgegeben von Prof. Dr. A. Müller (w Królewcu). Berlin, 1887, t. I. Rocznie zeszytów 4-ry (cena roczna 6 marek). Kwartalnik, o którym mowa, obejmować będzie wiadomości o wszystkich książkach i pracach, jakie w rozmaitych językach odnosić się będą do etnografii, religii, obyczajów i zwyczajów, języka, literatury i historii ludów, zamieszkałych w Azji, Oceanii i Afryce. Ogólna literatura geograficzna i statystyczna ma być również uwzględniona, o ile się odnosi do kwestyi powyżej wskazanych. Kwartalnik zamierza jaknajtroskliwiej uwzględniać dzieła drukowane na Wschodzie. Z Indjami i Egiptem zawiązano już stałe stosunki, a z Konstantynopolem i Petersburgiem (z ostatnim ze względu na Kazań) rozpoczęto w tym celu gorliwie starania.

Ks. Ignacy Polkowski wydał w osobnej odbitce artykuł drukowany w „Przeglądzie powszechnym” w Krakowie pod tyt.: „Wywod-historyczne o początku katedry na Wawelu.“ Kraków, 1887, str. 15. Jest to studjum nadzwyczaj sumienne, metodologicznie przeprowadzone, a z tego powodu nader cenne nie tylko ze względu na stronę archeologiczno-architektoniczną samej katedry na Wawelu; ale i ze względu na historią początków chrześcijaństwa i zawiązku hierarchii kościoła katolickiego w Polsce. Kwestya ta, potrącana wielokrotnie mimochodem przez historyków naszych, oczekiwała kompetentnego sądu, który w pracy zasłużonego autora z ukontentowaniem znachodzimy.

Z pomiędzy szacownych wydawnictw źródeł historycznych, ogłoszonych przez Akademię umięjętności w Krakowie, zasługuje na szczególną uwagę tom jedenasty z działu „Pisarze dziejów Polskich“ (Scriptores rerum poloniarum), zawierający „Dyjaryjusze sejmowe z roku

1587-go" wydane przez d-ra Augusta Sokołowskiego. Kraków, 1887, Wstęp str. XIII, tekstu wraz ze spisem imion i miejscowości, str. 269. Sz. wydawca objaśnia w słowie wstępném stronę archiwalną zebranego materiału, poświęcając kilka słów pobieżnych charakterystyce (nieznanych) autorów tych sprawozdań z przebiegu sejmu konwokacyjnego i elekcyjnego po śmierci Stefana Batorego. Żałujemy że sz. autor, mając pod ręką pełniejszy materiał (str. X i XI) nie dał nam krytycznego poglądu na tę ważną chwilę, że nie uwzględnił reszty literatury historycznej danego przedmiotu, jak to zwykli dziś czynić wydawcy podobnych materiałów, zwłaszcza, że historyk polski spotyka się na tém polu z wielu kwestyami nierozjaśnionemi dokładnie. Rozbiór historyczno-krytyczny wszystkich momentów sejmu konwokacyjnego (antagonizm Zborowskich z Zamoyskim) i elekcyjnego (koło generalne vel prokonwokacyjne, koło rycerskie większe, koło okopowe, koło czarne vel antykonwokacyjne, vel błędne, koło rycerskie mniejsze, koło polne), podniósłby znakomicie pożytek naukowemu, mającemu bez takiego wywodu wartość tylko kopii kancelaryjnej. Pogląd krytyczny uważalibyśmy tu za tym potrzebniejszy z tego powodu, że np. relacya czynności sejmu konwokacyjnego nie jest dyaryuszem we właściwém tego słowa znaczeniu, ale składa się w części z listów pojedynczych, pisanych tylko dla użytku Kromera, z pominięciem dui kilkunastu; w części zaś z urywku jakiegoś nieznanego dziennika. Brakuje też czasem objaśnień niezbędnie potrzebnych, — a znajdują się niektóre dla historyka zbyteczne (np. str. XII: Konin str. 2-ga nr. 1, 2, 3, str. 34, nr. 1, str. 90, nr. 1. str. 206, nr. 1, str. 232, nr. 3 i in.). Pisownia na tytule „Dyaryjusz“, obok pisowni w tekście: „Dyaryusz“ budzi wątpliwość co do zasady, podług której Akademia w podobnych wypadkach szkole postępować radzi.

Mathias Bersohn, członek komisji historii sztuki Akad. umiejętności w Krakowie, wytrawny znawca dzieł sztuki krajowej, wydał w Warszawie w drukarni S. Lewentala pracę pod tyt. „O rytownikach Gdańskich. Podręcznik dla zbierających sztychy polskie.“ (str. 70). Znajdujemy tu krótkie dane biograficzne o 34-ch sztycharzach, z wykazem ich dzieł i monogramów przez nich używanych. Jest to pożądanym przyczynek do historii sztuki w Polsce, oparty na wiarogodnych źródłach i na gruntownej znajomości dzieł pojedynczych.

Każdy, ktokolwiek zajmuje się studjami naukowemi, powita z wielką wdzięcznością wiadomość o materiale bibliograficzno-krytycznym, jaki w dającej kwestyi po różnych czasopismach rozproszony ginie bez śladu, zwłaszcza gdy się nie ma pod ręką biblioteki własnej, w którejby znaleźć można obfitą najnowszą literaturę peryodyczną. Z tego powodu zasłużył sobie na prawdziwą wdzięczność uczony niemiecki pedagog, C. Schulze, przez ogłoszenie drukiem „Przeglądu systematycznego artykułów naukowych z dziedziny Pedagogii, drukowanych w czasopismach, programatach i osobnych broszurach w cza-



sie od 1880 do 1886-go“ pod tyt. „Systematische Uebersicht der in Zeitschriften, Programmen u. Einzelschriften veröffentlichten werthvollen Aufsätzen ueber Paedagogik aus den Jahren 1880 bis 1886. Hannover, 1887. (Cena 3 m. 60 fen.)

Bardzo na czasie pojawiła się na widok publiczny praca pod tyt. „Opicka kraju nad szkolnictwem (?!) przemysłowem w Galicyi.” Napisał Teofil Merunowicz, sekretarz komisji kraj. dla spraw przemysłu domowego i rękodzielniczego. Lwów, 1887. (stron 135, 8°). Jest to pierwszy systematyczny, dokładny obraz szkół przemysłowych, zawodowych i uzupełniających w kraju, utrzymywanych lub subwencyonowanych z funduszu krajowego.

Nakładem zasłużonego na polu nauki geografii J. Perthesa w Gotha wyszedł w r. b. XI-ty tom „Rocznika geograficznego” (wydanego p. Herm. Wagnera przy współudziale O. Drude, G. Gerlanda i in. pod tyt. „Geographisches Jahrbuch.” Gotha, 1887, XI. Bd. (VIII 496, 8°. Cena marek 12), zawierający dokładny przegląd ważniejszych prac naukowych równie na polu nauki geografii wogóle jak i w jej gałęziach szczegółowych, pomocniczych. Między innymi czytamy: 1) Sprawozdanie z meteorologii geograficznej, przez co autor rozumie meteorologią i klimatologią; 2) sprawozdanie z geografii roślin; 3) Sprawozdanie z geografii zwierząt; 4) etnografii i in. Doskonałe treści i indeksa ułatwiają w wysokim stopniu orientowanie się w materiale, którego ogrom jest przerażający. Podobną publikacją nie może się pochlubić żadna literatura europejska.

W czasopiśmie historycznym („Historische Zeitschrift“ herausgegeben v. Sybel), w zeszytce 2-im na rok 1887-my znajdujemy ciekawą relacją Sybla o pobycie wysłańca pruskiego, hr. Brandenburga, w Warszawie w roku 1850-ym, przedstawioną według dokumentów z archiwum państwowego w Berlinie.

Dzieło angielskie A. H. Sayce'a („Pomniki starożytne w świetle badań najnowszych“), zawierające przegląd rezultatów ostatecznych badań naukowych na polu starożytnych dziejów Egiptu, Asyrii, Babilonii, Palestyny i Azji Mniejszej, stwierdzających podania biblijne, wyszło udokładnione w tłumaczeniu niemieckim pod tyt.: „A. H. Sayce: Alte Denkmäler im Lichte neuer Forschungen. Ein Ueberblick ueber die durch die jüngsten Entdeckungen in Aegypten, Assyrien, Babylonien, Palaestina und Klein-Asien erhaltenen Bestätigungen biblischer Tatsachen. Deutsche vom Verf. revid. Ausgabe. Leipzig, 1887, 8°, VIII—232. Krytycy kompetentni wskazują jako słabsze punkta tej cennej pracy dwie okoliczności, mianowicie jedną, że autor podaje apodyktycznie niektóre kwestye dotychczas jeszcze sporne za ostatecznie roz-

strzłgnięte, drugą zaś, że jest niedokładny na polu badań historyi biblijnej. Dzieła dr. F. Kaulen'a (Assyrien u. Babyl. wyd. 24, 1882) i F. Vigouroux T. J. (La bible etc. T. 4) mogą uzupełnić te braki.

P. Adam Niemirowski, znany dobrze w piśmiennictwie naszym autor kilku prac poważnych o notaryacie, wydał książkę nową z tej dziedziny p. t. „Notaryat hiszpański, fragment z dziejów prawodawstwa tego kraju” (Warszawa 1887). Rzecz ta, opracowana przeważnie podług źródeł hiszpańskich, rozpada się na osiem rozdziałów, w których autor, zrobiwszy na wstępie rzut oka na rozwój gospodarstwa hiszpańskiego i dzieje notaryatu w wiekach ubiegłych, opowiada następnie historią sądownictwa dobrej woli w wieku XIX, a wreszcie zapoznaje czytelników z ustrojem i znaczeniem izb (juntas), ze stanowiskiem naukowym notaryuszów, z mężami słynnymi w magistraturze i ze stanem obecnym notaryatu na półwyspie iberyjskim. Wykład wszędzie treściwy, systematyczny a jasny. Specyjalne czasopismo „Zeitschrift für Notariat in Oesterreich” w Nr. 37, robi pochlebnią wzmiankę o pracy p. Niemirowskiego, wyrażając przytém życzenie „aby praca ta znalazła prędko tłómacza.”

P. Józef Łabuński, autor „Nerona,” odznaczonego zaszczytną wzmianką na ostatnim konkursie dramatycznym imienia Wojciecha Bogusławskiego, napisał nowy dramat w 5 aktach p. t. „Ziemiowit, książę mazowiecki, na tle historycznym osnuty” (Warszawa 1887). Pomimo fabuły dość zużytej i tak niekunsztownie przeprowadzonej, że czytelnik już po pierwszych aktach dalszy przebieg wypadków łatwo odgadnąć może, pomimo bezbarwności kilku postaci do sztuki wprowadzonych, całość robi wrażenie dość silne, dzięki jędrnej charakterystyce Ziemiowita i jego żony, oraz temu nerwowi dramatycznemu, który o talencie autora korzystne daje świadectwo. Wiersz biały przeważnie poprawny, język czysty, nierzadko silny i poetyczny. Wreszcie zaznaczyć musimy wyjątkowo staranną korektę pisowni, przecinkowania, kreskowania samogłosek pochylonych i t. d., co autorowi za zasługę poczytać trzeba w obec częstego dzisiaj niedbalstwa w tym względzie wielu pisarzy.

„Ryszard Wincenty Berwiński, rys biograficzno-krytyczny” przez prof. Ant. Bądzkiewicza wyszedł w odblite z „Ateneum.” Praca gruntowna zastępuje na rozbiór szczegółowszy.

W historycznym czasopiśmie angielskiem, które w r. 1887 rozpoczęła wydawać w Londynie Mandel Creighton pod tyt. „English historical Review,” wyszło ciekawe studjum lorda Acton'a pod tyt. „German Schools of history,” które następnie wydano w Berlinie w osobnej odblite w tłómaczeniu niemieckim pod tyt. „Acton, Lord, Die neuere deutsche Geschichtswissenschaft. Eine Skizze. Autoris.



Uebersetzung von J. Imelmann.<sup>7</sup> Berlin 1887. IV. 60. 8-o.— Autor jest dosyć dobrze obeznany z najnowszemi prądami naukowemi w Niemczech na polu literatury historycznej, a jako bystry umysł odkrywa w historyografii niemieckiej wiele znamion charakterystycznych, które i dla nas nie są bez interesu, zwłaszcza, że historyografia nasza zostaje w wielu razach pod wpływem doktryn i poglądów historyozofów niemieckich, mianowicie w poglądach na tak zwaną reformację, na rewolucyą francuzką i na rozwój stosunków politycznych w wieku XIX w ogóle. Z chwilą politycznego upadku kraju pozbawieni szkoły polskiej, kształciliśmy się pod przewrotną w tym razie opieką szkoły i literatury niemieckiej, na podstawie podręczników niemieckich, oryginalnych lub tłómaczonych (Welter, W. Pütz, Weber, Ploetz i i.). Historia stała się polem, na którym zbierano zawsze najzjadliwsze pociski na charakter naszego narodu, na jego kulturę, na kościół i na całe społeczeństwo nasze. Nieprzezorni młodszy pisarze nasi, pochopniejsi do oskarżeń, sformułowanych przez Niemców, aniżeli do gruntownych badań samodzielnych, mianowali krytycznym poglądem to, co na nazwę tendencyjnego fałszu raczej zasługiwało i dopomagali przez to do szerzenia błędnych pojęć o naszych dziejach nawet w społeczeństwie polskim. Z tego powodu zasługuje głos anglika o najnowszej historyografii niemieckiej na pilną uwagę naszą.

Autorowi angielskiemu nie jest obce dzieło prof. Wegele'go o dziejach historyografii niemieckiej, lecz nie jest on od niego zależnym; starał się bowiem poznać samodzielnie stanowisko naukowe historyków niemieckich. Acton charakteryzuje grupy pisarzy, otaczających historyków-polityków takich, jak Sybel, Droysen i Treitschke; Mommsen i Gneist, Bernhardi i M. Duncker i i. z uwydatnieniem różnicy, jaka zachodzi pomiędzy najnowszą szkołą niemiecką a historyografią angielską. Przecenia jednak szanowny lord wpływ naturalisty du Bois-Raymond'a, gdy uważa go za apostoła i twórcę najnowszej szkoły historycznej w Niemczech, ponieważ doktryny tego naturalisty bardzo podrzędne zajmują stanowisko na polu metodologii najnowszych badań historycznych w Niemczech, jak to wykazał dr. O. Lorenz w dziele „Die Geschichtswissenschaft in Hauptrichtungen und Aufgaben” (Berlin 1886, str. 133 — 170). Acton kończy pracę swoją następującą charakterystyczną uwagą: „W ostatnim i to najbardziej pouczającym rozdziale, powinniśmy mówić o dziełach historycznych, których Niemcy nie piszą, mianowicie powinniśmy wykazać te nici i te idee, które historycy najnowsi w Niemczech porwali i porzucili, przez co innym narodom prześcignąć się dali.”—I rzeczywiście w żadnej literaturze nie zepchnięto historii na tak upadające stanowisko służebnicy tendencyi politycznych, na jakiem widzimy dziś historyografią niemiecką.

Ogólne niemal przesilenie, pod którego groźnym wpływem wzięta niebezpieczna kryzys interesów rolniczych w całej Europie, pobu-

dza od lat kilku umysły pierwszorzędnych ekonomistów i rolników do szukania środków, któreby téj grozie choć w części zapobiedz mogły. Nie tylko w granicach naszego społeczeństwa; ale i w wielu innych krajach europejskich szukają skutecznego lekarstwa na tę niebezpieczną chorobę w tak zwanéj kolonizacji wewnętrznej czyli w dziele niu obszernych włości, nadmiernymi długami obciążonych, na mniejsze jednostki gospodarcze za pomocą t. zw. parcelacji. W Niemczech zawiązało się nawet osobno w tym celu Stowarzyszenie; publicyści nasi (Teodor dr. Kalkstein) niemniej i obrady 1-szego Zjazdu prawników i ekonomistów polskich w Krakowie troskliwie kwestują tę rozbiarą, tak, że uważamy za rzecz pożyteczną zwrócić uwagę czytelników Bibliot. Warszaw. na niektóre publikacye niemieckie, poświęcone temu przedmiotowi. 1) W tomie XXXIII-im wydawnictwa pod tyt. „Schriften des Vereins fuer Socialpolitik.” 1887, 8-o. Str. 138 czytamy Sprawozdanie z Obrad Zjazdu Członków „Towarzystwa Polityki społecznej” (Verein fuer Socialpolitik) odbytego we Frankfurcie n. M. w dn. 24 i 25-o września 1886-o roku, gdzie między innemi zastanawiano się nad kwestją kolonizacji wewnętrznej, ze szczególną uwagą na potrzebę nie tylko podtrzymania, ale rozszerzenia i wzmocnienia średniej tudzież drobnej własności ziemskiej i to równie ze stanowiska czysto gospodarczego, ekonomicznego jak i społecznego oraz politycznego. Dyskusya obracała się jednak przeważnie około pojęcia własności ziemskiej, jako warsztatu, zapewniającego właścicielowi pewną rentę—i posuwała zasadę rozdrabniania majątków większych do tak małych obszarów, że na nich nie podobnaby było wyżyć całej rodzinie, nie mówiąc już wcale o zaspokojeniu potrzeb i obowiązków obywatelskich pod względem moralnym, intelektualnym i narodowym. 2) Henneberg, Erh. von, Die Gesellschaft fuer innere Colonisation. Ihre Ziele u. Bestrebungen erlaeutert. Hierzu ein Plan zu einer Ansiedlung. (Stowarzyszenie dla kolonizacji wewnętrznej, wraz z objaśnieniem jego celów i zamiarów, z dodaniem planu projektowanej osady) Lipsk, 1887, 8-o, str. 59.— 3) Schoen, Max, „Innere Colonisation.“ Denkschrift herausgegeben von der Gesellschaft fuer innere Colonisation zu Berlin.“ („Kolonizacja wewnętrzna. Memoriał ogłoszony przez Towarzystwo kolonizacji wewnętrznej w Berlinie“). Lipsk, 1887, 8-o, str. 24.— Henneberg i Schoen wychodzą w poglądach swoich z téj zasady, że uważają ułatwione nader uruchomianie własności ziemskiej, czyli zbyt częste przechodzenie własności ziemskiej z jednej ręki do drugiej za główną przyczynę upadku rolnictwa, za raka toczącego zdrowie organizmu rolniczego. Radzą tedy usunąć przedewszystkiém to złe potworne, co jednak można osiągnąć tylko przez nowe urządzenie, przez nowe postanowienia prawne co do podzielnosci własności ziemskiej, przez nowe prawo, któreby pozwalało wytworzyć nowe mniejsze posiadłości, ale posiadające w sobie, jako w jednostce gospodarskiej wszelkie warunki żywotności samodzielnej. Należy tedy wykupić te wielkie obszary, które przy braku kapitału obrotowego, po-



trzebnego dla prowadzenia intensywnej gospodarki, nie mogą być z taką dokładnością uprawiane i meliorowane, jakiejby wymagała potrzeba racjonalnej wszechstronnej eksploatacji skarbów, ukrytych w łonie gruntów gospodarczych. Przyczyną krytycznego stanu rolnictwa nie jest uboższyna zasobność pól naszych; ale terażniejsza bieda rolników wynika z niedbałego eksploataowania naszych gruntów ornych. Trzeba przedewszystkiem starać się o to, aby grunta słabsze zamienić w mocniejsze, bagna, torfowiska, piaski i ubogie pastwiska na grunta obficie rodzące. Tego zaś można dokazać tylko przy małej uprawie, na łanach gospodarstwa chłopskiego, z przestrzenią 20 do 25 morgów miary nowop. i to z uwzględnieniem różnicy gatunku gleby. Gospodarstwa takie nie powinny przekraczać granic, którychby oko gospodarza nie mogło objąć; ale z drugiej strony nie powinny być tak ciasne, aby się na nich swobodnie cała rodzina wyżywić nie mogła. Idealna taka gospodarka powinna przedstawiać całość, na którejby własną jej siłą gospodarować można („spannfähig“). Warunku tego nie należy atoli rozumieć w ten sposób, jakoby dla takiego gospodarstwa chłopskiego potrzeba było większej ilości inwentarza roboczego (koni, wołów), bo według zdania pomienionych autorów, powinny w razie potrzeby krowy dopomódz koniom, zwłaszcza, że, jak uczą ci rolnicy, umiarkowana robota krów wpływa korzystnie na polepszenie mleka. Nie możemy tu rozbierać potrąconych co tylko szczegółów, gdyż nam obecnie chodziło tylko o ogólną wiadomość informacyjną. Prace Towarzystwa są bardzo poważne, a dyskusya, jaka się na tém polu prowadzi, przekonywa nas coraz więcej o tém, że reforma rolniczopolityczna tej doniosłości, co kolonizacya wewnętrzna, wymaga ogromnych środków materyalnych, intelektualnych i moralnych, ażeby skutecznie i z pożytkiem dla społeczeństwa przeprowadzoną być mogła. Im ważniejszą podejmujemy sprawę tym gruntowniej, tym wszechstronniej, tym przeczorniej badać ją należy, abyśmy z zupełną świadomością dążyli do celu zamierzonego.

We Lwowie ogłoszono ważne dzieło dla badających stosunki współczesne w Galicyi, mianowicie: „Materyały do reformy gminnej,” zestawione z polecenia Wydziału krajowego przez dr. Witolda Lewickiego. Lwów 1887. Wydawca rozbiiera we stępie przebieg sprawy reformy gminnej w ostatnim Sejmie galicyjskim i w Wydziale krajowym w roku 1887-m, potem wypowiada wyrozumowany pogląd na ustawodawstwo gminne w krajach zachodnio-europejskich i w krajach koronnych austryackich, wreszcie ogłasza następujące ciekawe szczegóły: 1) Wiadomości o utrzymywanej przez gminy służbie policyjnej i polowej; 2) stan sądownictwa policyjno-karnego, wydane go przez zwierzchności gminne według § 60 ustawy gminnej i § 38 ustawy o ochronie własności polnej; 3) zestawienie działalności władz gminnych w sprawach policyi targowej, policyi zdrowia, przepisów o służbie, policyi moralności, policyi budowlanej, ogniowej oraz

w sprawach ubogich i zapobieganiu żebractwu (§ 27 ustawy gminnej lit. e do u); 4) przedstawienie działalności władz gminnych (§ 28 ustawy gminnej) wraz z wykazami wydatków, jakie sprawowanie tego zakresu czynności za sobą pociąga; 5) zestawienie wypadków, w których zastosowano w gminach środki zaradcze na koszt gminy lub ustanowiono na koszt gminy inne organa do sprawowania czynności naczelnika gminy; 6) stan majątków gminnych nieruchomości i ruchomych. Dołączono wreszcie zestawienie statystyczne gmin, według ludności i opłaconych podatków, sporządzone przez krajowe biuro statystyczne pod redakcją prof. dr. Tadeusza Pilata.

Nakładem redakcji „Kraju” wyszło w osobnej broszurze studium ekonomiczne d-ra Janżułła, prof. uniwersytetu moskiewskiego, pod tyt.: „Przemysł fabryczny w Królestwie Polskiem.” Petersb. 1887, str. 86. Profesor Janżułł należał do komisji, która przed rokiem z ramienia ministerjum badała nasze stosunki przemysłowe. Głos więc taki zastępuje na uwagę nie tylko jako opinia wpływowego rzeczoznawcy, ale i jako pogląd uczonego ekonomisty. Dla przekonania się o wartości głosów przeciwko zbyt szybkiemu rozwojowi fabryk w Królestwie, autor zastanawia się nad historią rozwoju handlu i przemysłu w Polsce, radząc się źródeł historycznych nie tylko rosyjskich, ale i polskich dawniejszych i nowszych. Obok tego korzysta z obfitego materiału archiwalnego różnych władz miejscowych, nie mniej i danych statystycznych samego ministerjum finansów, nie gardząc i enuncyacyami rosyjskiej publicystyki bieżącej. Po rozpatrzeniu tak obfitego materiału, przychodzi autor do wniosków następujących: 1) Przemysł polski rozwijał się nienaturalnie, jest owocem wychodowanym przez rząd w znacznym stopniu kosztem konsumentów rosyjskich. Nie mniej jednak 2) Przemysł polski, pomimo szybkiego swego rozwoju, nie przedstawia żadnego niebezpieczeństwa dla przemysłu rosyjskiego w jego ogromnej całości; 3) Fakt ten, że fabryki w Polsce założone przez cudzoziemców i oparte na pracy cudzoziemców, kryje w sobie wielkie niebezpieczeństwo germanizacji Królestwa, której postępy są daleko znaczniejsze aniżeli sam rozwój przemysłu; 4) W sprawie szerzącej się z całą potęgą germanizacji ważniejszą rolę aniżeli fabryki, odgrywają napływający z zewnątrz obcy osadnicy i koloniści. Żałujemy, że język i styl polski w tłumaczeniu tego poważnego studium prof. Janżułła pozostawia wiele do życzenia, co niekiedy osnowę samego wykładu zaciemnia. Mamy nadzieję, że redakcja „Kraju” względem ten we wszystkich publikacjach swoich za jeden z ważniejszych uznać raczy.

Poważne wydawnictwo z dziedziny ekonomii i skarbowości stanowi pojawiający się corocznie w Paryżu „Annuaire de l'économie politique et de la statistique.” Jest to rodzaj encyklopedyi, dającej możliwie pełny obraz postępu ludzkości z roku na rok w sferze ekonomicz-



nój. Autorem tego zbioru jest od lat wielu, znany na polu naukowym ekonomista francuzki, p. Maurycy Block. Przed niedawnym czasem wyszedł nowy tom tego rocznika, obejmujący dane z lat 1885 i 1886. Książka ta dzieli się na pięć części. Trzy pierwsze autor poświęca wyłącznie swemu krajowi: w pierwszej mówi o Francyi w ogólności, w drugiej o Paryżu, w trzeciej o Algierze i innych koloniach francuzkich. Czwartą część stanowi zbiór danych o większości państw świata całego. Znajdujemy tu wskazówki treściwe co do obszaru tych państw w latach wyżej powołanych, co do ich zaludnienia, rozwoju skarbowości, handlu, dróg żelaznych, poczt i telegrafów, wreszcie co do stanu armii i floty. Część piątą zawiera wiadomości bibliograficzne z działu nauki ekonomii i skarbowości, oraz przegląd finansowy za rok 1885/6. W dodatku do tego tomu znajdujemy budżet rzeczypospolitej Francuzkiej na rok 1887-my. Wydawnictwo p. Maurycego Block'a, prowadzone umiejętnie i systematycznie, jest cennym podręcznikiem przy badaniu stosunków ekonomicznych ostatnich czasów.

Zabiegliva księgarnia Teodora Paprockiego w Warszawie, rozpoczęła nakładem swoim wydawnictwo pożyteczne, mianowicie „Historią cywilizacji“ Ch. Seignobos'a, uczonego francuzkiego, w przekładzie A. Dygasińskiego. Z 200 drzeworytami w tekście. Warsz. 1887. Całość zawiera się w 2-óch tomach. W tłómaczeniu polskim wyszedł dotychczas zes. I-szy (str. 160), obejmujący historią cywilizacji od czasów najdawniejszych ludzkości aż do epoki Peryklesa. Wydanie jest bardzo piękne, wykład jasny w języku starannym czytelnik się płynnie. Drzeworyty są nie mniej dobre, co w tego rodzaju książkach u nas jest wielką rzadkością, zasługującą na wszechstronne uznanie. Dzieło Seignobos'a jest bardzo dobrym podręcznikiem dla tych, co bez szerszych studyów pragną się obznajmić z rezultatami najnowszych badań na polu dziejów cywilizacji. Praca tego rodzaju, dokonana według metody historycznej, którą dzieło Seignobosa nauka przyznać musi, jest tak pożądaną w obec reklamowanych różnych teoretycznych utopii rozwoju cywilizacji, iż mamy żal do uczonego autora, że książkę swoją w nader treściwych zamknął ramach. Nie wątpimy, że dzieło to pożyteczne a tak starannie do literatury polskiej wprowadzone znajdzie licznych czytelników polskich.

W dalszym ciągu tłómaczeń dzieł obcych na język polski, ogłoszonych pod. tyt.: „Wydawnictwo T. J. Jeża 1),“ ukazał się w druku tom IV-ty pod tyt.: „C. Lombroso. Geniusz i obłąkanie, w związku z medycyną sądową krytyką i historią.“ Z 4-go wydania włoskiego przełożył J. L. Popławski. Warszawa, 1887. (Skład główny w księgarni Gebethnera i Wolffa). Najnowsze badania naukowe, a szczegó-

1) Tomy poprzednie obejmują: 1) Szkice H. Spencera, t. I, wyd. 2-ic; 2) Szkice H. Spencera, t. II-gi; 3) Dziedziczność psychologiczna Th. Ribota.

niej dane z zakresu fizjologii, potwierdzają dawno już uczynioną obserwacją, że z rodzin, w których dziedzicznie panują choroby nerwowe i umysłowe, pochodzą często i ludzie genialni. Analogią zjawisk geniuszu i obłąkania wskazywał już Goethe. Słowa jego: „Dem Wahnsinn ist der grosse Geist verwandt und beide trennt nur eine dünne Wand“ zyskały gorliwego rzecznika w p. C. Lombroso. Uzbrowiony w masę faktów i obserwacji, dowodzi C. Lombroso, znany włoski lekarz i psychiatra, pokrewności geniuszu i obłąkania. Przypomina tedy, że ludzie genialni cierpią często w wysokim stopniu na nerwowość, odznaczają się ekscentrycznością usposobienia, są skłonni do napływów krwi do mózgu, ulegają hallucynacyom i złudzeniom zmysłowym i podpadają nakoniec rozmaitym formom chorób umysłowych. Dzieło lekarza włoskiego, zawierające sporą wiązkę nowych obserwacji i faktów, zdolnych rozświetlić nie jedną zagadkę psychologiczną, zasługuje na rozbiór szczegółowy. Tymczasem nadmieniamy, że sz. tłumacz przystąpił do pracy swój widocznie naukowo nie przygotowany, jak to się pokazuje z jego dziwaczного wysłowienia: waryatowaty, temperament obłąkany — newrozzyk — parezyak? i t. p. Tłumaczenie zdaje się dokouane z przekładu rosyjskiego, a nie z oryginału włoskiego, jak to rozbiór szczegółowszy wskazać może. Co do poprawności języka spotykamy często zwroty niewłaściwe np. „przestał jeść pokarmów.“

Dr. Adolf Baginsky. „Życie kobiety. Listy o higienie kobiecego organizmu.“ Tłumaczenie z niemieckiego. Warszawa, 1887. Dziełko to znanego niemieckiego lekarza i docenta berlińskiego uniwersytetu, zawiera higienę i dyetetykę wieku panieńskiego, ciąży, porodu i położu. Wybrana przez niemieckiego autora forma listów nadaje całej pracy charakter raczej swobodnej pogawędki, niż traktatu popularno-naukowego. Zawarte w cytowanym dziełku rady i przepisy higieniczne, znane są chyba dzisiaj każdej chociażby przeciętnie wykształconej kobiecie. Literatura nasza bogata jest w produkcje podobnej treści i to zupełnie odpowiadające swemu celowi, tak że na tym nowym nabytku mało zyskała. Przekład jest staranny, a język nie pozostawia nic do życzenia.



## N e k r o l o g i a .

† Dnia 22 września r. b. umarł w Lyonie we Francyi w wieku lat 81 **Jan Zieliński**, znany zaszczytnie uczony profesor szkół agromomicznych we Francyi. Ś. p. Zieliński urodził się na Mazowszu w r. 1806, był synem Fabiana, komisarza obwodowego, a wnukiem Ignacego, kasztelana ziemi Wyszogrodzkiej. Nauki pobierał w Pułtusk u ks. Benedyktynów, a potem w roku 1825, wstąpił do szkoły podchorążych. Z krzyżem złotym *Virtuti Militari*, wyszedłszy zagranicę w stopniu kapitana, bawił lat parę na obczyźnie. W r. 1834 wstąpił do szkoły rolniczej we Francyi, w Grignon, którą ukończywszy, powziął zamiar założenia niższej szkoły rolniczej. Po zatwierdzeniu projektu Zielińskiego przez ministra rolnictwa, otworzył szkołę i objął jej dyrekcyą. Rosnąca liczba uczniów zmusiła ministra do polecenia Zielińskiemu utworzenia drugiej szkoły w la Corée (dep. de la Loire), gdzie też Zieliński się przeniósł, wziął w dzierżawę folwark sześćcio-włótkowy, a będąc jednocześnie dyrektorem i rolnikiem, rozpoczął tu pożyteczną pracę swoją. Gdy bowiem w r. 1859 cała Francya powołana była do konkursu o nagrodę za najlepsze gospodarstwo, ś. p. Jan Zieliński dostał tak zwaną nagrodę zaszczytną, t. j. srebrną kosztowną patenę, roboty słynnego Froment-Meurice. Opis gospodarstwa la Corée, drukowany był kosztem ministryum, a dyrektor szkoły w Grignon, na białej marmurowej tablicy złotemi głoskami wypisać kazał nazwisko rodaka naszego, jako chlubę szkoły. Gdy Napoleon III kupił ogromne dobra d'Orx pod Bayonną, wskazał minister jako najzdolniejszego agronoma Jana Zielińskiego, któremu polecono urządzić ów majątek, lecz sprawę tę porzucono niebawem dla nadwyzczajnych kosztów, jakich projektowane urządzenie wymagało. Że zaś ś. p. Jan Zieliński, idąc pod Bayonnę porzucił szkołę la Corée, więc dostał inną posadę w Corbon, a potem w r. 1857 reskryptem cesarskim otrzymał wielką naturalizacyą. Po usunięciu w ten sposób przeszkody, zagrządzającej mu wyższe szczeble administracyi, mianowany został generalnym inspektorem ministryum rolnictwa i robót publicznych. W r. 1859 przewodniczył Zieliński wystawie rolniczej w Rouen, za co otrzymał krzyż legii honorowej. Wkrótce potem minister oświaty Duruy zamianował Zielińskiego dostojnikiem Akade-

mii (officier de l'Academie). Pracowicie, lecz spokojnie pełniąc obowiązki inspektora, ś. p. Zieliński na tej posadzie zaskoczony był przez wojnę niemiecką w 1870 r., a kiedy minister rolnictwa zajął się opatrzeniem Paryża w żywność, Zieliński oddane miał sobie pod dozór i do wyżywienia 250,000 sztuk owiec i 37,000 wołów, które w lasku bułońskim żywik, a potem z rewolwerem w rękę bronić musiał od rabunku zgłodniałych paryżan. Gdy w d. 28 marca r. 1872 wszystkie zarządy państwowe przed komuną uszły do Wersalu, Zieliński udał się tam za swoim ministerstwem,— a gdy Thiers próbował porozumieć się z przewódcami komuny, wysłał Zielińskiego. Niedługo potem Zieliński podał się do dymisy i osiadł na stare lata w Lyonie, otoczony powszechną miłością i szacunkiem. Białowłosego staruszka z trzema dekoracyami na piersiach, wszyscy sobie pokazywali mówiąc: „C'est le célèbre cultivateur polonais.“ Umierając w d. 22 września r. b., przyjął Św. Sakramenta, pożegnał rodzinę, pobłogosławił ją, a potem kazał sobie zdjąć z nad łóżka wizerunek Matki Boskiej Częstochowskiej i woreczek, i całując jedno i drugie oddał Bogu ducha. W werczku była ziemia, którą ś. p. Jan Zieliński wyniósł z sobą, opuszczając kraj przed pół wiekiem z górą.— Cześć jego pamięci.

† Dnia 27-o września r. b. umarł w Paryżu **Mikołaj Akielwicz**, prezes niedawno tam utworzonego Towarzystwa litewskiego „Żelna.“ Ś. p. Mikołaj urodził się r. 1830-o w Maryampolskiem, studia uniwersyteckie odbył w Moskwie, poświęcając się specjalnie filologii. Około r. 1856—1862-o mieszkał w Wilnie i na Żmudzi, zkąd pisywał do „Gazety Warszawskiej“, jako „Agricola“ lub „Chłop Maryampolski“ korespondencye, cieszące się wielką popularnością. Znając dokładnie lud, malował wybornie jego typy i stosunki miejscowe na Litwie i Żmudzi. W r. 1858-ym drukował w „Bibliotece Warszawskiej“ T. III, str. 192—195: „Słówko o bogach litewskich,“ teje osnowy rzecz dołączył Żupański do odpowiedniej rozprawy Lelewela „O bożkach litewskich“ w Zbiorze dzieł Lelewela T. V.— Ś. p. Ak. opracował: „Elementarz dla chłopców wiejskich,“ tłómaczony na język litewski (Wilno 1860), oprócz tego w języku litewskim: „Wykład modlitwy pańskiej“ (Wilno 1860) i „Kwestarz, jeżdżąc po Litwie naucza“ (Wilno 1860), które cieszyły się wielkim powodzeniem. Około r. 1865-o przeniósł się do Paryża, zkąd pisywał korespondencye do „Gazety Warszawskiej,“ do „Kuryera Warszawskiego“ i do „Wieku“. W „Kraju“ petersburskim drukował szacowne studyum „O znaczeniu Kurszata dla języka litewskiego.“ W r. 1886-ym wydał broszurę, podpisaną przez „Vytantas,“ przedstawiającą „Rzut oka na starożytność narodu litewskiego.“ Zasiłał także pracami swemi pisemka litewskie: „Auszę“, „Gazietą Lietuwiszka,“ a czasem „Nowoje Wrem.“ w rzeczach, tyjących się języka litewskiego. W rękopisie pozostawił: „Słownik porównawczy-etymologiczny litewsko-polski,“ oparty na badaniach sanskrytu— i „Gramatykę litewską.“— Towarzystwo „Byruty“ posiada rękopis ś. p.



Akielewicza pod tyt. „Geografia dawnéj Litwy.“ Jako prezes Towarzystwa litewskiego odróżniał się zaszczytnie od swoich kolegów z „Byruty“ lub „Lietuwiszka“ Balsa wyższą intelligencją i szerszym poglądem na cel samego Towarzystwa, nie zasklepiając się w swoich interesach osobistych, tak że ze śmiercią jego traci Towarzystwo „Żelzna“ świątkego przewodnika i szlachetnego członka. Znaczny zbiór autografów przekazał ś. p. Mikołaj wszechnicy jagiellońskiej. Cześć jego pamięci!

† Dnia 27 września r. b. zmarł w Meranie **Jan Zieliński**, stryj poprzedniego, dziedzic dóbr Smoszewo w pow. Płońskim, gub. Płockiej, znany zaszczytnie agronom i archeolog. Ś. p. Jan Zieliński, skończywszy w r. 1854 gimnazjum realne w Warszawie, a następnie Instytut agronomiczny w Marymoncie, zajmował się pilnie i umiejętnie rolnictwem i pisywał do pism rolniczych ciekawe korespondencye z dziedziny zawodu swojego. Oprócz tego zajmował się historią, heraldyką i archeologią z takim pożytkiem, że Towarzystwo archeologiczne krakowskie mianowało go swoim członkiem honorowym. Gdy ś. p. Gustaw Zieliński (autor Kirgiza) powziął zamiar napisania rodowodu Świnków i Zielińskich, korzystał z pomocy kuzyna swego ś. p. Jana, który po kilkoletnich poszukiwaniach po archiwach wydał dzieło p. t. „Wiadomości historyczne o rodzinie Świnków oraz rodowód pochodzących od nich rodzin herbu Świnka. Toruń, T. 3.—Tom I-szy (wspólna praca z ś. p. Gustawem) obejmuje epokę od 1260—1600; tom II-gi od 1600 do czasów teraźniejszych, oraz tom III-ci zawierający zbiór dokumentów histor. jest wyłączną pracą ś. p. Jana. W ostatnich latach poruszył kwestyą założenia w Warszawie Towarzystwa gorzelniczego, któreby mogło wyrwać producentów z rąk przekupniów. Myśl szczęśliwa znalazła poparcie u ziemian, a opracowana przez ś. p. Zielińskiego i zatwierdzona przez Rząd ustawa Towarzystwa daje już piękne owoce. Powołany do Zarządu Towarzystwa oczyszczenia i sprzedaży spirytusu nie mógł z powodu słabości zdrowia poświęcić się tej instytucji. Szukającego pokrzepienia sił swego zdrowia w Gleichenbergu, a potem w Meranie zaskoczyła śmierć przedwczesna. Niepospolite zdolności, prawość charakteru, uczynność dla wszystkich były cechami tego zacnego obywatela. Cześć jego pamięci.

† Dnia 2-o października 1887-o r. umarł w Poznaniu **Władysław Bentkowski**, mąż wielostronnie zasłużony na polu pracy obywatelskiej, jako publicysta i poseł w sejmie pruskim. Ś. p. Władysław Bentkowski urodził się w Warszawie d. 25 września 1817 roku, jako młodszy syn profesora literatury polskiej i historii w uniwersyt. warsz., Feliksa Bentkowskiego i Emilii z Zejdlarów. Nauki gimnazyalne pobierał w ówczesném Liceum warszawskiem, poczem wraz z bratem swoim Alfredem udał się na uniwersytet królewiecki, w celu

studiowania historii i prawa. Umiłowanym tym przedmiotom oddał się z całym zapałem młodzieńczym, tak że gdy w tym czasie Towarzystwo Jabłonowskiego w Lipsku rozpisało konkurs na najlepszą pracę o sejmach polskich w epoce Jagiellonów, młody Bentkowski za wyborną rozprawę p. t.: „Vicissitudines comitiorum sub Jagellonica stirpe habitorum” otrzymał medal złoty jako pierwszą nagrodę. Tak szczęśliwie rozpoczęte studia naukowe przerwała ciężka choroba (ospa), która nadwątlila do tego stopnia jego organizm, że uniemożliwiła dalszy pobyt w Królewcu. Z polecenia lekarzy bawił tedy przeszło rok we Włoszech, a po powrocie w r. 1840 osiadł w Trzylatkowie pod Grójcem, którą to wieś umyślnie mu ojciec był kupił, aby wśród zatrudnień życia wiejskiego mógł lepiej pielęgnować swoje zdrowie. W trzy lata potem widzimy go atoli już w W. Poznańskim, starającego się o uzyskanie pozwolenia wstąpienia do wojska pruskiego. Po przełamaniu rozlicznych trudności, wstąpił do artylerji w Berlinie. Po krótkim pobycie złożył tutaj z celującym stopniem egzamin i jako podporucznik rozpoczął służbę czynną w Świdnicy. Wypadki z r. 1848 zawiodły jego nadzieje i skłoniły go do wzięcia dymissji. Przez krótki czas pracował potem w założonej niedawno przez Hipolita Cegielskiego „Gazecie Polskiej” w Pozuanu. Powstanie węgierskie rozdmuchało w nim na nowo iskry nadziei i oderwało od spokojnych zajęć dziennikarskich. W r. 1850 wraca do Poznania i zakłada z księgarzem Stefańskim nowe pismo p. t. „Goniec polski,” które jednak, w obec rodzącej się już obojętności społeczeństwa Wielkopolskiego, tylko do końca 1851-o roku wychodzić mogło. Społeczeństwo wielkopolskie poczęło już lokcewazyć te organa życia narodowego, które ujawniając się w literaturze i nauce, podtrzymują najskuteczniej ducha w każdym nękaném społeczeństwie. Za tém szła zwolna obojętność dla życia publicznego—z czego zrodziła się nareszcie apatya i tak straszny upadek ducha obywatelskiego, na jaki dziś z przerażeniem patrzymy. Zamilkł głos publiczny,—znikła opinia—i zapanowała lekkomyślność niczém niehamowana. W tymże czasie otworzyła się przed Bentkowskim skromniejsza już widownia działalności, bo powiaty pleszowski i krotoszyński wybrały go na swego posła do sejmu pruskiego w Berlinie. Bentkowski rozwinał i tu całą energią i gorliwość swoją. Równocześnie wydał dziełko p. t. „O skażeniu języka polskiego w przekładach urzędowych.” Poznań 1853; a nauczyłwszy się sam języka angielskiego, przełożył 2-a tomy Macaulaya „Dzieje Anglii od wstąpienia na tron Jakóba II” i opracował dział sztuki wojskowej w Encyklopedyi Orgelbranda. Po r. 1864 przebył kilka lat bardzo ciężkich. Wyuczywszy się w zakładach Cegielskiego buchalterji przyjął posadę rendanta w „Tellusie,” a ze śmiercią Cegielskiego gustąpił z tego stanowiska, gdyż spełniając wolę przyjaciela, zajął się opieką nad jego dziećmi i nad pożytecznymi zakładami fabrycznymi. Nie ma w Poznaniu żadnej instytucji publicznej, czy to społecznej, czy naukowej, któreby w rocznikach swych (mianowicie „Tow. Przyjaciół Nauk” i „Tow. im. Marcinkowskiego”) nie zaznaczyły gorliwego



zawsze udziału zmarłego. W zimie r. b. zapadł ciężko na chorobę płuc. Wody salzbrunńskie złagodziły to cierpienie, natomiast pojawiła się choroba sercowa, która przecięła wątek pożytecznego życia. Dnia 2 października pojednany z Bogiem, na łonie serdecznemi stosunkami związaną z nim rodziny Cegielskich, złożył swą głowę do wiecznego spoczynku. Ś. p. Bentkowski na każdym stanowisku czy to w życiu publicznem, czy w zaciszu domowem świecił przykładem i uczył jak należy spełniać wzorowo obowiązki człowieka i obywatela. Cześć jego pamięci!

† W dniu 6-ym b. m. zmarła w Poznaniu ś. p. **Bibianna Moraczewska**, jedna z najstarszych i najzasłużeńszych naszych autorek. Urodzona w Zielądkowie, w powiecie obornickim, w r. 1811, jako siostra znanego historyka Jędrzeja Moraczewskiego, zajmowała się od młodości literaturą ze szczególniejszém zamiłowaniem. Z pomiędzy wielu jej utworów powieściowych, osnutych przeważnie na motywach historycznych, wielkim niegdyś rozgłosem cieszyły się dwa zbiorki, wydane p. t. „Co się stało w Polsce?“ Uznanie krytyki znalazła jej powieść większych rozmiarów, wydana w r. 1859 p. t. „Dwaj rodzeni bracia.“ Obok zastug na niwie literackiej, ś. p. Moraczewska zapisała chlubnie swoje nazwisko na kartach życia społecznego, jako główna opiekunka i kierowniczką poznańskiego Towarzystwa pomocy naukowej dla dziewcząt. Powszechnie znana i szanowana, gasła powoli od lat wielu, nie tracąc jednak przytomności i pogody umysłu do ostatniej chwili. Przeżyła lat 77. Cześć jej pamięci.

† Dnia 7 październik r. b. umarł we Lwowie ś. p. **Józef Kasznica**, zasłużony profesor na katedrze akademickiej Wydziału prawa i administr. w b. Szkole głównej i w uniwersytecie warszawskim. Ś. p. Józef urodził się we wsi Dynowie, w obwodzie sanockim w Galicyi roku 1834. Do szkół uczęszczał w Rzeszowie i w Krakowie, gdzie r. 1852 otrzymał świadectwo dojrzałości. Nauki prawa słuchał w uniwersytecie jagiellońskim w Krakowie a później w Wiedniu, gdzie w r. 1860 pozyskał stopień doktora praw, poczem wstąpił do prokuratury skarbowej w Wiedniu; lecz już po roku opuścił to urządowanie i udał się w celu dalszych studyów naukowych do Paryża. W r. 1862 przybył do Warszawy, powołany przez ówczesną Komisją wyznań i Oświecenia publ. w Król. Polskiem na katedrę encyklopedyi i metodologii prawa w świeżo zorganizowanej szkole głównej warszawskiej. Na stanowisku tém pełnił także obowiązki sekretarza wydziału, a jako członek Rady ogólnej (odpowiadającej senatowi w uniwersytetach niemieckich) wpływał pożytecznie na organizowanie się czynności naukowych i administracyjnych tej najwyższej naukowej instytucyi w kraju. Przy przekształceniu Szkoły głównej na uniwersytet (1869), utrzymał się ś. p. Kasznica na swoim stanowisku, a po obronie na uniwersytecie petersburskim rozprawy w języku rosyjskim p. t. „O istocie prawa“— uzyskał wymagany stopień doktorski rosyjski i wykładał dalej na zaj-

mowanęj katedrze „Encyklopedyą i metodologią prawa.“ Obok tego był ś. p. Kasznica po śmierci ś. p. Walentego Dutkiewicza bez przerwy dziekanem Wydziału prawnego i zasiadał w Komisji emerytalnej Król. Pol. z ramienia ministra oświecenia. Wykłady uniwersyteckie ś. p. Kasznicy nie odznaczały się metodologiczną systematyką naukową i ztąd utrudniały słuchaczom objęcie całości przedmiotu; ale, poruszając w formie improwizacji naukowych przeróżne kwestye, zmuszały młodzież do bacznego śledzenia subtelnego wielostronnego rozbioru każdego filozoficznego pojęcia. Pożyteczna działalność ś. p. Kasznicy nie kończyła się na katedrze profesorskiej; gdyż nieboszczyk nie przestawał opiekować się jaknajżyczliwiej młodzieżą akademicką i poza murami uniwersytetu, nie odmawiając jej wskazówek naukowych, rady i możliwój w każdym razie życzliwój pomocy. Momenta te tworzyły też piękny łańcuch serdecznego związku między nauczycielem a uczniami, który się niejednokrotnie ujawnił i dopiero przez śmierć przedwczesną zasłużonego dziekana gwałtownie rozerwanym został. Powołany w czerwcu 1886 r. na katedrę prawa kanonicznego do uniwersytetu lwowskiego, rozpoczął tamże ś. p. K. wykłady swoje w listopadzie r. 1886 r. Dnia 15 lipca b. r. obrało go kolegium profesorów dziekanem wydziału prawnego. Na zjeździe prawników i ekonomistów, jaki obradował w Krakowie we wrześniu r. b., wystąpił z wnioskiem rozszerzenia wydziałów prawa w organizacyi fakultetów uniwersyteckich, do znaczenia wydziałów nauk społecznych w ogóle. Wróciwszy z Krakowa zapadł w ciężką chorobę, z której się już nie podniósł. Ś. p. Kasznica nie pozostawił dzieła drukowanego większej objętości; ale największém dziełem jego jest pobudzenie licznego zastępu swoich uczniów do prac sumiennych i naukowych. Z drobniejszych prac jego okolicznościowych drukowały pisma warszawskie („Bibl. warsz.“ 1870, t. II, „O pojęciu i systemie nauk społecznych“), „Gazeta Sądowa,“ „Niwa,“ „Gazeta Polska,“ „Wiek“ w różnych czasach następujące artykuły: „O chorobach społecznych,“ „O stosunku prawodawstwa do innych nauk,“ „Przyczynki do encyklopedyi prawa,“ „Kilka uwag z powodu niektórych pism filozoficzno prawnych,“ „O wyrazie socyologia,“ „Wyobrażenia ludowe o prawie i prawo zwyczajowe,“ „Zasady i polityka,“ „Pius IX pośród dziejów,“ „Na politycznej niwie“ i t. d. Młodzież uniwersytecka straciła w ś. p. J. Kasznicy przewodnika życzliwego, nauka akademicka pożytecznego pracownika, pragnącego dobra i pomyślnego rozwoju spraw żywotnych naszego narodu. To też ogólny żal otoczył mogiłę nieboszczyka. Cześć jego pamięci!

† Dnia 7-go października r. b. umarł w Lipsku **Leon Cienkowski**, profesor botaniki w uniwersytecie charkowskim, autor licznych prac z nauk przyrodniczych w językach polskim, ruskim, niemieckim i francuzkim. Ś. p. Leon urodził się w Warszawie 1823-go roku z rodziców bardzo ubogich. Ukończywszy w roku 16-ym miejscowe szkoły średnie, udał się po otrzymaniu stypendyum na wydział fizyko-ma-



tematyczny uniwersytetu Petersburskiego, który chlubnie ukończył ze stopniem kandydata. W r. 1845-ym po napisaniu rozprawy na temat „Dzieje roślin szyszkowych“ pozyskał stopień naukowy magistra. W tymże czasie towarzyszył z poruczenia Akademii petersburskiej Janowi Kowalewskiemu do Egiptu, delegowanemu tam przez Akademię, jako znakomitemu górnikowi, celem poszukiwania piasku złotodajnego, — z kąd przywiózł do Petersburga bogate zbiory z królestwa fauny i flory egipskiej. Podczas tej wycieczki naukowej dotarł Cienkowski (1849) do źródeł białego i niebieskiego Nilu i zaszedł aż pod 4-ty stopień do równika, co wszystko opowiedział w Opisie podróży swojej, drukowanym w Gazecie warszawskiej z roku 1856-go. Wkrótce potem został nauczycielem w liceum Demidowa w Jarosławiu. W r. 1850 pozyskał naukowy stopień doktora i objął katedrę botaniki w uniwersytecie Petersburskim wykładem: „Historja rozwoju monad oraz innych niższych organizmów,“ który zwrócił na siebie uwagę nie tylko zwierzchności, ale i młodzieży akademickiej. W roku 1859-ym wyjechał do Drezna; w r. 1862-im zaproszony na katedrę do Szkoły głównej warszawskiej, przyjął wezwanie, ale brak zdrowia nie pozwolił mu rozpocząć obowiązków profesora. W r. 1870-ym powołany do nowo otworzonego uniwersytetu w Odessie, wykladał tam ulubioną swoją botanikę przez lat sześć, poczem przeszedł do uniwersytetu Charkowskiego. Trapiiony chorobą raka żołądka, szukał pomocy u lekarzy wiedeńskich. Spowinowacony z nim prof. konserwatorium lipskiego, skrzypek Brodzki, zabrał go dla lepszego dozoru do Lipska, gdzie w szpitalu miejskim na rękach żony Bogu ducha oddał. Ś. p. Leon położył wielkie zasługi na polu badań organizmów najniższych, mianowicie: monadów, wodorostów komorkowych, chiżopodów i wymoczków. Między innymi ogłosił: „Beitraege zur Kenntniss der Monaden,“ „Zur Morphologie der Bacterien“ (tłomaczona na język angielski), „Zur Kenntniss eines einzelligen Organismus“ i w. in. Cienkowski drukował studia swoje w „Archiv“ Maxa Schultzego, w „Jahrbücher“ Pringsheima i „Botanische Zeitung,“ tudzież w „Mémoires de l'Academie.“ Z powodu jubileuszu profesorskiego, jaki obchodził w r. 1885-ym zgromadziły pisma rosyjskie obfity materiał krytyczny do ocenienia prac naukowych nieboszczyka, na które i nasza prasa w swoim czasie uwagę zwracała. Jako profesor pozostawił Cienkowski wszędzie bardzo sympatyczne wspomnienie. Życzliwy i uczynny dla studentów, wykonywał gorliwie swoje obowiązki, wspierając potrzebujących radą i czynem. Cześć jego pamięci!

† Dnia 7-go października 1887-go r. umarł w Krakowie **Stefan Kuczyński** zasłużony emeryt profesor fizyki w uniwersytecie Jagiellońskim oraz członek Akademii umiejętności. Ś. p. Stefan urodził się we Lwowie dnia 4-go sierpnia 1811-go roku z rodziców niezamożnych w domu księdza grecko-katolickiego wyznania. Ukończywszy w rodzinném mieście szkołę średnią, a potem tak zwaną filozofią,

otrzymał w roku 1833-im posadę adjunkta oddziału matematyczno-fizycznego. W r. 1835-ym zdobył w uniwersytecie lwowskim stopień doktora filozofii. W r. następującym 1836-ym, odniósłszy świetne zwycięstwo w ogłoszonym przez uniwersytet w Insprucku konkursie, mianowany został profesorem matematyki stosowanej i fizyki w téjże wszechnicy. Sprawującego chlubnie te obowiązki powołano po trzech latach (1839-go r.) do Krakowa na profesora fizyki po zmarłym Markiewiczzu. Ś. p. Stefan rozwinął tutaj od samego zaraz początku taką energią na polu działalności nauczycielskiej, że niebawem oddano mu główny kierunek średniego wykształcenia w Rzeczypospolitej krakowskiej. Od r. 1840 do 1848 sprawował bezpłatnie urząd dyrektora liceum Ś-tój Anny oraz szkół miasta Krakowa i jego okręgu. Zasługi, jakie ś. p. Stefan położył dla postępu nauk fizyko-matematycznych w kraju, świecą pięknymi dokumentami w trojakim głównie kierunku, mianowicie: w uniwersytecie i w urządzonym za jego głównie staraniem instytucie fizycznym uczył młodzież akademicką, — w pracowni dla seminarzystów, kształcących się na nauczycieli, sposobił przyszłych nauczycieli gimnazjalnych; wreszcie w b. Towarzystwie naukowym krakowskim (od 1840 — 1873) a potem w Akademii umiejętności (od 1873), jako sekretarz wydziału matematyczno-przyrodniczego i jako przewodniczący komisji fizyograficznej przyczyniał się skutecznie nie tylko do postępu nauk fizyko-matematycznych i fizyograficznych w literaturze polskiej, ale i do wszechstronniejszego poznania Galicji pod względem przyrodniczym. Owoce usilnych badań Kuczyńskiego roznieśli szeroko po kraju pilni jego uczniowie: potomność zaś korzystać będzie przez długie wieki ze studyów jego, ogłoszonych drukiem, których spis dokładny, sporządzony przez kolegę zmarłego prof. Rostafińskiego, wykazuje wogóle numerów dwadzieścia. (Zob. „Wszechświat“ nr. 44, z dn. 30 października 1887-go r.). Ważniejsze z pomiędzy nich są: 1) Anleitung zur Construirung und Conservirung der Blitzableiter. W czasop. niemieckim „Bote von und fuer Tirol,“ 1838; 2) „O undulacyach światła.“ Kraków, 1842; 3) „O magnetyzmie ziemi.“ Kraków, 1846; 4) „Gabinet fizyczny w Krakowie“ (w dziele zbiorowem „Zakłady uniwersyteckie w Krakowie“) 1864; 5) „Plan prac sekcji meteorologicznej“ 1867; 6) „Pierwiastki siły magnetycznej ziemskiej w Krakowie od r. 1846—1869.“ Kraków, 1870; 7) „Przyczynek do teoryi soczewek.“ Kraków, 1872; 8) „Przyrząd do unaczyniania linii falistych złożonych, powstałych wskutek interferencyi fal poprzecznych.“ Kraków, 1872. Ś. p. Kuczyński należał do tych ludzi, którzy nauką, uprzejmością i cichą a bezinteresowną pracą, umieją sobie jednać uznanie w szerokich kołach społeczeństwa. Cześć jego pamięci!

† W pierwszej połowie października umarł we Lwowie po długiej chorobie w 77 roku życia **Ludwik Grzymała hr. Jabłonowski**. Ś. p. Ludwik urodził się w roku 1810 w guberni podolskiej i należał



w młodości do szeregu tych znacznych pracowników na niwie literackiej, którzy jak Aug. Bielowski, L. Siemieński, Magnuszewski — budzili w odrętwiałej Galicyi zamiłowanie do rzeczy ojczystych. Utwory poetyczne ś. p. Ludwika („Hetman Żmija“) drukowane w Ziewonii (Noworoczniku wyd. przez Aug. Bielowskiego we Lwowie 1834, 1838 i 1839) odznaczają się ciepłem uczucia i szlachetną tendencją. Z późniejszych prac jego wspomnieć należy: „Najazd czeskiemi szlaki.“ Lwów, 1866. Z 3-ma planami. Po r. 1848-ym cofnął się ś. p. L. w zacisze życia rodzinnego i jak zapewniają bliżsi znajomi, pisał wspomnienia ze swojej epoki, które mogą zawierać ciekawe dane do historii naszej współczesnej. Cześć jego pamięci!

---

## „PRZEGLĄD KATOLICKI.”

Nr. 42-gi z dnia 20-go października r. b. zawiera treść następującą: Pierwszy zjazd katolików niemieckich w Chicago. — Najnowsza doktryna o Objawieniu (c. d.). — *Notatki z prasy peryodycznej*: Bankructwo doktryn antychrześcijańskich. — Głos. — Olbrachtowi rycerze. — *Kronika kościelna krajowa*: Półwiekowy jubileusz siostry Pauliny Pomorskiej. — Ś. p. Rozalia Żukowska. — Wizyta kościołów dekanatu Płońskiego, diecezji Płockiej. — Z Wielkich Łuk. — Z Kowla. — Z Kaniowa. — Z Moskwy. — Z Samary. — Z Kurska. — *Kronika kościelna zagraniczna*: Prusy. Zakony w W. Ks. Poznańskim. — R z y m. Na jubileusz Ojca św. — Szwajcarycja. Środki przeciw mormonom. — W ł o c h y. Cud krwi św. Januarego. — *Bibliografia*: Biblia i badania nowoczesne przez Ks. Vigouroux. — Ś. p. Józef Kasznica. — Nowości księgarskie.

## „K R A J.”

Nr. 41-szy z d. 9 (21) paźdz. r. b. zawiera treść następującą: *Artykuł wstępny*: O przepisach wyjątkowych. — *Korespondencje Kraju*: z Cieszyna, przez Atanazego. — *Z sądów*. — *Sprawy bieżące*: Dyskusya nad listem „Starego szlachcica,” przez J. D. K. — Sprawy szkolne. — O żydach. — Przeciw cudzoziemcom. — *Dział polityczny*: Z politycznego świata. — Tydzień polityczny. — Ostatnie telegramy. — *Z tygodnia*: Słowo wstępne. — Ziemie i kolonie słowiańskie. — Przegląd prasy. — Wiadomości bieżące. — Kronika petersburska. — Z Warszawy. — Z prowincyi. — Kronika powszechna. — Doniesienia. — *Dział ekonomiczny*: Jarmark niżegorodzki, p. Okt. Jeleńskiego (dok.). — Ze statystyki górniczej, p. J. P. — Sprawozdanie giełdowe i rynki towarowe. — Tydzień ekonomiczny (rolnictwo, cukrownictwo, gorzelnictwo i piwowarstwo, przemysł i handel, komunikacye, finansowość). — *Ogłoszenia*.

*Przegląd literacki*: Tomasz Wentworth-Żubieński: „Henryk Żubieński i jego bracia etc.,” Gustaw Plewako: „Henryk hr. Żubieński i Benedykt Niepokojczycki etc.” przez Kaz. Waliszewskiego. — „Pogadanka naukowa.” II. Podział i układ nauk, p. Ad. Mahrburga. — „Literacka działalność Katkowa,” p. eli. (d. c.). — „Najnowszy zwrot w historyografii polskiej (1861—1886),” przez M. I. Kariejewa (c. d.). — „Wystawa sztuki polskiej w Krakowie,” p. Zygmunta Sarneckie-



go. II.—Sprawozdania literackie: Goethe'go tragedia „Faust,” p. Ama.—„Szrubiści,” (wiersz) Czesława.—Kronika naukowa, literacka i artystyczna.—Nowe książki, otrzymane w redakcyi „Kraju.”—Treść pism.—Bibliografia.—*Odcinek:* „Jak mię rugi pruskie wykierowały na literata polskiego,” napisał Tadeusz von Golitz (dok.).

## KALENDARZ POWSZECHNY.

Nakładem księgarni T. Paprockiego w Warszawie, Nowy-Świat nr. 41, wyszedł z druku „Kalendarz Powszechny“ na rok 1888-my. Rok X-ty. Jako premium bezpłatne dodają się dwa kalendarze: ścienny i kieszonkowy. Oprócz zwykłej części astronomicznej zawiera część literacką (od str. 35—129), wykaz jarmarków w gub. Cesarstwa i Królestwa Polskiego, oraz obfity dział katalogów i ogłoszeń przeważnie księgarskich, niemniej i artystycznych i rzemieślniczych.

## Kalendarze Józefa Ungra na rok 1888.

### KALENDARZ WARSZAWSKI ILUSTROWANY POPULARNO-NAUKOWY.

Wydany obecnie kalendarz na rok 1888, liczy 43-ci rok istnienia, mieści w sobie artykuły celniejszych w literaturze naszej pisarzy, dział informacyjny, taryfę domów podług nowej numeracyi i skorowidz posesyi, porządkiem numerów hipotecznych ułożony, oraz nową ustawę stemplową. Cena kalendarza kop. 50.

**DZIENNIK.** Cena egzemplarza ozdobnie oprawionego k. 30.

**KALENDARZ ŚCIENNY.** Cena egzemplarza kop. 15.

Do nabycia we wszystkich księgarniach.

**UWAGA.** Osoby zamieszkałe na prowincyi, nadsyłające pod adresem wydawcy rubla jednego na powyższe trzy kalendarze, otrzymają je franco, jeżeli zaś nadeszłą należność na którykolwiek egzemplarz pojedynczy, w takim razie uprasza się o dołączenie po kop. 10 do każdego egzemplarza na koszt przesyłki.

Adres: **Józef Unger**, Warszawa, Nowolipki nr. 2406 (7 nowy) wprost Dzikiéj.

*Redakcyja Biblioteki Warszawskiej.*

Redaktor odpowiedzialny i Wydawca **J. K. Plebański.**

Довполнено Цешвурую. Варшава, 22 Октябрия 1887 г.

# ŚLA WNI GARNCARZE.

(RZUT OKA NA DZIEJE CERAMIKI).

PRZEZ

Feliksa Kucharzewskiego.

Garncarstwo jest jednym z najdawniejszych przemysłów. Zna-  
no już w czasach przedhistorycznych, w wieku żelaza i bronzu, zawią-  
zkiem swym sięga, jak się zdaje, samych początków wieku kamienne-  
go. Człowiek pierwotny, gdy znalazł schronienie w jaskini i wyrobił  
sobie pierwszą broń, — odczuł potrzebę przechowywania z dnia na  
dzień wody i pokarmów, a mając glinę pod ręką i zauważywszy jej  
plastyczność, ulepił z niej pierwsze naczynia i wysuszył na słońcu.  
Skoro zaczął posługiwać się ogniem, zauważył drugą własność gliny:  
że przez wypalanie twardnieje i zaczął wypalać naczynia gliniane, by  
je uczynić trwalszemi. Tu wszakże zaraz wyszedł na jaw główny nie-  
dostatek gliny, jako materiału garncarskiego; mianowicie jej zbyt-  
nie kurczenie się podczas wypalania, psujące kształt naczyń—i już w cza-  
sach przedhistorycznych starano się usunąć, a przynajmniej zmniejszyć  
ten niedostatek, przez dodawanie do gliny ciał odtłuszczających, któ-  
re przed wypaleniem zmniejszają wprawdzie jej plastyczność, ale za  
to podczas wypalania czynią glinę mniej kurczliwą. Tłuczony granit  
i kwarc, wreszcie piasek, — to były pierwsze materje odtłuszczające,  
używane przy wyrobie naczyń z gliny.

Najdawniejsze wykopaliska gliniane, jakie znaleziono dotąd, po-  
chodzą już z czasów kamienia obrobionego. Są to naczynia ukształ-  
towane w ręku, noszące na sobie nieraz ślady palców garncarza. Na-  
czynia gliniane z wieku bronzu, jakkolwiek równie w ręku tylko le-  
pione, przedstawiają wszakże większą różnorodność kształtów, a nawet  
nieraz ozdobione są wrytymi na powierzchni rysunkami. Wreszcie



w wieku żelaza, sąsiadującym już z historycznymi czasami, około 2,000 lat przed Chrystusem, wynaleziony został krąg czyli stół garncarski, jedna z najdawniejszych maszyn i naczyń, ukształtowane z jego pomocą, są już zupełnie regularne.

Stół garncarski, używany i dziś do lepienia z gliny wszelkich naczyń, mających kształt okrągły, składa się z wielkiego drewnianego kręgu, umocowanego na osi pionowej i umieszczonego tak nisko, aby siedzący na ławce nad tym kręgiem garncarz mógł krąg wraz z osią wprawiać nogami w ruch obrotowy. U góry osi umocowany jest mniejszy krąg drewniany, na którym umieszcza się masę glinianą, wilgotną i mięką. Gdy garncarz obraca nogami krąg wielki, ós wraz z górnym krążkiem i umieszczoną na nim masą obraca się szybko, a podczas tego obrotu, rękami z moczonemi poprzednio w rozwodnionej glinie, nadaje garncarz masie glinianej pożądane kształty. Czynność ta wymaga wprawy, gdyż chodzi tu o nadanie jednostajnej grubości ścianom naczyńia i o jednostajne wszędzie ugniecenie gliny. W wielkich fabrykach tegoczesnych, stoły garncarskie poruszane są zwykle nie przez garncarzy, ale za pomocą specjalnych motorów. Nie raz maszyna parowa wprawia dziś w ruch w większych zakładach całe szeregi stołów. Gdy chodzi o otrzymanie kształtów ściśle regularnych, na przykład przy wykończaniu talerzy, lub naczyń ozdobionych opaskami, posługują się garncarze szablonem stalowym odpowiednio wykrojonym, którym w podobny sposób nadają pożądane kształty masie glinianej, jak tokarz dłutem na swych warsztatach masie drzewnej. To też w przybliżeniu powiedzieć można, że tem jest stół garncarski dla garncarza, czém tokarnia dla tokarza.

W początkach stół garncarski składał się tylko z górnego kręgu. Garncarz wprawiał go w ruch rękami, krąg puszczony w ruch kręcił się dość długo i przez ten czas garncarz kształtował obracającą się masę. Taki stół pierwotny znany był w Egipcie już około 1900 r. przed Chrystusem i przedstawiony jest na malowidłach, odkrytych w Tebach przez Champolliona. Później dodano krąg dolny i garncarz zaczął obracać stół nogami, mając już wciąż ręce wolne do kształtowania masy. Stół o dwóch kręgach pojawił się w Grecji około 1200 r. przed Chrystusem, a za jego wynalazcą poczytywano tam ogólnie rzeźbiarza Talusa. Taki stół znali już i żydzi. Wprawdzie Jeremiasz mówi tylko ogólnie: „I wstąpiłem do domu garncarzowego, a oto on robił robotę na kręgu,” — ale za to w Eklezjastyku <sup>1)</sup> obznajmić się możemy nawet z techniką starożytnego garncarstwa: „Tak zdun siedząc przy robocie swojej, obracając nogami swemi krąg. Który w pieczołowaniu położon jest zawsze dla prace swojej; a niezliczona jest wszelka praca jego: w ręku swoich będzie sprawiał glinę,

<sup>1)</sup> Księgi Jezusa Syna Syrachowego Eklezjastykous rzeczono: które wszystkich cnót naukę zamykają w sobie. Przekład Piotra z Poznania w r. 1535 w Lublinie zrobiony, z glossami polskimi.

a przed nogi swoje będzie skłaniał siłę swoją; serce swoje wyda, aby dokonał glazowania, a czunością swoją wyczyści piec.“

W przytoczonym tekście, zamiast wyrazu garncarz użyty jest wyraz zdun, dawniejszy i ogólniejszy, bo odnosi się do wszelkich wyrobów z gliny. Dziś, w mowie potocznej, nazywamy zdunem rzemieślnika stawiającego piec, — podczas gdy u Lindego zdun to „rzemieślnik koło gliny chodzący,” a garncarz to zdun, „który garce lub garki robi.“ To téż i cały przemysł gliniany, to jest wszystkie razem wzięte gałęzie ceramiki, byłoby najwłaściwiej nazywać zduństwem, podczas gdy garncarstwo czyli ceramika właściwa odnosi się wyłącznie do naczyń. Nazwa ceramiki pochodzi od greckiego *keramos*, to jest róg, który stanowił naczynie pewno dawniejsze jeszcze od glinianego, a którego kształty naśladowano potem i z gliny.

Wynalazek stołu garncarskiego przeobraził w zupełności wyrób naczyń glinianych. Kształty stały się czystsze, a ozdoby nabrały większego znaczenia. Garncarze zwracać zaczęli baczniejszą uwagę na naturę gliny, na jej zabarwienie, zaczęli zestawiać gliny różnobarwne, wytwarzając tym sposobem na powierzchni naczyń rysunki ciemnoczerwone lub czarne, — wreszcie zaczęli zabarwiać glinę używaną do ozdób odpowiednio dobranymi ciałami. Te gliny zabarwione wypalały się przy niskiej stosunkowo temperaturze, pozostawały matowymi i walały przy dotknięciu. Były przytém słabe i przedstawiały powierzchnię chropowato-ziemistą. Niektóre wyroby wszakże, zwłaszcza mające masę czarną lub czerwoną, po wypaleniu szlifowano w całości lub w części, a wygładzona powierzchnia przyczyniała się do ożywiania kształtów. Inne wreszcie zdobione były przez wyciskanie, albo nakładanie ozdób, bez żadnego zabarwienia, jak naprzykład naczynia fenickie, odkopywane w ostatnich czasach na północnych brzegach Afryki. Tu należą także naczynia etruskie, a zwłaszcza z czasów poprzedzających wpływ grecki, najczęściej czarne matowe, kształtów oryginalnych, prawie dziwacznych, ale przytém pełne wdzięku. Wszystkie te naczynia, a także posążki, cegły i inne wyroby gliniane, używane w budowlach starożytnych, jak również późniejsze i tegoczesne terracotty, cegły i tym podobne gliny wypalone bez żadnej glazury, stanowią pierwszy dział wyrobów glinianych, według klasyfikacyi Brongniarta, mianowicie dział wyrobów glinianych matowych.

Dział drugi, według téjże klasyfikacyi, stanowią także same co do masy wyroby gliniane, ale pokryte niezmiernie cienką glazurą, jakby lśniącym naskórkiem. Naskórek ten, zwany w garncarstwie lustrem, składa się głównie z krzemionki, stopionej przez dodanie potażu lub sody, i zawsze zabarwionej tlenkiem metalicznym, albo przyłączonym sztucznie, albo téż znajdującym się w samej masie glinianej. Lustro znali już Egipcycanie i używali do ozdabiania naczyń grobowych, — głównie wszakże z wyrobu naczyń tą cienką powłoczką pokrytych zastąpił Grecy i Rzymianie. Grecy wprowadzili do garncarstwa poczucie pigmka, posiadane przez nich w stopniu tak wysokim.



Nie tylko, że się prawie kochali w pięknych naczyniach glinianych, ale i czcili swoich znakomitych garncarzy, stawiając im posągi, bijąc medale i przekazując potomności ich imiona. Najznakomitsi artyści greccy nie odmawiali garncarstwu swego współudziału i pomocy. Nawet wielki Kidyasz rysował na wygnaniu modele naczyń glinianych. Rzymianie zaśluzili się większemu rozpowszechnieniu przemysłu przekazanego im przez Etrusków i Greków, ale co do jakości nie posunęli go naprzód. Rzecz można, że wyczerpano już wszystko, co można było zrobić ze zwykłej gliny, bez szerszego zastosowania polewy. Z upadkiem państwa rzymskiego nastaje i upadek garncarstwa w Europie. W wiekach średnich cofnęło się ono w tył. Znikły piękne naczynia starożytności, pokryte lustrem i nieprzepuszczalne, — pozostały zwykłe, matowe, przepuszczalne i nietrwałe. To też wielkim postępek w garncarstwie stało się ogólne zastosowanie polewy ołowianej, takiej jak w dzisiejszych najprostszych garnkach wiejskich, stanowiącej powłokę twardą, szklistą, która wzmocniła samą masę glinianą i nadała jej nieprzepuszczalność, zaletę najwięcej cenną w naczyniach. Naczynia polewane stanowią dział trzeci wyrobów glinianych w historycznym rozwoju garncarstwa.

Kolebką polewy ołowianej był wschód. Wtedy jeszcze, gdy Grecy wyrabiali pierwotne zupełnie naczynia matowe, — nad brzegami Eufratu znane już były cegły polewane, różnokolorowe, a Egipcyanie pokrywali drobne przedmioty z gliny piękną turkusową polewą. Żydzi znali ją także, jak tego dowodzi wzmianka o „glazowaniu“ w przytoczonym tu wierszu Eklezjastyka. Przemysł ten przetrwał na wschodzie całe szeregi wieków, nieznanym Grekom i Rzymianom, bo i nieliczne naczynia polewane, pozostałe z czasów rzymskich, są prawdopodobnie pochodzenia wschodniego. W Europie naczynia polewane pojawiają się dopiero w wieku XII-ym i w przeciągu paru stuleci, zastosowanie polewy przy wyrobie naczyń codziennego użytku rozpowszechnia się po wszystkich krajach. O ile naczynia te zaspakajały w zupełności potrzeby praktyczne swą nieprzepuszczalnością i przewyższały mocą dawne matowe, to znów pod względem artystycznym nie dopuszczały wielkiego postępu. Polewa ołowiana, przezroczysta i zeszlona, nie może być zabarwioną, jak tylko za pomocą tlenków metalicznych i to dających barwę ciemniejszą od masy glinianej, a więc np. miedzią na zielono lub manganem na brązowo. Środki przeto ozdabiania naczyń polewanych były dość ograniczone i musiały przy wyrobie zwykniejszych uciekać się koniecznie do ozdób wypukłych. Nie wiele okazów takich naczyń doszło do naszych czasów, gdy przeciwnie, naczynia do codziennego użytku wyrabiane prawie wszędzie, pospiesznie, bez modeli a tylko ręcznie na kregu, w formach, jakie się przyjęły w każdej okolicy, przetrwały do dziś prawie nie zmienione.

Rozpowszechnienie się więc polewy ołowianej stanowiło wielki postępek w garncarstwie, w kierunku praktycznym, — pod względem ar-

tystycznym jednak nie wywarło nawet tego wpływu, co w starożytności zastosowanie lustru. Dopiero zupełne zakrycie masy glinianej nieprzezroczystą białą lub kolorową emalią, umożliwiło dalszy artystyczny rozwój garncarstwa, wytwarzając nowy dział wyrobów, z porządku czwarty, mianowicie dział wyrobów glinianych emaliowanych, znanych pod nazwami: fajansu zwykłego, albo majoliki. Masa tych wyrobów, podobnie jak i należących do pierwszych trzech działów, jest nieprzezroczysta, kolorowa lub biaława, mięka, z odłamem ziemistym. Cechą zaś ich wybitną jest nieprzezroczysta emalia, w skład której wchodzi tlenek cyny. Tak samo jak polewa ołowiana, tak i cynowa emalia na wyrobach glinianych, wzięła swój początek w Azji. Arabowie przenieśli ją do Europy i w wieku XIV-ym zastąpiły ich wyroby w Hiszpanii. Drugim miejscem, głośnie z wyrobu fajansów w wiekach średnich, była wyspa Majorka, od której pochodzi i nazwa majoliki, używana dotąd przez amatorów starych fajansów. Nazwa ta weszła pierwotnie w użycie we Włoszech, podczas gdy w innych krajach przeważała właśnie włoska nazwa „fajansu,” pochodząca od miasteczka Faenza w Romanii, gdzie wyrabiano naczynia emaliowane w pierwszych latach epoki odrodzenia.

We Włoszech w wieku XV-ym wybór fajansów ulepszony został tak dalece, że później za wynalazcę fajansu poczytywano rzeźbiarza florenckiego Łukasza della Robbia <sup>1)</sup>. Jeżeli jednak nie wynalazcą fajansu, to był on w każdym razie inicjatorem odrodzenia sztuki ceramicznej we Włoszech. Jako rzeźbiarz wykonał wiele dzieł pierwszorzędnych, które uczyniły jego imię rozgłośnie i zewsząd sprowadziły mu obstalunki. Biograf artystów epoki odrodzenia, Vasari, opowiada że wtedy właśnie Łukasz della Robbia, zapragnąwszy wytwarzać dzieł jak najwięcej a nie mogąc wydażyć z wykonywaniem w marmurze, przemysłiwac począł nad wynalezieniem sposobu utrwalania ulepionych z gliny modeli przez pokrywanie ich białą emalią, któraby im nadawała blask i piękność marmuru. Pierwszym jego utworem ceramicznym była piękna płaskorzeźba Zmartwychwstania, w katedrze florenckiej, pod chórem dla muzyki a nad drzwiami do zakrystyi, wykonanemi przezeń z brązu. Białe jęj figury, odbijające się na tle niebieskiem, stanowią miłe dla oka przejście od cieniów brązu do zupełnej białości marmurowego chóru. W drugiej płaskorzeźbie fajansowej Łukasza, w tymże samym kościele, zastosowane są różne kolory. W ogóle pozostawił on dzieł mało, najwięcej ołtarzyków a właściwie górnych ich części, to jest nastaw. Wszystkie jego prace odznaczają się starannem modelowaniem, prostotą i wdzięcznym kolorytem. Styl ich jest czysty, rzec można, że della Robbia był Rafaelem fajansu. Pod względem technicznym są to wyroby doskonałe, emalia ich jest twarda, cienka, błyszcząca i bez żadnej skazy, glina dobrze wypalona a jęj

<sup>1)</sup> Les della Robbia, leur vie et leur oeuvre, d'après des documents inédits, par J. Cavallucci et E. Molinier. Paris, 1884.



kurczenie się obliczone tak znakomicie, że różne pojedyncze sztuki, tworzące całość płaskorzeźb lub rzeźb większych, pasują do siebie ściśle, nie pozostawiając żadnych szpar. W dziejach ceramiki, przez zastosowanie poraz pierwszy emalii, do wytwarzania z gliny dzieł zupełnie nowych, mogących zaspakajać rozliczne potrzeby architektury, położył Łukasz della Robbia niespożyte zasługi. Chociaż więc nie wyrabiał naczyń, zaliczyć go można do grona sławnych garncarzy nowożytnych, jako odnowiciela i najznakomitszego reprezentanta sztuki ceramicznej we Włoszech.

Łukasz della Robbia przekazał swą sztukę i jej tajemnice synowi Andrzejowi, który z mniejszym talentem wprawdzie, pracował jednak wiele i pozostawił liczne, choć drobne, płaskorzeźby i ozdoby. Po nim odziedziczyli tajemnice wyrobu trzej jego synowie, dla Franciszka I-go. Tymczasem we Włoszech nastąpiły czasy największego rozkwitu przemysłu fajansowego. Zasknęły fabryki w Pesaro, Castel Durante, Urbino i Dubbio. Fajanse włoskie zaczęły się rozchodzić po całej Europie a we Francji zwróciły na siebie uwagę jednego myślącego szklarza, który postanowił własną pracą dojść do odkrycia wtedy tam nie znanych sposobów emaliowania wyrobów glinianych. Szklarz ten, to postać wybitna w dziejach garncarstwa, legendowy typ wynalazcy rzemieślnika-myśliciela, jeden z piękniejszych przykładów samopomocy.

Bernard Palissy <sup>1)</sup> był szklarzem w ówczesnym znaczeniu tego słowa. Malował na szkle i zestawiał kolorowe okna kościołów i zamków. Posiadając niezbędne w tym rzemiośle zasady rysunku liniowego, wykształcił się w nim gruntownie i nauczył zdejmować plany i mierzyć grunto. W młodości swę wędrował po Francji i po Niemczech, widział i zauważył wiele. Około roku 1535 powrócił w strony rodzinne i osiedlił się w Saintes. Przybyła żona i dzieci, szklarstwo i miernictwo nie dawały wiele dochodu i Palissy przemysłować zaczął nad wynalezieniem sobie innych, korzystniejszych zajęć. Wpadła mu wtedy w ręce czasza fajansowa, pięknie wymodelowana i świetnie zabarwiona i to go skierowało w dziedzinę garncarstwa. Umyślił odkryć tajemnicę emaliowania wyrobów glinianych, znaną już w fabrykach włoskich, ale niedostępną dla ubogiego cudzoziemca. Powzięcie podobnego zamiaru wymagało nie lada odwagi. Palissy nie znał wcale części składowych emalii, nie widział nawet nigdy jak się wypalają garnki. Musiał więc próbować różnych glin, wyuczyć się modelowania, stać się garncarzem, modelierem i chemikiem. Idąc po omacku gromadzi

<sup>1)</sup> Bernard Palissy par Philippe Burty. Paris, 1886. Bernard Palissy, étude sur sa vie et ses travaux par Louis Audiat. Paris, 1868.

ou wszystkie ciała, z których przypuszcza że po wypaleniu może się wytworzyć emalia, buduje piec i próbuje wypalenia skorup glinianych, powleczonych różnemi mieszaninami. Gdy we własnym piecu nie otrzymuje żadnego wyniku, nosi swe próby do pieców garncarzy, ale i tam emalia się nie pojawia. Brak środków zmusza go do przerywania tych doświadczeń i do podjęcia nadarzających się właśnie prac mierniczych, na których zarabia trochę grosza. Zabezpieczony na czas pewien wraca znów do swych poszukiwań nad emalią. Przekonawszy się że temperatura zwykłego pieca garncarskiego jest niedostateczną do stopienia emalii, wypalać zaczyna swe próbki w piecach szklarskich, ale i tam z początku mu się nie udaje. „Bóg chciał, powiada w jedném z pism swoich, że gdy już zaczynałem tracić odwagę, jedną z próbek po czterogodzinném wypaleniu, wydobyto z pieca białą i szklącą. Sprawilo mi to taką radość, że myślałem iż staje się nowem zupełnie stworzeniem.“

Ten błysk powodzenia zachęcił Bernarda do zbudowania własnego pieca na wzór szklarskich. Ale jego zasoby pieniężne były wyczerpane, musiał więc murować własnemi rękami. Musiał potem przygotowywać glinę i różne mieszanki mające wytworzyć emalią. Skład jej wszakże nie był jeszcze prawidłowy i sześciodniowe wypalanie nie zeszkliło powłoki gliny. Palissy był w rozpacz, potłukł nieudane wyroby i pośpieszył z przygotowaniem innych przed wystygnięciem pieca. Tymczasem wyszedł mu cały zapas drzewa. „Zmuszony byłem, opowiada, spalić wszystkie żerdzie i tyki mego ogrodu. Gdy spłonęły, porąbałem stoły i podłogi domu, aby mózż wypalić drugą próbę emalii. Nie zdołałem opisać mego niepokoju. Byłem wyczerpany pracą i spieczony gorącym piecem,—od miesiąca nie obsychało na mnie odzienie. A na pociechę śmiano się ze mnie. Ci, którzy powinni byli mi dopomóc zaczęli rozgłaszać po mieście że palę moje podłogi, gubiąc temi plotkami mój kredyt i przedstawiając mnie za waryata. Inni rozpowiadali, że robię fałszywe pieniądze, a ta potwarz doprowadzała mnie do rozpacz. Nie śmiałem się pokazać na mieście, zadłużony wszędzie...“

Ale w miarę wciąż rosnących przeszkód wzmagala się energia wynalazcy. Odszedł przynajęty pomocnik, bo nie było go czém płacić. Palissy sam przebudowuje swój piec i zbliża się już do upragnionego celu: otrzymania emalii. Tymczasem od ścian świeżego pieca, gdy został silnie rozgrzany, odrywają się kamyki i zasypują miękkie jeszcze wyroby, wpijając się w ich powierzchnię. Gdy w obecności wierzycieli, zychających na zapowiedziane fajanse, Palissy wypróżnia piec, wyjmując z niego zeszecone tylko wyroby. Wierzyciele chcą je zabierać po niższej cenie, ale nie zgadza się na to wynalazca i dbały o swą sławę rozbija całą nieudaną partya. Następują nowe wysiłki i nowe zawody. Jak poprzednio kamyki, tak znów teraz popiół zasypuje w piecu mokrą jeszcze emalią. Aby więc ochronić wypalone przedmioty wewnątrz pieca, Palissy wpada na myśl zakrywania ich



używanemi do dziś w tym celu glinianemi puszkami czyli kasetami. Później znów walczyć musi z niejednostajnym rozgrzewaniem się pieca, i wypróbowywać przy jakiej temperaturze topi się każdy rodzaj emalii. Na tych próbach i pracach, w biedzie i opuszczeniu, schodzi mu całe lat szesnaście, ale też cel wymarzony osiągniętym zostaje w zupełności. Opanowawszy wszystkie tajniki wyrobu fajansów, Palissy wytwarzać zaczął naprzód naczynia emaliowane z żyłkami na wzór marmurów. Po nich nastąpiły tak zwane fajanse wiejskie (*pièces rustiques*), wielkie półmiski owalne, ozdobione wypukłemi rzeźbami, złożonemi przeważnie z modelowanych z natury: muszli, liści, kamyków, ślimaków, jaszczurek i t. p. Są to najorginalniejsze jego wyroby. Otrzymał je grupując i nalepiając na talerzach cynowych: liście, różne zwierzęta i gady a następnie odlewając z nich formy, które mu służyły do modelowania. W końcu wyrabiał także fajanse z figurami rzeźbionemi, zapewne nie jego utworu, gdyż nie był rzeźbiarzem. Kierował tylko ich modelowaniem, a już sam je emaliował i wypalał. Wszystkie te jego wyroby mają właściwy sobie styl i specjalne zalety. Kształty ich są w ogóle dość czyste. Mie ma na nich właściwego malowania, na płaskich powierzchniach, różnemi kolorami i odcieniami, lecz prawie zawsze kolorowane płaskorzeźby. Emalia jest twarda i pełna blasku, ale nieraz przedstawia mnóstwo maleńkich pęknięć. Kolory są żywe, choć niezbyt urozmaicone. Kolor biały jest nieco żółtawym i niema owęj świetnej białości Łukasza della Robbia.

Fajanse wiejskie Bernarda Palissy, zdobiące ówczesne sale jadalne bogatych zamków, oryginalnością i pięknością wyrobu zwróciły uwagę Karola IX-go a królowa matka Katarzyna de Medicis wzięła w opiekę ich twórcę. Właśnie ta opiekka była mu niezbędną, z powodu prześladowań na jakie go naraziło na prowincyi, przyłączenie się do reformy i czynne jój propagowanie. Wkrótce też przeniósł się na stałe do Paryża, gdzie królowa matka poleciła ozdobienie fajansami groty wiejskiej w ogrodzie Tuilleryskim. Prace te i rozchodzące się po całym kraju fajanse, wyrobiły mu ogólne uznanie. Zamówienia napływały zewsząd i mistrz Bernard z Tuillierów, jak go wtedy nazywano, zaopatrzony w wszystko, otoczony dostateczną liczbą pracowników, mógł nie tylko pracować spokojnie w swoim zawodzie, ale i swobodnie rozmyślać o różnych kwestjach naukowych i technicznych, do których go ciągnęła wrodzona ruchliwość i żywotność umysłu. Przypominał też sobie i zestawiał fakta, zauważone podczas swych podróży w młodości—i wyciągał z nich wnioski, sprawdzając je doświadczeniami i gromadząc całe zbiory różnych okazów. Powoli powstało tym sposobem istotne muzeum prywatne, obfite zwłaszcza w okazy kryształów i skamieniałości. Z nagromadzonym materiałem naukowym, postanowił Palissy wystąpić publicznie i w roku 1575 zainaugurował niezwane przedtém we Francyi odczyty, traktujące o różnych kwestjach z dziedziny nauk przyrodzonych. Były to pierwsze, uorganizowane i płatne wykłady publiczne, wygłaszane poza obrębom

istniejących instytucji naukowych i w Palissym uczyć wypada istotnego inicjatora odczytów, w dzisiejszym znaczeniu tego słowa. Kwestye poruszane na katedrze opracował później szczegółowo i ogłosił drukiem. Dzieła jego, pełne oryginalnych poglądów i zdrowych myśli, zapewniły mu zaszczytne miejsce w rzędzie francuzkich uczonych i pisarzy a zwłaszcza w rzędzie tych ostatnich, tak dalece, że co do języka Lamartine stawia Palissy'ego obok Bossuet'a. By znów dać miarę wartości jego poglądów naukowych, nadmienię że między innymi znajdujemy w jego pismach zaznaczenie wartości nawozowej soli amoniakalnych i jakby przedwstępny szkic teorii nawozów rolniczych. Doszedł także Palissy do postawienia racjonalnej teorii kryształowania, utrzymując że sole i inne ciała nie mogą kryształować inaczej jak po przejściu przez stan płynny, to jest albo stopione w wysokiej temperaturze, albo rozpuszczone w wodzie. O powstawaniu źródeł i formacjach napływowych skorupy ziemskiej, miał on ideje równie postępowe, jak Leonard Vinci, a jednak niewątpliwie nie znał prac tego wielkiego uczonego. Zwłaszcza, odnośnie do skamieniałości, Palissy rozwinął poglądy tak oryginalne, i nagromadził tyle spostrzeżeń, że Cuvier nie zawahał się upatrywać w nich pierwszych podstaw nowoczesnej geologii.

Postępowe poglądy w dziedzinie nauk przyrodzonych, wygłaszane publicznie, naraziły w końcu Palissy'ego na prześladowania religijne. W roku 1588, za czasów Ligi, wtrącono go do więzienia. Henryk III-ci, nasz Walezyusz, odwiedzał go w Bastylii, ale za mało miał władzy i energii, by go wypuścić na wolność. Zdołał go jednak obronić od stosu i znękaný starzec zmarł po roku w murach więzienia. A zmarł unosząc ze sobą do grobu tajemnicę swych pięknych emalii, co znniejsza znacznie jego zasługi w dziejach garncarstwa i jednocześnie stanowi fakt tém ciekawszy, że sam Palissy, w jednym ze swych dyalogów dowodził pożytku ogłoszenia opisu metod, do których doszedł. Gdyby był tak postąpił i przekazał następcom owoce swych bohater-skich wysiłków, stałby się istotnie wielkim i pożytecznym. A tak, jest tylko „bohaterem wśród garncarzy,” jak go nazywa Brongniart, ale na dalszy rozwój tego przemysłu nie wywarł bezpośredniego wpływu.

Dopiero dzięki powolnemu rozpowszechnianiu się metod włoskich w XVII-ém stuleciu, powstały we Francyi większe fabryki fajansów w Nevers i Rouen i kilka mniejszych. W Rouen wyrób fajansów rozwinął się na szerszą skalę, zastąpili nawet znakomici garncarze Poterat ojciec i syn, ten ostatni znany także jako wynalazca porcelany miękkiej sztucznej. W XVIII-ém stuleciu wyrób fajansów we Francyi rozpowszechnił się więc jeszcze, powstały fabryki w Lotaryngii, pod opieką Stanisława Leszczyńskiego i zastąpił rzeźbiarz Cyfflé, jako twórca nader udatnych małych statuetek. Wszakże tak fajanse włoskie jak i francuzkie, o których wspominałem dotąd, były wszystkie raczej przedmiotem zbytku niż użytku. Większą w nich rolę grały oz-



doby niż zalety samej masy, zwykle niedość mocnej i nie odpowiedniej do częstego użycia.

W Niemczech w wieku XVI-ym odznaczeni się garncarze norymberscy, a zwłaszcza rodzina Hirschvogłów. Jeden z nich Augustyn, wyrabiał wazony fajansowe, których emalia czysta i świetna i staranne modelowanie, miały pewne podobieństwo do wyrobów Bernarda Palissy. Niemcy raczyli nawet z tego powodu posądzać o plagiat garncarza francuzkiego, nie zdoławszy jednak udowodnić swych zarzutów. Tak Hirschvoglowie, jak i inni garncarze norymberscy, zasłynęli głównie wyrobem kafli ozdobnych, z polewą zieloną lub brunatną, a olbrzymie piece z tych kafli widzialne dziś w muzeum germańskiem w Norymberdze, wywołują mnóstwo powiększej części niezręcznych naśladowań. Oprócz tego cała jedna gałąź przemysłu garncarskiego wzięła swój początek w Niemczech, mianowicie wyroby kamionkowe, czyli tak zwane z niemiecka „steinguty.“ Wyroby te różnią się od wszystkich, o których mówiłem dotąd i to nie zewnętrzną powłoką, ale samą naturą masy. Tak bowiem wyroby matowe i lustrowane, jak polewane i emaliowane, mają wszystkie masę jednakową nie stopioną i nie zbitą, ale gębczastą, z odłamek ziemistym, przepuszczającą wodę i przyczepiającą się do języka. To też Brongniart zbiera je razem w jedną klasę, której charakter wybitny stanowi miękkość i dziurkowatość masy. Do innej zupełnie kategorii należą wyroby kamionkowe, których masa ciężka, twarda i dźwięczna, nieprzeświecająca, zbita, mniej lub więcej drobnoziarnista, składa się z glinki ogniotrwałej z przymieszką kwarcu, jako topnika. Naczynia kamionkowe bywają albo zupełnie bez polewy, albo też mają polewę z soli z małą przymieszką tlenu ołowiu, lub wreszcie mogą być emaliowane. Epoka największego rozwoju wyrobów kamionkowych przypada na drugą połowę XVI-go wieku w Niemczech i Hollandyi. Były to przeważnie dzbany i kufle. Najdawniejsze jednak dzbany kamionkowe poszukiwane wielce, pochodzą z XV-go wieku, a tradycya rozpowszechniona w Hollandyi, przypisuje inicjatywę ich wyrobu Jekobei Houlderkskiej, która w r. 1433, zmuszona ustąpić swe posiadłości Filipowi Burgundzkiemu, uwięzioną została w zamku Teilingen, nad Renem. Tam to miała nieszcześliwa księżniczka szukać zapomnienia w dzbanie, a że każdy dzban, gdy był już pusty, wyrzucała za okno, więc założyła na zamku całą ich fabrykę. Nie świadczą one jednak zbyt świetnie o jej guście. Wyroby kamionkowe z drugiej połowy XVI-go wieku są obecnie naśladowane na wielką skalę i mają znaczny pokup w Niemczech. Naśladowania te jednak nie dorównują starym oryginalnym wyrobom, zwykle niekolorowanym a pięknym naturalną barwą, masą i starannem modelowaniem.

Wspominałem już że wschód był kolebką dwóch działów wyrobów glinianych, mianowicie wyrobów polewanych i emaliowanych i że

obie te gałęzie przemysłu garncarskiego, wzięwszy tam swój początek jakby wegetowały w ukryciu dłużej lub krócej, by nagłem pojawieniem się swém w Europie odrodzić garncarstwo i skierować je na zupełnie nowe drogi. Ale ważniejszą jeszcze rolę, pod względem swego wpływu na przemysł europejski, odegrało garncarstwo wschodnie w wieku XVII-ym. Jeżeli poprzednio, przez polewę i emalię, upraktycznionemi i upiększonemi zostały wyroby gliniane miękkie, to znów, w wieku XVII-ym Europa otrzymała ze wschodu nowy zupełnie wytwór porcelany. Odkąd ją znali Chińczycy, trudno określić. Utrzymują niektóre podania, że na 2,600 lat przed Chrystusem istniał w Chinach urząd intendenta garncarstwa. To pewna wszakże, że już na lat dwieście przed początkiem naszej ery wyrabiano tam porcelanę, — pierwszym zaś fabrykantem, którego wymieniają kroniki chińskie był Thao-ju, w VII-ym wieku po Chrystusie. Wyrabiał on piękne wazy dla dworu, kolorowane na tle białem, świetnego połysku. Odtąd już znani są wszyscy znakomitsi garncarze chińscy, których pomnę tu nazwiska, do zatrzymania nie łatwe. Jeden z nich w wieku X-ym wyrabiać zaczął piękne porcelany niebieskie gwoli życzeniu cesarza, który żądał od niego porcelany takiego koloru, jak „niebo po deszczu, widziane w przerwach między obłokami.” Wyrób porcelany w Chinach rozpowszechniony już w XV-ym stuleciu, osiągnął najwyższego swego rozwoju pod względem artystycznym w wieku XVII-ym; później choć wzmógł się jeszcze ilościowo, stale jednak obniżał swój poziom artystyczny i obecnie pod tym ostatnim względem, chyli się ku upadkowi. Japonia, zapożyczwszy od Chiu przemysł porcelanowy, w wieku XVI-ym, rozwinęła takowy znakomicie i dziś pod wieloma względami stoi w nim wyżej od jęgo ojczyzny.

Porcelana w ogóle od wszelkich innych wyrobów garncarskich odróżnia się tem, że ma masę białą, twardą, niedającą się rysować stalą i zawsze przeświecającą. Porcelana twarda, to jest taka jak chińska, odznacza się przytém delikatuością téj masy, oraz glazurą twardą, ziemistą. Masa porcelany twardej składa się z dwóch części: kaolinu i topnika. Nietopliwość i urabialność nadaje jej kaolin, czyli ziemia porcelanowa, to jest najczystsza glina, powstała z rozkładu feldspatu, a składająca się z zupełnie prawie czystej krzemionki i glinki. Ale sam kaolin nie wytworzy w ogniu naczynia. Jak każda glina, potrzebuje on topnika, aby zachowując urobione kształty, wypalić się na trwałą masę. Topnik używany do wyrobu porcelany twardej, składa się tu albo z samego spatu polnego, albo też pomieszanego z gipsem, kredą lub kwarcem. Glazura porcelany twardej ma ten sam skład co i topnik. Ołów i cyna, wchodzące w skład emalii fajansów, są tu zupełnie nieobecne. Wypala się tę porcelanę dwa razy: raz słabo przed glazurowaniem, drugi raz z glazurą silnie.

Na ten nowy i nieznan w Europie wyrób garncarski, sprowadzany jeszcze przez Wenecyan w wiekach średnich, patrzano przez



czas długi jak na rzecz nadprzyrodzoną i przypisywano mu magiczne własności. Erudyt i prawoznawca włoski Panciroli, piszący w samym końcu XVI-go wieku, utrzymywał że masa porcelanowa składa się z gipsu, skorup jaj, mięczaków morskich i t. p. i że każde naczynie porcelanowe pęka, gdy weń wlać truciznę. Nazwę swą europejską otrzymała prawdopodobnie porcelana od podobieństwa swego z muszlą, dawniej jeszcze a i dziś porcelanką zwaną. W połowie XVI-go wieku, gdy portugalczyki prowadzić zaczęli ożywiony handel z Chinami i Japonią, wszczął się napływ wyrobów porcelanowych do Europy i rozwinęło się upodobanie w tych niewątpliwie najpiękniejszych twórcach przemysłu garncarskiego. Nie miano wszakże żadnego pojęcia o ich naturze, a ściśte wiadomości o sposobie wyrobu porcelany chińskiej, doszły do Europy dopiero od r. 1712. Wprawdzie już przedtem przestano wierzyć w cudowną naturę tej porcelany, sądzono wszakże że wyrabianą może być tylko ze specjalnej gliny, znajdującej się wyłącznie na wschodzie i nikomu nieprzychodziło na myśl szukać jej w koło siebie w Europie. Ta długa nieświadomość przyniosła jednak przemysłowi garncarskiemu jeden wielki pożytek. Zanim bowiem, przez znalezienie kaolinu w Europie, przekonano się o możliwości wyrobienia tu porcelany twardej, — tymczasem, powodzeniem naczyni chińskich pobudzeni do pracy wynalazcy europejscy, doszli do wytworzenia innego gatunku porcelany.

Już w końcu XVI-go wieku, zdołano otrzymać we Florencji, pierwsze i nader udatne próby naczyń przeświecających, pokrytych szklistą powłoką, — za istotnego wszakże inicjatora wyrobu porcelany bez kaolinu, poczytywać wypada dopiero Ludwika Poterat <sup>1)</sup>, fabrykanta fajansów w Rouen, w drugiej połowie XVII-go stulecia. W roku 1673 otrzymał on przywilej na założenie na przedmieściu Saint-Sever fabryki, jak ją chciał zatytułować: „Prawdziwej porcelany chińskiej.” Fabryki tej jednak nie otworzył a tylko wykonał w Rouen pierwsze próby wyrobów i dopiero Morin rozpoczął w Saint-Cloud regularny wyrób tej porcelany, zwanéj miękką lub frytową. Nie miała bynajmniej masy miększej od porcelany twardej a tylko miększą glazurę, dającą się już rysować stałą i niewytrzymującą równie wysokiej temperatury. Masa jej była margłowa, delikatna, ciężka, prawie zeszkłona, przeświecająca i topliwa w wyższej temperaturze. Składała się z części ziemistych, alkaliów i soli. Polewę miała szklistą, przezroczystą, zawierającą w sobie ołów, ale twardszą od polewy zwykłych naczyń glinianych. Z powodu wchodzących w skład jej masy sztucznych preparatów, nazwano ją później porcelaną miękką sztuczną. W XVIII-ém stuleciu powstały fabryki tej porcelany w Chantilly i Vincennes, a ta ostatnia, przeniesiona w r. 1756 do Sèvres, stała się

<sup>1)</sup> Histoire de la Céramique par Edouard Garnier 2-me ed. Tours 1882.

pierwszym narodowym zakładem wyrobu porcelany we Francji. Wyrabiano w niej porcelanę miękką sztuczną do początku bieżącego stulecia. Fabrykacja to była trudna i dla tego została zaniechana, pomimo niezaprzeczonej pigkności wyrobów. Podjęto ją w Sèvres na nowo dopiero w ostatnich latach. W Anglii za to, gdzie wyrób porcelany miękkiej zaraz w samym początku zapożyczony został od Francuzów, przez zastosowanie domieszki kaolinu, w drugiej połowie zeszłego stulecia, przekształcono i używotniono ten dział garncarstwa tak dalece, że nie tylko rozwinął się tam i nieprzerwanie do dziś istnieje ale jeszcze przeszedł stamtąd do innych krajów. Porcelana miękka angielska, dla odróżnienia od sztucznej francuskiej, zwana jest także porcelaną miękką naturalną, bo części składowe jej masy brane są wprost z pomiędzy ciał napotykanych w przyrodzie, mianowicie: kaolin, kości mielone, dające fosforan wapna, glina ogniotrwała, krzemień wypalony i piasek kwarcowy. Szklista polewa tej porcelany składa się najczęściej z feldspatu, kwarcu, boraksu i szkła krystalicznego zawierającego w sobie ołów.

Podczas gdy w ojczyźnie Bernarda Palissy rozwijać się zaczynał, dziełem mozolnych prac i poszukiwań będący przemysł porcelany miękkiej sztucznej, w Niemczech prosty przypadek doprowadził do odkrycia pokładów kaolinu. Ale przypadek ten na szczęście trafił na człowieka, umiającego pojąć i wyzyskać jego znaczenia. Był nim Jan Fryderyk Böttger <sup>1)</sup>, druga po Palissym wybitna postać garncarza. Ustępując co do olbrzymich wysiłków pracy i pomysłowej genialności garncarzowi francuskiemu, położył jednak Böttger, istotnym wytworzeniem przemysłu porcelany twardej w Europie, nierównie większe zasługi w garncarstwie.

Urodzony w Saksonii w r. 1682, po ojcu, który w chwilach wolnych poszukiwał kamienia filozoficznego, odziedziczył Böttger zamiłowanie do alchemii i sporo przesądów. Wyrastkiem będąc, szczycił się jeszcze że się urodził w niedzielę, co według zabobonów spółczesnych dawało możność odgadywania przyszłości. Gdy miał lat dziewiętnaście i praktykował u aptekarza Zorna w Berlinie, wystany raz został do doglądania chorego. Tym chorym był przejezdny alchemik, podający się za greka Laskarysa z Mytyleny. Wielu takich jeździło w owym czasie po świecie, okpiwając kogo się dało mniemanem wytworzeniem złota. Böttger, sam alchemik w głębi ducha, doglądał troskliwie mniemanego mistrza i potrafił zaskarbić sobie jego względy. To też Laskarys, opuszczając Berlin, zostawił mu wspaniały podarek: dwie uncje proszku filozoficznego, mądrze zalecając, aby nikomu nie mówił z kąd go dostał i nie używał aż upłynie oznaczony czas po jego wyjeździe. Wątpić wypada czy Böttger zastosował się do tego ściśle,

<sup>1)</sup> J. F. Böttger, *Erfinder des sächsischen Porzellans*, von A. u. M. Engelhard. Leipzig, 1837.



ale za to, zaraz po pierwszej próbie, która się zupełnie udała, rzucił aptekę i zaczął praktykować jako alchemik. Przemiany metali nie mogły się nie udawać, bo proszek filozoficzny był po prostu związkami złota, ulegającym rozkładowi w ogniu i osadzającym złoto metaliczne. To też szybko się rozeszła po Berlinie sława Böttgera i Fryderyk I, król pruski, zapragnąwszy widocznie bliżej się obznajmić z doświadczeniami, polecił przytrzymać młodego alchemika. W czas ostrzeżenia, umknął Böttger do Wittebergu,—ale król pruski zbyt był żądny posiadania drogocennej tajemnicy, aby dać za wygraną. Skoro władze berlińskie powzięły wiadomość o miejscu pobytu Böttgera, wyprawiony został komisarz z obowiązkiem namówienia go do powrotu, lub w razie potrzeby dostawienia przemocą do Berlina. Jednocześnie wszakże dowiedział się o Böttgerze August II. Prusy reklamowały alchemika na zasadzie jakoby pochodził z Magdeburga, gdzie się tylko wychowywał,—August zaś uważał go za swego poddanego, jako rzeczwiście urodzonego w Saksonii. Böttger zmuszony wybierać między dwoma, napraszającymi się tak usilnie protektorami, przełożył Sasa nad Prusaka, udał się do Drezna i tak zachwyił Augusta pierwszym zaraz doświadczeniem, że w jednej chwili mianowany został baronem.

Szybkie dojście do zaszczytów oszołomiło Böttgera. Sowiec uposażony przez króla, zaczął udawać pana, pocieszając się myślą, że gdy mu zbraknie proszku, który miał od Laskarysa, zdoła sam przygotować nowy zapas. Nastąpiła przewidywana katastrofa, ale Böttger nieokazał się tak biegłym alchemikiem, jak Laskarys. Tymczasem August II żądał nowych doświadczeń a Böttger, nie mogąc uczynić zadość żądaniom króla, uwięziony został we własnym domu, który sobie zostawszy baronem w Dreźnie zbudował. Podobno Laskarys, dowiedziawszy się o tém, usiłował go oswobodzić, ale spisek się nie udał i Böttger, przewieziony z Drezna do Sonucnteinu, oddany został pod straż Waltera von Tschirnhaus'a.

Oddawna już pracowano w Niemczech nad wynalezieniem sposobów wyrobu porcelany, takićj jak sprowadzana z Chin i Japonii. Pa-uujący nie szczydzili na to kosztów a i August II polecił odnośne badania Tschirnhausowi. Gdy powierzony mu Böttger, poszukujący bezskutecznie w więzieniu proszku filozoficznego, narażał się tylko na wciąż rosnący gniew króla,—Tschirnhaus, poznawszy w nim biegłego chemika, nakłonił go do przyjęcia udziału w pracach przy poszukiwaniu porcelany. Nowy współpracownik odznaczył się wkrótce, wynajdując tak zwaną porcelanę czerwoną, właściwie wyrób kamionkowy, nie mający nic wspólnego z naczyniami chińskimi. Wynalazek przypadł do smaku Augustowi i Böttger, w roku 1707 przeniesiony został do zamku Albertsburg w Meissen pod Dreznem, gdzie wspólnie z Tschirnhausem kierował wyrobem tak zwanćj porcelany czerwonej a jednocześnie prowadził dalej poszukiwanie porcelany bia-łej. Strzeżony był wciąż pilnie i do Drezna nie wyjeżdżał, jak pod ścisłym nadzorem. Śmierć Tschirnhaus'a nie zmieniła w niczém jego

położenia. Chociaż jednak pozbawiony wolności osobistej, Böttger gorliwie i ochoczo oddawał się pracy, aż nareszcie traf szczęśliwy pozwolił mu świetnym wynikiem uwiecznić kilkoletnie usiłowania.

Dr. Klemm, b. konserwator muzeum drezdeńskiego, opowiada w swém dziele o porcelanie saskiej <sup>1)</sup>, jak w r. 1711, jeden właściciel kuźnic w górach kruszcowych, jadąc kouno w pobliżu miasteczka Aue, zauważył że koń grzęźnie kopytami w białej i miękkiej glinie. Nasunęło mu to myśl wysuszenia tej gliny i starcia jej na proszek, mianowicie w celu spróbowania, czy proszek ten niemógłby zastąpić dość drogiego a powszechnie używanego wtedy do obsypywania peruk, pudru z krochmalu. Proszek okazał się zupełnie odpowiednim i Schnorr zaczął takowy sprzedawać. Böttger, noszący również upudrowaną perukę, zauważył że była ona raz cięższą niż zwykle. Pokazało się, że lokaj użył tego dnia właśnie nowego proszku. Böttger, przekonawszy się że to jest sproszkowana biała glina, spróbował jej natychmiast jako materiału garncarskiego i znalazł w niej czysty kaolin, używany w Chinach do wyrobu porcelany.

Ważność odkrycia, mającego się stać dla Saksonii obfitęm źródłem dochodów, ocenioną została należycie przez rząd. Böttger wrócił do łaski królewskiej i do odjętej mu przy uwięzieniu baronii. W Meissen założona została wielka fabryka,—a dla zabezpieczenia tajemnicy wyrobu przedsięwzięto nadzwyczajne środki ostrożności. Tak nazwana „biała ziemia Schnorra,” której wywóz po za granice Saksonii surowo został wzbroniony, dostawianą była do fabryki w opieczetowanych beczkach, przez ludzi zaprzysiężonych i pod konwojem wojska. Wszyscy pracownicy fabryki, od dyrektora do ostatniego wyrobownika, musieli złożyć przysięgę, że tajemnicę dochowają do grobu. Za zdradę oznaczoną była kara dożywotniego więzienia w Königsteinie. Dyrektorem zakładu mianowany został baron Böttger, który jednak, odzyskawszy zaszczyty i dochody, powrócił przy nich do dawnego hulaszczego życia i zmarł młodo w r. 1719.

Pierwsze porcelany, wyrobione w Meissen, naśladowały do złudzenia kształty i ozdoby dawnych porcelan chińskich, przechowywanych w muzeum drezdeńskim. Po śmierci Böttgera, artystyczny kierunek fabryki stał się wigiej oryginalnym i wyroby porcelanowe saskie zastępnęły na całym świecie. Tajemnica fabrykacyi nie mogła się utrzymać zbyt długo. Już w r. 1718, jeden z majstrów Böttgera, Stöbssel, protegowany przez Karola VI-go, założył fabrykę porcelany w Wiedniu. Marya Teresa, odkupiwszy ją w następstwie, zamieniła na zakład rządowy. Porcelany wiedeńskie, wyrabiane z kaolinów morawskich, odznaczały się także białością masy zewnętrzném wykończe-

<sup>1)</sup> Die kön. sächsische Porzellan-Sammlung. Eine Uebersicht ihrer vorzüglichsten Schätzte, nebst Nachweisungen über Geschichte der Gefäßbildneri in Thon und Porzellan von dr. G. Klemm. Dresden 12-o.



niem. Z Wiednia, przemysł porcelanowy rozprzestrzenił się po Niemczech a dalej i po innych krajach.

We Francyi, wyroby saskie zaraz lepiej przypadły do gustu od porcelany miękkiej, wyrabianej w Vincennes. Jednocześnie, od ojca Entrecolles, misyonarza francuzkiego w Chinach, nadeszły ściślejsze wiadomości o wyrobie porcelany chińskiej,—i próbujący także wypalania różnych glin, znany fizyk Réaumur szukać zaczął kaolinu we Francyi, ale bezskutecznie. Tymczasem fabryka z Vincennes przeniesioną została do Sèvres i przeszła na wyłączną własność rządu. Wyroby jej pod względem artystycznym były znakomite, ale co do gatunku masy i polewy nie mogły wytrzymać porównania z saskiem. Odkryty w r. 1760 pokład kaolinu, koło Alençon nie dał oczekiwanych wyników,—porcelana z téj gliny była szara i znacznie gorsza od saskiej. Dopiero w kilka lat później, żona felczera Darnet'a, z Saint Yrieix koło Limoges, zauważyła w okolicy tego miasteczka ziemię białą i lepką, której próbkę przyniosła do domu, w nadziei, że się przyda do prania bielizny. Darnet jednak miał dość sprytu, by się domyśleć ważności odkrycia, zrobionego przez żonę. Próbki gliny, zawiezione do Bordeaux a potem do Paryża, okazały się czystym kaolinem i gliny Saint Yrieix zaraz używać zaczęto w Sèvres. Odtąd téż, to jest od r. 1769 datuje się wyrób porcelany twardej we Francyi. Fabryka w Sèvres, której świetny rozwój wstrzymany został w końcu zeszłego wieku przewrotami politycznemi, zakwitła na nowo w bieżącym stuleciu. Znani uczeni francuzcy: Brongniart, Ebelmen i Régnault byli kolejno jej dyrektorami a pierwszy z nich, jako autor wyczerpującego traktatu o sztukach ceramicznych <sup>1)</sup>, uważany jest do dziś za główną powagę w tym przedmiocie.

Mówiąc o fajansach włoskich i francuzkich, zaznaczyłem że były to przedmioty raczej zbytku niż użytku. Miały piękną emalię, bywały wspaniale ozdabiane kolorami, ale masa ich zbyt była łamliwą, by służyć mogły w bieżącym użyciu. Wyroby porcelanowe, bez ozdób, białe, gładkie, mogły się już przydać do tego celu,—w początkach wszakże kosztowały one zbyt drogo—a i obecnie, gdyby nie było innych, tańszych, nie mogłyby zaspokoić wszystkich potrzeb. Ten właśnie brak w przemyśle garncarskim wypełnili Anglicy, takim wydoskonaleniem i uprzystępnieniem wyrobów fajansowych, że mogą w zupełności zastępować porcelanę a są od niej tańsze. Wskazując praktyczną drogę garncarstwu, nie pomogli oni jednak jego strony artystycznej i nie tylko znaleźli nowe zupełnie materiały, ale i wytworzyli z nich artystycznie oryginalne typy.

Przez całe wieki średnie a i później aż do XVII-go stulecia,

<sup>1)</sup> *Traité des arts céramiques ou des poteries* par Alex. Brongniart. 8-me ed. avec notes et additions par A. Salvétat. Paris 1877.

garncarstwo dość było zaniedbane w Anglii. Dopiero pojawienie się zwykłych fajansów pobudziło ten przemysł do życia. W połowie XVII wieku garncarze holenderscy wprowadzili do Anglii rogtośne wtedy fajanse z Delft a także i wyroby kamionkowe. W r. 1678 istniały już wielkie fabryki w Burslem, fajansów i wyrobów kamionkowych, a nawet co do tych ostatnich korzystały z jednego miejscowego wynalazku, mianowicie glazury z soli kuchennój. Wynalazek ten był dziełem przypadku. Służąca rozpuszczała sól w wodzie, w celu osolenia wieprza. Podczas jój nieobecności woda wyparowała, sól pozostała w zetknięciu ze ścianami kamionki, stopiła się i utworzyła glazurę. Chemicznie łatwo się to objaśnia. Przy wysokości temperaturze, krzemionka, czyli kwas krzemny, znajdujący się w masie kamionki, rozkłada sól czyli chlorek sodu, tworząc z sodem krzemian sody a wydzielając chlor. Bracia Elersowie, słynni garncarze w Burslem, ulepszyli jeszcze system glazurowania wyrobów kamionkowych, rzucając po prostu sól w ogień, gdy się kończy wypalanie. Sól wtedy paruje i przez opisane działanie chemiczne, powleka ściany wypalanych wyrobów szklistą powłoką krzemianu sody.

Drugim ważnym wynalazkiem, a także przypadkowo, obdarzył garncarstwo angielskie Tomasz Astbury. Jechał on raz konno z Londynu do Dunstable i koń mu w drodze zachorował. Oberżysta, u którego się zatrzymał, poradził mu użyć jako lekarstwa, okładów na oczy z miejscowego krzemienia, który przedtem należało wypalić. Astbury, widząc jak przy wypalaniu ten kamień bieleje, umyślił spróbować, czy przez domieszanie podobnych kamyków zmielonych do gliny, nie otrzyma po wypaleniu masy białej—i udało mu się to w zupełności. Wynalazek ten był punktem wyjścia różnych ulepszeń, które wytworzyły fajans delikatny, jaki dziś znamy. Najwięcej z tych ulepszeń wprowadził w życie Wedgwood — i on téż, jak Łukasz della Robbia we Włoszech, Palissy, we Francyi, a Böttger w Niemczech, jest głównym przedstawicielem i niejako uosobieniem przemysłu garncarskiego w Anglii.

Jozyasz Wedgwood <sup>1)</sup> urodził się w Burslem w roku 1730, jako trzynasty syn z rzędu ubogiego garncarza. Małym chłopcem, pracował już w warsztacie garncarskim swego starszego brata. Przyszła choroba, zapadł silnie na nogę i musiano mu ją odjąć. Smutny ten wypadek stał się przyczyną przyszłej wielkości Wedgwooda. Zdrow, byłby może pozostał przez całe życie prostym garncarzem,— kaleka, niemogący obracać kręgu garncarskiego, wziął się do nauki i pracując sam nad sobą, nabył wiele wiadomości i wykształcił się w rysunku. Wkrótce, mieszając różne gliny z tlenkami metalicznymi i wypalając te mieszaniny, doszedł do dokładnego naśladowania agatów, jaspisów

<sup>1)</sup> The life and works of Josiah Wedgwood from his private correspondence and family papers by E. Meteyard. London 1866.



i innych cennych kamieni. Zaczął z nich wyrabiać ręczki do noży, które wkrótce stały się poszukiwanymi przez nożowników z Sheffield i Birmingham. Drobnym ten przemysł pozwolił mu stopniowo rozszerzać pole działania i już w r. 1760 stał się Wedgwood właścicielem skromnego zakładu, z dachem pokrytym słomą, jak większość garncarni angielskich tego czasu. Pracował w nim nad wyrobami kamionkowymi i nad fajansami udelikatnionymi przez domieszkę krzemienia, których wyrób, po odkryciu dokonaniem przez Astbury'ego, rozpowszechniał się powoli w garncarskich okolicach Anglii. Fajanse te wszakże szwankowały swą zewnętrzną powłoką, którą stanowiła albo polewa ołowiana, albo solna glazura i dopiero po paru latach pracy zdołał Wedgwood zastosować do nich glazurę twardą, szklistą i wytworzyć fajans delikatny, jaki dziś jest znany. Pierwsze takie fajanse, nazwane kremowymi, z powodu swego lekko żółtego odcienia, spodobaly się bardzo na dworze i Wedgwood mianowanym został stałym dostawcą królowej.

Przyszłość zakładów Wedgwooda była już tym sposobem zapewnioną. Pracując przytém wciąż nad sobą, wykształcił się on tak dalece w chemii i w ogóle stanął na tym poziomie naukowym, że ów niegdyś ciemny zupełnie chłopiec garncarski, wziął się do pisania poważnych artykułów, drukowanych w najznakomitszym czasopiśmie angielskim „Philosophical Transactions.” Wszakże i w tych pracach naukowych miał zawsze na uwadze garncarstwo, stosując nabyte wiadomości do ulepszania masy swych wyrobów, polewy i farb. To też fabryka jego wciąż się rozwijała i rozszerzała pole zbytu, tak że około roku 1770 był już Wedgwood jednym z wielkich przemysłowców Anglii. Wyrobił przywilej na budowę kanału, łączącego rzeki Trent i Mersey i budowę tę przeprowadził, podniosłszy przez nią garncarskie okolice Burslem, gdyż kanał ułatwiał dowożenie materiałów do fabryk i wysyłanie gotowych wyrobów. Z własnymi zakładami zbliżył się też Wedgwood do kanału i założył wielką osadę fabryczną, dając jęj nazwę Etruryi. Urozmaicając wciąż skład masy swych wyrobów i sposoby jęj zabarwiania, wytwarzał coraz to nowe odmiany fajansów delikatnych i wyrobów kamionkowych. Nie szczędził przytém kosztów na otrzymanie wyborowych modeli, a słynny rzeźbiarz angielski Flaxman pomagał mu tóż chętnie przy ozdabianiu wyrobów. Gdy wynaleziony w roku 1750 przez Sadlera i Greena sposób ozdabiania fajansów przez dekalkowanie na nich farbą drukarską napisów, rysunków i sztychów, zaczął się powoli rozpowszechniać, Wedgwood ocenił natychmiast doniosłość wynalazku i porozumiał się o możność ozdabiania tym systemem wyrobów swęj fabryki. Tak zawsze zwracał baczną uwagę na wszystko, co tylko przyczynić się mogło do rozwoju garncarstwa.

Ale nie tylko jako garncarz pozyskał Wedgwood szerszą sławę. W fizyce zasłużył się wynalazkiem pyrometru, to jest przyrządu do mierzenia bardzo wysokich temperatur. Przyrząd ten składa się z dwóch mosiężnych liniałów, umieszczonych obok siebie na tablicy

metalowój w ten sposób, że rowek między nimi, w jednym końcu szerszy, jednostajnie się zwęża ku drugiemu końcowi. Jeden z linałów podzielony jest na 240 stopni, z których każdy równa się 72 stopniom Celsyusza a zero pyrometru odpowiada 500 takimże stopniom. Do mierzenia temperatury robi się z gliny jednakowe zupełnie stożki, takich wymiarów, że ściśle pasują do ścian rowka, w tém miejscu gdzie jest najszerszy, a które odpowiada zero podziaki. Następnie jeden z tych stożków umieszcza się wewnątrz pieca. Po wyjęciu, stożek jest skurczony i to tém więcej im wyższą była temperatura. Umieszczony między linałami może być przesuniętym dalej, ku węższemu końcowi rowka, a miejsce gdzie się zatrzyma wskaże właśnie stopień skurczenia gliny a więc i temperaturę wnętrza pieca w stopniach Wedgwooda. Pyrometr ten, zastąpiony później więcej ścisłymi przyrządami, używany jest jeszcze w Anglii.

Wpływ Wedgwooda na garncarstwo angielskie czuć się dawał do ostatnich czasów. Dzięki urzeczywistnionym przezeń postępom fabrykacji, wyroby fajansowe stały się istotnie praktycznymi i dostępnymi dla wszystkich. I masą i polewą przewyższyły one dawne fajanso francuzkie i włoskie, których masa kolorowa i krucha pokrywaną była nieprzezroczystą emalią białą, złożoną ze związków cyny i osłaniającą masę w zupełności. Od téj polewy grubój i miękkiej i od kruchości masy, którą téż z tego powodu trzeba było zgrubiać, pochodził pewien ciężki wygląd tych fajansów. Przeciwnie fajanse angielskie odznaczają się masą białą, zbitą, mocną i cienką krystaliczną glazurą. O ile dawne majoliki nadawały się lepiej do ozdób artystycznych, to znów nowe fajanse mogą być wykończane z większą ścisłością, wyglądają zgrabniej, czasem może zbyt zimno i surowo, ale za to odpowiadają wybornie potrzebom codziennego użytku.

Fajans delikatny, czyli angielski, wpośród wyrobów glinianych, tworzy jedną klasę z wyrobami kamionkowemi. Jak te ostatnie, ma masę zbitą i nieprzeświecającą, ciężką, twardą i dźwięczną,—ale za to masa ta jest delikatniejsza i zupełnie biała. Glazura fajansów delikatnych jest krystaliczna, uprzednio stopiona na szkło, którego skład bywa nader rozmaity. Przeważnie wszakże składa się z krzemionki otrzymanej z kwarcu a nawet i feldspatu, dalej z sody, kwasu bornego i ołowiu pod postacią minii

W szeregu wyrobów glinianych zbitych, fajans delikatny tworzy jakby przejście od wyrobów kamionkowych do porcelany. Różnorodną odmianę tego fajansu uszykował Brongniart w trzy typy główne, mianowicie: fajans delikatny marglowy, którego masa zawiera w swym składzie wapno (francuzi zwą ten fajans terre de pipe),—powtóre, fajans delikatny krzemionkowy (zwany we Francyi cailloutage), złożony z glinki ogniotrwalej i krzemienia lub kwarcu,—potrzecic, fajans delikatny twardy, albo feldspatowy (angielskie iron stone), do którego masy wchodzi pewna ilość kaolinu a którego glazura ma w swym składzie kwas borny. Ten ostatni gatunek właśnie, swą przymieszką



kaolinu, zbliża się do porcelany miękiej angielskiej i dla tego, z ujmą dla ścisłości, zwany bywa nieraz porcelaną nieprzeświewającą.

Przez wytworzenie najrozmaitszych odmian wyrobów kamionkowych i fajansów delikatnych, wypełnił Wedgwood ciągłym szeregiem wyrobów pośrednich, przepaść dzielącą dawne majoliki od porcelany, tak że obecnie twory przemysłu ceramicznego stanowią jakby jeden nieprzerwany łańcuch, którego ogniwa, drogą systematycznej klasyfikacji uporządkowane zostały przez Brongniarta. Mamy więc najprzód cztery działy wyrobów glinianych miękich, mianowicie: matowe, lustrowane, polewane i emaliowane, czyli majoliki lub fajanse zwykłe. Klasę drugą składają dwa działy: wyrobów kamionkowych i fajansów delikatnych. Dalej, jakby w ciągłym postępie, spotykamy porcelany miękie, angielską i francuską a w końcu dotychczasowy szczyt garnrcarstwa, porcelaną twardą.

Podczas gdy w Anglii, dzięki pracom Wedgwooda, rozwijał się już w całej pełni przemysł fajansów delikatnych, — we Francji, do końca ubiegłego stulecia, posługiwano się prawie wyłącznie w bieżącym użyciu fajansem zwykłym, a w Niemczech wyrób porcelany twardej, jakkolwiek rozpowszechniony, z trudnością tylko czynić mógł zadość codziennym potrzebom. To też Niemcy, poszukując wyrobu tańszego, mogącego w bieżącym użyciu zastępować porcelaną, przejęli pierwsi od Anglików wyrób fajansów delikatnych, a dopiero fabryki założone nad brzegami Renu zachęciły Francuzów do pracy w tym kierunku. Wkrótce też fajanse delikatne wszędzie rugować zaczęły z użycia fajanse zwykłe, skutecznie przytém konkurując z porcelaną, przy zaspokajaniu potrzeb mniej zbytkownych. Obecnie, fajanse zwykłe, jako przedmiot codziennego użytku nie istnieją prawie, — usiłując za to, tём energiczniej wkraczać w dziedzinę sztuki, gdzie im, jako tak zwanym majolikom, jedyna pozostaje przyszłość. Porcelana, dzięki nowym odkrywaniom pokładom kaolinu i ulepszonym sposobom wyrobu, wytrzymuje konkurencyą fajansów delikatnych, a jeżeli zdoła dorównać im taniością, to mając jako wyrób niezaprzeczoną wyższość, wyjdzie zwycięzko z tój walki. Wyroby kamionkowe, udelikatnione przez Wedgwooda, nicopuszczają prawie dziedziny sztuki, — podczas gdy proste wyroby kamionkowe, swą masą i glazurą nierównie wyższe od zwykłych wyrobów glinianych z polewą ołowianą, zaczynają w wielu miejscach konkurować powoli z temi ostatnimi. A nie tylko ta jedna konkurencyja nastaje na zwykłe naczynia polewane. Walczą z niemi także naczynia blaszane i emaliowane żelazne, droższe znacznie, ale opłacające się swą trwałością. Pomimo to naczynia polewane trzymają się jeszcze obronnie, tam przynajmniej gdzie dobra glina niedaleko, gdyż nie mogą ponosić kosztów zbyt odległego przewozu.

Jeżeli teraz z tój wycieczki do krajów, przodujących w przemyśle garnrcarskim, wrócimy w domowe progi, by rzucić okiem na rozwój garnrcarstwa krajowego, to ujrzymy jego początki, jak i wszędzie, gi-

naące w pomroce wieków. Przed popielnicami jeszcze znajdujemy w naszych grobowcach przedhistorycznych naczynia gliniane, stawiane tam, już to większe z jadem i napojem, już mniejsze, zapewne z pachnidłami. Później spotykamy popielnice a obok nich dzbanki z uchami, garnki i nalewki, misy i podstawki i inne wyroby gliniane matowe. Glina, której gatunek zależy od okolicy, zmieszana bywa najczęściej w tych wyrobach z miarko tłuczonym granitem. Trafiają się też naczynia regularne, jakby na kręgu garncarskim utoczone, wygładzone do połysku i ozdobione rysunkami.

Z wprowadzeniem chrześcijaństwa zmieniły się warunki naszego życia. Skromne naczynia gliniane ustąpiły do chat,—w domach zamoznych posługiwać się zaczęto metalowemi. Dopiero po rozpowszechnieniu się polewy ołowianej, powoli, w pośród naczyń glinianych do codziennego użytku przeznaczonych a wyrabianych w kraju wszędzie gdzie lepsza była glina, ukazywać się zaczęły ozdobniejsze. Zastąpiły cech garncarski w Łży, posiadający w wieku XVI-ym wyłączne prawo sprzedawania swych wyrobów przy bramach stolicy,—zastąpiły polskie dzbanki, uwiecznione temi słowami księcia poetów naszych:

Dzbanio mój pisany, dzbanie polewany,  
Bądź płacz, bądź żarty, bądź gorące wojny,  
Bądź miłość niesiesz, albo sen spokojny,

Jakkolwiek zwano wino, oo w cię lano,  
Przymknij się do nas, a daj się nachylić,  
Chciałbym twym darem gości swych posilić.

Cechy garncarskie różnych miejscowości kraju zyskały wtedy przywileje na spławianie swych wyrobów do Gdańska i sprzedawanie ich w Prusach. Obok iłżeckich, wysyłanych na sprzedaż nie tylko do Prus, ale i do Szwecyi, zastąpiły także wyroby ćmielowskie, denkowskie i wieluńskie a oprócz naczyń wyrabiano także i ozdobne kafle. W wieku XVII-ym, wraz z innemi gałęziami przemysłu upadło u nas i garncarstwo. Obniżył się poziom skromniejszych wyrobów a zbyt-kowne sprowadzano jak zawsze z zagranicy. Dopiero pod koniec XVIII-go stulecia krzątać się zaczęło około podniesienia garncarstwa w kraju. Powstała słynna fabryka porcelany twardej w Korcu na Wołyniu biorąca kaolin z Dąbrowicy. Założyciel ję, stolnik litewski Józef Czartoryski, powierzył kierunek warszawianom Franciszkowi i Michałowi Mezerom, którzy po czterech latach doprowadzili fabrykę do takiej doskonałości, że znakomitszemi wyrobami swemi konkurować mogła z zagranicą. Po pożarze fabryki w r. 1797, bracia Mezerowie opuścili Korzec. Franciszek Mezer osiadł w Baranówce, gdzie mając niedaleko, w miejscowości zwanj Burtyn, dobry kaolin, wyrabiał z powodzeniem ozdobną porcelanę stołową. Michał Mezer, wezwany przez ordynata Zamoyskiego, urządził fabrykę porcelany w Tomaszowie lubelskim. Opuszczona przez Mezerów a odbudowana w r. 1800



fabryka Korecka, przeszła pod zarząd 'sprowadzonego z Sèvres francuza i istniała do roku 1830, ale już nieodzyskała dawniej świetności. To też najcenniejsze są porcelany koreckie z czasów Mezerowskich, znaczone złotem okiem Opatrzności, z napisem złotym „Korzec.” Do więcej poszukiwanych wyrobów garncarskich krajowych z ubiegłego stulecia, należą też wazony fajansowe z krótko istniejącej fabryki w Belwederze, założonej przez Stanisława Augusta.

W bieżącym stuleciu, udoskonalony przez Wedgwooda fajans delikatny, a głównie jego gatunek marglowy, przeszedłszy z Anglii do Niemiec rozpowszechnił się i u nas i powstały różne fabryki, dziś już nie istniejące. Jedną z nich z inicjatywy Staszica założył Sunderland w Iłży. Druga znów, dawniej jeszcze, założona przez Jacka Małachowskiego w Ćmielowie, przeszedłszy na własność znaniej firmy Cybulskego, wyrabiać zaczęła wyłącznie porcelanę twardą—i obecnie, biorąc kaolin z Wołynia, jest niemal jedyną fabryką porcelany w kraju. Małe tylko ilości porcelany wyrabia jedna z fabryk fajansu we Włocławku. W ogóle, wytwórczość porcelany w Królestwie nieprzenosi dotąd 100,000 rs. rocznie. Za to wyrób fajansów delikatnych marglowych rozwinął się u nas znakomicie w ostatnich latach, w fabrykach we Włocławku, Kole i Pruszkowie. Pewien rozwój także, choć w mniejszym już stopniu zaznaczyć wypada odnośnie do kafl i wyrobów kamionkowych a nawet i co do majolik, wzmiankując chociaż krótkie istnienie fabryki tych ostatnich w Nieborowie. Za to wyrób zwykłych naczyń glinianych polewanych w Królestwie, wciąż upadający ilościowo, w skutku konkurencyi naczyń kamionkowych i emaliowanych żelaznych, jakościowo pozostaje także w zacofaniu, w obec braku pomocy, jakich potrzebuje przemysł drobny, a które w Galicyi wywarły wpływ tak znakomity na podniesienie jakości wyrobów polewanych. Co prawda, pojawił się tam talent samorodny w garncarstwie, zmarły przed kilkoma laty Bachmiński (Bachmetiuk) z Kossowa, którego wyroby gliniane polewane, oryginalnych kształtów i wdzięcznymi zdobne rysunkami, w barwach: białej, brązowej, zielonej i żółtej, wysoko są cenione <sup>1)</sup>. Ale też tradycje Bachmińskiego przechowuje szkoła garncarska w Kołomyi a dopomagają jej swym wpływem na rozwój tego przemysłu, dwie jeszcze później założone szkoły, w Toustem i Porembie. A szkoły i muzea najdzielniej przyczynić się mogą do rozwoju garncarstwa. Doniosłość szkół stwierdzają prace uczniów kołomyjskich,—znaczenie zaś muzeów uwidoczniło się na wystawach powszechnych znakomitą podniesieniem poziomu artystycznego wyrobów angielskich, od czasu urządzenia muzeum kensingtońskiego. Może i u nas, gdy się zapełnią systematycznie i umiejętnie sale muzeum przemysłowego, gdy i po prowincjach w większej liczbie podejmować

<sup>1)</sup> Wzory przemysłu domowego włościan na Rusi, wydane przez inż. Ludwika Wiorzbickiego.

zaczynając inicjatywę umiejętną ludzie dbali o rozwój krajowego przemysłu,— między innymi jego gałęziami posunę się naprzód i garncarstwo.

Przemysł ten, jak widzieliśmy, przez całe szeregi wieków w zastoju prawie będący, w ciągu ostatnich pięciu stuleci, dzięki pracom swych przodowników: Łukasza della Robbia we Włoszech, Palissy'ego i Poterat'a we Francji, Böttgera w Niemczech i Wedgwooda w Anglii, ze stanu pierwotnego nieledwie, wznosił się do istotnej doskonałości,— a w bieżącym stuleciu, pożytkując nieprzerwanie postępy mechaniki, fizyki i chemii, urzeczywistnił warunki fabrykacji oszczędnej, szybkiej i regularnej,— przez szersze zaś stosowanie sztuk pięknych uzyskał zdolność kształty zarazem wdzięczne i praktyczne i zaspokoić coraz to większe z postępem czasu wymagania nabywców. Tę też drogę wskazali mu, każdy w swoim zakresie, owi sławni garncarze,— a jeżeli Łukasz della Robbia i Palissy położyli zasługi czysto osobiste, nie wywarłszy bezpośredniego wpływu za życia na rozwój przemysłu garncarskiego,— jeżeli wynalazek Poterat'a porcelany miękkiej sztucznej wkrótce ustąpił miejsca porcelanie twardej, którą Böttger, dzięki szczęśliwemu trafowi obdarzył Saksonią i Europę,— to Wedgwood dopiero, wytworzeniem całego szeregu różnorodnych wyrobów, od praktycznych i tanich do wysoce cennych artystycznych, otworzył garncarstwu istniejące nowe drogi i niezaprzeczenie zajął pierwsze miejsce w szeregu sławnych garncarzy.



# GENERAL FILIP HAUMAN

I

## RODZINA ANTONIEGO MALCZEWSKIEGO.

PRZEZ

*Kajetana Kraszewskiego* \*).

Jak wielką wagę do tych rozporządzeń przywiązywał wódz naczelny widać ztąd, że tegoż samego dnia przesyła generałowi Haumanowi drugi list jeszcze, który tu załączamy:

„Mój Generale! wysłałem Cię jako Generała, w którym zaufanie mam jako i innych oficerów, gdy się złączysz! Starajcie się wybierać zawsze dobre pozycye, aby w tyle nie było zawad, gdy przypadek ja-ki będzie; niech zawsze przy lasku będzie, aby kawalerya nie miała co robić nieprzyjacielska. Gdyby nieprzyjaciel szedł w Lubelskie, trzeba postępować na przełaj, aby być pomiędzy Wisłą i nim, gdyż jego zamiśl jest złączyć (się) z temi, którzy są za Wisłą i których pilnuje Poniński. Posyłam amunicyą i koła; Sciskam Ciebie serdecznie

d. 22 Septemb. (1794)

*T. Kościuszko.*

Konie do artyleryi kup na rezerwowe ja oddam.”

Następnego dnia otrzymał jeszcze Hauman list następujący:

„Jeżeli Generał Kamiński nie zechce objąć komendy, tedy WPan ją całkiem obejmiesz i rozdysponujesz oficerów do komenderowania tak piechotą i kawaleryą. Doczytuję się z raportu WMP o znacznej,

\*) Dokończenie—patrz zes. za m. listopad r. b.

osobliwie w regimencie 7-ym dezercyi; zalecamy przeto, abyś WPan dochodzić kazał przyczyny téj dezercyi, czyli jakiejś nie ma namowy lub krzywda jaka nie dzieje się żołnierzowi. Oficerom zalecisz WCPan najsurowiej, aby swoich ludzi mocno pilnowali. Indżyniera innego już wykomenderować kazałem. Bótów par 40 wczoraj dla strzelców posłano. Objąwszy tedy WCPan komendę natychmiast ruszysz do Kocka a z tamtąd pošiesz i sam pojedź do obrania mocnej pozycji, abyś był w stanie i bronić się i pobić nieprzyjaciela, gdyby go atakował. Ruszysz WCP spieszonym marszem, aby uprzedzić nieprzyjaciela i WCPan był pomiędzy Wisłą a nim i bliżej Wisły aniżeli nieprzyjaciel. Poślałem amunicyą, skałki teraz pošyłam. Ściskam Ciebie serdecznie

d. 23 Septemb. (1794)

*T. Kościuszko.*

Posłałem naczynia szańcowe i innego Inżyniera.“

Gdy pierwsze listy naczelnego wodza objawiają chęć wzmocnienia rozbitego korpusu Sierakowskiego, ostatni wykazuje już zmianę wojennego planu, stosownie do ruchów wojsk nieprzyjacielskich. W istocie bowiem, kiedy Suworów posuwał się od Brześcia ku Warszawie, tymczasem, w celu połączenia się z nim, dążył z za Wisły Generał Fersen, wzmocniony oddziałami Denisowa, Tormansowa i Chruszczewa. Dla przeszkodzenia mu w przeprawie przez Wisłę wysłany był z niewielką dywizyą Adam Poniński, syn znanego Adama Podskarbiego W. Kor., ale Fersen marszami i kontramarszami tak go zbałamucił i osłabił, że nie był wreszcie w stanie przeszkodzić zręcznej i szybkiej przeprawie, którą wódz rosyjski uskutecznił pod osłoną gęstej mgły, w miejscu, gdzie się go najmniej spodziewano, pod Kozienicami. Kościuszcze chodziło o to, aby nie dopuścić połączenia się dwóch tak potężnych korpusów nieprzyjacielskich; umyślił więc pójść naprzód na spotkanie Fersena. Sekretna rada wojenna, zwołana przez niego w Warszawie, napróżno starała się przekonać naczelnika o całym niebezpieczeństwie téj wyprawy z małą garstką wojska przeciw tak silnemu korpusowi Fersena. Radzone ściągnąć wszystkie siły, aby dać odpór w okolicach stolicy, w téj nadziei, że jak niedawny przykład oblężenia wykazał, będzie on nie mniej od pierwszego skutecznym. Wykazywano smutne i niebezpieczne następstwa porażki, jeśliby ją sam wódz naczelnny miał ponieść. Ale Kościuszko sądził, że niewielkimi, jakie miał, siłami łatwiej mu będzie pokonać pojedyncze korpusy i nie dał się żadną miarą do zmiany planu swego nakłonić.

Wysłał więc Kamińskiego, Kniaziewiczą, Haumana i innych oficerów dla połączenia się z Sierakowskim, kazał niektórym oddziałom posuwać się ku Wiśle, Zajączkowi, zostającemu pod Warszawą, polecił wysłanie jeszcze niektórych posiłków do połączonych oddziałów, które miał pod swoją komendą prowadzić, i sam wraz z Niemciewiczem dnia 6 października nad ranem, wyjechał z Warszawy. Pę-



dzili obaj w cwał na zmienianych co kilka mil chłopskich konikach, i po dwunastu godzinach takiej podróży, około piątej wieczorem stanęli w obozie Sierakowskiego.

Zdaje się, że Hauman na ten czas musiał już z oddziałem swoim znajdować się w awangardzie w okolicach Kocka. Dnia 9 października Kościuszko z całym swym korpusem i sztabem znajdował się już pod Maciejowicami, brakło oddziału Ponińskiego, któremu naczelny wódz w nocy wysłał rozkaz jaknajszybszego przybycia. Siły Kościuszki wynosiły 5,800 ludzi i 21 dział; Fersen miał pod sobą 20,000 ludzi i armat 50. W rozkładzie planu bitwy pozostawiono na lewém skrzydle, od strony wsi Oronne, miejsce, które miał zająć oddział Ponińskiego; tą luką najgłówniejszy atak właśnie przypuściła brygada generała Denisowa; Poniński z oczekiwaną dywersją nie przybył; cały plan bitwy został zwichnięty—klęska Maciejowicka stała się nieuniknioną.

Rzecz pewna, że Kościuszko nie przypuszczał, aby w tak mocnej pozycji, natychmiast niemal po jój zajęciu był atakowanym. Niemcewicz w późniejszym opisie bitwy Maciejowickiej pisze, że gdy przybyli obaj z Kościuszką do obozu Sierakowskiego, dnia 6 października wieczorem, złożono natychmiast małą radę wojenną, że był na niej i Poniński, który nadbiegł tam, zostawiwszy korpus swój o 6 mil oddalony. „Byłem bardzo zdziwiony—pisze Niemcewicz—że Ponińskiemu nie dano rozkazu połączenia się natychmiast z dywizją Generała Sierakowskiego.“ Pisał to jednak autor w wiele już lat po wypadkach. Natenczas jednak nie spodziewano się tak blizkiego już spotkania; dopiero z dnia 9 na 10-ty wiadomości nadesłane od Ponińskiego przez gońca, który nadbiegł o godzinie 2-ój w nocy, kazały oczekiwać rychłego ataku. Natychmiast więc przez tegoż samego posła nakazano Ponińskiemu jak najspieszniej przybywać—ale było już za późno, bitwa bowiem zaczęła się o godzinie piątej rano

Dwa bataliony sławnego pułku Działyńskich z pod komendy Haumana, jak zapewnia świadek naoczny, tak dzielny stawily opór, że wyginęły tam prawie do szczytu; gdzie który żołnierz stał—tam został; wśród rozrzuconych na pobojowisku w różnych punktach rozmaitych mundurów, barwy munduru regimtu Działyńskich jedną linią świeciły.

Hauman ze szczątkami armii i kilkunastu innymi oficerami wycofał się ku Warszawie i szczęśliwie uniknął losu jaki spotkał Kościuszkę, Kniaziewicza, Niemcewicza, Kamińskiego, Sierakowskiego, Kopcia, Fiszera i innych.

Jak po bitwie pod Chełmem sami wojskowi szukali winowajcy poniesionej porażki, tak z tém większym żalem jeszcze po niepowetowanej klęsce Maciejowickiej cała publiczność jednogłośnie zarzuciła zdradę Ponińskiemu, który wedle zdania samych generałów rosyjskich, gdyby był na czas przybył mógłby znacznie na los bitwy wpłynąć, a przynajmniej większą część wojska i generałów ocalić.

Poniński, powziąwszy wiadomość o przegranej bitwie, cofnął się był z korpusem ku Warszawie; tu zwołana Rada zarządzająca kazała go natychmiast aresztować, naznaczając sąd wojskowy, czyli komisją dla dokładnego zbadania téj sprawy. Wzmiankę o tém spotykamy w przypisku, uczynionym przez wydawcę, w pamiętnikach Zajączka, niejakić zaś objaśnienie dają nam papiery po generale Haumanie, z kąd widzimy, że prezydującym w téj komisji był Andrzej Gorzeński, na ten czas mający stopień generał-lejtnanta, a zaliczający się do sztabu generalnego wojsk koronnych, szef regimentu pieszego z dywizji Wielkopolskiej. Do komisji téj jako świadom rzeczy, powołany był i generał Hauman, co wykazuje następujący list Gorzeńskiego:

„Obywatel Generał Hauman, komenderowany dzisiejszym befelem na komisją X-cia Ponińskiego y innych współaresztowanych, proszony jest przez niżej podpisanego, aby jutro na godzinę 9-tą z rana przybyć raczył do arsenału, końcem rozpoczęcia rzeczzonego dzieła.

d. 19 Octobris 1794

*A. Gorzeński, G. L. prezyd.*

Poniński tłumaczył się, że w przeddzień bitwy Maciejowickiej stał w oddaleniu mil czterech i że rozkaz przybycia otrzymał z 9-go na 10-ty w nocy o godzinie trzeciej, na co przedstawił piśmienny rozkaz naczelnego wodza podpisany o godzinie 1-jej w nocy; nie mógł więc na czas pospieszyć, ile że bitwa zaczęła się o piątą z rana. Niemcewicz powiada, że o godzinie trzeciej rozkaz wysłany został do Ponińskiego. Po rozpatrzeniu całej téj sprawy, komisya wojskowa w zupełności uniewinniła Ponińskiego. Publiczność jednak, pod samym wpływem znieawidzonego powszechnie imienia ojca jego, które nosił, z niedowierzaniem ten sąd i to uniewinnienie przyjęła. Żał ogólny po stracie Kościuszki i upadku sprawy, której on bronił, nie dozwalał, aby słuszne czy niesłuszne posądzenie miało tak rychło pójść w niepamięć. Zaraz w następnym roku, gdy Poniński przybył do Lwowa w czasie sławnych ówczesnych kontraktów, bardzo niechętnie i zimno przyjmowany był we wszystkich towarzystwach i domach. Doszło do tego, że Wielhorski z Rzewuskim, chcąc go ostatecznie oczyścić z zarzutów, urządzili publiczne roztrząsanie sprawy i sąd złożony z wojskowych, którzy byli pod Maciejowicami, w czasie stoczonej bitwy albo téż w obozie Ponińskiego i świadczyć mogli jako najlepiej te okoliczności znający. Poniński na nowo przedstawiał piśmienne dowody, publiczność tłoczyła się w sali, galeryą zapełniały damy; opowiada o tém Ochocki w swoich pamiętnikach; ogłoszono ostatecznie zupełną niewinność Ponińskiego przy oklaskach całej publiczności.

Generał Hauman znajdował się natenczas właśnie we Lwowie, niema przeto wątpliwości, że musiał i w tym nowym sądzie zasiadać.

W późniejszych jeszcze czasach bronił Ponińskiego i generał



Chłopicki, który, przedarłszy się przez Galicyą z Ukrainy, aby walczyć w powstaniu, trafił był właśnie tegoż samego dnia 10 października, nad ranem do obozu Ponińskiego, kiedy on spieszył pod Maciejowice, ale na czas już zdążył uie był w stanie.

Po wzięciu Pragi przez Suworowa d. 4 listopada kapitulacya Warszawy podpisaną została w dniu 6-ym we czwartek; Suworow miał wejść do miasta dnia 8-go rano; wszystkim wojskowym, którzyby broni złożyć nie chcieli, wolno było przedtém opuścić stolicę.

Tegoż dnia 6-go Hauman, wraz z bratem Antonim, otrzymali z kancelaryi królewskiej, z podpisem i pieczęcią króla pasport, bez wymienienia w nim stopni wojskowych obu braci, za granicę kraju. Oba więc razem udali się tegoż samego dnia w drogę do Lwowa. Wizy pasportowe Austryackie, opisując tabor podróźny, to jest: powóz, sześć koni i trzech ludzi służących, oraz pozwalają oznaczyć kierunek drogi, który, jako rzecz mało znaczącą pominęlibyśmy milczeniem, gdyby owe wizy nie wykazywały zarazem pewnych charakterystycznych stron zachowania się w tych okolicznościach władz austryackich, do czego właśnie dość ciekawe objaśnienia spotykamy jeszcze w cennym pamiętniku Starosty Brańskiego.

Pierwsza wiza brzmi: Vidi station Szenna (sic) 9 Novem. nach Ostrowitze etc. podpisano: Anton Essterhaszy Grf. Ma to być Sienna, z kąd pod konwojem kazano podróźnym jechać do Ostrowca, ztąd wiza tegoż dnia podpisana odsyła ich do Tarłowa.

Trudno zrozumieć do czego, prócz chyba umyślnych utrudnień, służyły te korowody, zważywszy, że z Sienna do Ostrowca jest prawie tyleż drogi co i do Tarłowa, a z Ostrowca jeszcze do Tarłowa znacznie dalej niż wprost z Sienna. Kazano więc podróźnym dwa razy tyle drogi nakładać ileby istotnie odbyć potrzebowali. To też stanęli w Tarłowie na trzeci dzień dopiero, dn. 11-go. Na wizie pasportowej uderza nas bardzo zamasyty podpis: „von Sierakowski.” Objaśnienie o tym panu znajdujemy właśnie w rękopisie Michała Starzeńskiego. „Austriacy — pisze starosta — zajęli Sandomierz (i okolice) i wystali kapitana cyrkułowego Sierakowskiego do Tarłowa z oddziałem wojsk, by proponował żołnierzom polskim zaciągnięcie się do ich szeregów. Oficerowie wojsk tego kordonu uważali za właściwe pozrzucić z koni oficerów i żołnierzy kawaleryi narodowej, zmusić do sprzedaży ich za nic, do przywdziania uniformu piechoty z kamaszami tudzież do odesłania ich w głąb kraju, bez względu na reklamacye. Emigranci w powozach nie mogli przebyć linii kordonowej austryackiej, Sierakowski kazał zwracać się z drogi, naznaczając wsi do zasiedlenia się pod dozorem włościan.”

Z tój wskazówki wyjaśnia się nam owa peregrynacya Haumanów z Sienna do Ostrowca i Tarłowa, z kąd Sierakowski chciał ich zapewne zwrócić gdzieś na bok, ale Hauman, mając pasport królewski, musiał się bez wątpienia oprzeć tym wymaganiom, odwołując się do głównodowodzącego austryackimi wojskami hrabiego d'Harnencour,

znajdującego się na ten czas w Zamościu. Tam więc podróżnym jechać dozwolono.

Zdaje się, że policya austryacka musiała mieć dość dokładne wiadomości o przekonaniach i charakterze, w jakim występowali niektórzy z główniejszych działaczy i głośniejszych imion ludzie w wypadkach krajowych 1794 roku. Zujączek bowiem, który zdał się dobrowolnie w ręce hrabiego d'Harnencour, doznał od niego obejścia się najsurowszego, odesłano go w głąb Morawii i osadzono nakoniec w Szpilbergu; ten sam los, jak wiadomo, spotkał i Kołłątaja. Wszystkim członkom tego stronnictwa rząd austryacki nie dowierzał widocznie; natomiast bardzo wielu z tych którzy innych byli przekonani i zaliczali się do pracowników Kołłątaja, tak wojskowych jako i cywilnych, widzimy emigrujących do Galicyi i przebywających tam bez żadnej przeszkody.

Obu też braciom Haumanom hrabia d'Harnencour pozwolił udać się w dalszą drogę do Lwowa.

Jak długo bawił generał w Galicyi nie jest nam wiadomo, ale już w następsem 1795 roku jest ślad, że mieszkali oboje państwo Haumanowie w Warszawie w domu przy ulicy Mokotowskiej, z kąd w metryce podany jest do chrztu pierworodny syn generała ze Skalskiej, który zmarł w dzieciństwie.

Następnego 1796 roku przenoszą się Generałowstwo do majątku Turowa, wziętego w dzierżawę z dóbr Międzyrzeckich Księstwa Czartoryskich — dziś gubernia Siedlecka — w prowincyi na ten czas zajętej przez Austryjaków. Poświadczają o tem listy mniej znaczącej treści, adresowane już do Turowa, oraz metryka chrztu córki Józefy, późniejszej małżonki Jana Szlubowskiego, dziedzica dóbr Opola, zapisana w aktach Międzyrzeckich pod dniem 23 października 1796 roku.

Fałszywym jest przeto zupełnie podanie Bartoszewicza w Encyklopedyi Powszechnej, jakoby generał Hauman wyszedł był do legionów, znajdował się w Turcyi, Egipcie i t. p. Ze jednak tak sumienny badacz jak Bartoszewicz, nie mógł tych wiadomości podawać bez jakiejś zasady, przypuściłby więc można i odnieść je chyba do brata generała Antoniego, o którym po jego wyjeździe, czasu kapitulacyi Warszawy, razem z generałem do Galicyi; żadnej już później wiadomości nie mamy.

Przebywszy tedy osobiste, oraz krajowe i powszechne burze, usunął się generał w domowe zacisze, starym obyczajem szukając spokoju, a szablę na lemieisz zmieniając; i byłby znalazł ten spokój ze wszechmiar zasłużony, gdyby nie następstwa wynikłe z pierwszych jego ślubów małżeńskich. Dzieci bowiem urodzone z Konstancyi Błęszyńskiej, Edward i Filipina, późniejsza Sobolewska, które matka zabrała była z sobą na Wołyń w 1792 roku na wiosnę, odjeżdżając z nowym mężem Malczewskim, odziedziczyły niestety po matce i niestały jej charakter i burzliwe prawdziwie awanturnicze usposobienie. Opowiemy o nich



we właściwem miejscu, tu dodamy tylko, że najstarsza córka generała z pierwszej żony jego, Błeszyńskiej, Konstancya, którą jako podrastającą zostawiła była Haumanowi pani Malczewska, o czém wspomnieliśmy wyżej, zapewne pod wpływem ojca, a bardziej jeszcze niezawodnie wysokich cnót i zacności macochy, uniknęła szczęśliwie tych wszystkich młodszego swego rodzeństwa przywar i wad, które i ich samych zgubiły i generałowi do zgonu zatrwały życie.

Tu z chronologicznego toku rzeczy musimy przerwać opowiadanie nasze o generale, przechodząc do Malczewskich, co tém skwapliwiej czynimy, że jest to właśnie rodzina wstawionego poety Antoniego Malczewskiego, autora „Maryi.”

Nad wszelkie spodziewanie w papierach po generale Haumanie i innych dokumentach i źródłach, które przestudyować i porównywać musieliśmy przy tej pracy, odkryliśmy jedyne wiarogodne i nie mogące ulegać wątpliwości dokumenta oraz szczegółowe i ze wszech miar ciekawe wiadomości o rodzinie Antoniego Malczewskiego najzupełniej zgoła nieznaną wszystkim bez wyjątku biografom poety. Bielowski w najpierwszym przez niego napisanym zyciorysie Malczewskiego w wydaniu „Maryi” we Lwowie 1838 r. wiedział kto był ojcem i matką poety, oraz posiadał jeszcze niektóre inne o nim wiadomości, zasiągnięte, jak mówi, od krewnych autora „Maryi.” Jakoż są jedyne prawdziwe lubo bardzo szczupłe, tak jednak sumiennie podane, że chociaż Bielowski wiedział, iż Malczewski urodził się na Wołyniu, o czém wspomina, nie będąc jednak pewnym roku, mówi, że poeta przyszedł na świat około 1792 r. Dowód to najlepszy skrupulatności autora, gdyż w istocie ta data, jak niżej pokażemy nie jest prawdziwą.

Była więc jedna tylko biografia, napisana przez Bielowskiego, chociaż bardzo szczupła co do wiadomości o rodzinie poety, ale niewątpliwie prawdziwa, tymczasem stała się rzecz osobliwa, że wszyscy prawie późniejsi biografowie albo nie pisali o rodzinie Malczewskiego, albo, co gorzej, podali wiadomości zupełnie fałszywe w dobrej wierze, opierając się na zagadkowym dokumencie, którego mylność dziś wątpliwości podlegać nie może, jak to niżej wykazemy.

Jan Malczewski, herbu Tarnawa, syn Ignacego, regenta kancelaryi mniejszej koronnej i Antoniny Duninówny <sup>1)</sup>, był szefem regimentu pieszego XVII-go wojsk koronnych, posiadał po ojcu dobra Radziwiłłów i Miropol, odprzedane później Kajetanowi Miączyńskiemu, generałowi inspektorowi wojsk koronnych, który po konfederacyi Targowickiej został pisarzem polnym koronnym. Oprócz Radziwiłłowa i Miropola, posiadał Malczewski dobra Kniashiniu w Dubień-

<sup>1)</sup> Była to siostra Barbury, trzeciej żony księcia Pawła Sanguski (M. Sarnocki—Kłosa 1878).

skiem z główną rezydencją oraz niepodzielnie z bratem swym Franciszkiem Ksawerym wsi Mazepińce i Ksawerówkę, odziedziczone po ojcu Ignacym regencie koronnym, po śmierci jego zaszedł w 1777 roku. Te dwie wsi sprzedali bracia w roku 1799 księciu Eustachemu Sanguszce, a nabyli miasteczko Tarnorudę z kilku wsiami. Nadto w późniejszych czasach nabył czy w spadku wziął szef, Jan Malczewski, wieś jakąś w Radomskim, która przypadła młodszemu synowi jego, Konstantemu.

Wyżej podaliśmy ze wszelkimi szczegółami, na autentycznych dokumentach opartymi, opisanie całego romansu szefa Jana Malczewskiego z żoną pułkownika jeszcze podówczas Haumana, oraz rozvodu Haumanów, który nastąpił w dniu 21 marca 1792 roku, poczem pułkownikowa, wzięwszy zaraz trzeciego dnia, to jest 23-go marca ślub z Malczewskim i zabrawszy dwoje małych jeszcze dzieci swych z pierwszego małżonka, Edwarda i Filipinę Haumanów, wyjechała natychmiast z drugim mężem na Wołyń do Kniahinina.

Pierwszym synem szefa Jana Malczewskiego i Konstancyi z Błęszyńskich, 1-mo voto Haumanowej, był Antoni Malczewski, autor „Maryi,” który urodził się w r. 1793 na Wołyniu, jak świadczy i Bielowski, gdzie rodzice jego zamieszkiwali stale na wsi przez lat pięć przeszło, poczem przenieśli się do Dubna z powodu złego i zachwianego zdrowia pani Malczewskiej, a bynajmniej nie dla edukacji dzieci, jak to utrzymują niektórzy biografowie autora „Maryi,” tembardziej, że w Dubnie na ten czas nie było ani odpowiedniej szkoły, a co więcej, że nawet starsze dzieci z pierwszego małżeństwa, bawiące przy matce, były jeszcze zbyt małe.

W lat parę po Antonim, przyszedł na świat młodszy brat jego, Konstanty, sama zaś pani Malczewska, zaledwie siedm lat z drugim mężem przeżywszy, zakończyła życie w Dubnie <sup>1)</sup>, w roku 1800-ym, ściślej bowiem daty i miesiąca jej zgonu nie mogliśmy w papierach odnaleźć, jak również i dat urodzin obu jej synów z drugiego małżeństwa, Antoniego i Konstantego Malczewskich.

K. Wł. Wojcicki w „Cmentarzu Powązkowskim” (tom I, fol. 46), pisząc o Antonim Malczewskim, daje przypis następujący:

„P. Cezary Biernacki w „Dzienniku Warszawskim” nr. 133, z r. 1854-go podał nam z urzędowego źródła szczegóły, dotyczące się wyłączenie służby wojskowej Malczewskiego, które tu dosłownie podajemy:

„Malczewski Antoni syn Józefa (?!) urodzony w Warszawie (?) d. 3 czerwca 1793 r. etc. (rysopis szablonowy).” Wszedł w służbę na podporucznika d. 1 września 1811 roku do korpusu Inżynierów, 1-go maja 1812 r. postąpił na porucznika do artylleryi konnej; d. 1-go lipca przeniesiony na adjutanta polowego do sztabu Generała Ksawerogo Kosseckiego“ etc.

<sup>1)</sup> Według T. J. Steckiego pochowana została na cmentarzu Bernardyńskim w Warkowiczach—Tygodn. Illustr. 1869 r. nr. 77. p. A.



Ztąd wnosić należy, że odbywałyby kompanią roku 1812.

Znając wielką sumiennność takiego badacza jak pan Cezary Biernacki, nie możemy powątpiewać o autentyczności zacytowanego dokumentu, dziwnie przeto zagadkową są rzeczą zupełnie fałszywe i niezgadające się z prawdą wiadomości o urodzeniu i pochodzeniu Malczewskiego, jakie tu spotykamy.

Bielowski, który najpewniejsze czerpał wiadomości o poecie od jego rodziny, powiada, że Malczewski urodził się na Wołyniu. Widzieliśmy wyżej, że właśnie w 1793 roku Hauman rwał się do wyzywania szefa Malczewskiego na pojedynek, czemu zapobiegło jedynie pośrednictwo przyjaciół i samego króla. Trudno więc przypuścić, aby w tym czasie właśnie oboje szefostwo jechali do Warszawy, gdzie Hauman stałe przebywał, sprzeciwia się nawet temu sam charakter szefa Malczewskiego, który przebija się niejako w niezmiernie ciekawym i wybitnie cechującym stosunki liście jego do Haumana po śmierci żony pisany, co niżej podamy.

Chyba więc przypuścimy, że w Warszawie była sama tylko pani Malczewska w roku 1793 i tam powiła syna Antoniego, nie byłoby to zresztą rzeczą niemożliwą.

Imię wszelako „Józefa” dane ojeu poety w tym dokumencie jest tak grubym fałszem, że wobec wyjaśnionych stosunków, zbijać go już na tém miejscu nie widzimy wcale potrzeby. Sam Wójcicki, który zacytował dokument, wydając *Cmentarz Pow.* w roku 1855, w lat dziewięć później w artykule o poecie, umieszczonym w *Encyklopedyi Orgelbranda*, powiada, że rodzicami Antoniego byli: Jan Malczewski i Konstancya Błęszyńska.

Cóż więc znaczy ten prawdziwie zagadkowy dokument, który tak pobałamucił biografów poety, że w ostatnich czasach jeszcze piszą niektórzy, iż Antoni był synem Józefa? Trudno przypuścić traf tak osobliwy, żeby miał się znaleźć drugi jaki Antoni Malczewski, syn Józefa, urodzony w Warszawie, zważywszy, że opis służby wojskowej, jako też data urodzenia dość dobrze stosować się mogą do autora „*Maryi*.” Przy wyjaśnieniu obecnie nieznanych dotąd wszelkich stosunków rodziny Malczewskich, dokument ten wprawdzie wartość swoją traci, sądzimy wszelako, że jedyném tu chyba wytlómaczeniem byłaby albo omyłka czy niedbałe jakieś zapisanie w biórach wojskowych, albo podobną omyłką w jakiejś kopii czyli wyciągu.

Niedbałe nawet podanie wiadomości do biura wojskowego przez samego pana podporucznika Antoniego nie dziwiłoby nas wcale, zważywszy na kolosalne niedbalstwo (a może nieuctwo) w podpisywaniu swego własnego nazwiska, raz Malczewski, drugi raz Malczeski—bez *w*—wówczas gdy ojciec i cała rodzina od wieków pisała się Malczewski.

Nareszcie, jako wytlómaczenie tego dokumentu, pozostaje jeszcze wyżej postawione przypuszczenie osobliwego trafu, że był jakiś inny Antoni Malczewski, syn Józefa, urodzony w Warszawie. Widać wszelako, że i najosobliwsze trafy mogą się zdarzać na świecie, jak to

zdaje się stwierdzać relacya, którą znajdujemy w nader ciekawym pamiętniku podpułkownika Michała Jackowskiego <sup>1)</sup>.

Dla zestawienia téj relacyi, mogącój się odnosić do poety, z tém, co o nim wiemy z innych źródeł, przypominamy, że według tych ostatnich, Malczewski miał wstąpić do wojska w r. 1811, a brat dymisyą w randze porucznika, po odbytej kampanii 1812 roku <sup>2)</sup>, lubo Bielowski utrzymuje, że na ten czas stał załogą w Modlinie. Wiadomo też, że nieco kulał na nogę, a generał Załuski w znanym liście do Turowskiego pisze, iż poeta miał jakoby pojedynkować się z najlepszym przejacielcem swoim Błądowskim, ale nie jest tego pewnym i wiadomość tę podaje tylko jako przypuszczenie. W pamiętniku zaś Jackowskiego, przy opisie kampanii 1812 roku spotykamy wiadomości następujące: „Przybyliśmy do Borysowa nad Berezynę, miałem jeszcze wóz pociągowy i dwa konie wierzchowe, na których jechaliśmy z Bortkiewiczem, Napoleon stał przy moście,“ tu opisuje owo sławne przejście przez most i mówi dalej: „generał Izydor Krasieński dał rozkaz, aby ranni naprzód maszerowali, wzięliśmy z sobą rannego podporucznika Malczewskiego (niestety nie podaje imienia) i we trzech cofaliśmy się dalej.“ Po dobieciu się wreszcie do Wilna pisze: „Pobiegłem jeszcze na chwilę do znajomego szkolnego, Lewikowskiego, aby dostać od niego parę koszul dla naszego rannego Malczewskiego, którego rany bardzo były niebezpieczne. Pewni, że w tym stanie nie mogliśmy go dowieść do Warszawy żywego, umieściliśmy go u znajomego imiennika rannego (był więc jeszcze jeden Malczewski ranny). Dowiedziałem się po wojnie, że znaczny obywatel żadnych starań dla naszego kolegi nie szczędził i w domu swoim zdrowie odzyskać mu pozwolił. Ale rozstanie się nasze nie było łatwe, bo Malczewski w żaden sposób w Wilnie zostać nie chciał, zaledwie mogąc trzymać się na nogach, wołał z płaczem: Nie zostawiajcie mnie nieprzyjaciołom, umrę przynajmniej pomiędzy rodakami. Wystawiliście mi pewność że skończy życie w drodze, albo jeszcze łatwiej niż w Wilnie dostanie się w ręce nieprzyjaciół i pożegnaliśmy go z prawdziwą boleścią.“

Nie podaje Jackowski imienia owego podporucznika Malczewskiego <sup>3)</sup>, z zestawienia jednak tych źródeł widzimy, że w czasie tym w wojsku polskiem nie jeden był Malczewski, może więc i do-

<sup>1)</sup> Zbiór pamiętników Ksaw. Bronikowskiego — Wyd. Ad. Kucurby, Przemysł. p. A.

<sup>2)</sup> Na prośbie o dymisyą, znalezionej w archiw. b. Komisji wojny z d. 12 grud. 1815 r. podpisał się „Antoni Malczewski“ porucznik. (Tyg. Illustr. nr. 217, z r. 1880). p. A.

<sup>3)</sup> Pod rokiem 1831, wspomina Jackowski, że w pułku Sandomierskim był batalion jeden pod dowództwem „mężnego Majora Pawła Malczewskiego.“ p. A.



kument, zacytowany przez Wójcickiego, odnosić się nie koniecznie do autora „Maryi.”

Pani Malczewska, jakieśmy wyżej powiedzieli, zmarła w roku 1800-ym, przeżywszy z Haumanem lat trzynaście, a z Malczewskim siedm, że zaś młodo wyszła za pierwszego męża, nie musiała mieć przeto spełna lat nawet czterdziestu, kiedy zesza ze świata.

Śmierć tak młodej jeszcze, a serdecznie widać ukochanej żony, głęboko uczuł szef Malczewski, a jak został tym ciosem dotknięty i jak zresztą w gruncie zacnym był człowiekiem, najlepiej się to maluje w liście jego do Haumana, zaraz po zgonie żony pisanym, który tu jako niezmiernie ciekawy i charakterystyczny dokument przytaczamy w całości:

Dubno d. 12 Sept. 1800 r.

„Jaśnie Wielmożny Mości Dobrodzieju!

„Wyrok najwyższego Boga, przez śmierć najukochańszej żony mojej w takiój mnie pogrążył smutku przepaści, że nad tém tylko myślę, czém tak wykroczyłem, że na takie zasłużyłem ukaranie. Nic więc w życiu mojem tak występnego znaleźć nie mogę, jak to, żem targnął się zerwać związki, które Go łączyły z przeszłą żoną moją i że z tego powodu stałem Mu się okazyą do wycierpienia niezmiernój zgryzoty. Stoi więc to dzień i noc przed oczyma, a zgryzota moja, której ani czas zmniejszyć nie potrafi, wystawia mi przed oczyma czelność duszy mojej i tem więcój pomnaża zgryzotę moję. Udaję się do niego jako do człowieka, którego uczciwość była i jest prawidłem, abyś się nademną zlitował, abyś mi przebaczyć raczył, abyś mi winy i wykroczenia zapomnieć i darować raczył. O! żebyś wiedział jak nieszczęście mnie zgnębiło, w jakiej sytuacji dni mego życia od momentu śmierci téj najukochańszej kobiety prowadzę, nienawiść Twoja pewno w litośćby się obróciła. Padam więc przed Tobą na kolana, żebrzę Twego miłosierdzia, abyś mi moje darował winy, abyś mi swoję powrócił przyjaźń, może gdy będę mniej sobie miał do wyrzucenia, może czyli nie spokojniej doczekam momentu śmierci mojej; jeżeli zaś Twoja niechęć do mnie, a niechęć sprawiedliwa, jest tak mocną, że nigdy darować mój winy nie możesz — odbierz mi życie, każ mi się z Tobą widzieć i stań się autorem zejścia mego, odbierając mi życie, które mi jest ciężarem niezmiernym. Przyłączam zapis uczyniony, racz JWPan Dobrodziej nie odrzucać tę moję małą dla dzieci Jego przysługę i racz wierzyć, iż nikt nie jest nieszczęśliwszy odemnie i nikt więcój jak ja żałować nie może błędów.“

Śługa najniższy

*J. Malczewski, G. W. Ro.*

Dla objaśnienia o tych zapisach, o których Generał Malczewski wspomina i o stosunkach Malczewskich z Haumauem, dajemy tu od-

noszący się do tego wypis z testamentu Generała Haumana, gdzie mówi o dzieciach z pierwszej żony swojej, jak następuje:

„Nie naruszyłem ich funduszów macierzyńskich, ale zwróciwszy przy opisaniu komplianacy rozwodowej pierwszej małżonce mojej Konstancyi z Błeszyńskich Haumanowej sumę czew. zło. tysiąc nadto wszystkie zapisy, jako to: testamentalny JW-yh Młockich, Kasztelaństwa Wołyńskich, summę złp. 50,000 dla córki mojej Filipiny Sobolewskiej, tudzież zapisy JW-go Malczewskiego Gen. W. R. przed aktami ziemskimi Dubieńskimi pod dniem 27-ym Stycznia i 2-im Listopada 1800 roku oraz pod dniem 18-ym Maja 1801 roku zapisane i przyznane nietknięte dzieciom z pierwszej małżonki mojej spółdzonym zostawiłem <sup>1)</sup> etc.“

Zapisy te a zwłaszcza list Malczewskiego, uniewinniają go w znacznej części; z całego przebiegu wypadków widocznie i niewątpliwie, najwinniejsza tu płocho i zalotna pułkownikowa. I dokumenta te mimowolnie nasuwają wyobraźni cały szereg wzruszających scen z ostatnich, przedzgonnych chwil pani Malczewskiej, które tak głębokie i niezatarte w sercu drugiego jej męża pozostawiły wrażenia.

Nie znamy wysokości wszystkich zapisów, poczynionych przez ojca poety dzieciom Haumana, były one wszelako przeznaczone nie tylko dla Filipiny i Edwarda, bawiących przy matce aż do jej zgonu, lecz również i dla najstarszej córki generała Haumana, Konstancyi, która wychowała się przy ojcu, jak to widzimy z jej intercyzy ślubnej, gdy wychodziła w r. 1803 za Wal. Markowskiego; zapis dla niej Malczewskiego wynosił 9,000 złotych.

Rzecz godna uwagi, jak dobrze służyły poczty w owym czasie, między prowincjami co się do Austrii i do Rosyi dostały. Wyżej cytowany list Malczewskiego, datowany jest dn. 12 Septembra 1800 r. z Dubna, na kopercie zaś własną ręką generał Hauman zanotował: „dnia 14 Septembra 1801 odebrałem z poczty,“ w Międzyrzeczu podlaskim. List przeto potrzebował iść przez rok i dni dwa przestrzeń około mil trzydziestu!

Przy końcu 1802-go roku odwieziono dzieci z Dubna, oddając je ojcu; jak to widzimy z bardzo skrupulatnie prowadzonych rachunków przez zacną macochę ich, drugą żonę generała Haumana, Elżbietę ze Skalskich. Na seksternie zapisano „wydatki na Edwarda od czasu przywiezienia go po śmierci matki w 1802 r.“ Tak samo prowadzone są rachunki wydatków „na Filipkę“ z pieniędzy, które kasztelano.

<sup>1)</sup> Testament Generała Haumana, zeznany dnia 27 listopada 1828 r. przed Augustynem Szozawińskim, regentem kancelaryi powiatu Włodawskiego. p. A.



wa Młocka za życia jeszcze na nią łożyła <sup>1)</sup>). Wzięła ją potem na jakiś czas do siebie około 1810 r. do Żulina w Galicyi, wydała za Sobolewskiego <sup>2)</sup>); zapisała 50,000 złp. w testamencie. Ale pani Filipina Sobolewska, odziedziczywszy po matce cały urok piękności i wdzięków, wzięła też w spuściznie i płochość w najwyższym nawet stopniu spotęgowaną. Nie długo żyła z mężem, porzuciła go, puszczając się na bezdroża; włóczyła się po całym świecie, pojawiała się i zniknęła, straciła wszystko, zmarniała i w ostatnich latach życia zeszała po prostu do torby żebraczek, w miasteczku posługując żydom. Miała jedną tylko córkę Eudoksyą, którą tak wychowała, że w młodych latach jeszcze puściwszy się na rozdroża, spadła do najniższych warstw miejskiego motłochu i znikła gdzieś na Warszawskim bruku.

Znany amator, zbieracz-archeolog, p. Adam Mielezko-Maliszkiewicz, przysłał redakcyi Kłosów (Nr. 446, styczeń 1874 r.) portret Konstancyi z Błęszyńskich Malczewskiej, matki autora „Maryi” w liście zaś do redakcyi opowiada:

„Lat temu kilkanaście w kościele Bernardyńskim w Żytomierzu, w grudniu, w czasie niesporów, leżała na posadzce krzyżem stara płacząca kobieta. Na dworze było mroźno i śnieżno, była odziana w switę z grubego połatanego sukna, w podartych bótach, w szalu tyftykowym na głowie. Już się rozchodzili z kościoła, ona obezwładniona leżała na posadzce. Wtedy znalazła się w tłumie litościwa osoba, pani M. żona zegarmistrza, która zbliżyła się do nieszczęśliwej niewiasty, podniosła z ziemi i zaprowadziła do swego domu. Płaczącą kobietą w połatanej swicie i w tyfyku spłowiłym była pani hrabina (?) Sobolewska, przyrodnia siostra Antoniego Malczewskiego, to jest córka jego matki i ojczyma (?) generała Hauptmanna czy Hautumana (?). W parę tygodni umarła w domu państwa M. otoczona staraniem i troskliwością, na jaką się tylko mogło zdobyć ich szlachetne serce. Oni jedni poszli za trumną ubogą i pogrzebali siostrę wieszczą. Pani M. opowiadała prócz tego kilka jeszcze drobnych szczegółów. Pani Sobolewska miała już blisko lat sześćdziesiąt <sup>3)</sup>, rysów twarzy delikatnych i kształtnych.”

„Długi czas przedtem sędziwa matrona (?) mieszkała na najodleglejszém przedmieściu Żytomierza, na Kamionce, w izbie, za którą płaciła rocznie dwa ruble. Utrzymywała się z cerowania; było to życie nędzy, doprowadzonej do ostateczności.”

W wigilią dnia, w którym ją zdybała pani M. w Kościele, wyszedłszy, jak zwykle, na mszę i wróciwszy do swojej izdebki, spostrze-

<sup>1)</sup> Dla ciekawości zapisujemy tu z owych rachunków, że roku 1807 dukat złotem rachowany był po złp. 36, a w r. 1809 po złp. 40.

<sup>2)</sup> Żadnych szczegółów o nim nie znajdujemy, czy był jakim krewnym ministra Ignacego Sobolewskiego—nie wiadomo. p. A.

<sup>3)</sup> Urodziła się w Warszawie r. 1789; wypadek przeto opisany przez p. Maliszkiewicza zdarzyć się musiał około 1850 roku. p. A.

gła, że brakuje jedyne go przedmiotu, który miał jeszcze jakąkolwiek wartość, mianowicie hebanowej szkatułki z pamiątkami po matce, bracie i mężu. W czasie niebytności pani Sobolewskiej, zły człowiek skradł szkatułkę, sądząc że zawiera kosztowności.“

„Chowałam w niej listy matki, włosy matki, miniaturę męża, pisma i zegarek Antoniego; ta strata była dla mnie ciosem tak strasznym, ogarnęła mię rozpacz tak wielka, żem uczuła na zawsze zerwane w sercu pasmo, łączące mnie jeszcze z życiem. Uczułam, że téj boleści nie przeżyję... szukałam téj szkatułki dzień cały, rozpytując się wszystkich, noc całą nie spałam, a o świcie poszłam do kościoła, gdzie się nie mogła modlić—płakałam.“

„Na zapytanie pani M. czy nie zostało nic więcej w chacie, odpowiedziała, że został jeszcze portret matki, darowany jój przez panią Rucińską, który w domu rodzicielskim pamięta od dzieciństwa, zawieszony w pokoju ojcowskim <sup>1)</sup> i prosiła, aby go przyniesiono.“

„Mając go przed sobą umarła uspokojona, cicha, biedna ofiara (?).

„Pani M. oddała mi portret.“

„Jest to ten sam portret—dodaje p. Maliszkiewicz—który niegdyś był własnością twórcy „Maryi,“ a po jego śmierci pani Rucińskiej.“

Ciekawe to opowiadanie pana Maliszkiewicza, jest całkowicie prawdziwem, z wyjątkiem źle, jak to widać, zapamiętanych przez panią zegarmistrzową nazwisk i pokrewieństw, o których opowiadała pani Sobolewska. Pojmujemy uczucia poczciwych serc, które się nad nią użaliły i żalobną jój oddały postugę. Ten ostatni akt i opowiadanie ma pewien urok poezyi—w istocie jednak nieszczęśliwa pseudo-hrabina Sobolewska, a niegdyś piękna „Filipka,“ w żadnym razie nie zasługuje na tak szanowne miano „matrony“ a jeśli była „ofiara“ to chyba—własnych namiętności.

Co jednak uderza nas najbardziej w tém opowiadaniu, to tak czułe wspomnienia pani Sobolewskiej o przyrodnim bracie Antonim Malczewskim i przechowywanie owych listów i zegarka, jako pamiątkowych świętości. Znany charakter pięknej i uroczej „Filipki,“ ulubienicy cici kasztelanowej Młockiej, u której jak rok trwał okrągły, chociaż mąż był ciężki i już nawpół prawie oślepy, tak nie ustawały w Żulinie zabawy, gdzie gościom odkradano koła od powozów, lub nocą, pewne najpotrzebniejsze części ubioru, byle ich dłużej zatrzymać, a nadwornym muzykantom puchły gęby i palce od ciągłej roboty. Zestawienie przeto pewnych dat, dobrze wiadomych, może nam dać niejakie wskazówki.

Kiedy po śmierci pani Malczewskiej odwiedziono w roku 1802-im dzieci generałowi Haumanowi, Filipka miała około lat 12-tu, Antoni Malczewski urodził się w roku 1793 miał więc wówczas lat 9; wychowywali się do tego czasu razem. Rozłączyli się następnie, ale w r.

<sup>1)</sup> Zapewne u ojezymba raczój—Malczewskiego?



1810 i 1811 bawiła Filipka w Żulinie u Młockich; a miała na ten czas około lat 21 i jak wiemy z tradycji była bardzo piękną i jeszcze bardziej zalotną. Bywał tam i Antoni Malczewski, mający już około lat 18-tu i zaraz też w 1811 roku zaciągnął się do wojska, jak mówi Bielowski, z sercem zranioném nieszczyśliwą miłością do jakiejś siostry stryjecznej; przy czém jako główną przeszkodę do połączenia się kochanków autor wskazuje nierówność majątków.

Szef Jan Malczewski miał w istocie brata, Franciszka Ksawerego, żonatego z Cyrynianką <sup>1)</sup>, który mieszkał w Mońkach, niedaleko Starego Konstantynowa, obaj bracia jak powiedzieliśmy wyżej, odziedziczyli po ojcu i nierozdzielnie nawet posiadali wsi Mazepińce i Ksawerówkę i wspólnie też sprzedali je księciu Eustachemu Sanguszcze, równe zaś i znaczne inne działki fortuny odebrali po ojcu. Jeśli przeto Franciszek miał córkę, w której się poeta kochał, wielka różnica majątkowa nie zdaje się być prawdopodobną przeszkodą. Natomiast ciekawą jest rzeczą z jakich czasów datować mogły listy Antoniego do pani Sobolewskiej i co znaczyło to tak szczególnie troskliwe przechowywanie przez nią owych pamiętek? Czyby pod tą tajemniczą siostrą nie ukrywała się piękna a tak płocha „Filipka”? Ta siostra zbyt już bliska, bo przyrodnia, mogłaby w istocie wzniecić miłość prawdziwie najniezszczęśliwszą, niepoahamowany zaś rodziny tój temperament może usprawiedliwić to przypuszczenie <sup>2)</sup>.

Michał Toczyski, syn Maryi z Bleszyńskich, siostry Haumanowej, późniejszy Malczewskiej, w pamiętnikach swoich, które pisał już w podszłym wieku, daje niejako wiadomości o całej rodzinie, ale z ciotek swych zapamiętał jedynie w dzieciennych latach widywaną kasztelanową Młocką i Russocką, o innych zaś tylko słyszał i imion nawet niektórych nie zapamiętał; wiedział, że była któraś z ciotek za generałem Haumanem, że była także jakaś ciotka i za generałem Malczewskim, ojcem Antoniego, poety i Konstantego, których znał dobrze o bu, jako ciotecznych swych braci, na tém się jednak ograniczają jego wiadomości.

Tak roztrząsając wszelkie, jakie się dały zebrać do tój sprawy źródła, widzimy ciekawe zjawisko powolnego zatracenia się tradycji; każde bowiem z tych źródeł podaje część prawdy z fałszom jakimś lub niewiadomością połączonęj. Zestawienie dopiero ich i porównanie, oświecone bogatym zasobem papierów, pozostałych po generale

<sup>1)</sup> Stecki T. J. „Tygod. Illustr.“ 1869, nr. 77. p. A.

<sup>2)</sup> W pamiętnikach Andrzejewskiego „Ramoty Staro Detiuku,“ t. II, fol. 282, spotykamy wiadomość o Ksawerym Malczewskim i córce jego Anusi, urodzonęj w r. 1800. Gdy więc Malczewski, autor Maryi, wedle podania powtórzonego przez A. Bielowskiego, miał z miłości ku niej wstąpić do wojska w r. 1811, natenczas, była ona jeszcze dzieckiem jedenastoletnióm; trudno więc przypuścić prawdziwości owego podania i przypuszczenie nasze romansu raczej z przyrodnią siostrą piękną a tak zalotną Filipiną prawdopodobniejszóm się zdaje.  
p. Aut.

Haumanie, pozwala wyjaśnić, gdzie jest fałsz a gdzie prawda i ze wszelkimi szczegółami odtworzyć cały szereg wypadków.

Antoni Malczewski zapisał się do szeregów wojsk Księstwa Warszawskiego, jak Bielowski powiada, w roku 1811-ym, młodszy brat jego, Konstanty, wstąpił również do wojska polskiego; pod oficerem konduktorem w kwatermistrzostwie był w roku 1817, wspomniamy o nim i awanturnicznych jego losach z kolei wypadków we właściwym miejscu.

Generał Malczewski, jak się zdaje, ożenił się był jeszcze po raz drugi ze Stadnicką <sup>1)</sup>, z której córka, Kulmanowa <sup>2)</sup> zmarła w Warszawie w roku 1854, w całej wszelako, obszernej genealogii Stadnickich <sup>3)</sup>, nie znaleźliśmy o tém wspomnienia. Umarł szef czyli generał Malczewski w Dubnie i tamże pochowany został, data zgonu jego nie jest nam wiadomą.

W papierach po Haumanie znaleźliśmy sporo kopii listów do różnych osób, które generał w ważniejszych sprawach pisywał, posłużyły one znacznie do objaśnienia wielu szczegółów i wypadków; niestety jednak nie spotykamy brulionu listu, przesłanego zapewne w odpowiedzi na rozpaczliwe pismo Malczewskiego. Jedyne wyżej przytoczony urywek z testamentu gener. Haumana daje nam o dalszych stonkach nieco wiadomości.

Po odebraniu dzieci z pierwszej żony zajął się generał Hauman ich wychowaniem. Filipina bawiła przy ojcu i macosze w Turowie, Edward oddany został do Warszawy na pensyą do p. Rousseau, którego nieskończoną liczbę rachunków znajdujemy w papierach.

Córkę Konstancyą, najstarszą, po kilku latach pobytu jęj na pensyi u owęj pani Fur, o której pisała nazajutrz po rozwodzie pani Haumanowa, wzięli na wychowanie koniuszostwo koronni Kiccy, zamieszkali w Rykach, gdzie pobierała dalszą edukacyą i gdzie téż w roku 1803 d. 18 listopada, hojni opiekunowie wyprawili jęj świetne wesele. Wyszła ona za wdowca, Walentego Markowskiego, dziedzica dóbr Tuchowicza i Jeleńca, wnosząc mu z funduszów ojca, zapisów: Malczewskiego oraz kasztelanowęj Młockiej złp. 50,000.

Chociaż usunął się generał Hauman w wiejskie zacisze, zamieszkawszy zdala nawet od stolicy, w Turowie, nie był jednak ani przez ziomków, ani przez późniejsze rządzące władze Księstwa Warszawskiego wcale zapomniany. W papierach spotykamy dużego formatu ćwiartkę drukowaną treści następującej:

„Monsieur le Marèchel Davout a l'honneur d'inviter Monsieur le Generale Hauman au Bal qu'il donne, pour l'arrivée de Madame la Maréchale le Mercredie 8 Juin 1808—à 9 heures du soir.“

<sup>1)</sup> Stecki T. J.—Tygodnik Illustr. 1869, Nr. 77.

<sup>2)</sup> Wójeicki—Cment. Powązkowski, T. I, f. 245.

<sup>3)</sup> Żyohliński—Złota księga T. III.



Podobny, ale dużo skromniejszy w rozmiarach, bo tylko pół-cwiartkowy pasek spotykamy z inną datą:

„Mr. Hauman ci dev: Général est invité à Diner Dimanche le 17 Juin 1810 à une heure chez Sa Majesté le Roi de Saxe et Duc de Varsovie.“

W roku zaś 1809-ym był widać generał Hauman organizatorem sił zbrojnych, ściąganych natenczas z wielką skwapliwością i pośpiechem na obronę Księstwa przed wojskami austriackimi, które pod wodzą księcia Ferdynanda d'Este w d. 14 kwietnia do Księstwa Warszawskiego wkroczyły. Znajdujemy właśnie w papierach, podanie JMPana Józefa Lisieckiego o uwolnienie od obowiązków „komenderującego Infanterją“, którą zebrał w liczbie 460 głów, zatytułowane: „do JW. Haumana generała-lejtnanta W. P. Inspektora siły zbrojnej cyrkułów“ etc. etc., datowany w Siedlcach d. 2-go czerwca 1809 r.

Syna Edwarda, po odwiezieniu go z Wołynia oddał generał Hauman, jak powiedzieliśmy wyżej, najprzód na pensyą w Warszawie, z kąd odebrawszy go po latach pięciu zapisał w 1807 r. do artylerii ówczesnych wojsk Księstwa. Następnego 1808 roku zabrał Edwarda, mającego już wtenczas lat 20, książę Antoni Sułkowski, ordynat, do Rydzyny, gdzie formował właśnie ów sławny 9-ty pułk piechoty, z którym tak się odznaczył w Hiszpanii. Z Rydzyny, po przybyciu tamże pisze Edward niebawem do ojca list następujący:

d. 20 Junii 1808 — Rydzyna.

„Najukochańszy ojczel

„Już tedy jestem na miejscu mego tymczasowego przeznaczenia, umieścić mnie xiąże w Kompanii grenadyerów, którzy zawsze są przy nim i zacząłem już służbę sierżanta pełnić, wkrótce spodziewam się zostać oficerem, ponieważ bardzo wielu brakuje i xiąże już podał do awansu, więc ja spodziewam się, że jestem w liczbie podanych. Oporządzenie wiele będzie kosztować, ponieważ nietylko, że trzeba mieć dwa mundury, ale jeszcze będąc u grenadyerów trzeba mieć kapelusz i czapkę niedźwiedzią, co jest rzecz droga. Tutaj na łeb na szyję regiment ubierają, ponieważ najdalej za miesiąc, a zapewne prędzej przechodzimy na żołd francuzki i pomaszujemy najprzód do Magdeburga, ztamtąd do Francyi, a potem może nas cesarz gdzie dalej jeszcze poszle; a zatém nieprędko zapewne powrócimy do naszej ojczyzny. Niech papa z łaski swojej napisze kilka słów do xięcia, który ukłony swoje zasyła, z podziękowaniem za łaski, które codzień od niego odbieram. Do mnie zaś jeżeli papa będzie pisał to pod xięcia adresem, który jest: Do J. O. X. ordynata Sułkowskiego, pułkownika, pułku 9-go piechoty polskiej, kawalera wielu orderów, przez Poznań, Leszno do Rydzyny. Gdy już gdzie garnizonem staniemy, to papie oznajmię i adres napiszę, a z marszu to tylko ja do papy będę pisał, ponieważ listy papy niedoszłyby mnie“ etc. etc.

Pułk księcia Sułkowskiego wyszedł istotnie w niedługim czasie do Francji a następnie do Hiszpanii. Generał Hauman przeto, jak widzimy, bardzo dobrze pokierował synem, który miał już i pewną nad sobą opiekę i szeroko do odznaczenia się i zasług otwartą drogę. Niestety jednak odziedziczył on po ojcu, przy dzielności i odwadze osobistój, wielką też i żywość chraakteru, a po matce całą niestałość i awanturniczość, któremi cechowała się większa część członków téj rodziny. Ta kombinacya usposobień wrodzonych, przy dwudziestym roku życia, przy wrzawie wojennej i obozowej a różnorodnej mieszaninie żywiołów, z jakich się Napoleońskie wojska składały, przy zwykłej wreszcie u żołnierza, w wojennym czasie pogardzie życia — w niepewności jutra — stworzyły w krótkim czasie z Edwarda prawdziwie niezwykłej miary, a niepohamowanego w swych popędach, awanturnika.

Idą więc z początku zaraz z Hiszpanii do generała listy za listami o przysyłanie pieniędzy; nadchodzą kwity od kolegów Edwarda na zaciągnięte przez niego pożyczki, lub też on sam z wielkimi przeprosinami i przyrzeczeniami poprawy donosi, że się zadłużył, stracił albo zgrał do grosza, czemu jednak „wcale nie był winien,“ jak naprzykład donosi ojcu z Grenady pod d. 11 januar 1811 r.

„Generał Sebastiani — pisze on — który korpusem naszym komenderuje, chciał mieć oficera polskiego przy sobie i ja byłem wyznaczony do tego. W sztabie jego, gdzie jest bardzo wielu oficerów, bywała zawsze wielka gra; a że wszyscy grali i ja prawie byłem zmuszony także się do tego wdać i nieszczęściem zapaliwszy się przegrałem pieniądze, które miałem przy sobie, naówczas ofiarowano mi pożyczyc a ja też przyjąłem i grając nieszczęśliwie zadłużyłem się więcej jak pięć tysięcy franków, co uczyni przeszło pięćset dukatów.”

Prosi więc o pieniądze zaklinając się, że to już raz ostatni i powołuje się na narażenie swego wojskowego honoru w razie nie oddania długu, ojciec zaś, „jako bywszy wojskowy” dobrze to rozumieć może. Po tysiącznych przeprosinach i obietnicach poprawy, pisze wreszcie: „z nowin nic nie mam donieść. Stoimy teraz w Grenadzie dosyć spokojnie, uśmierzając tylko bandy, które się jeszcze tłuką w górach. Pułkownik, o którego przybyciu w ostatnim liście donosiłem (Cichocki), podał mnie teraz na kapitana etc. etc.

(podpisano) *Edward Hauman-adjutant-major.*”

Wszystkie jednak obiecanki poprawy pana Edwarda, może i najszersze w chwili pisania, kończą się jedynie — na papierze; brnie on co raz dalej w dłuży, w coraz grubsze awantury a co więcej: staje się tak zuchwałym, że go już starszyzna wojskowa, pomimo całych względów na zasługi sędziwego ojca i przyobiecanej nad młodzieńcem opieki, w coraz ściślejsze kluby musi. Mimo nowych, kilka tysięcy franków wynoszących długów, robi wciąż pan Edward szalone jeszcze jakieś wybryki. Ratując go pułkownik Cichocki, płaci ze swój kieszeni 600 franków, wreszcie i sam Sebastiani płaci za Edwarda ośmdziesiąt



dukatów, ale po nowych sprawkach usuwa go nakoniec ze swego sztabu. Żadne napomnienia i prośby bądź przełożonych, bądź ojca, najmniejszego nie przynoszą skutku.

W marcu, tegoż 1811 roku w Grenadzie robi awanturę w teatrze; rzecz poszła o wygwizdanie jakiejś tancerki d. 17 marca, co nie-podobało się generałowi dywizyi, Dufour, komendantowi miasta Grenady. Naznaczono Edwardowi areszt na kwaterze; dość lekką karę; ale to go jeszcze bardziej uzuchwala, zaczyna się coraz więcej okazywać krnąbrnym względem starszyny. Pułkownik Cichocki, zapewne krewny generała Cichockiego, kolegi Haumana, będąc młodym jeszcze oficerem służył pod nim kiedyś w regimencie Działyńskich, przez pamięć przeto i szacunek dla ojca, który polecił mu opiekę nad Edwardem, wszelkich starań dokładał, aby i zasłonić go w różnych wypadkach i wspomagać, gdy było potrzeba, a radami wreszcie i uwagami do upamiętania się przyprowadzić. Ale pan adjutant zbyt zaufany w sobie i spoufalony niejako, co dzień się okazuje zuchwalszym i względem samego nawet Cichockiego. Za publiczne już prawie zniewagi, jakie ośmielił się mówić swemu pułkownikowi w obec kilku oficerów, jak kapitana Rynarzewskiego, majora Grotowskiego i innych, do ostateczności doprowadzony Cichocki nazaczył mu wreszcie areszt „na Alhambrze” fortecy pod Grenadą, gdzie Edward ze wstydem cały tydzień przesiedzieć musiał, pełniąc służbę garnizonową, o czém też według przyjętego regulaminu, dla przykładu w innych pułkach polskich obwieszczono publicznie. Ta nie tyle sroga ile hańbiąca kara zamiast wywołać w penitencje jakieśkolwiek zastanowienie się nad sobą, spotęgowała owszem całą jego zawziętość do tego stopnia, że natychmiast po wyjściu z fortecy umyślił podać się do dymissyi i wyzwąć Cichockiego na pojedynkę.

Jakoż, występuje zaraz z petycją o uwolnienie ze służby, a jednocześnie pisze skargę do Księcia Jozefa Poniatowskiego, jako ministra wojny i naczelnego dowódcy wojsk polskich Księstwa Warszawskiego.

Cała sprawa rozmazuje się coraz gorzej; idą raporta do Sebastiani, jako komendanta 4-go korpusu wojsk konsystujących w Hiszpanii, do księcia Poniatowskiego, listy do generała Haumana z opisaniem wypadków. Starszyna wojskowa zaniepokojona tak gorszącą hardością, która groziła złym przykładem niesubordynacyi i rozprzężenia się karności wojskowej, postanowiła już nie bawić się w perswazyę, ale postąpić z całą surowością prawa. Generał Sebastiani z łagodności bynajmniej nie słynął, i ta też sława jego oraz energiczne stanowisko, jakie w tej sprawie zajął, złamały wreszcie, choć nie na długo, upor zapaleńca.

Sebastiani, na podaną prośbę o dymissyą, zwołał cały korpus oficerów, złączył publicznie Edwarda, przypominając wszelkie jego wybryki, dymissyi odmówił, jako hańbiącej oficera, gdy żąda jój w czasie toczącej się wojny i oświadczył wreszcie stanowczo, że za pierwsze

wykroczenie, jakiego się dopuści, oddany zostanie pod sąd wojenny i bez żadnego już ułaskawienia—rozstrzelany.

Sprawa została więc umorzona; pan Edward przycichł na czas jakiś, ale się wcale nie upamiętał; przywykłszy do gry i hulanki, nie mając odpowiednich do zaspokojenia swych nienasyconych fantazyi funduszków, szuka jeszcze czas jakiś łatwymi, coby mu pożyczili pieniędzy; coraz mniej jednak tych przyjaciół znajduje i dopuszcza się wreszcie, pewnej tak hańbiącej już nie tylko oficera, ale i człowieka sprawy, a raczej przestępstwa, że pułkownik Cichocki jedynie przez wzgląd na zasługi i nieposzlakowane imię ojca jego, nie chcąc już samego nazwiska na publiczną wzgardę narażać, nie oddaje téj zbyt brudnej sprawy pod sąd francuzkiego wojskowego zarządu, ale postanawia załatwić ją, o ile można, w cichości.

Zwołana komisya, złożona z samych polskich oficerów, postanowiła wypędzenie Edwarda z wojska, bez dymissy.

Listem z d. 11 sierpnia 1811 roku, datowanym z Grenady, donosi pułkownik Cichocki generałowi Haumanowi o tym smutnym wypadku, zawiadamiając zarazem, że dla zaspokojenia narobionych jeszcze przez syna długów należy nadesłać najmniej 800 dukatów, prócz wydatków na podróż z powrotem do kraju, której Edward, jako bez dymissy wychodzący, nie może odbywać na koszt rządu francuzkiego.

Był to najśroźszy cios dla starego generała Haumana; długi za syna zapłacił, ale od téj chwili wyrzekł się go już na zawsze, splamienia czci i nazwiska przebaczyć nie mógł i zakazał, aby mu się nigdy w życiu na oczy nawet pokazywać nie śmiał.

Znika więc Edward z widowni na czas jakiś i ani w Hiszpanii ani, naturalnie, w rodzicielskim domu o nim nie słyhać. Zdaje się jednak, że natychmiast po usunięciu go z wojska musiał pospieszyć do kraju; w tym czasie bowiem zmarł był właśnie Ksawery Błeszyński, bezdzietny, brat pierwszej żony generała Haumana, później Malczewskiej, matki Edwarda. Pozostał po nim znaczny majątek: Łaska-rzew z przyległościami i Pilcyn w Garwolińskim oraz Przeczyca, Kamienica i Dęborzyn w Galicyi. Do tego ostatniego majątku, gdzie właśnie Błeszyński życie zakończył, zjechała się dość licznie rodzina dla podziału spadku; gotówki nie znaleziono, z odpowiedniami więc spłatami ułożono się o podział majątków. Musiał więc i Edward jakieś fundusze do dalszego utrzymania się pozyskać, wałesając się pomiędzy liczną rodziną Błeszyńskich, Młockich a, jak się zdaje, najwięcej Malczewskich, z kąd miał również pomoc pieniężną, pochodzącą z legatu szefa Jana Malczewskiego. Mało o nim wiadomości z tych czasów, kołatał do ojca o przebaczenie, ale napróżno.

Na początku 1812 roku generał Hauman opuścił Turów, udając się z rodziną do Rozwadowa w Galicyi, gdzie dość długo przebywał; piękna „Filipka“ wyszła była właśnie za Sobolewskiego, o którym bliższych szczegółów doszukać się trudno, i rzuciła się w świat szeroki.

Między latami 1813 a 1818-ym państwo Haumanowie zamieszki-



wali w Żelechowskiem. Przy zmianach, jakie zaszły w kraju, generał usunął się zupełnie z widowni publicznej, gryząc się wiadomościami, jakie od czasu do czasu dochodziły go o wybrykach pani Sobolewskiej. O Edwardzie głucho było, trzymał się najwięcej Malczewskich, w szczególnej zaś zostawał przyjaźni z bratem młodszym poety, Konstantym, który niedawno właśnie wstąpiwszy do nowo utworzonych wojsk Królestwa Polskiego, był „podoficerem konduktorem w kwartermistrzostwie.”

Przyjaźń ta nie była bez przyczyny; bracia przyrodni Edward Hauman i Konstanty Malczewski, najdoskonalej godzili się w temperamentach i wyobrażeniach, przyczém zapewne Edward, starszy i „doświadczeńszy” musiał być niejako mentorem brata; stale go się więc trzymał, przesiadując najczęściej w Warszawie.

Z początku wiele mniejszych awanturek uchodziło braciom na sucho, a że powodzenie zachęca, umyślili przeto zabawić się w coś grubszego.

Wziął był Konstanty Malczewski urlop na trzy miesiące i pojechał do wsi swojej w Radomskie; wróciwszy i nie zameldowawszy się jeszcze swój władcy, ubrany po cywilnemu, idzie wraz z Edwardem do teatru; tu gdy przypadkiem — czy też może i umyślnie — nadeptał na nogę jakiemuś rosyjskiemu pułkownikowi, wszczyna z nim kłótnią, która wszelako na chwilę ucichła; ale po skończonem przedstawieniu, umówiwszy się, obaj bracia czekają na wychodzącego pułkownika, aby go poturbować i wyzwąć na pojedynek. Pułkownik wyzwanie przyjął, lecz gdy wymieniono nazwiska, przekonawszy się, że Malczewski jest wojskowym a nie ma jeszcze stopnia oficera i co gorzej, że nie zameldowawszy się władzy po powrocie, jako cywilny chodzi po mieście, wnet go arestować kazał. Sprawa poszła do W. Ks Konstantego, z którym, jak wiadomo, żartów w rzeczach zwłaszcza wojskowych nie było. Naznaczono więc sąd: Malczewskiego zdegradowano na prostego żołnierza i przeznaczono do piątego pułku piechoty liniowej, który stał załogą w Zamościu. Najusilniejsze wstawienia się licznój i dość szerokie stosunki mającej rodziny, żadnego nie odniosły skutku i Konstanty Malczewski musiał się poddać karze.

Tu nastęrcza się uwaga, że gdy z jednej strony tradycja zdaje się wskazywać, że poeta Antoni Malczewski, brat Konstantego uczestniczył ze sztabem generała Ksawerego Kosseckiego w kampanii 1812 roku, co mogłaby potwierdzać i relacya z Pamiętnika Jackowskiego — z drugiej, Bielowski utrzymuje, że Antoni przesiadywał w Zamościu. Czy nie zachodzi tu omyłka w czasie i osobie, ile że o Konstantym Malczewskim, jako i o całej rodzinie w żadnej biografii poety nie ma nawet wspomnienia; może ten pobyt w fortecy Konstantego, przypisano Antoniemu?

Rzecz trudna do rozstrzygnięcia; co do Konstantego wszelako, musiał się naturalnie udać do Zamościa, ale że to był chłopak majątny, w towarzystwie zaś gładki i przyjemny, w prędkim czasie po-

trafił sobie zjednać przyjaciół w całym składzie oficerów miejscowych. Nie odbywał więc ani służby w koszarach, ani na musztry nie chodził, stawał jedynie w szeregach, gdy się trafiła jaka generalska lustracja wojskowa. Nająwszy zaś obszerne i piękne mieszkanie, przyjmował u siebie kolegów oficerów hojnie; bawiono się i grano w karty po całych nocach. Życie upływało więc wesoło; ale dla awanturnicznych usposobień młodzieńców miało tę niedogodność, że było zbyt jednostajnym; poczynali więc oba z Edwardem Haumanem przemyślać nad jakimś krokiem stanowczym, któryby ich na szerszy świat wyprowadził.

Po roku prawie pobytu w Zamościu, Konstanty Malczewski prosi wreszcie swego dowódcy batalionu o urlop, z powodu naglących spraw majątkowych, w Radomskie. Pan major, człek przyjazny i dobry, nie odmówił i dał pozwolenie wyjazdu na dni dziesięć.

Tymczasem, brat Edward, wszystko już na miejscu aż do najdrobniejszych szczegółów, według ułożonego z góry planu przygotował. Wieś Malczewskiego z całym ruchomym i nieruchomym inwentarzem i ze wszystkiém, co się w niej znajdowało, była już sprzedaną, pieniądze całe w kieszeni, konie gotowe, droga obmyślana. Dniem i nocą, unikając większych miast, puścili się awanturnicy w podróż, dostali się za granicę i wsiadłszy na pierwszy okręt, który im się nawinał odpłynęli—do Ameryki.

Mówiono, że Edward Hauman, miał jakiś czas swój własny okręt handlowy, pisał kilkakrotnie do macochy, której najlepsze serce i zaćność umiał cenić, prosząc, aby się wstawiła do ojca o przebaczenie i pozwolenie powrotu do domu, donosił, że utrzymuje się z założonej w New-Yorku księgarni;—generał Hauman jednak nie chciał widzieć syna i oba wreszcie, z Konstantym Malczewskim zginęli bez śladu, a o ich dalszych losach, nawet najbliższa rodzina nic już się więcej nigdy dowiedzieć nie mogła.

Działo się to w roku 1817-ym; w kilka miesięcy potem nadbiegła wieść ze Szwajcaryi o zgonie Kościuszki najlepszego przyjaciela generała Haumana; w życiu jego było to jakoby ostatnią epoką ważniejszych wypadków. Odtąd, aż do samego zgonu upływają generałowi lata w sprawiedliwie zasłużonym spoczynku w gronie rodziny i obywateli, którzy go największym otaczali szacunkiem.

Osiadł on w 1818 roku na dzierżawie tak zwanych naówczas dóbr narodowych Uścimów i Jedlanka, stanowiących część niegdyś starostwa Parczewskiego, które przez długie przedtém lata posiadał podskarbi Kossowski, mąż owój sławnie pięknej pani Kossowskiej, ulubienicy Stanisława Augusta. Z owego czasu pochodzi téż i urządzona tu rezydencya, jedna z najpiękniejszych w okolicy.

Ogród w stylu włosko-francuzkim szeroko rozpościera się poza domem; założony z wielkim smakiem spada lekkiemi kondygnacyami do brzegów obszernego jeziora, które głęboko wkrada się w nie-



go przesliczną zatoką, otoczoną aż do brzegów staremi i wspaniałemi drzewami.

Dwór sam, murowany z piętrowym przyczółkiem od strony dziedzińca, obszerny i bardzo wygodny mieści w sobie, prócz licznych pokoi, piękną środkową salę z trzema w półkole występującemi od strony ogrodu parapetowemi drzwiami. Przechowały się tu aż do ostatnich czasów, nie pozbawione artystycznej wartości, malowidła, pokrywające całe ściany. Dziedziniec ze stajniami i oficynami zamknięty jest piękną bramą, do której wiedzie ozdobiona staremi drzewami ulica, wznosząca się nieco od brzegu drugiego jeziora, znajdującego się przed dworem.

Tu generał Hauman przepędził ostatnie lata swojego życia; znano powszechnie tę piękną i poważną postać: świeży i rumiany z bujnymi jak mleko białemi włosami, najczęściej w białém ubraniu świeżej jak śnieg bieliznie; innych też jak białe koni, nigdy nie miał w zaprzęgu.

Dzierżawę dóbr Uścimowskich z ekonomii Parczewskiej wziął był generał Hauman w sumie rocznej tenuty 31,560-ciu złotych, po Henryku Kamińskim, przed którym był Antoni Dąbrowski. Po Haumanie wziął ją w r. 1832-im Osiecki, poczem, jako dobra donacyjne, dostał się Uścimów w posiadanie generała Nabokowa; dziś należy do jego syna; obecni jednak właściciele nigdy tu nie przyjeżdżają wcale, a piękna rezydencya z dniem każdym coraz bardziej niszczeje, chyląc się do upadku i ruiny.

Z Elżbiety ze Skalskich zostawił generał Hauman jedyną córkę, Józefę, która wyszła była za Jana Szlubwskiego, niegdyś pazia króla Stanisława Augusta, dziedzica Opolszczyzny, w powiecie Włodawskim, człowieka bardzo wykształconego, wielkiego znawcę i miłośnika sztuki, który w Opolu piękną i cenną posiadał galerią rzeźb i obrazów <sup>1)</sup>. Bardzo młodo zmarła córka generała, dając życie jedynej znowu córce, Krystynie, wydanej później za hrabiego Jana Wielhorskiego.

Sam generał zakończył życie w Uścimowie d. 30 stycznia 1829 roku; ciało jego złożono w podziemiach kościoła w Opolu. Żona zamieszkała od śmierci córki przy zięciu dla opieki nad wnuczką, trzy lata tylko męża przeżyła; zmarła w dniu 9-ym maja 1832 roku w Opolu, gdzie też obok męża pochowaną została <sup>2)</sup>.

Ojciec generałowej, Józef Skalski, umarł nagłą śmiercią w roku 1815-ym, dworek i kamienicę po nim nabył doktor Thejner.

<sup>1)</sup> Sławną była niegdyś podróż jego wraz z Wiktorem Malskim, wujem piszącego, którą odbyli oni z Podlasia, przez całą Europę aż do Neapolu — powozem i końmi własnymi.

<sup>2)</sup> Miniatura gon. Haumana jest w muzeum Rapperswilskim; portret piękny olejny generałowej Elżbiety ze Skalskich znajduje się w zbiorach autora w Romanowie.

Niedawno zmarł i mąż jedynej wnuczki generała, Jan hr. Wielhorski, w podeszłym już wieku, ułan niegdyś z kampanii 1831 roku; syn jego Zygmunt, doświadczywszy różnych w ostatnich latach kolei, jeszcze przed zgonem ojca, bezpotomnie zeszedł ze świata. Córka zaś hrabiego Jana, a ostatnia prawnuczka generała, oddawna wzgardziwszy światem, przepędza ciche dni życia za kratami jednego ze słynnych z najsurowszych reguł, klasztoru.

Co się ostatecznie stało z Antonim Haumanem, bratem generała—nie wiadomo. Tak więc, nowo na Sejmie czteroletnim do godności szlacheckiej podniesiona dzielna rodzina Haumanów, błysnęła tylko i znikła, jak krótkotrwałe meteor; stosunki ich z Malczewskimi i dziwne przygody tych rodzin, które w innym czasie byłyby powszechną, zwróciły uwagę, przeszły też niepostrzeżone i zapomniane w obec klęsk ogólnych, ginąc przywalone powszechnego kataklizmu gruzami.

Romanów dn. 19 marca 1887 r.

---



O P I S

RZECZYPOSPOLITEJ POLSKIEJ Z ROKU 1574<sup>90</sup>,

wodług relacyi

Ludwika Gonzagi, ks. de Nevers i Rhétel \*).

PRZEDSTAWIŁ

*D-r Ludwik Finkel.*

VI.

„Spodziewam się, że W. K. M. pozna dokładnie dochody Królestwa z mojej relacyi, które zamyślam przedstawić Jéj, błagając najprzód o przebaczenie, jeśli wywody moje będą zbyt długimi. Ale chęć objaśnienia Pani, popycha mnie raczój do napisania czegoś zbytecznego, aniżelibym miał opuścić jakie słowo, którego brak mógłby pozostawić w niepewności W. K. M.“

Tak rozpoczyna ks. Nevers obszerną rzecz o dochodach Królestwa i ich powiększeniu, część, którąśmy nazwali drugą, a podajemy tylko w streszczeniu. Poprzedza ją jeszcze pogląd na urzędy w Polsce, rozważane ze stanowiska finansowego.

„Mówiłem wyżój, że król nie ma władzy — pisze — wyrugować urzędnika, którego raz zamianował; rozebrawszy jednak rzecz dokładniej, zauważy się, że jest tutaj tak samo jak we Francyi. Wojewodowie, to jakby namiestnicy francuzcy, których król nie może złożyć z urzędu bez pozbawienia ich wprzód życia lub czci. Kasztelani, kanclerzowie, podskarbiowie i marszałkowie są takżo senatorami, a więc i oni podobnemu prawu podlegają. Pozostają jeszcze starostowie, któ-

\*) Dokończenie — patrz zeszyt za m. listopad r, b.

rzy, mówiąc dobrą francuzczyzną, są właściwie dzierżawcami. Między dzierżawą bowiem a prawdziwem starostwem jest ta różnica, że starosta ma prawo sądzenia w pewnych sprawach, a starosta-dzierżawca nie ma tego prawa. Daje je król szlachlicom, którzy mu płacą za to trzy części dochodu, czwartą na rzecz Królestwa, piątą zaś zostaje na ich opatrzenie <sup>1)</sup>. Król nie może tych starostów wywłaszczyć z urzędu bez zarzucenia im sprzeniewierzenia, co, mówiąc prawdę, wielką jest niedogodnością. Gdyby król mógł rugować ich wedle swój fantazyi, utrzymywałyby ich w rygorze; jest to bowiem największe wynagrodzenie, jakie król może dać szlachcie, potrzebne jej bardzo do życia. Dla tego to radzę, aby król starał się wszystkimi sposobami unieważnić pożyczki, ciążące na starostwach i uczynił je wakującemi co lat pięć, podczas każdej nowej lustracyi, a wreszcie poddał zupełnie swój władzy. Dałoby się to spróbować pod pozorem, że większa część nie płaci tego, co winna, chyba tylko pięknemi słowami, a trzeba, aby płacili, bo skarb jest obecnie tak biedny, że król niema z czego się żywić. Wiem, że będą wielkie trudności w dokonaniu tego, ale téż to rzeczy wielkiej wagi, bo jeżeliby udały się, władza królewska wzmożłaby się ogromnie. Gdyby zaś nie można przeprowadzić tego z tymi, którzy są już w posiadaniu starostw, należy przynajmniej włożyć obowiązek na te starostwa, które zawakują, a wakanse mnożyć się szybko.

O małych urzędach ziemskich mówić nie warto, bo nie przynoszą żadnego dochodu, tylko trochę honoru, który każe je szanować w ich powiatach. Od sędziów ziemskich idzie apelacya do króla. Tych także nie można pozbawić urzędu, co jednak dziwić nie powinno, boć i we Francyi nie wolno prostego radcę (ung simple conseiller) zrzucić z godności bez odjęcia mu życia lub czci.

Jak zaś utyskiwano, że król niema sposobów ukarania polaków (o czém wyżej pisałem), podobnie gdy przyszło mówić o administracyi dóbr, w wielki dzwon uderzono, że wybrano króla, aby zginął z głodu, a uważano to za taki pewnik, że nikt nie chciał zająć się rozpatrzeniem spraw polskich, a zadawała się jedynie piciem, jedzeniem i próżnowaniem.“

Czyni to książę de Nevers a rozpoczyna od przypomnienia, że wedle rachunku podskarbiego dochód króla wynosił 106,203 zł. <sup>2)</sup>, a rozchód 149,000, tak, że w istocie nie byłoby z czego żyć i piasto-

<sup>1)</sup> Porównaj prof. Pawińskiego: „Skarbowość w Polsce za Stefana Batorego,” Warszawa, 1881, str. 19: „Z sumy szacunkowej arendy starostwa odtrącano na kwartę 0,20, oddawano do skarbu królewskiego 0,60, na opatrzenie starosty 0,20.“

<sup>2)</sup> Liczba podana zgadza się z rachunkiem podskarbiego z r. 1574, podanego u Pawińskiego „Skarbowość w Polsce,” Warszawa 1881, str. 35 (nota 1).



wać godności królewskiej. Ażeby poznać jak rzeczy na prawdę się przedstawiają, trzeba wniknąć w nie głębiej.

Posiadłości królewskie wedle szacunku warte są tylko 546,677 złp. 13 groszy 15½ denarów, ale dobrze obliczywszy 559,003 złp. 21 groszy <sup>1)</sup>. Z tej sumy król traci <sup>2)</sup>, jako: 1) dożywocie danc starostom 76,330 zł. 31 gr. 10 den.; 2) dobra sprzedane za zgodą stanów na potrzeby Rzeczypospolitej 74,295 zł. 25 gr. 8 den. (po odjęciu kwarty strata króla 44,577 zł. 15 gr.); 3) na dzierżawach, które powinnyby przynosić 78,524 zł. 6 gr. 13½ den. (na króla przypadłoby 44,714 zł. 16 gr., czynią zaś wedle rachunku podskarbięgo 6,017 zł. 26 gr.)—38,696 zł. 20 gr.; 4) na dzierżawach trzyletnich, mających czynić 64,847 zł. 17 gr. 3½ den. (na króla 38,920 zł. 16 gr. 5 den., a dają 13,297 zł. 11 gr.) — 25,623 zł. 5 gr. 5 den.; 5) na żupach ruskich i cle od soli (gabelles), które winny dawać 74,000, a król ma z tego cztery części t. j. 59,200 zł., urzędnicy zaś opłacać się mają bez naruszenia tej sumy, wskutek jawnej kradzieży (larcin)—8,200; 6) na dobrach administrowanych przez „wiernych ludzi“, którzy powinni oddawać 60,812 zł. 20 gr. 11 den. (<sup>3)</sup>/<sub>8</sub> króla = 36,487 zł. 18 gr. 6 den.), król traci 35,687 zł. 18 gr. 6 den. — bo ma dochodu wszystkiego 800; 7) najjuńiej na żupach krakowskich, bo 500 zł. (dochód 36,000, królewski 24,800, dostaje 24,300); 8) na dobrach mazowieckich 22,439 zł. 23 gr. 4 d. Dobra te przeszły sukcesyą na zmarłego króla, nie płacą więc kwarty i nie powinny być w jednej linii z innymi posiadłościami, ale podskarbi mi mówił, że teraz cięży na nich dług, za co kwartę król dawać się zobowiązał, dług ten przejdzie w tym czasie na dobra infantki. Dobra te mają czynić 47,182 zł. 26½ gr., ale dochód ten zawisł od procesu z trzema siostrami spadkobierczyniami króla, w części rozdrapują go starostowie, tak, że z trzech części, wynoszących 28,409 zł. 11½ gr., nie pozostaje królowi jak 5,969 zł. 24½

<sup>1)</sup> Ks. Nevers podaje kurs monety: grosz = 18 denarom; 80 groszy = 1 zł.; 48 groszy = pistol (grzywna); 54 groszy = dukat węgierski.

<sup>2)</sup> Dla lepszego zrozumienia podaję zestawienie prof. Pawińskiego, do którego znakomitej książki przyjdzie mi się nieraz odwołać:

		kwarta	dochód skarbowy
Szacunek rocznego dochodu gołego dożywocia czynił	zł. 132,082	26,416	—
Szacunek dóbr w nowych su- mach zapisanych	74,294	—	—
Roczne dzierżawy	60,384	12,076	6,014
Trzyletnie	188,867	27,773	64,297
Do wiernych rąk	94,708	18,741	25,110
Dzierżawy mazowieckie	47,339	9,467	5,680
„ podlaskie	53,170	(10,630)	5,120
	<u>zł. 599,844</u>	<u>102,103</u>	<u>106,191</u>

(Dochód czysty 106,203 z powodu opuszczenia groszy i denarów).

groszy. Wreszcie 9) dobra podlaskie przynoszą 5,122 zł. 19 gr., ale ile na nich traci król obliczyć nie mogę, bo podskarbi twierdzi, że od dziesięciu tylko starostów otrzymał rachunki. Nie otrzymał ich wcale z Wołynia, ani za cło wołyńskie i podlaskie, dla tego tam napisał nihil <sup>1)</sup>. Słowem, król traci rocznie kwotę 251,965 zł.

Taka gospodarka musi ustać. Zaraz w następnym roku należy przestrzegać, aby nie było straty w dochodzie z dzierżaw trzyletnich (które mają królowi czynić 38,920), z dóbr oddanych do „wiernych rąk“ (36,487), żup ruskich i ceł (59,200), i krakowskich żup (24,800). Dobra zastawione w interesie Rzeczypospolitej mają być na najbliższym sejmie wykupione, przyniosą one królowi 44,577. Dobra mazowieckie można postawić (jeśli król zajmie się tylko swoimi interesami) w kwocie 28,309. Na dzierżawach także jest wielka strata; zachodzi nawet kwestya czy mają być zachowane, ale teraz nie może być natchmiasz szkoda powetowana, chyba kwota 2,432, którą starostowie dostali tytułem kosztów z powodu zarazy, może być dodana (z 26,017 zrobiłoby się 8,459). A podniósłszy te tylko pozycye, dostalibyśmy już na r. 1575: 245,877 zł. 26 gr. 8 den., a dodawszy zaś do tego kwartę, któraby wynosiła 94,466 zł., będzie dochód cały 340,344 zł. 11 gr. <sup>2)</sup>.

Warto także zastanowić się nad dożywociami, ubezpieczonemi listami, wydanyimi przez ostatniego króla ze szkoda następcy. Nadania te nie powinny być mieć znaczenia, bo król polski jest tylko admi-

<sup>1)</sup> Dla łatwiejszego zorientowania się zostawiam powyższe cyfry w tabelę:

	złp.			Strata króla			Dochód króla		
	złp.	gr.	den.	złp.	gr.	d.	złp.	gr.	d.
I. Dożywocie	127,217	25	17.	76,330	21	10 <sup>1</sup> / <sub>2</sub>	—	—	—
II. Na sumach nowych	74,295	25	8	44,577	15	—	—	—	—
III. Dzierżawy	74,524	6	13 <sup>1</sup> / <sub>2</sub>	38,696	20	—	6,017	26	—
IV. Trzyletnio. a)	64,847	17	3 <sup>1</sup> / <sub>2</sub>	25,623	5	5	13,297	11	—
V. Żupy ruskie	74,000	—	—	8,200	—	—	51,000	—	—
VI. Ad fideles manus	60,812	20	11	35,697	18	6	800	—	—
VII. Żupy krak.	31,000	—	—	500	—	—	24,300	—	—
VIII. Dobra mazow.	47,182	26	5	22,339	23	4	5,969	28	7
IX. Podlaskie	5,122	19	—	—	—	—	5,122	19	—
	559,003	21	4	251,965	13	7 <sup>1</sup> / <sub>2</sub>	106,507	24	7 b)

a) Kwota Pawińskiego 138,867 oznacza dochód za lat trzy; obliczają rocznie należało, jak to ks. Nevers uczynił, pozostawić trzecią część.

b) Taka suma wypadła; dla czego ks. Nevers i rachunki podskarbiński (wedle cyfry w Skarbowości prof. Pawińskiego) inaczéj podają, t. j. 106,203, nie wiem. (Z powodu opuszczenia denarów. *Red.* jak wyżej notą 2).

<sup>2)</sup> Dla porównania notuję, że za Franciszka I-go dochód królestwa Francuzkiego wynosił 5 milionów talarów (écus), za Henryka II-go 6 <sup>1</sup>/<sub>2</sub> miliona, w r. 1574 zaś 7 mil. Prawda, że dług wtedy już wynosił 40 milionów écus. (Ranko: Franz. Gesch. II, 49—50).



nistratorem dóbr swoich, podobnie jak biskup swego biskupstwa, jak król francuzki swego królestwa. Bo gdyby któryś król widząc, że już dłużej niż trzy tygodnie żyć nie będzie, rozdarował dochody swego królestwa, z czegoby żył następca jego? Albo więc niech unieważnią wszystkie donacje, albo składają rocznie dostateczną sumę dla utrzymania godności królewskiej. Ten argument jest tak bijący w oczy, że senatorowie i inni polacy, którym go przedstawiałem, przyznawali mi słuszność; ale interesowani i ich krewni dodawali zaraz, że nadania są ubezpieczone przywilejami, że więc odebranemi być nie mogą. Sądzę, że łatwiej zgodziliby się na podniesienie podatków, cobym nawet wołał, bo starostwa wrócą bez tego po śmierci posiadających je do króla. Sprawa ta tak mnie interesowała, że dowiedziałem się szczegółowo, którzy senatorowie są pośrednio lub bezpośrednio w tój kwestyi zaangażowani i spisałem z tego wielki memoryał, aby król wiedział, kto będzie radził z interesu, a kogo może słuchoać.

Ważną téż jest rzeczą, aby król kazał otaksować starostwa zanim je rozda, bo tym tylko sposobem uniknie nadużycia; komisarze idą bowiem ręka w rękę ze starostami. Mówiłem mu to jeszcze przed wjechaniem do królestwa, jak tylko zachwyciłem trochę wiadomości o polskich sprawach, ale dotąd nie przestrzegał tój reguły, dając starostwa zaraz jak tylko zawakowały. Wprawdzie co lat pięć odbywa się lustracja, ale wtedy trudno o prawdziwe ocenienie.

Ponieważ jednak przypada ona w roku następnym, należy obejrzyć się za dobrymi i wiernymi komisarzami. Łatwo oni podniosą dochód królewski o 50, że nie powiem 100,000. A nie pomyliłbym się wcale, skoro samo samborskie starostwo, oszacowane na 11,626, na pewne warte 22,000! Dla tego potrzeba, aby to byli ludzie inteligentni i wierni, bo w przeciwnym razie dadzą się przekupić, wyciągną dla siebie zyski, a król nie dostanie nic.“

Nadto podaje ks. de Nevers inne sposoby pomnożenia dochodów.

Najprzód na soli. Dowiedział się bowiem, że „starosta Ragueuski“ (tak! może rogoziński, którym był Jan Dulski?) <sup>1)</sup> ofiarował królowi za obydwie krakowskie żupy 80,000 zł., gdyby mu zupełnie były oddane <sup>2)</sup>, t. j. uwolnione od urzędników czyli złodziejów (larrons). „Nazywam ich złodziejami, bo głos powszechny mówi, że kogo król chce z bogacić, posyła go do żup. Administratorowie ci składają wprawdzie rachunki podskarbiemu, ale jak im się podoba.“ Następnie opis kopalń wielickich, „głębszych od wieży Notre-Dame,“ gdzie schodził książę umyślnie, aby się zapoznać z niemi i widział, iż dostatek soli jest ogromny, tak wielki, że się nigdy nie wyczerpią, bo czém dalej się idzie, tém jęć więcej, a mówią, że wszystkie góry ciągnące się

<sup>1)</sup> Może téż Rokosowski Jakób, który później od 1580 r. wziął saliny w dzierżawę za 50,000. Pawiński, tamże, 49—50.

<sup>2)</sup> Pawiński: Skarbowość, str. 40. Ze żup krakowskich wpływało do skarbu 28,393, z czego jeszcze kwartę odciągało.

ku Węgrom są tego rodzaju. Wzruszając pokłady tych gór znalaziono także sól „aux Collypes” (?) na granicy Węgier, tak, że prędzej świat zginie niżby się wyczerpały te kopalnie. Chociaż prawie 300 lat temu, jak je odkrył pewien francuz (tak! *près de trois cens ans, que les mynides ont este decouvertes par ung françois*), i ciągle wybierają mnogość soli, komora nie ma pół mili długości. Prawda, że jest kilka dróg (sztolni) i wielkich, wysokich sal, które właśnie dają miarę obfitości, wydobywanej soli, ile król zechce, nie tylko dla poddanych, ale także dla obcych ze Szlązka i Morawii, którzy po nią tutaj jeżdżą.

Ważną jest także ze względu na dochód królewski cena soli, która jest bardzo niska. Sprzedają bowiem za cztery dukaty węgierskie obcym, a za trzy polakom ogromny kawał soli ważący 16 do 18 cetnarów. „Napisałem o tém wielki memoriał, podług którego gdyby postąpio, dochód króla podniósłby się do 100,000 rocznie, co W. K. M. pojmie, bo kopalnie należą zupełnie do króla, a cała Polska (nie mówię o Litwie, bo o niej później) powinna się ztąd w sól zaopatrywać, a nie sprowadzać z obczyzny, z Portugalii lub Francyi. Pan Chambert wręczył królowi inny memoriał, pochodzący od pewnych niemców, a podający inny sposób pomnożenia dochodów nawet nad 100 tysięcy. Sądzę jednak, że ci kupcy mylą się; kładę więc sam jako dochód z soli rocznie 50,000<sup>1)</sup>.

Oprócz krakowskich są żupy ruskie, które razem ze starostwem drohobyckim przynoszą 20,000 zł.<sup>2)</sup>, na czém dzierżawca-żupnik, jak mi mówiono, doskonale robi interesa; możnaby je śmiało podnieść do 30,000.

Zbyt mało czyni rocznie cło od wszelakiego bydła i towarów, wprowadzanych do królestwa, bo tylko 54,000. Tak np. cło ruskie daje 9 tysięcy wszystkiego! Z tego można poznać, jak złą jest administracya i o ile możnaby je podnieść. Wszak mówiono mi, że rok rocznie wychodzi z Polski więcej niż 50,000 sztuk bydła rogatego, a każda płaci talara (*escus*); nadto wiele koni, płótna, wełny, skóry, wosku, zboża; wszystko to opłaca cło, a niema jak 54,000 dochodu. Idzie też bardzo wiele łożu do fabryk świec w Niemczech. Powodem tego stanu celnego jest, że szlachta oszukuje dzierżawców cła, a także, że jest źle wydzierżawioném. Szlachta bowiem ma przywilej prowadzić swoje bydło, które sama wychodowała, bez opłaty, ale to jój daje sposobność przemycać też bydło kupione na targu u kupców i nie płacić nic. Temu trzeba koniecznie zapobiedz, co tém łacniej może

<sup>1)</sup> Obrahounek był trafny. W r. 1576 puścił król żupy w dzierżawę za 56,000 rocznie Prosperowi Porwanio, który miał zysku czystego 24,324 zł. rocznie. Ale na taką eksploatacyą nie było można stale liczyć. Okazało się to niebawem we własnej administracyi. W r. 1580 Rokosowski wziął kopalnię za 50,000. Pawiński: Skarbowość, 43, 44, 47, 49.

<sup>2)</sup> Tak obliczono w rachunkach skarbowych 1574 (Pawiński, str. 65).



się udać, że nie zajmują się tém rzemiosłem jak najbiedniejsi, a więc pogardzeni i bez znaczenia ludzie. Da się to uskutecznić na jednym z najbliższych sejmów, bo posłowie, widząc ubóstwo skarbu a spodziewając się tym sposobem nieco go zapełnić, sami tego się domagają. W takim razie można będzie więcej niż podwoić dochód i dostać przeszło 100,000 <sup>1)</sup>. Opowiadał mi bowiem biskup poznański (Adam Konarski), który zna doskonale dzierżawcę, że ten zyskał na cło już 150,000 zł. Boję się, co prawda, bardzo o skutek, bo dzierżawcą jest podskarbi, popierany przez marszałka Opalińskiego, za którego podobno wydał swą siostrę, a obaj rozporządzają ogromnymi środkami <sup>2)</sup>.

Gdyby zaś chciano podwyższyć cło samo, dałoby się to łatwo uczynić z tego powodu, że nie przyniosłoby żadnej szkody poddanym, ale tylko cudzoziemcom; toby zaś pomnożyło dochód o drugie 50,000. Starosta żmudzki mówił mi raz, gdym narzekał, że dochody z Litwy są tak nie wielkie, jako jest na to sposób bardzo dobry, bo trzeba tylko ustanowić cło od towarów wprowadzanych do Litwy z Polski; on zaś sam podjąłby się administracyi. Administracyi nie polecałbym mu, bo Bóg raczy wiedzieć jaki to człowiek, że chciwy i natarczywy, to pewna; ale w dobrej nadziei trzeba go utrzymywać, aby skorzystał z projektu.

Mimo to wszystko w rubrykę dochodów z ceł nie wpisuję nadwyżki więcej niż 50,000.

Znajdują się w Królestwie także kopalnie ołowiu i srebra, nadzwyczajnie dobre, wymagające wszakże nakładów, aby usunąć wodę, która tam nadbiegła. Nakłady nie będą wielkie, bo chodzi tylko o wykończenie kanału, którego kawał znaczny już ostatni król wykopać kazał. Starosta Ragenenski, wielki matematyk i człowiek bardzo zdolny, twierdzi, że rocznie można z nich mieć 100 tysięcy, kładę jednakże tylko 50,000.

Gdańsk wreszcie, najpiękniejszy z portów morskich świata, mógłby znacznie przyczynić się do podniesienia dochodów. Tam to składają wielką część towarów eksportowanych z Polski, jak zboże, wosk, wełnę, miód, maż, drzewo (na okręty), chmiel, bez którego Szwedzi nie mogliby wyrabiać piwa, węgiel i popiół, którego jest wiel-

<sup>1)</sup> Cło Wielko- i Małopolskie dzierżawił od kilku lat Jakób Rokosowski i płacił 45 tysięcy rocznie (Pawiński, 98); cło ruskie zaś grek Konstanty Kornedes za sumę 9,000 (tamże, 101). Dochody za Batoroego bardzo nie wiele się podniosły. W świetle krytyki finansów polskich Ludwika Gonzagi, skarbowa działalność króla Stefana przedstawia się w bludém świetle.

<sup>2)</sup> Spowinowaconi byli, ale nie w tym stopniu. Żoną Andrzeja Opalińskiego była Katarzyna Kościelecka, a Jakóba Rokosowskiego Regina Kościelecka, siostry rodzono, córki Jana Kościeleckiego, wojewody sieradzkiego, generała Wielkopolskiego. Czytaj o tém w Herbarzu Niesieckiego sub. Kościelecki.

ka obfitość. Pan starosta zapewnia, że co rok wywożą z Polski 100,000 łasztów żyta lub pszenicy. Łaszt zawiera około 12—14 beczulek na śledzie (caques de harengs); płaci się zań 30, 35, 40 zł. Możliwy więc z podatku mieć 200 tysięcy zł. Gdybym się był mógł dłużej w Polsce zatrzymać, a król byłby poszedł za moimi radami, posiadałby miasto zupełnie w swoją moc, bo wcale nie jest silnie obwarowanym i zdolnym do długiego opierania się. Dowiedziałem się, że chętnie poddali się mieszkańcy innemu księciu w opiekę, ale żaden ich przyjąć nie chciał, dla wielkiej niedogodności obrony przeciw łatwości ukarania ich przez króla polskiego. Wiedzą też oni dobrze, że całe ich bogactwo przychodzi z Polski. Usposobienie Hanzeatów jest zmienne i najlepiej da się porównać z mieszkańcami La Rochelle; ale król łatwo nawróci ich do rozumu, na co trzy czwarte części królestwa chętnie się zgodzi, byle tylko nie było przeszkody ze strony Moskwy, bo na dwie strony działać byłoby za wiele.

Jeżeliby zaś dla jakiegoś powodu król nie chciał użyć tego środka, jest jeszcze drugi ukarania ich, t. j. zamknąć lewe ramię Wisły, płynące ku miastu, a otworzyć drugie przechodzące przez wierne królówi ziemie pruskie. Tam można założyć dobry port i rozpocząć handel taki, jak w Gdańsku. W żadnym więc razie nie może ująć dochód 200,000; kładę więc 150,000.

Co się tyczy żydów, można będzie mieć z nich 50 do 60 tysięcy, bo chociaż są bardzo liczni, ubóstwo u nich wielkie, a wojewodowie, którym podlegają zupełnie, wyciągają co mogą. Opowiadano mi, że zmarły wojewoda krakowski miał rok rocznie 3 do 4-ch tysięcy dochodu z żydów. Obchodzą się zaś z nimi bardzo srogo. Kładę więc jako dochód 50,000."

Oto, co proponuje księżę, jako środki podniesienia dochodu w Koronie. O Litwie nie mógł zasięgnąć szczegółowych informacji. W końcu udał się do żyda Menlhonana (tak pisze jego nazwisko) i wenecejanina Gwagnina, obu bardzo doświadczonych, którzy mu powiedzieli, że dzierżawy dóbr przynoszą tylko 50,000, ale mają czynić 100,000, a jedną pozycya, cło od soli zagranicznej, 46,823 zł. W istocie złożyli dzierżawy 50 tysięcy, a sekretnie dali królowi na jego przyjemności 14 tysięcy. Ocenia więc dochód na 50,000.

Jest jednak środek podniesienia go. „Poczył mnie o tym Aleksander Gwagnin, włoch, dowódzca twierdzy Witebska, człowiek dobrze ze sprawami obeznany, bo już 15 lat w kraju przebywa, gorąco oddany usługom króla, Waszego syna. Z lasów litewskich, bądź z popiołu, używanego do farbowania sukna, bądź ze smoły, drzewa na maszty okrętowe i pokłady można uzyskać rocznie 150,000 zł.; liczę jednak tylko 100,000. Są też, wedle jego opowiadania, bardzo dobre kopalnie żelaza, z którego może król wyrabiać doskonałą broń, jaką robią w Medyolanie i Brescii, dla konnicy i piechoty, arkabuzy, miecze, kule armatnic, a obok tego sztaby żelazne dla eksportu za granicę, z czego wyniknie nie mały dochód. Trzeba tylko sprowadzić ro-



botników z Brescyi, a praca łatwo pójdzie, bo drzewo nie będzie nic kosztować. On mnie także zapewnił, że jest tam wielka ilość saletry, przydatnej do wytwarzania prochu. Nie poprzestałem na tém, ale dowiadywałem się także od innych i skreśliłem obszerny memoriał, gdzie szczegółowo wszystkie dochody oznaczyłem. Podskarbi litewski złożył w ręce p. Pibraca rachunki, które od niego otrzymałem. Dominium króla wynosiło przed śmiercią Zygmunta 61,490 kóp litewskich, co na polską monetę znaczy 158,725 zł., ale teraz nie warto nawet 30,000, z powodu donacyi ostatniego króla. To, co podarował marszałkowi Radziwiłłowi, szacują na 40,000 renty. Nie wiem tylko, czy nadanie jest dobre, bo podobno było zrobione pod warunkiem, żeby ożenił się z pewną damą, kochanką królewską. Zresztą podczas bezkrólewia kanclerze nie zamykali pieczęci i nie oddawali ich pod klucz kilku senatorów, jak to nakazuje stary zwyczaj; wiele nadużyć było z tego powodu, może też na korzyść marszałka. Jako inny powód podają wielkie wydatki króla na obronę granic przeciw Moskwie, własnym kosztem przez lat 18 utrzymywaną; spór o Wołyn i Podlasie, tak, że teraz nie można na więcej liczyć jak 35,000. Aby sumę tę podnieść, trzebaby postąpić jak w Polsce radziłem, kazać odnowić nadania, podnieść podatki, wykupić zastawy (za 600,000 można wykupić zastaw przynoszący 200,000 renty!) <sup>1)</sup>.

## VII.

Na tym obrachunku dochodów skarbu litewskiego kończy się pierwszy zeszyt relacyi ks. Nevers.

W drugim zaczyna rzecz o t. zw. starych sumach, t. j. dobrach królewskich, zastawionych przed r. 1506. Opłaciłoby się dobra te wykupić, bo oddane za nizkie kwoty przed laty; obecnie przynoszą nieraz w jednym roku tyle, ile wynosi zastaw. Nie będzie to jednak prędko rzeczą możliwą, bo posiadający je zaopatrzyli się w dokumenty, które warują im dożywotnie posiadanie ziemi. Dla tego też sejm z r. 1566 w Lublinie postanowił, że odtąd król tak dawać dóbr swych w zastaw nie może, chyba, że otrzymujący przywilój zgodzi się ze śmiercią swoją upuścić z pożyczonej sumy jedną czwartą. Nie pozostaje więc nic innego na teraz jak przekonać się, kto jaki przywilój posiada, pod żadnym warunkiem nowych nie dawać, bo wyszłyby chyba na korzyść jego następcy, a w najlepszym razie zbierałby plon dopiero w starości i wykupywać posiadłości po śmierci dożywotników. Starosta Raganenski zobowiązuje się spisać szczegółowo ile każda posiadłość czyni, bo obecnie król o tém wiedzieć nie może. Nie wiem też, czy J. K. M. zechce teraz rozpocząć wykup, bo musiałby do tego użyć

<sup>1)</sup> Porównaj Pawińskiego Dodatek o Skarbowości litewskiej; tamże, 464 — 470.

pieniędzy swoich z Francji. W każdym razie możnaby mieć za 600 tysięcy 300,000 renty rocznej, a nawet 400,000; w Litwie zaś 200,000.

Daliej rozpatruje pretensją infantki i dwóch jej sióstr, wynoszącą 92,391 zł. 26 gr. 13 den. tytułem spadku i 100,000 dukatów, jako pozostałość po matce, królowej Bonie. Pretensye te opierają się rzekomo na testamencie ostatniego króla; a sędzią ustanowionym jest w sprawach między stanami a siostrami Zygmunta Augusta J. K. M., syn Wasz." Radzi jednakże ks. Nevers, żeby Henryk nie przyjął tego sądu, bo jeśli nie uzna ich roszczeń, które są niesłuszne, będą mówiły, że je skrzywdził; raczej powinien oddać sprawę pod rozstrzygnięcie kilku mądrych i nieprzekupnych senatorów, czego sobie królowy życzą, ale uważać dobrze kogo do tego powoła. W Polsce bowiem kwitnie przekupstwo. „Sam tego doświadczyłem na sobie—mówi dosłownie Gonzaga, — kiedy przyszedł do mnie niejaki Podoski, kiedyś poseł królewski przy dworze cesarskim, człowiek dobrych form i dobrego imienia, prosić, abym przemówił za sprawą jego u króla i zaraz ofiarował długą suknię, sobolami podszytą, dwa dobre łuki, a przyrzekał, jeśliślim mu zrobił czego chciał, później dać podarek godny mnie. Odpowiedziałem mu tak łaskawie, że zdziwiony padł na kolana i ścisnął nogi moje, prosząc o przebaczenie i mówiąc, że nie mniemał, aby postąpił źle, ofiarując mi futra i konie, które daje się cesarzom i książętom; że wreszcie jest-to zwyczajem w tym kraju. Odpowiedziałem mu, że nieraz prosiłem już za różnymi ludźmi Wasze Mości, ale nie szukałem nigdy z tego zysku i bynajmniej nie chcę nabyć tej wady w Polsce. Powrócił do domu tak zgorszony, że rozpowiedział to zajęście dwom czy trzem innym, dodając, że się pomści za takie jego traktowanie. Nieco przedtém żydzi, dowiedziawszy się, że układam podatki roczny, przynieśli mi piękną suknię sobolową, którą zwróciłem im, obrzucając ich słowami obelżywemi. Te dwa przykłady powinny nauczyć króla, jak tutaj kwitnie przekupstwo.”

„Najlepsze i najłatwiejsze zeznanie ze wszystkich zrobił mi pan Krzysztof Warszawicki, pierwszy poseł (principal nonce) mazowiecki, który utrzymywał innych w postuszeństwie i wierności dla króla, t. j. że dobra Kościoła w Polsce są tak wielkie, że liczą około 70,000 wiosek. Wioską nazywa się osada o 20, 30, 40 lub więcej domach; każda zaś wieś przynosi 100 zł., tak, że dochód Kościoła należałoby ocenić na 7 milionów zł., suma zaiste wielka, a dla mnie rzecz nie do uwierzenia, chociaż p. Warszawicki zapewnia, że tak jest. Nie wiem, co o tém sądzić, bo jest to szlachcic wykształcony, umysł rozbudzony, o którym mniemam, że nie mówi na wiatr. Otóż twierdzi on, że w razie wojny z niewiernymi i schizmatykami t. j. Tatarami i Moskalami, papież zezwoli, aby król dostał z tego dziesiątą część, co łatwo się zrobi, jak zapewniał także biskup Moyenski, nuncyusz papieżki, jeżeli znowu król udzieli papieżowi władzy karania ludzi, należących do Kościoła (chastier les gens d'óglise). Z tego mógłby więc król mieć 700,000; ponieważ jednak nie chcę wierzyć temu w zupełności, kładę



mniej niż połowę t. j. 300,000; a gdyby było tylko 200, byłoby już wiele. Nie wątpię, że z samych biskupstw i opactw będzie 100,000: z kolegiat i probostw, których jest najmniej dwa razy tyle 160,000.

Zanim jednak Warszewicki zrobił to zeznanie, za którego wyjawienie chciał piątą część, mówiłem już z nuncyuszem, który godził się na rzecz chętnie, ale nie myśleliśmy o sumie większej niż 100,000. I prawdziwie okazał on się gorliwym w usługach, a skoro król, syn Wasz, napisze list z podziękowaniem, aby go zachęcić nadal, także p. Bellièvre może dodać pochwały <sup>1)</sup>.

„Tutaj jeszcze powiem, chociaż nie stoi to w związku o przeskrodeniu żeglugi na Narwie, będącej w posiadaniu Moskwy. Znalazłem na to środek przy pomocy człowieka, znającego tę sprawę, t. j. wybudowanie kilku twierdz w Inflantach, gdzie jest znakomity port w takiem miejscu, przez które płynąć muszą wszystkie okręty, zdążające do ujścia Narwy, bo na szerokiem morzu wiele jest skał i raf. Skoro zaś tylko port będzie zabezpieczony, powiększy się liczba mieszkańców, wynosząca teraz 1,000, bo będzie to targowisko dla całej Litwy, a handel, który odbywa się dziś w Moskwie, przeniesie się tutaj, co znacznie podniesie dochody królewskie. Wydatki nawet nie będą zbyt wielkie, bo miejsce to jest wazkie i wielu okrętów do obrony nie wymaga.”

Tak więc—kończy ten wywód ks. Nevers—choć dochody króla teraz są bardzo szczupłe, łatwo jak widzi W. K. M. mogą być pomnożonymi. Jakże z rozchodów można łatwo skreślić sumę 50,000, pensyi rozdanych przez ostatniego króla, co już tacyte zrobił podskarbi; wydatki infantki (40,000) odpadną po skończeniu procesu z Rzecząpospolitą. Tylko haracz Szwajcarom (płacony), podobnie wydatek na twierdze graniczne i podarki posłom zagranicznym. Co się zaś tyczy pieniędzy, dawanych na powrót posłom sejmowym, to nie zdarza się wydatek ten co rok; a zresztą jeżeli sejm okaże się usłużnym królowi, to może on zyskać więcej niż 7,000. Zmarły król, chociaż miał na swe usługi pić do sześciuset szlachty a cztery tysiące koni, wydawał rocznie tylko 200 tysięcy; król, Wasz syn, będzie mógł wydawać 400 tysięcy.”

Ażeby dowieść tego, przypomina Gouzaga królowej raz jeszcze wszystkie pozycje budżetowe, jakbyśmy dziś powiedzieli. Okazuje się z tego, że po wprowadzeniu wszystkich proponowanych reform, skarb królewski liczyłby rocznego dochodu 700,343 zł. 9 gr. 9 den., tak, że jeszcze 300 (niechby 100) tysięcy pozostawało. Boi się wprawdzie, że na przyszły rok dla trudności rozmaitych nie dadzą się reformy przeprowadzić; sądzi jednakże, że 500,000 uda się zebrać. Można by

<sup>1)</sup> Rachunek Warszewickiego był prawdziwy. Znajdujemy taki sam obrachunek w liście Płazy do Kromera (Rękop. bibl. Jagiell. 28, nr. 341). Wiasek duchownych liczy 80,565, co prawda, dodaje sam: „si verum.”

téż nałożyć nowy podatek, który sejm uchwali, jeśli mu się powie, że król umiera z głodu, a niema téż o czém utrzymać wojska ku obronie granic przeznaczonego. Każde państwo, tak należy im rzecz przedstawić, ma fundusz przeznaczony na nieprzewidziane potrzeby, o czém zresztą sami wiedzą np. o Rzeczypospolitej Weneckiej. A zatem niechaj Polska zbiera rok rocznie 200 do 300 tysięcy, aby utworzyć taki kapitał. Nie wątpię, że podatek w tym celu uchwalą, a skoro uchwalą, czegoż jeszcze pozostanie życzyć sobie? Król będzie miał nawet pieniądze na prowadzenie wojny, może przez całe lato walczyć przeciw Moskwie na czele 30,000 kawaleryi, bo kosztować to będzie 150,000 grzywien polskich, licząc 5 grzywien na jeźdźca; inne wydatki są nieznaczące. W czasach pokoju używać będzie król tych kapitałów na wykupienie dóbr zastawionych, na co polacy niezawodnie pozwolą. I o tém napisał ks. Nevers obszernie memoryały <sup>1)</sup>.

„Podczas sześciotygodniowego bowiem pobytu swego w Polsce — jak mówi — robił, co mógł, aby się najdokładniej poinformować o finansach tego królestwa i o wielu jego sprawach. Gdyby królowa żądała jeszcze jakichś wiadomości, to gotów jest dostarczyć ich Jéj Kr. Mci. Prosi tylko, aby te jego rady i memoryały nie poszły w zapomnienie, aby ich na łup myszom nie oddano, bo pracował nad nimi ciężko mimo dokuczliwych bólów, z powodu których polscy jego współpracownicy jedni opuścili go, inni żalowali.”

Dwie jeszcze rzeczy zaznacza: dług, który król winien zapłacić wojsku granicznemu na św. Jan, i sposób zyskania władzy absolutnej.

<sup>1)</sup> Oto spis obszerniejszych memoryałów ks. de Nevers: 1) Spisy senatorów, urzędników i posłów ziemskich; 2) Opis głównych spraw królestwa ze zlecenia księcia, przez biskupa kujawskiego skreślony, a przedłożony przez proboszcza wrocławskiego (?). Zawiera 9 rozdziałów; 3) Memoryał o reformie skarbu publicznego (De Noailles, III, 56) do spółki z p. Zaborowskim napisany. W końcu tego memoryału radzi książę założyć w Polsce giełdę, mówi o urzędzie podskarbiiego i wszystkich dochodach; 4) Mem. o odzyskaniu dożywoci razem z Zaborowskim; 5) Mem. o Gdańsku; 6) Dochód z dóbr Kristburg, który przeszedł nie wiadomo jak z Alberta Pirzchlińskiego na Achacego Czomę, (zob. Księgi podskarbińskie wyd. Pawińskiego, str. 16); 7) O soli wielickiej do spółki z Raganeńskim i propozycyi Niemoów; 8) Propozycye Gwagnina; 9) Skarga trzech szlachoićów na rozdrapanie dóbr na Litwie; 10) Mem. Stanisława Veterana (sic), sługi wojewody podolskiego, o poprawie administracyi; 11) Mem. proboszcza łączyckiego za pokojem; 12) O salinach; 13) O cło od towarów (z Laskowskim); 14) Inny mem. o Gdańsku, napisany przez hiszpana Spinozy, mieszkającego 15 lat tamże; 15) Mem. o wymiarze sprawiedliwości (Oznaczyć atrybuoye sądów; wybierać 9 do 11 osób z województwa jako najwyższą instancyą i t. d.); 16) List księcia do króla (De Noailles, 29, III); 17) Część Polonii Kromera po franouzku; 18) Mapa Litwy i Moskwy przez Gwagnina; 19) Mem. Warszawickiego o klerze; 20) Mowy miane na sejmie 1549 r. o Barbarę.



Co do pierwszego, to na umorzenie należności wojskowej (200 tysięcy) podaje dwa środki zaradcze: najprzód kwarta, która wpłynie pewnie na Zielone święta (94,000), a potem podarek od duchowieństwa, które nuncyusz i biskup kujawski zwoła w miesiącu czerwcu na synod w tym celu; o pozwolenie papieżkie już z góry się postara. We wrześniu, jak zapewnia biskup kujawski, zbierze się z tego 100,000. Z tém da się zapłacić cała należność, bo tylko połowę płaci się w monecie, a za drugą daje się sukno, które żydzi o 30,000 taniej sprzedać się obowiązują. Wojsko litewskie, którego postem jest kapitan Witepski, godzi się na spłatę w trzech, w czterech latach, na co przyjmą dochody królewskie w kraju, nawet takie, które są nieprawnie zajęte przez inne osoby.

Obszernie rozwodzi się nad punktem drugim, nad sposobem pozyskania władzy absolutnej. „Ostatni król — powiada — zwoływał często sejmy, aby z nich wydobyć pieniądze. Trwały też posiedzenia sejmu sześć, siedm miesięcy, byle tylko spełniły żądania królewskie. Dla tego uchwalono w końcu i wstawiono w niegodziwe artykuły, że król nie może sejmu zwoływać częściej niż co dwa lata, a nie na dłużej niż siedm tygodni <sup>1)</sup>. A co do mnie, gdyby nie rozchodziło się o podatki, chętniebym go nigdy nie widział, bo wytwarza on tylko niewyczerpaną gadaninę. Nie potrzeba więc często zgromadzać posłów, bo sami sobie tego życzą, a senatorowie radzi będą temu; w razie zwołania starać się o wybór takich, którzyby byli oddani królowi; ostro i stanowczo stawiać swe żądania, jak ostatni król <sup>2)</sup> i nie ustępować, raczej znudzić, zmęczyć, aż pragnąc wracać do domu, nie zezwolą na wszystkie żądania króla.

Tak samo powinien postępować z senatem. Wprawdzie nie może król nic robić bez jego zezwolenia, ale z artykułu tego może kpić sobie, jeżeli pozna jak rzeczy właściwie stoją. Skoro król zechce coś przedsięwziąć, wystarczy powiedzieć o tém senatorom, zostającym u jego boku; rzeczy bardzo ważne komunikuje innym piśmiennie. Mając 20-tu lub 30-tu senatorów za sobą, może robić co mu się podoba; wystarczy nicraz nawet 8 lub 10. Nie rozstrzyga bowiem większość głosów senatorskich, których nikt nawet nie zapisuje, ale ostatecznie, po wysłuchaniu mów długich — sam król, od którego też wyłączań wychodzą propozycje.

Chociaż więc mówią, że królem jest Rzeczypospolitej, że bez senatu nic nie śmie robić, postępuje w istocie inaczej. Tak naprzykład nie ma prawa słuchać posłów obcych państw tylko w obecności senatorów, ale ostatni król z zakazu tego nic sobie nie robił i tak polaków

<sup>1)</sup> Myli się Gonzaga, bo tylko na sześć tygodni, które jednak za jednomyślną zgodą (unanimitate) przekroczyć było można i zwykle przekraczano. *Red.*

<sup>2)</sup> Wszystkie źródła współczesne zarzucają Zygmuntowi Augustowi raczej zhyteczną uległość pod tym względem. *Red.*

do tego przyzwyczaił, że syn W. K. M. może utrzymywać dalej jego zwyczaj rozmawiania z nimi bez świadków np. w niedziele i święta, kiedy przychodzą na mszę i siadają obok króla.

Do wzmocnienia powagi i znaczenia ma król polski jeden środek, równy królewskiej władzy we Francyi, t. j. rozdawnictwo beneficjów i urzędów bez pytania kogokolwiek o pozwolenie lub radę.

Mówią wprawdzie polacy, że król nie może przedsięwziąć wojny bez zezwolenia stanów ani zawrzeć jakiegokolwiek przymierza, ale co do aliansu ostatni król nieraz bez zawiadomienia ich nawiązywał stosunki i pieczęcią swoją zatwierdzał traktaty. Wprawdzie nie chcą ich teraz uznać, mówiąc, że czego nie pozwolili sami, to ich nie obowiązują, ale mimo to król może, mając jednego z kanclerzy po swojej stronie wdawać się w takie sprawy.

Słowem, chociaż powaga i liczba senatorów zadziwia wszystkich, kto wglądnie bliżej w sprawy i rządy tego Królestwa pozna, że król ma dosyć władzy. Bo najprzód, jeśli będzie sposobność pewna zdobycia jakiego pięknego kraju, Polacy chętnie przystaną na zamiary króla. Korespondencyi z zagranicą żaden nigdy nie przegląda senator, bo ją kanclerz i podkanclerzy dają do podpisu na osobności. Przy osobie króla niema też zwyczajnie wielu senatorów, chyba podczas sejmku, kiedy ich zawezwie. Z reguły przebywają tylko kanclerze, marszałkowie (nadwornego często niema, bo żadnej nie dierży władzy w obecności koronnego) i podskarbi. Podskarbi nadworny także nic nie znaczy, bo tylko dostaje pieniądze z rąk koronnego na wydatki dworu. Zazwyczaj jest na dworze także wojewoda tego województwa, w którym król bawi, czasami kasztelan i biskup, nie dla urzędowania lecz dla zdobycia sobie łaski. Więc razem niema jak ośmiu do dziejsięciu senatorów, których skoro pozyska i utrzymywać będzie w posuszeństwie, uczuje się prawdziwym królem. Chodzi tylko o to, aby sejm minął i cała czereda się rozjechała, — bo doprawdy, od czasu otwarcia sejmu koronacyjnego niema dnia swobodnego, co go czyni smutnym. „Wtedy to niech król podejmie myśl utworzenia monarchii, o co go proszę i błagam, bo królestwo jego doskonale się nadaje do tego, a mnogość szlachty gotowa jest wykonać jego wielkie przedsięwzięcia.”

Chociaż wsie i domy zbudowane są tylko z drzewa i słomy, dosyć jest ludzi silnych, nie przyzwyczajonych do zbytów pałacowych, zdolnych podbić drugie nowe królestwo. Gdyby Atyla — tak się wyraża, — gdyby wielki Tamburlay, gdyby Ottoman, pierwszy z rasy Ottomanów, którzy posiadają Konstantynopol, byli się bawili budowaniem pięknych domów w ich krajach, nie byłiby dokonali owych podziwieńnia godnych wypraw, o których czytamy. Nawet Galowie, Wandalowie, sam Faramont, pierwszy król Francyi, gdyby myślał o budowlach i życiu rozkoszném, nie byłby zostawił téj pamięci po sobie. Nie będą przywoził przykładów ze starożytności. Dosyć, że ci, którzy chcieli pozyskać monarchie, raczój burzyli piękne domy i miasta ani-



zeli stawiali; zadawali się wyposażeniem rezydencji swój w wygody i kilku miast, przeznaczonych ku rozwojowi handlu.

Nic to nie szkodzi, że niema fortec. Gdyby we Francyi nie było tylu miejsc obwarowanych, Hugonoci nie mieliby się gdzie bronić. Król zaś i królestwo potrzebuje kilku miejsc obwarowanych, ale nie wielu, a na wybudowanie dwóch, trzech fortec, godzą się chętnie polacy.

Wielka to rzecz być królem, ale zaiste większa pozyskanie władzy monarchicznój, któraby mu pozwoliła rozszerzyć granice państwa, jak robili jego poprzednicy. Polska ma wprawdzie potężnego wroga na głowie t. j. Moskala, ale z pomocą Tatarów, którzy go śmiertelnie nienawidzą, a podlegli są sułtanowi, jak też przy pomocy Szwecyi, nie ulega wątpliwości, że go pokona, zwłaszcza, że same ludy Moskwy, sekretni nieprzyjaciele tyranii u nich panującej, niczego więcej sobie nie życzą jak posiadania króla polskiego na swoim tronie. Zdobyć zaś tym jest łatwiejszém, że dokoła niema ani gór, ani lasów, ani fortec. Nie należy zaś bynajmniej gardzić tymi narodami, boć to z nich wyszły owe wielkie tłumy i wodzowie, którzy długo świat niepokoiłi.

Więc nie potrzeba zrażać się brakiem pięknych domów, których zresztą dla siebie król ma dosyć i mógłby żyć w nich jak Sardanapal, gdyby warto było na to jechać do tego królestwa z Francyi, gdzie przecież rozkoszy jest pod dostatkiem, — a usunąwszy od siebie zgraję pochlebców i ludzi bezecznych, wziąć się do spełnienia wielkich zamiarów, o których sam mi mówił. Jeżeli króla, Syna W. K. M., gniewa wielka potęga postów ziemskich, to ją należy zniweczyć albo tak drobnią uczynić, jaką była kiedyś przed laty. Nie powinni mieszać się do rzeczy, nie dotyczących szlachty, a tym mniej napominać króla lub senat. Będzie to zapewne połączone z niemałemi trudnościami, ale da się uskutecznić, jeśli tylko król popracować zechce i użyje wszystkich środków, wiodących ku temu celowi, a przedewszystkiém podanych powyżej przezemnie. Aby zaś osłabić jeszcze bardziej szlachtę, postara się król wprowadzić trzeci stan (d'introduire ung tiers estat), uwolnić wielu poddanych w miastach, nadać im niektóre przywileje i o tyle podnieść ich znaczenie, jak się to ma rzecz we Francyi. Posłużyć może do tego uformowanie wojska na modele przezemnie wskazane, dzieło najpiękniejsze, jakiego król może dokonać i wojna z Moskwą, która robi go nie tylko królem, jakim jest brat jego, ale podobnym do władcy Turków. Bo z pomocą sił moskiewskich podbije sobie Polskę, na co teraz Litwa zupełnie się pisze. Ale wojnę rozpocząć może dopiero za rok lub dwa lata, kiedy się rozpatrzy w swoim królestwie, kiedy pozna granice państwa i sposób, w jaki dawniej przeciw Moskwie walczone, sposób zgoła odmienny od naszego.

„Ten drugi środek, Pani, jest może niepewnym, ale wykonać go można przy ciągłej pracy umysłu i ciała. Toć nie chcę mniemać, aby J. K. M. nie poświęciła wszystkiego dla wielkości i aby chciała usnąć, mając tyle sposobności do jej pomnożenia. Nie mogą też wierzyć, że-

by Bóg ujął go naszej Francyi i wysłał do tego królestwa, jeżeliby nie miało to się stać dla wielkiej jakiegóś sprawy nam nieznanój, któraby mu dostarczyła sił i środków do rozpostarcia tak daleko swych granic, aby zatknął swe berto w Konstantynopolu i przywrócił wierze katolickiej taką mnogość milionów dusz, a sobie zyskał nieśmiertelną sławę na tym a błogosławieństwo w drugim świecie. A Pani, jego dobrzej pani i matce, przyniosłoby to pociechę i zadowolenie w starości, widząc go władczą tak wielkiego królestwa i taką otoczonego sławą."

## VIII.

Uniesiony własną argumentacją skończył książe de Nevers na czém inném, niż może sam zamierzał. Rozpoczął od wyrzekania, od krytyki ostrój, czasem bystrój lecz częściej osobistój, niegodziwój i prawie śmiesznej, a w wynikach nakreślił imponujący plan działania dla króla, dalekie, może złudne, ale pociągające odkrył widnokreśli.

Plan ten o dużo niestety przerósł zdolności Henrykowe, chociażby rzeczy były wzięły inny obrót, chociażby Henryk w dwa miesiące po swym doradcy nie był tajemnie opuścił Polski, można na pewno powiedzieć, że zadaniu nie byłby sprostał. Wielki polityk, chociaż nie zapoznawał całkiem wad króla, tój ilości w rachuby swe nie przyjął, ztąd tóż wynik był raczej teoretycznie prawdziwy, aniżeli podobny do praktycznego przeprowadzenia.

Ale wojenną duszę ks. Nevers maluje on dobrze; przez ten pogląd odzyskuje u nas nieco sympaty ten dumny, zarozuśniały krytyk.

Jak zaś krytyce jego acz niemilój nie odmówiliśmy pewnych spostrzeżeń trafnych, tak tym zamiarom, obok podziwu wielkości ich, nie możemy nie zrobić zarzutu dobrej dozy optymizmu. Przyznajemy sami, chociaż to za zaletę nie poczytujemy, żeśmy byli i jesteśmy zaściankowi, nie wydieramy się poza granice naszego kraju i narodu, że sądzimy nieraz rzeczy z progów domu. Na marnotrawstwo narzekali nasi pisarze różnych epok, a głosy ich przeciw tój przywarze były daremne. Powiedział tóż jeden z naszych poetów, żeśmy ze „wszystkich ludów najgadatliwsi." Podpatrzenie w krótkim czasie tych rysów charakteru poczytujemy Gonzadze za zasługę.

W ustroju naszym państwowym zrobił także jedno spostrzeżenie ważne, t. j. że ustrój ten nie daje wprawdzie mocą ustaw wiele władzy królowi, ale że mimo to władza jego jest wielką, jeśli jej użyć potrafi; jeśli będzie umiał postępować z narodem polskim, na łaski tronu bardzo wrażliwym, króla wysoce szanującym jeśli mu sprawiedliwością i rozumem zaimponować potrafi. Jest-to świadectwo dla tego wielkiej doniosłości, że pochodzi od polityka bynajmniej nam nie schlebającego i winno być dla tego probierzem oceny monarchów naszych XVI-go wieku.

Stefan Batory dowiódł w niedalekiej przyszłości, że uwagi ks. Nevers nie były bezpodstawne,



A nie tylko ta jedna zachodzi łączność między pomysłami wielkiego króla a ideami zawartemi w memoryałach i w relacyi Gonzagi. Nie chcemy t $\acute{e}$ m bynajmniej twierdzić, aby one bezpośrednio wpływały na króla (boć jakkolwiek pozostały pewnie w Polsce kopie, nie mamy pewności, czy je czytano)<sup>1)</sup>, ale to jedno zdaje się niewątpliwie z tego wynikać, że autor relacyi uchwycił dobrze potrzeby i dążenia chwili, Gdańsk upokorzyć, sobie zupełnie sokołdować, przeciw Moskwie ruszyć i tą wyprawą wzmocnić się na tronie polskim; a wreszcie w oddali cel wielki (chociaż, mojem zdaniem, na iluzyi u polityka francuzkiego i króla polskiego polegający), — zatknąć krzyż na szczytach minaretów konstantynopolitańskich, oto co czytamy w programie naszym, w dziełach, kreślonych mieczem Batorego. Widać, że duch czasu był po temu, że naród potrzebował, oczekiwał przewodzcy, któryby go ku wielkim powiódł czynom...

Reformy, które nakreślił Polsce Gonzaga, zarówno polityczne jak finansowe, są zdaniem mojem wielce uwagi godne. Polityczne dążą do utworzenia silnej monarchicznej władzy, finansowe do pomnożenia skarbu. Obydwóch było Polsce potrzeba; tylko co do materiału dla pierwszej — jakoby był podatny dążeniom monarchicznym, a co do możliwości przeprowadzenia drugiej — mocno się mylił. Rady wszakże, które na drogę ku tym celom dawał, były w znacznej części trafne.

Od utworzenia stałego wojska, milicyi miejskiej, wojny zagranicznej, podniesienia mieszczaństwa, wychodzi w reformie politycznej. Gwałtem iść nie każe, bo gwałt w Polsce wywoła opór; lepsza łagodność, stanowczość, konsekwencya, podstęp. Należy udawać, że pomysły nie wychodzą od króla, ale od polaków samych; trzeba zasłaniać się dobrem Rzeczypospolitej, a broń Boże nie wzbudzić podejrzania, że mogą ukrócić wolności.

W finansowej gospodarce chce najprzód poprawić administracyą, podnieść ścisłość rachunków, wyzyskać te źródła dochodu, które są; potem kroczy do wyszukiwania nowych. Nie ulega kwestyi, jak dziś to poznać możemy z badań nad skarbowością polską, że wiele złudy do swych wywodów domieszał; mimo to za kryterjum polityki finansowej najbliższych lat służyć mogą. W świetle uwag księcia działalność Batorego na t $\acute{e}$ m polu wypada blade.

Ta część pracy księcia Gonzagi miała nawet jeden praktyczny skutek. Wywołała jedyny dodatni czyn, marnego zresztą panowania

<sup>1)</sup> Podzielamy przypuszczenie szan. autora; pozostali bowiem w Polsce ci sami ludzie, dostojnicy Rzeczypospolitej, którzy razem z Gonzagą pojedynczo sprawy obrabiali i potrzebnego materiału statystycznego mu dostarczali, jak to sam przyznaje niejednokrotnie. Ich to idee przenikały, zdaje się, w wyższym stopniu idee monarchiczne Batorego, aniżeli teorye Jana Zamoyckiego, gonionego za popularnością szlachty za pomocą idei republikańskich starożytnego Rzymu.

Henryka w Polsce t. zw. ordynacją skarbową z r. 1574-go, na którą tylekroć razy później się powoływano <sup>1)</sup>).

Że panowanie to było dziwnie nieplodne i liche, to widzielibyśmy z samej relacji Gonzagowej, gdybyśmy innych nie mieli na to dowodów. Jeżeli bowiem opuścimy zwroty, przeznaczone dla matki króla, mające być dowodem szacunku, wierności księcia, a rozważymy to, co „swobodnie pisze“ i prosi o „odczytanie na osobności,“ jakże się nam ów przeznaczony na bohatera ksiązę przedstawi? Oto widzimy, jak w gronie pochlebców bawi, jak utonął w życiu rozwiązłym! Miasto niego rządzi kilku zauszniaków, bezład panuje na dworze króla; Henryk boi się stanowczo w jakiegokolwiek sprawie wystąpić; pobłażliwość jego prowadzi do gwałtownych ekscesów.

Przeczytawszy zaś to wszystko, co o królu pisze Ludwik Gonzaga, jak sam siebie i francuzów przedstawia, jakie rady daje, niektóre godne Macchiavellego, inne pewnie nie w smak polakom idące; słowem, zważywszy całość postępowania przybyszów na ziemi polskiej, nie zdziwimy się znowu niechęci, którą wzbudzili i zrozumieemy cierpkie epigramy Kochanowskiego, które im na drogę posłał.

---

<sup>1)</sup> Księgi podskarbińskie, wyd. A. Pawiński, II, 295—9. Ordynacja z 12 maja 1574 r.



# POZNALI SIĘ U WÓD...

OBRAZEK WSPÓŁCZESNY \*).

PRZEZ

*Maryą Faleńską.*

Wróciwszy ze Szwajcaryi wprost do kraju, Jarski pojechał zaraz do owój krewnej, w której jedyną pokładał nadzieję, ilekroć mu pieniężnej pomocy było potrzeba. Ponieważ zaś nie mógł się tu obejść bez znaczniejszej kwoty, któraby mu pozwoliła utrzymać się w Warszawie na przyzwoitej stopie, opowiedział otwarcie pani Brygidzie swoje położenie, odwołując się tkliwie do jój serca. Rada nie rada, musiała zatem znowu naruszyć paczkę owych starannie chowanych w kantorku listów zastawnych, które dzięki najściślejszej oszczędności, uzbierała po trochu od dawna z niewielkiego swego dochodu.

Na ojca zaś nie miał co liczyć Stefan w tój ważnej chwili swego życia. Człowiek to był z natury lekkomyślny, który zmarnowawszy potrochu majątek niegdyś znaczny, żył od dawna u krewnych, trudniąc się niby pośrednictwem w interesach cudzych, ale daleko więcej przejeżdżaniem się od komina do komina, o ile możliwości te wybierając, z których się suto kurzyło przy jakich imieninach, lub weselnych godach. Spełniwszy sumiennie, zdaniem swoim, rodzicielskie obowiązki względem syna—sieroty po matce od dzieciństwa—umieszczeniem go na pensyi, gdzie miał za kolegów nawet hrabiowskich potomków, oraz oddaniem mu przed dojściem do pełnoletności dwóch tysięcy rubli, stanowiących resztkę jego mienia, zostawił mu w dalszém pokierowaniu się zupełną swobodę, co téż i dla siebie uważał za naj-

\*) Dokończenie—patrz zes. za m. listopad r. b.

dogodniejsze. Wiadomością o świetném ożenieniu, jakie miał przed sobą Stefan, tak się uradował, że zaledwie mógł na razie dochować zalecanéj mu co do tego na pewien czas tajemnicy, i przesłał mu natychmiast swoje błogosławieństwo, wraz z pięknym komplementem dla przyszłej synowej, nie dołączając do tego, ma się rozumieć, ani złamanego szeląga.

Po załatwieniu z ciotką najważniejszego swego interesu, Stefan podążył do Warszawy, gdzie mu wypadało być przed przyjazdem swéj narzeczonéj. Nająwszy tedy ładne mieszkanie umeblowane, na pierwszorzędnéj ulicy, wyczekiwał dosyć cierpliwie owéj radosnéj chwili, przy pomocy owych licznych rozrywek, jakich tym tylko zabraknąć może w naszój mieścinie, którzy nie umieją życia używać. Na szczęście dla niego, przybył też wkrótce z Paryża hrabia Oskar, wczesniej też w tym roku zwabiony niż zwykle, na zimowe leże, blizkim debiutem w balecie młodéj osoby, która go żywo obchodziła. Dawny szkolny towarzysz, zawsze równie serdeczny dla Jarskiego, dawał mu chętnie miejsce w łoży swójej i w amerykance, a nawet przypomniał mu pewnego razu posadę, w której uzyskaniu był i teraz gotów mu dopomódz, ale mu Stefan odpowiedział:

— Jakbądź wdzięczny ci jestem nieskończenie za twoje dobre chęci, nie będę z nich obecnie korzystał. Mam inne widoki przed sobą...

Hrabia popatrzał na niego, kiwając głową i rzekł: — Winszuję ci, mój drogi, szczerze winszuję.

Zamiast odpowiedzieć, Jarski uśmiechnął się tylko, pokręcając cienko zakończony wąsik, a potem o czém inném rozpoczął rozmowę.

W powrocie do kraju, pani Brzewska zabawiła jakiś czas u dawnych znajomych w Galicyi; była już zatem prawie zima, kiedy Stefan powitał na dworcu kolei Alinę. Podczas ich rozłączenia, odpisywała mu kilka razy na jego listy, ale nie znać było w żadném jéj słowie owéj tęsknoty serca, która w podobnych razach zdradza się mimowoli, nawet wtedy, kiedyby się ją ukryć chciało. I czyż mogło tam się znaleźć, to co w niéj naprawdę nie istniało? Godziła się ona tém chętniej z myślą zostania żoną Stefana, że w związku tym widziała jedyne możliwe wyjście z położenia, które musiało z czasem stawać się dla niéj coraz przykrzejszém; ale dziwne jakieś wrażenie, z którego nie umiała zdać sobie wyraźnie sprawy, dawało jéj przeczuwać w tym przyszłym związku brak czegoś, co żadne z nich dwojga nie było w stanie weń włożyć, — czegoś, za czém młodociane jéj serce bezwiednie tęskniło chwilami. Wierzyła, że ją Stefan kocha i że ona jest mu wzajemna, a jednak, jakże odmienną była owa miłość od téj, o której niogdyś marzyła!

Ach, dzieckiem byłam wtedy i myślałam, że życie jest powieścią z książki wykrojona! — powiadała sobie, budząc się wysiłkiem woli z owych wspomnień, w których postać Edwarda, zapatrzonego w nią owem głębokiem spojrzeniem, w którym zdawała się być cała jego dusza, nawiedzało ją niby widmo niepozbyte...



Przy spotkaniu na dworcu, powitała swego narzeczonego raczej zmieszana, niż wzruszona. Doznawała w téj chwili wrażeń dłużnika, dostrzegającego blizki termin wypłaty, do której nie ma zasobu. Szczęściem, dzięki oszczędnemu oświetleniu platformy, nic więcej nie dostrzegł Stefan jak to, w co mu dobre o sobie mniemanie kazało święcie wierzyć; następnie zaś, znalazł już Alinę taką samą, jaką z nim była, gdy się żegnali w Szwajcaryi.

Od tego czasu, codziennym bywał gościem u pani Brzewskiej; mówiono, że się stara o jęj córkę, ale nikt w kółku, w którym żyli, nie domyślał się jak daleko rzecz ta już zaszła. Miało to być rozgłoszonym dopiero po przybyciu ojca Aliny, spodziewanego przed świętami.

W ciągu tych kilku tygodni, Jarski raz jeden tylko napotkał panią Irenę. Było to przy wyjściu z teatru, gdzie „Gasparone“ grany był tego wieczoru.

— Nic zabawniejszego od téj farsy nie widziałam w życiu,— rzekła mu biorąc go pod rękę, tak jak gdyby razem spędzili ów wieczór.— Wszak pan nie odmówi odprowadzić mię do domu?—dodała.— Straciłam mogo towarzysza, prezesa Wistowskiego, pozwoiliwszy mu miłosiernie wyjść przed końcem sztuki na tygodniową partyjkę u senatorowej, i znajduję się teraz bez opieki. Smutne położenie dla słabiej niewiasty, wszak prawda?

— Gotów jestem służyć pani,—odpowiedział Stefan, w duszy nie bardzo rad spotkaniu, dającém mu przewidywać nie jedno kłopotliwe zagadnięcie ciekawej wdówki. Ale obawy jego okazały się płonne; bądź to że Irena już dostatecznie była powiadomioną o dalszym ciągu sprawy rozpoczętej w Badenie, bądź też z uczucia delikatności; nie czyniła mu żadnych zapytań w tym przedmiocie. Rozmawiała z nim o rzeczach obojętnych, wywiadując się o wrażenia z podróży, ale nie zdając się przywiązywać wagi do tego, czy ostatnią jęj część sam odbywał, czy też w towarzystwie osoby, którą go widziała przedtém zajętym. On zaś pytał jak dawno wróciła z zagranicy i czy wiele osób widuje w Warszawie?

— O, mam tu mnóstwo stosunków i mogę powiedzieć, że mię znajomi nie zaniedbują,—odpowiedziała.—To życie, trochę za nadto światowe, mogłoby mi się w końcu sprykrzyć, gdyby nie opłacała jego trudu możność wyświadczenia ludziom nie jednę przysługę. Trzeba panu bowiem wiedzieć,—dodała z zalotnym uśmiechem,— że nie ma takiego interesu, którego bym nie potrafiła pomyślnie pokierować, raz go wzięwszy na siebie.

— Pewien jestem że większe trudności najsilniej panią nęca w podobnych razach,—rzekł na to zartobliwie Stefan. Zdarza się to w każdej sztuce prawdziwym artystom.

— Jest może trochę prawdy w tém przypuszczeniu,—odpowiedziała.— Bądź co bądź, to pewna, że odwoławszy się do mojęj pomocy, nikt jeszcze nie doznał zawodu. — Czy mogę spodziewać się, że będę

pana miewała czasami gościem u siebie?—spytała, żegnając go przed bramą piękną kamienicy, w której mieszkała.

— Ma się rozumieć... skoro mi pani pozwała...—odpowiedział, zahawawszy się w sposób nie dający przypuszczać, aby zamierzał skorzystać z owego zaproszenia.

Ale Irena zdawała się teraz w tak dobrem usposobieniu, że i to nawet, co wyraźnie wyglądało na odmowę, nie potrafiło jęj urazić; a kiedy, pożegnawszy się z Jarskim, szła śpiesznie po schodach, krok jęj miał zręczną elastyczność, któręjby młoda panienska mogła pozazdrościć i nuciła wesoło piosenkę ze świeżo usłyszanęj operetki z uśmiechem na ustach.

Pomimo owych objawów uprzejmości ze strony pani Klinkowskiej, Stefan postanowił nie odnawiać stosunku, który uważał teraz dla siebie za zbyt czyny i może nawet nie całkiem właściwy. — Trudno przewidzieć kogo tam można spotkać,—powiadał sobie;—zapewne towarzystwo dosyć mieszane; mnie zaś wypada stać się dzisiaj bardzo względnym w zabieraniu nowych znajomości. Majątek—zwłaszcza gdy jest w połączeniu z wyższem urodzeniem, wytwarza stanowisko, które koniecznie obowiązuje w pewnym stopniu...

W tygodniu potem, podobne spotkanie zdarzyło się niespodzianie pani Brzewskiej na adwentowym raucie, odbywającym się w arystokratycznym domu, z którym zręczna wdowa umiała wytworzyć sobie dosyć blizki stosunek. Ujrawszy ją, Irena okazała wielką radość i zaraz obok nięj miejsce zajęła.

— Jakże ja za paniami dawno tęskniłam, od mojego wyjazdu z Baden!—rzekła.—Czy już dawno wróciły panie do Warszawy?

— Od trzech tygodni dopiero,—odpowiedziała matka Aliny, trochę zakłopotana owemi objawami serdeczności, świadczącemi o chęci odnowienia stosunku, którego i ona nie bardzo teraz pragnęła. —Koniec jesieni przebyłam u znajomych w Galicyi.

Rozmawiały potem jakiś czas o rzeczach obojętnych, opowiadając sobie nawzajem drobne miejscowe wiadomości; wreszcie Irena rzekła:

— Zazdroszczę pani jęj pobytu w Szwajcaryi. Gdzież się tam panie zatrzymały najdłużęj?

— W Vevey, i bardzo rada byłam z tego wyboru.

— W istocie, prawdziwy to raj ziemski. A czy zastała tam pani kogo ze znajomych?

— O, nie; nikogo,—ale pomimo to samotność wcale nam się nie przykrzyła w tém śliczném ustroniu.

— Zdaje mi się, że pan Jarski wybierał się także do Szwajcaryi—rzekła Irena,—czy go tam panie gdzie nie napotkały?

— Zatrzymał się cokolwiek w Vevey podczas naszego pobytu, ale wkrótce odjechał do kraju. Ach, prawda! — jakże ja mało mam pamięci! Toż mi nawet opowiadano, że ktoś w przejeździe widział tam panie w jęgo towarzystwie.



— Być to może, bośmy się z nim widywały dosyć często, ale ba-  
wił z nami niedługo,—odpowiedziała pani Brzewska.—Mówił, że z po-  
wodu interesów, musi przyspieszyć swój powrót do Warszawy.

— Może mu chodziło o posadę bardzo korzystną, o którą po-  
dobno się stara,—rzekła Irena.

Pani Brzewska spojrzała na nią mimowolnie, z najwyższém zdzi-  
wieniem, ale w głosie jój był wyraz zupełnej obojętności, gdy odpo-  
wiedziała:

— Nic o tém nie wspominał, a nawet, jak mi się zdaje, prze-  
bywa on najwięcej na wsi.

— O ile ja zaś wiem,—odparła z pewnym naciskiem Irena,—  
pan Jarski nigdzie stale nie zamieszkuje, mając do podróżowania wiel-  
kie upodobanie.

— Znać, że go stać na to,—odpowiedziała pani Brzewska ze spo-  
kojnym chłodem, pod którym nie podobna było się domyśleć gwał-  
townych uderzeń jój serca.

— Zapewne, słuszna uwaga,—odrzekła Irena równie obojętnie.  
— Musiała być plotką owa wiadomość o szukaniu posady przez niego,  
skoro on widocznie jój nie potrzebuje. Doszło mię to tym sposobem,  
—dodała,— że kiedy robiłam starania o to samo miejsce dla mojego  
krewnego, powiedziano mi, że niejaki pan Stefan Jarski ma silne po-  
parcie w zarządzie... Ale cóż to? czy się już pani wybiera do domu?  
—dodała niby ze zdziwieniem, widząc panią Brzewską przywołu-  
jącą do siebie córkę skinieniem i wstającą z میjsca.

— Tak, pani; czuję się w istocie zmęczona. Nie nawykłam  
jeszcze do gwaru liczniejszych zebrań po letnim wypoczynku.

To rzekłszy, pożegnała ją na prędce i odeszła z Aliną.

— Będzie miała z pewnością noc bezsennej ta biedaczka,—po-  
myślała pani Klinkowska, odprowadzając ją wzrokiem. — Ale też gąs-  
ka z nięj nielada, żeby się dać tak zaplatać,—bo widzę wyraźnie, że  
już do czegoś wyraźnego tam przyszło... Ciekawa też jestem, czy da-  
łabym się kiedy na takie plewy złapać, gdybym miała córkę na wy-  
daniu?—Nie zdaje mi się jakoś...

Pierwsze jednak wrażenie pani Brzewskiej przeminęło wkrótce,  
i zanim do domu przyjechała, uczuła się o wiele spokojniejsza. Wi-  
docznie, Irena od samego początku niechętném okiem patrzyła na za-  
jęcie się Stefana Aliną; można to już było dostrzedz w Badenie. Może  
miała co do niego inne widoki,—nie dla siebie chyba, gdyż to się zda-  
wało trudném do przypuszczenia;—ale zresztą, alboż się nie dzieją  
na świecie najdziwniejsze rzeczy? Koniec końcem, złośliwych jakichś  
pobudek można się tu było domyślać...

Przebudziwszy się jednak nazajutrz, zaniepokojona matka przy-  
pomniała sobie natychmiast to, co wczoraj od Ireney usłyszała, tak jak  
bywa, gdy ukołysana na chwilę troska, ze snu wraz z nani się zbudza.  
Na wszelki tedy wypadek, postanowiła postarać się o pozyskanie  
przed przybyciem męża bliższych szczegółów co do położenia mająt-

kowego Stefana. Nie miała na to innego sposobu, jak odwołać się do niego samego, gdyż prezes Wistowski wyjechał był właśnie na czas dłuższy z Warszawy, a nikogo innego nie mogła o to pytać.

Czekała tedy niecierpliwie pory, w której przyszyły jój zięć przychodził zazwyczaj dowiedzieć się o zamiarach obu pań na resztę dnia, aby jak najwięcej czasu z nimi spędzić; ale znać przeznacznem jej było do samego dna wychylić miarę goryczy, wywołanych położeniem, w które ją zbyteczny pośpiech wprowadził. Około południa, właśnie gdy wyglądała lada chwila pojawienia się Stefana, ujrzała w miejscu jego, wchodzącego męża swojego. Podbiegła ku niemu z niewysławioną radością i zdawało się jój, że teraz odzyskuje tyle potrzebną sobie opiekę i poradę i ścisnąć go poczęła z płaczem mimowolnym.

— Otóż i macie mnie nareszcie, — mówił Brzewski, odpowiadając czule na jej powitanie. — Sam sobie nie wierzę, że jestem już z wami, siedząc sam dłużej, byłbym chyba zdziczał zupełnie. — Ale uspokójże się, moja kochanko; dla czegoż ty płaczesz w tak radośnej chwili? A gdzież jest nasza Alinka?

— Wyszła za sprawunkami ze znajomą i pewnie nie długo powróci. Ale dla czegoż nas nie uprzedziłeś telegramem o twoim wyjeździe? Byłybyśmy na kolój pojechały.

— Widzisz, moja droga, stało się to całkiem niespodziewanie. Miałem się wybrać dopiero za trzy dni, ale w tem przyjeżdża do Ulania Edward, — bo trzeba ci wiedzieć że on mię często teraz odwiedza i nawet co prawda wygadałem się przed nim o zamierzonym związku dla Aliny.

— Pocóżes to zrobić, mój kochany, — rzekła mu żona z pewnym zafrasowaniem. — Lepiej było nie rozgłaszać przedwcześnie tego, co nie jest jeszcze całkiem pewne.

— Jakto — nie całkiem? Toż chodzi tutaj tylko o to, abym potwierdził moje przyzwolenie, a uczynię to niezawodnie, poznawszy tego chłopaka, o którym wiem już tyle dobrego. Prosta formalność wszak sama to widzisz. Zresztą nie powiedziałem nic wyraźnego...

— Jednak... w każdym razie byłabym wołała... — wyszeptwała pani Brzewska, nie wiedząc jak wyrazić to, co miała na myśli, a potem dodała, dla wybawienia się z tego kłopotu:

— Ale w czémże się mógł przyczynić pan Hrubiecki do przyspieszenia twego wyjazdu?

— Oto widzisz, przybył mię zawiadomić, że sam wyjeżdża tego wieczoru do Warszawy za interesami swojej cukrowni i usilnie nalegał, abyśmy razem tę podróż odbyli. Co prawda, bardzo się to i mnie spodobało, gdyż nic mi się bardziej nie przykrzy, jak siedzenie przez długie godziny w wagonie, na podobieństwo zwierzęcia zamkniętego w klatce. Zatem, nie namyślając się wiele, kazałem śpiesznie rzeczy spakować i wyjechaliśmy prosto do stacyi, gdyż mój towarzysz miał już z sobą swój kuferek.



— Więc pan Edward jest tutaj?—spytała pani Brzewska.

— Ma się rozumieć, zabawi co najmniej tydzień w Warszawie. Powiada, że ma wiele obowiązkowych czynności do załatwienia, ale coś mi się widzi, że go też pociągnęła tutaj chęć zobaczenia jeszcze Aliny, zanim innemu odda swoją rękę.

— Może...—rzekła z cicha pani Brzewska, jakby w zamyśleniu.

— A przytem cóż nam to dziś szkodzi, — dodał jej mąż, — że ten biedny chłopak kocha się w niej dotąd szalenie? Ona oddawna dla niego zobojętniała, a on wie dobrze, że ją traci niepowrotnie. Niechże więc choć użyje gorzkiej rozkoszy ujrzenia raz jeszcze swojego ideału.

— Myślisz zatem, że pan Edward zechce nas odwiedzić?—spytała jego żona.

— A jakże. Zapowiedział mi to wyraźnie, dodając, że nie zamierza nadto się wam naprzykrzać, ale mniema, iż mu służy prawo być w naszym domu choć raz jeden gościem.

— Będę mu szczerze rada... Al otóż i Alinka!

Zastyszawszy o przybyciu ojca, pieszczotka jego wbiegła z radośnym pośpiechem, i zarzuciwszy mu ręce na szyję, ścisnąć go poczęła czule, wołając:—Ojczulku, niczego nam już nie brakuje, skoro mamy tu ciebie!

Po kilku chwilach, zaledwie rodzina zamieniła z sobą owe pierwsze słowa, które tak bezładnie do ust się cisną, gdy, po dłuższym rozłączeniu, najbliższych witamy, nadszedł i Stefan. Pierwsze wrażenie, jakie sprawił na swym przyszłym teściu, było bardzo korzystne i takiego samego doznał przy poznaniu.—Prawdziwy typ zacnego i zamożnego obywatela,—pomyślał,—widać od razu, że serce tam na dłoni, a interesa w najlepszym stanie. Twarz wypogodzona, uśmiech szczerzy i będę miał zaufanie do tego człowieka, bo widzę, że mu nie o majątek chodzi, ale o wartość osobistą przyszłego zięcia.

Po dosyć długiej rozmowie, w której stosunek ich wzajemny stanął od razu na stopie najserdeczniejszej, ułożonein zostało, że Stefan przyjdzie nazajutrz o tej samej godzinie, dla pomówienia obszerniej z rodzicami Aliny o majątkowej stronie związku, któremu nic nie zdawało się już stawać na przeszkodzie. Wybierając się w umówioną porę na owo posiedzenie, którego ważność dobrze oceniał, młodzieniec ów pomimo sporego zasobu ufności we własną zręczność i dar przedstawiania się zawsze ze strony najkorzystniejszej, doznawał pewnego zakłopotania; a zwiększyło się ono jeszcze, gdy na twarzy ojca swój narzeczonój, ujrzał wyraz surowej powagi, której przed tém na niéj nie było.

— Kochany panie Stefanie,—rzekł mu Brzewski zaraz na wstępie,—kiedym cię wczoraj poznawał, serce moje się uradowało, bo czułem, że w tobie znajduję męża, jakiego pragnąłem dla mojej jedynaczki w tej pierwszej rozmowie z tobą, zapragnąwszy naprzód poznać człowieka, któremu ten skarb mój powierzę. Ale o materialnych warun-

kach tego związku potrzeba nam téż z sobą pomówić i określić je dokładnie przed jego zawarciem; życie ma bowiem swoje wymagania, a także i stanowisko nieco wybitniejsze, do wielu rzeczy obowiązujące. Musimy zatem dowiedzieć się nawzajem, jakie zasoby każda strona tu wnosi, aby żadna później na zawód nie została narażoną.

— Zgadzam się w zupełności ze zdaniem szanownego pana, — odpowiedział Stefan.

— Okazałeś pan w tej sprawie bezinteresowność, o której wiem z listów żony, — mówił dalej Brzewski, — skoro zapewniłeś, że co do utrzymania żony, na siebie chcesz liczyć wyłącznie.

— Powtarzam to i teraz, — rzekł Stefan, trochę zmieszany tém, że o jego majątkowem położeniu była tu mowa.

Ojciec Aliny rzucił na żonę przelotne spojrzenie, którym zdawał się chcieć ją uspokoić. Napomknęła mu była bowiem o tém, co usłyszała od Aliny, ale on mało wagi przywiązywał do tego, co uważał w tym razie za plotkę kobiecą.

— Otrzymałem od twego ojca, kochany panie Stefanie, — ciągnął dalej, — list bardzo serdeczny, którym mię szczerze zobowiązał; ale nie było tam żadnych szczegółów o stanie waszego majątku i o przyszłych twoich zajęciach. Nasamprzód tedy, radbym się dowiedzieć, czy ożeniwszy się na wsi zamierzasz mieszkać, czy téż w mieście?

— Rzecz to względna, — odpowiedział Jarski, — i jak sam pan zapewne uzna, koniecznie zależna od wzajemnych naszych układów. Skoro się dowiem, co zostanie przez pana postanowionem...

— O tém ponówimy później, — przerwał mu Brzewski, którego twarz coraz bardziej poważniała, — potrzebuję bowiem wiedzieć przede wszystkim, jaką podstawę bytu moja córka znajdzie u męża. Chcię mi pan zatem powiedzieć otwarcie: czy majątek swój masz — w ziemi, czy téż w gotowiznie?

Usłyszawszy tak kategorycznie postawione zapytanie, Stefan zrozumiał, że nadeszła chwila stanowcza, mająca losy jego rozstrzygnąć. Ale była ona przez niego oddawna przewidziana, więc nawet w tak drażliwem położeniu, nie opuścił go optymizm po ojcu odziedziczony. Pewien będąc, że nie tu lepiej za nim nie przemówi, jak zupełna otwartość, rzekł śmiało, choć głoś mu drżał od wzruszenia, tym razem szczeręgo:

— Ani majątku ziemskiego, ani kapitałów nie posiadam, ale pomimo to, przyszły byt żony mogę z wszelką pewnością wziąć na siebie; dla tego téż skoro poznawszy pannę Alinę, pokochałem ją uczuciem, którego siła potrafiła pozyskać jęj wzajemność, uczutem się w prawie zażądania jęj ręki.

— Jakto? sam nie mając wcale majątku? — zawołała z oburzeniem pani Brzewska. — Czémże więc były pańskie zapewnienia?

— Szczera prawda, szanowna pani, — odpowiedział z godnością Stefan. — Nie chwaliłem się w nich tém, czego mi losy nie dały; wyrażałem tylko ufność w siebie, przekonanie, że potrafię korzystnie użyt-



kować najpewniejszy ze wszystkich kapitał, to jest: wrodzone zdolności i szczerą chęć do pracy. Przy rozległych moich stosunkach...

— Spodziewasz się pan otrzymać korzystną posadę, — dokończył sucho Brzewski. — Słyszałem już o tém...

Stefan spojrział na niego ze zdziwieniem, ale nie uznał za stosowne podnieść owęj wzmianki. Nietylko korzystną, ale świetną; nietylko spodziewam się jej, ale mam ją sobie zapewnioną, — odpowiedział spokojnie. Ociągałem się dotąd z jej przyjęciem, jedynie dla tego, że potrzebowałem przedtém wiedzieć, jakie są pana zamiary do wyposażenia córki.

— Dowiesz się pan o tém, jeśli będzie potrzeba, we właściwym czasie, to jest skoro jedną stronę téj sprawy, rozpatrzmy dokładnie — rzekł Brzewski, wstając z miejsca, jak gdyby uważał ową rozmowę za skończoną. Chciój pan być u nas jutro o téj saméj porze, na teraz zdaje mi się, że nie mamy nic więcéj do powiedzenia sobie nawzajem. Co do mnie, potrzebuję naprzód zastanowić się nad tém, co od pana usłyszałem i naradzić się z żoną, — a także i zdanie Aliny powinno coś tu zaważyć...

— Zdaje mi się, że mam prawo liczyć na jej serce, — odpowiedział z godnością Stefan, biorąc za kapelusza.

Zaufaniu temu nie odpowiedziały jednak w zupełności uczucia jego narzeczonej. Gdy po długiej naradzie rodziców, z której wypadło: że bądź co bądź, nie należy jeszcze odrzucać partyi zawsze nie złéj, ze względu osobistych zdolności i stosunków Stefana, — dowiedziała się Alina o zupełnej zmianie warunków swego przyszłego bytu, gdy usłyszała, że zamiast zajmować pokaźne stanowisko w obywatelskiej sferze, ma zostać żoną urzędnika, zaledwie mogącą w ów świat się wprosić, oświadczyła na razie: że nic jej nie skłoni do poślubienia człowieka, który kłamstwem pozyskał jej przyrzeczenie. Napróżno rodzice usiłowali ją przekonać, że zerwaniem owego związku narazi się na ludzką obmowę, gdyż zapewne wieść o nim już się rozeszła, i że może nie znaleźć innej sposobności wyjścia za mąż, przy tak opłakanym stanie ich interesów; — w pierwszej chwili wszystkie ich przedstawienia nie zdołały przemódz jej oporu. Nazajutrz dopiero, po nocy, której bezsenność opłaciła się jej zbawienną radą, na jaką przysłowie każe mniej liczyć w podobnych razach, Alina zatrwożona nieznośném widmem staropanieństwa, przyrzekła matce, iż przyjmie Stefana tak, jak gdyby żadna zmiana nie zaszła w jej uczuciach dla niego.

W dniu tym, ojciec jej wyszedł wcześniej z domu, chcąc u znajomych zasięgnąć bliższych wiadomości co do owych rozległych stosunków, w których jego przyszły zięć pokładał tyle zaufania. Okazało się, że zapewnienia jego były prawdą, że żył w przyjaźni z ludźmi należącymi do sfer bardzo wpływowych i mógł liczyć na ich poparcie. Lubiono go téż ogólnie i nie krążyły o nim żadne pogłoski, mogące mu przynieść ujmkę.

— Spokojniejszy teraz jestem, — rzekł powróciwszy Brzewski do żony; — przyspieszyliśmy tę sprawę trochę nierozważnie, ale z łaski

Boga, nic tak bardzo złego ztąd nie wyniknie. Może nawet lepiej, że się wszystko tak pokierowało; teraz, skorośmy tak bezinteresownie postąpili z Jarskim, będzie on musiał w ten sam sposób przyjąć wiadomość o smutnym stanie naszych interesów.

Gdy zatem pojawił się Stefan, rodzice Aliny przyjęli go z tą samą serdecznością, co i przedtém, okazując zupełném przemilczeniem wczorajszej z nim rozmowy, iż nie zmieniła ona wcale stanowiska jego względem nich. Narzeczona powitała go także przychylnie, ale była widocznie smutna i zmieniona. Na zapytanie jego: czy nie chora?—odpowiedziała, że cierpi na ból głowy dosyć u niej częsty, a w rozmowie uważał u niej pewną gorycz i skłonność do obracania w żart każdego tkliwego jego wyrazu. Czuł się z nią teraz zakłopotany; widział, że stańto pomiędzy nimi coś, czego nie był w stanie odzégnać, ale liczył na przyszłość dla złagodzenia tych pierwszych wrażeń. Nie wspominała wcale o tém, co powiedział jej rodzicom o swoim położeniu; zdawało się, że z umysłu nie chciała z nim dotykać owego przedmiotu. Mimowoli jednak, gdy już miał odejść, zostawszy z nim samą rzekła:

— Czy to tak trudno być szczerym, że pan nawet ze mną nie potrafił na to się zdobyć?

— Bywa to nie łatwym,—odpowiedział,—wtedy gdy słowo nadto pośpiesznie wyrzeczone, może wszystkie nadzieje szczęścia rozwiąć. Należy być pewnym swojego skarbu, zanim on zostanie na niebezpieczeństwo narażony...

Nic mu na to nie odpowiedziała. Niemniej jednak, odchodząc z tego domu, zabrał z sobą jak najlepszą otuchę. — Ona mię szalenie kocha,—powiadał sobie,—i to właśnie tłómaczy pobłażliwą wyrozumiałość jej rodziców. Rzecz dziwna, że teraz, kiedy już wszystko stańto na najlepszej stopie, nie mówią mi oni nic o posagu Aliny. Ale teraz jestem co do tego jeszcze spokojniejszy. Skoro nie szukają u zięcia majątku, najlepszy w tém dowód, że są sami bogaci. Będę zatem czekał cierpliwie; zresztą, wyglądałoby dziś dziwnie, gdybym inaczej postępował...

Tego samego wieczoru Stefan, wróciwszy do swego hotelu bardzo późno, gdyż po familijnej herbatce u państwa Brzewskich, zaszedł był jeszcze dla rozweselenia się do hrabiego Oskara, gdzie można było zawsze dobrze się ubawić, — zastał na stole list, na którego kopercie poznał od razu pismo swego ojca. Że zaś ten, bardzo rzadko i w ważnych tylko okolicznościach do niego się odzywał, doznał pewnego wzruszenia na ów widok.

List ten, bardzo krótki z powodu licznych zajęć, o których była mowa na jego wstępie, miał w dalszym ciągu treść następującą:

„Piszę bardzo pośpiesznie do ciebie, mój Stefku, aby cię uchronić od najopłakawszej matni. Ratuj się póki pora... Twoja narzeczona nie ma ani grosza posagu; rodziców jej lada dzień wykurzą z majątku wierzyciele. Wiem to na pewno, bo szczęśliwym trafem



poznałem na imieninach u Tupnickich, krewnego ich z Podola, który jest bliskim sąsiadem Brzewskich. Opowiedział mi cały stan ich interesów,—pocziwości człowiek—przy kolacyi siedzieliśmy obok siebie i ze wszystkim się wygadał. Sam ma u nich kilkanaście tysięcy rubli, które tyle zobaczy, co własne ucho. Kiedym go pytał, jakim sposobem ta panna mogła uchodzić za bogatą? — odpowiedział mi, że jest inna tego samego nazwiska, w istocie milionowa partya, ale ci Brzewscy z Ułania, to ani szeląga nie dadzą za córką. — Wiesz teraz wszystko, zatem sam sobie winien będziesz, jeśli z tego nie skorzystasz, ale ufam w tym razie twemu rozumowi. Bywaj zdrow, mój chłopaku, muszę prędko kończyć ten list, bo się zaraz wybieram z radcą Bombalskim na polowańko.“

Przyszło teraz z kolei na Stefana spędzić noc równie bezsenną, jak ją miała przedtem Alina. Przeczytawszy ojcowską odezwę, długo siedział nieruchomy, łokciami o stół oparty, zakrywszy rękami twarz, która ostateczne przygnębienie wyrażała. Dla niego także padał w gruzy gmach na lodzie zbudowany; w miejscu dostatków łatwo nabytych, miał teraz przed sobą to jedynie, co mu własna praca dać mogła, — ta praca, do której od lat najwcześniejszych, tak mało miał pociągu?...

— To mi dopiero oszustwo! — powiadał sobie, mierząc wszersz i wzdłuż swój pekój w niespokojnej przechadzce, która trwała całe godziny; — już dla tego samego, nie wziąłbym nigdy żony z takiego gniazda!... Zresztą, cóż tu gadać? Albo ja głupi?...

— Ha! — rzekł wreszcie, już nieco uspokojony po pierwszym wzburzeniu i nabierając lepszej otuchy, — nie ma co robić innego, jak przyjąć tę utrapioną posadę. Może też tam nie będzie wiele roboty, boć to wyższe już stanowisko. Pójdę zaraz od rana do Oskara, żeby go w domu zastać i przy jego pomocy, mam nadzieję, że się łatwo zrobi ten interes.

Hrabia okazał w istocie co do tego jak najlepsze chęci i natychmiast przedsięwziął stosowne kroki. Ale rzecz nie poszła tak gładko jak mniemał. Powiedziano mu w zarządzie przedsiębiorstwa, że o to samo miejsce czyni starania pewna osoba bardzo silnie popierana i że je ma sobie prawie przyobiecane. Przy bliższym zbadaniu rzeczy, okazało się, że ową osobą była kobieta, wdowa mająca bardzo wiele stosunków, niejaka pani Irena Klinkowska. Gdy Stefan usłyszał owo nazwisko, twarz jego bardzo zaszępiła wiadomością o prawdopodobnej marności ostatejniej jego nadziei, rozjaśniła się znacznie.—Nie ma tu jeszcze nic straconego, — rzekł do przyjaciela. — Znam tę panią i zdaje mi się, że dosyć łaskawem okiem na mnie patrzy; będę u niej dziś jeszcze i spróbuję jej dobre chęci zwrócić ku sobie.

Można było przypuszczać, że mu się to udało, z uśmiechu, jaki miał na ustach, wychodząc z wytwornie urządzonego mieszkania zalotnej wdówki. Opowiedziawszy jej bowiem swoje położenie oddał się

z zupełnem zaufaniem pod jęj opiekę. Miał tęż w rzeczy samęj powody do najlepszych nadziei.

— Przewidziałam wszystko, co pana spotkało, mając stosunki na Podolu,—rzekła mu Irena,—i z tego właśnie powodu nie przyspieszyłam zakończenia interesu, który już jest na najlepszej drodze. Dla mojego krewnego mogę upatrzeć inną posadę, tę zaś myślę, że dla pana otrzymam. Nic jeszcze przyrzekać nie chcę, ale włożę w to wszelkie możliwe starania.

— Jaka pani dobra!—zawołał Stefan, całując jęj rękę, zdobną w bogate pierścionki.

— Przecenia pan moję zasługę,—odpowiedziała z zalotnym uśmiechem.—Żał mi było pana po prostu, widząc do czego doprowadzić go mogą zamiary, których wszakże nie miałam mu za złe. Skoro serce raz przemówiło...

— Nie wkładałem go w ten związek tak wiele jak pani przypuszcza,—przerwał jęj Jarski:—pociągnął mię głównie ku temu prezes Wistowski, zawsze skory do swatów. Następnie, znalazłszy pannę sympatyczną...

— Rozumiem, rozumiem,—dokończyła Irena;—ja to wszystko zaraz dostrzegłam. Do zobaczenia zatém;—jutro, wszak prawda? Będę już mogła wtedy powiedzieć panu coś pewniejszego co do tęg posady.

Stosunek odnowiony w tak pomyślnych warunkach, stał się wprędce codziennym; przy następnych odwiedzinach Stefana, Irena powtórzyła mu swe obietnice, ale mu jeszcze nie dała stanowczęj odpowiedzi co do jego interesu. Należało mu zatém utrzymywać ją w jak najlepszym dla siebie usposobieniu i dokładał tęż do tego wszelkich starań.

Przez te parę dni, nie odwiedził ani razu państwa Brzewskich, a gdy przystali dowiedzieć się czy nie zastał, służący hotelowy, spełniając dane mu zalecenie, odpowiedział, że pan Jarski ma pilny interes do załatwienia, ale z pierwszą wolną chwilą ich odwiedzi.

Uczynił to w istocie Stefan, po trzydniowym namyśle, w którym szczegółowo ułożył plan przyszłęj swojęj rozmowy—prawdopodobnie ostatnięj—z rodzicami tęg, której już wcale nie uważał za swoję narzeczoną.

— Cóż się panu stało, żeśmy go od tak dawna nie widzieli?—spytała, witając go pani Brzewska, sama w domu, gdyż z umysłu wybrał był porę codziennęj przechadzki Aliny z ojcem.

— Wiele miałem zajęcia,—odpowiedział,—a do tego byłem trochę nie zdrów.

— Ach prawda!—zawołała niespokojnie;—nie zauważyłam tego na razie, ale pan w istocie wygląda chory. Cóż to jest takiego?

Nie odpowiedział jęj nic, tylko odłożywszy na bok laskę i kapełusz, zajął miejsce naprzeciw nięj, w postawie poważnęj, która ją nieco zdziwiła.



— Rad jestem, że panią samą zastaje,—rzekł po chwili milczenia;—to, co mam do powiedzenia łatwiejszém mi będzie w podobnych warunkach.

— Cóż znaczy ów wstęp tak uroczysty,—spytała z uśmiechem, przypuszczając, że zapewne chce zażądać Stefan oznaczenia czasu jego połączenia z Aliną. Ale złudzenie owo trwało krótko.

— Wychodząc ztąd przed trzema dniami,—rzekł Jarski z posępną powagą, zabrałam z sobą nader smutne wrażenie... Otwartość moja...

— Została, jak mi się zdaje, należycie przez nas oceniona,—przerwała mu pani Brzewska.—Czyż w obejściu naszym, zauważył pan wtedy choćby najmniejszą względem siebie zmianę?

— Żadnej, szanowna pani, i nie to wcale mam na myśli. Ale jest inna osoba, której zachowanie się w tój pierwszej chwili, miało największe znaczenie...

— Alinka zupełnie się godzi ze zmianą warunków swego przyszłego bytu, mogę pana o tём zapewnić,—rzekła pani Brzewska, trochę zmieszana.

— Nie zdawała mi się jednak na razie zbyt chętną do tego, i to mi było bardzo bolesném,—odpowiedział z pewnym naciskiem Stefan.

— Mogę zaręczyć, że się pan myli, nadając głębsze znaczenie chwilowemu rozdrażnieniu. Skoro pan dzisiaj zobaczy moją córkę...

— Choćbym ją najlepij znalazł dla siebie usposobioną,—przerwał Stefan,—nie zdołałoby to zatrzeć we mnie wspomnienia wrażeń, z jakimi wtedy się zdradziła mimowoli. Panna Alina nie potrafi obejść się bez tego, czego ja dać jój nie jestem w stanie...

— Nie rozumiem doprawdy znaczenia słów pana,—rzekła pani Brzewska niepewnym głosem.

— Po mojej ostatniej bytności u państwa,—ciągnął dalej Stefan, nie odpowiadając jój wyraźnie,—zastanawiałem się głęboko nad dziwnym sposobem, w jaki córka pani przyjęła szczerłość mojego wyznania; niekorzystna dla mnie zmiana była w niej widoczna, nie mogłem łudzić się co do tego. Należało mi tedy rozważyć, co poczucie własnej godności nakazuje mi uczynić w tym razie, a nader ciężkiem było owo przejście, w którem serce staczało walkę z głosem obowiązku. Ślady jój widzi pani na mojej zmęczonej twarzy,—ale uczucie godziwej dumy musiało wreszcie zwyciężyć. Nie mogę zostać nigdy mężem panny Aiiny...

— Paniel... słowa te są dla mnie niepojęte!—zawołała przerażona matka.

— Wyrażają one jednak postanowienie, którego nic już nie zdoła zachwiać we mnie. Nie narażę się nigdy na to, aby moja żona mogła dać mi kiedykolwiek uczuć, że wychodząc za mnie, przyniosła stanowisku swojemu ujmę,—odpowiedział wyniośle Stefan, wstając z miejsca i kładąc na stole pierścionek swój zaręczonowy, który miał przygotowany w kieszonce od kamizelki.—Dziękuję ze szczerą wdzięczno-

ścią za okazaną mi przez państwa życzliwość i żegnam ich.. Żegnam również pannę Alinę, gdyż jęj pewnie więcéj nie zobaczę.

To rzekłszy, wyniół się śpiesznie, z obawy, aby położenia jego nie skomplikowało pojawienie się lada chwila dwóch osób najmięj przez niego požądanych w tęg chwili.

Wiadomość o owém zerwaniu przyjął dosyć obojętnie ojciec Aliny, mniej przychylnie usposobiony względem przyszłego zięcia, ale dla nięj cios ów był prawie dotkliwszym jeszcze od zawodu, którego poprzednio doznała.—Więc jęj Stefan nie kochał, starał się tylko o jęj posag, a dowiedziawszy się zapewne, że go nie ma cofnął się, osłaniając niskie pobudki pozorami szlachetnemil Przenikliwość jęj kobiece odgadywała tu bowiem wszystko, a cierpienia zranionęj miłości własnéj, równały się w nięj boleści, jakięjby mogła doznawać, Kochając głęboko Stefana. Przez kilka dni wychodzić z domu nie chciała i najwięcéj przebywała w swoim pokoju, wyobrażając sobie, że spojrzawszy na nią, każdy dostrzedz potrafi piętno upokorzenia, które ją dotknęło.

W ciągu tego czasu, matka rzekła do nięj pewnego razu:

— Szkoda, żeś nie chciała po obiedzie zostać ze mną w salonie. Odwiedził nas pan Edward Hrubicki.

— Doprawdy?—rzekła Alina trochę zdziwiona.—Cóż go tu sprowadziło.

— Alboż cię to dziwi, że bawiąc tutaj, chciał do nas zajrzeć jako dawny znajomy. Zresztą, wiedząc zapewne, że masz za mąż wychodzić...

— Proszę cię, mamó, nie wspominaj o tém!—przerwała jęj z żywością Alina. Radabym wcale już nie słyszeć o rzeczy, o której pragnę jak najprędzęj zapomnieć. Szkoda jednak,—dodała,—żem się nie widziała z panem Edwardem. Byłoby mi to przypomniało lepsze czasy i... lepszych też ludzi.

— Będiesz to mogła sobie wynagrodzić,—odpowiedziała jęj matka,—bo go prosiłam, aby do nas przyszedł jutro na herbatę. Należała mu się ta uprzejmość za pocziwą troskliwość, z jaką starał się wszelkiemi sposobami rozrywać twego ojca w jego osamotnieniu, dostarczając mu książek i odwiedzając go często.

— On taki dobry!—rzekła Alina.—Ale cóż go do Warszawy sprowadziło?

— Powiada, że przyjechał za interesami swojego zarządu; ale mąż mi mówił, że mu się i własny nadarzył, bardzo korzystny. Ma sobie ofiarowaną pierwszorzędną prawie posadę w inném znacznie szém daleko przedsiębiorstwie.

— Nic to dziwnego, przy jego zdolnościach. A czy się o mnie zapytał?

— Ma się rozumieć. Powiedziałam, że dziś słaba jesteś trochę i że dla tego zostałam w swoim pokoju. Myślę, że mu chodziło o to, abym nie myślała, że dla ciebie wyłącznie nas odwiedził, gdyż pomimo zwykłej sobie delikatności, chciał dać poznać, że wie o twojem bliz-



kiem zameścici i zapytał: czy mu już wolno złożyć nam swoje powin-zowania?

— A cóżes mu na to odpowiedziała, mateczko?—spytała Alina zarumieniona.

— Że wieści, jakie go doszły były przedwczésue; że w istocie by-ły jakieś co do tego zamiary, ale że się to zupełnie rozchwiało.

— Dziękuję ci, kochana mamó; wybornie sobie postąpiłaś. By-ło i przypadło, jak gdyby nigdy nie istniało. Takie, dla mnie przy-najmniej, pozostawiło wrażenie owo przykre przejście. Ale dosyć już o tém. Chciałabym otrząsnąć się trochę z mojego przygnębienia. Czy nie wybierzemy się gdzie dziś wieczór?

Pojechały tedy obie na tygodniowe jakieś zebranie bardzo liczne, a panna Brzewska tak była na nim wesoła i ożywiona, że niktby się po niej nie mógł domyśleć, iż przed kilku dniami zmuszona została odesłać Stefanowi nieszczęśliwy pierścionek jego ciotki Brygidy.

Następnego wieczoru, Edward był na herbacie u państwa Brzew-skich. Pierwsze jego spotkanie z Aliną wywołało w nim wzruszenie tak silnie, że musiała bladeść jego twarzy zauważyć; być może, iż wi-dząc ją znowu wolną, czuł budzące się w nim nadzieje, nad których stłumieniem pracował od tak dawna. Alina cokolwiek zmieszana wi-dokiem wrażenia, jakie dotąd na nim sprawiała, powitała go przyjaźnie i w dalszej z nim rozmowie wspomniała o ponownych jego odwiedzi-nach, jak gdyby na nie liczyła z pewnością. Zachowywała się z nim jak z dawnym znajomym, w obejściu jój była zupełna swoboda, ale też i szczerą przychylność; toż samo usposobienie napotykał dla siebie u jój rodziców i wystarczało mu tego na teraz.

Po upływie dwóch tygodni, podczas których Edward Hrubicki był codziennym prawie gościem w domu państwa Brzewskich, zatele-grafował do swoich zwierzchników, prosząc o przedłużenie mu urlopu dla załatwienia ważnych interesów osobistych, a żądanie owo zostało uwzględnione. Ojciec Aliny odjechał już był do domu, dla przygotowa-nia go na przyjęcie żony i córki, mających także opuścić wkrótce War-szawę. Zostawszy same, tém chętniej widywały one u siebie Edwar-da, że zacieśnwszy bardzo koło swoich stosunków, najwięcej w domu przebywały.

Dziwna zmiana zaszła była od pewnego czasu w usposobieniu i w upodobaniach Aliny. Ona, która dawniej uważała za stracony każdy wieczór, na który nie miała zaproszenia, teraz najlepiej się bawiła, kie-dy haftując lub rysując przy świetle domowej lampy, słuchała razem z matką Edwarda, czytającego im jaką zajmującą książkę lub gazetę. O katastrofie, która zakończyła jój stosunek ze Stefanem, nigdy nie wspominała i nazwisko jego nie pojawiło się też wcale na jój ustach. Raz jeden zdarzyło się jój go spotkać; Edward szedł wtedy obok niej i widząc obojętne skinienie głowy, którém odpowiedziała na jego ukłon, zapytał kim był ów młodzieniec.— To pan Jarski,—rzekła wymawia-jąc całkiem spokojnie i bez najmniejszego wzruszenia nazwisko, od

którego samego dźwięku wszystka krew cofnęła się do serca jój towarzysza. Spojrzała jego wzruszenie i rzekła z wyrazem łagodnej prośby:

— Panie Edwardzie, wszak pan nie wyjedzie przed nami z Warszawy? Wolałabym, żebyśmy same nie odbywały tój dalekiej podróży...

Spojrzał jój w oczy, ale je żywo spuściła ku ziemi i nic z nich nie mógł wyczytać.

W kilka dni potem, pani Brzewska weszła przed wieczorem do pokoju córki z wyrazem radosnego wzruszenia na twarzy.—Moja kochanko,—rzekła obejmując ją czule,—Bóg mi dziś wynadgradza ciężkie chwile, które przebywałam w ostatnich czasach... Pan Edward Hrubicki oświadczył się o twoją rękę...

— Mamol ja go zawsze kochałam!—zawołała ze łzami Alina, święcie wierząc w to, co mówiła.

Dwa miesiące upłynęły od tego czasu, — dwa zimowe miesiące, których słotne dni i długie wieczory nie przykrzyły się jednak w wiejskiem zaciszu Alinie, mającej wkrótce zostać żoną Edwarda. Odwiedzał on swoją narzeczoną, o ile tylko na to pozwalały jego obowiązki, dopomagając ojcu jój umiejętnie do wytwarzania w swoim majątku nowych źródeł dochodu i do układów z wierzycielami, któreby mogły o wiele poprawić jego interesa. Pewnego wieczoru, gdy do czytania przywiezionych z miasteczka gazet, kółko rodzinne zebrało się z owém zaciekawieniem, jakie mieszkańcy wsi tylko znają, pani Brzewska nieznacznie wskazała córce pewien ustęp w Kuryerze, jak gdyby nie chciała, aby to dostrzegł jój narzeczoną. Było to zawiadomienie następującej treści:

„W dniu wczorajszym, w kościele Opieki św. Józefa (panien Witytek) pobłogosławiony został małżeński związek pana Stefana Szczurby Jarskiego, z panią Ireną z Napuszyńskich Klinkowską, wdową po znanym w szerokich kołach przedsiębiorcy. W parę godzin po ślubnym obrzędzie, liczne grono przyjaciół i znajomych, zebrane na dworcu kolei Warszawsko-Wiedeńskiej, pożegnało nowożeńców, udających się w podróż za granicę.“

— Zapewne do Szwajcaryi... — szepnęła matce z uśmiechem Alina.



# Z DZIEJÓW TOWARZYSTW UBEZPIECZEŃ.

(Stydium społeczno-ekonomiczne).

PRZEZ

**W. R.**

Józef Mrazek: „Monografia Towarzystwa wzajemnych ubezpieczeń w Krakowie, skreślona dla upamiętnienia 25-jej rocznicy istnienia tego Towarzystwa i t. d.” Kraków, 1886.

Chęć zapewnienia trwałości owocom pracy produkcyjnej, towarzyszy nieodłącznie wszelkiej działalności ludzkiej. Pragnienie to, przyrodzone człowiekowi, jest jednym z objawów zmysłu zachowawczego, z tą wszakże kardynalną między niemi różnicą, że instynkt czysto zwierzęcy nie przekracza ciasnego kółka chwili obecnej, podczas gdy przezorność ludzka, oświecona pochodnią rozumu i doświadczenia, przewiduje przyszłość daleką, stara się zapobiedz następstwom przypadku, które zagroziłyby mogły spokojnemu używaniu owoców pracy długoletniej wówczas, gdy siły stargane i złamana energia człowieka nie dozwoli już na odbudowanie gmachu, moźolnie cegiełka po cegiełce budowanego od lat młodych, a wreszcie sięga poza kres życia jednostki, dąży do zapewnienia następcom podobnegoż używania. Przezorność ta w dziedzinie ekonomicznej zrodziła potrzebę ubezpieczenia dobytku, krwawą pracą nieraz zdobytego, przed ciosami ślepego trafu i niszcząco działających żywiołów otaczającej przyrody. Zadanie to podjęły towarzystwa asekuracyjne, które za cenę wkładek, systematycznie ściąganych, ubezpieczają mienie ludzkie na wszelką ewentualność.

Ponieważ asekuracja sama przez się nie wytwarza żadnego dobra materialnego, lecz jedynie zabezpiecza używanie rezultatów, inną

drogą osiągniętych, zatem niektórzy uczeni uważają ją za nieprodukcyjną i na tej podstawie odmawiają jej charakteru ściśle ekonomicznego. Kwestya ta była przedmiotem rozpraw na jedném z ostatnich posiedzeń Stowarzyszenia ekonomistów francuzkich. Jeżeli jednak weźmiemy na uwagę, że ubezpieczenie życia lub mienia, obdarza ludzi spokojem, bezwarunkowo potrzebnym przy wszelkiej pracy bądź umysłowej, bądź fizycznej, że zażęgnywa ono poniekąd troskę dotkliwą o byt materyalny w rodzinach, które, żyjąc z zarobku, mogłyby stracić możność utrzymania się z chwilą nawiedzenia ich przez klęskę żywiołową albo przez kalectwo, chorobę lub przez śmierć głowy domu, to przynajmniej należy, że asekuracya, nie oddziałując istotnie wprost na zwiększenie lub zmniejszenie produkcji, pośrednio jednak przyczynia się do skierowania jej na tory rozwoju normalnego i zdrowego.

Zawiazki stowarzyszeń, mających na celu pomoc wzajemną dla podźwignienia z upadku materyalnego uczestników, nawiedzonych przez klęski żywiołowe, oraz zapewnienie funduszu dla utrzymania wdów i sierot, istniały już w Enropie od wieku XV-go. Ślad działalności ich pozostał w takich naprzykład ustawach co do asekuracyi od ognia w m. Barcelonie z roku 1435-go, lub we Florencyi z r. 1523-go, w statutach stowarzyszeń ogniowych, wydawanych przez Karola V-go i Filipa II-go. W Anglii pod koniec XVII-go stulecia istniały stowarzyszenia asekuracyi życiowych, jako to „Society of assurances for widows and orphans,” a zwłaszcza t. zw. „Amicable albo Perpetual assurance.” Rozkwit jednak rzeczywisty stowarzyszeń tego rodzaju jest owocem rozwoju stosunków ekonomicznych w czasach ostatnich. Za dui naszych dopiero stowarzyszenia te nabierają znaczenia instytucyi publicznych, wciągają w sferę swój działalności coraz szersze koła stosunków ludzkich, a oczy zarówno mężów stanu, jak uczonych ekonomistów i praktycznych na tej niwie działaczy, zwracają się ku nim w nadziei rozwiązania za ich pomocą niejednej palącej kwestyi socyalnej. Asekuracya w dzisiejszem stadyum jej rozwoju, będąc sama dzieckiem względnej dojrzałości ekonomicznej społeczeństwa w czasach obecnych, oddziaływa nawzajem na dalszy postęp społeczeństwa na tej drodze. „Nie ma instytucyi — pisze Bluntschli w „Staatswörterbuch,” — któraby dawała dokładniejszą miarę rozwoju polityczno-ekonomicznego jakiegokolwiek narodu nowoczesnego, jak instytucya ubezpieczeń. Twierdzenie, że w instytucjach ubezpieczeń mieści się dzisiaj rozkwit rozwoju ekonomicznego, nie jest za śmiałem. Żadna bowiem instytucya nie zapewnia i nie podnosi tak skutecznie ekonomicznej swobody i samodzielności każdego obywatela, jego niezawisłości od łaski i jałmużny, a tém samém jego godności obywatelskiej; żadna instytucya nie oswabada go tak dzielnie od troski o bezpieczeństwo mienia rodzinnego, jak instytucya ubezpieczeń.“

Wpływ zbawienny asekuracyi występuje najjaśniejsz tam, gdzie podstawą stowarzyszenia jest wzajemność uczestników. Nie zapuszczając się w rozbiór szczegółowy różnic, zachodzących w podstawach



działalności i w organizacyi towarzystw ubezpieczeń akcyjnych i wzajemnych, z których zarówno jedno, jak i drugie mają właściwe sobie zalety i braki, zaznaczyć musimy wszakże, iż te ostatnie, spoczywając na czynniku samopomocy, grającym ważną rolę w życiu zarówno jednostek, jak i narodów, nietylko przynoszą pożytek materyalny ubezpieczonym, lecz nadto przyczyniają się do postępu społeczeństwa na drodze ku możliwej dojrzałości socyalnej. Obywatele kraju, jednocząc się w imię szlachetnej a zdrowej idei samopomocy i solidarności, wpływają pośrednio na skupienie się i stężenie rozstrzelonych sił społeczeństwa, na wytworzenie i umocnienie poczucia łączności pomiędzy bracią starszą a młodszą, pomiędzy warstwą ludności wicęej i mniej ekonomicznie wyrobioną i zasobną.

Przykład rezultatu pomyślnego, do jakiego doprowadzić jest zdolne owo skojarzenie sił, działających pod wpływem i osłoną trzeźwych i zdrowych idei samopomocy, jedności i wzajemności, a kierowanych rozumnie przez ludzi, mających na oku nietylko interes bezpośredni instytucyi, lecz zarazem i pożytek powszechny w pewnym zakresie, stanowi Towarzystwo krakowskie ubezpieczeń wzajemnych. W dniu 1 maja r. z. Towarzystwo to święciło dwudziestą piątą rocznicę swego założenia. Chwilę tę władze Towarzystwa uważały za najsposobniejszą do rzucenia okiem na drogę już przebytą i do zaznajomienia szerszych kół publiczności krajowej z dziejami pożytecznej téj instytucyi. Trud opracowania obszernego materiału, jaki nagromadził się w ciągu ubiegłej ćwiartki wieku przypadł w udziale p. Józefowi Mrazkowi, sekretarzowi Towarzystwa, który z włożonego nań zadania wywiązał się sumiennie, dając nam obraz rozwoju instytucyi, sposobem kronikarskim opowiedziany, w książce, wydanej ozdobnie p. t. „Monografia Towarzystwa wzajemnych ubezpieczeń w Krakowie, od chwili jego założenia do 1 kwietnia 1886 r.“

P. Mrazek, po wziętém słowie wstępném, w którém zastanawia się nad znaczeniem ubezpieczenia w ogóle, przebiega pokrótce historią instytucyi ubezpieczeniowych we wszystkich dzielnicach dawnéj Rzeczypospolitéj i następnie przechodzi do dziejów powstania i rozwoju Towarzystwa wzajemnych ubezpieczeń w Krakowie. Znaczną część dzieła zajmuje przegląd statutów Towarzystwa w rozwoju ich stopniowym aż do czasów ostatnich. W „Dodatku do Monografii“ znajdujemy sześć tablic, przedstawiających obraz 25-cio letniego rozwoju operacyi Towarzystwa w różnych kierunkach; — siedm tablic, obejmujących dane statystyczne z działu ubezpieczeń życiowych, wreszcie cztery starannie opracowane przez p. Kaz. Langiego tablice graficzne, dające nam obraz rozwoju wszystkich działów ubezpieczeń w Towarzystwie krakowskim, oraz obraz stanowiska, jakie Towarzystwo to zajmuje obecnie w rzędzie innych Towarzystw asekuracyjnych, opartych na wzajemności, a operujących w pozostałych krajach monarchii Habsburskiej.

Sądzymy, iż zwięzły przegląd dziejów pożytecznej instytucji krakowskiej, w obec podniesionej u nas obecnie kwestyi ubezpieczeń w różnych kierunkach, jest właśnie na czasie.

Na wzór bractw, jakie w XVI-ym wieku istniały w sąsiednich państwach Europy środkowej i północno-zachodniej, których celem była wzajemna pomoc sąsiedzka w wypadkach zniszczenia dobytku przez pożar, powstały podobnie związki braterskie w niektórych okolicach dawniej Polski. Pierwszy taki związek spotykamy u nas w r. 1623-im na Żuławach, gdzie wójtowie i radni gmin „za zezwoleniem wszystkich mieszkańców,“ obowiazali się imieniem tychże gmin do wynagradzania sobie wzajemnie szkód i strat, ponoszonych wskutek pożarów. W innych ziemiach Rzeczypospolitej, narażonych więcej na częste pożogi wojenne, śladów stowarzyszeń tego rodzaju nie ma.

Po pierwszym rozbiore Polski w r. 1772-im, rząd pruski w ziemiach przez siebie zabranych zaprowadził swoje instytucje ubezpieczeń. W następstwie, po trzecim rozbiore Rzeczypospolitej, w prowincjach polskich, które dostały się pod panowanie Pruskie, ustanowił rząd pruski dwie Dyrekcje ubezpieczeń, z których jedna miała swoje siedzisko w Warszawie, druga zaś w Poznaniu. Ubezpieczenie wszystkich budowli od ognia było obowiązkowem, składki wszakże były pobierane od uczestników jedynie w miarę potrzeby, bądź na odbudowanie zgorzałych budynków, bądź na koszta administracji.

Po utworzeniu Księstwa Warszawskiego, ówczesna komisya rządząca oddała w r. 1807-ym zawiadywanie Towarzystwa ogniowego jednej administracji generalnej, która pozostawała pod zarządem zwierzchnim Dyrekcji policji krajowej. Składkę zaczęto już pobierać stale. Zastosowany jednak przepis, iż składka w żadnym razie nie mogła ulegać podwyższeniu, doprowadził Towarzystwo do ruiny, w roku bowiem 1816-ym ciążyło na niem półtrzecia miliona złotych polskich, które należało wypłacić pogorzelncom, na których pokrycie brakło jednak funduszu. Wskutek tego namiestnik utworzonego przez kongres wiedeński Królestwa Polskiego, Towarzystwo to jako niewypłacalne rozwiązał, a z dniem 1 stycznia 1817 r. ustanowił nowe Towarzystwo ogniowe, oparte na nowych zasadach.

Zreorganizowane Towarzystwo ogniowe początkowo ciężkie przechodziło koleje. Po powstaniu r. 1831 musiało wskutek osobnego rozporządzenia cesarza Mikołajaja, wynagrodzić pogorzelncom szkody, zrządzone przez pożary wojenne, a wynoszące 5,294,000 złp.; w następstwie zaś, również z rozkazu najwyższego, wypłaciło pogorzelncom owe zaległe z r. 1816-go półtrzecia miliona złotych. Instytucja ubezpieczenia ruchomości, utworzona w r. 1833 im, początkowo przynosiła Towarzystwu straty, które ustały dopiero wówczas, gdy postanowiono nie asekurować całkowitej przez deklarującego podawanej wartości przedmiotu. Z biegiem czasu jednak straty te różnorodne zostały wyrównane, a w czwartym dziesiątku stulecia bieżącego ubezpieczenie



tak się w Królestwie rozpowszechniło, iż rzadko znaleźć było można obywatela wiejskiego, któryby nie miał wszystkich swoich ruchomości gospodarskich zaasekurowanych. Wreszcie w początkach 1843-go roku cesarz Mikołaj polecił rozszerzyć zakres działania Towarzystwa, porucił bowiem Dyrekcyi Towarzystwa ogniowego zająć się sprawą ubezpieczeń od gradobicia i pomoru bydła, asekuracją dochodów dożywnych i transportów, spławianych wodą, oraz wziąć pod swoje zawiadywanie kasę oszczędności.

W Wielkiem Księstwie Poznańskiem rząd pruski, po kongresie wiedeńskim, ustanowił „Królewską Dyrekcyą ogniową w Poznaniu” z obowiązkowem ubezpieczaniem w niej wszelkich nieruchomości. Mimo to operacye rozwijały się tu bardzo słabo. W dziale asekuracyi ruchomości operowały tylko Towarzystwa prywatne.

W Galicyi sprawa ubezpieczeń długo pozostawała w uśpieniu. Wprawdzie jeszcze w roku 1801-ym, na skutek wezwania cesarza Franciszka I-go, wystosowanego do szefów wszystkich krajów koronnych, o podanie najwłaściwszego sposobu wprowadzenia instytucyi asekuracyjnych, kancelarya nadworna dla królestwa Galicyi, postawiła wniosek co do ustanowienia instytucyi rzeczonój na podstawie wzajemności, ale z wykluczeniem przymusu. Jakkolwiek wnioski te zyskały uznanie cesarskie, instytucya wprowadzoną nie została. Stany poruszały tę sprawę w roku 1826-ym i 1828-ym, i później znowu w r. 1834-ym i 1839-ym, senat wolnego miasta Krakowa zajmował się nią w r. 1833-im, zawsze jednak kończyło się na wnioskach i uchwałach; w roku zaś 1841-ym wezwany w tej mierze Wydział stanów oświadczył, że, zdaniem jego, zawiązanie Towarzystwa ogniowego krajowego nie jest dla pomyślności kraju potrzebnem, tém więcej, iż „Towarzystwa obce, stosownie do okazanych rachunków, na zabezpieczeniu strat ogniowych w Galicyi rokrocznie tracą.”

Potrzeba było dopiéro energii i wytrwałości jednego człowieka, który, mając silne przekonanie o potrzebie i pożytku instytucyi ubezpieczeń krajowój, nie zniechęcał się przeciwnościami, ale w ciągu długiego szeregu lat, podnosząc kwestyą tę przy każdej sposobności, doprowadził ją nareszcie do pomyślnego rozwiązania. Człowiekiem tym był nie żyjący już dzisiaj Franciszek Trzeciński.

Franciszek Trzeciński, słysząc o rozwoju instytucyi ubezpieczeń w Królestwie Polskiem, a po części i w Wielkiem Księstwie Poznańskiem, gdzie Towarzystwo wzajemnych ubezpieczeń Schwedt, przypuściwszy do rady swój nadzorczej kilku obywateli miejscowych, zaczęło rozwijać się pomyślnie, poruszył kwestyą asekuracyi krajowój na sejmie we Lwowie w r. 1842-im. Wniosek odnosny jednak pozostał bez skutku. Dopiéro w r. 1844-ym, gdy ponownie wystąpił na sejmie z wnioskiem utworzenia dla Galicyi Towarzystwa ubezpieczeń, opartego na wzajemności, stany jednomyślnie uznały potrzebę wprowadzenia podobnej instytucyi. Mimo kilkakrotnie ponawianej uchwa-

ży powyższej przez sejmy następne, sprawa ta leżała wciąż odłogiem, wydział bowiem stanów, któremu opracowanie projektu odnośnego poruczono, był stale tego przekonania, iż instytucja tego rodzaju w Galicyi nie ma widoków powodzenia. Pogląd ten głoszono w broszurce, wydanej w r. 1845-ym przez p. Józefa Jasińskiego p. t. „Projekt do zaprowadzenia w Galicyi Towarzystwa asekuracyjnego ogniowego.“

Wówczas Fr. Trzeciecki zwrócił się do Towarzystwa gospodarczego we Lwowie, które, zajmwszy się szczerze tą sprawą, wydelegowało ze swego łona komisją dla zbadania projektu. Komisja jednak rozeszła się z inicjatorem w poglądach; gdy bowiem Trzeciecki projektował założenie Towarzystwa dobrowolnego, do którego obywatele mogli przystępować lub nie przystępować, wedle swój woli, to komisja, wręcz przeciwnie, uznała przymus za kardynalny warunek istnienia Towarzystwa. Projekt jednak, wypracowany przez komisją na tych podstawach, nie zyskał sankcyi rządowej. Wskutek tego sprawa poszła znowu w odwołkę.

Dopiero wielki pożar, jaki w r. 1856-ym nawiedził miasteczko Mielec, dostarczył p. Fr. Trzecieckiemu pretekstu do podjęcia starań na nowo. Starania jego tym razem uwieńczył skutek pomyślny. Poparty w swych dążeniach i poglądach przez prezydium krajowe, Fr. Trzeciecki w r. 1857-ym zaprosił do współdziałania wybitniejszych obywateli kraju, jako to: ks. Władysława Sanguszkę, bar. Karola Larissa, hr. Henryka Wodzickiego i p. Leona Gołaszewskiego, i wspólnie z nimi ułożył program Towarzystwa, tudzież naszkicował projekt statutu. Podług owego programu pierwotnego, przystępowanie do Towarzystwa pozostawione być miało dobrej woli obywatelstwa. Każdy członek odpowiadał za straty Towarzystwa do téj kwoty jedynie, do jakiej z góry się zobowiązał. Operacye ubezpieczeniowe rozciągać się miały zarówno do nieruchomości, jak i do ruchomości gospodarskich, krescencyi, inwentarza i t. d., z wyjątkiem jednakże ruchomości w domach mieszkalnych. Miasta i miasteczka miały być czasowo z asekuracyi wykluczone.

Po długiej korespondencyi i licznych pertraktacyach z prezydium krajowem w Krakowie i z ministrem spraw wewnętrznych w Wiedniu, dokąd wzywano p. Trzecieckiego dla udzielenia niektórych wyjaśnień, dozwolono w r. 1859-ym założycielom wyżej wymienionym, przystąpić do zbierania deklaracyi na ubezpieczenia, z chwilą zaś, gdy kwota, przez te deklaracye reprezentowana, dosięgnie sześciu milionów złotych reńskich, miało być zwołane zgromadzenie ogólne uczestników, celem przedyskutowania i zredagowania statutów i przedstawienia ich w następstwie do sankcyi monarszej.

Na téj podstawie ściślejszy komitet założycieli, w którego skład weszli: hr. Henryk Wodzicki, p. Franciszek Trzeciecki i bar. Karol Lariss, wydał w grudniu r. 1859 odezwę do obywateli, w której zaznaczywszy potrzebę stowarzyszenia, wezwał do składania dekla-



racy. Początkowo jednak ogół pozostał głuchym na to wezwanie. Dopiero gdy rozesłano do obywatelstwa projekt statutu Towarzystwa, sprawą tą opinia publiczna zajęła się żywiej. Rozpoczęły się narady obywatelstwa po całym kraju i dyskusya przeniesioną została do pism publicznych. Posypały się artykuły i korespondencje z różnych okolic, nie brakło zachęty gorącej do zawiązania stowarzyszenia, nie szczędzono krytyk, uwag, poprawek i żądań w różnych kierunkach. Jedna z korespondencji oryginalnie a wzniosło tłumaczyła potrzebę instytucji. „W dawnych czasach—pisał jakiś obywatel wiejski—kiedy to w narodzie naszym mniej jeszcze blichtru cywilizacji, a więcej w sercach prawdziwego braterstwa, jak kogo ogień nawiedził lub inna dotknęła strata, to cała szeroka okolica biegła co prędzej na ratunek... Więc obchodzono się bez stowarzyszeń, bo wszystko szło starą praktyką... Nasze czasy i okoliczności odmienne są od tamtych. Ludzie na murach i na papierze wypisawszy wolność z równością i braterstwem, napróżno szukają ich pomiędzy sobą, a w braku uczuć i potrzeb z serca płynących, posługują się stowarzyszeniami i spółką. Idźmyż i my z innymi kolegą naszego wieku, lecz z tradycją starą w pamięci. Z miłością pospolitego dobra, z najlepszą wolą łączmy się ku własnej ochronie w stowarzyszeniach, a w nich może później, za łaską Bożą, i stare braterstwo w nas odżyje na nowo.“

Założenie Towarzystwa ubezpieczeń zainteresowało nie tylko sfery rolnicze, lecz obudziło żywe zajęcie i w miastach, które zgodnie z programem pierwotnym, miały być wyłączone. Odezwały się głosy poważne za niewyjmowaniem miast z pod wpływu dobroczynnego ubezpieczenia w Towarzystwie krajowem. Wykazywano, iż w razie przeciwnym instytucji nadanym zostanie charakter wyłącznie szlachecki, przez co dzieło całe w zarodzie będzie już zwichniętym. Obawy komitetu co do niebezpieczeństwa, mającego płynąć z asekuracyi miast, nazywano przesadnymi, a jako najpewniejszy środek przeciwko temu niebezpieczeństwu wskazywano podział ryzyk pomiędzy inne Towarzystwa czyli reasekuracyą.

W szeregu rozpraw, jakie w owym czasie toczyły się we wszystkich zakątkach kraju nad otwartą kwestyą ubezpieczeń, odznaczył się na zebraniu obywatelskiem w Krakowie, późniejszy dyrektor-referent Towarzystwa, a wtedy likwidator jednego z Towarzystw asekuracyjnych, operujących w Galicyi, p. Henryk Kieszkowski. On to, popierając gorąco myśl zawiązania Towarzystwa krajowego i udzielając z całą gotowością wskazówek, opartych na dokładném obzuczeniu się z przedmiotem i na nabytém doświadczeniu fachowem, zajął już wówczas, w toku akcji przedwstępnej, stanowisko najwybitniejsze.

Nadszedł nareszcie niecierpliwie oczekiwany termin zgromadzenia ogólnego. W dniu 1 marca r. 1860-go zebrało się w kościele Pańny Maryi w Krakowie, przeszło 200 obywateli z różnych okolic kraju. Po wysłuchaniu nabożeństwa, zebrani udali się do sali obrad

przy teatrze. Zgromadzeniu przewodniczyli powołani do tego przez głosowanie: p. Leon Gołaszewski i ks. Adam Sapieha. Po skreśleniu przebiegu starań i zachodów około założenia Towarzystwa przez p. Franciszka Trzecieckiego i po żywej dyskusji nad sposobem, w jaki miano przystąpić do wypracowania statutów, zgromadzenie postanowiło, iż na zebraniu ogólném ostatecznie określona zostanie jedynie kwestya najgłówniejsza, dotycząca solidarności stowarzyszonych, że zaś opracowaniem statutu zajmie się komisya, specjalnie w tym celu wybrana, i działać mająca podług wskazówek ogólnych, jakich udzieli jej zgromadzenie ogólne. Kwestya solidarności postanowiona inaczej, aniżeli w programie pierwotnym. Ujęcie zasady wzajemności w pewną formułę prawną wiele pracy kosztowało zgromadzonych, komisya dopiero osobna, umyślnie dla tój kwestyi ze współudziałem pracowników złożona, orzekła, że „za wszelkie zobowiązania Towarzystwa odpowiadają wszyscy członkowie w stosunku do opłaty, przez nich w ostatnim roku uiszczanej.” Oprócz tego zgromadzenie w charakterze wskazówek dla komisji statutowej, uchwaliło w zasadzie przyjmowanie miast do ubezpieczenia, orzekło płatność dyrekcji i wyznaczyło procent od składek na koszt administracji, określiło sposób tworzenia kapitału rezerwowego, zdecydowało, że głosy na zgromadzenie ogólne mogą być przez uczestników nieobecnych przysyłane listownie. Na wniosek p. Fr. Trzecieckiego, zgodzono się uareszcze w zasadzie na zawiązanie Towarzystwa asekuracji od gradobicia. W końcu zgromadzenie, wyraziwszy p. Trzeciekiemu wdzięczność za podjęte trudy, rozwiązało się, pozostawiając pole działania komisji statutowej.

Komisya, celem zbadania dokładnego i wszechstronnego objęcia przedmiotu podzieliła się na trzy sekcye: sekcya porównawczo-badawcza miała za zadanie porównać statut Towarzystwa z najlepszymi ustawami towarzystw asekuracyjnych, — techniczna miała opracować manipulacyą ubezpieczeniową, rachunkowość i taryfy, — redakcyjna wreszcie materiały przez dni pierwsze obrobiony miała ująć w pewną formę poprawną. Jedną z najważniejszych czynności komisji był rozbiór skrupulatny przyszłej organizacji wewnętrznej Towarzystwa. Zadanie kierowania sprawami Towarzystwa spoczywać miało w ręku Dyrekcji, złożonej z trzech dyrektorów i tyluż zastępców. Obok Dyrekcji postawiono Radę nadzorczą, składającą się z poważnych uczestników z prezesem i wice-prezesem na czele. Rada, mając sobie przyznane atrybucye szerokie, mogła nawet, w razie okoliczności dla Towarzystwa niepomyślnych, uchwycić ster spraw w swe dłonie. Po kraju mieli reprezentować Radę nadzorczą delegaci, wybierani z pośród obywateli; wreszcie w miastach powiatowych znajdować się mieli korespondenci, pośredniczący przy zawieraniu ubezpieczeń, za skromnym wynagrodzeniem procentowym od składek.

Dzięki usilnej pracy, komisya wykończyła projekt statutu w ciągu dwóch miesięcy, poczem przedstawiła go władzom rządowym z prośbą o pozwolenie zwołania ponownie zgromadzenia ogólnego, któreby



projekt ostatecznie przejrzało i zatwierdziło. Zgromadzenie to odbyło się w dniu 19 czerwca r. 1860 pod przewodnictwem p. Leona Gołaszewskiego i hr. Henryka Wodzickiego. Między innymi zgodzono się tu ostatecznie na przyjmowanie do asekuracji miast i miasteczek. Uchwale tej sprzeciwiał się założyciel Towarzystwa, p. Fr. Trzeciecki, który, bojąc się aby przyjęcie do ubezpieczenia miast, w pierwszych chwilach istnienia Towarzystwa, nie zagroziło jego bytowi, przedstawił wniosek, opatrzone 59 podpisami, w którym żądano, aby przypuszczenie miast do Towarzystwa odłożyć do czasów późniejszych. Przemógł jednak głos wymowny p. Wodzickiego, który, oparłszy się na danych statystycznych, wykazał płonność obaw przeciwników, kończąc przemówienie swoje temi słowy: „W czasach, gdy wszystkie ciężary i obowiązki dźwigała tylko szlachta, słusznym było, ażeby używała przywilejów; dziś gdy stosunki się zmieniły, utworzenie w czemkolwiek prerogatywy wyłącznej dla jednej klasy społeczeństwa byłoby niesprawiedliwością.” Oprócz tego na zebraniu tém zadecydowano sposób wybierania dyrektorów, tudzież doręczono p. Franciszkowi Trzecieckiemu adres dziękczynny imieniem obywatelstwa za podjęte przezeń trudy.

Ostateczna koncesya rządowa założenia Towarzystwa nadeszła w październiku roku 1860-ym. Niebawem rozpisano wezwanie na ponowne zgromadzenie ogólne, które miało dokonać wyborów do władz Towarzystwa. Zebrani w listopadzie uczestnicy wybrali na prezesa hr. Adama Potockiego, na wice-prezesa zaś p. Leona Gołaszewskiego. P. Franciszek Trzeciecki został kuratorem dożywotnim Towarzystwa. Do Dyrekcji powołano: na dyrektora pierwszego—hr. Henryka Wodzickiego, na dyrektora drugiego p. Władysława Biesiadeckiego, na dyrektora-referenta p. Henryka Kieszkowskiego. Zgromadzenie nadto uchwaliło etat tymczasowy dla urzędników, upoważniło Dyrekcją do traktowania z innymi Towarzystwami co do reasekuracji, a przewidując brak funduszów na pierwsze potrzeby organizującego się Towarzystwa, uppełnomocniło Radę nadzorczą do zaciągania pożyczek. Pożyczka istotnie zaciągniętą być musiała; otworzył kredyt zawiązującemu się Towarzystwu bankier krakowski Wincenty Kirchmajer, do sumy 10,000 złr. Później dopożyczono jeszcze przeszło 3,000 złr.

Po zorganizowaniu się, wybraniu delegatów powiatowych i zamianowaniu współpracowników, Towarzystwo rozpoczęło właściwą działalność swoją w maju r. 1861.

Dzieje Towarzystwa w ciągu ubiegłego ćwierćwieku jego istnienia, przedstawiają pasmo usiłowań, skierowanych ku ugruntowaniu podstaw organizacyi wewnętrznej, dążących do wciągnięcia w sferę swój działalności jak najszerszego koła stosunków ludzkich, oraz do zacieśnienia węzłów, łączących je ze społeczeństwem miejscowém. Niepodobna w szczupłych ramach artykułu niniejszego zamknąć obrazu dokładnego tych usiłowań, odsyłając więc ciekawych do monogra-

fii p. Mrazka, zaznaczymy tylko pokrótce ważniejsze chwile i fakta z 25-cio letniej działalności Towarzystwa krakowskiego.

Najpierwsze początki nie przedstawiały się świetnie, gdyż z pomiędzy 833-ch członków, którzy do dnia otwarcia czynności oświadczyli gotowość ubezpieczenia majątności swoich w nowopowstałym Towarzystwie, z pierwszą chwilą zaledwie 333-ch się zgłosiło. Nadto nowe Towarzystwo walczyć musiało z konkurencją Towarzystw obcych, które zdawna operowały w Galicyi. Pozyskanie dla siebie co najzdolniejszych współpracowników Towarzystw obcych, było pierwszym krokiem do zwalczenia współzawodnictwa. Pomyślny nad wszelkie oczekiwania rezultat finansowy pierwszego roku działalności, z którego końcem nie tylko spłacono pożyczkę, zaciągniętą na koszt organizacji, lecz nadto odłożono na kapitał zapasowy 42,000 złotych reńskich,—tudzież solidność i rzetelność Dyrekcji, ujawnione zaraz w początkach istnienia Towarzystwa, dokonały reszty. Towarzystwo krakowskie w krótkim stosunkowo czasie stanęło na pewnych już nogach. Niemniej konkurencja instytucji współzawodniczących nieraz jeszcze zagrażała jego istnieniu; nigdy jednak agitacja przeciwko niemu prowadzona, nie dosięgła tego stopnia natężenia, co w r. 1870-ym, po założeniu Galicyjskiego Towarzystwa ubezpieczeń we Lwowie, opartego na akcyach. Na czele tego Towarzystwa stanęły osobistości zasobne i zajmujące w kraju stanowisko wybitne, które wpływem swoim starały się pozyskać klientelę obywatelstwa dla swojej instytucji. Z biegiem czasu jednak i ten przeciwnik został pokonany. Towarzystwo krakowskie, wezwane do rozwikłania interesów upadającej instytucji akcyjnej, dopomogło do przeprowadzenia likwidacji ze stratą możliwie najmniejszą dla ubezpieczonych.

Trudniejszym do zwalczenia był wróg wewnętrzny, domowy, w postaci zakorzenionej w społeczeństwie naszym wady nieakuratności. Dyrekcya niejednokrotnie zmuszoną się widziała przypominać ubezpieczonym, że „niezbędnym warunkiem dobrowolnych stowarzyszeń, jest ścisłość w wypełnianiu obowiązków nie tylko ze strony władz, ale także i ze strony stowarzyszonych, gdyż inaczej stowarzyszenia istnieć nie mogą.“

Przeobrażenia statutu i rozwój wewnętrzny podstaw Towarzystwa, rozpoczęły się w pierwszej prawie chwili jego istnienia. Pierwsza zwłaszcza zmiana, uchwalona przez Radę nadzorczą w kilka miesięcy po otwarciu czynności, obejmowała przepis nader doniosły, mianowicie: zupełne równouprawnienie ubezpieczeń włościańskich, pod względem opłaty taryfowej, z asekuracją większej własności ziemskiej. Działając w tym duchu Towarzystwo nie tylko spełniało czyn obywatelski, ułatwiając mniej zamożnym warstwom ludności możność korzystania z dobrodziejstw asekuracji ogniowej, lecz nadto miało na widoku dobrze zrozumiany pożytek własny; chciało bowiem zainteresować włościan specjalnie w korzyściach przedsiębiorstwa wspólnego,



aby w ten sposób skłonić ich do tego, ku czemu poprzednio wstępnie objawiali widoczny, mianowicie „aby byli mniej pobłażliwymi na wykrywanie zbrodni podpalania i chętniejszą udzielali pomoc do wykrywania takiej zbrodni.“ Dodać wszakże winniśmy, iż zbrodnie te, popełniane zazwyczaj przez zemstę lub z rachuby, ukrócone zostały dopiero po wprowadzeniu w Galicyi w r. 1873-im sądów przysięgłych.

W następstwie, Towarzystwo w kierunku ułatwienia włościanom asekuracji ogniowej, poszło jeszcze dalej. W celu bowiem ulżenia właścicielom drobnym ciężaru kosztów, złączonych z manipulacją zawierania umowy ubezpieczeniowej, zaprowadziło w r. 1880 polisy zbiorowe, wystawiać się mające w jednym egzemplarzu dla sześciu gospodarstw mniejszych, Środek ten jednak, dla braku ducha solidarności w ludzie, nie znalazł zastosowania w szerszym zakresie.

Ważną w dziejach Towarzystwa kartą jest utworzenie straży ogniowych ochotniczych. Pierwszą taką straż założono w Krakowie w r. 1864-ym. Ażeby zaś przełamać obojętność publiczności dla tej nowej instytucji, przystąpili do niej dyrektorowie i wszyscy urzędnicy Towarzystwa. W krótkim czasie wzięła w straży udział młodzież akademicka oraz synowie najpierwszych w kraju rodzin. Oprócz tego, Towarzystwo udzielało zasiłki pieniężne dla formujących się w różnych miejscowościach straży ogniowych ochotniczych, sprowadzało dla nich instruktorów i przyznawało z funduszków swoich pożyczki na zaopatrzenie miast i wiosek w narzędzia ratunkowe. Wydatki te stanowią w budżecie Towarzystwa rubrykę stałą. Z subwencji od Towarzystwa, które przez ciąg lat 25-ciu dosięgły cyfry prawie 40,000 złr. korzystało w Galicyi 129, na Morawie zaś i Szlązku 23 straży ogniowych ochotniczych.

Towarzystwo od pierwszej chwili swego istnienia dokładało starań i zachodów około rozszerzenia swęj działalności na możliwie obszerne koło stosunków. Zaraz w pierwszym roku po otwarciu czynności, Dyrekcyja, wywiązując się z włożonego na nią przez zgromadzenie ogólne obowiązku, wypracowała statut dla Towarzystwa gradowego. Dział ten otwartym został ostatecznie w r. 1864. Operacye wszakże w tym kierunku prowadzone, stale prawie przynosiły straty i niedobory, dla których pokrycia musiano uciec się kilkakrotnie do pożyczki z funduszków działu ogniowego. Niepomyślnemu stanowi rzeczy pod tym względem nie zdołał zapobiedz ani podział kraju na tak zwane strefy gradowe, ani kilkakrotne rewizye taryfy, zarządzane początkowo przygodnie, później zaś peryodycznie co lat trzy powtarzane. Ostatecznie dziś jeszcze kwestya zorganizowania działu gradowego tak, aby nie przynosił strat Towarzystwu, stoi wciąż jeszcze na porządku dziennym.

W tymże roku 1864-ym Dyrekcyja powzięła zamiar zaprowadzenia w Galicyi asekuracji od pomoru bydła. W tym celu przyjęła nawet reprezentacją Towarzystwa wiedeńskiego „Apis“ Doświadczenie jednak wykazało, że w kraju, wystawionym na częste zawleczenia za-

razy, jakim jest Galicya, przedsiębiorstwo tego rodzaju, oparte na kapitale prywatnym, ostać się nie może. Tak samo rzeczy się mają z ubezpieczeniem od powodzi.

W r. 1867-ym „na powszechnie prawie życzenia i domaganie się interesowanych,” Dyrekcyja przystąpiła do opracowania taryf i przepisów dla ubezpieczenia życiowego. Ten ostatni rodzaj asekuracji, „najważniejszy może,” bo dostępny zarówno dla klas majątnych, jak i dla najmniej dostatnich, zarówno dla właścicieli wiejskich i miejskich, jak i dla tych, którzy nie mają żadnej własności a żyją jedynie z pracy,— wprowadzony został ostatecznie w r. 1869-ym. W społeczeństwie miejscowem powitano ten nowy dowód zabiegliwości Dyrekcyi z zadowoleniem, którego wyrazem stał się wiersz, napisany z tego powodu przez Wincentego Pola. Dział ten, jakkolwiek w obec zamknięcia operacji Towarzystwa w szczyptych stosunkowo granicach terytoryalnych, ilościowo rozwijał się słabo, pod względem jednak finansowym dawał rezultaty pomyślne. Pod koniec r. 1885-go ubezpieczyło kapitał pośmiertny w Towarzystwie krakowskiem ogółem osób 4,153, z których 3,928 mężczyzn a 225 kobiet. Największą ilość ubezpieczonych znajdujemy w sferach urzędniczych, i tak ubezpieczyło się na wypadek śmierci urzędników kolejowych 880, rządowych 538, prywatnych 476; za urzędnikami idą kupcy i przemysłowcy, którzy zaasekurowali się w liczbie 497 i nauczyciele w ilości 253. Ogólny kapitał, ubezpieczony na wypadek śmierci, wynosił w dniu 1 stycznia 1886 roku 9,415,555 złr.; najwyższą sumę, (1,844,464 złr.), ubezpieczyli kupcy i przemysłowcy, najliczniejsi zaś z pomiędzy klientów Towarzystwa, urzędnicy i oficyaliści kolejni zaasekurowali zaledwie 861,040 złr.

Kiedy ukaz cesarski zniósł Dyrekcyą ubezpieczeń w Królestwie Polskiem, a ustanowiwszy dla ubezpieczenia nieruchomości przymusowe instytucje rządowe, pozostawił mieszkańcom kraju swobodę asekurowania ruchomości w Towarzystwach prywatnych bądź miejscowych, bądź zagranicznych, byle tylko przez władze rządowe zatwierdzonych, Towarzystwo krakowskie, pragnąc rozwinąć działalność swoją w tym kierunku, rozpoczęło w r. 1869 starania o koncesyą w Królestwie Polskiem. Nie utrzymawszy się jednak przy niej, zamknąć musiało agencye, utworzone już w różnych miejscowościach kraju, a natomiast na propozycyą Towarzystwa angielskiego „Impérial,” które zyskało pozwolenie rządowe na rozwinięcie czynności w Królestwie Polskiem, weszło z nióm w stosunek reasekuracyjny. Przy reputacyi, jaką Towarzystwo krakowskie cieszyło się wśród obywateli tutejszych, zapewniło to Towarzystwu „Imperial” poważną klientelę w Królestwie. W następstwie jednak układ ten został zerwany, a po nieudanęj próbie nawiązania stosunków z powstałym około tego czasu Warszawskiem Towarzystwem ubezpieczeń, Towarzystwo krakowskie weszło w stosunek reasekuracyjny z Towarzystwem „Jakor.” To ostatnie, zgodziwszy się na udział delagatów z pośród obywateli ubezpie-



czonych, w zarządzie sprawami przedsiębiorstwa, zaczęło pomyślnie rozwijać działalność swoją w Królestwie. Gdy jednak później Towarzystwo Warszawskie, robiąc ustępstwo na rzecz zasady wzajemności, przypuściło ubezpieczonych do udziału w zyskach przedsiębiorstwa, nastąpiło zbliżenie się pomiędzy nim a Towarzystwem krakowskim; po wyekspirowaniu zaś kontraktu z „Jakorem“ w r. 1877-ym, zawarłą została pomiędzy obydwoma Towarzystwami wyżej wymienionemi umowa w przedmiocie reasekuracji, obowiązująca do chwili obecnej.

Dodatknie rezultaty finansowe, osiągnane przez Towarzystwo krakowskie, zwróciły na siebie uwagę innych Towarzystw asekuracyjnych, na wzajemności opartych, a operujących w pozostałych krajach monarchii Habsburskiej. Statut Towarzystwa krakowskiego, doprowadzony w szeregu praktycznych zmian i ulepszeń, z rzeczywistej potrzeby i sumiennego zbadania rzeczy wynikłych, do wysokiego stopnia doskonałości, stał się wzorem, podług którego reorganizować się zaczęły inne instytucje asekuracyjne. Przy zbliżeniu się ze sobą różnych Towarzystw ubezpieczeń wzajemnych, jakie wskutek tego nastąpiło, powstała z inicjatywy Dyrekcyi Towarzystwa krakowskiego myśl połączenia w jeden związek wszystkich austriackich Towarzystw asekuracyjnych, opartych na wzajemności uczestników. Myśl ta, powzięta w r. 1872-im, zyskała urzeczywistnienie za staraniem téjże Dyrekcyi w r. 1885-ym.

Towarzystwo krakowskie nie zamknęło swęj działalności w kierunku jedynie swęj specjalności. Będąc już w posiadaniu kapitału rezerwowego, który w zupełności wystarczał na pokrycie zobowiązań, nie zasnęło ono gnuśnie na laurach, lecz, rozumiejąc znać dobrze, że u nas prosperujące instytucje obywatelskie mają obowiązek wpływem swoim sięgać nieraz poza bezpośredni cel swego założenia, że, kierując funduszami z całą oględnością, aby nie narazić majątku wspólnego na uszczerbek, powinny jednak w miarę możności przyczyniać się do celów ogólnych, do dobra powszechnego. W pewnym zakresie, Towarzystwo krakowskie wyszło poza obręb obowiązków swęj specjalności i stanęło do walki z gniotącą wszystkie warstwy ludności lichwą. Postawiło ono sobie za zadanie, z jednéj strony dostarczyć taniego kredytu zarówno właścicielom większym i mniejszym, jak i tym klasom, które, żadnéj własności nie mając, żyją z pracy bądź umysłowéj, bądź fizycznęj; z drugiéj zaś dać możność składania oszczędności nawet najuboższym, tym, których nie stać na płacenie składek asekuracyjnych od kapitału pośmiertnego lub funduszu, mającego służyć za podstawę utrzymania się w starości. Suma ogólna, jaką Towarzystwo na szlachetne te cele poświęciło, jest stosunkowo nieznaczną, za cały bowiem dwudziestopięcioletni czas jego istnienia nie przenosi 900,000 złr. Z funduszu tego korzystało 98 różnych instytucji kredytowych, dla których współudział Towarzystwa krakowskiego, niezależnie od pomocy materialnéj, miał jeszcze ważne znaczenie moralne; przystąpienie bowiem do instytucji Towarzystwa tak solidnego, przyczyniało

się samo przez się do obudzenia zaufania powszechnego dla przedsiębiorstw początkujących i skłaniało pośrednio jednostki wahające się lub niedowierzające, do umieszczania w nich kapitałów i powierzania im zebranych oszczędności. Dodać wreszcie należy, że ani jeden grosz z obracanych przez Towarzystwo na te cele kapitałów nie został uронiony, a znaczna część pieniędzy wyłożonych wróciła już obecnie do kas Towarzystwa.

Do instytucji tego rodzaju, utworzonych lub zasilanych przez krakowskie Towarzystwo ubezpieczeń wzajemnych, należy przede wszystkim kasa oszczędności i lombard w Krakowie. Kasa ta, założona w r. 1866-ym z funduszem gwarancyjnym 25,000 złr., w sześć lat potem po wycofaniu kapitałów Towarzystwa oddaną została gminie. Po 20-tu latach istnienia kasa ta posiadała złożonych na książeczki i rachunek bieżący 1,106,304 złr., kapitał jej rezerwowy wyrównywał 800,000 złr., a zyski, dochodzące do 50,000 złr. rocznie, idą na cele humanitarne. Następnie w r. 1868-ym Dyrekcya Towarzystwa powzięła myśl utworzenia instytucji, któraby ułatwiała kredyt rzemieślnikom i małym gospodarzom. Myśl tę urzeczywistniono w roku następnym, zakładając po kraju kasy zaliczkowe, zorganizowane na wzór słynnych kas Schulze-Delitsch'a. Dalej w r. 1873-im powstała za staraniem Towarzystwa krakowskiego instytucja, mająca zastąpić dotkliwie przez sfery rolnicze odczuwany brak kredytu osobistego. Instytucja ta, przeznaczona dla większych właścicieli ziemskich, nosi miano Towarzystwa wzajemnego kredytu. Postępując systematycznie w obranym kierunku i pragnąc dopomóc założonym około tego czasu kasom oszczędności powiatowym, które, przy znanym konserwatyzmie i niechęci do wypuszczania z ręki zaoszczędzonych pieniędzy ze strony włościan, nie mogły w początkach swego istnienia rozwinąć należycie operacji kredytowych, Towarzystwo krakowskie postanowiło w roku 1882-im udzielać im pożyczek na skromny procent. Wreszcie od roku 1883-go Towarzystwo zaczęło obracać corocznie kwotę 5,000 złr. na cele użyteczności publicznej. Nadmienić w końcu należy, że od pierwszej chwili swego istnienia Towarzystwo przyznało swym urzędnikom prawo do emerytury i w tym celu wyznaczyło w następstwie fundusz specjalny.

W ten sposób, działając energicznie zarówno w kierunku zadań swych specjalnych, jak i w widokach dobra powszechnego, Towarzystwo krakowskie ubezpieczeń wzajemnych osiągnęło świetne rzeczywiste rezultaty. Przekonywa o tém nietylko wyżej skreślony obraz jego rozwoju, lecz nadto porównanie stanu majątkowego działu ubezpieczeń od ognia, za pierwszy i ostatni rok działalności, streszczone przez jego kronikarza w następującej tablicy, krótkiej, lecz wymownej:



W r. 1860/1 zaciągnięto pożyczkę na koszta organizacyi, które wynosiły 13,454 złr. 41 ct.

W r u b r y c e:	Pierwszy rok istnienia 1861/2		25-ty rok istnienia 1885/6	
	złr.	ct.	złr.	ct.
Wartość zabezpieczona	31,798,570	—	352,047,393	—
Zaliczka zebrana	272,953	15	2,625,448	10
Zwrot dla członków	54,068	58	500,000	—
Fundusz rezerwowy	42,528	77	1,844,000	—

Nadto w r. 1861-ym Dyrekcyja rozpoczynała swą pracę w kilku wynajętych skromnych pokoikach, a dziś biura jój mieszczą się we własnym gmachu Towarzystwa. Zadanie jednak Towarzystwa w kierunku jego specjalności, dalekim jest jeszcze od spełnienia celu ostatecznego. Jeżeli bowiem weźmiemy na uwagę, że zaledwie koło 23% właściciele w Galicyi ubezpieczyło nieruchomości swoje od ognia, i że ubezpieczeni we wszystkich kategoriach działu asekuracyi życiowej stanowią niespełna 0,12%<sup>1)</sup> ludności Galicyi, to przyznać należy, że Towarzystwo ma jeszcze przed sobą obszernie pole działania. W każdym razie, na podstawie dotychczasowego rozwoju nazwać je można instytucją użyteczności publicznej. Ze względu na ten jój charakter, tudzież uważając dzieje rozwoju krakowskiego Towarzystwa ubezpieczeń wzajemnych za żywy przykład tego, co zdziałać może skojarzenie sił w imię tyle nam potrzebnych a zdrowych idei samopomocy, solidarności i zgody, pod kierownictwem rozumném, energiczném a dobro powszechne miłującém, uważaliśmy za pożyteczne z dziejami temi czytelników zaznaczyć.

<sup>1)</sup> Obliczenie nasze opieramy na cyfrze ogólnej ludności, jaką podaje „Rocznik statystyki Galicyi za rok 1886-ty,” wydany przez Wydział krajowy, a opracowany pod kierunkiem dr. Tadeusza Rutowskiego. Podług „Rocznika” ludność Galicyi wynosiła z końcem 1885-go roku 6,253,311 osób, w stosunku zatem do téj cyfry ilość ogólna ubezpieczonych zarówno na wypadek śmierci, jak i na dożycie, wykazana w „Dodatku do Monografii,” a wynosząca osób 7,805, stanowi prawie 0,12%.

# KRONIKA PARYZKA,

LITERACKA, NAUKOWA I ARTYSTYCZNA.

---

„Trzy śmiertelne grzechy Polski,” przez A. Bukatego. — „Listy Katarzyny księżniczki Wirtemborskiej,” małżonki Hieronima Bonapartego, wydane w Stuttgarcie. — Nowy przegląd: „Revue de Paris et de St. Petersbourg”. — Doroczna uroczystość w Instytucie francuzkim. — Sądy znakomitych ludzi o Wolterze. — Obrzęd pogrzebowy u chińczyków. — Stuletni jubileusz Mozartowego „Don Juana.” — Pięćsetne przedstawienie „Fausta” w Operze francuzkiej. — „Książd Konstanty.”

Mamy przed sobą tylko co wydany tomik pod tytułem: „Trzy śmiertelne grzechy Polski;” autorem dziełka A. Bukaty, znany matematyk i filozof, zmarły w Paryżu w r. 1876. Trentowski nazwał go Heraklitem z powodu ciemnego i niezrozumiałego sposobu pisania. Zwolennicy Bukatego tłumaczą to życiem samotnym i skierowaniem myśli ku wyżynom niedostępnym dla umysłów popolitych.

Wyznajemy z całą szczerością, że w dziele Bukatego zrozumieliśmy to tylko, co wypłynęło z gorącej jego duszy, gdy zaleca miłość i uprawę rodowitego języka, aby „podnieść go do potęgi, oddającej w całym znaczeniu tego wyrazu, wszechmoc myśli zupełną i nieskończoną.”

Czego tymczasem zrozumieć nie możemy, to główny pobudki autora. Dzieło jego, pytamy, jestże wypływem myśli goniącej za wymarzoną w samotności ideałem wszechsłowania, czy też jestże to raczej humorystyczny pamflet, rzucony w oczy lingwistom, którzy z języka wyprowadzają ostateczne wnioski, dotyczące budowy społeczeństw, i naginają ten język do teorii obmyślanej a priori.

Rzućmy okiem na wywody autora. „Nie ma wątplenia, mówi on, że Sławianie byli pierwosiłcami Europy całej. Mowa, ten żywy wskaz dziejów ludzkich, wyraźnym i niezaprzeczoną tego dowodem.



Nie masz nazwy starożytnéj, a nawet i z czasów chrześcijaństwa, coby nie była pochodzenia słowiańskiego. I tak Atlantyk, kończyła zachodnia Sławian, jest wyraźnie Oblantyk, oblew ich z téj strony; Gallia, Kraina górna (hale); Portugalia, wrota Galii; Hiszpania, Wyspania; Auzonia, Kraina wyziewów, wulkanów; Helwecya, Głowecya; Szwecya, z Wendecya, Kraina Wendów; Skandynawia, Kraina skończenia; Brytania, Borytania, jak Prusy Borusy.

„Na te sławiańskie obszary w czasach późniejszych, napływa obca powódź. Sławianie nazywają tych przybyszów nie-ziemcami, a w skróceniu Niemcami, oni zaś sami, nazywają się Deutch, Teuton, od wyrazu deuten, znaczyć, to jest być znacznym. Sakson zaś idzie od wyrazu sagen, zgadać, (naród, o którym szerokie gadywanie). Szorstki dla ucha rzymskiego wyraz Deutch, musiał przejść na Dacus; w Dacyi tedy przybysze niemieccy osiedlili się naprzód, na ziemi sławiańskiej w Europie i już za Trajana groźni byli Rzymianom.“

Nie owi to przecież Niemcy zburzyli Romę czyli Gromę; zburzyły ją sławiańskie ludy. „Najpierwszy Oleg-jary (Allaryk), albo Oleg jedrny, na czele Wszegodowców (Wissygotów), i Zwawonów (Swewonów, przezwanym od Niemców szwabami), zadał śmiertelny cios niezwykłom dotąd Gromanom, albo Romanom. Za nim idzie Gąsiorok (Genseryk) z zastępami Wendów, Wandalów, mieszkańców dolin z nad Adryatyku. W zapędzie swym niepomamowany ten naród zdobywa Wyspamią (Hiszpanią), co poświadcza dzisiejsza Andaluzya (Wandaluzya). W ślady Wandalów postępuje Chodokier (Odoakr), wiodący hufy Góralow (Herulów), zapewne z Głowacyi (Helwecyi), Recyi i Chorwacyi. Za nim idzie sławny Dziejoderek (Teodoryk), na czele bitnych Ostrogodzców (Ostrogości).“

„Podczas, gdy ci najezdcy, zburzywszy Gromę mordują się i strącają nawzajem, osiedlcy zachodniej Sławiańszczyzny Wręczi lub Fręczi, wrzący mieszkańcy Wrankonii (Franki), pod wodzą Głowacza (Klowisa), zdobywają ostatecznie Galię na Rzymianach, i ustalają tam państwo francuzkie.

Korzystając z takiego zamętu, Niemcy wcisnęli się na zachód Europy; zobaczmy jak autor wyjaśnia to ich osiedlenie. „Gdy większa część ludów sławiańskich wyniosła się z siedzib ojczystych, na opuszczenie Swewonią, Wrankonią, Turyngią (Krainę turów), Bojaryą (Bawaryą krainę Bojów), coś wypadło zrobić Niemcom, tak zwanym Teutonom i Saksonom, to jest Dakom i Sakom przytulonym naówczas do unii sławiańskiej. Oczywiście posunąć się na ich siedliska, przybliżyć się ku ognisku wytworniejszego życia, zawsze nieodparcie ponętnego dziczynie, co też wykonali najskwapliwiej. Rzymianie, którzy znali sławian bliższych w gromadach tylko, prawie

zawsze góralskich, nazwali tę krainę Germanią (Krainą Gromad albo Goranów), żadnej w tém nie było niemczyzny; Germania była pierwosiedzibą sławiańską. Przybyszami, nie ziemcami, to jest Niemcami, są tam tylko Saki i Daki.“

Idźmy dalej za autorem, a zobaczymy, że i sam Attyla był słowianinem.

„Kiedy Wszegoście i Ostre goście, kiedy Górale i Wandale a za niemi Wrączki opanowali państwo rzymskie, kiedy poczęli zlewać się z jego mieszkańcami, upodabniać się obyczajem i mową, wtedy mieszkańcy Gonnoweru (Hanoweru), liczna konnica Gońców, Hońców, Hunów, pociągana tąż samą siłą, rzuciła się hurmem na państwo rzymskie pod strasznym Otylcem, przezwanym biczem Bożym, Attylą.

Niemcy tymczasem, korzystając znów z dogodnej pory zajęli Hanower i Luzacyą (Saksonią). A kiedy Attyla rozbitý przez siły sławiańskie Jajecjusza (Aecyusza), cofnął się w tył na ziemie sławiańskie do Panonii, gdzie miał się rozpląnąć w oceanie ludów, tymczasem Teutony i Saksony posuwali się do nadmorskiego Szlązku (Szlezewigu), do Jutlandyi (Oblandyi), do krainy Dun czyli wydm morskich, Danii; ztamtąd przeszli do Skandynawii Swendecyi, a wkrótce potem do Borytenii (Brytanii Wielkiej).“

W dalszym rozwoju dziejów, autor wyrzuca gorzko Karolowi Wielkiemu, że przepomniawszy słowiańskiego rodowodu swego, przyswoił sobie Niemców, użył ich za sprężynę swych działań i rzucił się z nimi na pobratymczych Obotrytów (mieszkańców obu stron Odry), wytypił ich a ziemie opuszczone oddał niemieckim łupieżcom. Ostrzeż jeszcze wyrzuca Polsce, położonej w sercu Słowiańszczyzny, że pozwoliła na te gwałty, że nie umiała bronić plemion słowiańskich przeciw Niemcom. To pierwszy jój grzech śmiertelny.

Zapytuje potem autor, gdzie jest pierwotne gniazdo Niemców, gdzie ich główna stolica? Znajduje ją w Wiedniu, starożytnej Wendobojnie słowiańskiej, pożartej przez łupieżców niemieckich. Zobaczymy teraz pochodzenie nazwy Austria. Ost, znaczy po niemiecku Wschód, wzięty od słowiańskiego wejście; rejchen znaczy rwać, wyrwać, złupić. Jestto zatem łup, wydarty na słowianach od Wschodu. Zaszło to najpewniej w czasach napadu na słowian przez Tatarów, wyległych z Manczuryi, zwanych dziś Madżarami. W tak dogodną porę, Niemcy wparli się w dziedzinę pierwosielców Wendów i tam ustalili swoje łupieckie gniazdo, państwo Wschodnio-Niemieckie, Austryą. Że zaś rejchen, rwać, było dla słowianina przytrudną nazwą, przesłowianił je na państwo rakuzkie i dom rakuzki, albo inaczej dom urwiszów—rabusiów.

Obok słowian Hurmanów czyli Germanów, ugrupowanych na zachodzie Europy, ukazuje autor na wschodzie inną grupę Shurmatów albo Sarmatów. Sarmacya i Germania są, jak mówi, tém



samém. Jedni i drudzy, to dawni Skitowie, którzy, porzuciwszy życie koczownicze, jeli się łączyć w hurmy, zgromadzenia. Kiedy zachodnia część słowian przelała się w państwo rzymskie, Wschodnia, to jest Sarmacya, poczęła także grupować się w pobratymcze państwa. Ztąd powstała legenda o Lechu, Czechu i Rusie, uosabiająca to braterstwo. Zobaczmy, jak autor tłómaczy imię Lecha i Lechii.

„Wiadomo, że potęgę główną słowiańszczyzny, która pokonała niezwyciężone legiony rzymskie, stanowiła jazda pancerna. To była sercowa siła sławiańszczyzny, główna jej wyobrazicielka. Ze zaś jachać czy jechać, przechodzi samym wymowy pędem na lachać czy lechać, ztąd jeździec wziął imię Lecha, a jazda, że z Lechów złożona, nazwę szlachty; kraj zaś odebrał nazwę Lechii, a w następstwie wieków Polechii, albo w skróceniu Polski.”

Co do Czechy, imię to wywodzi autor od słowa czuć, to jest poczynać. „Po zniszczeniu państwa Gromauów, mówi on, naród czeski najpierw i najbliżej świata, chrześcijaństwem odrodzonego i ożywionego, ustalać się począł, a przeto samym rzeczy pędem otrzymał nazwę Czechy. Mogło i ztąd przyjść im to miano, że się pierwsi okrzესali to jest oczesali, lecz właśnie czesać się to poczynać ogłądę, więc i w takim razie Czech pochodziłby od częcia. Co większa, stolica czeska, Praga, pochodzi od wyrazu próg, albowiem stanowili Czechy istotny próg słowiańszczyzny, od którego poczynał się opór całego, odnawiającego się plemienia.

Wreszcie co do trzeciego Rusa, autor wyprowadza jego nazwę od borów, zarastających wschodnią Sarmacyą. Zobaczmy ten wywód. „Bór, las, w duchu mowy sławiańskiej, noszą pierwiastkowe miano rosni, zarośni, zarośli, tak jak drzewo jest pierwiastkowo różczką i różgą. Najmłodszy tedy brat Lecha i Czechy w legendzie sławiańskiej, któremu się dostały tylne dziedziny tego olbrzymiego plemienia, otrzymał nazwę Rosniaka albo Rusa.”

Całe podanie o Rusach, Waregach i Ruryku, uważa autor za baśń przekręconą z rzeczy prawdziwej, ale zupełnie inną. Zdaniem jego, tym narodem, wezwanym do zaprowadzenia porządku, byli raczej bliźcy sąsiedzi, Litwini. Naród ten pochodzenia czysto indyjskiego, zbliżony mową do mowy sławiańskiej, naród dzielny i rządnny, serdeczny i butny, znany był z dobrej strony Rusinom. Mogli więc Rusini w rozterkach swoich wezwać którego z książąt litewskich, mógł ten książę zwać się Jury albo Jory, a zdrobniale Jurek, przekręcony później na Ruryka.

Co zaś do innych podbojów normandzkich we Włoszech, Francji i Anglii, tych wcale nie zaprzecza autor. Według niego Normanowie byli czystymi słowianami, osiadłymi w Norach Północnych, gdzie się słońce zanurza, ztąd nazwa Norwegia. Musieli ci normandowie wyrobić w sobie hart ciała i moc ducha, łącznie też z pomorskiemi sławianami puszczali się na dalekie wyprawy, zdobywali kraje, a tymczasem pozwalali osiedlać się Niemcom w opuszczonym swém

gnieździe. Takim to sposobem Skandynawia przeistoczyła się na niemiecką.

Poprzestajemy na tém. Zostawiamy domyślności czytelnika, czy pan Bukaty bierze rzeczy na seryo, wysnuwając z języka dowody historyczne, czy też pokazuje po prostu, jak można się zaplatać, budując gmach na podstawie saméjże lingwistyki <sup>1)</sup>.

Poprzednie prace Bukatego dają w nim poznać głębokiego myśliciela i erudytę. Mickiewicz w drugoletnim kursie literatur słowiańskich, w kolegium francuzkiém, obszernie rozbiera jego dzieło p. t. „Polska w Apoteozie i w Apostazyi,” podnosi wysoko pogląd autora, który z dziejów Polski, z jéj konstytucyi, wy dobył filozoficzny wniosek, że posłannictwem jéj było wprowadzić chrześcianizm do polityki.

W zeszłej kronice naszéj mówiliśmy o wydanych w Wiedniu listach Maryi Ludwiki, dziś powiedzmy słówko o stokroć sympatyczniejszej korespondencyi księżniczki wirtemburskiej Katarzyny, małżonki Hieronima Bonapartego, świeżo ogłoszonej w Stuttgarcie. Te listy pisane do ojca i do męża obejmują dwa tomy.

Niesłychana uderza różnica w charakterze dwóch ukoronowanych kobiet. O ile Marya Ludwika chwiejna, słabego umystu i słabszego serca, przeziucza się z jednéj ostateczności w drugą, to nienawidzi, to wielbi, to wreszcie zamyka się w samolubnej obojętności, o tyle Katarzyna, silna religijną wiarą w świętość małżeńskich węzłów, niezłomna w pośród burzy, głucha na zdradzieckie podżegania, idzie wytrwale drogą powinności i, jak wyrzekł Napoleon na wyspie S-téj Heleny, „piękném postępowaniem zapisuje własną ręką imię swoje w historyi.”

W roku 1807-ym dwudziesto-czteroletnia księżniczka, piękna, z jasnym włosem i błękitnymi oczami, smutne pędziła dni na dworze Stuttgarckim. Przykrém jéj było życie obok zimnej i samolubnej macochy. Wychowana w Montbeillard przy babce, po jéj śmierci całe przywiązanie zwróciła do ojca, położyła w nim ufność; mimo to charakter silny i samodzielny nie pozwalał jéj ulegać na oślep jego woli.

Od roku już cesarz Napoleon oznajmił królowi chęć połączenia z jego córką najmłodszego brata swego, Hieronima. Nie było to jeszcze formalne oświadczenie; wypadało wprzód przygotować księżniczkę do przyszłych związków. Otóż z jéj strony ojciec napotkał silny opór. Wiedziała Katarzyna, że Hieronim przed czterema laty poślubił w Ameryce piękną pannę Paterson, a jakkolwiek ślub ten rozerwany został, jako zawarty przez małoletniego młodziana, lękała się jednak, czyli pamięć pierwszej małżonki nie stanie się pomiędzy nią a mężem niezłomną zaporą do wspólnego ich szczęścia.

<sup>1)</sup> Podobna igraszka słów jak najsamowolniejsza nie ma żadnego związku ani podobieństwa z nauką tak ścisłą i metodologiczną, jaką jest dziś lingwistyka.



Pomału jednak ojciec przełamał opór córki. Wtedy to, w początkach sierpnia, przybył do Stuttgartu poseł cesarski, marszałek Bessieres, z formalnym oświadczeniem o rękę księżniczki dla Hieronima, który właśnie otrzymał tron w świeżo uorganizowanym hrabstwie Westfalskiem. Król Fryderyk przyjął oświadczyny; nazajutrz potem na mocy plenipotencji, przysłanej następcy tronu wirttemberskiego, ślub odbył się w Stuttgarcie.

Tak zaślubiona Katarzyna, z trwogą w sercu, puszcza się w drogę do Paryża. W Strasburgu księżę Salm, adjutant Hieronima, wita ją w imieniu małżonka, wojsko występuje pod bronią, prefekt wyprawia świetny bal. Opisuje księżniczka, jak lud zbiega się tłumnie w miejscach spoczynku, jak urzędnicy prawią piękne oracye; wszystko ją cieszy, wyznaje tylko, że w miarę jak się zbliża, z trwogą myśli o pierwszym spotkaniu z mężem. Kto wie, może nie spodoba się królowi, nie odpowie jego oczekiwaniom!

Spotkanie nastąpiło niebawem w Raincy, w domu generała Junota. Cesarz wyprawił tam księcia Neufchatel, aby w jego imieniu powitał przybyłą bratową. Pośpieszył tam i Hieronim. „Nie uniem ci wypowiedzieć, drogi ojcze—pisze księżniczka—pomieszania mego na widok króla, mimo że był nadzwyczaj uprzejmy. Ale i on zdawał się zarówno zmieszany, co powiększało trwogę moję.“

Po półgodzinie rozmowy Hieronim odjechał. W chwilę potem księżniczka wsiała do powozu, przybywa do Tuilleries o dziewiątej wieczorem.

Opowiada, jak cały dwór przyjął ją w sieni poniżej schodów; cesarz i Hieronim w pierwszej sali. Cesarz uściskał ją serdecznie i osmiesił od razu. Wyjechały potem z cesarzową do lasu Bulońskiego; przy świetle księżycy ujrzała poraz pierwszy wielką stolicę.

Nazajutrz nastąpiło podpisanie kontraktu w obecności ośmiuset osób. Tegoż dnia cesarz zdjął z jej głowy kapelusik, a położył na jasnych jej włosach dyadem i grzebień brylantowy. Król Hieronim odwiedził młodą żonę, rozmawiali z sobą na uboczu; zrazu oboje bardzo byli pomieszani, osmiesili się jednak; trwoga odbiegła, „zepsuta córeczka najlepszego ojca” wyznaje z całą prostotą, że król bardzo miły i dobry, tkliwy i uprzedzający, że jej się nadzwyczaj podoba, że ma dla niego szczerą przyjaźń i czuje się zupełnie szczęśliwą.

Ta przyjaźń zmieniła się wkrótce w najtkliwszą miłość. Katarzyna żyje wyłącznie w mężu, nie widzi nic prócz niego.

W ciągu lat siedmiu w listach swoich wystawia małżonka, jego dobroć, rozum, delikatne obejście, otwarty charakter. Nie mogłaby, jak mówi, żyć bez niego; nic jej nie brak do zupełnego szczęścia, chyba tylko obecności najlepszego z ojców.

Hieronim, pełen względów dla żony, przez miłość ku niej stara się przypodobać ojcu; posyła mu miniaturę swojej pędzla Izabey'a, następnie wielki portret konny. Król wirttemberski, wywdzięczając się, przysyła zięciowi piękną szpadę, wyrobioną w Stuttgarcie. W każdym

liście powtarza Katarzyna, o ile czuje się szczęśliwą z mężem, który osładza jęj każdą chwilę. Dziękuje Opatrzności za los, jaki padł jęj udziałem, wystawia politykę, że tak mądrze urządziła rzeczy; niepokoi się tylko, kiedy mąż nieobecny lub słaby. W Kassel szczęście jęj zupełniejsze jeszcze; tu większą ma sposobność poznać go i ocenić, i być od niego poznaną. Uczucia ich wsparte na wzajemnym szacunku; nic ich już nie zachwieje.

Przywiązana całym sercem do męża, królowa Katarzyna ukochała rodzinę jego jakby własną. Wielbiła Napoleona z głębi duszy, ale nie mogła bez trwogi przybliżyć się do niego; przestraszał ją szczególnie nadzwyczajny pośpiech, z jakim wszystko odbywało się na cesarskim dworze. Dnia jednego, będąc w Rambouillet, musiała sześć godzin jeździć po lesie, podczas gdy psy uganiały zwierza. „Ledwie żeśmy powrócili z przejażdżki, pisze do ojca, cesarz wziął w rękę zegarek i rzekł do nas: „Zostawiam wam, moje panie, dziesięć minut na zmianę toalety, która z was nie będzie gotowa, musi jeść obiad z kotkami.” Bądź co bądź trzeba było ubrać się na czas. Obiad trwał kwadras, poczem zabawa przeciągnęła się do drugiej. Mimo tych małych nieprzyjemności, Katarzyna czciła Napoleona zarówno w czasach tryumfów, jak i późniejszych nieszczęść.

Mimo trwogi, jaką czuje w obec cesarza, królowa powolna ojcu, pośredniczy w jego sprawach ilekroć spotyka się z Napoleonem, czy to w Paryżu, czy w Dreźnie, czy w Erfurcie, szczerze jednak wyznaje, że drży cała, gdy wstępuje do gabinetu największego z ludzi współczesnych, najskynniejszego z monarchów. Myśli, że to czyni dla ojca i dla kraju, podnosi jęj odwagę.

Król Fryderyk ze swęj strony pokłada zupełną ufność w dobrym bracie Napoleonie, któremu zawdzięcza tytuł króla, obarcza więc córkę nowemi raz poraz żądaniami.

Bezustanne wyprawy cesarza, jakkolwiek uwieńczone świetnym tryumfem, niepokoją tak ojca jak i córkę. Wojna wre w Hiszpanii, Portugalia zagrożona, Niemcy upokorzone; Napoleon po dwakroć wchodzi zwycięzko do Wiednia, Holandia przyłączona do Francyi.

„Byłoby to szczęściem dla ludzkości, pisze Katarzyna, gdyby cesarz chciał wreszcie odpocząć na wawrzynach. Szczęśliwi ci, którzy spokojném okiem patrzą na bieg wypadków; ja nigdy nie przyjdę do tego. O tyle się niepokoję, o ile kochać umiem; a jeśli to usposobienie daje ukochanym rękojmię uczuć moich, jest przecież dla mnie źródłem bezustannych udręczeń.”

Kampania rosyjska powiększa jęj przestach. Czuje ona, że zwycięstwa Napoleona drogo krwią okupione; przeczuwa, że piękna dotąd idylla jęj życia zamieni się wkrótce w tragedya.

Przed ostatnimi kłeskami 1814 roku, król Fryderyk okazał już córce niezadowolenie swoje; lęka się, czy nie zbyt drogo opłacił tytuł królewski. Jak wszyscy sprzymierzeńcy cesarza, gotów już przyłączyć się do państw sprzymierzonych przeciwko niemu. Boleje nad



kłęską, jaką sam poniósł w kampanii rosyjskiej. Z półtora miliona mieszkańców stracił 14,000 ludzi, garstka niedobitków pozostała tylko pod bronią. Przepadła cała artylerya, wybite konie, a cesarz nowego domaga się zaciągu. Król ma lat siedmdziesiąt, głowa mu posiwiadła, cierpi dotkliwie na podagrę. Poszedł uniesiony ogólnym prądem.

Po abdykacyi cesarskiej król Fryderyk ostygł nagle dla zięcia. Nie przypuszcza już, aby ex-król Hieronim mógł uszczęśliwić żonę. Żałuje, że zbieg wypadków, skutek niepohamowanej pychy Napoleona, zgubił całą rodzinę, a z nią pociągnął córkę jego do zguby. Skłania ją téż, aby poszła za przykładem Maryi Ludwiki.

„Uczyni tak, jaka ona—pisze do Katarzyny. — Los jój świetniejszym był od twego, a powraca na łono rodziny swojej. Pospiesz w objęcia kochającego cię ojca, przybywaj, ale powtarzam ci, nie chcę już widzieć Bonapartego.”

Tu rozpoczyna się bolesny dramat. Katarzyna oznajmia ojcu niezłomne postanowienie swoje. Oto piękne jój słowa:

„Jakkolwiek, drogi ojcze, byłam całe życie powolną we wszystkim twój woli, nie możesz potępić mnie za to, jeśli w tak ważnej okoliczności muszę przedewszystkiem słuchać tego, co powinnoś i honor mój nakazuje.”

Na to ojciec posyła do niój ministra i adjutanta swego. „Słuchaj we wszystkiem, pisze, pana de Lindau, pamiętaj, że przez niego ja sam przemawiam do ciebie.”

Słowa ministra nie znalazły oddźwięku. Katarzyna odrzuca zarówno błagania, jak i groźby. Brat jój, następca tronu, występuje surowo; nie zdoła to zachwiać jój woli.

Poruszony do żywego tym oporem, król Fryderyk daje do zrozumienia córce, że Hieronim nie jest ani najlepszym z ludzi, ani najwierniejszym z mężów. Ojciec nie rozumie jój zaślepienia. „Wiem, dodaje z gniewem, że gotów był wyrzec się związku z tobą; jeśli tak nie uczynił, zawdzięczasz to Napoleonowi.”

Katarzyna odpowiada na to:

„Złączona z mężem moim dla względów politycznych, pamiętam tylko szczęście, jakie mu winnam od lat siedmiu, ale chociażby nawet był dla mnie najgorszym mężem, gdyby mnie uczynił nieszczęśliwą, ja go nie opuszczę w nieszczęściu. Byłabym godną twego szacunku, ojcze, gdybym tak postąpiła? Nic mnie z nim nie rozłączy, postanowienie moje niezłomne.”

Biedna kobieta ma wkrótce zostać matką. Opuszcza Paryż, chroni się w okolicy Tryestu. Na domiar nieszczęścia, pomiędzy Nemours a Montereau zabiega jój drogę hrabia Montreuil, dawny koniuszki króla Hieronima. W imię nowego rządu występuje na czele zbrojnych ludzi, zabiera jój bagaże, klejnoty, pieniądze i tak odartą puszczę ją w dalszą drogę. Księżna przebiega Szwajcaryą, zatrzymuje się w różnych miejscach, przybywa nakoniec do Tryestu. Przychodzi tu na świat pierwszy jój syn, zmarły we Florencyi w roku 1847.

Powrót Napoleona z Elby rozjątrzył jeszcze stosunek ojca z córką. Po klęsce pod Waterloo Fryderyk nalega z nową natarczywością. Daremne zabiegi, Katarzyna stawia niezłomny opór. „Myśl o rozłączeniu, pisze, nie może wniknąć mi do serca ani do głowy. Śmierć lub mąż! to godło mego życia.”

W jednym z listów do męża tak pisze po strasznej klęsce pod Waterloo: „Ściskam cię najtkliwiej, nigdy cię tak głęboko nie kochała. Zamykam w liście serce i duszę moję, wszystkie me władze umysłowe. Wierz mi, że w każdej okoliczności zobaczysz mnie zawsze tą samą.”

Rzeczy doszły do ostateczności w roku 1815-ym. Król Fryderyk zgodził się na przyjęcie małżonków, ale uwięził ich w zamku Ellwangen i otoczył najściślejszą strażą. Na protestacyą Katarzyny, ojciec odpowiedział listem z 10-go października:

„Córko moja, nie cofnę rozkazu, jaki wydałem. Zuchwała opozycja Hieronima Bonapartego nie przeszkodzi mi do spełnienia zobowiązań względem sprzymierzeńców moich. Poddaj się, albo lękaj się skutków gniewu mego. Pamiętaj o tém, że mąż twój nie otrzymał odemnie schronienia, ale więzienie stanu, łagodniejsze niżli forteca Wesel.”

*Fryderyk.*

Po kilku miesiącach więzienia, księżna Katarzyna otrzymała pozwolenie na powrót do Austrii z Hieronimem. Wkrótce potem umarł król Fryderyk. Księżęca para znikła z widowni, jak reszta rodziny Napoleona; przenosząc się z miejsca na miejsce, osiadła nakoniec w Szwajcaryi pod Lozanną. Tu Katarzyna umarła w roku 1835.

Wydane świeżo listy ożywiły pamięć téj niepospolitej kobiety. Korespondencya, zebrana przez Schlosbergera, dyrektora archiwów w Württembergu, miała objąć dwa tomy, po ukazaniu się pierwszego, książę Napoleon rad, że pamięć matki wybiegła z pomroku tak świetną otoczona aureolą, ofiarował wydawcy listy króla Fryderyka, zachowane w aktach rodzinnych. Te listy w liczbie dwustu pięćdziesięciu stanowić będą trzeci tom ciekawej publikacyi.

W połowie października ukazał się tu nowy przegląd, nadzwyczaj ozdobnie wydany, w wielkim formacie, obejmujący do dwustu stronic. Na okładce czytamy: „Revue de Paris et de St. Petersbourg,“ po drugiej stronie nazwiska czterdziestu przeszło współpracowników i etc., zapowiadające szereg nowych. Wśród ogłoszonych, czytamy imiona dziewięciu akademików, jak: Renan, Lesseps, Aleksander Dumas, Augier, Wiktoryn Sardou, Pasteur, Juliusz Simon; dodajmy tu nazwiska najgłośniejszych literatów i publicystów. Zestawione razem osobistości najdziwniejszą tworzą sprzeczność: Henri Maret i Anatole de la Forge, stoją tu obok zaciętych bonapartystów, Pawła de Cassagnac i Henryka de Pene. Cyniczny Catule Mendez, cyniczniejszy Bergerat



i godny ich Armand Silvestre, występują w parze z idealistami, jak Alfons Karr i Arsen Houssaye, dyrektor nowej publikacji. Nie mówimy tu już o redaktorach Figara, którzy jak Ignotus i Maquard, istne chora-giewki na dachu, gotowi zawsze zwrócić się tam, z kąd nowy wiatr powieje. Słowem, nowy przegląd jest dla nas żywym obrazem owego biblijnego korabia, w którym Noe zachował okazy wszelkich stworzo-nych istot. Czy arka zatrzyma się na szczycie Araratu, czy też uto- nie wśród powodzi, czy patriarcha Houssaye, na wzór Noego, wypuści z niej drapieżnego kruka, czy gołębicę z różczką oliwną, czas to naj- lepiej okaże.

Na czele książki Arsen Houssaye, nestor publicystów, z białą jak mleko brodą, który—jak mówi—wymazał ze słownika wyraz sta- rość, czując się młodszym od wielu przedstawicieli nowego pokolenia, stawia program pisma w pogadance do równie siwobrodego Alfonsa Karr. „Celem naszym, mówi on, podnieść ducha francuzkiego, w każ- dym kierunku: w filozofii, polityce, historii, sztukach pięknych, poe- zyi, w téj chwili bowiem same tylko nauki ścisłe idą naprzód, a idą- lepij krokiem.“

Ale i przedstawicielom tych nauk nie przebacza Houssaye: „wi- ną ich, mówi, że umniejszili Boga, jeżeli się całkiem nie wyrzekli.“ Pamięć zawiadła widocznie siedmdziesięcioletniego młodziana; apolo- gista Woltera zapomniiał, że współcześni mu koryfeusze nauki, Fran- ciszek Arago, Leverrier, Claude Bernard, Jan Dumas, a z żyjących dotąd Chevreuil i Pasteur, wszystko to ludzie nie tylko religijni, ale co więcej, żarliwi chrześcianie; nie od tych to pozytywistów prawdziwych, powiewał duch niewiary, grasujący dziś w społeczeństwie tutejszém.

„Francuzi giną, mówi dalej Houssaye, traciny co dnia nasz dziel- ny charakter; wesołość i żarliwość przemieniły się w zuchwałą bla- gę. Z kąd ten upadek? pyta, i przypisuje go wpływom cudzoziem- szych. Żali się na puffizm angielski, na pesymizm niemiecki, za- czerpnięty z Hartmanna i Schopenhauera, co zabija ducha rycerskie- go, swobodną werwę i oryginalność francuzką; zapomina, a raczj chce zapomnieć o innych wpływach, cynicznym materyalizmie, o nihilistycz- nych mrzonkach, tak sprzecznych z tradycją francuzką.

Walka idealistów z realistami równie dziś zacięta, jak niegdyś walka romantyków przeciw klasykom, zatrzymuje na chwilę autora. Zawzięty wróg Zoli i jego naśladowców, przemawia do nich słusznie: „Jeżeli przedstawicie nie tylko to, co jest, nagą rzeczywistość bez pro- myka sztuki, bez odbłasku nieskończoności, po cóż miałbym was czytać? Wolę te obrazy widzieć na scenie życia, niżeli w książkach waszych.“

Cały program wydawcy, to zbiór zdań aforystycznych, nie połą- czonych z sobą logicznym węzłem. Tylko co autor skarżył się na uczo- nych, że umniejszili Boga, a oto, przebiegając wiek chylący się do zmiernu, podnosi doktryny Monteskiusza, Woltera, Diderota, Jana Jakóba Rousseau, które wiek ten wykołysały.

Wróg pesymizmu ubolewa nad upadkiem dawnj wesołości

francuzkiéj, a przecież sam smutném okiem patrzy na obecny stan społeczeństwa.

„Wszystko, mówi on, zamączone do głębi. Wyprawiamy misye na odkrycie starożytnych zwalisk, a nie spostrzegamy, że wszystko do koła nas chwieje się i wali. Ziemia drży, a wy chcecie budować? Strzeżny się ruchomego piasku; nim zbudujemy gmach, położmy cement rzymski pod stopy nasze.

„Czegóż na to potrzeba? oto uszanować przeszłość, a umiłować przyszłość! Zasada piękna, prawdziwa, ale jakąż drogą idealista spodziewa się osiągnąć ideał upragniony? Oto, jak mówi sam, pragnie „nad brzegiem przepaści zgromadzić wyższe umysły francuzkie, aby głośiły prawdę i stały na straży nieskazitelnych praw plemiennych.“

„Z téj idei, dodaje Houssaye, zrodził się przegląd paryzko-petersburgski; w tym przeglądzie budujemy nową trybunę polityczną. Przemawiać z niej będą ci wszyscy, którzy mają coś powiedzieć, jakikolwiek ich ideał i jakabądź ich opinia. Marzeniem mojem odczepić z nieba literackiego wszystkie złote gwiazdy i zgarnąć je do mego przeglądu.“

Zobaczmy teraz, kto w pierwszym numerze publikacyi tak doniosłego znaczenia przemawia z trybuny, która odrodzić ma Francją, stojącą nad brzegiem przepaści.

Najprzód występuje Kamil Flamarion, z nowellą psychologiczną: „Un amour dans les étoiles.” Widzimy tu parę kochanków, pozytywistę włocho, Spero, obok pozytywistki Iklei, zrodzonej w pośród śniegów norweskich. Ani lody ziemi ojczystéj, ani zimniejsze teorye pozytywizmu, nie zmroziły serca jasnowłoséj Iklei; podczas kiedy umysł jéj chciwy wiedzy, szuka początków i celu istnienia, podczas gdy Spero tłómaczy jéj teorią atomów, z których życie bierze początek, skrzydlaty Amor wkrada się do biblioteki, szepcze obojgu słowa, które po swojemu wyraził najniewinniejszy z poetów naszych, Kazimierz Brodziński:

Porzuć martwe ksiąg stosy, zbliż się z sercem drżącem,  
Ku naturze żyjącej, ku sercu bijącém.

Opuuszczamy sceny pełne uniesień. Ale kochankom tak ekscentrycznym potrzeba było nadzwyczajnych wrażeń i przygód. Spieszą do Norwegii, w chwili kiedy zorza północna rozpościera płaszcz purpurowy na widnokregu, puszczają się balonem, chcą spojrzeć oko w oko téj tajemniczéj zorzy. Odbiegli wysoko, daleko... nagle złowrogi szum przerywa głuchą ciszę. Gaz rozsadził jedwabną pochwę, w której go pomieszczono, wybiega z łoskotem... balon spuszcza się coraz niżej, widać już gładką powierzchnię jeziora, zrumienioną odblaskiem zorzy. Napróżno Spero wyrzuca wszystek balast, balon nie podlatuje w górę. Ilka odgadła niebezpieczeństwo. Aby ulżyć ciężaru i ocalić kochanka ofiarą życia własnego, rzuca się w głąb jeziora. Balon ulata, Spero ocalony, ale cóż mu po życiu? Zrozpaczony rzuca się na ziemię z pod obłoków.



Zobaczymy epilog. Dwadzieścia lat ubiegło od téj chwili. Autor, będąc tego lata na posiedzeniu hipnotystów w Nancy, dowiedział się o losach kochanków, których był za życia przyjacielem. Jeden z uspio-nych snem magnetycznym widzi ich na planecie Marsa, słyszy, jak wspominają ziemię. Zakochani jak dawniej, z tą różnicą jedynie, że Iklea przemieniona w mężczyznę, Spero stał się kobietą. Co znaczy ta metamorfoza, autor nie tłumaczy; niech czytelnik rozwiąże zagadkę.

Inny powieściopisarz, Armand Sylvestre, nie unosi już czytelnika pomiędzy gwiazdy; nowelka jego l'abbé d'Arthèse nie w eterycznych krąży przestrzeniach. Autor obrał scenaryusz na ziemi, a nawet w tak obrzydliwym bagnisku, że nie chcemy poruszać tych miazmatów. Przejdźmy więc do rozprawy Edmunda Lepelletier pod tytułem „Les victimes du savoir.“

Zdaniem autora chciwość wiedzy, to rak toczący dzisiejsze społeczeństwo francuskie, każdy goni gorączkowo za dyplomem naukowym. „Sorbona stała się jakoby nową Kalifornią; cisną się do niej tłumy natarczywiej, niż niegdyś cisnęły się do złota. Powtarzano bezustanku francuzom, że pobił ich nie żołnierz, ale bakałarz pruski, aż na koniec uwierzyli temu. Ztąd dziś ów gwałtowny popęd do nauki.

Autor pokazuje niebezpieczeństwo takiego zwrotu, stawia na to przykłady historyczne. „Egipt, mówi on, ujarzmiony został na zawsze (?), kiedy ludy jego przypuszczono do świętych mysteryów i zdarto z oblicza Izidy zastępną; Mummiusz podbił Grecyą w czasach, kiedy retorowie przygotowali jój upadek; gramatycy rzymscy, biegli w układaniu wytwornych heksametrów, któremi pieścili ucho i umysł zniewieściałych słuchaczy, otworzyli barbarzyńcom wrota zachodu. Dziś ludzie dyplomowani gotowi zatracić Francyą.“

„Starożytny Rzym, ciągnie dalej, stał się łatwym łupem hord barbarzyńskich, tak przez brak ludności, jak przez zbytnią uprawę umysłową. Każdy rzymianin został obywatelem, zdolnym do piastowania urzędów, lecz zwątpiało mu ramię; nie mógł już udźwignąć oręża dla odparcia najezdźnika od granic. Kiedy naszli kraj Gotowie, Daki i Wendale, brakło rąk dzielnych do obrony.

U nas, jak u starożytnych panów świata, słaby przyrost ludności, zaniedbanie pracy rolnéj a napływ do wielkich miast, oto główne przyczyny zwątpienia i upadku. Smutny prorok, ale nie powołany do leczenia chorób społecznych, ukazują złe, nie śmiem wskazać lekarstwa. Biada ludom zanadto uczonym!”

Żalona tę jeremiadę pana Lepelletier, możnaby streścić w dwuwierszu Krasickiego:

Niech rozum jakie zechce przepisy stanowi,  
Mądrzy sławni, to prawda, ale głupi zdrowi.

Światły biskup-poeta rzucił te słowa sarkastycznie, jako wybryk wesołego humoru; p. Lepelletier przemawia tymczasem na seryo. Gdy-

by przynajmniej dla wyjaśnienia rzeczy dodał, że gmach wiedzy wtedy runie w posadach i przywali gruzami społeczeństwo, kiedy zbudowany na piasku, kiedy kamieniem węgielnym do podtrzymania wrębów, przestanie być wiara w Boga — przekazana tradycją wiekową!

Nie wszyscy jednak patrzą tak pesymistycznie na rzeczy jak p. Lepelletier. Bezimienny autor, który pod pseudonymem Radomanka, wygłasza sąd ostateczny o Napoleonie, kończy rzecz temi słowy:

„Ten, co rozpoczął wiek biejący jako promienisty wschód słońca, ukaże się u zmierzchu tegoż wieku, niby olbrzymi cień, siejący gromy i błyskawice, i wołać będzie na chciwych pomsty wiarusów: „Zartujcie sobie z matematycznych armii, wystarczy wam furia francuzka.”

W tymże samym duchu przemawia Juliusz Simon, pokazując wandejskich Bretonów w obec historii. „Wandejezycy, mówi on, wystąpili do zapasu z rewolucją, walczyli zatem przeciw Francji, ale czytamy w ich sercu, że dla niej to poświęcali życie. Czytamy zarówno w księdze dziejów, że oddali Francji prawdziwą zasługę, przekazali jej bowiem żywy dowód, drogi dla nas dzisiaj po klęskach, że ta ziemia francuzka jest zawsze karmicielką walecznych żołnierzy i olbrzymich poświęceń.”

Dwa powyższe artykuły, w szczupłych objęte ramkach, drgają same w pośród innych jakąś iskierką żywotną. Nie znajdziemy tej iskierki w utworach poetycznych. Z tych wszystkich najudatniejsza formą pieśń Banvilla nosi tytuł „Salve!” Jakąż to czarodziejkę poeta wita o brzasku rannéj zorzy? Gdzie ją to wiodą na wozie tryumfalnym, niby nową Ifigenią, pod nóż ofiarnika? Tą czarodziejką świnią, tym nowym Kalchasem rzeźnik! on czeka w jatce z nożem w rękę; wnet zatopi go w gardle biednej ofiary, co wczoraj jeszcze tak rozkosznie tarzała się w błocie, otoczona całą gromadką prosiąt i wesołym kwikiem wyrażała macierzyńską swą radość!”

Na dziewięciu stronicach, drobniuchno drukowanych, p. Saint Jean daje miesięczną kronikę pod tytułem: „Historja Paryża z dnia na dzień.” Dziwnie to niesmaczna kronika, złożona z samych sarkazmów, chłoszcząca wszystko, nawet to, z czego nie godzi się żartować. Nad grobami dwóch pełnych zasługi mężów, kronikarz pozwala sobie niesmacznego dowcipkowania: „Akademia, mówi on, straciła razem prawie dwóch nieśmiertelnych, filozofa, co nie wymyślił filozofii i historyka, co się zagrzebał pod dwudziestu tomami historii, której nikt nie przeczytał.” Tymi wyszydzonymi, znakomity profesor Caro i uczony erudyta, Viel Castel.

Rzućmy nareszcie okiem na kronikę polityczną, podpisaną nazwiskiem Alikoff; zapewne to pseudonym, gdyż autor widocznie jest francuzem; przytaczamy charakterystyczny ustęp:

„Dwa są w Europie narody, godne w niej przewodniczyć: Francja i Rosya, bo te oba narody rządzą się uczuciem rycerskiem, bo więcej myślą o pełnem chwale swém posłannictwie, niżli o zyskach ma-



teryalnych. Owoż te narody wówczas nawet kiedy parte burzą wojenną, zmuszone były rzucić się jeden przeciw drugiemu, zachowały zawsze wzajemną sympatyą. Sąsiednia Anglia i ościenne Prusy budziły w nas odwieczną nienawiść obłudną polityką swoją, gdy tymczasem przez szerokie obszary Niemiec, Francya i Rosya zawsze niemal wyciągały do siebie ręce.

„Ostatnia wojna przeciw Rosyi nie była narodową, lecz walką dwóch cesarzów. Napoleon III pragnął ciągnąć dalej Napolcońską legendę i pomścić rok 1815 rokami 1855. Kłamał programatowi swemu l'Empire c'est la paix, aby dowieść świetnym zwycięstwem, że jeżeli Francya nie prowadzi wojny, to nie dla braku bohaterstwa.

„Rosya zapomniała krzywd doznanych od Francyi, równie jak Francya jeszcze przed Napoleonem przepominała krzywd swoich Rosyi. Dziś oba narody rozumieją się, przemawiając półśłówkiem, jak dwie przednie straże cywilizacyjne, postawione na dwóch krańcach świata.”

W dniu 25 października, w dziewięćdziesiątą drugą rocznicę ustanowienia Instytutu francuzkiego, odbyło się uroczyste zebranie, pod prezydencją p. Renan. Prezes wymienił dwunastu członków zmarłych w tym roku; z tych trzech przypada na samą Akademię francuzką: profesor filozofii Caro, historyk Viel-Castel i publicysta Cuvillier Fleury. Po krótkim zagajeniu przyznano wielką nagrodę 20,000 franków Antoninowi Mercié, rzeźbiarzowi, za pyszną grupę, wykonaną do grobowej kaplicy w Drew, gdzie spoczywają zwłoki Ludwika Filipa.

Wystąpili potem z odczytami członkowie wszystkich wydziałów Instytutu. W imię Akademii napisów przemawiał p. Croizet; przypominał zapomnianego poetę greckiego Parmenidesa, który po epoce Pindara i liryków, zwrócił pierwszy poezją do abstrakcyi filozoficznych, jak w kilka wieków po nim czynił poeta łaciński, Lukrecyusz, jak dziś czynią we Francyi naśladowcy Lukrecyusza, mianowicie Sully Prudhomme, używający tu wielkiej sławy.

Powtarzamy dla osobliwości ustęp z Parmenidesa, cytowany przez pana Croizet.

— „Posłuszne bieguny podniosły myśl jego na szybkim wozie do stóp bogini Prawdy. Hellady córki światłości ukazują mu drogę. Ognista oś krąży w powietrzu. Wóz dobiega wrót, oddzielających dzień od nocy, w których czuwa Sprawiedliwość. Tu na donośny głos Hellad otwiera płomieniste podwoje. Poeta staje przed obliczem Prawdy. Bogini przyjmuje go łaskawie, wyciąga ku niemu rękę i te wyrzecz słowa:

— Rozraduj się, nie złowrogie losy powiodły cię drogą nieznaną stopom śmiertelników, przywiodła cię tu sprawiedliwość i prawo.”

Sully Prudhomme znał zapewne Parmenidesa, gdy pisał filozoficzny poemat „La Justice;“ nic nowego pod słońcem!

Członek Akademii Nauk, Jansen, odczytał potem memoryał o gwiazdach: „Gwiazdy, rzekł astronom, to słońca; te słońca ulegają prawom ewolucyi, zarówno jak wszystkie organiczne istoty na globie naszym, mają początek, okres działalności, zmierzch i koniec. Idea ewolucyi gwiazd zrodziła się z odkryciami Galileusza; rozszerzył ją geniusz Kartezjusza i Herschella; ten ostatni wyłómcał obłoczko-watości.

„Wiek gwiazd, ciągnie Jansen, oznaczony ściśle ich temperaturą; tę zaś określa analiza spektralna. W podnoszącej się skali temperatury—ciała najprzód niedostrzeżone stają się widocznymi, a przestają niemi być w zbyt wysokim stopniu tejże temperatury. Gwiazda bogata w promienie fioletowe, przedstawiająca się oku naszemu biało lub błękitnawo, naprzykład Syrena i Wega, jest w całej potędze żywotnej. Kolor gwiazd, które przeszły pierwszą młodość, nie ma już tego blasku, tej białości, niektóre nawet przybierają barwę żółtą, jak nasze stare słońce, Aldebaran i Arkturus. Są jeszcze gwiazdy posunięte dalej w swój ewolucyi, kolor ich ciemno-pomarańczowy, przechodzi niekiedy w ciemno-czerwony, naprzykład gwiazda położona po lewej stronie Oriona.”

Trzeba przyznać francuzom, że umieją podnieść i ożywić każdy przedmiot, choćby na pozór mało znaczący. Artur Dujardin, z Akademii nauk społecznych, zajął żywo słuchaczy, opowiadając historią oklasków i wygwizdywania w teatrze. Pokazał erudyta, w jaki sposób od najdawniejszych czasów do dni naszych publiczność objawiała uczucia zachwytu lub oburzenia. Zdaniem jego, autorowie dramatyczni i aktorowie dzisiejsi bardzo uprzywilejowani w porównaniu do starożytnych. W Atenach naprzykład publiczność o mało nie ukamienowała Eschylesa, obwiniając go, że w tragedyi Syzyfie, zdradza tajemnice misteryów religijnych; poeta zaledwie że uszedł śmierci, schroniwszy się przed ołtarz Bachusa.

Wprowadzony później zwyczaj gwizdania, prawdziwym był do-brodziejstwem dla aktorów ateńskich, woleli znieść to upokorzenie, niż śmierć pod gradem kamieni.

Rzymianie szaloną wrzawą objawiali niezadowolenie swoje. Groźne ich wykrzyki, porównywa Horacy do wściekłego poryku fal morskich. Wybuchy te powtarzały się za błahym nawet powodem, jeżeli aktor źle wymawiał lub uchybił prawdóm prozody. O ile jednak w brutalny sposób okazywali gniew, o tyle znów podnieśli do doskonałości sztukę przyklaskiwania. W Rzymie za czasu Cezarów, szmer pochwalny rozbiegał się melodyjnie, to niby brzęk pszczołek po łące, to jak deszczyk majowy, spadający na suchą ziemię. Dobywano te dźwięki z instrumentów dętych, dotykając ich nogą.

We Francyi świstano już na zabój w średnich wiekach, podczas jarmarcznych fars i misteryów. Od krzyku przychodziło do bójk. W następnych wiekach gwałty nie ustawały. Przyszło do tego, że surowy naczelnik policyi w roku 1673 zakazał pod karą śmierci po-



budzać do wrzawy w miejscach, gdzie grano komedią. Publiczność szydziła z wyroku, gwizdała tak jak dawniej; nie pomogły nic wyroki królewskie, głoszone wielokrotnie. Do najburzliwszych manifestacji należy ta, jaką paryżanie powitali w roku 1832 dramata Wiktora Hugo „Le Roi s'amuse,” w którym poeta sponiewierał rycerską postać Franciszka I-go. Dziś komisarz policyi ma prawo wyprowadzać z teatru podżegaczy, lecz sąd patrzy przez szpary na tego rodzaju nadużycia.

Akademiją sztuk pięknych przedstawiał Karol Garnier, słynny architekt Opery paryzkiej. Odczytał pełną życia rozprawkę pod tytułem: „Sztuka i postęp.” Wymownie powstaje w niej przeciw doktrynie, głoszącej, że sztuka nie ma ojczyzny, że postęp prowadzi koniecznie do kosmopolityzmu. Pan Garnier pokazuje, jak z rozmaitości plemion i miejsc, przez nie zamieszkałych, zrodziły się artystyczne objawy, różnorodne a silne; dziś skutkiem dróg żelaznych i telegrafów ludy łączą się, idąc potracając o siebie, przenikają się wzajem, ztąd artystyczne typy tracą właściwy charakter i samodzielne piętno. Jeżeli sztuka pozostać ma silną i żywotną, powinna mieć ojczyznę, zachować charakterystyczny rys kraju, plemienną atmosferę; potrzeba, aby architektura zachowała swe formy i tradycje miejscowe, aby przechował się strój narodowy, aby tak w budownictwie, jak i w odzieży wzięto pod uwagę nie sam wyłącznie komfort, ale zarazem piękno. Słowem, pan Garnier w imię praw estetyki, uderza silnie na panujący dziś popęd do szukania przedewszystkiem utylitaryzmu z zaparciem się smaku artystycznego. Rozprawka ta, wymierzona widocznie przeciw anglomanii, objawiającej się tak w odzieży, jak w urządzeniu domów, wywołała żywe oklaski.

---

Do licznych pomników, jakie w tym roku rozrzucono po wszystkich krańcach Francji, należy pomnik Woltera, wzniesiony w mieście Sainte-Claude u podnóża gór Jura, za jakiegoś przed stu laty filantropijne wystąpienie na rzecz tutejszej gminy. Hołd ten obraził sumienie pobożnej ludności góralskiej. Mimo obecności ministra oświecenia przy odkryciu pomnika, objawiły się niechętnie manifestacje. Dziennik z tych okolic „Courier de Jura” powtórzył sądy znakomitych pisarzy, wydane różnemi czasy, o Wolterze i ogłosił je wkrótce po uroczystości, jako wymowną protestacją. Przytaczamy te aforyzmy:

„Wszystko, cokolwiek napisał Wolter od T a n k r e d a, należało spalić przed wydrukowaniem przez szacunok dla niego.“ *Mirabeau.*

„Wolter zatrąk powietrze swego wieku. Zniżył moralny całkiem u niego zniszczony. To rozum najprzewrotniejszy, a co gorsza, że drudzy psują się przy nim.“ *Joubert.*

„Znienawidziłem go, gdym odczytał poemat, w którym znieważa Joannę d'Arc, ten prawdziwy ideał patriotyztu.“ *Berenger.*

„Wolter nie rozumiał ani biblii, ani Homera, ani sztuki greckiej, ani religii starożytnych, ani chrystyanizmu, ani średnich wieków. Jego szydercza niewiara, jego niesmaczne żarty, ton chytry i obłudne sarkazmy — to szczyt polissone ryi.“  
*Renan.*

„W ósmnastym wieku pogarda ku wszystkiemu, co wielkie i święte, jakże daleko musiała być posunięta, skoro Wolter śmiał obrać za bohaterkę bezcznego poematu Joannę d'Arc i to z myślą, aby ją zbeczcześcić.“  
*Laboulaye.*

„Życie Woltera, to komedia. Cała jego korespondencya pełna brzydot. Zasadą jego kłamstwo i pogarda dla bliźnich.“  
*Sainte Beuve.*

„Wolter nie ukochał ludu. Litość jego nie była nigdy czynną: była to litość wielkiego pana, połączona z dumą i wzgardą. Otwórzmy jego korespondencyą: pycha arystokraty odbija tam na każdej karcie.“  
*Louis Blanc.*

„Wolter posuwa cześć dla królów aż do uwielbienia ich słabości. Tłómaczy ohydne obyczaje Fryderyka II-go. Rzuca się na kolana przed ulubienicą Ludwika XV-go. Nie rumieni się za prostytutucyą swego geniuszu.“  
*Lamartine.*

„Talent służył mu, zarówno jak bogactwo, do karmienia zepsutego serca. Ten fanfaron bezbożności, ten piękny geniusz a ta podła dusza, ten człowiek tak wielki talentem, a tak nikczemny użyciem, jaki z niego czynił, pozostawi długie i okrutne wspomnienia pobytu swego między nami. Ruina obyczajów i utrata wolności, konieczne jej następstwo, będą dla przyszłych pokoleń pomnikiem jego chwały. Jeśli w sercu wnuków naszych pozostanie choć w cząstce miłość ojczyzny, zniehawidzą jego pamięć; a on stanie się raczej celem klątwy niż uwielbienia.“  
*Jan Jakób Rousseau.*

„Ta małpa genialna,  
Do człowieka w poselstwo przez dyabła wysłana,  
Wolter, on wąż zdradziecki, bezczelny, szyderca;  
Ten szatan, czarny jastrząb...“

*Wiktor Hugo.*

„Wolter, pisarz skandaliczny, psuje młodzież nauką fałszywej filozofii. Serce jego było gniazdem zawiści, skąpstwa, złośliwej pomsty, zdrady; słowem, wszelkich namiętności, poniżających ród ludzki.“

*Marat.*

Takie sądy Marata, Wiktora Hugo, Renana i wielu innych powyżej wymienionych, świadczą wymownie, że te zarzuty nie wypłynęły z pod pióra ludzi pomawianych o klerykalizm.

Świat dzisiejszy zajmuje się żywo Chińczykami, nie tylko z powodu ogromnej, kilkuset milionowej ich ludności, ale bardziej jeszcze



dla instytucji, które zachowały byt tego społeczeństwa mimo krwawych przewrotów, nieuchronnych przy zmianach dynastji. Wiadomo dziś powszechnie, że główną podwaliną cywilizacji chińskiej jest głęboka cześć dla pamięci przodków; ta cześć objawia się nie tylko w zachowaniu dawnych praw moralnych, ale i w domowych obrzędach rozmaitego rodzaju.

Jeden z ostatnich podróżników po wschodzie, Maurycy Paleolog, opisuje w ciekawy sposób pogrzeb młodej dziewczyny chińskiej. Przytaczamy w treści ten opis, jako na szczególną zasługujący uwagę.

Zabrzmiały w oddaleniu jakieś smętne, niezwykle dźwięki. Rytm ich wolny i urywany, melodia poważna i przytłumiona: były to fletnic, tamburyna i gongi. Orszak pogrzebowy przyciągał coraz bliżej.

Na czele szło dwóch ludzi, w tunikach czarnych, w kapeluszach filcowych, z których spadały czerwone rozfryzowane pióra. Idąc rzucali papierki złote i srebrne dla uspokojenia złych duchów, włączających się po drodze.

Za nimi szli muzykanci, dalej śludzy żałobni trzymali w ręku jedwabne haftowane chorągwie w kolorze błękitnym i białym i parasole z atłasu fiołkowego. Potem domownicy nieśli na brankardach mały domek sklejony z papieru, odzież kobiecą także papierową, drobnych rozmiarów jak dla lalki, maleńkie wózki, uprzążone mułami, lektykę i mnóstwo sprzęcików do codziennego użycia,—wszystko to wyrobione z kartonu jak zabawki dziecinne.

Następnie szła rodzina, w grubą odziana żałobę. Wszyscy mieli długie białe płaszcze i czarne kapelusze bez najmniejszej ozdoby. Płakali głośno stosownie do rytuału. Niektórzy chwili się na nogach: tego wymaga tradycyjny ceremoniał pogrzebowy.

Ośmiu domowników niosło trumnę ogromnych rozmiarów bez ozdób, obitą tylko spłowiałą materją błękitną, przerabianą złotem. Pogrzeb to był prosty; umarła, którą prowadzono do grobu, należała do średniej klasy społecznej. W koło katafalku bonzowie, w odzieży popielatej lub żółtej, powtarzali modlitwy tybetańskie do Budy. Niektóre wyrazy powracały im raz poraz na usta; zrozumiałem je, upowszechnione bowiem w całej Azji pomiędzy budystami: om ma ni pa dme hou m, to znaczy: witaj perło bozka, ukryta w lotusie.

Zamykał pochód szereg wózków, pokrytych białym płótnem. Na przodzie każdego z nich, kobiety z rodziny i najemne płaczki siedziały skulone i na głos zawodziły, krzywiąc w potworny sposób twarz pomalowaną i zdrętwiałą od zimna; niekiedy milkły nagle, przybierały całkiem obojętną postać, chuchały w skrzepłe palce, rozmawiały, pokazując jedna drugiej sępa krążącego w powietrzu. I znów rozpoczynały się przerwane płacze i lamenta.

Szczerym był zapewne żal krewnych i przyjaciół, co zaś do najemnych płaczek, te w sztuczny sposób okazywały boleść; każdy gest, każdy ton, wyuczony był stosownie do rytuału. Ta, którą chowano, zmarła już przed trzema tygodniami; według zwyczaju miejscowego,

pogrzeb następuje w kilka tygodni, a niekiedy w kilka miesięcy po zgonie.

Ciało tymczasem zostaje w domu. Rytuał przepisuje godowy strój do trumny. Ubrano też umarłą w piękną suknię jedwabną, zahafowaną w kwiaty i smoki fantastyczne, obcisnięto maleńkie jęj nóżki płóciennymi paskami; fryzjerka utrefiła jęj włosy, ozdobiła martwą głowę mnóstwem złotych szpilek, sztucznych kwiatów i filgranowych motylów.—Wychudłą twarz powleczono bielidłem, usta szkarłatną farbą, nalepiono muszki na licu i na brodzie, paznokcie rąk zamknięto w złote pochwy i tak strojną położono w trumnie, pełnej ziół i opiłków z aromatycznego drzewa. Krewni i przyjaciele pokryli ciało amuletami i listkami akorum dla odegnania złych duchów.

Kiedy orszak żałobny przyciągnął na miejsce, postawiono katafalk, obecni otoczyli go wkoło. Wtedy zaczął się właściwy pogrzeb. Nie wykopano grobu, gdyż według zwyczaju przyjętego w północnych Chinach, trumnę stawiają na powierzchni i lekko przysypują ziemią. Grubość trumny i mastyki zatrzymują zgniłe wyziewy.

Po dopełnionym obrzędzie krewni występowali kolejno, padali przed trumną, oddając trzykrotny pokłon duszy zmarłej; obecne kobiety czyniły toż samo, kapłani budystańscy szeptali tymczasem modlitwy na rytm cokolwiek prędszy, powtarzając ciągle: „Witaj perko boska, zamknięta w lotusie. Rostlono kadzidła i woń piżma i benzoesu, rozbiegła się w błękitnych kłębach wśród powietrza ściśniętego mrozem. Nagle wybuchnął wielki płomień i w oka mgnieniu domek, suknie papierowe, woski, liczne sprzęciki, przyniesione na brankardach, zmieniły się w garstkę popiołu. Wszystko to miało służyć umarłej w tajemniczym świecie, do którego wchodziła przy potysku gromnic pogrzebowych. Śmierć nie zerwie węzłów jęj ze światem żywym. Co rok w dwudziestym trzecim dniu drugiego księżycy, w święto umarłych, krewni przyjdą na grób, oczyszczą go z trawy i zielska, posypią garścią świeżej ziemi, odmówią modlitwę, a potem odprawią w domu na cześć nieboszczki ucztę, złożoną z ryb, mięsiva, ryżu, owoców, herbaty i wódki. Zapalą świece na ołtarzu domowym, postawią na nim wazony pełne kwiatów, zapalą tybetańskie kadzidła i papierki złote i srebrne. Dusza umarłej weźmie udział w tej uczcie, rozraduje się widokiem potraw, aromatem owoców i herbaty, wonią kwiatów, dymem złotych papierków i kadzideł, i odejdzie milcząca w przestrzeń pozaświatową.

Chińczyk w ciągu życia całego myśli o tém, jak sobie po śmierci zapewnić żałobny obrzęd, odpowiedni stanowisku, jakie zajmuje w społeczeństwie, skrzętnie też zbiera pieniądze na trumnę i na pogrzeb, przepisany rytuałem. Nie jeden, aby zdobyć tę sumę, porzuca kraj, biega po świecie, szuka zarobku po wszystkich stronach kuli ziemskiej, pracuje w pocie czoła w kopalniach Australii i Kalifornii, uprawia twardą glebę na Jawie i w Antylach. Iluż to z nich, zdala od ziemi ojczystej, padło ofiarą zabójczego klimatu, nieludzkiej chłosty, braku



sił fizycznych, wygnania i tęsknoty za krajem! Miłośni towarzysze nie opuszczą przecież tych rozbitków, każdy, jak może, przyczynia się do składki na zabalsamowanie ciał i wysłanie ich do tej ziemi chińskiej, bez której nie ma przyszłego życia dla umarłych. Co rok też z Sydney, z Batawii, z San-Francisco, z Kuby, wielkie żaglowce naładowane setkami trumien, istnie jak owe zaklęte okręta z legendy holenderskiej, płyną przez fale oceanu i na łonie ziemi rodzicielki składają zmarłą dźwiatwę.

W dniu 26-go października wielka Opera tutejsza uczciła geniusz Mozarta, co dało sposobność panom Reszke do zdobycia nowych tryumfów w rolach Leporella i don Ottavio. Sto lat ubiegło od dnia, kiedy Don Juan ukazał się po raz pierwszy na scenie w teatrze Praskim. W osiemnaście lat potem, roku 1805, Paryż posłyszał arcydzieło. Odtąd grano tu Don Juana różnemi czasy, nigdy jednak Opera paryzka nie rozwinęła takiego blasku pod względem czarodziejskich efektów, jak w tém jubileuszowém przedstawieniu.

W przerwie między aktami, artyści uwieńczyli posąg mistrza. Lasalle, grający rolę Don Juana, odczytał poemacik Henryka Bornier; — przytaczamy początek:

Matka umarła wczora; syn płaczo. Do syna  
Ktoś rzecze: obodź młodzianie, wybiła godzina,  
Koncert będzie wspaniały. — „Idę, rzekł sierota,  
Skoro ta gorzka sława da mi trochę złota  
Na grób dla biednej matki.“

Wstał jak widmo błądy,  
Przedarł się wolnym krokiem przez szozoble estrady,  
Caly drży, skrzepłe palce na klawiszach kładzie,  
Połyka łyż w milczeniu, myśl jego w bezładzie.  
Bóg sam wie, jak głęboko ból zatopił kłoszco  
W serce młodego mistrza, ale nigdy jeszczco  
Promień z ozoła tak jasnym nie trysnął mu blaskiem;  
A gdy piorunującym tłum rozgrzmiał oklaskiem,  
Tu wrzawa tryumfalna serca mu nie wzruszy.  
On słyszy jęk żłośny macierzyńskiej duszy,  
Gdy ją w górę unosił anioł śmierci biały,  
Wrócił mistrz w progi domu, drżący, posiniały;  
Oko patrzy obłądnie, dusza wpół rozdarta,  
Ledwie żyw, a tłum głosi tryumfy Mozarta.

W sali obok Biblioteki zaimprovizowano Muzeum. Dyrekcyja Opery zgromadziła tu wiele pamiątek po wielkim kompozytorze, jego listy i autografy; pierwsze tu miejsce zajmuje partycya don Juana, nakreślona jego ręką, pożyczona przez panią Viardot Garcia. Zebrano

tęż liczne afisze, a między niemi afisz drukowany w Pradze 26 października 1787 roku, i inny z datą 30 fructidora roku XIII (1805), ogłoszony w Paryżu. Ryciny i portrety przedstawiają Mozarta w różnych chwilach życia. Pierwsza rycina Carmontella pokazuje go siedmioletnim dzieckiem, kiedy poraz pierwszy był w Paryżu. Żadny chłopczyk zwrócony profilem gra na klawikordzie, ojciec towarzyszy mu na skrzypcach, przy nim stoi siostrzyczka, dwunastoletnia wirtuozka. Szereg portretów kończy reprodukcya z obrazu Munkaczego; widzimy tu mistrza na chwilę przed skonem, zasłuchanego w swém Requiem. Słynny ten obraz znajduje się obecnie w Ameryce.

Nazajutrz po tój uroczystości na cześć zmarłego Mozarta, żyjący mistrz Gounod, był celem nie mniej gorącej owacy. Przedstawiono w Operze poraz pięćsetny Fausta. Dyrekcyja zamierzała uwiecznić popiersie kompozytora, lecz on oparł się stanowczo, uważając ten rodzaj manifestacyi właściwy tylko dla umarłych. Sam Gounod dyrygował w tym dniu orkiestrą. Gdy wstąpił na estradę, ściany zatrzęsły się od grzmotu oklasków, uniesienie powszechne dochodziło do szału.

Inaczej było przed trzydziestu laty, kiedy poraz pierwszy odegrano Fausta w teatrze lirycznym. Publiczność przyjęła go nadzwyczaj chłodno; smak, panujący wówczas, nie dostroił się jeszcze do ocenienia arcydzieła, nacechowanego oryginalném piętném. Po skończoném widowisku kilku przyjaciół smutno odprowadziło kompozytora do domu. Szli wolno, jakby za pogrzebem. Ten i ów rzucił jakieś słówko pociechy i zachęty, inny sarkał na bezmyślność słuchaczy i zacofanie krytyków. Gounod nie odpowiadał ani słowa, ale gdy stanął u drzwi, podniósł głowę i zawołał wesoło: „Co chcecie, drodzy moi, uczyniłem co mogłem!”

Taki to częstokroć los geniuszów, torujących nowe na przyszłość drogi. Szczęśliwszy od Berljoza, Gounod doczekał się uznania, gdy tamtemu wawrzyn zakwitnął dopiero na grobie.

Panowie Reszke, Jan w roli Fausta, Edward w roli Mefistofelesa, zdobyli zasłużone oklaski.

Teatr Gymnase wystąpił z nową sztuką, przerobioną z powieści Ludwika Halewego, pod tyt.: „Ksiądz Konstanty.” Piękna ta powieść, rozchwyтана w oka mgnieniu w stu kilkudziesięciu wydaniach, stanowi zupełną sprzeczność z dzisiejszą literaturą, nacechowaną grubym realizmem, a wielkie jój powodzenie wymownie świadczy, że smak estetyczny nie tak dalece upadł we Francyi, jak się to na pozór wydaje.

Oto treść sztuki w kilku słowach:

Pierwszy akt odbywa się we wsi Longueval, w ogrodzie przy plebanii księdza Konstantego. W głębi widać stary kościół przyparty do



wieź z epoki rzymskiej. Kilku zamożnych parafian przybyło z użaleniem do proboszcza; przed chwilą bowiem w poblizkiem miasteczku odbyła się sprawa nie małej dla nich wagi: sprzedaż publiczna majątności Longueval, puszczonej na licytacją po śmierci właścicielki. Sąsiedzi rachowali na częściową sprzedaż; jeden z nich pragnął nabyć osobny folwarczek, drugi łąkę nad rzeką, trzeci kilka morgów lasu. Zawiedli się wszyscy, majątek bowiem cały kupiła za dwa miliony franków bogata amerykanka, pani Skott. Ubolewa nad tём poczciwy pleban; nowa kolatorka, heretyczka, wcale mu nie na rękę; dręczy go myśl, co się stanie z jego ubogiem? Poumierają chyba z głodu!

Gdy tak radzą, przybywa do plebana pani Skott z siostrą swoją, Bettiną, ośmnastoletnią panienką, dziedziczką dwudziestu milionów.

Mylił się zacny pleban, te panie gorliwemi są katoliczkami. Matka ich rodem z Kanady, wychowała je w swojej wierze i w miłości dla Francji, dawniej ojczyzny osadników kanadyjskich. Pierwszym ich obowiązkiem było odwiedzić plebana. Każda z nich przynosi mu tysiąc franków dla rozdania ubogim. Łatwo pojąć radość księdza Konstantego. Wesola Bettina zaprasza się z siostrą na obiad; sama nakrywa do stołu, zręcznie ustawia szklanki i talerze. Wie, jak się z tём obchodzić, bo wychowana w ubóstwie. Obie siostry przeżyły ciężkie chwile, zaczęły wygrały proces o milionowy majątek. Stara sługa, Paulina, ujęta za serce dobrocią panienki, pomaga jej żwawo; krząta się z niemi młody oficer, Jan, wychowanek plebana. Ściga on wzrokiem śliczną Bettinę, a i ona życzliwém okiem patrzy na dorodnego młodzieńca. Obiad przeciągnął się do zmierzchu, staruszek pleban zdrzymał w wielkim krześle. Wszyscy milczą; przerywa ciszę dzwon na Anioł Pański, uderzający z wieży kościoła. Tak kończy się akt pierwszy.

W drugim akcie pleban z Janem przybywają do zamku zaproszeni na obiad. Tegoż wieczora sąsiadka, pani Lavardens, poznamiona świeżo z amerykankami, wyprawia dla nich balik wiejski. Ma ona syna Pawła, rozpieszczanego jedynaka, rozpróżnowanego na parzystych bulwarach; postanowiła ożenić go z milionową dziedziczką. Jan w rozpacz. Mógłżeby on, ubogi żołnierz, ubiegać się o rękę Bettiny? czyżby go nie posądzono o niktzemną rachubę?

Podczas zabawy lekkomyślny Paweł rzucił stówko, ubliżające księdzu Konstantemu, Jan ujmuje się za opiekunem; przychodzi do wyzwania. Pojedynek odbywa się za sceną. Bettina wie o wszystkim, wyciągnęła na słowo plebana; staruszek wygadał się pomimo woli. Tu następuje najpiękniejsza scena. Wojsko odebrało rozkaz, nocą wyruszyć ma do Chalons. Jeśli Jan poległ albo ranny, nie stanie w szeregu. Bettina musi rozwiązać tę wątpliwość; nie bacząc na deszcz ulewny, na pioruny i błyskawice, w sukience balowej, osłonięta mantyllą, wybiega na koniec tarasu. Zagrzmiały trąby, pułk artylerji defiluje. — On przeszedł woła tryumfalnie pani Skott,

która wybiegła za siostrą. Bettina uszczęśliwiona, widziała Jana na czele baterji.

Pojedynek odbył się bez krwi rozlewu. Jan wytrącił oręż z rąk przeciwnika; dwaj młodzieńcy podali sobie dłonie.

Między drugim a trzecim aktem ubiegło dni dwadzieścia. Jesteśmy znów na plebanji. Jan tylko co powrócił. Młoda amerykan-ka z całą ufnością zwierza się księdzu Konstantemu. Czuje ona, że milionowej dziedzicze nie wypada czekać na oświadczenie ubogiego młodzieńca; wyznaje, że gotowa oddać rękę Janowi. Lecz tu nie idzie o sam tylko majątek; inna jeszcze nasuwa się trudność. Jan jest żołnierzem z powołania i z obowiązku. Zaciągnął się do służby w dnie, kiedy ojciec jego, chirurg wojskowy, padł ugodzony kulą. On służby porzucić nie może, a jakże tu narażać młodziuchną panienkę, przywykłą do wygod, na trudy i niebezpieczeństwa obozowego życia? Nie śmiałby nigdy żądać od niej takiej ofiary. Ale Bettina spełni ofiarę bez wahania. Ksiądz Konstanty błogosławi zaręczonę parze.

Sztukę przyjęto z niesłychanym zapalem. Wszystkie miejsca w teatrze dziś już pozamawiane na pięć tygodni naprzód. Wymowny to dowód, jak dalece publiczność paryzka, spragniona sztuki uczciwej, jak znudzona brzydotami, jakimi przesyłali ją autorowie, których jedynym celem szarpać nerwy słuchaczom, pokazując im rany toczące społeczeństwo.



# PIŚMIENICTWO

KRAJOWE I ZAGRANICZNE.

---

## Z beletrystyki.

1. „Ziemowit, książę mazowiecki.“ Dramat w pięciu aktach, na tle historycznym osnuty, przez Józefa Łabuńskiego. Warszawa, 1887.
2. Maryan Jasieńczyk: „Leona,” dramat w czterech aktach (sześciu odsłonach), zaszczytnie odznaczony na konkursie imienia Wojciecha Bogusławskiego. Warszawa, 1887.
3. „Król Salomon.” Poemat liryczny w trzech pieśniach, przez Włodzimierza Zagórskiego. Warszawa, 1887.
4. „Idylla.” Obrazek sceniczny, przez Władysława K. Zielińskiego. Warszawa, 1887.

I znowu mamy do zaznaczenia świeży występ na polu naszej dramaturgii. Pana Łabuńskiego znamy cokolwiek z jego „Agrypiny;“ jak wygląda obecny jego utwór — zobaczymy. Sięga autor w przeszłość naszą głęboko, bo aż w wiek XIV-ty, a za miejsce wydarzeń obiera Mazowsze, przedostatniego księcia udzielnego, Ziemowita, czyniąc głównym bohaterem swego dramatu. Starzec to już jest, lecz pomimo starości, folgując niespokojnym zmysłom, pojmuje w małżeństwo młodzieuchną sierotę, Ludmiłę, księżniczkę Ziembicką, którą sobie aż na dworze Praskim upatrył i upodobał. Żle się stroją maj z grudniem, i książę ulega losowi wszystkich starców, mniej dbałych na tę dysharmonię. Podejrzliwy, zazdrosny, czołem bijący przed własną swą godnością i blaskiem imienia, zgóry, na powitanie we własnym zamku Płockim, młodej małżonce zagraża strasznymi karami za najmniejsze od wiary małżeńskiej odstępstwo. Czy smutna i naiwna Ludmiła da mu do tego jaki powód?...

Książę ma wprawdzie dwóch synów, Ziemowita i Janusza, ale ci, żyjący pod grozą ojca, jak mysz pod miotłą, nietylkoby nie powazyli się stawiać młodej macochy w roli Pariziny, ale przeciwnie, są odrazu źle przeciw nię usposobieni, jako przeciw intruzowi, który przybywa

umniejszać widoki ich przyszłego spadku. Zostało w niej domowe wspomnienie jakiegoś Dobka;—i ten to zapewne stanie się kamieniem obrazy, zarzewiem wątku dramatycznego.

Istotnie, na wyjezdnem księcia do Krakowa, zjawia się w Płocku ów Dobek. To młody lirnik, który obchodzi świat z pieśnią, towarzysząc ojcu banicie. Bawiąc na dworze praskim, zyskał uczucie Ludmiły, nie przechodzące granic przychylności braterskiej, której podstawą była wdzięczność za słodkie chwile, jakimi sierotę darzyła pieśń jego. Czy dla jakiego romansu, trybem błędnego rycerza, przybył on za śladami Ludmiły? Bynajmniej. On tu towarzyszy ojcu, Boglewiciowi, niegdyś wojewodzie, który w myśl ekspiatoryczną za starą zradę dokonaną przeciw księciu i krajowi, przez naprowadzenie gwoźli mordy i rabunku hordy Litwinów, po długoletniej włóczędździe przychodzi błagać o przebaczenie i pojednanie. Ale to jego upokorzenie odrzuca Ziemowit, skutkiem czego stary Boglewic, wyczerpawszy wszelkie środki skruszonego grzesznika, zapowiada mu zemstę.

Mamy więc zapowiedź dwóch jakichś katastrof odmienną natury. Książę zemstą zagraża małżonce, która się jeszcze niczego złego nie dopuściła; ale i nad nim samym dawny wróg groźbę podobną zawiesza. Autor dwie te groźby łączy na rzecz jedności dramatycznej.

Ojciec z synem rozdzielają się, i Dobek, pod nieobecność księcia, pozostaje na dworze, przy boku Ludmiły, w niewinnym charakterze śpiewaka; gdy w tém Ziemowit, za powrotem otrzymuje bezimienne pismo, przedstawiające stosunek Ludmiły i Dobka w najczarniejszym świetle. Odtąd, wbrew zeznaniom świadków, interwencji biskupa, przysięgom, następuje szereg wymyślnych okrucieństw Ziemowita, który pastwi się już nie jak butny despota, ale jak popospolity oprawca. Aż dopiero, po zamordowaniu żony i rozewiertowaniu kołmi jęj rzekomego kochanka, przekonawszy się, iż cały ten sabbat męczarni odprawił się bez potrzeby, gdyż mniemany Dobek był przebraną kobietą, nie synem lecz córką Boglewica, którego sprawą, dziełem pomsty nad wrogiem nieprzejednanym, była właśnie cała ta mistyfikacja.—Oczywiście i sami sprawcy tych katastrof umierają ze zgrozy swych czynów.

Dziwném mi się wydaje, iż autorowie, obdarzeni pewną zdolnością i temperamentem, do jakich i p. Żabuński, ile z prac dotychczasowych sędzić można, należą, za materyał do dramatu biorą pierwszą lepszą mniéj więcej krwawą awanturę. I tu, naprzykład, katastrof jest co niemiara, trup zalega za trupem; lecz gdzie są motywa istniejące dramatyczne? Temi wyrazami,—dramat, tragedia,—nauczyliśmy się szafować dość samowolnie. Niech się kto lub kogo zamorduje z miłości,—oho! już pisma brukowe głoszą o tragicznej historii, tam, gdzie tylko istnieje słabość, niecierpliwość lub prosta zbrodnia. Tym sposobem frazes bierze górę nad istotą rzeczy i zmienia jęj znaczenie. Tęj przewadze frazesu mogą się poddawać masy do rozbioru nienawykłe, lecz pisarzom nie wypada. Wprawdzie tu sam ponury charakter bohatera głównego tak jest postawionym, iż może istotnie wytwarzać at-



mosferę dramatyczną, jest to bowiem uosobistniona pycha i zaciętość; ale autor, obmyśliwszy odpowiedni charakter, nie dosyć uwzględnił żywioły, z którymiby starcie się przymiotów tego charakteru logicznie wyprowadziło nieuniknioną katastrofę dramatyczną, nie na wypadku opartą. Szukajmy związku wydarzeń, a znajdziemy jeden tylko fakt uzasadniony nalezycie: to jest odepchnięcie skruszonego Boglewica przez Ziemowita. Mniej już wydaje nam się prawdopodobnym, że ten stary grzesznik, a obecnie oczyszczony przez ciężką i szczerą pokutę, zamiast to odepchnięcie przyjmując z pokorą jako wyrok Boży i na dalszy karb pokuty zapisać, wpada napowrót w szal grzesznej namiętności i nową knuje zemstę, raz już jej strasznych skutków na sobie doznawszy. Ale i to jeszcze przepuścićby można, z uwagi na krewkość natury i silnie rozwinięty podkład namiętnościowy; wszystko zaś, co potem następuje, należy już do kategorii wypadków naciągniętych.

Boglewic, ażeby wykonać zemstę, czyli ugodzić w samo serce Ziemowita, przeraża go wiadomym już nam anonimem. Pominąwszy trywialność tego środka, w jakiz to sposób liczy on na jego skuteczność? Jeżeli ztąd nastąpi katastrofa (jak istotnie nastąpiła), to ofiarą jej bezwarunkowo stać się może jego własne dziecko, czegooby przecież i najbezpieczniejszy zbrodniarz sobie nie życzył. Jeżeli przeciwnie, przy pierwszej indagacji wyświeci się prawda, to ta wielka zemsta Boglewica zejdzie na prosty materiał do farsy. I tak byłoby istotnie, gdyby autor dozwolił Dobkowi, od chwili napadu na niego przed kościołem, powiedzieć choć jedno słowo. Gwałtowność innych wcale niedostatecznie i niezręcznie maskuje tę niemożność Dobku przyjścia do słowa, która, o ile jest nienaturalną i nieprawdopodobną, zaznacza w ostatniej chwili sam Boglewic.

Czy również z pewnym prawdopodobieństwem przypuścić można, że ów podejrzliwy i dumny Ziemowit młodą żonę samotną pozostawia na łup domniemanych gachów; że następnie ta młoda żona jest tak lekkomyślną lub zuchwałą, iż potajemnie przed mężem przyjmuje na dwór obcego człowieka; a nadewszystko, i co rzecz najnieprawdopodobniejsza, iż nikt z usługnych, choćby przez bojażą odpowiedzialności lub prostą podłość, nie posłał o tém wieści księciu do Krakowa, lecz ten musiał otrzymać ją dopiero za powrotem, zkądiną i bezimiennie.

Całe to zatem rusztowanie dramatyczne jest nadzwyczaj wątłe, bo na samych błahych podstawach oparte. Katastrofa, poprzedzona męczarnią Ludmiły, nie wynika z żadnych interesujących dramatycznie przyczyn psychicznych. Ta młoda istota nie jest zgoła uwikłaną w sieć czynników moralnych, z którymiby potrzebowała rozstrzygać siłą woli, wybierając między dwiema drogami, popychana z równą siłą przez dwa przeciwne sobie prądy, z których jeden, niewiedomo który, fatalnie musi pociągnąć do zguby: ona ponosi karę, jak nierozumne dziecko, za rozrywkę zakazaną, którą sobie sprawić chciało; skutek zbyt okropnością swą nieodpowiedni do przyczyny.

Wychodzi na to, że właściwym sprawcą całego zamieszania, które się tak krwawo zakończyło, jest kostium Dobka. Ale i z tym autor źle sobie radzi. Oprócz rodzonego ojca, nikt nie domyśla się nawet aż do chwili rozświetlenia, iż ten rzekomy Dobek jest kobietą; tylko z góry wie o tém czytelnik, respective widz. Nie pochwalamy téj maskarady w zakroju tragicznym dzieła; ale przyjąwszy nawet ten fakt, czyż autor, pisząc, nie spostrzegł się jak wielki popełnia błąd pod względem wrażenia scenicznego, tak wcześniej odkrywając karty? Jakież może być zainteresowanie widza do przyszłego stosunku Dobka z Ludmiłą, skoro z góry on uprzedzony jest o komedii, która w żadnym razie niepowinna się skończyć tragicznie.

Szkoda jednak, że autor poważniej nie umotywował swoich podstaw dramatycznych, bo przyznać trzeba, że cały patos Ziemowita, od chwili otrzymania fatalnej wieści aż do dowiedzenia się istotnej prawdy, wart jest lepszej sprawy, jako przeprowadzony małołowicznie i konsekwentnie. To człowiek rozogniony seryo namiętnością zemsty, ofiara i igraszka furii, głuchy na wszelkie wołania rozsądku i sumienia, upajający się własnymi okrucieństwami i jak pijak żądający ich coraz więcej; a z tém wszystkiém, jako człowiek cierpiący okropnie, szalenie; który, uczuwając niekiedy w głębi serca jakiś głos ludzkości na widok zadawanych męczarni, obawia się swéj słabości i sam się zarzewa do zbrodni, wołając:

„Jeden wysiłek, jeszcze tylko jeden,  
A raz na zawsze kamień z siebie zwalę...  
Ciężkie to przejście, ciężkie, lecz konieczne...  
Prędkiej, o! prędkiej, inaczej litości  
Zacznie mnie toczyć pozawara zdradliwa!”

Musi mieć autor w umyśle niepospolity zapas kolorytu patetycznego, gdyż względnie do osoby Ziemowita rozprowadził go tu niemal przez połowę książki, z odpowiedniem urozmaiceniem i stosowaniem; chociaż nie można mu tego poczytać za zaletę, iż tę część swego dramatu, zamiast grozy moralnej, wynikającej ze starcia się prawdziwych żywiołów duchowych, wypełnił i przeładował opisami okrucieństw fizycznych i tortur, widzowi nieustannie przed oczy nasuwanych.

Ta tragedia omyłek polega właściwie na jednym tylko charakterze, i daleką jest od charakteryzowania w szczegółach wieku, do którego się odnosi; oprócz nazw miejscowości i imion historycznych nie tam niema takiego, coby mianowicie odznaczało Mazowsze i epokę. Język jój, w braku poezyi, ozdobny, choć mało indywidualizowany, płynie potoczysto wierszem białym, którego miary ściśle oznaczyć niepodobna. Rymu raz tylko użył autor w piosnce Dobka, złożonej z dwunastu wierszy, zgoła nie przynoszących chluby lirnikowi, w których się ujęto rymuje z podcięto, śpiewanie z niesłyszane, a śpiewak całą tę pieśń rozczuło na niesie nad Wisły łono. Dowodzi to,



że autorowi brakuje dotąd wszystkiego, czego potrzeba do układania wierszów rymowych.

„Lena” nie przedstawiła się w druku niespodzianie, uprzedziło nas o niej sprawozdanie z przeszłorocznego konkursu imienia Bogusławskiego, stała się przedmiotem dyskusji w ścieśnionych kółkach literackich, nareszcie do swoich łamów przyjęło ją „Życie,” a obecnie ukazała się w książce. Jest to utwór pisarza młodego, który widocznie z zamiłowaniem przesiaduje w powabnej a dla wielu niezdrowej krainie Apolina i Muz.—Również widocznie na p. Jasińczyku pozostało coś z téj atmosfery, ona snąc sprzyja jego organizmowi, i nie dziwimy się wcale, że utwór jego sprawił pewną żywszą sensację w konkursowym areopagu. Zła, czy dobra, jego „Lena” narzuca się umysłowi czytającego, nie pozwala mu być obojętnym, lub co gorsza znużonym, jak wiele innych gładszych i kunsztowniejszych; czepia się jego uwagi, zainteresowuje do swego ja, i zdaje się doń mówić: chcesz, czy nie chcesz, musisz mi coś z siebie poświęcić. To coś, co tkwi w niektórych ludziach, nawet w dzieciach, w istotach, na które zrazu nie zwraca się uwagi, a jednak później wspomina się o nich, jest to jakaś iskierka samodzielności, która zabarwia ich czyny i słowa, odbija się nawet w ich fizyognomiach;—to coś u pisarzy, jest to bezświadomy talent, który, jakkolwiek nie imponujący, głęboko zakryty, ale jest tą kroplą oliwy, która nawet w amforze wody rozmacona, wybija się na powierzchnię.

Ot, już i z góry określiliśmy wrażenie odniesione z przeczytania dramatu, a nawet wydaliśmy ogólnikowy sąd o nim, ale nierównie trudniej nam go usprawiedliwić. Nie możemy na pochwałę autora powiedzieć, żeby gdzieś daleko chodził po pomysł do swojej sztuki. Znalazł go on pod ręką, jeśli nie w świecie, to w książkach reprezentujących świat. Czyż to raz się zdarzyło nam widzieć niebezpieczne strony złe dobranego małżeństwa? Chodzi tylko o kombinacye, które, jakkolwiek mogą być muogie, już też się powoli wyczerpują, i podobne do téj, w jakiej widzimy uwikłaną Lenę, nie są dla nas nowością: przejrzymy plan, a przekonamy się, że tak jest.

To córka rodziców władających majątkiem ziemskim. Matka, połatawszy, wygląda na kobietę rozsądną i z sercem; ojciec, ni mądry ni głupi, ot tak sobie pospolity hreczkosiej, dosyć ogłębny, dbający o splendor, a ufny w swój rozum szlachecki, sobie tylko przyznaje przywilęję władania w domu. Z tych różnych powodów wydaje córkę, kiedy była jeszcze podlotkiem, za hrabiego Gustawa, człowieka znacznie wiekiem starszego od Leny, ale świetniejącego rodem, stosunkami, światowością i wszystkimi rzeczami imponującymi głupcom. Rodzice nie wejrżeli w głąb duszy tego osobliwego konkurenta, nie widzieli w tém cielsku przeżytém duszy, napełnionej zgnilizną moralną; nie widzieli cynizmu, który jako osad występku spoczywa na dnie, osło-

nięty pozorami wykwintu; nie odgadli fałszu i przewrotności, kierującj wszystkimi krokami hrabiego, a nawet tém jego postanowieniem zaślubienia Leny; wszystko to, oczywiście, dla takich rodziców jak państwo Zbrodowscy, musi pozostać tajemnicą, albo też może nie stanowić znowu tak wielkiej przeszkody do małżeństwa. Że tam człowiek nie pierwszej młodości, to tém lepiej: umiejętniej poprowadzi żonę; hulał... wielka rzecz! młode piwko... wyszumiało, no i teraz za to będzie spokojniej; ale jest dostatek, opinia, imię! Tak sobie to rozumują przeciętni rodzice, razem z panem Zbrodowskim, któremu żona, mimo że niechętnie widzi to małżeństwo, przez słabość ustępuje.

Dlaczegoż jednak ów magnat zniża się do szlacheckiego dworu sąsiada? Bo i magnateryja jego jest fałszywą: to bankrut, który, mając Zbrodowskiego za Krezusa, spodziewa się upadającą fortunę domnianym posagiem podeprzeć. Ztąd jego fałszywe zaloty i zachwyty, które w następstwie nieobliczone klęski mają na rodzinę sprowadzić.

Bo Lena od dzieciństwa żywi serdeczny stosunek z kuzynem Jankiem, młodym dzierżawcą bliskiego majątku. Miłość ta nie miała jeszcze czasu zaznaczyć się i przybrać charakteru namiętności. Dzięki pośpiechowi ojca, Lena przyłapaną w wieku niemal dzieciennym, wychodzi za mąż bez miłości, bez znajomości męża, z żalem rozstając się z Jankiem, niby z bratem ukochanym. Zawiedziona w swém wyobrażeniu o małżeństwie, tak jak mąż o jój posagu, daremne czyni wysiłki, ażeby go skłonić do przyzwoitego przynajmniej pożycia. Hrabia Gustaw po dwóch latach ostygł dla niéj zupełnie, znudził się nią, wyosobnił na rzecz życia klubowego, ale zawiedziony co do posagu, zdaje mu się, iż ma prawo odbić tę stratę na jój osobie. Pochylony nad przepaścią majątkową, chwyta za ramię starego księcia, wielkiego amatora pięknych osób, i daje mu delikatnie do zrozumienia, że nie będzie szeroko otwierał oczu na jego zabiegi względem Leny, w zamian za pomoc finansową.

I patrzymy jaką, wspólnie z przyjacielem Kłóńskim, uknuł przeciwko niéj kabałę. Znając surowe zasady Leny, przypuszczają nie może, iżby ona z łatwością uległa jego projektom; więc trzeba ją do tego przygotować przez ułatwienie romansu z Jankiem, który świeżo po dwuletniej podróży powrócił. Sam go więc zaprasza do domu, i wtedy dowiadujemy się, że ta miłość dwojga serc niewinnych, zrazu nieokreślona, w miarę oddalenia i dojrzałości duchowej, nabrała gruntu. Nie mamy jednak obawy, ażeby stała się występna: obie strony zanadto są przywiązane do drogi prawej. Natomiast ksiądz żwawo zabiera się do dzieła i dostaje odprawę. Gwałtowność sceny doprowadza do rozstroju pomiędzy żoną i mężem, skutkiem czego Lena opuszcza dom hrabiego Gustawa i w towarzystwie Janka odjeżdża do rodziców.

Ale tam uprzedza ją, z polecenia męża, Kłóński, w fałszywém świetle przedstawiając postępek Leny, co sprawia chwilową zamieszkę rodzinną, ale niebawem rzeczy się wyjaśniają, i już spodziewany rozwód ma zapewnić spóźnione szczęście dwóch istot zdawna



sercem należących do siebie, kiedy postronne zajście powoduje między hrabią Gustawem i Jankiem pojedynek, w którym ten ostatni ginie, a na jego zwłokach Lena dostaje pomieszania zmysłów.

Jak widzimy zatem z tego szkicu, pomysł zużytym jest dostatecznie, i tylko nowy obrót rzeczy, na nowych motywach psychicznych oparty, mógłby mu nadać znaczenie. Niema tu właściwie ani jednej figury, któraby nie była znaną, albo wносиła nowy jakiś a szczęśliwie dobrany żywioł. Lena, charakter czysty i beznamiętny, postępuje według modelu uczciwości, nie natrafiając nawet na żadną poważną walkę z samą sobą, gdyż równie czysty i beznamiętny jej partner, Janek, przez delikatność uczuć trzyma się w cieniu, a co prawda i na scenie widać go niewiele. Hrabia Gustaw tak mizerną wygrywa rolę, że żaden charakter kobiecy, mający pewne poczucie godności, nie może widzieć niebezpiecznego przeciwnika w tym obskurnym stręczycielu. Rodzice to charaktery o barwach niezdecydowanych, bladych. Z drugoplanowych figur najwypuklejszym jest nędzny pieczeniarsz Kłóński, pełniejszym nierównie od swego mecenasa, księcia, który wprawdzie stanowi tylko postać epizodyczną; jak również od ciotki Olesi, prawdziwej ale pospolitej kwoczki.

Z tak postawionych charakterów, oczywiście nie może się wywiązać prawdziwy konflikt dramatyczny, ani myśl, któraby w krainie psychologicznej odkryła skarb niespodziewany: zło nad dobrém nie może tu ani na chwilę wziąć przewagi, gdyż samo przez się jest zbyt lichém, dalekiem od tego demonizmu, który ażeby zwyciężyć przybiera postać anioła,— jest ono zbyt słabém i wstrętném, ażeby dobru rzucić pod nogi twarde przeszkody; z drugiej zaś strony, dobro przejawia się w charakterach tak jednostronnych, że możnaby o nich powiedzieć to, co o piórku puszczoneń na bieżącą wodę; mogą je fale porwać, ale szamocząc się nawet, nie zatopiają. Nie wiem dla czego autor chciał koniecznie, ażeby Lena — co zdaje się mniej odpowiedniem jej charakterowi,— uciekała z domu mężowskiego z Jankiem, a tym sposobem dawała broń przeciw sobie oszczerstwu, skoro mogła to samo uczynić bez Janka, mając towarzyszkę w ciotki. Potrzebném mu to wprawdzie było dla umotywowania jej osamotnionego pobytu w Warszawie, skoro ojciec, zwiedziony oszczerstwem Kłóńskiego, dom przed nią zamknął; ale dla ulgi czysto technicznój, nie godzi się uchybiać konsekwencyjom logicznym. Lecz i z tego materiału jeszczeby mogło powstać coś dramatycznie skończonego, gdyby nie ostateczny rezultat akcji. Kiedyśmy doszli do tego, że wykryła się niewinność Leny i sromotność insynuacji mężowskich, po których nieprowadzeniu hr. Gustaw ostatecznie zbankrutował, kiedy sprawa rozwodowa jest już w całym rozpędzie, zdaje się, że wyjście szczęśliwe po dniach próby jest zapewnione. Tymczasem u samych wrót tego szczęścia stoi katastrofa. Dlaczegoż to sprowadził ją autor? Czy wyszło z kąd jakie widmo Nemezy, grożące pomstą nieuniknioną a usprawiedliwioną; czy zrządził to jakiś czynnik moralny, jakiś motyw wynikający bezpo-

średnio ze źródła idei? Bynajmniej. Ów Janek, który niedawno pozwoił się bezkarnie hr. Gustawowi wyrzucić za drzwi, nagle stał się tak drażliwym, że o jedno słówko wyzwał go na pojedynek śmiertelny. Mógł jednak zwyciężyć; lub jak w pojedynku, tak samo umrzeć z ospy lub z wypadku na kolei, jeśli chodziło koniecznie o zgładzenie go ze świata, tylko że to nie byłoby tak poetycznie, więc śmierć jego wypadła przybrać w aparat bardziej dekoracyjny. Autor czuł snąc dobrze, iż sztuka wychodząca z założenia społecznie nader poważnego, jeśli rozwiąże się szczęśliwie, wyda rezultat banalny, a nie mogąc dać sobie rady spuścił ją z tój wysokości na niziny melodramatu, za czynnik wzięwszy to, co nazywamy *deus ex machina*.

Nie lepiej sobie radził i z architekturą utworu, która także więcej nadaje się do melodramatu niż do dramatu. Lat dwa, to przestrożeń za krótka, ażeby mogła aktowi pierwszemu nadać charakter prologu; za długa, by go mogła wcielić w skład integralny sztuki, gdy pomiędzy Leną z pierwszego a drugiego aktu zachodzi różnica tak głęboka, że są to niemal dwie odmienne osoby. Nie wiem nawet, czy aktorka, grająca dobrze role bohaterskie, zdolnąby była z równą swobodą odtworzyć naiwność Leny. Dalej, pomiędzy aktem trzecim i czwartym upływa znowu pół roku, a nadto oba te akty dzielą się każdy na dwie odsłony, przerzucając scenę na różne miejsca. Jest to szarpanina, cechująca niewprawną rękę budowniczego. Jeżeli komuś nie jest już powagą arystoteliczna zasada jedności miejsca i czasu, to możemy się odwołać do powagi dzisiejszych głośnych mistrzów francuzkich, którzy zasady tój dość ściśle przestrzegają, przez co i dramat ich zyskuje na artystycznej harmonii.

Pomimo braków, jakieśmy tu wytknęli, dramat ten, powtarzamy, ma coś co do niego przyciąga. Są tam sceny napisane z życiem i temperamentem prawdziwie scenicznym, jak na przykład wszystko, co dotyczy pamiątkowego medalionika (akt 1), z którym Lena nie chce się rozstać w dzień ślubu; akt drugi, odrębnie wzięty, stanowi piękną całość sceniczną, w której zwłaszcza monolog Leny, energicznie i poetycznie indywidualizujący tę postać; a następnie rozmowę pomiędzy nią i mężem, zaliczyć można do pereł scenicznych. Po tym właśnie drugim akcie czujemy się tak zainteresowani do losów bohaterów, tak ciekawi, co się tóż z takiego zestawienia wzniosłości z cynizmem wywiąże, iż z niecierpliwością przystępujemy do aktu trzeciego, który w pierwszej swój połowie jeszcze się jako tako utrzymuje na danój wysokości, ale potem sztuka już słabnie i coraz widoczniej zmierza do upadku. Może on być tylko wypadkiem, który, sądząc po początku sztuki i aż do jój połowy, wolimy mniemać, że się pod piórem p. Jasińczyka w dalszych pracach więcej nic powtórzy.

Jestże to naprawdę król Salomon, jak opiewa tytuł utworu p. Zagórskiego? Szukaliśmy go w treści, przygotowani zobaczyć jakąś postać



żyjącą, z ciałem i krwią, słowem charakter historyczny. Zawiedzioném zostało to nasze poszukiwanie. Nie znaleźliśmy króla Salomona, tylko przypisywane mu myśli o stosunku człowieka do życia, i pewną sytuację zaczerpniętą z biblijnego poematu. Tłómacząc pesymistyczny nastrój swego utworu, autor z góry oświadcza w przedmowie prozą, iż poemat niniejszy maluje stan jego własnego umysłu w pewnej chwili życia.— „Doświadczył,—powiada,—tych smutków i tego bolesnego zękania z pewnością każdy, ktokolwiek spragnione usta zbliżył do krynic nowożytnéj nauki. Szczęśliwy, kto spotkał wtedy Sulamitkę i znalazł w jéj objęciach niepamięć i ukojenie...” Jeżeli tedy autor sam przez się doświadczał podobnych wrażeń: pesymizmu i reakcyi, to czemuż ich nie skreślił raczej według siebie, według otoczenia własnego, nie zaś według króla Salomona, którego możemy przecież poznać osobiście z kądinąd? Autorowi chodziło snać o ten koloryt wschodni, o ten ton biblijny, który chciał przelać do swego oryginalnego utworu. Stając się na téj drodze, wyciągnął co mógł najbardziej pesymistycznego z „Eklezjasty,” wystawił młodzieńca, który, przejęty do głębi duszy marnościami wszystkich dóbr tego świata i nicością doli pozaświatowój, ucieka gdzieś sam przez sobą w pustynię. Szczęściem, na drodze spotyka dziewicę, która obejmuje go swą gorącą miłością, z takim ogniem skreśloną w „Pieśni nad pieśniami;” a miłość ta godzi go z życiem i światem.

Dwa tedy te prześliczne urywki przedwiekowej poezyi hebrajskiej, niczém z sobą organicznie nie związane, posłużyły autorowi do złożenia péwnéj tezy, która nam się wydaje fałszywą. Pomijam dowolne użycie tekstów księgi, sprzeczne z tłómaczeniem Kościoła, które autor interpretuje zgoła po cywilnemu: nie on pierwszy daje tego przykład. Ale niezależnie od téj kwestyi ubocznej, myśl główna tkwi w tém, że przeciwko rozpacy, wynikającej ze znikomości życia pozbawionego przyszłości zagrobowój, wystarcza miłość... erotyczna, upojenie zmysłowe; nie inną bowiem jest ta, którą autor w trzeciej części swego poematu opisał. Jestże to prawdą? Niewątpliwie, jeżeli chodzi o chwilową dystrakcyę, o rozrywkę. Miłość zmysłowa w chronicznych boleściach życia,—to narkotyk w chorobie: on jéj działanie łagodzi chwilowo, ale iżby skutkował, zrazu trzeba wznacniać jego dawki, potem już nie skutkuje wcale. Wierzyliny w to uniesienie młodzieńca, kiedy mówi:— „I odtąd na jéj ustach wiszę, jéj sercu sercem odśmiecnięty, bezmiar szczęścia wniebowzięty, jak ten, co znalazł mir i ciszę.” Ale cóż będzie z tém wniebowzięciem wtedy, gdy zwątleje (a co jest rzeczą nieuniknioną) ta energia wrażeń, poczęta w samych zmysłach i w nich tylko ześrodkowana? Czy owa „znikomość,” która przywiodła do bezwarunkowój rozpacy, nie srożej jeszcze wyszczerzy wtedy swo sznyder-skie zęby; czy świat przestanie być „nędzny, szary, nagi?”

Nie chcemy przeto ujmować potęgi miłości: lecz na złe duchowe, tylko duchowa miłość zbawiennie podziałać może. A przez to powiadamy, że ta dowolna kombinacya Eklezjasty z Pieśnią nad pieśniami, o którój autor biblijny nie myślał, autora niebiblijnego nie doprowa-

dziła do wyniku prawdziwego. Sam on na to zgodzić się musi, jeżeli zechce utrzymać to, co powiedział prozą swego wyznania:— „Szczęśliwy, kto wtedy (w zgębieniu pesymistycznym) spotkał Sulamitkę i znalazł w jej objęciach niepamięć i ukojenie; szczęśliwy, kto sobie wytknął cel wyższy i przywiązał do niego łódkę swego życia: to jedno bowiem tylko może je uszlachetnić, ozłocić urokiem i nadać mu wartość prawdziwą; poza tém jest wszystko marnością i utrapieniem.“— Zatem nawet Sulamitka ze swými pocałunkami.— Zatem jeszcze, ten cel wyższy, jako reakcyę przeciw pesymizmowi, autor łatwo byłby znalazł w otoczeniu własnym, gdyby się nie dał skusić artystycznej przeróbce wzoru, który w swój pomnikowej formie, utrwalonej wiekami powagi, jest prawie nietykalny.

Rzeczywiście, jeżeli się zwrócimy tylko do artystycznej formy utworu, to ostatnia ta część wyda się nam najsłabszą, nie dla tego iżby była bezwzględnie słabą; przeciwnie, znajdziemy tam pewien koloryt dość żywo wyobrazający wzruszenia temperamentu zmysłowego: ale właśnie przeszkadza mu to usiłowane zbliżenie do pierwowzoru, to podciąganie się pod ton obcy, a szerokością swą zabijający. Wyraz pesymizmu nierównie silniejszą znalazł interpretacyę w części pierwszej; a lubo takie rymowanie, jak: „umiejętność i namiętność, łakomość i znikomość, nądrości i gorzkości” i t. p., zbyt często, niestety, szarpie ucho czytelnika, jednak obrazowanie myślowe szczegółów pesymizmu i ból ztąd odzywający się w sercu, zdobywają się na oddźwięk prawdy, np.: „Więc nic? napróżnoż serce krwawię, w tęsknotach trawię się płomiennych? I nic, krom nocy mych bezsennych i cięższych jeszcze snów na jawie! Więc nie! I znikąd nie zacerpie syn ziemi w smutkach swych otuchy! I nie! I celem grób mu głuchy!... Dla czegoż kocham, tęsknię, cierpię?” Najwięcej atoli połysku poetycznego posiada część druga (*Vac Soli*), przedstawiająca podróż pesymisty, który biegnie w step, „w krainę śmierci i milczenia,” jakby chcąc umknąć samemu sobie lub od pustyni żądać wyjaśnienia zagadki bytu. Może właśnie część ta najlepiej wypadła dlatego, że autor był tu najbardziej samym sobą, nie miał odpowiedniego wzoru w Biblii, a lubo w szczegółach niektórych spotyka się z Mickiewiczowskim „Farysem,” roztropnie unika zetknięcia. Jak we wszystkich obrazach kreślonych z głowy lub z drugiej ręki, tak i tu, szczegółom krajobrazowym brak oryginalności i charakterystyki, któraby nie była powtórzeniem określeń znanych. Plastykę pustyni i Libanu czerpał autor, jak sam wyznaje, z najnowszych podróży; czyli nie od siebie, z własnego wrażenia nie dodał, kopiował z fotografii. Wartość jednak tych pożyczanych określeń, pod piórem autora podnosi się przez skierowanie do nich myśli, drgających prądem poetycznym własnej jego indywidualności.

Pielgrzymkę, połączoną z nastrojem erotycznym, tylko zupełnie odwrotny biorącym kierunek, znajdujemy również w uszcizowanej



„Idylli” p. Władysława K. Zielińskiego, który także po swój temat poszedł bardzo daleko, bo aż do Chin, i ztamtąd również zbiera krajo-brazy. Młoda Li-Kuang-Si, corka mandaryna, tęskni do nieznanej sobie miłości, do swego jelonka, i znajduje go w osobie wędrownego śpiewaka, którego pieśń a następnie osoba ją zachwyca. Już w upojeniu pierwszej chwili tego czarownego spotkania, urozmaiconego namiętnymi uściskami, wszystko układa się do zwykłej sytuacji dozgonnych ślubów, kiedy naraz w umyśle rozognionego młodzieńca zachodzi zwrot najmniej spodziewany, a stanowiący jedyny moment psychologiczny. Czan-Tiu-Lin tak głęboko przejmuje się świętością swego uczucia dla niebianki, iż uważa, że mu się nie godzi kalać miłością ziemską tego ideału.— „Miłość,— powiada,— dar to bogów! który tak długo pozostaje naszym udziałem, póki technienie ziemskich rozkoszy nie zetrze zeń niewinności czaru.” Głuchy więc na głos realniejszego uczucia, odchodzi ze swą miłością idealną, by poić się nią całe życie, pozostawiając dziewczinę zrozpaczoną po odjęciu jej czary od ust w chwili najwyższego pragnienia.

To nagłe przejście młodzieńca od wzuszeń natury erotycznej niemal do abstrakcyi, bez względu na gwałt, jaki zadaje samemu sobie i ukochanej; to kosztowne zwycięstwo, jakie odnosi nad porywami zmysłowemi, dowodzi, że dla autora miłość opisana w „Biesiadzie” Platona nie jest ani obcą, ani anachronistyczną. Zwrot taki wprawdzie nie jest bez prawdopodobieństwa... w Chinach. Na miejscu panny Li-Kuang-Si, polka by się zdumiała, francuzka za odchodzącym powiedziałyaby: „Imbécile!”

Dla wykonania swój Idylli, autor oparł się aż na trzech filarach poetycznych. Bódcem jest mu piosenka starego poety chińskiego o gałązce wierzby (przełożona po włosku przez prof. Caniniego), którą też dwukrotnie kładzie w usta śpiewaka. Jemu też każe mówić w oświadczeniach wyrażeniami prawie dosłownie wziętymi z „Pielgrzyma” Bohdana Zaleskiego: „Próżno zmieniałem miejsca... chwile pozostały bez wrażeń i pamiątek... bo to serce tak zimne dotąd, czujące tak mało, zabiło żywiej... przed zroszoną powieką dnie mijały smętnie, bo wzrok duszy tkwił daleko... w tój stronie... ku tobie tęskniłem z wieczora i z brzaskiem rozświtającej jutrzeźki...” Jest to niewinna reminiscencya: ale co najważniejsza, to uscenizowanie, powtórzone za Franciszkiem Coppée z „Przechodnia.”

Pomimo takiej pomocy, Idylla nie ma tchu poetyckiego; o ruch sceniczny nawet się nie kusi. Autor, przeznaczwszy ten utwór na scenę, powodzenie składa głównie na barki aktorskie. Życzymy powodzenia, uprzedzając, że jednym z jego warunków jest poprawienie języka, który ma między innymi takie curiosum, jak: „Oczarowana... wsłuchując się w szept jego, usta moje jakby skrzydło pszczołki, musnęły ust jego.” Albo te jakieś dziwaczne zakończenia: „ciebie więcćj nie ujrzę ja... czy chcesz, bym umarł ja?...” użyte jakoby dla większej siły. Nareszcie wadliwe używanie czwartego przypadku z przecze-

niem: „noc którą żaden promyk gwiazdy nie rozświeca;“ „nie Kocham gałązkę wierzbową.“— Nie wiele tego wprawdzie, może to już nawet i wszystko, ale dosyć jednego takiego wyrażenia, ażeby wywołać na scenie efekt wprost przeciwny zamierzonemu.

*Kazimierz Kaszewski.*

C. Lombroso: „Geniusz i obłąkanie.“ Przełożył z 4-go wydania włoskiego <sup>1)</sup>  
J. L. Popławski. Warszawa, 1887.

Teorya pewnej analogii między fizyologią geniuszu a patologią obłąkania nie jest nową. Badacze, zastanawiający się nad twórczością i śledzący bliżej działalność ludzi znakomitych, ich nadmierną, chorobliwą niemal wrażliwość i ekscentryczność usposobienia, przechodzili często do wniosku, że geniusz jest do pewnego stopnia zбочeniem systemu nerwowego, czyli tak zwaną obecnie „nerwicą.“

Wrażliwość ludzi genialnych, a mianowicie poetów <sup>2)</sup>, weszła pra

<sup>1)</sup> Referent wiadomości bibliograficznej w zesz. „Bibl. Warsz.“ za miesiąc listopad r. b. (str. 317), mając przed oczami wzmiankę samego tłumacza na str. 95 odsyłacz 1, przypuszczał, jakoby p. Popławski wykonał pracę swoją z tłumaczenia ruskiego. Przypuszczenie to okazuje się, przy szczerogółowem sprawdzeniu tłumaczenia polskiego z oryginałem włoskim i książką ruską, mylném; gdyż książka ruska jest niemal streszczeniem tylko dzieła włoskiego i nie obejmuje kilku takich rozdziałów, które znajdujemy w tłumaczeniu p. Popławskiego, odpowiadajacóm oryginałowi włoskiemu.

*Red.*

<sup>2)</sup> W r. 1886-ym ogłosił prof. dr. Dilthey mowę swoją, którą wypowiedział w języku niemieckim w Berlinie, z powodu uroczystości założenia lecniozych zakładów wojskowych w dniu 2-go sierpnia 1886 r. na temat: „Wyobrażenia poetyczna a obłąkanie“ („Dichterische Einbildungskraft und Wahnsinn.“ Rede, gehalten zur Feier des Stiftungstages der militärärztlichen Bildungsanstalten am 2-ten August 1886). Lipsk 1886, str. 30, 8<sup>o</sup>. Prof. Dilthey, rozbieając tę kwestyę, ulubioną przez lekarzy szpitali obłąkanych, nie potrafił wprawdzie dorzucić tu nowych faktów; ale nie można mu odmówić oryginalności w przedstawieniu tego, bądź co bądź, ciekawego zjawiska. Główny nacisk kładzie prof. Dilthey na to, że wyobraźni poetycznej, mimo niektórych analogii jej objawów ze zjawiskami, dostrzeżanemi u obłąkanych, nie można uważać za patologiczną funkcją duszy. Owszem, zachodzi pomiędzy chorobliwemi wytworami fantazyi w stanie obłąkania, snu i hypnotyzmu z jednéj strony, a tworamii fantazyi poety z drugiéj strony ta charakterystyczna różnica, że w pierwszym razie niknie zupełnie i ginie wszelki wpływ, jakiby cało dotychczasowe doświadczenie życiowe mieć mogło na wytwarzanie się przoroźnych wyobrażeń w pewnym ich związku; gdy tymczasem



wie w przysłowie: „irritable genus vatuum.“ To też „czują oni i cierpią za miliony,“ ale w tój wrażliwości, w tój nadczułości, wreszcie w tój możności odczuwania najsubtelniejszych zjawisk i najdelikatniejszej różnicy światła i cieni, leży, biorąc rzeczy fizyologicznie, cała tajemnica geniuszu. Za pomocą tój nadmiernój drażliwości systemu nerwowego, zwiększonój jeszcze przez gorączkową pracę umysłową, możemy sobie objaśnić i ekscentryczność usposobienia, spotykaną często u ludzi genialnych, i skłonność do halucynacji i do napływów krwi do mózgu, wywołujących zwykle groźny obraz podrażnienia mózgowia. Ludzie genialni skłonni są w wysokim stopniu do różnych form chorób umysłowych.

W najnowszych czasach wielu uczonych (prof. Benedikt w Wiedniu) zwracało głośną uwagę na ten fakt, że z rodzin, w których dziedzicznie panują choroby nerwowe i umysłowe, pochodzą często i ludzie genialni. Wszystko to prowadzi nas do wniosku, że geniusz powstaje przy warunkach niezwykłych, kiedy naruszona jest równowaga sił, niezbędna do wytwarzania ludzi przeciętnych. Geniusz jest więc monstrum per excessum.

Prof. Lombroso, lekarz włoski i dyrektor kliniki psychiatrycznej

u poety występuje z całą siłą i to bez żadnej przerwy ów wewnętrzny, jednolity związek pomiędzy wszystkimi wewnętrznymi objawami duchowemi, które życie poety przenikają i to za pomocą obrazów i tworów, zgodnych zupełnie z warunkami życia jego, życia powszedniego, rzeczywistego. Wprowadzilo za pomocą swojój podwyższonej wrażliwości dla wszelkich zjawisk życiowych, poeta potrafi niekiedy oderwać owo nadzwyczajne bogactwo wyobrażeń i obrazów, jakie fantazyja jego w jednéj chwili gromadzi, potrafi, mówię, poeta ten materiał oderwać i odłączyć od zjawisk przypadkowych, pobocznych, przygodnych, tak, że i u niego powstają obrazy i wyobrażenia, pozbawione wszelkich warunków rzeczywistości, powstają dziwaczne złudzenia; ale będą to zawsze — bądź co bądź — jakies typy, ideały w dobrém lub złém znaczeniu, uważane przez samego poetę za przedmioty rzeczywiste, za najdokładniejsze twory jego przygód i doświadczeń życiowych. Stosownie do takiego poglądu należałoby tedy uważać za jedyną podstawę, za istotę nie tylko poetycznego; ale kaźd ego prawdziwego geniuszu, należałoby, mówię, uważać zawsze i wszędzie połączenie fantazyi nadmiernie wrażliwój i to fantazyi równie czynnej, twórczej jak i biernój, z potęgą rozumu myślącego jasno — i regulującego krytycznie wszelkie szczegółowe pojęcia z nadzwyczajną szybkością. Stosownie do siły i energii tój ostatniej właściwości danój osoby, czyli o ile mniej lub więcej brakuje rozumowi tój ostatniej własności, o tyle bardziej zbliża się geniusz do owego chorobliwego stanu patologicznego. Szczęśliwe tymczasem ustosunkowanie, szczęśliwe połączenie obydwóch powyższych zdolności, spotykanych zawsze u potężnych umysłów wszystkich epok, jest też ową najsoskonalszą formą rozwoju umysłowości ludzkiej, jaką nasz organizm duchowy (psychiczny) w ogóle osiągnąć może.

*Red.*

w Pawii, uzbrojony licznymi obserwacyami i faktami pozbieranymi z literatury i praktyki, rozbiera w zajmującym nas dziele stosunek geniuszu do obłąkania. L. wychodzi z pojęcia analogii między genialnością a obłąkaniem pod względem fizyologicznym i w tym celu przytacza wielu znakomitych ludzi, uczonych i myślicieli, którzy cierpieli na drgawki konwulsyjne, drgania nerwowe i odznaczali się gwałtownymi, nieumiarkowanymi ruchami. „Napoleon I-szy cierpiał na ciągłe drganie warg i prawego ramienia, kiedy zaś rozgniewał się to—i łyddek.“ Wiadomo już dawno (lek. franc. Byasson), że ilość fosforanów i mocznika w urynie zwiększa się bardzo po każdej pracy umysłowej to samo stosuje się i do napadów obłąkania. Cechami wspólnymi wielkich myślicieli są przedwczesna siwizna i łysina, chude ciało i słabość popędu płciowego.

Rozumowanie Lombroso'a nie odpowiada zupełnie wymaganiom metody naukowej: powiększenie mocznika w urynie znajdujemy i u gorączkujących, a jednak nikt nie będzie ztąd wnosił, że istnieje trwała analogia między gorączkującymi, obłąkanymi a ludźmi genialnymi. Łysina i siwizna w części zaledwie zależą od natężonej pracy umysłowej, w większej zaś liczbie są dziedzicznymi albo też są następstwem chorób skórnych i cebulek włosowych. Geniusz, uczy dalej prof. Lombroso, jest bezwiednym; Haydn przypisywał pomysł swojego dzieła „Stworzenie świata“ natchnieniu, które zesałało mu niebo. „Najpiękniejsze poczye Kuh'a, dyktowane były przezeń<sup>1)</sup> w stanie blizkim obłąkania.“ Również i zimny Goethe twierdził, że wszystkie swe dzieła pisał w stanie podobnym do somnambulizmu. Wszystkie dzieła geniuszu, mówi Voltaire w liście do Diderot'a, powstały instynktownie. Nadto znana jest skłonność ludzi genialnych do nadużywania napojów wysokokowych. Poeta włoski Tasso wyznaje, że jest „szaleńcem“ z pijactwa i miłości. Przypatrując się dokładnie genezie wielkich odkryć, spostrzegamy, że wywołały je zazwyczaj proste wrażenia zmysłowe. Wiemy dobrze, że ruch izochroniczny lampy wiszącej i spadnięcie jabłka natchnęły Galileusza i Newtona do odkrycia i ujawnienia wiekopomnych teorii naukowych. Podobnie silne wrażenia bywają podniecią do strasznych czynów gwałtownego szaleństwa. Często widok sikiery, ognia lub trupa pobudza do zabójstwa, podpalenia lub profanacji grobu. Natchnienie u poetów i artystów przechodzi często w hallucynacyą. „T. Grossi mówił do Verga, że pewnej nocy, kiedy pracował dosyć długo nad opisem zjawienia się widma Prina, zobaczył je nagle przed sobą i musiał zapalić świecę, żeby znikło to widzenie.“ Gdybyśmy chcieli rozstrzygnąć pytanie, na czém polega różnica fizyologiczna między człowiekiem genialnym a pospolitym, to odpowiedzilibyśmy, że nadmierna prawie chorobliwa wrażliwość jest cechą pierwszego. Ta uwaga prof. Lombroso'a jest słuszną, gdyż zakres

<sup>1)</sup> Po polsku należałoby powiedzieć: Kuh dyktował najpiękniejsze swoje poczye.



zjawisk, na które umysł człowieka pospolitego jest wrażliwym, jest nader ciasny, ogranicza się bowiem po większej części do zwykłych potrzeb i stosunków życiowych. Z rozszerzeniem się poziomu umysłowego wzrasta i wrażliwość. By osiągnąć najwyższego stopnia rozwoju u ludzi genialnych, czują oni żywiej i zwracają uwagę na rzeczy, na które ludzie pospolici chłodnym patrzają okiem. Bez kwestyi, intuicya i wrażliwość są potężną dźwignią geniuszu. Alfieri był bardzo wrażliwym na muzykę, a Corradi wykazuje, że wszystkie nieszczęścia i pesymizm Leopardiego były wpływem zbytniej wrażliwości i miłości nieszczęśliwój, którą poznał w 18-ym roku życia. Wiadomo, że wielu ludzi genialnych wczesnie wpadało w sidła Amora. Dla Rafaela piękna Fornarina stała się nie tylko iskrą natchnienia w malarstwie, ale wzbudziła także talent poetyczny, a Dante i Alfieri byli zakochani już w 9-ym roku życia. Genialny fizyk Ampère był tak wrażliwym na piękności przyrody, że sądził, iż umrze z radości znalazłszy się na wybrzeżu Genui.

Ta nadmierna wrażliwość wywołuje u ludzi genialnych nadzwyczajną próżność, podobną często do obłądki wielkości (mania ambitiosa) u chorych umysłowo. Ksiądz Cagnoli tak się pysznił swym poematem o bitwie pod Akwileą, że wpadał w szalony gniew, gdy kto z literatów nie uklonił mu się na ulicy. Ludzie genialni nadzwyczaj są skłonni do melancholii, a koncentrując całą swoją wrażliwość w jednym tylko punkcie, stają się maniakami. Często jakiś szczegół zawładnie do tego stopnia ich umysłem, iż na wszystko inne stają się obojętnymi. Bekman przez całe życie zajmował się anatomią i patologią nerek. Fresner badał księżyc, a Meyer mrówki. Widzimy z tego, że istnieje podobieństwo między tego rodzaju ludźmi a maniakami. To nadzwyczajne skoncentrowanie wrażliwości tłómaczy nam anestezyą (utrata wrażliwości na dotyk) i analgezyą (utrata wrażliwości na ból), tak często obserwowane u ludzi genialnych. O Newtonie opowiadają, że pewnego razu zaczął przybijać popiół w fajce palcem swój siostrzenicy; kiedy wychodził z pokoju po jaką rzecz, wracał zawsze bez niej. Ludzie genialni, zarówno jak i obłąkani, podlegają napływowi krwi do mózgu (kongestyi), mają wysoką temperaturę głowy a niską kończyn i słabo odczuwają głód i zimno.

Zgadzam się na zdanie prof. Lombroso, iż pod wpływem obrażeń mechanicznych głowy, rozwijają się ciężkie formy chorób umysłowych, ale twierdzenie jego, że te same przyczyny często powodują u ludzi pospolitych zdolności genialne, sprzeciwia się wszelkim obserwacyom.

Dalżej przechodzi autor do wpływu zjawisk meteorologicznych na ludzi genialnych i obłąkanych, wypowiadając zdanie, iż podwyższenie temperatury na wiosnę i w lecie sprzyja zarówno powstawaniu chorób umysłowych, jak i twórczości ludzi genialnych. Że upały mają pewien wpływ na powstawanie chorób umysłowych i że ludzie genialni z powodu swój nadszłości wrażliwi są na wpływy meteorologiczne, jest to fakt wielokrotnie stwierdzony; nie sądzimy jednak z prof. Lom-

broso'em, jakoby gorąco miało sprzyjać twórczości umysłowej. Wyssokie temperatury sprowadzają osłabienie systemu nerwowego, a ludzie nerwowi, jakimi są zwykle ludzie genialni, wrażliwi są do wysokiego stopnia na gorąco i czują się najlepiej w chłodnej temperaturze. Niewątpliwie jednak natchnienie zależy do pewnego stopnia od zmian atmosfery. Diderot mawiał: „Il me semble, que j'ai l'esprit fou dans les grands vents,“ a Giordani przepowiadał burzę na dwa dni wcześniej. Piękna pogoda, lazur nieba i słońce sprzyjają twórczości geniuszów. Znakomity badacz przyrody Spallanzani w czasie pobytu na wyspach Eoljskich mógł trzy razy więcej pracować, aniżeli w mglistej Pawii. Giordani mógł tworzyć tylko przy jasnym świetle słonecznym i przy bardzo ciepłym pogodzie. Również Szyller w listach do Goethego przypisuje wpływom meteorologicznym ogromne znaczenie w objaśnieniu swęj twórczości.

Według Lombroso'a najwięcej sprzyjają twórczości estetycznej miesiące maj, wrzesień i kwiecień, najmniej luty, październik i grudzień, to samo w części stosuje się do odkryć astronomicznych i prac fizyko-matematycznych. Dla poparcia atoli swych twierdzeń zanadto mało przytacza autor danych i faktów, i dla tego nie usuwa wszelkich wątpliwości. Nadto współrzędność pewnych zjawisk nie świadczy wcale o ich przyczynowości, a mała liczba danych statystycznych nie może służyć w żaden sposób za trwałą podstawę do wysnuwania tak doniosłych wniosków. W wielu razach dowodzenie psychiatry włoskiego jest naciąganiem do głównej jego myśli, gdzieindziej zaś przytacza tylko fakty, przemawiające na korzyść jego tezy, zamilczając o obserwacjach przeciwnych.

Prof. Lombroso twierdzi dalej, że i pojawienie się ludzi genialnych zależy od warunków atmosferycznych, klimatu i warunków przyrodzonych. Dla poparcia tego twierdzenia przytacza sprawozdania o poborze wojskowym we Włoszech z lat ostatnich. Otóż okazuje się z nich, że okręgi dające największy procent rekrutów wysokiego wzrostu t. j. zdolnych do wojska, wytwarzają i najwięcej ludzi genialnych, jak: Liguria, Toskania i Romagna. Prowincje zaś, w których znajdujemy nizki procent wysokich i zdolnych do wojska, jak np. Sardynia, Basilicata i dolina Aosty wydały bardzo małą liczbę ludzi znakomitych. Dawno już istnieje w szerokich kołach przekonanie, że największą liczbę ludzi genialnych wydają kraje górzyste z klimatem łagodnym. Już Cycero często powtarzał, że w Atenach, gdzie klimat jest piękny, rodzą się ludzie rozumni, a w Tebach z klimatem surowym — głupcy.

Zdanie to możnaby tylko odnieść do poetów i artystów, widziemy bowiem, że kraje z klimatem surowym, jak np. Niemcy północne i Anglia, daleko więcej wydają uczonych i myślic li, niż Włochy <sup>1)</sup>, znane z przepięknego klimatu i piękna przyrody.

<sup>1)</sup> Opinia sz. Ref. tak bezwzględnie wypowiedziana znajdzie wielu oponentów, do których i my się liczymy. Red.



Według L. okolice góryste, które najwięcej wydają ludzi znakomych, najwięcej też produkują i obłąkanych; ma to potwierdzać statystyka psychiatryczna. Faktów jednak odnośnych Lombroso nie przytacza i podaje tylko, że obłąkanie epidemiczne częściej się zdarza w górach aniżeli w nizinach. Dowodów tego twierdzenia próżno u niego szukamy.

W dalszym ciągu mówi L. o wpływie rasy na genialność i obłąkanie. Żydzi, którzy prześcignęli inne plemiona, pod względem rozwoju umysłowego i wczesnej działalności psychicznej, odznaczają się również wybitną skłonnością do chorób umysłowych. Na zasadzie jednak faktów i odnośnych spostrzeżeń, twierdzenie Lombroso'a zmodyfikować należy w ten sposób, iż żydzi odznaczają się skłonnością do chorób nerwowych, zwłaszcza zaś do zaburzeń funkcyjnych czyli tak zwanych nerwic. Składają się jednak na to rozmaite okoliczności, a przedewszystkiem niedostateczne odżywianie się i wynikająca z tego niedokrwiłość.

Co do dziedziczności, to wpływ jej widoczniejszym jest przy obłąkaniu, aniżeli przy genialności. Często ludzie genialni płodzą bardzo pospolite potomstwo, gdy tymczasem już nerwowość, zbytnia czułośćkowość, ekscentryczność usposobienia u rodziców mogą stać się u potomstwa wybitną przyczyną obłąkania. Co ważniejsza, geniusz rzadko kiedy przechodzi w spadku całkowicie, kiedy obłąkanie zwykle potęguje się jeszcze w następnym pokoleniu. Znana jest szczególnie smutna dziedziczność alkoholizmu, nie tylko zresztą pijacy nałogowi pozostawiają w spadku potomstwu skłonności do pijaństwa, do chorób nerwowych i umysłowych, ale nawet ludzie trzeźwi, jeżeli w pożyciu małżeńskim zapominali o szkodliwości alkoholizmu, mogą spłodzić potomstwo ze skłonnością do rozmaitych chorób nerwowych, umysłowych, idiotów i najczęściej mikrocefalów. Gdzież więc istnieje analogia między odziedziczeniem geniuszu i obłąkania. Tutaj fakty przemawiają stanowczo przeciwko teorii Lombroso'a. Współczesność dziedziczna geniuszu i obłąkania wyraża się według Lombroso'a przez to, że wielu wariatów ma krewnych genialnych i że ludzie genialni mają często krewnych, albo dzieci epileptyków, maniaków i na odwrót. Przypatrując się życiorysom wielkich ludzi, dochodzimy do wniosku, że wielu ludzi znakomych miało rodziców chorych umysłowo. Piotr Wielki miał syna pijaka i maniaka, a ojciec Fryderyka Wielkiego był chorym umysłowo. Ojciec Wielkiego Beethowena był pijakiem, a Byron miał matkę dotkniętą zбочeniem umysłowem. Pochodzenie więc obłąkania od geniuszu zdarza się częściej, aniżeli od samobójców i zbrodniarzy i częściej niż od osób cierpiących na choroby nerwowe.

L. przytacza dalej liczne przykłady geniuszów obłąkanych: Harrington'a, Comte'a, Schumann'a, Tassa, Lenau'a, Cardana, Swift'a, Newtona, Rousseau'a, Schopenhauer'a, Ampere'a, Szechenyiego. Harrington przedstawiał sobie, że myśli wylatują mu z ust w kształcie pszczoł i ptaków, i brał często miotłę, żeby je rozpędzić. Zwróć jednak

uwagę na to, że hallucynacje same nie stanowią jeszcze istoty obłąkania. Ludzie genialni, którzy cierpieli na hallucynacje, mieli zupełną świadomość swego stanu umysłowego, gdy tymczasem obłąkany uważa się zawsze za zdrowego, a wizje bierze za rzeczywistość! Mendelsohn, genialny muzyk, cierpiał na melancholię, a Latre na starość zwaryował. August Comte, twórca filozofii pozytywnej, przez lat 10 leczył się u Esquirol'a, znanego psychiatry i doznał niby znacznego polepszenia, ale potem bez żadnej przyczyny wypędził żonę, która go pielęgnowała troskliwie w czasie choroby. Później ogłosił się kapłanem i apostołem religii materialistycznej, on, który chciał zniszczyć kapłaństwo! W dziełach Comte'a, obok myśli głębokich, spotykamy zdania skończonego waryata. Genialny Cardano był synem, bratem i ojcem waryatów, sam zwaryował. Zapatrując się na Tassa, wyznającego, że stracił rozum wskutek pijaństwa i miłostek, ze stanowiska współczesnej psychiatrii, możemy wątpić, czy znakomity poeta rzeczywiście był obłąkanym, skoro posiadał świadomość zupełną swego stanu umysłowego; ponieważ waryat sensu strictiori zawsze uważa się za zdrowego i nie stawia nawet walki ze swemi błędnymi ideami i rozumowaniami! Swift, twórca (?) ironii i humoru, przepowiedział już w swęj młodości, że zostanie obłąkanym. Umarł też, jak twierdzą, w stanie zupełnego rozstroju umysłowego, ale w testamencie zapisał 11,000 f. sterlingów na korzyść obłąkanych. Genialny Newton uległ w starości nie tyle obłąkaniu, ile raczej osłabieniu umysłowemu (dementia senilis). Wtedy nie oddawał się już badaniom naukowym, ale napisał chronologię o Apokalipsie i listy do Benthleya, nie mające wielkiej wartości. W końcu zdziwiczniał zupełnie, stał się lęklwym i wygłaszał tak dziwaczne i bez związku zdania, że przyjaciele musieli go troskliwie pielęgnować<sup>1)</sup>. Rousseau uległ również manii prześladowczej i melancholii, która ostatecznie przeszła w stan zupełnego obłądzenia. Pod wpływem téj manii prześladowczej napisał swoje „Rozmowy o Rousseau sądzonym przez Rousseau'a,” w których w celu obudzenia litości u swoich wrogów, szczegółowo opisał swoje hallucynacje. Ażeby rozpowszechnić swoją obronę, rozdawał ją na ulicy przechodniom, z których twarzy czytał, że nie należą do jego prześladowców. Lenau, znakomity liryk niemiecki, zakończył życie w szpitalu obłąkanych w Döbling, matka jego również cierpiała na melancholię. Podczas nocy spędzanych bezsennie, trapiły go ciągle hallucynacje; następnie cierpiał na uderzenia krwi do głowy, ciągłe poty i wielkie osłabienie. Przy sekcyi wielkiego poety znaleziono trochę płynu wodnistego w mózgu i ślady zapalenia osierdza (pericarditis). W tym samym domu obłąkanych w Döbling zmarł patriota węgierski, Szechenyi. Cierpiał on na obłądzenie prześladowcze i na manię samobójstwa: w przystępie rozpaczy odebrał też sobie życie wystrzałem z rewolweru.

<sup>1)</sup> Musimy jednak nadmienić, iż cytowanie Newtona jako geniusza obłąkanego jest niewłaściwem, gdyż każdy uledek może stopieniu umysłowemu wskutek starości.



Schopenhauer pochodził z ojca mizantropa i dziwaka, który się zastrzelił. Stryj i babka byli waryaci. Schopenhauer cierpiał na manię prześladowczą, t. j. według wyrażenia Lombroso'a był „lipemaniakiem.” Bał się wszystkiego: mieszkał zawsze na parterze z obawy pożaru, lękał się otrzymywać listy, brać do ręki brzytwę, nie chciał pić z obcej szklanki, by się nie zarazić... Nie posiadał wcale uczuć delikatnych, znieważał swoją matkę za to, że była niewierną pamięci swego męża; ztąd wysnuł wnioski nieprzyjemne dla płci słabiej, „która ma włos długi a rozum krótki.”

Cytując tę galeryę ludzi obłąkanych, a jednak genialnych, wyszukał Lombroso tylko indywidua nadające się do jego teorii. Można również postawić cały legion ludzi genialnych, u których nie było i śladu zбочzenia umysłowego; ekscentryczność usposobienia, nadmierna wrażliwość systemu nerwowego i dziwactwo nie są jeszcze obłąkaniem. Sposób dowodzenia Lombroso'a, sposób wysnuwania wniosków z faktów idących równolegle, a nie związanych przyczynowo, nie czynią zadość słusznym wymaganiom metody naukowej. Lombroso twierdzi, że siła intelektualna u obłąkanych wzrasta tylko w chwili ekstazy. Twierdzenie to ma pewną zasadę. Winslow wskazuje pewnego szlachcica, który, będąc zdrowego umysłu, nie umiał dodawać liczb najprostszyc, kiedy zaś uległ zбочzeniu umysłowemu, stał się zdolnym matematykiem. Esquirol opowiada, że pewien maniak w czasie ostrego napadu choroby wynalazł model dział, który uznany został za bardzo właściwy. W szpitalach waryatów można znaleźć wielu chorych, którzy stali się poetami w czasie choroby. Wybitną cechą wszystkich autorów obłąkanych jest siła twórcza talentu, nie będąca w związku ani z warunkami ich życia, ani z otrzymaniem wykształceniem. Taką zdolność do wierszowania u ludzi, którzy, nim zachorowali, nie mieli pojęcia o prozodyi, łatwo pojąć, jeżeli przypuścimy, że poczyna jest wyrazem podnieconej wyobraźni. Często jednak w utworach tych pisarzy obłąkanych znajdujemy styl nierówny, niedołążny, kiedy pobudzenie osłabło—silny i świetny przy podnieconej wrażliwości. Po ustępach, nacechowanych oryginalnością i siłą myśli, następuje często gadanina bez sensu.

Pod wpływem obłąkania chorzy często pięknie poczynają malować, nie mając poprzednio pojęcia o rysunku ani o pędzlu. Ludzie zupełnie obojętni dla sztuki, pod wpływem choroby zaczynają pracować z nadwyzajną pilnością; idyoci i stępieni umysłowo rysują albo figurki dzieci, albo jeden i ten sam przedmiot. P., dotknięty obłądem egzaltacyjnym, przy każdym ostrym napadzie choroby stawał się namiętnym rysownikiem, tak, iż ciągle na ścianach kreślił rozmaite zygzaki i arabeski. Rozkiełznana wyobraźnia obłąkanych, nie znajdując hamulca w rozumie, zdobywa się na oryginalność pomysłów i tworzy obrazy, których przeląkłby się umysł zdrowy, by go nie posądzono o absurd lub brak logiki. W ogóle wyobraźnia rozwija się tém bujniej, im mniej panuje nad nią rozsądek; dla tego też w obrazach obłą-

kanych znajdujemy fantastyczność pomysłów, szydzącą z wszelkiej prawdziwości. Rysunki wielu waryatów odznaczają się nieprzyzwoitością treści i wstrętnym cynizmem; w ogóle zaś zaznaczyć trzeba, iż utwory obłąkanych są zupełnie bezużyteczne, tworzone bezcelowo. Obserwowano także, iż pod wpływem obłąkania występują zdolności do muzyki. Talent muzyczny zjawia się często nagle u melancholików, maniaków, a niekiedy nawet i u zupełnie otepiątych umysłowo (dementów). Psychiatra włoski, Raggi, opowiada o pewnej damie, która po przejściu napadów melancholicznych, całe dni spędzała przy fortepianie, grając z artystycznym zapałem klasyczne utwory mistrzów. I ja leczyłem chorego na manię, który po całych dniach grał i wyśpiewywał włoskie arye, tak, iż padał zmęczony na sofę prawie bez życia.

Lombroso przechodzi dalej do tak nazwanych przez siebie „mattoidów-grafomanów.” Są to osoby, pochodzące z rodzin, w których dziedzicznie panują choroby nerwowe i umysłowe, dotknięci anomaliami w budowie czaszki, podniebienia i narządów płciowych, skłonni do obłąkania szczególnie w czasie dojrzewania i brzemienności. Tym „mattoidom-grafomanom” wyznacza Lombroso miejsce pośrednie między obłąkanymi geniuszami, zdrowymi ludźmi i waryatami. Przedstawiają oni, oprócz zбочzeń w sferze fizycznej, nienaturalności i ekscentryczności usposobienia, obok skłonności do gadulstwa, do rezonowania (folie raisonnée) i tworzenia różnych dzieł pseudo-literackich, w których na jaw występuje ogromna zarozumiałość i przecenianie swęj wartości. Guiteau mniemał, że zabijając prezydenta, ocali rzezpospolitą i uważał się za znakomitego prawnika i filozofa. Niektórzy mattoidzi odznaczają się skłonnością do pienia ctwa, wykazując nadzwyczajną ruchliwość, czynność i drobiazgową znajomość prawa, w którém widzą tylko argumenty na swoję korzyść. Reformatorowie egzaltowani, poświęcający wszystkie swoje interesy dla jakiejś idei, dla zreformowania ludzkości i religii, byli po więkšej części obłąkanymi. Często pod wpływem obłąkania, szal proroczy staje się epidemicznym, ogarnia szerokie masy. W Akwisgranie w 1874 r. obłęd epileptyków i cierpiących na chorobę Ś-go Wita, udzielił się całemu pospólstwu, nie wyłączając nawet zgrzybiałych starców i kobiet brzemiennych; wszyscy tańczyli na ulicach, wołając: „Here S. Johan, so so vrish und vord.”

Rozpatrując bliżej rysy charakteru ludzi genialnych i obłąkanych, widzimy, że oni nie posiadają tēj jednolitości i równomierności umysłu i fantazyi, która cechuje prawdziwy geniusz, posiadający spokój i świadomość swęj siły, a przeto wolny od owęj chorobliwęj pychy, która jest znamieniem umysłów chorych. U ludzi genialnych, ale dotkniętych zбочzeniem umysłowém, nadzwyczajne zdolności objawiają się nadzwyczaj wcześnie: Tasso umiał już mówić w 8-ym miesiącu życia, a w 7-ym roku mówił już po łacinie, a czteroletni Haller wygłaszał mowy, w piątym zaś roku czytał poważne książki. Nadto wszyscy oni nadużywali napojów alkoholicznych i narkotyków. Haller pochłaniał ogromne dozy opium, a Rousseau wypijał ogromną ilość kawy.



Lenau w ostatnich latach swego życia nadużywał kawy, wina i tytoniu <sup>1)</sup>. Ciche, spokojne życie nie zadawałniało tych ludzi; niektórzy odznaczali się prawdziwą podróżomanią. „Zmiana miejsca jest dla mnie konieczną potrzebą, pisze Rousseau, kiedy pogoda jest piękną, nie mogę dłużej nad dwa — trzy dni wytrzymać w jednym miejscu, sprawia mi to bowiem wielką przykrość.“ Równie często zmieniali przedmiot swych studyów, jak gdyby ich potężny ale niespokojny umysł nie mógł znaleźć zaspokojenia w jednej gałęzi wiedzy. Cardano był np. jednocześnie matematykiem, lekarzem, teologiem i literatem. Mają oni swój styl właściwy, namiętny, barwny, drżący, powstały pod wpływem rozegzaltowanej wyobraźni i hallucynacyj; prawie wszyscy mogli tworzyć tylko w stanie ekstazy. Gdy ta przeszła, nie byli w stanie nic stworzyć, co by miało wartość naukową lub literacką. Wiele cierpią ci nieszczęśliwi pod wpływem wątpliwości religijnych, które ciągle zaprzatają ich umysł; Tasso dręczył się ciągle tą myślą, że jest heretykiem. Znakomity fizyk, Ampère, powtarzał często, że zwątpienie jest najstraszniejszą torturą dla człowieka.

Zastępuje na uwagę, że niektórzy z tych ludzi genialnych i obłąkanych jednocześnie, mieli nieprawidłowy kształt czaszki, a sekcyja dokonana po śmierci wykazała poważne zboczenia w ośrodkach nerwowych. W mózgu Rousseau'a znaleziono wodę w jamach; u Pascal'a substancyja mózgowa twardszą była aniżeli normalnie, a w lewej półkuli była w stanie ropienia. Szczególną nakoniec cechą nienormalności umysłowej tych ludzi, było przesadzone natężenie podniecenia i wyczerpania, które stanowią własność fizyologiczną wszystkich znakomitszych umysłów.

Streszczając fakty, zebrane tak starannie przez Lombroso'a, możemy przyjść do tego wniosku, że geniusz i obłąkanie przedstawiają pewne momenty wspólne; chciałbym jednak uchronić sz. czytelnika od tego nieuzasadnionego wniosku, że geniusz jest zboczeniem umysłowym, że każdy człowiek genialny jest zarazem obłąkanym. Te momenty wspólne zależą tylko od wrażliwości układu nerwowego, właściwej ludziom znakomitym. Ich system nerwowy znajduje się, że tak powiem, w stanie równowagi niestałej, a najmniejsza przyczyna jest w stanie zakłócić tę równowagę. Nadto zastępuje w wysokim stopniu na uwagę, że otoczenie, niepomysłne warunki polityczne i ekonomiczne, nie sprzyjające wcale twórczości umysłowej, muszą położyć swe piętno i wytworzyć wrażliwość chorobliwą u ludzi genialnych zresztą zupełnie normalnych umysłowo. Pewne objawy chorobliwe jak mistycyzm i t. d., obserwowane u naszych poetów, znalazłyby w ten sposób swoje objaśnienie.

Teorya Lombroso'a kruszy się w obec geniuszów takich, jak Kep-

<sup>1)</sup> Obecnie rozpowszechnia się i u nas nadużywanie chloralu i morfiny.

ler <sup>1)</sup>, Dante, Michał Anioł lub Goethe. Jeżeli między genialnością a obłąkaniem są pewne momenty analogiczne, są też i różnice wielkie! Geniusz objawia się zwykle bardzo wczesnie, kiedy obłąkanie odzywa się najczęściej w dojrzałym wieku, wywołane często przez zmartwienia, kłopoty i inne afekty psychiczne. Obłąkanie należy wreszcie do chorób dziedzicznych i potęguje się w każdym następnym pokoleniu, kiedy dziedziczność geniuszu jest raczej wyjątkiem, a nie prawidłem! Ludzie istotnie genialni odznaczają się tą równomiernością charakteru, która nadaje spokój i jednostajny kierunek całemu ich życiu. Nie każdy geniusz jest obłąkanym — są ludzie genialni pokazujący w pewnych punktach anomalję umysłową, obok znakomitej twórczości w innych gałęziach działalności ludzkiej. Zresztą geniusze obłąkani mają pewne specjalne im cechy.

Dzieło Lombroso'a, zawierające w sobie wiele faktów nowych i ciekawych, można przeczytać z korzyścią; nie należy tylko twierdzić i wniosków autora uważać za ostatni wyraz prawdy. Cała praca nie odznacza się ścisłością naukową; Lombroso jest zbyt pospieszny w uogólnianiu i wyciąganiu zbyt wielu wniosków ze stosunkowo małej liczby odnośnych faktów.

Tłómaczenie jest wysoce wadliwem, i to pod względem literackim i naukowym, ponieważ grzeszy często przeciwko językowi i, nie uwzględnia terminologii naukowej polskiej. Nowo ukute wyrazy utrudniają zrozumienie dzieła. Exempli gratia: Str. 12 „wielu znanych myślicieli podlegało dziwnym drganiom nerwowym i odznaczało się ruchami nieumiarkowanymi, — t. j. choreicznymi.” Czyż ruchy nieumiarkowane i choreiczne to jedno? Patologia uczy nas, że chorea (po polsku płasawica) objawia się ruchami bezwłasnowolnymi i bezcelowymi w grupach mięśni dowolnych; czyż można więc identyfikować ruchy „nieumiarkowane” z „choreicznymi.”

Ibid. w. 18-y: „Piotr Wielki doświadczał drgawki konwulsyjnej” i t. d. Wyrazu „drgawki” używamy w terminologii lekarskiej tylko w liczbie mnogiej, można więc tylko powiedzieć „drgawek konwulsyjnych.” Na str. 29 wiersz 3-ci czytamy rusycyzm: „r z e c z w t é m” zamiast: „zależy na tém.” Na str. 41 w. 3-ci czytamy: „nerek podśrodkowe;” anatomia opisowa uczy tylko o istnieniu 2-ch nerek, leżących z lewej i prawej strony kręgosłupa, nie zna zaś wcale „nerek podśrodkowych.”

Czytamy dalej niemal wszędzie „newrozizm” (str. 64) „newroza,” kiedy mamy na to utarty polski wyraz, przyjęty oddawna w terminologii lekarskiej: „nerwica.” Na str. 67 w. 7 od dołu przeraża nas nieznaną dotychczas furja lingwistyczna w wyrazie: „waryatowaty.”

<sup>1)</sup> Szan. referent nie uwzględnił różnicy, jaka zachodzi między umysłami takimi, jak Kopler a Dante, M. Anioł, Goethe i i. — Subtelne to nader zadanie psychologiczne; ale mówiąc o tej kwestyi, nie można jej w milczeniu pominąć.



Co znaczy „oxycephalom (str. 72 w. 10 od dołu? Na str. 85 czytamy tłumaczenie wyrazu „spermatorea” przez „wysięk nasienia.“ Spermatorea z greckiego σπερμα= nasienie i ρέω= płynę, znaczy wypływ nasienia, kiedy wysięk w znaczeniu anatomo-patologiczném znaczy produkt zapalny. Posiadamy zresztą dawno utarty termin: „nasieniotok.” Wyrażenie więc „wysięk nasienia” jest absurdem. Na str. 96: „wysuszenie mlecza pacierzowego” zamiast „wiad” mlecza pacierzowego, boć go na słońcu dotychczas nie suszono.

Na str. 134: „parezycy,” co trzeba przetłumaczyć po polsku cierpiący na niedowład. Str. 153 „parezyak;” str. 160 „newroz yk.” Często obraża ucho polskie wyraz tak cudacki jak „choreik.” Str. 228 zdumiewa nas wyrażenie „wrażliwość wynaturzona;” bo nie możemy sobie wyobrazić pojęcia, które tłumacz przez takie wysłowienie chciał wyrazić. Szerzące się coraz bardziej lekceważenie poprawności stylu i języka zwłaszcza w tłumaczeniach z języków obcych, powinno i w oczach tłumacza usprawiedliwić uwagi nasze.

*Ch.*

## Korespondencya.

---

Jeden z czytelników „Biblioteki Warszawskiej,” p. Z. M., przeczytawszy w ostatnim zeszycie Biblioteki artykuł niżej podpisanego w kwestyi szczepienia wścieklicziny metodą Pasteur'a, wystosował do autora szereg zapytań, na które interpelowany odpowiada w sposób następujący:

Przedewszystkiēm oświadczyć muszę panu Z. M., że na wiele pytań, z którymi się do mnie zgłasza, znaleźć może dokładną odpowiedź w samym artykule, a zwracając się do szczegółów nadmieniam co następuje:

1. Jest zupełnie rzeczą obojętną dla pomyslnego skutku szczepień metodą Pasteur'a, w którym miejscu organizmu będziemy je wykonywać.

2. Z dotychczasowych doświadczeń zdaje się wynikać ten wniosek, że wiek pokąsanego nie wywiera żadnego wpływu na pomyslny skutek szczepień ochronnych.

3. Dla czego metoda Pasteur'a w pewnych wypadkach uwięczoną bywa powodzeniem, w drugich zaś — okazuje się zupełnie nieskuteczną, nie jestem w możności objaśnić pytającego przy obecnym stanie wiedzy w tēj kwestyi. Nadmienięm tēż w samym artykule, iż szczepień leczniczych metodą Pasteurowską wykonywanych, nie można w żaden sposób uważać za ostatni wyraz prawdy. Sam Pasteur zgodził się w ostatnich czasach ze zdaniem wielu pierwszorzędnych badaczy, iż metoda jego bezwzględnie prawdziwą jeszcze nie jest. Metoda Pasteur'a zmniejsza znacznie, jak to wykazałem, procent śmiertelności uległych wścieklicznie, ale nie można twierdzić, żeby każdego pokąsanego przez psa wściekłego zabezpieczyć mogła. Trzeba w każdym razie czekać na dalsze badania w tēj kwestyi.

4. O ile nam wiadomo ani w Niemczech, ani w Austro-Węgrzech nie stosują jeszcze metody Pasteura. W Wiedniu owszem prof. Frisch doszedł do odmiennych rezultatów i dla tego stawia ciężkie zarzuty metodzie uczonego francuzkiego. Zdaje się jednak, iż do doświadczeń prof. Frisch'a wkrađły się poważne błędy.

W Rosyi wykonywa szczepienia metodą Pasteur'a dr. Bardach w Odessie.

Warszawa, d. 18 listopada 1887 r.

Dr. Wł. Chodecki.



## KRONIKA MIESIĘCZNA.

Ogólny rzut oka na sytuacją europejską. — Zezwolenie ministra oświecenia publ. w Petersburgu na rozszerzenie w uniwersytecie warszawskim wykładów historii i literatury rosyjskiej, historii literatury powszechnej i historii filozofii. — Uchwały wiecu polskiego w Poznaniu d. 15 listopada r. b. w sprawie nauki języka polskiego i religii w szkołach ludowych. — Z ruchu naukowego: Sprawozdanie z 2-ch posiedzeń Komisji historii sztuki w Akademii umiej. w Krakowie (21-go paźdz. i 5-go listop. r. b.); — Posiedzenie komisji fizyograficznej dn. 28 paźdz. r. b. — Posiedzenie komisji archeologicznej dnia 19-go listopada r. b. — Posiedzenie Towarzystwa historycznego we Lwowie dnia 19-go listopada (Wykład p. Hordyńskiego „O Filaretach“ wileńskich). — Wiadomość o kolejach, jakie przechodziły akta „Motyryki litewskiej“ od roku 1794-go aż do chwili przewiezienia ich z Petersburga do Moskwy w dniu 6 paźdz. 1887 r. — Nowoodkryty skarb archeologiczny w Zakrzewie na Szlązku z III-go wieku po Chr. — Z ekonomiki: P. Zarianko; „Co to są Sosnowice?“ — Memoryał kupców i przemysłowców łódzkich. — Narady producentów chmielu. — Kasy pożyczkowe rzemieślników. — Spółka owocowa. — Zakończenie obrad w Towarzystwie popierania przemysłu i handlu. — Podwyżka cła w widokach podniesienia dochodów państwa. — Wnioski Rady gospodarczej niemieckiej w kwestyi podwyższenia cła od zboża i produktów rolnych.

Po względném uspokojeniu, jakie w miesiącu październiku kronika nasza zapisać mogła, nastąpiło w listopadzie tym gwałtowniejsze wzburzenie, a nawet groźny zamęt interesów politycznych i ekonomicznych w Europie, zamęt, zwiastujący nieomal blizkie gromy burzy, wiszącej od kilku lat nad ludnością europejską, zgnękaną ciężarem rosnących wydatków wojskowych. Nowe przesilenie nie tylko ministeryalnie, ale rządowo-konstytucyjne we Francyi, wywołane gwałtownym naciskiem radykalizmu, wywraca stanowisko prezydenta Rzeczypospolitej, Greve'go. Nie milknący nawet po spotkaniu się Najjaśniejszego Cesarza rosyjskiego z cesarzem Wilhelmem w Berlinie antagonizm Niemiec i Rosyi na polu interesów ekonomicznych i politycznych, wystąpił w jaskrawszóm jeszcze świetle przy otwarciu parlamentu niemieckiego

w Berlinie. Mowa korony, odczytana przy otwarciu parlamentu przez ministra Böttchera dnia 24-go listopada r. b., zapowiedziała, zgodnie z wnioskami Rady gospodarczej (o których szczegółowiej mówimy w końcu kroniki niniejszej), niepomierne podwyższenie cła na zboże przywożone do krajów niemieckich, oraz nową organizacją obrony krajowej (landwehr) i pospolitego ruszenia (landszturm), w celu ponownego w r. b. wzmocnienia siły obronnej Niemiec, przy czém nie obeszło się bez ogólnych pogroźek względem sąsiadów, czychających rzekomo na bezpieczeństwo cesarstwa niemieckiego. Zadufany w swoją potęgę, związek państw Europy środkowej nie znajduje w danej chwili odpowiedniej przeciwwagi w aspiracjach aliansu francuzko-rosyjskiego, gdyż niepewność stanu rzeczy w Paryżu nie ośmiela do żadnego kroku poważniejszego na tój przechwalanej zbyt ostentacyjnie arenie.

Gwałtowna represya w Irlandyi nie przyczynia się do tłumienia rozruchów anarchicznych w Londynie, naznaczonych groźnym krwi rozlewem.

Wachanie się sułtana w Konstantynopolu co do zatwierdzenia konwencji suezkiej, zawartej między Anglią i Francją, nie ułatwia uspokojenia zawichrzonych stosunków politycznych na Wschodzie.

Poza temi niepokojącemi faktami, budzi prawdziwe współczucie w kołach szerokich przygotowująca się katastrofa tragiczna w San-Remo!

Obok tych zjawisk posępnych wznosi się coraz majestatyczniej świetlane nader widowisko objawów uczuć jak najsympatyczniejszych dla Ojca św., Leona XIII-go, z powodu zbliżającego się 50-letniego jubileuszu Jego kapłaństwa. Jubileusz ten pragną niemal na wysiggi uczcić nie tylko monarchowie i ludy katolickie, ale i panujący rozmaitych wyznań ze wszystkich krańców kuli ziemskiej; przesyłają bowiem powinszowania i dary swoje Ojcu św. do Rzymu cesarz niemiecki i cesarzowa, królowa Wiktoryya, cesarz chiński, cesarz japoński, szach perski, sułtan, rozmaici królikowie afrykańscy i w. i. Nie brak wprawdzie i mniejszych, ale tym butniejszych głosów szyderczych z tego powodu, echo atoli tój filipiki, „miażdżącej papieża,“ przebrzmie bez śladu nim do Alp doleci,—nie przedostanie się ultra montes; w kraju zaś krucyaty żadnej wywołać niepotrafi, chociaż systematycznie od tyłu lat do niej pobudzał!

W obec tych wszystkich zjawisk, budzących interes jaknajogólniejszy, zwraca w tój chwili Paryż w najwyższym stopniu uwagę rządów i narodów europejskich na siebie, bo kilkunastoletnie rządy republikańskie w Paryżu dały wszystkim ludom jak najdotkliwiej uczuć brak Francyi w Europie, brak tój Francyi, która—bądź co bądź



—podtrzymywała sztandar postępu i oświaty europejskiej z dumą przewodniczki cywilizacji. Z upadkiem Francji ośmielono się nagrawać i sztydzić z prawa narodów!

Każdy przyjaciel postępu musi ubolewać nad t $\acute{e}$ m, że republikanie francuzcy prowadz $\acute{a}$  polityk $\acute{e}$  osobist $\acute{a}$  a nie francuzk $\acute{a}$ , i to nie tylko ze wzgl $\acute{e}$ du na samych francuz $\acute{o}$ w, ale i ze wzgl $\acute{e}$ d $\acute{o}$ w na wszystkie narody, kt $\acute{o}$ re pragn $\acute{a}$  racjonalnego, organicznego i pokojowego rozwoju swego. „Jest to kl $\acute{e}$ ska nie tylko dla Francji, ale dla ca $\acute{ł}$ ej Europy, m $\acute{o}$ wi jeden z organ $\acute{o}$ w niemieckich, gdy pa $\acute{n}$ stwo tak wielkie i tak pot $\acute{e}$ żne, jak Francja, w coraz wi $\acute{e}$ kszy zam $\acute{e}$ t si $\acute{e}$  pogr $\acute{a}$ ża i przez to zrzeka si $\acute{e}$  dobrowolnie znaczenia, jakie mu w Europie przys $\acute{t}$ uguje. Nieprawid $\acute{l}$ owosc stosunk $\acute{o}$ w francuzkich, niepodobienstwo obliczenia z g $\acute{o}$ ry kształtowania si $\acute{e}$  we Francji urz $\acute{a}$ dze $\acute{n}$  pa $\acute{n}$ stwowych, jest z $\acute{r}$ o $\acute{d$ l $\acute{e}$ m ci $\acute{a}$ g $\acute{l}$ ego zaniepokojenia nawet s $\acute{a}$ sia $\acute{d}$ o $\acute{w}$  Francji, i dla tego ka $\acute{z}$ dy nar $\acute{o}$ d ma prawo pragn $\acute{a}$ ć,  $\acute{a}$ żeby francuzi jak najpr $\acute{e}$ dz $\acute{e}$ j z partyzant $\acute{o}$ w zamienili si $\acute{e}$  w patryot $\acute{o}$ w.”

W Austro-W $\acute{e}$ grzech uko $\acute{n}$ czyły delegacje swoje prace zwyczajnie ku zupełnemu zadowoleniu rz $\acute{a}$ du, gdy $\acute{z}$  dostrzegane przez niekt $\acute{o$ re organa prasy europejskiej subtelne r $\acute{o}$ żnice deklaracji ministra Kalnoky'ego w obec delegat $\acute{o}$ w przedlitawskich a w $\acute{e}$ gierskich w pogl $\acute{a}$ dach na spraw $\acute{e}$  bu $\acute{l}$ garsk $\acute{a}$ , miały tylko znaczenie akademickie. Po zamkni $\acute{e}$ ciu delegacji rozpocz $\acute{e}$ ły sejmy krajowe swoje mozolne a rzadko kiedy widocznym skutkiem uwie $\acute{n}$ czone czynności.

Obra $\acute{d}$ uj $\acute{a}$ cy od paru tygodni parlament w $\acute{o}$ lski nie nast $\acute{r}$ czył dotychczas sposobności do rozbi $\acute{o}$ ru interes $\acute{o}$ w znaczenia uniwersaln $\acute{i}$ szego.

Z naszych miejscowych stosunk $\acute{o}$ w, o kt $\acute{o$ rych pod wzgl $\acute{e}$ dem ekonomicznym ni $\acute{z}$ ej m $\acute{o}$ wić b $\acute{e}$ dziemy, zaznaczyć w t $\acute{e}$ m miejscu trzeba, że stosownie do przedstawienia rady uniwersytetu warszawskiego, ministeryum o $\acute{w}$ wiecenia publicznego zezwoli $\acute{l}$ o na rozszerzenie wykład $\acute{o}$ w historii literatury rosyjskiej, literatury powszechn $\acute{e}$ j i historii filozofii na wszystkich czterech kursach wydziału historyczno-filologicznego. Koncesja ta ma nie ma $\acute{l}$ e znaczenie, zw $\acute{l}$ aszcz $\acute{a}$  z tego wzgl $\acute{e}$ du, że wykład nie $\acute{s}$ cie $\acute{s$ niony wszystkich g $\acute{a}$ ł $\acute{e}$ zi filozofii a mianowicie psychologii i logiki jest podstaw $\acute{a}$  i niezb $\acute{e}$ dny $\acute{m}$  warunkiem przysposobienia student $\acute{o}$ w do badania samodzielnego, do krytyki naukowej, gruntown $\acute{e}$ j, s $\acute{l}$ owem: do metodologicznego badania przedmiot $\acute{o}$ w naukowych w og $\acute{o$ le.

Zapowiadany od miesi $\acute{a}$ ca wiec ludności polskiej w Kr $\acute{o}$ lestwie pruskiem, w sprawie nauczania j $\acute{e}$ zyka polskiego i religii w szkołach ludowych, odbył si $\acute{e}$  dnia 15 listopada w Poznaniu, przy wsp $\acute{o}$ łdziale uczestnik $\acute{o}$ w wszystkich stan $\acute{o}$ w z W. Ks. Pozna $\acute{n}$ skiego, z Prus zachod-

nich, Mazurów, Warmii oraz ze Szlązka. Trzymając się ściśle legalnej drogi, na której polacy pod berłem pruskim od dawna już starają się bronić narodowości swojej <sup>1)</sup>, rozbierali kompetentni mówcy znaczenie i doniosłość wrogich nam ostatnich rozporządzeń rządowych, po czym objaśnieni liczni uczestnicy wiecu postanowili jednomyślnością głosów dwie uchwały, z których jedna, przeznaczona dla wiadomości rządu i opinii publicznej w całych Niemczech, druga dla nauki własnego społeczeństwa.

Pierwsza pod tyt.: „Oświadczenie polaków z pod panowania pruskiego, zebranych na wiecu w Poznaniu dnia 15 listopada r. 1887 opiewa:

„Na mocy rozkazu niewiadomego pochodzenia i nieznannej daty, zaprzestano od 1 paźdz. 1887 r. w szkołach elementarnych uczyć dzieci nasze polskiego czytania i pisania—tak że obecnie na Górnym Szlązku, na Warmii, w Prusach zachodnich, w Wielkiem Księstwie Poznańskiem dawniejsze t. zw. dwujęzyczne szkoły elementarne, pozbawione zostały wszelkiego znamienia polskości i zamienione są na szkoły czysto niemieckie.

Ponieważ do szkół tych chodzi przeszło 300,000 dzieci polskich, mających prawo do kształcenia się we własnym języku, ćwiczenia się w polskim czytaniu i pisaniu, oraz do uczenia się religii w ojczystym języku, przeto my, Polacy, ze wszystkich dzielnic polskich, pod panowaniem pruskim zostających, zgromadzeni w dniu 15-ym listopada r. 1887 na walnym wiecu w Poznaniu,—wyrażamy głośno i publicznie zdumienie i ubolewanie nasze z powodu powyższego rozporządzenia, oraz świadomość wyrządzonej nam przez to krzywdy.

Zniesienie nauki języka polskiego w szkołach, przeznaczonych dla dzieci wyłącznie lub przeważnie polskich, nie tylko sprzeciwia się prawom Boskim i przyrodzonym, oraz najprostszym zasadom zdrowej pedagogiki, ale nadto przeciwne jest międzynarodowym stypulacjom i uroczystym przyrzeczeniom królewskim, jakie otrzymała przeważna część ludności pod panowaniem pruskim, w skutkach zaś swoich doprowadziłyby nieuchronnie do umysłowego i moralnego skartłowacenia, do materyjalnego upadku przyszłych pokoleń.

Jako obywatele państwa z pod ustaw konstytucyjnych nie wyjęci, mamy nie tylko prawo, ale i obowiązek żądać, żeby i wobec nas przestrzegano zasady Bożkiego i ludzkiego porządku, który nakazuje po wszystkie wieki szanować język każdego narodu i który niezatartemi głoskami wypisany został palcem Bożym w prawie natury: „Co tobie nie miło, tego drugiemu nie czyń.“

Powołując się na ten porządek Bożki i przyrodzony, stwierdzony nadto uroczystym zapewnieniem, że przeważnej części ludności polskiej, pod panowaniem pruskim zostającej, poręczono poszanowanie języka polskiego traktatami międzynarodowymi i innymi przyrzecze-

<sup>1)</sup> Zob. Bibl. Warsz. z r. b. zes. marzec, str. 338—356.



niami królów pruskich, a mianowicie: traktatami między Prusami, Rosją i Austryą z dnia 3-go maja 1815-go r., odezwą króla Fryderyka Wilhelma III-go z dnia 15-go maja 1815-go r., aktem finalnym kongresu wiedeńskiego z dnia 9-go czerwca 1815-go r.; królowie zaś pruscy w swoim i następców swoich imieniu przyrzekli wiernie dotrzymać onych międzynarodowych stypulacyi i warunków.

Na tę podstawę naszego-prawno politycznego stosunku do monarchii pruskiej, „na słowa królewskie, nazywające przywiązanie do swego języka, obyczaju i wspomnień dziejowych chwalebny i godnym uszanowania, na słowa królewskie, zaręczające naszemu językowi równouprawnione stanowisko we wszelkich sprawach i czynnościach urzędowych,—powoływaliśmy się od lat z górą 70-ciu i na nie też nie przestaniemy się odwoływać, mimo dotkliwych ciosów, jakie na nas nieustannie spadają.

Wypełniając porównano z innymi wszystkie obowiązki poddanych, płacąc podatek mienia i krwi naszój, tak w czasie pokoju, jako też w czasie wojny, ponosząc tak wielkie ciężary przy zakładaniu, a zwłaszcza utrzymywaniu szkół ludowych, mamy równe z innymi prawo do korzyści, jakie szkoła uczniom swym i społeczeństwu zapewniać powinna, a które zapewnić może jedynie na podstawie ojczyźstego języka, jak to uznaje pedagogika całego ucywilizowanego świata.

Ostatnie rozporządzenie dotyka nas niemniej boleśnie przez to, że dzieci nasze, nie nauczywszy się w szkole po polsku czytać, nie będą mogły korzystać z nauk religii św., nie będą się mogły kształcić, ani rozwijać moralnie za pomocą katechizmu, ani książek budujących, i że ostatecznie w tym stanie moralnego zaniedbania łatwo stać się mogą przystępnymi dla zgubnych podszeptów ludzi społecznego przewrotu.

Na rozliczne petycje, zanoszone w ostatnim lat dziesiątku do różnych instancyi, nie doczekaliśmy się żadnej ulgi ani naprawy tych niedostatków, na które się żaliliśmy.

Dzisiaj przeto nie pozostaje nam chwilowo nic innego, jak oświadczyć, że protestujemy przeciw wykluczeniu języka polskiego ze szkół naszych; równocześnie atoli odzywamy się do szanownych posłów naszych i wyrażając im pełne wdzięczności uznanie za dotychczasową obronę praw naszych; wypowiadamy przekonanie, że tę głośną żądobę naszą zaniósł przed sąd opinii publicznej i wykażą ogrom tej krzywdy, jaka nas spotyka.

My zaś, obywatele wszystkich dzielnic Polski pod panowaniem pruskim, pomni praw i obowiązków swoich, oświadczamy uroczyście przed Bogiem, któremu spraw naszych z ufnością polecać nie przestaniemy i przed wszystkimi ludźmi dobrej woli, że nie pominiemy żadnego legalnego środka obrony i nie przestaniemy dokładać wszelkich starań, aby w młodzieży naszój utrzymać świadomość dziejowej przeszłości i nauczyć ją, że pod panowaniem pruskim ma wszelkie prawo być i pozostać polską, zachować wiarg ojców, język ojczyzty, zwyczaje i obyczaje narodowe.“

Druga uchwała, postanowiona po gruntowném objaśnieniu przedmiotu przez ks. Kanteckiego, wskazuje wyraźnie środki, za pomocą których ludność ma się ochronić przed szkodliwemi następstwami nowych urządzeń szkolnych i opiewa co następuje: „Zebrani na walnym wiecu poznańskim Polacy z pod panowania pruskiego oświadczają: 1) że wobec zupełnego usunięcia nauki języka polskiego ze szkół, dołożą wszelkich starań, ażeby dom rodzinny uzupełnił ten bolesny niedostatek i nauczył dzieci polskie czytać i pisać w ojczystym języku; 2) opiece czcigodnego duchowieństwa i całego ogółu polecają tę zwłaszcza niešťczęśliwą dźiatwę, która w domu rodzicielskim nie będzie miała sposobności do nauczania się po polsku czytać i pisać; 3) wybierają komisję, złożoną z pp. ks. prob. Antoniewicza z Bnina, Adama Kościelskiego z Sepna, dr. Jerzykowskiego z Poznania, Michała Więckowskiego z Poznania i Karola Kozłowskiego, z prawem kooptacy i wyrażają życzenie, aby taż komisja zajęła się przygotowaniem i szerzeniem elementarzy, katechizmów i innych odpowiednich książek polskich, a nadto zajęła się tém wszystkiém, co skuteczném być może do tego, aby dzieci polskie nauczyły się czytać i pisać po polsku.“

Dnia 21 października r. b. odbyło się w Akademii umiejętności w Krakowie posiedzenie Komisji historycznej Sztuki, na którém rozpatrywano z wielkiém zajęciem nadesłane przez p. L. Wierzbickiego ze Lwowa zdjęcie polichromicznej dekoracyi drewnianej synagogi we wschodniej Galicyi i uchwalono rysunki te, jako nader ważny i piękny przykład połączenia motywów ornamentacyi wschodniej i symboliki hebrajskiej ze stylem późno renesansowym, ogłosić w wydawnictwach komisji. P. Leonard Lepszy opisywał szczegółowo starożytne naczynie miedziane z inkrustowanemi srebrnemi figurami rycerzy, wpuszczone w chrzcielnicę katedry ormiańskiej we Lwowie. W nawiązanej do tego dyskusyi o ciekawszych, a mało zbadanych zabytkach sztuki ormiańskiej i żydowskiej w Galicyi, tudzież o wpływie ich aż w XVIII-y wiek sięgającym na niektóre gałęzie nauki narodu naszego, wzięli udział pp. Łuszczkiewicz, Sokołowski, Lepszy i Odrzywolski. Po przyjęciu przez komisję z wdzięcznością do wiadomości nadesłanego przez ks. Siarkowskiego z Kielc rysunku średniowiecznej miedzicy mosiężnej trybowanej, znajdującęj się w kościele w Siewierzu, p. Lepszy zdawał sprawę z artystycznej i technicznej wartości cenniejszych zabytków sztuki złotniczej ze skarbcza kościoła parafialnego w Wieliczce i rzecz swoje objaśniał licznemi rysunkami i fotografiami. Poczem pan Tomkowicz udzielił wiadomości o domu z liczbą 2 „pod jagnięciem” na rynku w Krakowie, zawierającym cenne zabytki dekoracyi i rzeźby kamienne z czasów późnego odrodzenia, a jak się obecnie pokazuje, należącym w XVII wieku do spadkobierców Gucego, rzeźbiarza włocho, który był twórcą wspaniałego pomnika Stefana Batorego w katedrze Krakowskiej który może sam wzięł udział w budowie kamienicy swojej. Następ-



nie przedstawiono rysunek ważnego zabytku drewnianego budynku stylu gotyckiego w Polsce w Kreścienku pod Krosnem i zawarte w nim dzieje dawnego ślusarstwa wiejskiego, niepozbawionego cechy artystycznej, przy czém w dłuższej dyskusyi pp. Sokołowski i Łuszczkiewicz charakteryzowali ważniejsze pomniki budownictwa drewnianego u nas i jego dekoracyi w XVII w., jak np. w Gosprzydowy i Binarowy. Wreszcie p. Władysław Bartynowski zdawał obszernie sprawę z wydanéj niedawno książeczki p. Mathiasa Bersohna „O rytownikach gdańskich.”

Dnia 5 listopada odbyło się w Akademii umiejętności w Krakowie drugie posiedzenie komisyi historii sztuki, na którém zarząd przedstawił obecnym świeżo do Akademii nadeszły nowy zeszyt „Drewnosti” archeologicznego Towarzystwa w Moskwie, któremu za nadeślanie tego zajmującego i cennego wydawnictwa uchwaliła komisya wyrazić podziękowanie. Następnie Konstanty hr. Przędziecki przedstawił miniaturowy starożytny tryptyk drewniany, będący własnością Karolowej hr. Przędzieckiej, a odznaczający się przez to, że obok wyraźnego stylu wschodniego malowań, napisy na obrazkach są łacińskie, a Matka Bozka typem swoim zbliżoną jest do Matki Bozkiej Częstochowskiej, oraz duży obraz starożytny Matki Bozkiej Częstochowskiej z niezwykłą koroną bardzo realistycznie traktowaną, a mającą kształt mitry biskupiej roboty złotniczej i przyozdobionej narzędziami Męgi Pańskiej. O tych obydwóch przedmiotach p. P. dłuższe dawał objaśnienia, z których wynika, że tryptyk jest prawdopodobnie pochodzenia weneckiego; może nawet zawiera kopią sławnego cudownego obrazu, przechowywanego w skarbcu weneckim; korona zaś w kształcie infuły właściwą jest tylko najstarszym kopiom Matki Bozkiej Częstochowskiej. Styl jéj potwierdzać się zdaje przypuszczenie, iż taka korona w dawnych czasach rzeczywiście obraz ten zdobiła. Ostatni obraz, pochodzący z dawnej cerkwi na Podolu, wedle podania, był wprawiony w ołtarz obozowy ks. Ostrońskiego. Oba przedmioty zostaną obecnie wystawione w Muzeum narodowem. Przewodniczący p. Łuszczkiewicz okazał następnie zamówione umyślnie rysunkowe kopie dwóch dzieł cechowego malarstwa polskiego z szesnastego wieku, znajdujących się w drewnianym kościele w Grzybowie, mianowicie: św. Zofia z córkami i nad nią 7 koron w powietrzu, tudzież mały Pan Jezus pomiędzy Matką Bozką i św. Anną w otoczeniu licznój rodziny. W dyskusyi nad tym przedmiotem p. M. Sokołowski zaznaczył pokrewieństwo obu tych zabytków z obrazami szkoły szlązkiej XVI wieku, po czém uchwalono reprodukcją ich umieścić w wydawnictwach komisyi. P. Łuszczkiewicz zawiadomił dalej o nadejściu do Muzeum narodowego odlewów gipsowych (wykonanych przez zakład p. Krzyżanowskiego w Poznaniu) z kilku nader cennych zabytków romańskiej rzeźby w Strzelnie w Wielkopolsce, a obecni zwracali uwagę na to, iż

w Polsce znajduje się stosunkowo znaczna liczba rzeźb z XII i XIII wieku, będących nawet w Niemczech rzadkością, i byłoby rzeczą bardzo pożądaną, aby zebrać z nich zupełny zbiór odlewów gipsowych. Ale gdy Muzeum narodowe nie posiada na to funduszu, a zabytki te rozrzucone są w najrozmaitszych okolicach ziemi wielkopolskiej, wyrażono nadzieję, iż w sąsiedztwie takich miejscowości znajdą się obywatele, którzy zechcą dostarczyć cennego zabytku zbiorom Muzeum narodowego, a zarazem oddać znamienitą przysługę sprawie badań naukowych nad sztuką w Polsce nie wielkim ze swojej strony zachodem i nakładem na kosztą sprowadzenia na jeden dzień robotnika kamienniarzkiego z jakiego poblizkiego miasta. Wreszcie postanowiono ogłosić drukiem i rozesłać w najbliższym czasie protokoły posiedzeń komisji za czas ostatni, jako osobną odbitkę z przyszłego zeszytu Sprawozdań, dla szybszego podzielenia się ze światem naukowym ważniejszymi wiadomościami i uagromadzonym materiałem źródłowym.

W Akademii Umiejętności odbyło się dnia 28 paźdź. r. b. posiedzenie naukowe komisji fizyograficznej pod przewodnictwem prof. dra Rostafińskiego. Przewodniczący wspomniał o dotkliwej stracie, jaką komisya poniosła przez śmierć prof. dra Kuczyńskiego z Krakowa, i J. Bąkowskiego we Lwowie, któremu komisya zawdzięcza znaczne pomnożenie swych zbiorów malakologicznych. Następnie powitał przewodniczący prof. dr. Kreutz, który po przeniesieniu się do Krakowa, po dłuższej przerwie od r. 1867, przeszedł znowu na listę członków miejscowych komisji. Prof. dr. Kreutz, nawiązując swe przemówienie do dyskusji, streszczonój w protokóle z ostatniego posiedzenia, zwrócił uwagę na potrzebę zbadania chemicznego i mikroskopowego wód studziennych w okolicach, w których pojawiają się wole endemiczne. Powołał się przytém dr. Kreutz na badania najnowsze w tym kierunku, przeprowadzone w Szwajcaryi, podług których w okolicach, nawiedzonych wolem znajduje się w studniach pewien gatunek bakteryj, niepojawiający się w innych okolicach, przywiązany do pewnych tylko formacji geologicznych. W dyskusji zabierali głos, oprócz dra Kreutza, dr. Rostafiński, dr. Szajnocha, p. M. Raciborski i dr. Jaworowski. W sprawie téj postanowiono oczekiwać skutków konkursu, rozpisanego przez wydział lekarski Uniwersytetu Jagiellońskiego na zbadanie zależności wola endemicznego od zewnętrznych warunków. Prof. dr. Wierzejski podał kilka spostrzeżeń, zrobionych na okazach much, pojawiających się w jesieni, z których wynika, że nie wszystkie owady giną w czasie bardzo krótkim po dojściu do stanu doskonałego i zniesieniu jaj. Nie wydaje się rzeczą niemożliwą, że okazy takie mogą po przezimowaniu znosić jaja powtórnie. W sprawie téj zabierał głos także dr. Jaworowski. Prof. dr. Karliński zawiadomił, że w krakowskiem obserwatorium pojawiają się co rok w miesiącach letnich dwa gatunki much w takiej ilości, że je ze ścian zmiatać i niszczyć trzeba. Wyjaśnienia



w tej sprawie dawali prof. dr. Wierzejski i p. J. Boehm.— P. M. Raciborski podał wiadomość, że w ciągu tegorocznych wycieczek znalazł na południowych stokach góry, nazwanej na mapach geograf. zakładu wojskowego „Niedźwiedziem,” w wysokości około 1200 m. modrzewie, przypominające pokrojem kosodrzew, z gałęziami dolnymi, czółgającymi się po ziemi, tudzież osobiwą formę rośliny Ledum palustre o liściach drobnych, a gałęziach czółgających się i tylko w wierzchołkach bardzo mało się podnoszących. Dr. Jaworowski opisał odkryty przez siebie w studniach krakowskich nowy gatunek z rodzaju *Quadrula*, wykazał jego różnice od gatunku *Quadrula symmetrica* i zdał sprawę z dotychczasowych swych badań nad rozwojem tego organizmu.— Wreszcie mówił p. F. Bieniasz o żwirach dyluwialnych w Galicyi wschodniej nad Dniestrem i jego dopływami. Z dokładnych poszukiwań nabrał p. Bieniasz przekonania, że żwiry te nie są ani w całości pochodzenia karpackiego, ani też lodowcowego, jak przypuszczano. Znaczna ich część utworzona jest, zdaniem p. B. z materiału, który należał do warstw kredowych, a który po ich zniszczeniu i zmyciu przez wodę wszedł w skład warstw trzeciorzędnych, a narreszcie w skład dyluwium. Karpackie żwiry znajdują się nad Dniestrem od Strychaniec aż do Korniowa przynajmniej, niżej zaś (aż po Okopy) są one pomieszane z miejscowemi, wreszcie pomiędzy Seretem a Zbruczem leżą tylko żwiry miejscowe. Przedstawiwszy wyniki swych badań w najogólniejszych zarysach, zastrzegł sobie pan Bieniasz dokładne opracowanie tej rzeczy na później. Zabierali głos w tej sprawie także dr. Kreutz, dr. Szajnocha i dr. Wierzejski. P. Bieniasz dawał wyjaśnienia co do oddzielenia właściwych karpackich żwirów od miejscowych, o których mówił, tudzież w sprawie przejścia żwirów ostatnich z miocenu do dyluwium. Dla braku czasu przerwano dyskusyą, uprosiwszy p. Bieniasza o dalsze szczegółowe wyjaśnienia na następnym posiedzeniu.

Na posiedzeniu Komisji archeologicznej Akademii Umiejętności dn. 19 listop. ks. kanonik Polkowski czytał rozprawę o Skarbcu katedry wrocławskiej, oraz o odkrytych tamże grobach i pomnikach biskupów: Nankera (†1341), Iodoka (†1467) i lubuskiego Stefana (†1345). Pan Leonard Lepszy opowiedział dzieje koreckiej fabryki porcelany, od chwili zawarcia w roku 1783 kontraktu między ks. stolnikiem litewskim (Czartoryskim), a dyrektorem tego zakładu, Franciszkiem, Mezezem, aż do jego upadku. P. dr. S. Tomkowicz okazał zabytek bóżniczy z pergaminu wycinanego wzorem koronki. P. T. Ziemięcki przedstawił wielki pacyfikał przesłicznej renesansowej roboty, z herbem Jastrzębiec, w roku 1543 sprawiony przez Józefa Jasińskiego do jednego z kościołów litewskich, a teraz chwilowo będący w Krakowie w celu sprzedaży, w rękach antykwarza. W dyskusyi nad tym nader cennym zabytkiem i nad czytaniami w przedmiotach wymienionych rozprawami, zabierali głos pp: M. Sokołowski, Łuszczkiewicz, Lepszy, Piekosiński.

Dnia 19 listopada r. b. na Posiedzeniu Towarzystwa historycznego we Lwowie przedstawił Zdzisław dr. Hordyński 1-szą część ciekawego nader studjum, odnoszącego się do pamiętnych akademickich towarzystw wileńskich, na podstawie nieznanego dotychczas materiału, nadesłanego do Towarzystwa przez dra Szelię. Korzystając z dosyć szczegółowej relacji „Gazety lwowskiej“ podajemy osnowę odczytu p. H. Materiał, o którym mówi p. H. zawarty jest w I tomie t. zw. tek Twardowskiego, rektora uniwersytetu wileńskiego w chwili procesu Filaretów. Twardowski wpisywał do tek swoich nie tylko wszystkie ważniejsze akty, odnoszące się do owych dni nader smutnych, ale i swoją korespondencją z kuratorem i władzami, niektóre zeznania w śledztwie uwięzionych Filaretów i t. d. Nie ma w nich jeszcze wszystkich papierów, potrzebnych do zupełnego wyświetlenia procesu, nie ma zeznań ani Zana ani Mickiewicza, ale jest bardzo wiele innych świadectw nadzwyczajnie ważnych, jak np. dokładne zeznanie Józefa Chodźki i t. p. W pierwszej części tej swojej pracy przedstawił p. H. organizację Towarzystwa; w drugiej mówić zamierzył o samym procesie. P. H. wskazał na panujący w ówczesnej Europie ogólny zwyczaj młodzieży akademickiej zawiązywania między sobą Towarzystw. Mówił potem o „Filomatach“ pierwszym Towarzystwie w Wilnie (1805—1806), niemieckim *Jugendbundzie*, z którego wiele §§-ów prawie żywcem wzięli Filareci. Naprzód powstał, wedle p. H. r. 1816 lub 17 Filomaci. Wchodzili do nich ludzie różnych zawodów w liczbie 7 (Zan, Mickiewicz, Łoziński i i.), mieli cele naukowe i moralne. Co zaś do celów politycznych, to p. H. sądzi, że jasnego jakiegoś celu politycznego nie mieli, chcieli działać na kolegów, ale tylko na podniesienie moralnego ich poziomu, byli idealistami, od myśli jakiegoś ruchu dalecy. Towarzystwo nosiło urzędowo nazwę: „Towarzystwo przyjaciół pożytecznej zabawy;“ za cel swój miało: wzajemne poznanie się i naukę. Sami zaś nazywali się Promienistymi, i jako tacy, mieli tajną organizację, mówili o teorii „promienkowania“ o jakichś nieokreślonych celach. Nazwisko „Promienistych“ niejasne zaniepokoiło rektora, starszuszka dobrego, ale mało energicznego, zaniepokoiło nawet opinią publiczną; Malewski rozwiązał je w czerwcu 1820-go; czas trwania jego liczy się więc prawie na tygodnie. Zan, uważany słusznie za inicjatora związków, musiał dać zapewnienie, że nie ma żadnego więcej towarzystwa młodzieży. Mimo to zawiązał właśnie towarzystwo tajnych promienistych, czyli Filaretów. Nad ustawami tego stowarzyszenia pracowali delegowani sześciu gron studenckich, podzielonych na kolory; także i niestudenci należeli do związku. Przewodniczącemu, którym był Zan, oddano władzę absolutną; mógł nawet rozwiązać towarzystwo, nikogo o to nie pytając. Ogłoszony na napisanie pieśni filareckiej konkurs wydał kilka utworów, ale żaden „jasno celu związku nie sformował.“ Jedno, coby wskazywało na cel taki, był zamiar wydania statystyki, w której mieli współpracować wszyscy członkowie.



Dla tego rozdano im drukowaną instrukcją, w której znajdowały się takie pytania, jak np. ile kosztowności jest w którymś dworze? jaki duch panuje w powiecie; między wojskiem, urzędnikami i t. p. Było to jednakże tylko tłumaczenie odnośnej instrukcyi rządowej rosyjskiej z r. 1812. W r. 1821 dowiedział się ks. Czartoryski, ówczesny kurator, o związkach, pisał o tém do Malewskiego; uspokajającym jego odpowiedziom wiary nie dawał, a 28 kwietnia 1822 r. polecił trzem profesorom zrobić śledztwo. Ci znaleźli niektóre poszluki, ale z nich wniosków nie wyciągali, tylko wszystko kuratorowi odstąpili. Ks. Czartoryski, przeczuwając złe skutki, nie dał się tém zbić z tropu. Przeciwnie postarał się, aby po Malewskim, który poszedł na emeryturę, został rektorem energiczny, jemu oddany Twardowski, temu zalecił ściśle badanie i śledzenie studentów. Rektor rozciągnął ten dozór bacznym nad wszystkimi uczniami, używał do tego dwóch bedeli, a niestety i uczniów, wiedział o każdej schadzce studenckiej i o niej kuratorowi donosił. Tymczasem jednak pod wpływem pierwszego śledztwa w kwietniu 1822 r. towarzystwo się formalnie rozwiązało. Odtąd istniały tylko schadzki najzaufańszych.— Rzecz tak ciekawa zapewne nie pozostanie długo w ukryciu; ale pojawi się niebawem w druku.

Metryka Litewska, w skutek decyzji rady państwa z dnia 15 (27) czerwca r. b., została dnia 6-go października r. b. wywieziona z senatu do Moskwy. Według wiadomości „Kraju“ ogółem odesłano do Moskwy ksiąg 1,046, pergaminów 390, map 19 i tablic genealogicznych 50. Wszystko to starannie ułożone zostało w 23 paki; cała wartość Metryki zaważyła 199 pudów. Obecnie Metryka będzie dołączona do archiwum ministerjum sprawiedliwości w Moskwie. Z tego powodu zapisujemy słów kilka o jej losach dawniejszych. Do Petersburga Metryka przewieziona została na skutek rozkazu imperatorowej Katarzyny, wydanego w dniu 21 m. listopada 1794 roku do Suworowa i polecającego mu, aby natychmiast wysłał obadwa archiwa koronne i litewskie, t. j. tak zwane Metryki, do Petersburga. Repnin wysłał archiwa przez Rygę pod eskortą jednego sztabs-oficera. W Petersburgu rozsegregowano dokumenta, i część dyplomatyczną oddano do kolegium spraw zagranicznych, a część wewnętrzną w czerwcu 1798 r. przekazano senatowi. Metrykę Koronną oddano z senatu rządowi pruskiemu, który po traktacie w Tylży przesłał ją do Warszawy. Pierwotnie archiwum państwowe litewskie znajdowało się w skarbcu na zamku Trockim; około roku 1511 znajdujemy już je w Wilnie w skarbcu. Po przepisaniu ksiąg w końcu wieku XVI, umieszczono Metrykę w następnym wieku w kamienicy prywatnej. W roku 1636 na chowanie akt i metryk W. Ks. Litew., obrócona była kamienica szlachetnego Jana Kluczaty w rynku miasta wileńskiego na końcu Rybnym, obok cerkwi ruskiej Zmartwychwstania Pańskiego stojąca. Przed rokiem 1751 archiwum metryki w. ks. litew. przeniesione zostało do Warszawy i tam uporządkowaniem jego zajął się w roku 1786 Adam Naru-

szewicz. Metryka pozostawała pod zarządem metrykanta. Ostatnim w Warszawie koronnym metrykantem był Cypryan Sowiński, litewskim Kaczanowski. W Petersburgu pierwszym metrykantem był Kozieł, po nim przez czas dłuższy urząd ten piastował radca tajny Franciszek Malewski, syn znanego rektora wileńskiego Szymona, dalej pełnili obowiązek metrykanta pp.: Korsak Zeiwerowicz, Sznuk; przed trzema laty zamianowany został p. St. Ptaszyci, który też Metrykę oddawał urzędnikom z Moskwy. Odtąd urząd metrykanta istnieje przestaje.

W bogatęj w przedhistoryczne zabytki szląskiej 'ziemi nadodrzańskiej' znaleziono bardzo cenny zbiór przedmiotów artystyczno-historycznej i etnograficznej wartości, o którym podała Gazeta lwowska (z du. 18-go listopada r. b. nr. 263-ci), następującą szczegółową wiadomość<sup>1)</sup>. W Zakrzewie, polskiej osadzie wiejskiej, w powiecie oleśnickim na Szlązku pruskim, odkryto trzy przedhistoryczne groby, pochodzące z epoki wędrówek narodów, a zawierające przedmioty w znamionach wyrobów rzymskich. Groby miały formę skrzyń, złożonych z potężnych płyt granitowych dwa i pół metra długości, a dwa i ćwierć metra szerokości. Wewnątrz skrzyń znaleziono pod metrowym nasypem ziemnym warstwę poziomą kamieni, po nad nią warstwę piasku, a na spodzie teje istne skarby archeologiczne. W pierwszym grobie znaleziono między innymi podstawę trójnożną z brązu na metr wysoką, zdobną bogatą płaskorzeźbą, sito z otworkami w deseń, tygiel z brązu, szklaną czarę, kamyczki szklane czarne i białe t. z. latrones, używane przez rzymian do gry na szachownicy, dobrze zachowane nożyce srebrne, podobne do nożyc, jakich dziś używa się do strzyżenia owiec, nóż srebrny, kościółek i szkatułę z litego srebra, naramiennicę złotą, naszyjnik z grubego złotego drutu, trzy złote szpiuki, cztery łuskowe spony, łyżeczkę, dwie bardzo piękne agrafy złote, potężny garnek gliniany i duże obrobione ziarno bursztynu. W drugim grobie znaleziono kilka srebrnych złotem inkrustowanych spon, duży naszyjnik, złożony z ośmiu złotych blach, luźną złotą blachę, ozdobioną krwawnikami, prześliczny ciemno-czerwony, złotem inkrustowany a na 9 ctm. długi bursztyn, dwie srebrne agrafy, kilka pierścieni z brązu, jeden pierścień srebrny z bursztynem osadzonym i 7 cm. długi a 4 cm. szeroki kawał żelaza. Znaleziono dalej naczynie drewniane z brązowem okuciem, inne z okuciem srebrnem, dużą pucharowego kształtu czarę ze szkła fioletowego, zdobną szlifowanemi wklęsłościami. W grobie trzecim znaleziono rozsadzony kociotek z brązu z trzema uszkami, w kociółku 28 czarnych i białych kamieni do gry, brązową złotem inkrustowaną sponę, cztery ornamentowe blachy, złote szpiuki, srebrne nożyce, łyżeczkę srebrną niezwykłego kształtu, nóż srebrny i ornamenta srebrne z bogato ozdobionęj szkatuły. W zachodniej części grobu dokopano się miejsca, gdzie ciało było złożone. Znaleziono w miejscu, gdzie lewa ręka trupa leżała, złoty ciężki naramiennik, trzy bardzo misterne

<sup>1)</sup> Zob. także Ateneum zesz. listop. r. b.



pierścionki, tak małe, iż je chyba tylko ręka nieletniej dziewicy nosić mogła. Dalej leżał zdobny ornamentami nożyk srebrny i 3 cm. gruba obęcz złota, jaką w owych czasach niewiasty głowę zdobiły. Poniżej w miejscu szyi trupa, leżał naszyjnik z wisiorkami misternej roboty a na piersiach 6 cm. długa złota szpilka rzeźbiona z niezwykłym artystyzmem. Dalej znaleziono złotą monetę wielkości dukata, ważącą 5 gramów, noszącą na awersie głowę rzymskiego cesarza, uwieńczoną i z napisem: JMP. CLAUDIUS AUG. na rewersie zaś: PAX EXERC, oraz kilka monet drobniejszych, a pomiędzy nimi jedną dętą z wizerunkiem rycerza rzymskiego i napisem: COS. III PONT. MAX. W innym miejscu grobu znaleziono szkatułę z drzewa i skóry, której wieko jest z płyty srebrnej. Na wewnętrznej stronie wieka przytwierdzono cztery srebrne medale z wizerunkami rycerza i napisami, pomiędzy nimi zaś złota gruba blacha z nieczytelnym napisem i głową rycerza. W szkatułce było kilka pereł bursztynowych. Obok szkatuły stała czarna szklana, przucidnej mozaikowej roboty (millefiori) wysoka na 4 cm. a o średnicy 9 1/2 cm. Wszystkie te przedmioty wystawione były w Muzeum szląckim w Wrocławiu, a później na kongresie archeologicznym w Norymberdze. O ile dotąd zbadano, przedmioty te odnoszą się do końca trzeciego stulecia ery chrześcijańskiej. Grób pierwszy zawierał zwłoki niewiasty, drugi rycerza a trzeci młodej dziewicy. Prawdopodobnie spoczęła w grobach zakrzewskich jakaś rodzina książęca, może jakiegoś księcia Gotów, który po stoczeniu walki z cesarem rzymskim Klaudyuszem II (Claudius Gothicus poraził Gotów r. 269 pod Naissus w dzisiejszej Bułgarii), w powrocie z małżonką i córką śmierć tu i grób znalazł.

Nieraz już mieliśmy sposobność zaznaczać zazdrosne zainteresowanie się rozwojem tak zwanego przemysłu kresowego, ze strony sfer przemysłowo-handlowych gubernii środkowych Cesarstwa. Ze źródła tego wypłynęły w swoim czasie namiętne artykuły dziennikarskie i jednostronne memoriały kupieckie. Obecnie mamy przed sobą rzecz ważniejszą, opartą na znajomości stosunków miejscowych, jakkolwiek również nie wolną od poglądów, tchnących jednostronnością i uprzedzeniem. Mówimy o broszurce p. N. S. Z a r i a n k i, wydanej przed niedawnym czasem w języku urzędowym, pod ponętnym tytułem: „Co to są Sosnowice?”

Autor przebiega pokrótce historią powstania Sosnowic, tudzież daje obraz obecnego stanu pomienionej osady fabrycznej. Początek rozwijania się Sosnowic, jako ogniska przemysłowego, datuje od czasu otwarcia tu komory w roku 1858-ym. Przedtém była to miejscowość pokryta lasem sosnowym, z glebą nieurodzajną. W roku 1860-ym nabył tu majątek poddany pruski, Gustaw von Kramsta, który, posiadając kopalnię cynku w Olkuskiem, założył w Sosnowicach odlewnię tego metalu. Od téj chwili zaczyna się szybki wzrost Sosnowic, który doszedł do punktu kulminacyjnego, gdy w roku 1881-ym otwarto tamże kopalnię wybornego węgla kamiennego hr. Renarda. Obecnie

Sosnowice posiadają fabryki, przerabiające cynk i żelazo, wyrabiające maszyny, kotły parowe, drut i liny druciane; przędzalnie wełny, fabryki wyrobów bawełnianych, sznurów, różnych przetworów chemicznych i farb, octu, kleju, mączki kościanej, huty szklane, mydlarnie, wapielnice, ceglarnie, młyny parowe i piekarnie, — wszystko to połączone z sobą siecią kolei konnych i kolejek nadpowietrznych. Specyalne odnogi kolejowe łączą zakłady ważniejsze z drogą żelazną Warszawsko-Wiedeńską i Iwangrodzko-Dąbrowską. Ruch i życie wre tu i kipi, a wartość produkcji Sosnowic wyrównywa już obecnie trzeciej części produkcji Łodzi, a połowie wytwórstwa Warszawy. Jak szybkim i olbrzymim zarazem jest wzrost fabrykacji w Sosnowicach, przekonywa następujące zestawienie cyfr.

	było tu fabryk	zatrudniających robotników	z wartością produkcji rocznej
w r. 1880	11	813	1,387,429
„ 1886 zaś	36	5,051	12,082,267

Wartość zatem produkcji powiększyła się o kolosalną cyfrę rs. 10,694,838.

Czarną stroną tego świetnego obrazu stanowi cudzoziemski charakter Sosnowic. Z liczby 36 fabryk 8 zaledwie, z produkcją wartującą nie więcej nad rs. 824,300 rocznie, należy do poddanych tutejszych, 28 zaś z produkcją roczną rs. 11,257,967 pozostaje w ręku cudzoziemców. W ogólnej cyfrze ludności Sosnowic, dosięgającej obecnie 9,916 osób, znajduje się cudzoziemców 4,442 czyli 45%, przy czém z liczby 5,051 robotników, zajętych w fabrykach i zakładach, zaledwie 1,106 (z których 672 cudzoziemców) zamieszkuje stale Sosnowice, reszta zaś (t. j. 3,945 osób) przebywa tu tylko chwilowo. Dodać należy jednak, że znaczna część robotników, przybywających tu co rano na robotę i każdego wieczora wracających do domu, należy do ludności, osiadłej w sąsiednich ziemiach dawniej Rzeczypospolitej, pozostających obecnie w ręku Pruskiém. Ludność ta, jakkolwiek w znaczeniu państwowém cudzoziemska, za taką jednak ze stanowiska narodowości pożywaną być nie może.

W dalszym ciągu swój pracy p. Zarianko zastanawia się nad przyczynami owego wyjątkowo szybkiego wzrostu Sosnowic i dochodzi do wniosku, iż złożyły się na to rozmaite okoliczności, jako to: obfitość wody oraz materiału budowlanego i opałowego, łatwość ich dostawy, jako też zarówno produktów surowych i na pół obrobionych, potrzebnych do fabrykacji, wreszcie taniłość robotnika, łatwa komunikacja ze światem i małe stosunkowo opodatkowanie. Co do ostatniego wszakże nie objaśnia Z., że przyczyna owego opodatkowania leży w charakterze Sosnowic, które, będąc dotychczas osadą, nie ponoszą ciężarów właściwych miastom. Nie dodaje również, że dźwignią potężną dzisiejszej pomyślności Sosnowic była bezwąpienia rzutkość, ruchliwość i umiejętne zastosowanie ulepszonych sposobów fabrykacji, ze strony osiadłych tu przedsiębiorców. Nie my będziemy się zachwy-



cali kwitnącym stanem dzisiejszych Sosnowic, w których osiedli przybysze tendecyjnie i systematycznie usuwają żywiół miejscowy od udziału w pracy i zarobku; lecz z drugiej strony, oceniwszy wyłączność i arogancją niemiecką według ich wartości, nie możemy nie wyznać, że dużoby nam od owych przybyszów uczyć się trzeba, że nie same okoliczności sprawiły, iż lwia część bogactw naszych idzie do kieszeni ludzi, należących do nieprzejednanej wrogiemu nam plemienia, że winy wreszcie szukać tu należy przedewszystkiem we własnej naszej niezaradności i lenistwie.

Memoryał pođany w Niższym Nowogrodzie p. zarządzającemu ministerstwem skarbu przez kupców i przemysłowców gubernii środkowych, o którym wzmiankowaliśmy w jednej z poprzednich kronik miesięcznych (patrz zeszyt z października r. b., str. 155 i dalsze), nie pozostał bez odpowiedzi ze strony najbardziej w nim zaatakowanych przedstawicieli przemysłu Królestwa. Mianowicie kupecy i przemysłowcy Łódzcy, zaniepokojeni projektami i żądaniem, wnoszeniem przez współzawodników dla pogńębienia rywilizującego okręgu fabrycznego, opracowali ze swojej strony memoriał, który specjalnie w tym celu wybrana deputacya zawiozła do Petersburga dla przedstawienia p. zarządzającemu ministerstwem. Memoriał ten, o ile wiemy, zestawia w kilku rysach warunki działania w obu okręgach współzawodniczących, oraz odpiera kategorycznie argumenty i wywody sformułowane w Niższym Nowogrodzie. Między innymi udowodniono tu na podstawie danych ścisłych, że w wielu razach koszt przewozu niezbędnych do fabrykacji materyałów surowych nierównie cięższm brzmieniem spadają na przemysł Królestwa, aniżeli na rywalizujący z nim przemysł cesarstwa, że nadto, jak to wykazały odpowiednie sprawozdania inspektorów fabrycznych, normy płacy roboczej są znacznie wyższe w Królestwie, aniżeli w Cesarstwie, że wreszcie wiele miejscowości w Cesarstwie korzysta z paliwa bądź tańszego, bądź lepszego. W rezultacie zatem fabrykacya w Królestwie wymaga nakładu znacznie większego, niż w Cesarstwie, a w skutek tego zysk, osiągnany z przedsiębiorstwa, jest w Cesarstwie nierównie wyższy. Podczas gdy niektóre fabryki akcyjne w Rosyi dały dywidendy przeszło 25%, to zakłady łódzkie najbardziej kwitnące nie wypłaciły akcyonaryuszom więcej nad 8½%. W obec tego położenia przemysłu w Królestwie bynajmniej uważać nie można za uprzywilejowane. Wreszcie wskazywana przez petentów w Niższym Nowogrodzie niższa norma podatków, opłacanych przez fabryki Królestwa, pochodzi ztąd, iż tu nie istnieją instytucje ziemskie, na których korzyść fabryki gubernii środkowych uiszczają liczne opłaty. Natomiast wszakże fabryki Królestwa ponoszą znacznie większe, choć dobrowolnie przyjmowane na siebie koszta zapewnienia ludności roboczej pomocy lekarskiej, utrzymywania szkół i t. p. Wreszcie memoriał wykazuje, że projektowane obciążenie materyałów surowych, potrzebnych do fabry-

kacy, przez cło różniczkowe, większe na zachodniej granicy lądowej, aniżeli przy wprowadzaniu ich przez porty, może podkopać rozwój przemysłu Królestwa, dałoby to bowiem stanowczą przewagę okręgom fabrycznym środkowym i zgotowało upadek przemysłu Królestwa, dającego zarobek ludności miejscowej i zasilającego skarb państwa poważną kwotą podatków rocznie.

W odpowiedzi p. minister oświadczył deputacy, że bynajmniej w zamiarach jego nie leży popieranie jednych okręgów przemysłowo-handlowych państwa kosztem drugich, że jeżeli niektóre produkty ponoszą lub ponosić będą przy wprowadzaniu ich z za granicy przez zachodnią granicę lądową wyższą opłatę celną, to środka tego użyto jedynie w celu powiększenia dochodów dróg żelaznych, prowadzących od portów w głąb kraju. P. minister obiecał opiekować się w równym mierze rozwojem przemysłu w całym państwie, robiąc jedynie wyjątek co do przemysłu przerabiającego żelazo w Królestwie.

W ostatnich dniach ubiegłego miesiąca odbyło się posiedzenie delegacyi chmielarskiej. Zebranie to składało się wyłącznie z producentów chmielu, przedstawiciele bowiem przemysłu piwowarskiego nie pojawili się wcale. Przedewszystkiēm odczytał p. Stankiewicz obszerny i gruntowny referat o stanie obecnym i potrzebach chmielarstwa krajowego. Skonstatowano, że mimo wysokiej opłaty celnej, jaką od niedawnego czasu obłożono chmiel zagraniczny, piwowarzy tutejsi nie przestali zaopatrywać się wyłącznie prawie w produkt obcy, pomijając zupełnie produkcyę krajową. Za powód zaś obojętnego z ich strony traktowania plantacyi miejscowych, obok niejakiēj wyższości chmielu zagranicznego pod względem wysuszenia, uważać należy tę nader ważną okoliczność, że w stosunkach z za granicę tutejsi fabrykanci piwa korzystają z dawien dawna z pewnych dogodności handlowych, w których rzędzie najwibitniejszą rolę odgrywa istniejący kredyt długoterminowy. Dla pokonania zatē konkurencyi obcej potrzeba nie tylko podnieść uprawę chmielu tak, aby w istocie dorównywała zagranicznej, lecz nadto zorganizować odpowiednio handel produktem tym w kraju. Tę właśnie drogę obrała delegacya, a jako środki najpewniej choć może nie najspieszniej do celu wiodące, wskazuje: zakładanie niższych szkół rolniczych z wykładem chmielarstwa, utworzenie katedry odnośnej w instytucie Puławskim, kształcenie praktyczne chmielarzy oficyalistów w plantacyach istniejących, zorganizowanie towarzystwa udziałowego dla handlu chmielē, otwieranie składów, suszarni i t. p. Z wniosków poszczególnych, rozpatrywanych na posiedzeniu omawianē, zasługuje jeszcze na uwagę podany przez p. Stankiewicza projekt urządzenia jarmarku stałego dla chmiel w Warszawie, na podobieństwo jarmarku wełnianego; jarmark ten odbywałby się we wrześniu. Zebranie uznało nadto za pożądane przedsięwziąć kroki właściwe celem uzyskania w banku państwa kredytu pod zastaw chmielu, tudzież podjąć starania o ob-



niżkę opłat przewozowych na kolejach. Nielicznemu, acz poważnie i ze znajomością rzeczy kwestyą traktującemu zgromadzeniu przewodniczył p. Ludwik Rossman z Bielaw.

Z przyjemnością zaznaczyć nam przychodzi rozwój pomyślny instytucji, która w skromnym swym zakresie przynosi jednak pożytek rzetelny tym sferom, dla których została stworzona. Mówimy o kasach pożyczkowych rzemieślniczych. Instytucja ta, ciężkie chwile miała do przebycia w początkach swego istnienia. Brak roboty, trudność zapracowania na życie i powszechne wskutek tego zubożenie klas pracujących, wpływały ujemnie na fundusze kas, które nie mogąc odzyskać pieniędzy wypożyczonych, musiały prawie ustawicznie uciekać się do przymusu sądowego na niewypłacających się dłużników.

Obecnie stan rzeczy uległ zmianie na lepsze. Niejakie ożywienie przejawiające się od niedawnego czasu w przemyśle, odbiło się znacząco korzystnie na dobrobycie warstw rzemieślniczych i oto sprawozdanie kas pożyczkowych brzmi pomyślniej. Wykazuje ono przede wszystkim przewagę dochodu nad rozchodem, z których pierwszy wynosił rs. 10,169 kop. 62, drugi zaś wyrównywał kwocie rs. 9,444 kop. 79 a nadto zaznacza, iż obecnie już pożyczki udzielane rzemieślnikom wpływają z powrotem do kas, zupełnie prawidłowo. Zdołano nawet odzyskać kwotę znaczniejszą z pożyczek zaległych, udzielanych w pierwszych chwilach istnienia instytucji. Energiczne działanie zarządu w tym ostatnim kierunku, daje nadzieję osiągnięcia w przyszłości i pod tym względem rezultatów pomyślnych.

Spółka owocowa. W ostatnich czasach coraz częściej mamy możność zaznaczania usiłowań, dążących do podźwignienia społeczeństwa naszego z letargu, do rozbudzenia uspiętych sił swojskich i skierowania ich do pracy produkcyjnej na swojskiej niwie ekonomicznej. Usiłowania te, podejmowane przez ludzi inicjatywy i dobrej woli, z trudnością wprawdzie przebijają twardą skorupę obojętności, w jaką narodowe nasze leniwość spowiło ducha społecznego; powoli jednak, pod wpływem energicznej a rozumnej działalności jednostek, przejętych poczuciem powinności obywatelskiej, społeczeństwo nasze otrząśnie się z apatii, uwierzy w siły własne i nabierze hartu potrzebnego w każdym położeniu, lecz nade wszystko niezbędnego tam, gdzie podstawy rozwoju ekonomicznego są zachwiane, gdzie tyle gałęzi produkcji miejscowej spoczywa w rękach przybyszów obcych. Dla tego też z radością witamy wszelki objaw działalności indywidualnej tego rodzaju i staramy się śledzić za postępem przedsiębiorstw, mających na celu rozwój stopniowy zaniedbywanych dotychczas, ze szkodą ogółu gałęzi bogactwa narodowego.

Do rzędu takich przedsiębiorstw pożytecznych i ze względem na dobro powszechne podjętych, zaliczyć należy powstałe niedawno „Warszawskie stowarzyszenie udziałowe s p r z e d a ż y o w o c ó w.” Inicytato-

rowie stowarzyszenia, niezrażeni trudnościami, jakie spotykali na swęj drodze, zdołali nareszcie zebrać fundusz potrzebny dla zorganizowania się przedsiębiorstwa. Z dniem 1-go października, spółka rejeentalnie zawartą została. W początkach zaś listopada dyrektor stowarzyszenia; p. Edmund Jankowski umieścił w pismach codziennych artykuł, w którym, zawiadomiwszy ogół o zorganizowaniu się zarządu i nakreśliwszy pokrótce plan działania przedsiębiorstwa, wzywa kompetentnych o udzielanie zarządowi rad i wskazówek, mających zaś za chęć do nabywania udziałów i powiększenia w ten sposób funduszu spółki. Fundusz ten jest dotychczas nader skromny, dochodzi bowiem tylko do 5,000 rs. powiększonym zaś być może do normy 100,000 rs.

Stowarzyszenie mimo nalegań z wielu stron, nie będzie obecnie dzierżawiło sadów, lecz zajmie się wyłącznie sprzedażą owoców krajowych, a nie chcąc pozbawiać chleba kupców handlujących owocami detalicznie, przystąpi początkowo wyłącznie do sprzedaży hurtownej. W sklepie stowarzyszenia nabyć będzie można najmniej 20 funtów. Działalność przedsiębiorstwa rozpocznie się od nowego sezonu owocowego t. j. od czerwca. Wiadomém jest ogólnie, jak opłakane skutki przynosi dzisiejszy sposób prowadzenia ogrodów zwłaszcza wiejskich. Racyonalnych gospodarstw w tym kierunku znajdzie się w kraju bardzo niewiele, a większość ogrodów pozostaje w ręku dzierżawców żydów niecoświeconych, którzy, dbając tylko o zysk doraźny, przyczyniają się do powolnego niszczenia drzew i obniżania wartości owocu. Stowarzyszenie o jakim mowa, ułatwiając zbyt owoców, zachęci właścicieli ogrodów do eksploataowania ich na własną rękę, a to będzie już pierwszym krokiem do podniesienia z zaniedbania jednej z ważniejszych gałęzi bogactwa narodowego. Ażeby jednak te błogie skutki mogły nastąpić, potrzeba, aby przedsiębiorstwo wzrosło w siłę, aby fundusz jego powiększył się w tym stopniu, iżby operacje swoje mogło na szerszą rozpocząć skalę. Sądzymy, że kapitaliści nasi, przystępując do stowarzyszenia, nie tylko spełnią czyn obywatelski, lecz nadto zrobią dobry interes.

Wzmiankowane przez nas w poprzedniej kronice miesięcznej (zeszyt listopadowy str. 30 i dalsze) narady przemysłowców nad poruszoną przez ministerstwo skarbu, kwestyą rewizyi taryfy celnej dobiegły już do końca. Przebieg ich usprawiedliwił w zupełności pogląd, wyrażony przez nas z tój okazji, oraz wykazał obosieczność systemu protekcyjnego i jednostronność żądań wnoszonych częstokroć z uwzględnieniem jedynie interesu egoistycznego. Przedstawiciele jednej gałęzi przemysłu stawali niejednokrotnie w rażącej sprzeczności z przedstawicielami gałęzi pokrewnych, jako to np. w kwestyi cła od skór, gdzie wniesiono aż cztery żądania, wręcz sobie przeciwne. Nie brakło jednak głosów, nacechowanych umiarkowaniem i przejęciem się zasadami zdrowej nauki ekonomicznej. Do rzędu wystąpien tego rodzaju zaliczyć należy między innymi referat p. Wojciechowskie-



go, który wykazywał, iż myślą przewodnią memoriału, który oddział warszawskiego Towarzystwa popierania przemysłu i handlu ma opracować, na podstawie materiałów zebranych i zamkniętej już dyskusji nad potrzebami naszego przemysłu, winno być dążenie do obłożenia cłem materiałów surowych, wytwarzanych w kraju, a natomiast do obniżenia lub zupełnego zwolnienia od cła przedmiotów potrzebnych do fabrykacyi, a w kraju naszym nie produkowanych. W duchu umiarkowania przemawiali również pp. Handtke i Rozenblum.

Niezależnie od ogólnej rewizyi taryfy celnej, ministerstwo skarbu zamierza wprowadzić w krótkim czasie, niektóre podwyżki opłat celnych w widokach już czysto fiskalnych podniesienia dochodów państwa. Do rzędu towarów mających opłacać cło zwiększone, należą przedewszystkiem przedmioty zbytku, jako to: kamienie drogie i koronki; obok tego jednak spotykamy przedmioty potrzeby ogólnej, jako to: kawę i herbatę, a wreszcie wyroby i produkty tego rodzaju, jak maszyny rolnicze, bawełnę i przędzę bawełnianą. Za niepodwyższeniem cła od machin przemawiało Towarzystwo rolnicze kijowskie, wskazując, że nawet przy cło dotychczasowem przywóz maszyn z zagranicy zmniejszył się w ciągu lat paru bardzo znacząco, przy dalszej zaś podwyżce opłaty celnej, oraz w obec skonstantowanych braków w wyrobie krajowym, rolnictwo zmuszonym chyba będzie do zaniechania zupełnego uprawy za pomocą machin, co rzecz naturalna, wpłynie na postęp jego ujemnie. Życzenia jednak rolników kijowskich, o ile słychać, uwzględnienia w sferach decydujących nie znalazły.

Środki, służące mające do rzekomego podniesienia upadającego rolnictwa w Niemczech, zarysowują się coraz wyraźniej. Niemiecka Rada gospodarcza, zaproponowała normy podwyższenia cła od zboża, niektórych produktów i zwierząt, mających związek z rolnictwem przy wprowadzaniu ich z zagranicy do Niemiec. Ażeby uwydatnić różnicę pomiędzy cłem pobieranem dotychczas a podwyżką jego, projektowaną obecnie przez Radę gospodarczą, podajemy poniżej następującą tabelkę porównawczą:

	pobierano dotychczas	wysokość cła projektowana
za żyto i pszenicę	3	6
„ owies i jęczmień	1 1/2	3
„ tatarkę i rośliny strączkowe	1	2
„ rośliny oleiste	2	5
„ produkty mięsne	7 1/2	12
„ otręby	—	1/2
„ sól	3	6
„ ekstrakt mięsny	20	40
„ sól	2	10
„ konie	20	50
„ źrebięta i kuce	—	20
„ nierogaciznę	6	10

Nadto z uwagi, że ostateczne przyjęcie podwyżek celnych w drodze prawodawczej wymagać będzie pewnego czasu, z którego korzystać mogą kupcy dla zaopatrzenia się uprzednio w zboże zagraniczne, projektuje się wprowadzenie podwyżek cła prowizoryczne, zanim jeszcze uchwały odnośne w parlamencie zapadną. I wreszcie z uwagi na wyjątkową wysokość norm celnych, oraz w widokach przeciwdziałania nadmiernemu podniesieniu się cen na zboże w Niemczech, ma być dozwolonem Radzie związkowej, obniżyć czasowo cło podług swego uznania, bez potrzeby odwoływania się w tym przedmiocie, każdorazowo do reprezentacji krajowej. Ostatnie to zastrzeżenie stanowi niejaki ustępstwo, zrobione w przewidywaniu niezadowolenia, jakie wywoła według wszelkiego prawdopodobieństwa to sztuczne wyśrubowanie w górę ceny zboża, stanowiącego przedmiot pierwszej potrzeby zwłaszcza dla klas ubogich, żadnej własności nieposiadających.

Kilkakrotnie mieliśmy sposobność wyrażenia poglądu naszego na sprawę podwyżki cła od artykułów żywności w ogóle i od zboża wprowadzonego do Niemiec w szczególności. Nie powtarzając zatem tego, cośmy powiedzieli w poprzednich kronikach miesięcznych, zaznaczymy na tém miejscu jedynie, że cło w téj wysokości, jaką projektuje niemiecka Rada gospodarcza i jaka według wszelkiego prawdopodobieństwa zatwierdzoną zostanie przez parlament, równa się nieomal zakazowi przywozu. W tém położeniu rzeczy zboże nasze będzie musiało szukać innych dróg zbytu. Jakkolwiek zaś wszelka zmiana w stosunkach handlowych w ogóle, a specjalnie może w handlu zbożowym, niełatwą jest do przeprowadzenia i odbywa się zawsze kosztem dotkliwych strat materialnych, to jednak ze względu na to, że Niemcy nie były konsumentem naszego zboża, lecz przeważnie tylko pośrednikiem w dalszej jego sprzedaży, przypuszczać należy, iż zatamowanie przywozu zboża do tego państwa, rolnictwu naszemu nie da się uczuć zbyt uciążliwie. Wpłynie ono tylko na skierowanie wywozu produktów naszych rolnych ku portom morza Bałtyckiego i Czarnego, leżącym w granicach państwa. Powolny zwrot ruchu zbożowego w tym kierunku spostrzegać się daje nie od dzisiaj, cło zaś prohibicyjne ze strony Niemiec, zwrot ten stanowczo przyspieszy.



## WIADOMOŚCI BIBLIOGRAFICZNE.

PP. Herbiech i Rapsilber w Lipsku rozpoczęli w 2-ém półroczu kończącego się roku bardzo pożyteczne wydawnictwo dla wszystkich uczonych, pracujących na polu naukowym, pod tyt. „Wissenschaftliche Bibliographie der Weltliteratur“ („Bibliographie scientifique de la littérature universelle“), którego pojedyncze numery, objętości najmniej jednego arkusza druku, wychodzą co 2 tygodnie. Cena półroczna 4 marki wraz z przesyłką. Przy téj ogromnej masie dzieł, które codzień zalewają rynek księgarski i kryją się często przez dłuższy czas przed okiem interesowanego właśnie w danój chwili badacza, może taka bibliografia dobrze zrozumiana, oddać znakomite usługi nie tylko uczonym, ale i zarządom poważnych bibliotek naukowych. Wydawnictwo, o którym mowa, prócz przeglądu dzieł naukowych z piśmiennictwa wszystkich narodów, obiecuje rejestrować także samodzielne ważniejsze studia, drukowane w prasie peryodycznej, w publikacjach akademii, towarzystw naukowych i t. p. Program wydawnictwa uwzględnia działy następujące: *a)* Powszechna nauka umiejętności i literatury; *b)* Teologia; *c)* Filozofia; *d)* Szkoła i wychowanie publiczne i domowe; *e)* Języki klasyczne i nauka starożytności; *f)* Lingwistyka; *g)* Nauki prawnicze wraz z naukami państwowemi; *h)* Nauki przyrodzone wraz z t. zw. naukami ścisłemi; *i)* Nauki lekarskie; *k)* Historia i geografia; *l)* Technologia i rolnictwo; *m)* Literatura piękna i estetyka wraz z historią sztuki; *n)* Nowsze katalogi antykwarskie; *o)* Ogłoszenia.

W „Przeglądzie Katolickim” nr. 45, z dn. 10 listopada 1887 r. str. 717 i 718 czytamy nader ciekawą i dosyć szczegółową wiadomość „O bibliotece Jasnogórskiej ks. ks. Paulinów w Częstochowie,” gdzie nie tylko samo urządzenie biblioteki jest opisane, ale i wiadomości z katalogu są podane.

Profesor uniwersytetu warszawskiego, Teodor Wierzbowski, wydał w drukarni J. Bergera w Warszawie dzieło pod tyt.: „Vincent Lauro, évêque de Mondovi, noncé apostolique en Pologne 1574—1578, et ses dépêches inédites au Cardinal de Côme, Ministre-Secré-

taire d'Etat du pape Grégoire XIII, éclaircissant la politique du saint-siège dans les années susdites relativement à la Pologne, la France, l'Autriche et la Russie, recueillies aux archives secrètes du Vatican et publiées par Theodor Wierzbowski, Prof. à l'Université Impériale de Varsovie." Varsovie, 1887, 8-o str. VIII + 754. Nowe to dzieło p. Wierzbowskiego jest cennym nabytkiem dla historyi polskiej, ponieważ przedstawia nam dokładny zbiór relacyi i depeesz, w których Vinc. Laureo, nuncyusz papieżki w Polsce, przez 4 lata swego urzędowania przy królu polskim (od 5 lutego 1574 do 1 listop. 1578 r.) przesyłał dokładne sprawozdania o wszystkiém tém, co się działo w Polsce nie tylko w zakresie spraw kościelnych i religijnych; ale i na polu spraw międzynarodowych oraz stosunków wewnętrznych Rzeczypospolitej. Depesze te (w ogólnej liczbie 204) zgromadził p. W. z archiwum watykańskiego i zregestrowawszy je chronologicznie, wydał w języku włoskim, w którym były pisane. Dołączony skorowidz daty każdego z tych sprawozdań w porządku chronologicznym, jak nie mniej dokładny indeks nazwisk osób, o których w depeeszach mowa, ułatwiają badaczowi korzystanie z tego szacownego nadzwyczaj materiału; tablica zaś dostojników polskich, wspomnianych przez nuncyusza tylko nazwą ich urzędu, uzupełnia aparat metodologiczny, niezbędny przy gruntowném badaniu przedmiotu. W przedmowie, napisaném w języku francuzkim, nie zapuszcza się prof. Wierzbowski w krytyczny rozbiór tak obfitego materiału, bo ten, jako relacyą naocznego świadka, trzebaby kontrolować drugimi równie autentycznymi źródłami, co jest już zadaniem samego obrazu historycznego tej epoki; poglądy zaś i opinie nuncyusza o różnych sprawach należą przed trybunał właściwej krytyki historycznej. Z pomiędzy interesów, które najwięcej zajmowały nuncyusza, występują najwybitniej: 1) wprowadzenie do Kościoła w Polsce postanowień koncylium trydenckiego, znachodzących nie małą opozycyą wśród panów i szlachty nie tylko protestanckiej; 2) zneutralizowanie w skutkach t. zw. konfederacyi warszawskiej, warującej według Henrykowych paktów konwentów zupełną swobodę i bezpieczeństwo dyssydentom; 3) sprawa formalnej detronizacyi Henryka Walezyusza po ucieczce jego z Polski, oraz agitacya za wyborem księcia z domu habsburskiego na króla polskiego. W obec obudzonej energii katolicyzmu w całej Europie środkowej w tej dobie, są to też główne idee znaczenia uniwersalnego, które przenikają początkowe lata panowania Stefana Batorego w Polsce. Nie wątpimy, że historycy nasi z wdzięcznością korzystać będą z tego sumiennego i wedle wymagań nauki z niemłym nakładem uskutecznionego wydania tak szacownych źródeł do dziejów naszych.

P. Mściśław Edgar Trepka, doktor filozofii, wydał studyum pod tyt. „Rzecz o socyalizmie.“ Warsz. 1883, tomów 2; t. I, XII + 229; t. II, 233. P. Trepka dał się już zaszczytnie poznać w literaturze naszej na polu badań ekonomiczno-społecznych, rzadkie zaś u nas nadzwyczaj dzieło oryginalne w tej dziedzinie zasługuje na szczególny roz-



biór i ocenę, zwłaszcza gdy się odznacza jasnym wykładem, poważnym rozbiorem danych kwestyi i zdrowym krytycznym sądem. Autor podzielił zadanie swoje na 3 części, w których pierwszej podał nam treściwy, chociaż jasny przegląd kwestyi socjalizmu, w jego rozwoju historycznym, poczynszy od dalekiego i najstarszego Wschodu, aż do chwili współczesnej. W części drugiej zastanawia się nad „ekonomicznym ustrojem społeczeństwa w obec wymóg (siel) socjalizmu,“ gdzie wykazuje sprzeczność, z jaką występuje socjalizm z istniejącym ustrojem społeczeństwa i państw europejskich, nie mniej z głównymi czynnikami produkcji tudzież z istotnymi korzyściami (zarobkiem) klasy robotniczej. W części trzeciej mówi autor o reformach społecznych: *a*) w dziedzinie moralnej; *b*) w dziedzinie oświaty; *c*) bytu materialnego (mieszkanie, żywność i odzienie); *d*) w mechanizmie pracy; *e*) w organizacji pracy; *f*) w dziedzinie kapitału i kredytu; *g*) w dziedzinie ubezpieczeń; *h*) w ustroju stanu robotniczego. Dzieło p. Trepki, zawiera wiele bystrych spostrzeżeń, opiera się na poważniejszych badaniach naukowych i tchnie wszędzie zacnym duchem obywatelskim. Mimo tych zalet nie możemy autorowi nie wytknąć tak potwornego dziwoląga językowego, jak „wymoga,“ „wymogi,“ „wymóg,“ którego p. Trepka z wielkiem upodobaniem używa, chociaż on istotną myśl jego zaciemnia. Zdanie np. wyżej przytoczone, będzie jaśniejsze, gdy powiemy: ekonomiczny ustrój społeczeństwa w obec dążności socjalizmu.

P. Ignacy Świętochowski, który niedawno zubożył literaturę naszą pięknym przekładem dzieła A. Costa (zob. Bibl. Warsz. zesz. grudn. 1886-go str. 447 — 479), przetłumaczył znowu kilka ustępów podręcznika znakomitego ekonomisty angielskiego, H. Fawcetta, członka parlamentu angielskiego, dyrektora generalnego poczty, profesora uniwers. w Cambridge, czł. koresp. Instytutu francuzkiego, — według francuzkiego tłumaczenia A. Rafałowicza i wydał swoim nakładem pod tyt. „Praca i Zarobki“ przez H. Fawcetta, Warsz. 1887, str. XLIX, przedmowy tłumaczenia francuzkiego Artura Rafałowicza, i str. 127. Oprócz rozprawy Rafałowicza, poprzedzającej tłumaczenie francuzkie Fawcetta, a zawierającej treściwy pogląd na ważniejsze kwestye ekonomiczne naszej epoki, czytamy dalej w 5 ciał rozdziałach 1) Co zrobić w celu podniesienia zbyt niskich zarobków? 2) Trade unions — znowy i stowarzyszenia w zyskach, 3) Spółdzielczość, 4) Socjalizm państwowy i unarodowienie ziemi. 5) Prawo o ubogich (poor law) i wpływ jego na pauperyzm. Tłumaczenie p. Świętochowskiego odznacza się poprawnością stylu i języka. Ważność rozbieganych kwestyi w sposób gruntowny i nader ścisły, oraz ta okoliczność, że sz. tłumacz nasz, jako kurator szpitala na Pradze przeznaczył czysty dochód z rozprzedaży swjej pracy na korzyść tej instytucyi, powinny dziełku temu zjednać szerokie koło czytelników.

Dr. Napoleon Cybulski: „O hypnotyzmie ze stanowiska fizyologicznego.“ Kraków 1887. W cytowanej pracy znany fizyolog nasz, profesor uniwersytetu krakowskiego, rozbiera kwestyą hypnotyzmu ze stanowiska naukowego i rozwoju historycznego odnośnych pojęć. Szan. autor, na podstawie wielu faktów i doświadczeń, twierdzi, iż zjawiska hypnotyczne dają się wywoływać tylko na osobach dotkniętych jakimś cierpieniem nerwowym (hysterya, rozdrażnienie nerwowe). Po grubotnym rozebraniu zjawisk hypnotyzmu i wyłomaczeniu różnych teoryj co do jego istoty, przechodzi uczony profesor do praktycznego zastosowania, wyznaczając mu miejsce nader skromne w terapii. Publiczność może przekonać się teraz o naukowej podstawie głosów i twierdzeń pewnych „pozytywnych filozofów“ z nad Sekwany, usiłujących wyrugować wszelkie racjonalne metody lecznicze a na ich miejsce postawić hypnotyzm. Niedawno Warszawa była polem popisu filozofa (?), leczącego hypnotyzmem suchoty, kataraktę i schnięcie mlecza pacierzowego i to za grube pieniądze! Nie ulega kwestyi, że hypnotyzm może wyrugować ze świadomości niektóre zjawiska chorobowe (ból), nie wywierając jednak wpływu radykalnego na przebieg choroby.—Praca ta napisana wzorową polszczyzną, zasługuje na rozbiór szczegółowy, który podamy też wkrótce w Bibliotece. *Ch.*

Dr. A. Cullerre. „Magnetyzm i hypnotyzm.“ Z 2-go wydania francuzkiego przełożył J. Wł. Dawid. Warsz. 1888. Literatura hypnotyzmu zubożona została znowu książką, która jakkolwiek nie zawiera w sobie nowych badań, może jednak być pożądaną dla tych, którzy nie mają czasu ani sposobności czynić mozolne studia źródłowe. Książka dra A. Cullerre'a zawiera systematyczny wykład hypnotyzmu, a odznacza się wyłożeniem rzeczy jasnym i przystępnym. Co do zastosowania leczniczego hypnotyzmu, to autor francuzki, nie powodowany żadnym uprzedzeniem, wyznacza mu nader skromne miejsce w rzędzie środków leczniczych, karcąc uroszczenia bezpodstawne tych, którzyby chcieli widzieć w hypnotyzmie panaceum na wszelkie dolegliwości ludzkie. Publiczność, otumaniona krzykami dyletantów, zaczęła sobie tworzyć o hypnotyzmie pojęcia niezgodne z prawdą; nauka ścisła winna rozproszyć te mamidła i przyczynić się do oświecenia zdań w tym kierunku. Nie małym przyczynkiem do tego jest praca lekarza francuzkiego.—W przekładzie widać staranność a język jest dość poprawny. *Ch.*

P. Aleksander Pełczyński wydał broszurę pod tytułem: „Nowy pogląd kosmogoniczny.“ (Z dodaniem jednej tablicy litograficznej). Warsz. 1887. Str. 19. Autor napisał tę broszurkę, nie obznajmiwszy się poprzednio dokładnie z tak ważnym przedmiotem naukowym, chociaż rozmyślał nad nim trzy lata. (Str. 1). Kosmogonia jest i będzie jeszcze długo a może i zawsze zagadkowym tematem dla dowiecipu ludzkiego; hipotez można tutaj robić, ile się tylko podoba, ale nie łatwo z tych hipotez utworzyć całość, mogącą uporządkować nasze wyobraże-



nia o świecie. Otóż hipoteza autora, że księżycy i planety (str. 1, 8, 9) są skutkami „ciążenia słońca i jego wybuchów,” jest przewodnią nicią „nowego poglądu kosmogonicznego.” Na podstawie tej hipotezy stara się autor wytłómaczyć nie tylko powstawanie, ale i ruchy ciał niebieskich układu słonecznego; czyni to zaś w nader zagmatwany i nieuchwytny sposób. Zresztą sama hipoteza nie wytrzymuje krytyki; bo, gdyby planety powstały z wybuchów słonecznych, musiałyby siłą wybuchowa być większa od siły ciężenia na słońcu; co trudno przypuścić. Siły wybuchowe mogą wprawdzie być bardzo wielkie, ale chyba nigdy nie zrównają się z siłą przyciągającą, którą wywierać może cała masa słońca na cząstkę oderwaną od niego materji.

Rozprawa p. Pełczyńskiego nie przyczynia się do rozwiązania zagadki, podobnie jak tysiące podobnych, które w tej trudnej sprawie napisano; nie czyni to żadnej ujmy autorowi, że pomimo dobrej chęci nie sprostał zadaniu, bo „in magis et voluisse sat est.” J. K.

Nakładem księgarni Żupańskiego i Heumanna w Poznaniu wyszło dzieło historyczne pod tyt. „Dzieje Stanisława Augusta aż do sejmu czteroletniego“ przez Br. Zaleskiego. 1887.

Wydany w ubiegłym miesiącu Zeszyt 95-ty „Słownika Geograficznego” zawiera następujące ważniejsze artykuły: Popowo, Porząd (rzeka i miasto), Poręba, Poronin, Porszna, Poryck, Porzecze, Posada, Poświętne, Poswol, Potoczek, Potok, Poturzyca, Potworów, Potylicz.

Nakładem księgarni T. Paprockiego wyszło w tłumaczeniu polskim nader pożyteczne dziełko angielskie N. S. Shalera, S. D. profesora paleontologii w Uniwersytecie w Harvard p. t. „Dzieje Ziemi.” Przełożył z angielskiego z upoważn. autora Henryk Wernic. Przejrzeli i dopiskami dopełnili Antoni Słóarski i Józef Siemiradzki. Warsz. 1888. Str. VIII + 300. Wykaz alfab. treści XV. Liczne drzeworyty w tekście, w czystym i poprawnym odbiciu. Jest to doskonały i nadzwyczaj praktyczny podręcznik zoologii, który może wychowaniu naszemu znakomite oddać korzyści.

Znany tłumacz „Pana Tadeusza” na język niemiecki, Siegfried Lipiner, wydał obecnie (nakładem Breitkopfa i Haertla w Lipsku, str. 284) drugi tom zamierzonego przekładu wszystkich dzieł Adama. Tom ten zawiera przekład „Dziadów” pod napisem *Todtenfeier*. Przekład opatrzony jest obszernym wstępem, który obok dokładnego omówienia treści zawiera opis życia i rozwoju artystycznego ducha poety, o ile one są potrzebne do zrozumienia dzieła.

W drukarni J. Bergera pojawiła się broszura, rozbiegająca poważnie kwestyą ujednostajnienia pisowni polskiej pod tyt. „Prakty-

czny sposób ustalenia pisowni polskiej“ (Wyjątek z obszerniejszej pracy jeszcze nie wydanej). Napisał „Filograf.“ Warsz. 1887, str. 65. Zanim ukaże się owa obszerniejsza praca, którą sz. Filograf pogroził już dzisiaj czytelnikom polskim, nie możemy zapuszczać się w ocenienie krytyczne przedstawionego w tej chwili przedmiotu, żałujemy tylko, że sz. autor nie starał się sam dokładnie objaśnić nie tylko co do przebiegu dyskusji nad tą kwestyą w Redakcyi Bibl. Warsz.; ale i co do kolei, jakie ona przechodziła w Akademii umiejętności w Krakowie. W pierwszym razie nie chodziło o zwycięstwo idei krańcowo-nowatorskich; ale o ujednostajnienie pisowni w celach pedagogicznych, bo jakkolwiek nie można pisowni odmówić pewnych momentów lingwistyczno-naukowych, to w praktyce pozostanie ona zawsze sprawą przeważnie konwencyonalną, kwestyą ogólnego porozumienia się, kwestyą zgody na pewne zasady. Zgodę taką zastępują niekiedy rozporządzenia samowolne przemożnych czynników władzy nie tylko edukacyjnej, ale i rządzącej jak to np. uczynił ks. Bismarck, gdy re-skryptem rządowym „zuniформował” zawiłaną także pisownią niemiecką. O postąpieniu Akademii umiej. w tej sprawie powinien był sz. autor objaśnić się dokładniej ze „Sprawozdania z czynności naukowych i administr. za rok 1885/86, odczytanego przez sekretarza generalnego St. hr. Tarnowskiego“ w Roczniku zarządu Akad. za rok 1885. Krak. 1886, str. 72; bo to, co mówi na str. 4-ój nie przedstawia prawdziwego stanu rzeczy. Szan. Filograf miesza często kwestye gramatyczne odmiatając morfologii z kwestyami pisowni i to nie pozwala mu niekiedy wnikać w istotę rzeczy. Nie przesądzamy jednak wartości zapowiadzanego dzieła obszerniejszego.

Stan. Starzyński, którego możemy niemal uważać za historyografa sejmu galicyjskiego, rozbierającego w sposób krytyczny działalność tego najważniejszego organu autonomii królestwa Galicyi i W. Ks. Krakowskiego, jakim jest sejm lwowski, wydał i w r. b. pokazaną książkę temu przedmiotowi poświęconą pod tyt. „Sesya sejmowa 1886/7.“ Napisał Stan. Starzyński. Lwów, 1887, str. 201. Pouczająca nader osnowa ciekawej tej książki zawiera w 8 rozdziałach gruntowny rozbiór spraw następujących: I. Budżet krajowy; II. Sprawy szkolne; III. Melioracye, kultura krajowa; IV. Sprawy drogowe i kolejowe; V. Sprawy administracyjne; VI. Sprawy bankowe, celne, przemysłowe; VII. Reforma wyborcza i gminna; VIII. Uwagi ogólne. Jest to książka, której wartość nie zamyka się w zaspokojeniu ciekawości chwilowej, ale pozostanie jako dokument poważnego interesów krajowych rozbiór.



## N e k r o l o g i a .

† Dnia 4-go listopada r. b. zmarł w Dorpacie **Zygmunt Rościszewski**, doktor filozofii, docent w tamtejszym instytucie weterynaryjnym. Ś. p. Z. R., urodzony 19 marca 1847 r. w Warszawie, pobierał wyższe wykształcenie gimnazyalne w Suwałkach i w Warszawie. Jako 17-letni młodzieniec przeszedł różne koleje, a powróciwszy do kraju po 2-letnim pobycie na dalekim Wschodzie, oddał się pracom na polu agronomii. W tym celu udał się za granicę i w r. 1868 wstąpił do akademii agronomicznej w Pruszkowie na Szlązku, zkad udał się do uniwersytetu lipskiego, gdzie po ukończeniu studiów akademickich otrzymał stopień doktora filozofii, obroniwszy dySSERTACYJĄ swoją: „Zur Kenntniss der Dignastie.“ Berlin, 1875. Pracując w Pruszkowie i w Lipsku pod kierunkiem tak znakomitych nauczycieli-agronomów, jakimi byli Settegast i Leuckart, wydoskonalił się do tego stopnia, że gdy założono w Żabikowie w W. Ks. Poznańskim wyższą szkołę rolniczą „Imienia Haliny,” — mógł Rościszewski objąć tu katedrę profesora zoologii i zootechniki, i pełnił tu obowiązki aż do r. 1876 t. j. do chwili zamknięcia szkoły przez rząd pruski. Osiedliwszy się następnie we Lwowie, redagował przez pewien czas „Rolnika,” pismo wydawane przez galicyjskie Towarzystwo gospodarze. Niebawem przeniósł się do Warszawy, gdzie zajmował się prowadzeniem owczarni i obór zarodowych. W lipcu 1886-go r. otrzymał wezwanie na docenta przy Instytucie weterynaryjnym w Dorpacie, gdzie w krótkim czasie powszechnie zjednał sobie uznanie i szacunek równie u kolegów, jak i u młodzieży. Prace swoje nakowe, dotyczące przeważnie działu hodowli inwentarza, drukował ś. p. R. w pismach agronomicznych, mianowicie: w „Gazecie rolniczej,” „Kuryorze rolniczym,” „Ziemiańnicu,” „Rolniku,” „Kosmosie“ i in. Oprócz tego przetoczył na język polski znakomite dzieło niemieckie prof. J. Kühna: „Najodpowiedniejsze zasady żywienia bydła rogatego,” z 6-go wyd. niem. spolszczył i przypiskami pomnożył etc., 62 drzeworyty w tekście. Poznań, 1876. — Cześć pamięci zacnego obywatela!

## ZAPROSZENIE DO PRZEDPŁATY.

NA ROK

1 8 8 8.

**Biblioteka Warszawska**, pismo miesięczne, poświęcone naukom, literaturze, sztukom pięknym i sprawom ekonomicznym, rozpocznie z rokiem 1888-ym czterdziesty siódmy rok swojej działalności naukowo-literackiej, i wychodzić będzie, jak dotychczas, na początku każdego miesiąca w zeszytach 10 arkuszowych.

Usilne staranie „Biblioteki Warszawskiej“ o utrzymanie peryodyczności naukowej w literaturze polskiej; rozbiór spraw nietylko swoich, ale i obcych, obchodzących żywo społeczeństwo nasze; pilna uwaga na postęp w rozmaitych gałęziach nauk, z uwzględnieniem zadania naszej cywilizacji i oświaty narodowej we wszystkich kierunkach pracy umysłu ludzkiego; sprawozdania krytyczne z dzieł naukowych i literackich, wreszcie ogłaszanie utworów literatury pięknej, zajmujących nietylko fantazją, ale całą umysłowość naszą—to są ideały, które Redakcyja „Biblioteki Warszawskiej“ od lat 46-ciu urzeczywistnić pragnie. Za podstawę działalności na polu piśmiennictwa, stanowiącego jeden z najsilniejszych puklerzy indywidualności narodowej w jej przyrodzonym, historycznym charakterze, uznajemy: utrzymanie w czystości języka ojczystego, wzmacnianie ogniw tradycji narodowej przy świetle postępu nauki i krytyki. Obok dóbr duchowych zwracamy uwagę równie i na interesa dóbr materialnych w dziedzinie spraw ekonomicznych. Zasady te połączyły „Bibliotekę Warszawską“ solidarnym poniekąd węzłem z osobami poważniej poglądającymi na literaturę ojczystą, a obok tego nastąpiły inteligencji krajowej możliwość objawiania i szerzenia światła naukowego, jakie z postępowaniem powszechnym i naszemu przyświecać powinno narodowi. W ten sposób stała się „Biblioteka Warszawska,“ nietylko organem piśmiennictwa naukowego, ale i szkołą dla występujących na polu literatury ojczystej coraz nowych zapaśników. Nie ma bowiem pomiędzy poważniejszymi pisa-



rzami naszymi prawie żadnego, któryby się przy wstępie do świątyni nauk nie był dał poznać na kartach Biblioteki, a wielu współpracowników „Biblioteki“ przynosi jeszcze dziś zaszczyt literaturze polskiej.

W miarę wszakże powstawania i u nas coraz więcej pism specjalnych, można dzisiaj trzymać się ściślej granic właściwych przeglądom miesięcznym, nie pomijając atoli względu na interes ogólny przy badaniach naukowych, występujących w nowém świetle dzisiejszej nauki i krytyki.

Pisma peryodyczne, trzymające pośrednie miejsce między literaturą książkową i dziennikarską, stanowią we wszystkich społeczeństwach oświeconych coraz bardziej potrzebne organa zasad i dążności, przekonań i teorii, poglądów i doktryn, które się z sobą ścierać powinny dla szerzenia zdrowych pojęć i ugruntowanych naukowo przekonań we wszystkich kierunkach życia ludzkiego.

Program z tych myśli wysnuty będzie i nadal celem, który Redakcyja „Biblioteki Warszawskiej“ osiągnąć zamierza, a to w następujących działach:

- I. Z dziedziny filozofii: rozbiór nietylko systemów filozoficznych, ale i najnowszych kierunków badań filozoficznych.
- II. W zakresie historii i geografii: obok dziejów powszechnych, dzieje własnego narodu, oraz innych narodów słowiańskich, w ich indywidualnym rozwoju z uwzględnieniem warunków geograficznych.
- III. Z nauki statystyki, ważniejsze kwestye społeczne i ekonomiczne.
- IV. Nauki przyrodzone w ich rozwoju i praktycznym zastosowaniu.
- V. Pedagogia i filologia wraz z filogwistyką, ze szczególną uwagą na sprawy szkolne.
- VI. Literatura i sztuki piękne: poezya i proza (powieść, dramat, poemata)
- VII. Korespondencye w szczegółowych kwestyach naukowych.
- VIII. Sprawozdania i krytyki z piśmiennictwa polskiego i obcego.
- IX. Kronika z kraju i z zagranicy.
- X. Kronika miesięczna o sprawach bieżących, społecznych, naukowych, artystycznych i ekonomicznych.
- XI. Wiadomości bibliograficzne.
- XII. Nekrologia.
- XIII. Ogłoszenia.



## WARUNKI PRENUMERATY.



Prenumerata **Biblioteki Warszawskiej**, na rok 1888-y wynosi:

W guberniach Królestwa i Cesarstwa, oraz we wszystkich krajach, należących do związku pocztowego:

Rocznie . . . .	rs. 10 kop. —
Półrocznie . . . .	„ 5 „ —

w Warszawie zaś:

Rocznie . . . . .	9	„	—
Półrocznie . . . . .	4	„	50
Kwartalnie . . . . .	2	„	25

Upraszamy o nadsyłanie prenumeraty wprost do **Redakcyi Biblioteki Warszawskiej, Nowy-Świat Nr. 41**, gdyż to zapewnia najlepiej akuratańską ekspedycyą pisma. Równocześnie upraszamy o wczesne nadsyłanie prenumeraty, ponieważ do tego stosować będziemy ilość drukujących się egzemplarzy.

Przyjmują także prenumeratę wszystkie księgarnie w Królestwie i Cesarstwie.

Opłata za ogłoszenia w „Bibliotece Warszawskiej” wynosi:

Za ogłoszenie, zapełniające	1 całą stronicę	formatu Bibl. Warsz.	rs	5
„	„	$\frac{1}{2}$ stronicy	„	3
„	„	$\frac{1}{4}$ „	„	2

**Redakcyja.**

## KRONIKA RODZINNA.

PISMO POŚWIĘCONE SPRAWOM SPOŁECZNYM I DOMOWYM.

Wydawnictwo to, znane już od lat kilkunastu, wychodzić będzie w roku przyszłym 1888 na tychże samych warunkach i w tymże co dotąd kierunku. Zadaniem redakcyi jest: dostarczać czytelnikom wiadomości o sprawach, dotyczących praktycznego życia pracy, a mianowicie pracy kobiecój, o której podajemy możliwie wyczerpujące studia; zwracamy baczenie na kwestye interesu ogólnego, czy to w rzeczach naukowych, czy społecznych; zaznajamiamy z najnowszemi dziełami w tym zakresie wydanemi w kraju i za granicą, umieszczając treściwe z nich sprawozdania; dajemy wreszcie zarysy ogólnego ruchu naukowego i piśmienniczego wśród ludów cywilizowanych. Mając zapewnione współpracownictwo odpowiednich sił literackich, zamieszczать będziemy i nadal w „Kronice“ pogadanki pedagogiczne, wiadomości przyrodnicze ze świata naukowego, wieści polityczne, podróże, powieści i komedye dla teatrów amatorskich, stałe korespondencye z Paryża, Londynu i innych większych miast europejskich, wspomnienia z dawnych czasów, jako to: niewydane listy znakomitych osobistości i pamiętniki, udzielane nam z prywatnych archiwów i zbiorów. Z działu tego umieściliśmy pomiędzy innymi w r. 1887 koresponden-



cyą księżny Izabeli Czartoryskiej z synem księciem Adamem, i wyjątki z pamiętnika jej córki ordynatowej Zamojskiej. Drukować również zamierzamy w roku przyszłym niewydany pośmiertny rękopis autora „Historji literatury polskiej“ (Michała Wiszniewskiego), korespondency historyka Teodora Narbutta, opowiadanie d-ra Antoniego J. „Szachin Gieraj na Podolu“, Kajetana Kraszewskiego „Opowiadania z przeszłości.“ Zamieścimy także dalsze pogadanki w związku z Kwestyonaryuszem „Kroniki“, który pobudził czytelników do licznj z nami wymiany myśli. Studja literackie hr. Stanisława Tarnowskiego i hr. Wojciecha Dzieduszyckiego, drukowane w „Kronice“ w ostatnim półroczu, świadczą, że dział ten nie był zaniedbany, i są niejako rękojmią, że podobnie jak wszelkie inne, starać się będziemy utrzymać go w takiej jak dotąd mierze. Jako dodatek **bezpłatny** prenumeratorowie „Kroniki“ otrzymają w roku przyszłym ciekawę „Pamiętniki“ z początku b. stulecia, spisane przez autorkę „Wspomnień o Maryi Wesslównie.“ W ciągu dwóch lat ostatnich daliśmy w dodatkach **bezpłatnych** dwa zajmujące opowiadania z przeszłości, to jest: „Pamiętniki Maryi Wesslówny Królewiczowej Konstantowej Sobieskiej“, oraz „Przygody księcia Marcina Lubomirskiego“ według autentycznych spisane źródeł. Obie książki są do nabycia w Redakcyi „Kroniki“, nowi zaś prenumeratorowie całoroczni otrzymają jedną z nich do wyboru bezpłatnie, za dodaniem jedynie kop. 30 na przesyłkę pocztową.

#### Redakcyja.

**Prenumerata** roczna w Warszawie rs. 4, na poczcie w kraju i za granicą rs. 5 (t. j. Galicyi zhr. 6, w W. Ks. Poznańskim marek 10); stosownie do tój ceny opłata półroczna i kwartalna.

Przesyłki pieniężne adresowaś należy wprost do Redakcyi: **Warszawa, Mazowiecka Nr. 10.**

## „PRZEGLĄD KATOLICKI.“

Nr. 47-ny z dnia 24 listopada zawiera treść następującą: Żywot Leona XIII.—Arcybiskupi gnieźnieńscy, prymasowie i metropolici polscy od r. 1000 aż do r. 1821 czyli do połączenia arcybiskupstwa gnieźnieńskiego z biskupstwem poznańskim według źródeł archiwalnych opracował ks. Jan Korytkowski, doktor św. teologii, kanonik metropolita gnieź., przez Ks. Polkowskiego.—Wolter i jego potomstwo literackie. Wolter w zamku Cirey, 1735 (c. d.).—**Kronika kościelna krajowa.** Zmiany zaszcę w dyecezyi kujawsko-kaliskiej i płockiej.—Ks. Władysław Knapiński.—Benedykcyja dwóch nowych ołtarzy w kościele św. Karola Boromeusza w Warszawie.—

Wizyta Arcypasterska w dek. gostyńskim.—Ś. p. ks. Saturnin Budgin.—Ś. p. Ignacy Bagieński.—*Kronika kościelna zagraniczna*: Ameryka. Z życia kościelnego Polaków.—Austria: 1) wykończenie budowy PP. Sakramentek lwowskich.—2) Zuchwalstwo żydowskie.—3) Ks. Wincenty Smoczyński.—Niemcy. Biskup fuldajski.—Prusy. Nauczanie religii dzieci w języku niemieckim.—*Bibliografia*: Dzieje kościoła katolickiego.—Sieben Vorträge über die „Soziale Frage,“ przez A. Ebenhoch.—Nowości księgarskie.—Od Redakcyi.—*Notatki z prasy periodycznej*: Skandaliczny proces paryzki Caffarel-Limousin.—Pan St. Rossowski.

## „K R A J.”

Nr. 46-ty z dnia 13 (25) listopada zawiera treść następującą:  
*Artykuł wstępny*: Wiece poznański i jego znaczenie.—*Korespondencje Kraju*: Z Zagrzebia, p. Chrobata; z pod Krakowa, p. Sequensa; z Kowna, p. Witołda.—*Z sądów*.—*Sprawy bieżące*: Walny wiec poznański.—Jeszcze jeden obserwator.—Katolickie Towarzystwo dobroczynności w Petersburgu, p. O. T.—Sprawy szkolne.—Przeciw cudzoziemcom.—Sprawy nadbaltyckie.—O Żydach.—*Dział polityczny*: Z politycznego świata.—Tydzień polityczny.—Ostatnie telegramy.—*Z tygodnia*: Słowo wstępne.—Ziemie i kolonie słowiańskie.—Wiadomości bieżące.—Kronika petersburska.—Z Warszawy.—Z prowincyi.—Kronika powszechna.—Doniesienia.—*Dział ekonomiczny*: Cła odwetowe, II, p. ski.—Kronika ekonomiczna z prowincyi południowo-zachodnich, p. Bonawenturę; Kronika ekonomiczna gub. kowieńskiej, p. Witołda.—Sprawozdanie giełdowe i rynki towarowe.—Tydzień ekonomiczny (rolnictwo, cukrownictwo, gorzelnictwo i piwowarstwo, przemysł i handel, komunikacje, finansowość).—*Ogłoszenia*.

*Przegląd literacki*: „Towarzystwo kredytowe ziemskie.” (Z powodu recenzyi p. K. Waliszewskiego), p. Józefa Kirszrota-Prawnickiego.—„Rodzina Hohenzollernów,” p. Bolestę.—Historyografia analityczna. „Wewnętrzne dzieje Polski za Stanisława Augusta (1764—1794),” przez Kazimierza Jarochońskiego (d. c.).—Sprawozdania literackie: „Do zbyt roztropnych,” p. Włodz. Stebelskiego.—Kronika naukowa, literacka i artystyczna.—Nowe książki, otrzymane w redakcyi Kraju.—Treść pism.—Bibliografia.—Ogłoszenia księgarskie.—*Odcinek*: „Pod chmurami,” obrazek grecki, skreślił Michał Wołowski (c. d.).



## ENCYKLOPEDIA WYCHOWAWCZA.

Pod redakcją J. T. Lubomirskiego, E. Stawiskiego, S. Przysiańskiego i J. K. Plebańskiego, wychodzi w zeszytach 5-arkuszowych. Prenumerata wynosi kop. 40, z przesyłką kop. 50 za zeszyt. Można także wnosić przedpłatę po rs. 3 kop. 20 za tom, złożony z ośmiu zeszytów, z przesyłką rs. 4.

Skład główny i ekspedycja „Encyklopedyi Wychowawczej” znajduje się w Warszawie w księgarni Gebethnera i Wolffa, Krakowskie-Przedmieście, Nr. 415.

## KALENDARZ POWSZECHNY NA ROK 1888.

Nakładem księgarni T. Paprockiego w Warszawie, Nowy-Świat nr. 41, wyszedł z druku „Kalendarz Powszechny“ i zawiera oprócz zwykłej części astronomicznej—treść literacką (od str. 35—129), wykaz jarmarków w guberniach Cesarstwa i Królestwa Polskiego, oraz obfity dział katalogów i ogłoszeń przeważnie księgarskich i wydawniczych—nie mniej i artystycznych i rzemieślniczych. Jako premium bezpłatne dodają się dwa kalendarze: ścienny i kieszonkowy.

*Redakcja Biblioteki Warszawskiej.*

Redaktor odpowiedzialny i Wydawca J. K. Plebański.

# SPIS RZECZY

ZAWARTYCH W TOMIE CZWARTYM

z roku 1887.

stron.

## *Historya.*

Homagium w Królewcu. R. 1798. Opowiadanie z relacji współczesnej. Przez Kajetana Kraszewskiego. . . . .	1
Wojna Rzeczypospolitej polskiej ze Szwecyą za panowania Zygmunta III-go, od roku 1621-go do 1629-go. Przez Konstantego Górskiego (C. d.). . . . .	43
Opis Rzeczypospolitej Polskiej z r. 1574-go według relacji Ludwika Gonzagi, ks. de Nevers i Rhétol. Przedstawił Ludwik dr. Finkel. . . . .	169, 376

## *Ekonomia rolnicza.*

Prześwietlenie rolnicze w Anglii. Napisał C. Roklewski. . . . .	13
---	----

## *Nauki polityczne.*

Pesymizm i wszechwładza państwa. III. Edward Hartmann. Przez Eugeniusza Lipnickiego. (Dok.). . . . .	25
--	----

## *Biografia.*

General Filip Haumann i Rodzina Antoniego Malezewskiego. Przez Kajetana Kraszewskiego . . . . .	192, 325
---	----------



*Powieść.*

Poznali się u wód. Obrazek współczesny. Przez Maryą Faleńską. . . . .	99, 243, 394
---	--------------

*Sprawy społeczne.*

Pierwszy zjazd prawników i ekonomistów polskich w Krakowie. Przez Józefa d-ra Milewskiego. . . . .	116
Objaśnienie uwag, zawartych w artykule p. W. A. Sułkowskiego w „Bibl. Warsz.“ za m. sierpień 1887 r. pod tyt. „Szpital Ewangelicki.“ Przez Zarząd Szpitala Ewangelickiego. . . . .	239
Z dziejów Towarzystw ubezpieczeń (Studjum społeczno-ekonomiczno). Przez W. R. . . . .	410

*Hygiena.*

Wścieklizna i Pasteur. Napisał Władysław dr. Chodecki. . . . .	216
--	-----

*Sztuki piękne.*

Sprawozdanie z wystawy Sztuk Pięknych i Starożytności w Krakowie. Przez A. Karbowiaka. . . . .	229
Sławni garncarze. (Ustęp z dziejów oceramiki). Napisał Feliks Kuoharzewski . . . . .	329

*Kronika zagraniczna.*

## KRONIKA PARYZKA, LITERACKA, NAUKOWA I ARTYSTYCZNA.

„Korespondencya marszałka Davoust, księcia d'Auerstaedt i d'Eckmühl,“ wydana przez córkę p. de Blocqueville.—„Listy Maryi Ludwiki,“ wdowy po Napoleonie I-ym, ogłoszone z archiwum wiedeńskiego.—„Choses vues,“ wspomnienia Wiktora Hugo.—Krytyczna rozprawa profesora Stapfera o poetach współczesnych.—Album Joanny d'Arc: Autograly członków Akademii francuzkiej.—Szczałki druidyzmu we Francyi i w Walii.—Zmarły akademik Caro.—Nowy przegląd miesięczny: „Revue de Paris et de St. Petersbourg. . . . .	73
„Trzy śmiertelne grzechy Polski,“ przez A. Bukatogo.—Listy Katarzyny księżniczki Wirtemberskiej,“ małżonki Hieronima Bonapartego, wydane w Stuttgarcie.—Nowy przegląd: „Revue de Paris et de St. Petersbourg.“—Doroczna uroczystość w Instytucie francuz-	

kim. — Sądy znakomitych ludzi o Wolterze. — Obrzęd pogrzebowy u ohińczyków. — Stuletni jubileusz Mozartowego „Don Juana.“ — Pięćsetno przedstawienie „Fausta“ w Operze francuzkiéj. — „Książd Konstanty.“ . . . . .	425
---	-----

### *Przegląd i krytyka piśmiennictwa krajowego i zagranicznego.*

„Poczet rodów w Wielkiém Księstwie Litewskiém w XV-ym i XVI-ym wieku,“ ułożył i wydał Adam Boniecki. Warszawa, 1887. Przez Aleksandra Jabłonowskiego . . . . .	127
„Kondyllak. Traktat o wrażeniach zmysłowych.“ Przełożył z francuzkiego Antoni Lango. Pod redakcyą Henryka Struwego. Warszawa 1887 r., str. 216 in 8-vo. Przez J. K. Dworzaczka. . . . .	137
Dr. T. Heryng: „O chirurgiczném leczeniu suchot krtani i ich wyleczalności na podstawie badań mikroskopijnych i klinicznych.“ Z 2-na tabl. (Odbitka z „Gazety lekarskiéj“). Warsz. 1887. Przez Ch. . . . .	145
Władysław Habdank Korzybski: „Melioracye rolne.“ Warsz. 1887, 8-o, str. XVI, 183. Przez Edmunda Dobrzańskiégo. . . . .	273
Pamiętnik warsz. Instytutu głuchoniemych i ociemniałych z roku 1885 na 1886. Rok XVII. Warsz., 1886. Przez Wł. dr. Wicherkiewicza. . . . .	281
„Grzybki chorobotwórcze.“ Napisał Maryan Jakowski. Wydawnictwo „Gazety lekarskiéj.“ . . . . .	287
Z beletrystyki:	
1) „Ziemowit, książę mazowiecki.“ Dramat w pięciu aktach, na tle historycznym osnuty, przez Józefa Łabuńskiégo. Warszawa 1887.	
2) Maryan Jasieńczyk: „Lona,“ dramat w czterech aktach (sześciu odsłonach), zaszczytnie odznaczony na konkursie imienia Wojciecha Bogusławskiégo. Warszawa, 1887.	
3) „Król Salomon.“ Poemat liryczny w trzech pieśniach, przez Włodzimierza Zagórskiégo. Warszawa, 1887.	
4) „Idylla.“ Obrazek sceniczny, przez Władysława K. Ziolińskiégo. Warszawa, 1887. Przez Kazimierza Kuszowskiégo. . . . .	448
C. Lombroso: „Geniusz i obłąkanie.“ Przełożył z 4-go wydania włoskiégo J. L. Popławski. Warszawa, 1887. Przez Ch. . . . .	453

### *Polemika.*

Polemika p. Adama Krochowickiégo z p. W. K. Ziolińskiém, z powodu krytyki powieści p. t. „Starosta Zygwułski.“ . . . . .	147
--	-----



## Korespondencya.

Korespondencya d-ra Wł. Chodeckiego z p. Z. M. . . . . 469

## Kronika miesięczna.

*Październik.* — Rzut oka na ważniejsze objawy stosunków politycznych państw europejskich. — Temata konkursowe, ogłoszone przez wydział prawa Uniwers. warszawskiego w r. b. akademickim. — Z raportu ministra oświaty o szkołach średnich w Cesarstwie a mianowicie w Królestwie Polskiem z r. 1884. — Prawa i przywileje zapewnione przez nową ustawę szkół realnych. — Wystawa nasion w Warszawie. Obrady delegacyi rolniczej oraz plantatorów chmielu i piwowarów w Tow. pop. przem. i handlu. — Memoriał kupiectwa rosyjskiego, przedstawiony zarządzającemu ministerstwem skarbu w sprawie „przemysłu pasożytniczego.“ — Z wystawy rolniczo-przemysłowej w Krakowie. — Sprawozdanie biura statystycznego niemieckiego o handlu zewnętrznym za 1-szą połowę 1887 r. . . . . 154

*Listopad.* — Ogólny rzut oka na sytuacją europejską. — Przepisy o egzaminach konkursowych studentów, pragnących otrzymać stypendyum w uniwersytecie Warszawskim. — Posiedzenie Wydziału matematyczno-przyrodniczego Akad. umiej. w Krakowie z dn. 20 października r. b. — Doroczne posiedzenie sprawozdawczo Zakładu im. Ossolińskich we Lwowie. — Kongres międzynarodowy literacki w Madrycie. — Z dziedziny sztuki: Nowy obraz Siemiradzkiego („Chopin, grający na fortepianie u ks. Radziwiłła“) na wystawie Akademii sztuk pięknych w Berlinie. — Z ruchu ekonomicznego: a) W sprawie Banku ziemskiego w Poznaniu; b) Urzędowe wiadomości statystyczne o zagranicznym handlu zbożowym za pierwsze półrocze r. b. według sprawozdania ministra finansów; c) Tabela przyszłej kampanii zbożowej, ogłoszona przez ministerstwo Austro-Węgierskie co do produkcji i konsumpcyi pszenicy na rynku wszechświatowym; d) Wpływ ujemny niemieckiego cła zbożowego na ceny produktów rolnych w Niemczech; e) Sprawozdanie Warszawskiego Towarzystwa Oczyszczania i Sprzedaży spirytusu za pierwsze półrocze r. b.; f) Sprawa taryfy celnój w Warszawskiem Towarzystwie popierania przemysłu i handlu. — Ruch ludności w Królestwie Polskiem od r. 1816 — 1886-go. — † Dr. Robert Gustaw Kirchhoff, zasłużony badacz na polu fizyki. . . . . 290

*Grudzień.* Ogólny rzut oka na sytuacją europejską. — Zezwolenie ministra oświecenia publ. w Półtorskbu rezaszorzonia w uniwersytecie warszawskim wykładów historyi i literatury rosyjskiej, historyi literatury powszechnój i historyi filozofii. — Uchwały wiocu polskiego w Poznaniu d. 15 listopada r. b. w sprawie nauki języka polskiego



kiego i religii w szkołach ludowych. — Z ruchu naukowego: Sprawozdanie z 2-ch posiedzeń Komisji historii sztuki w Akademii umiej. w Krakowie (21-go paźdz. i 5-go listop. r. b.). — Posiedzenie komisji fizyograficznej dn. 28 paźdz. r. b. — Posiedzenie komisji archeologicznej dnia 19 listopada r. b. — Posiedzenie Towarzystwa historycznego we Lwowie dnia 19-go listopada (Wykład p. Hordyńskiego „O Filaretach“ wileńskich. — Wiadomość o kolejach, jakie przechodziły akta „Metryki litewskiej“ od roku 1794-go aż do chwili przewiezienia ich z Petersburga do Moskwy w dniu 6 paźdz. 1887 r. — Nowoodkryty skarb archeologiczny w Zakrzewie na Szlązku z III-go wieku po Chr. — Z ekonomiki; P. Zarianko: „Co to są Sosnowice?“ — Memoriał kupców i przemysłowców łódzkich. — Narady producentów chmielu. — Kasy pożyczkowe rzemieślników. — Spółka owocowa. — Zakończenie obrad w Towarzystwie popierania przemysłu i handlu. — Podwyżka cła w widokach podniesienia dochodów państwa. — Wnioski Rady gospodarczej niemieckiej w kwestyi podwyższenia cła od zboża i produktów rolnych. . . . .

472

### Wiadomości bibliograficzne.

*Październik.* — Bukowski: Katalog biblioteki Henryka Bończy. — „Recepta na to, abyśmy się długo w oczystej ziemi osiedzili 1682 r.“ w bibl. Krasieńskich (164). — Pisma zbiorowe Zyg. Krasieńskiego t. III-ci i IV-ty; „Listów“ t. III-ci (165). — Opowiadań dr. J. Rolle, ser. VI-ta. — Baranowski: Pedagogia i dydaktyka. — Jul. Słowackiego powieść p. t. „Król Ladawy.“ — Wł. Kozłak: Kolumna Zygmunta III-go w Warszawie (166). — Wydawnictwo prac Katkowa, t. I-y. — Lisoli, rozydentu austr. w Polsce, relacye od r. 1655—1660. — Semkowicz: Rozbiór kryt. hist. Jana Długosza (167). — Przewodnik do zajęć praktycznych z Botaniki Strasburgora. — Kwartalnik historyczny. Zesz. 4-ty. . . . .

164

*Listopad.* — Adama Pługa wiadomość w „Kłosach“ o Spuściznie literackiej Bohdana Zaleskiego (str. 314). — J. E. Lewickiego „Bibliografia galicyjsko-ruska.“ — A. Müller „Orientalische Bibliographie“ (315). — Ks. Polkowski: „Katedra na Wawelu.“ — Aug. Sokołowski: „Dyjaryjusze sejmowe, konwokacyjny i elekcyjny po śmierci Stefana Batoroego.“ — M. Bersohn: „O rytownikach gdańskich“ (str. 316). — C. Schulze: „Artykuły pedagogiczne w prasie europ. od 1870—1886.“ — Merunowicz: „Szkoły przemysłowe w Galicyi“ (str. 317). — XI-ty tom „Rocznika geograficznego.“ — Sybel: hr. Brandenburg w Warszawie r. 1850. — Sayce: Pomniki starożytne (Egipt, Assyrya, Babil., Palestyna i Azja Mn.) w świetle badań najnowszych. — A. Niemirowski: „Notaryat hiszpański“ (str. 318). — J. Łabuński: „Ziomowit“ dramat w 5-ciu aktach. — Bądzkiwicz: R. Berwiński. — Lord Acton: O najnowszej historyografii niemieckiej. — Dzie-



ła niemieckie o kolonizacyi wewnętrznej Henneberga i Schoena (str. 320).— Wit. Lewicki: „Materyały do reformy gminnej w Galicyi“ (321).—Janżułł: „Przemysł fabryczny w Królestwie Polskiem“ (322).—M. Block: <i>Annuaire scientifique</i> . — Ch. Seignobos: <i>Historja cywilizacyi w tlóm. A Dygasińskiego</i> (323).—Lombroso: „Geniusz i obłąkanie.“—Baginsky: <i>Życie kobiety</i> . . . . .	307
<i>Grudzień</i> . — Herbieh i Rapsilbor: „ <i>Wissenschaftliche Bibliographie der Weltliteratur</i> .“ — Biblioteka Jasnogórska w Częstochowie. — Vico. Lauroo, nuncyasza w Polsce 1574 — 1578 dopesze (492). — M. Edgar Trepka: „Rzecz o socyalizmie“ (493). — Ignacy Świętochowski: <i>Fawceta „Praca i Zarobki“</i> (494). — Cybulski: „O hypnotyzmie.“ — Cullorre: „Magnetyzm i hypnotyzm.“ — Pęchożyński: „Nowy pogląd kosmogoniczny“ (495). — Bron. Zaluskiego: „Dzieje Stanisława Augusta, aż do sejmku czteroletniego.“ — Słownika geograficznego zes. 95. — Shalera: „Dzieje ziemi.“ — Siogfr Lipiner: <i>Przekład niemiecki „Dziadów“</i> Adama Mickiewicza. — Filograf: „Praktyczny sposób ustalenia pisowni polskiej“ (496). — Stan. Starzyński: „ <i>Sesja sejmowa 1886/7</i> .“ . . . . .	497

### Nekrologia.

Ś. p. Wincenty Chołmiński. . . . .	168
Ś. p. Jan Zieliński (325). — Ś. p. Mikołaj Akielwicz (326). — Ś. p. Jan Zieliński. — Ś. p. Władysław Bentkowski (327). — Ś. p. Bibiana Moraczewska. — Ś. p. Józef Kasznica (327). — Ś. p. Leon Cienkowski (330). — Ś. p. Stefan Kuczyński (831). — Ś. p. Ludwik Grzymała hr. Jabłonowski. . . . .	318
Ś. p. Zygmunt Rościszewski. . . . .	498

### Ogłoszenia.

Od Redakcyi Biblioteki Warszawskiej: Zaproszenie do prenumeraty na rok 1888-my. — Od Redakcyi „Kroniki rodzinnej.“ — „Przegląd Katolicki“ nr. 47-my z dn. 24 listopada r. b. — „Kraj“ nr. 46-y z dn. 25 listopada r. b. — „Encyklopedia wychowawcza.“ — T. Paprockiego „Kalendarz powszechny.“ na r. 1888.

